

**Hans Helmut Kirst**

**Bunt  
żołnierzy**

**Powieść  
o 20 lipca 1944**

20 lipca

## Ludzie spisku

General Ludwig Beck  
General Friedrich Olbricht  
Pułkownik Claus hrabia Schenk von Stauffenberg .  
Pułkownik Albrecht rycerz Mertz von Quirheim  
Oberleutnant Fritz-Dietlof hrabia von der Schulenburg  
Oberleutnant Werner von Haefen  
Sędzia marynarki Berthold hrabia Schenk von Stauffenberg  
Dr Julius Leber  
Nadburmistrz dr Carl Goerdeler  
Feldmarszałek Erwin von Witzleben  
Feldmarszałek Erwin Rommel  
General major Henning von Tresckow  
General Karl Heinrich von Stülpnagel  
General Erich Hoepner  
General major Hellmuth Stieff  
General Erich Fellgiebel  
General leutnant Paul von Hase  
Pułkownik Eberhard Finkh  
Podpułkownik Casar von Hofacker  
Oberleutnant dr Fabian von Schlabrendorff  
Leutnant Ludwig baron von Hammerstein-Equord  
Helmuth James hrabia von Moltke  
Prefekt policji Wolf Heinrich hrabia von Helldorf  
Radca stanu Hans Bernd Gisevius  
Ojciec Alfred Delp SJ  
Dr Eugen Gerstenmaier  
Feldmarszałek Hans Günther von Kluge

Pułkownik Wolfgang Müller  
Kapitan Friedrich-Karl Klausing  
Generał leutnant Hans von Boineburg-Lengsfeld

## Przeciwnicy

Adolf Hitler  
Benito Mussolini  
Reichsleiter Martin Bormann  
Reichsführer SS Heinrich Himmler  
Marszałek Rzeszy Hermann Göring  
Minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels  
Minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop  
Feldmarszałek Wilhelm Keitel  
Wielki admirał Karl Dönitz  
General Alfred Jodl  
General Hermann Reinicke  
General Friedrich Fromm  
General von Kortzfleisch  
Major Otto Ernst Remer  
Leutnant dr Hans Hagen  
Leutnant Röhrig  
Podpułkownik Bolko von der Heyde  
SS-Gruppenführer Karl Friedrich Oberg  
SS-Obersturmführer Rattenhuber  
SS-Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner  
SS-Gruppenführer Heinrich Müller  
SS-Hauptsturmführer Otto Skorzeny  
SS-Oberführer Piffraeder.  
Komisarz policji Habecker .  
Przewodniczący trybunału ludowego Roland Freisler  
Naczelny prokurator Rzeszy Lautz  
Członkowie trybunału ludowego  
Członkowie sądu honorowego  
Adwokaci i kaci Berlina

Część  
pierwsza

# **Dni przed zamachem**

# 1

## Pułkownik, który musi zabić

- Sam to zrobię - powiedział pułkownik. A to oznaczało: zabiję naczelnego wodza.

Ów pułkownik nazywał się Claus hrabia von Stauffenberg. Był szefem sztabu armii rezerwowej. Jego urząd znajdował się w Berlinie na Bendlerstrasse. On sam stał teraz, wyprostowany, wyraźnie napięty.

Kapitan rzeki:

- Tego się spodziewałem. - Nie uważał za konieczne, aby powiedzieć coś więcej. Usiadł i czekał.

Pułkownik spojrział wyraźnie zdziwiony na swojego gościa.

- Czekam na twoje kontrargumenty, Fritz.

- Czy mogłyby odwieść cię od twego zamiaru, Claus?

- Nie, oczywiście że nie - oświadczył Stauffenberg natychmiast. Jego głos był opanowany i stanowczy, ale brzmiała w nim również serdeczna sympatia. - Pragnąłbym jednak wiedzieć, co ty o tym sądzisz. Znasz z pewnością wszystkie zarzuty, jakie nasi przyjaciele podniosą przeciwko mojej decyzji.

Kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede podniósł swą ptasią twarz, na której malował się chłód, i mrugnął do pułkownika.

- Znasz mój pogląd na tę sprawę. Już najwyższy czas, aby się go wreszcie pozbyć. - Miał na myśli Adolfa Hitlera, wodza oraz kanczlerza Rzeszy i najwyższego dowódcę Wehrmachtu. - Ale jeśli już chcesz

znać zarzuty: on i tak sam zdechnie, trzeba jeszcze tylko trochę poczekać.

Claus hrabia von Stauffenberg potrząsnął energicznie głową.

- Każdego dnia umiera coraz więcej ludzi. Nie ma dnia, aby

liczba strat się nie powiększała. Krąg przyjaciół staje się coraz mniejszy.

- Przeżyliśmy pięć lat wojny, jeszcze jakieś dziewięć miesięcy i ten rzeźnik znajdzie się u kresu sił. Zdechnie tak czy inaczej.

- A co się stanie do tego czasu? - Stauffenberg pochylił się do przodu. - Straty w ludziach mogą się podwoić. Niemcy mogą zostać zamienione w ruiny. A piece krematoryjne dymią w dzień i w nocy.

- Jesteś przekonany, że trzeba dostarczyć dowodu na istnienie innych Niemiec niż te, które stworzyła ta banda morderców?

- Świat musi wiedzieć, że się odważyliśmy.

Pułkownik oznajmił to z wielką prostotą, mówił głosem cichym, ale dobitnie i wyraźnie. Potem jakby się uśmiechnął. - Wybacz, proszę, rzecz jasna marnujemy tylko czas. Próbuj dalej wytaczać argumenty przeciw mojemu zamiarowi, i zrób to tak bezwzględnie, jak tylko potrafisz.

- Zgoda, Claus - powiedział kapitan i podniósł w górę swój sępi nos. - Wyciągnij prawą rękę.

- Nie mam już prawej ręki - rzekł pułkownik spokojnie, - Mam jeszcze tylko jedno oko i trzy palce lewej ręki. A więc jestem kimś, kogo nazywają kaleką. I sądzisz zapewne, że to czyni mnie niezdolnym, aby zabić?

- Jeśli ktoś to w ogóle zrobi, to na pewno ty - odpowiedział hrabia von Brackwede bez wahania, - Chciałbym zabezpieczyć ci tyły. To wcale nie będzie takie proste. Albowiem mamy do czynienia nie tylko z tą hieną na gorze, ale w dodatku również z naszymi licznymi przyjaciółmi.

Leutnant Konstantin von Brackwede leżał pod stołem w pełnym umundurowaniu. Twarz miał trupio bladą i gładką jak u dziecka. Zdawał się uśmiechać jak lalka.

Mężczyzna, który stał przed nim, ubrany był na czarno. Od dłuższego czasu ani drgnął. Tylko w jego oczach czaiło się ożywienie.

Ów mężczyzna nazywał się Maier, był sturmbannführerem SS i kierownikiem nieoficjalnego wydziału „Wehrmacht” w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Miał okrągłą różową twarz oberżysty, która nigdy nie zmieniała wyrazu. Była ona jakby oklejona gumową pianką: gąbczasta obojętność. Również teraz, kiedy mężczyzna nagle, zupełnie bezgłośnie zaczął się poruszać, robiło to wrażenie, jakby włączono dobrze naoliwioną, precyzyjną maszynę.

Jego ramiona poruszały się jakby w rytmie ćwiczeń gimnastycznych - poszczególne gesty uzupełniały się nawzajem; prawa ręka rozgrzebywała, lewa wygładzała, usuwała ślady, wprowadzając na nowo porządek. Papiery były przerzucane z taką szybkością, jak czyni to kasjer, który sprawdza banknoty. Równie nagle, jak się rozpoczęły, ruchy te ustały. Mężczyzna na chwilę znieruchomiał.

Znalazł coś, co go widocznie zainteresowało: szarozieloną kartkę - zamówienie na trzy kilogramy materiału uszczelniającego. Nic nie mogło się wydać bardziej niewinnego. Jako miejsce wydania figurował obóz SM3 Berlin - Lankwitz.

Ale SM3 oznaczało - o ile Maier się orientował - specjalne materiały abwehry. A magazynowano tam broń maszynowa, specjalne pistolety i przenośne radiostacje oraz materiały wybuchowe.

Potem jego głowa zaczęła się powoli przekręcać; popatrzył badawczo na leutnanta. Kopnął go czubkiem stopy w siedzenie. Musiał to czynić wielokrotnie. Ale jego cierpliwość zdawała się niewyczerpana.

Leutnant Konstantin hrabia von Brackwede poruszył się jak gąsienica, z trudem. Próbował wstać. Wpatrywał się przy tym w dywan, na którym leżał; była to lśniący brązowa buchara z mokrym obecnie od wymiotów ornamentem pośrodku. Konstantin trząsał się jego włosy koloru słomy falowały jak gęsto tkana jedwabna, chustka.

- Jestem starym kolegą frontowym pańskiego czcigodnego, brata - oznajmił mężczyzna w czerni. - Chciałbym z nim porozmawiać. Czy wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

Leutnant popatrzył przez chwilę na swego gościa.

. - Nie mam pojęcia - oświadczył z wysiłkiem. - Dopiero wczoraj wieczorem przybyłem z frontu.

- To - zapewnił Maier z całą serdecznością - oczywiście wiele wyjaśnia i wszystko usprawiedliwia. A zatem witamy serdecznie w stolicy Rzeszy, Życzę miłego pobytu. Z pewnością nie będzie się pan tu nudził, szczególnie u boku takiego brata. Ja również chętnie się do tego przyczynię.

- Godziny Hitlera są policzone - poinformował kapitan hrabia von Brackwede. - Stauffenberg jest zdecydowany go zabić. Chce to uczynić osobiście.

Julius Leber pochylił głowę zamyślony.

- Kiedy ten pułkownik zjawił się tu w Berlinie w zeszłym, roku. - powiedział wreszcie - od razu wiedziałem, już po pierwszej roz-

mowie: teraz wreszcie stanie się to, co planowaliśmy od lat i co próbowaliśmy wykonać.

- A jednak - stwierdził kapitan von Brackwede z naciskiem – ma pan wątpliwości, czuję to. Dlaczego?

- Mogę na to odpowiedzieć: Bo lubię Stauffenberga. I chciałbym go, właśnie jego, oszczędzić. Jestem pewien, że pan to rozumie. To okropne wyobrażać go sobie podczas dokonywania zamachu.

- Ktoś musi to wreszcie zrobić - oświadczył von Brackwede.

- A on należy do tych nielicznych, którzy mają jeszcze szansę dostać się w pobliże Hitlera. Poza tym ma konieczną do tego celu zimną krew, jak nikt inny:

Julius Leber skinął głową potakująco. Zajmował się obecnie handlem węglem w dzielnicy Berlin-Schöneberg. Prowadził swoje niewielkie przedsiębiorstwo wraz z żoną Annedore. W jego „drewnianej budzie”, jak nazywał swój kantor, spotykali się liczni przyjaciele, nie tylko z czasów, kiedy jeszcze był posłem do Reichstagu. Ludzie z ruchu oporu widzieli w nim ministra spraw wewnętrznych wyzwolonych Niemiec. A hrabia von Brackwede był przewidziany na stanowisko jego sekretarza.

- Wydaje mi się, że znam argumenty Becka i Goerdelera przeciwko planowi Stauffenberga - oświadczył Leber ostrożnie. - Powiedzą: główny szef sztabu. rewolty nie może być jednocześnie dowódcą oddziału szturmowego. I to stwierdzenie nie jest pozbawione racji.

- Niech mi pan wskaże inną możliwość szybkiego zlikwidowania Hitlera, a ja ją zaakceptuję.

Julius Leber podniósł się ciężko i podszedł do okna. Spoglądał, ukryty za firanką, na połyskujący letni dzień.

- Czego to już nie próbowano! - powiedział. - Od lat, wciąż na nowo.

- Ale wreszcie sprawy zaszły tak daleko! - rzekł kapitan z przekonaniem. - Może musiał zjawić się najwłaściwszy człowiek, aby takie przedsięwzięcie mogło się udać. Trzeba się teraz na to nastawić. Ze wszystkimi konsekwencjami...

- Człowieku! - wykrzyknął typ przypominający karła ogrodowego w mundurze kaprała, zwracając się swobodnie do kapitana von Brackwede. - Gdzie pan się podziewa? Szukam pana od dwudziestu czterech godzin.

-Obijam się - powiedział kapitan z uśmiechem, bez śladu zdzi-



wienia z powodu tej jowialnej poufałości. Tak sobie leniuchuję. Powinien pan to wreszcie wiedzieć, towarzyszu Lehmann.

Uśmiechnęli się do siebie pogodnie. Kapral siedział w gabinecie kapitana w jego fotelu przy biurku i nie miał zamiaru z niego wstawać. Byli tu przecież sami swoi; zaprzysiężeni fachowcy z ruchu oporu.

- A więc oznajmił kapral Lehmann urzędowym tonem z materiałem wybuchowym załatwione. I mam nadzieję, że jest to ostatni ładunek, który muszę wydzierać kolegom z abwehry. Powoli będą mieli tego dość. I nie ma się co dziwić, W końcu zawracamy im głowę już od lat.

Znów brytyjski materiał? - zapytał Brackwede.

- Plastyk! Pierwszorzędnej jakości. Do tego jak zwykle zapalnik kwasowy, tym razem taki, który da się dość dokładnie obliczyć. Dotychczasowe awarie nie powinny już się powtórzyć, o ile zapalnik uruchomi wreszcie właściwy człowiek.

Kapitan von Brackwede znał te „awarie”; kosztowały one wiele nerwów i nieraz budziły wątpliwości. Owe zapalniki pracowały wprawdzie absolutnie bezdzwięcznie, ale były zależne od pogody: temperatura w chwili wybuchu miała wpływ na czas rozerwania się ładunku.

- Do tej pory brali w tym udział partacze - stwierdził karzeł bezceremonialnie. - Ale teraz nadszedł czas fachowców. W końcu nie na darmo trenowałem tygodniami z generałem von Tresckowem.

- A gdzie jest zamówienie? - spytał kapitan.

Karzeł Lehmann spojrział ze zdziwieniem i zarazem z wyrzutem.

- Co, nie ma pan jeszcze tego świstka? Zarosłem go wczoraj osobiście do pańskiego mieszkania: Odebrał pański brat. Czyżby pan już nie sypiał w domu?

- Człowieku! - zawołał Brackwede przeraźliwym głosem, - Czy pan rozum postradał? Jak pan mógł dać mojemu bratu coś takiego do ręki!

- No przecież to pański brat - powiedział Lehmann zdumiony, Kapitan potrząsnęła tylko głową, założył na bakier czapkę i podszedł do drzwi. Tu zatrzymał się i powiedział.

- Konstantin należy do tych ludzi, którzy wciąż jeszcze myślą Hitlera z Niemcami, i z tym powinien być się pan liczyć.

- Do diabła! - zawołał kapral zatroskany. - Kto by to pomyślał! Czy, na tym parszywym świecie nie można już mieć zaufania do własnego brata?

Kapitan von Brackwede miał zwyczaj nie podjeżdżać samochodem pod sam dom. Kierowca otrzymywał regularne polecenie, by zatrzymać się w bocznej ulicy, za każdym razem w innym miejscu. Kapitan wysiadał i resztę drogi odbywał pieszo.

Tego dnia rzucił mu się w oczy, jeszcze z daleka, szarozielony samochód: wyblakły lakier, pokryty jakby pajęczyną, połyskiwał jednak matowym blaskiem. A więc państwowe auto; podczas jałowych godzin służby niedbale wypolerowane naoliwioną szmatą.

Von Brackwede skręcił do najbliższej bramy, nie zawahawszy się ani przez moment. Stąd obserwował dokładnie samochód. Jego twarz drapieżnego ptaka uśmiechnęła się. Następnie ruszył wprost do stojącego auta.

Zajrzał przez otwartą przednią szybę do środka.

- Nigdy niczego się nie nauczycie! - zawołał. Patrzyła na niego błada, pociągła twarz w okularach. - Wasze zamiłowanie do wygodnictwa śmierdzi z daleka. Za czasów Fouche tacy partacze jak wy zostaliby zdegradowani do zmiataczy ulic.

Błady mężczyzna w okularach sprawiał wrażenie poważnie zamuconego. Jego gładka twarz starała się patrzeć z wyrazem uprzejmego zdumienia.

- Panie radco, dlaczego mielibyśmy akurat pana śledzić?

Hrabia von Brackwede zdawał się nie słyszeć tego tytułu. Czasy, kiedy był radcą stanu w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, dawno już minęły. Ale nie zostały całkowicie zapomniane ani przez niego, ani przez paru urzędników kryminalnych. Należał do nich ów błady człowiek w okularach, o nazwisku Voglbronner.

- Jak długo Maier już u mnie węszy? - zapytał Brackwede.  
- Od dwóch godzin - odpowiedział mężczyzna w samochodzie.

- A dlaczego?

- Czysta rutyna - stwierdził Voglbronner fałsetem. - Nie mamy nic innego do roboty. Wobec tego zajmujemy się każdym, kto nam przebiegnie drogę, a wczoraj wieczorem był to kapral, zwany Karłem. Ten chłopak już dawno wpadł nam w oko. Myślę, że powinien się pan zastanowić, dlaczego poszedł akurat do pańskiego mieszkania?

- Zajmujecie się zatem każdym, kto wam przebiegnie drogę. I oto znaleźliście się znów w martwym punkcie?

Mężczyzna o chłopięcej twarzy zaczął kiwać, głową, uśmiechając się.

- Ja panu oczywiście nic nie powiedziałem, prawda?

- Kapitan von Brackwede podniósł w górę ręce, jakby składał przysięgę.

- Mój panie! Pan nie mógł mi nic powiedzieć, bo ja wcale z panem nie rozmawiałem. Nawet pana nie widziałem. Chciałbym tylko wiedzieć, skąd pan zna tego Karła?

- Z fotografa. Została zrobiona przed kilkoma miesiącami na Gofthestrasse. Mamy sporo takich odbitek, a na każdej są ci, którzy przechodzą do generała Becka., Pańska podobizna, panie radco, jest również wśród nich.

Oczywiście - powiedział hrabia von Brackwede, nie okazując ani śladu zaskoczenia. - Gdyby pan miał zamiar zbierać moje fotografie, mógłbym panu dostarczyć kilka tuzinów, na których jestem razem z hrabią Helldorfem, prezydentem policji Berlina.

Wiemy o tym - zapewnił pospiesznie Voglbronner. - I jest to respektowane, w każdym razie przeze mnie.

-A przez Maiera nie? - zapytał von Brackwede z uprzejmym uśmiechem.

- Przez niego także! - Twarz wzorowego ucznia spoglądała niemal z oddaniem. - Ale jest przecież kierownikiem wydziału „Wehrmacht” i musi przedłożyć wyniki. A mówiąc w zaufaniu: to wcale nie jest takie proste.

- Wobec tego może będę mu w tym mógł trochę pomóc - powiedział kapitan pogodnie nastrojony. - Zawsze jestem gotów do owocnej współpracy.

- Miałem zaszczyt poznać bliżej szanownego ojca pańskiego przyjaciela, von Hammersteina - powiedział generał Olbricht niezwykle ceremonialnie, ze sztywnym ukłonem. - Pan generał był ze wszech miar godnym zainteresowania człowiekiem i niezwykle żołnierzem.

Oberleutnant o mądrych oczach powiedział z wyzwaniem w głosie:

- Ojciec mojego przyjaciela uchodził za czerwonego generała, znajdował wspólny język ze związkami zawodowymi, uważano go za zdeklarowanego przeciwnika niemieckonarodowej restauracji.

Rozmowa dotyczyła generała broni Kurta barona von Hammersteina, szefa sztabu w latach 1930-1934. Jego syn był oficerem, który został, po wielu akcjach bojowych, odkomenderowany na Bendlerstrasse. Teraz siedział przed nim jego przyjaciel, przyjmowany uprzejmie w gabinecie generała Olbrichta?

W pomieszczeniu znajdowali się prócz tego dwaj pułkownicy: jeden pełen energu i o ostrym badawczym spojrzeniu, jednooki Stauffenberg; drugi, rozważny, powściągliwy: Mertz von Quirnheim. Olb-

richt natomiast robił wrażenie eleganckiego i sympatycznego, potrafił, jeśli chciał, by bardzo uprzejmy,

- Baron von Hammerstein miał opinię człowieka nieustraszonego - rzekł generał, śledząc przy tym bacznie każde poruszenie młodego oficera. - Kanclerz Rzeszy Bruning powiedział, że ów generał to jedyny człowiek który mógłby zlikwidować Hitlera.

- To całkiem możliwe - odparł szczerze młody oficer. Powoli zaczął pojmować, czego tu od niego zdawano się oczekiwać. - Znałem go, był dla mnie jak ojciec. Już w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim zaproponował kanclerzowi Rzeszy Hindenburgowi, że wysadzi z siodła Hitlera i jego ludzi przy pomocy reichswehry.

- Wiem o tym. - Olbricht uśmiechnął się zachęcająco do oficera, który znał tego, niezwyklego generała, Wówczas jednak Hindenburg zabronił takiego przedsięwzięcia. Staruszek był zdecydowanie wierny konstytucji, przypuszczalnie sądził, że Hitler również.

Teraz pułkownik Mertz von Quirnheim pochylił do przodu swą lekko lśniąca głowę.

- Kiedy na początku wojny generał Kurt baron von Hammersstein-Equord był wodzem naczelnym Grupy armii „Zachód”, postanowił po prostu aresztować Hitlera podczas inspekcji.

- Ale ten nie przybył - wtrącił pułkownik von Stauffenberg. - Ma instynkt kreta, piekielnie trudno wywabić go z kryjówki. Ale kiedyś się uda, i to już wkrótce. - I bez ogródek zapytał: - Czy pan się przyłącza?

- Tak - usłyszał odpowiedź.

- Bez względu na wszystko?

- Oczywiście.

- A jeżeli panu powiem: niech pan zamknie swego dowódcę, generała Fromma, co wtedy?

- Zamknę go.

Widok, jaki ukazał się oczom kapitana hrabiego von Brackwede w jego własnym mieszkaniu, cechowała harmonia, należało się tego spodziewać. Kapitan znał dość dobrze Maiera: był specjalistą od stwarzania przyjemnego nastroju. Nawet kandydaci na śmierć uważali go przez dłuższy czas za raczej sympatycznego człowieka.

- Jesteś nareszcie! - zawołał leutnant. - Czekamy na ciebie.

Maier wyciągnął rękę, kapitan ją uściśnił, jak było do przewidzenia. - Tymczasem odbyliśmy z pańskim bratem nad wyraz ożywioną rozmowę.

- Próbował pan zatem wydusić coś z mojego braciszka. - Kapitan

uważał, iż powiedział coś zabawnego. - I oczywiście wysłał się pan niepotrzebnie, ten chłopiec jest bohaterem i idealistą. Ale w tej chwili potrzebny mu jest pilnie zimny prysznic. A więc znikaj, mały!

Konstantin skinął skwapliwie głową starszemu bratu; zawsze go słuchał. Maier spoglądał życzliwie za odchodzącym leutnantem.

- Sympatyczny chłopak.- stwierdził; - I jaki lojalny, aż miło popatrzeć! Przypadł mi bardzo do serca.

- Ręce precz od tego chłopca - rzekł kapitan von Brackwede ostrzegawczym tonem. - On znajduje się pod moją szczególną ochroną. A jeśli pan znów kiedyś zechce pokłusować na terenie Wehrmachtu, to niech pan lepiej uczepli się mnie.

- Zgoda, szanowny panie. - Wydawało się, że Maierowi zależy na miłej atmosferze. - Porozmawiajmy więc o magazynie Abwehry, o SM trzy.

Von Brackwede nie okazał najmniejszego zaskoczenia.

- Czyżby pan grzebał w moich papierach, mój drogi? Powinien się pan wstydzić! Tak się nie robi między starymi kumplami.

- W SM trzy zmagazynowane są przede wszystkim materiały wybuchowe -Maier mówił jakby anielskim tonem. - Przede wszystkim znakomity plastik z Anglu, Nie ma takiej rzeczy, której by nie można było przy jego użyciu wysadzić w powietrze. - To wcale nie jest zła myśl którą pan tu rozwija, przyjacielu: Być może kiedyś będę mógł pana pochwalić jako inspiratora inicjatywy w tym rodzaju. - Kapitan von Brackwede z dużą przyjemnością patrzył na ledwie widoczne przerażenie, które ogarnęło sturmbannführera: jego prawa powieka zaczęła drgać. Gdyby na jego górnej wardze wystąpiły krople potu, znaczyłoby to, że jest w najwyższym stopniu podniecony.

- Z pana dość niebezpieczny żartowniś - stwierdził Maier, tłumiąc z całych sił bicie serca. - Znam oczywiście pańskie wybiegi. Powiedzmy, że zjawię się w SM trzy z pańskim zamówieniem, czy dadzą mi tam od ręki skrzynkę koniaku?

- Szampana -poprawił hrabia uprzejmie.

Sturmbannführer rozparł się w fotelu nieco wyczerpany.

- Obawiam się - powiedział, a miało to zabrzmieć jak intymne zwierzenie - że pan nie zrozumiał motywów mojego działania. Nie mam zamiaru przysparzać panu trudności, wprost przeciwnie: pragnę tylko współpracować z panem jak za najlepszych czasów.

- Coś podobnego! - Kapitan wachlował się szarozielonym kwitkiem. W pokoju zrobiło się duszno. - Chyba nie zamierza pan wymuszać na mnie współpracy?

- Co pan sobie wyobraża! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.  
- Był to nagły wybuch rozsadzającego Maiera koleżeństwa. - Ostatecznie wiem, z kim mam do czynienia! Chciałem raczej dać do zrozumienia, że umiałbym dobrze wykorzystać pomoc, a przynajmniej fachowe rady.

Hrabia Brackwede złożył starannie kwit i schował do portfela.

- Spodziewałem się czegoś takiego - mruknął. - A zatem pragnie pan wetknąć swój nos do Wehrmachtu jeszcze głębiej niż dotychczas, najchętniej w sam środek, na Bendlerstrasse. I przy tym liczy pan na moje usługi.

- Ależ skądże! - odparował Maier niemal przerażony, - Coś takiego nie wchodzi w grę. Myślę raczej o pewnego rodzaju interesie, który polegałby na wzajemności. - Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, Maier odsłonił przy tym zęby; były, dziurawe i pokryte brązowożółtym osadem. Każdy z nich myślał to samo: muszę go oszukać, aby on mnie nie oszukał! Nie zawahali się jednak ani przez moment i serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

- Na wstępie jeden podstawowy warunek - powiedział Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede. - Żądam, aby był on respektowany: mój brat ma być wyłączony z gry! To jeszcze niemowlę w naszym zawodzie. Te sprawy nie powinny go obchodzić.

Gestapowiec Maier wyprężył się ledwie dostrzegalnie zamknął oczy, aby nie było widać, że błyszczą jak lampki sygnalizacyjne. Nadał swemu głosowi chrapliwie przyjemne brzmienie.

- Pan chyba bardzo kocha tego chłopca?

- Niech pan się nie wysila na odkrywanie we mnie sentymentalnych słabości! - Kapitan uniósł dłoń w obronnym geście. - Powinien pan wiedzieć: nie kocham nic i nikogo prócz mojego własnego życia! I niech panu nigdy nie przyjdzie do głowy, aby się o tym przekonać.

W Berlinie na Goethestrasse stał mały niepozorny dom. Wyglądał, jakby należał do oszczędnego rencisty, który z zamięłowaniem pielęgnuje swój skromny ogródek. Ale mężczyzna, który tu mieszkał, uważany był za następnego władcę Rzeszy Niemieckiej. Jego nazwisko obrzmiało: Ludwig Beck.

- Pan Leber pragnie z panem mówić - oznajmiła gospodyni Elsa Bergenthal obojętnym tonem.

Ludwig Beck podniósł głowę. Rzadko się zdarzało, aby okazywał poruszenie. Teraz jednak był wyraźnie zaskoczony. Zamknął teczkę z dokumentami i udał się do przedpokoj.

- Skoro pan przyszedł, sprawa musi być ważna - powiedział. Starał się ukryć, że odczuwa narastający niepokój: ta wizyta była czymś niezwykłym. Albowiem Ludwig Beck znał dobrze wartość i rangę Juliusa Lebera; szanował i cenił również jego silną osobowość. Dla niego ów mężczyzna był jedną z najważniejszych sił w niemieckim ruchu oporu.

- Staralem się zachować wszelkie środki ostrożności - oświadczył Leber, obserwując przy tym ściany pełne książek, które otaczały ich jak mur.

Generał przywiązywał wagę do form. Kazał podać herbatę i zamienił z Leberem kilka ogólnych, nie zobowiązujących zdań. - Zajmuję się obecnie znów Kantem - powiedział - jego metafizyką obyczajów.

- Nie istnieje na świecie nic - zacytował Leber - co można by bez zastrzeżeń uważać za dobre, oprócz dobrej- woli.

- Dokładnie tak - powiedział Beck z uznaniem. - Najwidoczniej prawdą jest to, co o panu mówią: że jest pan Prusakiem-soejalistą.

- Prawdą jest to, być może, w takiej samej mierze jak twierdzenie, że Stauffenberg i Brackwede to czerwoni hrabiowie, tak mocno zacierają się niekiedy granice.

-- Dlaczego pan przyszedł? - zapytał Beckl - Co się stało?

Leber pochylił głowę i spytał:

- Czy pan wie, że pułkownik von Stauffenberg jest zdecydowany osobiście dokonać zamachu na Hitlera? |

Generał wahał się kilka sekund z odpowiedzią. Jego usta zrobiły się wąskie i zacięte. Następnie powiedział krótko:

, - Grupa oficerów wokół Olbrichta i Stauffenberga przejęła odpowiedzialność za tę akcję, któryś z nich będzie musiał to zrobić,

- Ale chyba nie Stauffenberg!

Dlaczego nie?

- Bo należy on do tych niewielu ludzi, którym dane jest zmienić świat! - Gęste brwi Lebera uniosły się, poprzeczne zmarszczki na jego czole wyglądały jak bruzdy rią polu. - Nie wolno mu narażać się bezpośrednio na niebezpieczeństwo. Potrzebny nam jest tu, podczas decydujących godzin. Badałem go długo i gruntownie, nie wyobrażam sobie przyszłości Niemiec bez niego,

Generał Ludwig Beck podniósł się niespokojnie. Sprawiał wrażenie, że szuka ochrony wśród swoich książek. Oparty o nie powiedział:

- Podpisuję się pod każdą pańską uwagą dotyczącą Stauffenberga, panie Leber. Ale ten człowiek ma nie tylko niezłomną wolę ale także twarde sumienie. Skoro już zdecydował się na ten czyn, nikt go nie powstrzyma.

- Ja z pewnością nie. Jak również żaden z nas. Z jednym wyjątkiem: pana, panie generale.

Generał Beck był niezwykłym człowiekiem. Kiedy Hindenburg mianował Hitlera kanclerzem Rzeszy, on również nie widział „innego wyjścia”. Przez pięć lat był jednym z najwyższych oficerów Wehrmachtu. Ale potem, w roku 1938, w obliczu niebezpieczeństwa wybuchu wojny, opracował trzy memoriały, w których przepowiedział nadchodzącą katastrofę. Podczas wykładów dla oficerów sztabu generalnego wzywał otwarcie i niedwuznacznie do zamachu stanu przeciwko

Hitlerowi. Następnie podał się z niezłomną konsekwencją do dymisji, jako jedyny spośród niezadowolonych generałów.

- Tylko pana Stauffenberg posłucha! - wykrzyknął Leber. – Pan pierwszy nie bał się mówić otwarcie o polityce przemocy i wiarołomstwa. Nieustannie atakował pan fanatyczną brutalność tego systemu. Każdy z nas to wie, a dla Stauffenberga jest pan już teraz głową państwa niemieckiego. Nagnie się do pańskiej decyzji.

- Ale ktoś to musi zrobić - powiedział Beck z wysiłkiem.

- Nie ma mnie dla nikogo oprócz przyjaciół z gestapo – oznajmił kapitan Fritz-Wilhelm von Brackwede. - A gdyby pytał o mnie generał albo jakaś inna mało ważna osoba, proszę użyć zwykłej wymówki: jestem niezdolny do służby z powodu przepicia.

Kapitan oświadczył to bezceremonialnie, wchodząc do swojego biura na Bendlerstrasse, hrabinie Oldenburg-Quentin, która stała przed nim, przechylona nieco do tyłu. Jej jasne oczy patrzyły pobłaźliwie gdzieś w przestrzeń.

- Stawia mi pan bardzo trudne zadanie, panie kapitanie.

- Jest to jedyny sposób, aby móc z panią obcować bez zbyt wielu komplikacji. - Von Brackwede, z rzucającą się w oczy obojętnością, oglądał papiery leżące na jego biurku. Żaden z nich nie był specjalnie ważny. - Bo pani mnie przecież kocha. Prawda?

- Skąd panu to przyszło do głowy? - Hrabina zeszywniała; jej usta ledwie się poruszały. - Nigdy nie dałam panu powodu, aby tak myśleć.

- W porządku, wobec tego przyjmuję do wiadomości; pani mnie nie kocha.

- Oczywiście że nie. - Elisabeth hrabina Oldenburg-Quentin oddychała gwałtownie. Jej elegancka, prosta szara sukienka zdawała się pękać na piersiach, - Jaki jest cel pańskich aluzji?

Kapitan nie odpowiedział. Znalazł w swoich papierach kartkę,



która go wyraźnie zainteresowała. Było na niej napisane: Königshof  
prosi o, telefon. „Königshof to pseudonim szefa sztabu armii na froncie  
wschodnim, człowieka jak dynamit. - Proszę, niech pani mnie połączy z  
generałem Von Tresckowem.

-Już zamówiłem połączenie; z chwilą kiedy pan tu wchodził.

— Pani jest nadzwyczajna, moja droga. Czym bylibyśmy my,  
mężczyźni, bez takich kobiet jak pani? - Kapitan przyglądał się  
hrabinie z uśmiechem pełnym uznania. Może ma pani czas i ochotę  
zjeść dziś kolację u Horchera?

- Z panem? - Elisabeth zdawała się być rozbawiona. - Jeśli panu  
na tym zależy, obojętnie z jakiego powodu, aby odgrywać rolę  
beztroskiego hulaki, nie muszę panu pomagać w inscenizowaniu tego  
niesmacznego widowiska. To pan zrobi doskonale beze mnie.

- Mam nadzieję! - Brackwede wyraźnie się bawił. - Ale ja nie  
tylko cierpię na nadmiar osobliwej ambicji, miewam również niekiedy  
napady wspaniałomyślności. Tym razem bardzo mi kogoś żal. To  
pocziwy idealista, a zatem w obecnych czasach godna pożałowania i  
nędzna kreatura. Chodzi przy tym o mojego braciszka.

- Czy mam zagrać rolę niańki?

- Właśnie tak, hrabino! Pani jak zwykle odgadła moje najskrytsze  
myśli. Zrobi pani dobry uczynek. Niech pani pozwoli się zaprosić  
przez zdeklarowanego bohatera na wyborną kolację. A między  
poszczególnymi daniami niech pani spróbuje powyrywać chłopcu  
mleczne zęby. Pilnie tego potrzebuje.

Po codziennej naradzie führer, kanclerz Rzeszy i naczelny wódz  
Wehrmachtu, przyjął jednego ze swoich zauszników; Heinricha  
Himmlera. Pozornie reichsführer SS należał jeszcze do  
najwierniejszych stronników Hitlera, w rzeczywistości zaczynał już  
potajemnie próbować układów pokojowych.

- Tylko proszę krótko - powiedział Adolf-Hitler. Czekał z  
utęsknieniem na swoją regularną, popołudniową drzemkę. Co chwila  
splatał ręce, aby ukryć drżenie, które go wciąż na nowo opanowywało.

- Sprawa nie wygląda dobrze, mój führerze - powiedział Him-  
mler ostrożnie. - Był zwolennikiem poufałości cechującej starych  
towarzyszy walki. - Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie trudności.  
Wśród nich te w najwyższej mierze niepotrzebne.

Hitler kiwał głową, rytmicznie jak mechaniczna zabawka. Ostatnio  
słyszał te słowa każdego dnia. Inwazja Brytyjczyków i Amerykanów  
czyniła niezrozumiałe wprost postępy; front bałkański groził

załamaniem, a wojska radzieckie posuwały się coraz dalej w kierunku wschodniej granicy Niemiec.

- Teraz - oświadczył führer w nagłym uniesieniu - przekonamy się, czy naród niemiecki zasługuje na mnie, czy też jest wart jedynie ostatecznego unicestwienia.

Tego rodzaju zdania były znane każdemu, komu wolno się było poruszać w ściśle tajnym kręgu głównej kwatery. Było to kilkadziesiąt osób. Himmler oczywiście też do nich należał.

- Powinniśmy skoncentrować wszystkie siły, jakimi dysponujemy - z taką propozycją wystąpił Himmler, podkreślając swoją uległość.  
- Siła uderzeniowa wojsk osłabła w nad wyraz niepokojącym stopniu.

Hitler rozsiadł się na powrót w olbrzymim fotelu. Gdziekolwiek się zatrzymywał, w Berchtesgaden, w Monachium, Berlinie czy w tymczasowej kwaterze głównej- wszędzie otaczały go wspaniałe olbrzymie meble. Zmęczony zamknął oczy, jego głos brzmiał mimo to energicznie, dudniąc jakby w metalicznej próżni.

- Wiem, że pan chciałby zostać dowódcą armii rezerwowej.

- Nie nalegam, ale uważam to za pilną konieczność, ze względu na ową koncentrację sił. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy oficerowie zdradzają reakcyjny sposób myślenia. Teraz kiedy chodzi o ostateczne zwycięstwo, najpilniejszą potrzebą jest absolutna niezawodność.

Twarz Hitlera pozostawała bez wyrazu. Jego skóra była szara jak popiół. Krótkie wąsiki drgały. Powiedział zamyślony:

- Tego generała Fromma z Bendlerstrasse nigdy szczególnie nie cenilem, ale wykonuje swoją robotę.

- Pan już od kilku miesięcy nie wzywa go na codzienne narady, führerze.

- Ostatnio jednak tak, odkąd pojawił się tam nowy szef sztabu, Stauffenberg. Ten człowiek ma pomysły!

Już pierwszy memoriał Stauffenberga wzbudził jego zainteresowanie. Oto człowiek, który zdawał się umieć myśleć rewolucyjnie; niektórzy współpracownicy führera zwrócili na to uwagę.

- Jestem całkowicie za trafnym doбором kadr - powiedział führer. Ziewał bez skrępowania. Ulubiony owczarek liżał jego sennie zwisającą dłoń. - Niewiele też się spodziewam po generale Frommie. Wiem, Himmler, on nie jest pańskim przyjacielem ani pan jego. Ale dopóki pan nie jest w stanie dostarczyć mi konkretnych dowodów przeciwko Bendlerstrasse, wszystko pozostaje po staremu.

- Tak jest, führerze - wycedził. Himmler.

Hitler podniósł się z trudem. Owczarek skoczył, wódz zachwiał się lekko. Następnie podrapał sierść zwierzęcia:

Nie chcę pana w żadnym razie zniechęcać. Do pewnego gatunku oficerów odnoszę się z nieufnością. Od dawna! Pan o tym wie. Ale chcę mieć fakty, nie tylko przypuszczenia. Przede wszystkim ta wojna musi być wygrana! Za wszelką cenę!

- Gotów do boju, Eugen - oznajmił hrabia von Brackwede, rad ze swej przedsiębiorczości. - Zawiadam przyjaciół, żeby byli do dyspozycji.

- Niektórzy są już gotowi od jedenastu lat, niejeden zdążył się zmęczyć i nabrać nieufności. Kiedy Ogłoszono pierwszą wielką akcją Haldera, Witzlebena i Oстера? W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

- I tak dalej, i tak dalej! Tu wynajęty rewolwerowiec, tam strzelec wyborowy, do tego co najmniej pół tuzina prób z bombami. Znakomici ludzie. A jednak niepowodzenie, jedno po drugim. A może brakowało dotychczas człowieka o najwyższej inteligencji i zimnej krwi.

- A więc Stauffenberg? - powiedział cicho profesor Eugen G.

Spotkali się, nie po raz pierwszy, w mieszkaniu hrabiego von Moltke; w takich wypadkach należało ono wyłącznie do nich. Służąca wycofała się, znała zasady panujące w tym domu: O nic nie pytać, nic nie słyszeć, nikogo nie pamiętać. Jej starannie udawana zła pamięć miała wprost nieocenioną wartość.

Eugen G. był profesorem filozofii, obecnie bez katedry; nazywano go powszechnie „doktorem”. Krążył między jedną grupą oporu a drugą. Był wysoko ceniony w kołach chrześcijańskich i cieszył się zaufaniem grup socjalistycznych. Żołnierze którzy go znali, nazywali go Prusakiem, von Brackwede był jego przyjacielem.

- Kiedy?- zapytał Eugen G.

- Kiedy tylko będzie możliwe, za pięć dni, za dwa albo trzy tygodnie; to zależy. Zawiadam przyjaciół; niech będą przygotowani.

- Czy istnieją jakieś listy; Fritz? Czy będę mógł zapoznać się z nazwiskami?

- Jeśli takie listy istnieją to tylko w jednym egzemplarzu, doktorze, a ten znajduje się w szafie pancерnej generała Olbrichta. Strzeże ich, niczym cerber, Mertz von Quirnheim. Tylko niewielu wtajemniczonych zna wszystkie szczegóły, są to, jak wiesz, metody Stauffenberga.

Eugen G. obserwował przyjaciela bystryimi oczyma.

- Czy to znaczy, Fritz, że na tych listach są ludzie, którzy wcale o tym nie wiedzą?

- Trafieś w sedno doktorze - powiedział Brackwede z uznaniem.

- Jeżeli już do tego dojdzie, będziemy po prostu wydawać

rozkazy. Żołnierze usłuchają bez wahania, a żaden z przyjaciół się od nich nie uchyli. Stauffenberg jest o tym przekonany. Jedyne ci, którzy znajdują się w węzłowych punktach akcji, i muszą wystąpić bezpośrednio przeciw czołowym nazistom, są uprzednio wtajemniczeni we wszystkie szczegóły.

- A jeśli pojawią się kontrrozkazy?

- Będą musiały przyjść za późno, postaramy się o to.

Doktor drażył dalej, ku radości swego przyjaciela, któremu sprawiał przyjemność fakt, że jest przenikliwie wypytywany.

- A przysięga na Hitlera, czyż dla wielu nie będzie stanowiła przeszkody nie do pokonania?

Owa przysięga brzmiała:

„W obliczu Boga składam świętą przysięgę bezwarunkowego posłuszeństwa wodzowi Rzeszy Niemieckiej i narodu niemieckiego, Adolfowi Hitlerowi, naczelnemu dowódcy Wehrmachtu, i jako dzielny żołnierz gotów jestem w każdej chwili poświęcić życie w imię tej przysięgi”.

Po raz pierwszy przysięga ta została złożona 2 sierpnia 1934 roku, krótko po śmierci Hindenburga. Beck nazwał ów dzień „najczarniejszym dniem swego życia”. W kręgach ruchu oporu temat ten był dyskutowany od wielu lat

- Hitler sam złamał przysięgę. Unieważniły ją przestępstwa przez niego popełnione. Czy to nie twoja własna teoria, Eugen?

Doktor G. żywo przytaknął. - To jest nie tylko, mój pogląd. Znalazłem u Ojców Kościoła wiele miejsc, które jednoznacznie mówią: przysięga, obojętnie jakiej treści, złożona na imię tyrana, jest nieważna.

- Cała ta sprawa w gruncie rzeczy wcale nie jest skomplikowana - stwierdził von Brackwede. - Jeśli bowiem Hitlera już nie będzie, przysięga wygaśnie automatycznie.

- Oczywiście - powiedział doktor z wahaniem. - Dla nas istotnie to nie stanowi problemu. Ale wyjaśnij tę sprawę bandzie niemieckich poddanych.

- A wiec, droga hrabino - zapytał kapitan von Brackwede – jak się pani podoba mój mały braciszek? Czy obudził w pani macierzyński instynkt opiekuńczy, czy raczej rozsądek?

- Pański brat - powiedziała Elisabeth Oldenburg-Quentin - traktuje życie bardzo poważnie. Myślę, że posiada wszystkie idealne cechy, które zazwyczaj charakteryzują niemieckiego młodzieńca.

- A więc chyba zdziwił panią niezmiernie ów książkowy bohater - prawda?

- Nie - wyznała Elisabeth i spojrzała zamyślona na kapitana. - Żał mi w pewnym sensie Konstantina, dlatego że jest pańskim bratem. Proszę, niech mnie pan dobrze zrozumie. Sądzę, mianowicie, że będzie pan chciał wywierać na niego wpływ. A on się nie nadaje do pańskiego życia.

- Niech pani to mnie zostawi, hrabino, jest moim bratem. Ale pani zainteresowanie osobą tego chłopca podoba mi się, mówię całkiem-szczerze. Jednakże z innych powodów, niż pani być może przypuszcza. Wrócę do tej sprawy we właściwym czasie.

Tego dnia kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede przybył do swojego biura dopiero około południa. Nikogo to nie zdziwiło: von Brackwede przychodził i wychodził, kiedy chciał. A hrabina Oldenburg, przydzielona mu jako sekretarka, musiała wymyślać cały wachlarz wymówek z tego powodu.

Akta personalne na Bendlerstrasse określały kapitana jako „oficera łącznikowego „a niektóre zapewne jako „oficera do specjalnych poruczeń”. Ale co się za tym kryło, wiedzieli tylko bardzo nieliczni.

Gmach na Bendlerstrasse położony był na południe od Tiergarten. Był otoczony ruinami, wyglądał więc niemal potężnie: ciężki jak skrzynia budynek administracyjny; poobtłukiwany już od wielu bomb i pokryty kurzem z walących się domów. Główne jego części jednak pozostały nie uszkodzone.

Tu rezydował tak zwany dowódca armii rezerwowej, obecnie generał broni, Fritz Fromm. Otaczało go kilkudziesięciu generałów, oficerów sztabowych i zwykłych oficerów. Znajdowało się tu ponadto więcej niż stu żołnierzy, żeński personel i siły pomocnicze. Bramy wejściowej strzegł berliński batalion ochrony.

- Dozna pani jeszcze niejednokrotnie wątpliwej przyjemności uczestniczenia w moich sprawach rodzinnych. - Kapitan oznajmił to wesołym tonem. - Mój brat pozostanie chwilowo w moim zasięgu, będzie przebywał w Bernau, w tamtejszej szkole lotniczej.

- Ma szczęście, że nie należy do armii, z pewnością umieściłby go pan również tu na Bendlerstrasse.

- Niech się pani nie martwi, młodzieniec znajdzie dość okazji, aby się obudzić ze swojego snu Śpiącej Królowej. Powinien się tu zjawić mniej więcej za pół godziny. Niech mu pani da przechowywane u nas akta gestapo. Wie pani, o jakich myślę, te, które dotyczą zdrady stanu.

- Co pan zamierza przez to osiągnąć?

- To, że on w końcu zacznie myśleć, do diabła!

- To był dla mnie uroczy wieczór - oświadczył Konstantin z wdzięcznością, witając się z hrabiną. Nie zauważył nieobecności brata. - Czy moglibyśmy się znów kiedyś gdzieś razem wypuścić? Dokąd miałyby pani ochotę pójść?

- Czemu nie - powiedziała Elisabeth wymijająco. - Jeśli się nadarzy sposobna okazja...

- Czyżbym popełnił jakiś błąd? - zapytał leutnant zatroskany.

- Ależ skąd, co panu przychodzi do głowy?! - zawołała hrabina Oldenburg niemal porywczo. Niezdarne starania Konstantina zaczynały ją peszyć. Pragnęła jak najszybciej wyszukać akta, o których mówił kapitan.

Leutnant zaczął przeglądać wręczone mu dowody rzeczowe, początkowo z wahaniem, ale w końcu posłusznie. Nie mógł uwierzyć w to, co tam przeczytał. Oto żołnierz w schronie przeciwlotniczym wygłaszał „defetystyczne frazesy” - „ten zasrany Göring ze swymi opasłymi obietnicami”, powiedział. Za to kara śmierci. Inny, przypuszczalnie nieświadomie, nasikał przed godłem państwowym. Kara śmierci. Trzeci żołnierz został przyłapany na tym, że „plądrował” w zbombardowanym domu. Jego łup: trzy butelki wódki, pięć puszek konserw, kołdra. I znów: kara śmierci.

- Jakie to wszystko wstrętne.

- Oczywiście, ze wszech miar wstrętne - powiedziała hrabina. Stała wyczekująco przy oknie i patrzyła na Bendlerstrasse. Reakcja leutnanta na tę lekturę zdawała się ją niepokoić. - Czy to wszystko, co pan ma na ten temat do powiedzenia?

Konstantin popatrzył na nią. W jego oczach migotało prawdziwe oburzenie.

- Jako żołnierz czuję wstręt do czegoś takiego. Nie mam najmniejszego zrozumienia dla takich typów. Mogę to tylko nazwać zdradą führera i naszych poległych kolegów. Nie za to przecież nastawiamy głowy na froncie.

W tym wypadku chodziło o nader przystojną głowę, hrabina musiała to przyznać. I ze zdumieniem przyjęła naturalność, z jaką te słowa, pełne przekonania, zostały wypowiedziane. Trudno sobie wyobrazić, że ci dwaj oficerowie są braćmi. Ale w tych Niemczech nie było rzeczy niemożliwych.

- Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że nie każdy posiada pańskie przekonania i pańskie cechy charakteru. Może wówczas pana ocena będzie inna.

Hrabiną Oldenburg-Quentin wyjrzała przez otwarte okno na ulicę i oczom jej ukazał się następujący widok: zakurzony chodnik, zwały

gruzów, bladoniebieski horyzont, na którym sterczały w górę resztki domów. A potem ujrzała motocyklistę, pędził niczym wyścigowiec. Czarnoszare auto z przenikliwie skowyczącym silnikiem jechało za nim, zdawało się go ścigać.

Mężczyzna na motocyklu szarpnął kierownicę i skręcił śmiało do wjazdu. Samochód za nim zahamował z piskiem. Oldenburg wzięła słuchawkę i wyraźnie poruszona kazała się połączyć z pułkownikiem Mertzem von Quinheimem.

Natychmiast się zgłosił, jak zwykle spokojnym tonem. Hrabina poinformowała go: właśnie przybył kapral Lehmann. Chyba ściga go gestapo. Trzeba go natychmiast izolować.

- Niech pani to zleci pierwszemu napotkanemu oficerowi - zarządził pułkownik, wahając się zaledwie ułamek sekundy. - Kapitan von Brackwede jest chwilowo nieosiągalny, przebywa u Stauffenberga. Sam zajmę się tą sprawą.

Kapral Lehmann, Karzeł, zatrzymał się ciężko dysząc w drzwiach wartowni. Starał się przy tym uśmiechać do sturmbannführera Maiera.

Maier powiedział:

- Ale to było tempo. Z pewnością pańska chłodnica się gotuje.  
- Twarz Maiera, podobna do gęby oberżysty, lśniła jakby opromieniona jutrzeńką. Jego głos brzmiał zachęcająco dźwięcznie, kiedy zwracał się do kaprała Lehmana. - Muszę z panem porozmawiać.

- To znaczy chce pan mnie zgarnąć. - Karzeł wykonał szeroki gest odmowy. Ale chyba nie tu? A może ma pan zamiar wdrzeć się na teren Wehrmachtu? Czyżbyśmy zaszli już tak daleko?

- Muszę pana prosić, aby pan poszedł ze mną - zażądał Maier, teraz już energicznym tonem. Jego towarzysz Voglbronner próbował szepnąć mu coś ostrzegawczego, ale sturmbannführer odpędził go z powrotem do samochodu.

Jednakże kroki Maiera stały się teraz jakby krótsze i szedł ku wyjściu z wahaniem, wreszcie przystanął.. Feldfelbel, który pełnił tu rolę portiera, podszedł, kołyszając się, i stanął obok Karła. A ten dalej się uśmiechał.

Teraz pojawił się, niemal biegiem, oberleutnant Herbert, „pierwszy napotkany oficer”, zgodnie z rozkazem pułkownika Mertza von Quinheima. Ów Herbert miał okrągłe pocziwe oblicze. Z trudem przybrał uprzejmy, uśmiechnięty wyraz twarzy i pozdrowił Maiera poprawnie po wojskowemu.

Sturmbanführer odpowiedział na to pozdrowienie, wyrzucając z rozmachem prawą rękę aż do poziomu oczu. Następnie wypowiedział swoje żądanie: pragniemy pilnie porozmawiać z kapralem. Na dworcu Friedrichstrasse otrzymał jakieś pismo od nieznanego osobnika; poznanie treści tego pisma może być koniecznością państwową.

Kapral roześmiał się wyzywająco.

- Pisma, które znajdują się w tym gmachu, nie obchodzą gestapo - powiedział. - Poza tym chodzi tu o sprawę czysto prywatną, to coś w rodzaju listu miłosnego. I czy pan wierzy, w to, czy nie, ale ma pan przed sobą dzentelmena.

Oberleutnant próbował nadzwyczaj uprzejmie załagodzić sytuację. Powiedział:

- Biuro dowódcy armii rezerwowej nie ma oczywiście nic do ukrycia. Poza tym wysoko ceni pracę Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i jest oczywiście gotowe go wspomagać. Jednakże nie należy lekceważyć pewnych zasad, jak na przykład tego, niewątpliwie bezsensownego, rozgraniczenia zakresu działania. Ale skoro kapral sam przyznaje, że ma przy sobie prywatny list, byłoby wskazane rzucić na niego okiem, choćby po to, aby obalić wszelkie możliwe podejrzenia.

~ To niesłychane! - krzyknął oburzony kapral do oberlejtanta Herberta. - W jakim świetle chce mnie pan postawić?

Pocziwa twarz Herberta poblądła. Powiedział słabym głosem.

- Człowieku, pan sobie za wiele pozwala! Chyba pan nie jest przy zdrowych zmysłach!

- Widzi pan, jakie to ziółko - wtrącił Maier podjudzające. - To szczywany lis.

- Kapralu Lehmann - rozkazał oberleutnant Herbert, teraz już zdecydowany. - Zostanie pan natychmiast...

- Nic mi pan nie zrobi! - zawołał Karzeł wcale nie zmieszany. Mógł sobie na to pozwolić, albowiem spostrzegł pułkownika Mertza von Quirnheima, który na pozór opanowany zbliżał się do nich. Połyskujące szkła okularów zakrywały jego ironicznie spoglądające oczy.

Pułkownik kazał się poinformować o tym, co zaszło. Wysłuchał każdego po kolei, niemal bez słowa. Potem oznajmił:

- Ten przypadek zostanie zbadany, i to z największą dokładnością. Czy mogę pana prosić, panie sturmbannführerze, aby pan zechciał pójść ze mną do mojego biura? Będzie pan tam mógł porozmawiać z kompetentnym oficerem.

- Czy to będzie kapitan von Brackwede?

Zgadł pan, sturmbannführerze. - Pułkownik Mertz von Quirnheim zdawał się uśmiechać uprzejmie. - Chyba nie mogłem panu zaoferować lepszego partnera do rozmowy, prawda?



- Jest pan taki zamyślony, pułkowniku - powiedział generał Olbricht zatroskany. - 'Najwidoczniej coś się panu nie podoba. O co chodzi?'

Stauffenberg położył lewą dłoń z trzema palcami na spisie, który przed nim leżał. Po chwili wahania odezwał się:

- Powinniśmy jeszcze raz przejrzeć dokładnie wszystkie materiały dotyczące dnia X. Niektóre z nich wydają mi się już przestarzałe.

- Tak jak ten spis? - zapytał Olbricht niemal zmieszany. W załącznikach do sprawy znajdowały się nazwiska przyszłych członków rządu. - Czy chciałby pan coś zmienić? Friedrich

Olbricht był wytwornie wyglądającym mężczyzną średniego wzrostu, uchodził za pięknego generała". Kiedy ironizował, jego głos nabierał lekko saksońskiego akcentu, ale to zdarzało się ostatnio bardzo rzadko. Również jego osławiona świeżość „zawsze w pogotowiu" mocno przygasła. Od maja 1940 był szefem biura armii rezerwowej - jednego z trzech głównych działów na Bendlerstrasse - i od tej pory znajdował się w centrum wojskowego ruchu oporu.

- Dopóki nie pojawił się pułkownik Stauffenberg.

- Wyobrażam sobie, że nasze spisy, także lista rządowa, nie są idealnym rozwiązaniem. Jednak nastąpiły już pewne wiążące ustalenia między poszczególnymi grupami.,

Ale to było dawno temu - wtrącił Stauffenberg.

- Być może, tylko że teraz jest już za późno, aby wprowadzać istotne zmiany.

- Za późno będzie dopiero wówczas, kiedy nastąpi wybuch.

Generał piechoty Friedrich Olbricht gotów był mieć wzgląd na tego znacznie młodszego oficera gotów był nawet podporządkować mu się w decydującej godzinie. Jednakże teraz zaniepokoił się, kiedy zobaczył, na które nazwisko na liście rządowej wskazał Stauffenberg swymi trzema palcami - na Carla Friedricha Goerdelera; w fazie udanego zamachu na Hitlera miał on zostać kanclerzem Rzeszy!

Wiem - powiedział pułkownik von Stauffenberg z lekkim zniecierpliwieniem - że pan zna dość dobrze pana von Goerdelera, już od roku. trzydziestego trzeciego, o ile jestem dobrze poinformowany,

- Brackwede należycie pana poinformował - powiedział Olbricht z wyrozumiałym uśmiechem. - Byłem wówczas szefem sztabu czwar-

tego korpusu, okręg Drezno i Lipsk, a więc tam, gdzie pan Goerdeler był nadburmistrzem.

- Myślę, panie generale, że my wszyscy nie zapominamy łatwo niektórych spotkań z przeszłości, i tak jest dobrze. Znaczna część ruchu oporu byłaby bez tego nie do pomyślenia. Trzeba by być kapitanem von Brackwede i mieć jego poczucie realizmu, aby odrzucić całkowicie balast sentymentalnych być może wspomnień

Olbricht roześmiał się.

- Czyżby ten wyrafinowany sceptyk sądził, że również u pana odkrył słaby punkt?

- Tak istotnie sądzi, a ja obawiam się nawet, że być może ma rację. - Stauffenberg popatrzył zamyślony na swoje spisy. - Brackwede uważa powierzenie stanowiska dowódcy armii rezerwowej generałowi Erichowi Hoepnerowi za moją sentymentalną słabość. Odkrył mianowicie, że Hoepner był kiedyś moim dowódcą, któremu wiele zawdzięczam.

- Brackwede jest zatem przeciw obydwu?

- Próbował mi wytłumaczyć, że Goerdeler jest już zmęczony. To człowiek honoru, ale wyczerpało go pięć lat intensywnej konspiracji. Hoepner natomiast uważa kapitana von Brackwede za człowieka, który nie podoła ciężarowi odpowiedzialności.

Friedrich Olbricht potrząsnął głową.

- Chciałby wsadzić Juliusa Lebera na miejsce Goerdelera, prawda? Nie na darmo nazywają go czerwonym hrabią, chce ciężar nowego rządu przesunąć w kierunku socjalizmu. Ale taka próba mogłaby wywołać znaczny niepokój wśród naszych przyjaciół.

- Nie możemy sobie dłużej pozwalać na dyskusje, nie mamy na to czasu. Musimy się skoncentrować na realnych faktach. Musimy chwycić każdą nadarzającą się sposobność. Najlepszy w tej chwili musi zająć najważniejsze miejsce. Jeśli Julius Leber wydaje się być najlepszym kanclerzem Rzeszy, zostanie nim.

- Sturmbannführer Maier może poczekać - powiedział kapitan von Brackwede i wyciągnął nogi przed siebie. - Niech się dusi spokojnie we własnym sosie.

- Nie rozumiem tego - Konstantin był szczerze zdziwiony. Siadł spokojnie w gabinecie brata i przysłuchiwał się jego uwagom z rosnącym zdumieniem. - Myślałem, że jesteś zaprzyjaźniony ze sturmbannführerem?

- Zaprzyjaźniony to nie jest dobre określenie naszych stosunków.

Hrabina Oldenburg, choć jeszcze młoda, miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, nauczyła się od kapitana Brackwede panowania nad sobą. Już tylko od czasu do czasu przychodziło jej to z trudem, tak jak teraz. Leutnant spoglądał na nią z tkliwością.

Kapitan von Brackwede rozparł się w fotelu przy biurku i przyglądał się niemal z nabożeństwem czubkom palców. Odczuwał pewien smutek na widok zaniedbanych nieco paznokci.

- Moi drodzy, nie nie przeczuwający przyjaciele - powiedział z rozwągą. - Naiwność jest cechą godną miłości, można się o tym przekonać czytając Schillera. Ale nie znał naszego jedyne go w swoim rodzaju führera. Albowiem ten nasz świat nie składa się tylko z przyjaciół i wrogów. Również Wśród rzekomych przyjaciół mogą się zdarzyć śmiertelni wrogowie.

- Możliwe - powiedział leutnant. - To tak jak istnieją rzekomi koledzy, którzy potem okazują się zdrajcami ojczyzny.

Kapitan skinął głową.

- Nie można przy tym wprawdzie wykluczyć, że ci zdrajcy w rzeczywistości są prawdziwymi przyjaciółmi.

Hrabina opuściła głowę, jej jedwabiste włosy lekko lśniły. Subtelna linia karku prowokowała do przyjemnych myśli. Konstantin patrzył na nią z zachwytem, zdawał się nie słyszeć ostatniej uwagi brata.

- Chętnie zezwoliłbym ci na oglądanie bez przeszkód mojej współpracownicy, jak długo byś chciał, ale przypadkiem naprawdę tu pracujemy. - Kapitan uśmiechnął się niezbyt łagodnie. - Inna naiwna myśl mogłaby brzmieć tak: tylko nieliczni wyglądają na takich, jakimi w istocie są.

Do tej demonstracji został użyty kapral Lehmann, specjalista od materiałów wybuchowych, kierowca wyścigowy i zaufana „skrzynka” sprzyśnięzonych. Zjawił się przyjaźnie uśmiechnięty, skinął głową obecnym, poruszał się po pokoju, jakby należał do niego, usiadł i spokojnie założył nogę na nogę.

- No, gdzie jest ten list miłosny, który tak rozwścieczył gestapo? - zapytał kapitan.

Kapral wyciągnął złożoną na pół kartkę i podał kapitanowi. Ten położył ją przed sobą na stole, rozłożył starannie; zaczął czytać. Jego ptasia twarz rozjaśniła się, pełna uznania.

- Dlaczego właściwie ci ludzie muszą od razu tyle pisać? - zapytał Karzeł zaciekawiony. - Wystarczyłoby, gdyby powiedzieli: przyłączam się! Albo: to mi się podoba, to mi się nie podoba! Ale oni piszą i piszą, aż się kurzy!

— Generał notuje sumiennie każdą, nawet najgłupszą uwagę. A nasz

nadburmistrz! Temu papier wysypuje się z każdej kieszeni. Czy to nie zbyt ni luksus?

- Być może - przyznał kapitan. - Ale w końcu takich czynności nie można zabronić, ja w każdym razie tego nie mogę. Pracuję z myślą o jednym, określonym dniu. Generał natomiast, tak jak nasz nadburmistrz, należą do tych, którzy myślą dla potomności.

- Pięknie! Ale jeśli tą potomnością jest gestapo, co wówczas?

Kapitan roześmiał się krótko, ale jego oczy patrzyły przy tym śmiertelnie poważnie. Twarz leutnanta natomiast była blada i pusta, nawet nie starał się zrozumieć, o co chodzi. Patrzył na hrabinę, jakby szukając pomocy: Elisabeth Oldenburg rozchyliła nieco usta, wyglądała na zmieszaną.

- Po tym wyścigu z gestapo, na jaki sobie pan dzisiaj pozwolił, musi pan jak najszybciej zniknąć. - Kapitan powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- To oznacza zapewne - zauważył kapral rzeczowo - że tymczasem idę w odstawkę.

- Wprost przeciwnie, pan jest jeszcze pilnie potrzebny. Zostanie pan tylko przejściowo odsunięty, ale skierujemy pana pod najlepszy adres, jaki tylko można sobie wyobrazić.

- Tylko nie to! - bronił się Lehmann przerażony. - Chyba nie zechce mnie pan przydzielić do klubu strzelców wyborowych generała Tresckwowa? Jak pan wie, wolałbym coś przyjemniejszego.

- Wiem o tym, mój drogi, i dlatego wyślę pana do Paryża.

- W porządku! - zawołał kapral uradowany. Zacierał ręce. - To jest scena w moim guście, poharcuję sobie na niej, aż będzie o mnie głośno. A na kimś, kto jest tylko bratem, na pewno już nie będę polegał.

- Przybywam z frontu wschodniego - powiedział oficer. - Otrzymałem od generała Tresckowa rozkaz, aby złożyć sprawozdanie generałowi Beckowi. To on przysłał mnie do pana.

Oficer, oberleutnant, nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat, ale miał już głębokie zmarszczki w kącikach ust; jego czoło było gładkie; oczy miały wyraz starego człowieka.

- Widziałem to - powiedział.

Zapalił papierosa, którym go poczęstowano, ręce mu przy tym drżały; zacisnął je. Jego głos brzmiał pewnie i poważnie. Widać było, że nieraz już o tym opowiadał.

- Czy generał Beck wyjaśnił bliżej, dlaczego miał pan do nas przyjść? - zapytał Leber.

- Abym opowiedział to, co widziałem.

Oficer nazwiskiem Bahr siedział w kantorku składu węgla Lebera. Wokół niego na skrzyniach, workach i krzeselkach siedziało kilkanaście osób, wypróbowani przyjaciele Lebera: wśród nich Wilhelm Leuschner; dawniej minister spraw wewnętrznych Hesji, obecnie właściciel niewielkiej fabryki kranów do beczek na piwo. Obok inni: dawny przywódca związków zawodowych, poseł do Reichstagu z ramienia SPD i dwaj duchowni spiskowcy. Annedore, żona Lebera, troszczyła się o nich serdecznie.

- Są zabijani - opowiadał oficer - w komorach gazowych i mordowani w piecach krematoryjnych. Odbywa się to taśmowo. Liczbę dotychczasowych ofiar ocenia się na prawie cztery miliony.

Proste drewniane. ściany baraku, otaczały zebranych jak nocne cienie. Światło jedynej przyciemnionej lampy ledwie sięgało blade połyskujących twarzy. Wszyscy oddychali trudem, jak pod przgniatającym ciężarem.

- Codziennie - ciągnął oficer - umierają tysiące ludzi w jednej tylko miejscowości, która nazywa się Oświęcim. Poza tym straty na froncie rosną coraz bardziej! Generał von Tresckow jest zdania, że Rosjanie za kilka tygodni mogą dotrzeć do granicy niemieckiej, jeszcze parę miesięcy i staną pod Berlinem. O tym miałem państwa poinformować.

Oberleutnant Bahr usiadł. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Próbował znaleźć najprostsze słowa na wyrażenie tych okropności, które się wydarzyły. Otaczało go ciężkie milczenie. Nikt nie miał chyba odwagi skomentować tych informacji.

- Tysiące ludzi każdego dnia - powiedziała wstrząśnięta Annedore do swego męża.

A każdy następny dzień pochłapia dalsze tysiące istnień ludzkich - powiedział Julius Leber i popatrzył na swoje ręce, które złożył jak do modlitwy; - To właśnie chciał nam generał Beck wyjaśnić przy pomocy tego oficera.

- A jaki miał w tym cel?

- Chciał uzyskać moją zgodę na czyn Stauffenberga! I otrzyma. ją. Trzeba, z tym skończyć, z tymi okrutnymi morderstwami.

- No i co? - zapytał kapitan von Brackwede swego brata, kiedy kapral Lehmann wyszedł promieniejąc radością. - Czy oczekujesz ode mnie jakiegoś wyjaśnienia?

- Nie - powiedział Konstantin.

- Dlaczego nie?

- Bo nie uważam tego za konieczne, Fritz.

Bracia spojrzeli na siebie. Nieco, blada twarz Konstantina promieniała teraz bezgranicznym zaufaniem; starszy brat zarejestrował to nie bez wzruszenia. Hrabina Ołdenburg-Quentin uśmiechnęła się z ulgą. Powiedziała:

- Tu, na tym posterunku, często zajmujemy, się najdziwniejszymi i najbardziej niezwykłymi sprawami. Nasze biuro jest niekiedy nazywane wysypiskiem śmieci. Niech pan się nie irytuję rzeczami, które z trudem tylko można pojąć.

- Wezwać sturmbannführera Maiera! - zawołał kapitan prawie niechętnie. Kiedy zauważył, że leutnant zamierza wstać, powiedział:

- Zostań i posłuchaj! Niewykluczone, że coś z tego trafi ci do głowy.

Wkrótce potem Maier wpadł z rozpędem do pokoju. W biegu załatwił niezbędne formalności: uścisk dłoni z kapitanem von Brackwede, lekki ukłon w stronę hrabiny, uprzejme kiwnięcie głową leutnantowi. Po chwili siedział w tym samym fotelu, który przedtem zajmował kapral Lehmann. Zapytał niezwłocznie:

- No, jak tam bitwa? Dostanę wreszcie tego gagatka?

- Jak pan to sobie właściwie wyobraża? - zapytał von Brackwede, siląc się na uprzejmość. - Jeśli nawet człowiek, o którym mówicie, dopuścił się wykroczenia, to podlega on wyłącznie sądownictwu wojskowemu, a nie gestapo.

- Mój drogi - powiedział Maier - nie oszukujmy się. Możliwe są, jak pan wie, pewne manipulacje...

- Niestety, mój drogi, nie u mnie!. Postawiono mnie tu, abym bronił naszych szczególnych interesów. Niekiedy nawet muszę działać wbrew własnym przekonaniom.

- A więc dalej, niech pan wreszcie wyjawi całą swoją prawdę!

- Głos Maiera brzmiał oskarżająco gorzko, jego twarz pozostawała jak zwykle nieporuszona. - O co tym razem chodzi?

Kapitan wzruszył ramionami jakby z ubolewaniem. Skoncentrował się teraz wyłącznie na sturmbannführerze. Zdawał się nie dostrzegać hrabiny, napiętej do granic wytrzymałości, ani brata zdrętwiałego ze zdumienia.

Doręczony przez Lehmana list leżał jeszcze na jego biurku. Nie ukrył go, byłaby to głupota. Maier natychmiast by to zauważył.

Spojrzenie kapitana prześliznęło się szybko dalej, Powiedział: — Kapral, którego ścigacie, był przesłuchiwany. Ale nic przy nim nie znaleziono prócz czegoś w rodzaju listu miłego Maier sapął z oburzenia.

- Wobec tego ten wyrafinowany chłopak sprytnie się wyłgał. Można się było tego po nim spodziewać, To przebiegła świnia. Ale mnie nic nie obchodzi, chcę go mieć!

- Niestety -- oznajmił kapitan von Brackwede głosem brzmiącym wiarygodnie nie mogę go dostarczyć. Albowiem tego kaprała nie ma już w naszym biurze. Został przeniesiony, chwilowo nie wiem jeszcze gdzie.

- Człowieku, toż to skandal! Więc pan, o ile dobrze zrozumiałem nie rozporządza już tą świnią?

-. Dobrze mnie pan rozumiał, jak zwykle.

Maier zerwał się z miejsca, fotel, na którym siedział, runął za nim z hukiem na podłogę. Gestapowiec nawet tego nie zauważył; nikt inny również. Hrabina była bardzo zdenerwowana, Jej śniada skóra zabarwiła się wskutek tego na różowo, co Konstantin zarejestrował z zachwytem. Kapitan siedział jak skamieniały.

- To wykrztusił Maier— chyba nie jest pańskie ostatnie słowo w naszych stosunkach!

-One się dopiero teraz na dobre zaczynając stwierdził kapitan hrabia von Brackwede. - I będą się rozwijały ku naszej obopólnej korzyści, jeśli nie będziemy drobiazgowi. Ale akurat tego żaden; z nas nie spodziewa się po drugim.

## 2

### Mężczyźni, którzy zaczynają liczyć

- Dowódcy się przyłączą - twierdzi generał Henning Von Tresckow z całą pewnością - ale pod jednym warunkiem: zamach musi się udać.

- To znaczy - skonstatował pułkownik Stauffenberg z lekką ironią - że pozostawiają nam nie tylko czarną robotę, ale również całą odpowiedzialność. Sami złożą jedynie nową przysięgę na nowy rząd.

- Nie powinniśmy, myślę, zbyt wiele wymagać od niektórych panów. - Generał Olbricht był jak zwykle za zręcznym kompromisem.

- Bądź co bądź, to obiecujące, że są dowódcy, którzy odnoszą się przychylnie do naszych wysiłków.

- Nie tylko to - oświadczył von Tresckow z przekonaniem.

- Feldmarszałek von Kluge z pewnością się przyłączy, sam mi to powiedział.

Generał Henning von Tresckow, szef sztabu Grupy armii „Środek”, przyleciał z frontu wschodniego. Zaalarmowała go decyzja Stauffenberga. Zamierzał teraz, choćby tylko przez kilka godzin, pomóc przyjaciołom, umocnić ich w postanowieniach, powiadomić o swoim zaufaniu.

W ów jasny letni dzień na Bendlerstrasse siedzieli obok siebie trzej kompetentni ludzie z żołnierskiego ruchu oporu: Olbricht - pianista, von Tresckow - zapaleniec, i Stauffenberg - z trudem poskramiana energia. To ci trzej, wspierani przez Mertza von Quirnheima, wspólnie pracując z wytężeniem dniem i nocą, sporządzili plan zwany „Walkirią”; plan ten miał w dniu X umożliwić i doprowadzić do końca akcję w sztabie generalnym,

- Często i długo rozmawiałem z feldmarszałkiem von Kluge



- oznajmił von Tresckow; a to, co opowiedział, było przeznaczone dla Stauffenberga. - Odnosiliśmy się do siebie z całą otwartością. Powiedziałem mu: Hitler musi zostać zabity. I dalej: będę próbował sam to uczynić wraz z moimi przyjaciółmi. A on wykrzyknął z całą spontanicznością i przekonaniem: Macie i mnie!

- I jak długo - zapytał Stauffenberg sceptycznie - pan go miał?

- Von Kluge - przyznał von Tresckow - z pewnością nie jest człowiekiem, który angażuje" się bez wahania. Ale gardzi Hitlerem, brzydzi się jego metodami, dlatego nie zawaha się, jeśli już do tego dojdzie.

- Ja też tak sądzę - zapewnił Olbricht sugestywnie. - Kluge wie dobrze, że ta wojna jest przegrana. To. umocni z pewnością jego decyzję. Wielu myśli tak jak on i zgodnie z, tym będzie działać. Poza tym nie możemy zapomnieć, że również generałowie tacy jak von Brauchitsch już w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym niespodziewanie, zdecydowani byli, za wszelką cenę, a więc wbrew Hitlerowi, zakończyć rozpoczętą wojnę.

Pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg siedział uśmiechnięty. Niemal mechanicznym ruchem dotykał czarnej opaski, która zakrywała mu oko.

- Wiem, Brauchitsch poszedł wówczas, przypuszczalnie zdecydowany, do swojego wodza. Został jednak zbesztany i postraszony; ponadto, jak sam przyznał, pozostawał pod silnym wrażeniem führera.

- Mimo to jego stanowisko nie zmieniło się,- twierdził von Tresckow. - Jedyńie zrezygnował. Ale to uczynili także inni. Dopiero przed kilkoma miesiącami ponownie z nim rozmawiałem, a także z Mannsteinem. Obaj wysłuchali moich argumentów i obaj zdawali się być wielce zainteresowani.

- Tylko że nie mają zamiaru nic robić - Stauffenberg nie chciał się dać ponieść optymizmowi. Pragnął wiedzieć, jak się rzeczy mają naprawdę, a nie jak by się mogły ewentualnie mieć.

- Ale żaden z nich nie wyrazi sprzeciwu, jeśli my to zrobimy - powiedział Olbricht.

- Najważniejsze, żeby się udało. - Von Tresckow skinął głową pułkownikowi. — Potem lawina runie i zasypie całą tę brunatną bandę. Gwarantuję! Najważniejsze, aby się dostać do Hitlera, a to się uda Stauffenbergowi. Następnie ważne jest, kto zbuduje bombę, ale kapral Lehmann, człowiek z mojej szkoły, jest najlepszym specjalistą od tych spraw.

- Musi się udać nawet bez Lehmana - powiedział Olbricht; starał się nie dopuścić do zbędnego odwlekania. -. Mamy do dyspozy-

cji wielu specjalistów od materiałów wybuchowych. Lehmann został z konieczności przeniesiony do Paryża. Gestapo zaczęło się nim interesować.

- Kto podjął tę ważką decyzję? - zapytał von Tresckow. - Nie podoba mi się to.

- Mój przyjaciel kapitan von Brackwede jest za to odpowiedzialny - wyjaśnił pułkownik. - Muszę przyznać, że i ja zastanawiałem się nad tym, czy owa decyzja nie była podyktowana łączącą nas przyjaźnią. Mówiąc jaśniej: nie mogę całkowicie wykluczyć faktu, że być może Fritz próbuje mi przeszkodzić w dokonaniu tego zamachu.

- On jest bardzo uparty - zauważył generał Olbricht z wahaniem. Von Tresckow patrzył zamyślony.

- Jestem przekonany, że może zmierzyć się nawet z diabłem. Ale przyznaję: przyjaźń chadza własnymi drogami, a te nie zawsze są dostępne dla ludzi z boku.

- Nigdy nie próbowałam mieszać się do pańskich spraw - powiedziała hrabina Oldenburg-Quentin. - Zawsze starałam się respektować pana prywatne życie, musi pan przyznać.

- Chętnie, jeśli, pani na tym zależy. - Kapitan von Brackwede obserwował swoją współpracownicę, zachowującą zazwyczaj dystans, niemal z napiętym zainteresowaniem. - Cóż panią ostatnio niepokoi?

- Bezwzględność, z jaką pan próbuje wciągnąć brata w swój świat.

Siedzieli naprzeciw siebie przy niewielkim stoliku w kasynie na Bendlerstrasse; tu również wisiał, na ścianie nieunikniony Hitler. Wielka reprezentacyjna sala jadalna, która kiedyś jednoczyła cały korpus w niemal odświętnych ramach, już od dawna nie istniała. Jednak tylko niewielu oficerów z Bendlerstrasse było tym zasmuconych: Zdezintegrowana społeczność pozbawiona była najprymitywniejszych więzi.

- Między panią i mną istnieje coś w rodzaju zasadniczej umowy. Pani segreguje u mnie dokumenty, ale nie wie pani, co w nich napisano. Redaguje pani dla mnie pisma, ale nie wie pani, co one znaczą. Przyjmuje pani telefony, ale nie pamięta pani nazwisk, dat i faktów.

- Rozumiem, pan chce mnie zabezpieczyć. To nie tylko panujący tu powszechnie zwyczaj, pan osobiście przywiązuje do tego szczególną wagę. Ale pan wie, że nie mogę całkowicie wyłączyć rozumu. Oczywiście większość tego, co mi pan powierza, od razu zapominam. Ale wobec tego, co pan robi ze swoim bratem, nie mogę pozostać obojętna.

- To wspaniale dla niego! - Kapitan von Brackwede rozejrzał się dokoła. Ale nikt Ich nie słyszał. Tylko niektóre stoliki były zajęte. Siedzący przy nich oficerowie wpychali w siebie obojętnie monotonne jedzenie, w milczeniu żuli włókniste mięso.

- Pani wie hrabino, że czuję się mato zdolny do okazywania miłosierdzia, ale doceniam ludzi, którzy to potrafią. A mojemu bratu zezwalam, jeśli pani zechce, aby tego zaznał. Czy pani się zgadza?

Hrabinie Oldenburg oszczędzona została odpowiedź, albowiem przysiadł się do ich stolika pułkownik Mertz von Quirnheim, zapytawszy przedtem uprzejmie o pozwolenie. Nie można mu było odmówić. Uśmiechając się niemal z zakłopotaniem poprawił okulary. Jego łysina lśniła jasno.

Najpierw był komplement pod adresem hrabiny. Następnie uwaga skierowana do hrabiego von Brackwede; dręczy go mianowicie pewien niepokój; ten gestapowiec Maier nie jest chyba bezpiecznym typem.

Kapitan potwierdził słuszność tego przypuszczenia. I dodał:

- Ale właśnie to niezwykle ułatwia sprawę. Maier jest nadzwyczaj przebiegłym chłopcem. Dlatego też można się po nim niesłychanie wiele spodziewać..

Pułkownik nie okazywał poruszenia, nabierał łyżką zupę, którą postawił przed nim ordynans. Kleista wodzianka z paroma ziarnkami ryżu w środku. Mertz von Quirnheim jadł niemal skupiony, Mówił jednak przy tym - jakby od niechcienia - dalej.

- Gestapo to Himmler, a Himmler spodziewa się, jak wiadomo, stanowiska dowódcy armii rezerwowej. Wykorzysta więc każdą okazję, aby naszemu generałowi, a więc i nam, przysporzyć kłopotów. A ten Maier wydaje mi się najwłaściwszym człowiekiem, który reischsführerowi SS mógłby dostarczyć wygodnego pretekstu do zagnieżdżenia się na Bandlerstrasse.

- Mógłby, ale tego z pewnością nie zrobi. - Brackwede podniósł głowę, jakby na coś czekał. - Być gestapowcem to nie jest w końcu dla ludzi normalny stan, wyjąwszy głupców, sadystów, pewnego rodzaju radykalnych polityków i intrygantów. Maierowi można wiele przypisać, ale głupi z pewnością nie jest. I tylko dlatego wszedłem z nim w pewnego rodzaju układ. Właśnie organizujemy spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością do handlu bydłem.

Mertz von Quirnheim odsunął pusty talerz, zjadł już zupę. Powiedział tylko:

-To nie jest bezpieczna gra. - Mrugał oczami zamyślony. - Co-

raz trudniej jest dokonać słusznego wyboru. Od wielu lat staramy się na Bendlerstrasse utrzymać naszą stajnię w czystości. Ale nagle pojawiają się tacy ludzie jak oberleutnant Herbert, który był już blisko tego, aby wydać Lehmana gestapo.

- On jest właśnie odpowiedni do tych czasów, zupełny idealista - stwierdził kapitan obojętnym tonem. - Uważam, że z takimi typami nie tylko musimy się liczyć należy z nich korzystać. Mogą być najlepszym parawanem, jeśli tylko się ich prawidłowo ustawi. A cóż może być bardziej przydatne w naszej sytuacji jak nie kilku silnych ludzi, na pierwszym planie powiewających sztandarami i zasłaniających widok?

Mertz von Quirnheim przymknął nieco powieki, otaczała je delikatna siateczka zmarszczek: pułkownik zdawał się być w dobrym nastroju. Potem podniósł się energicznym ruchem. Załatwi tylko krótki telefon. Za kilka minut będzie z powrotem.

Hrabina Qldenbarg-Quentin patrzyła za nim zatroskana. Kapitan wpatrywał się w poplamiony obrus na stole, jakby miał przed sobą mapę sztabową. Na jego twarzy malowało się ponure napięcie.

- Pan zdaję się naprowadził go na ryzykowny pomysł - powiedziała Elisabeth. - Czy to wszystko nie jest już i tak skomplikowane?

- Wystarczy, że jest kilka osób, które potrafią się poruszać w tej dżungli- Dla masy głupców marny jaskrawo wymalowane fasady, aby się orientowali; a obecnie panującym kolorem jest brunatny, taką taktykę maskowania powinniśmy byli już od dawna stosować.

; Pułkownik znów się zjawił; usiadł i powiedział:

- Właśnie rozmawiałem z generałem, Olbrichtem. Zgadza się z pańskim planem. Zorganizujemy natychmiast nowe biuro. Jego wyłączne zadanie polegać będzie na możliwie miłej współpracy z biurami partyjnymi wszelkiego rodzaju. Kierownikiem biura zostanie oberleutnant Herbert. To szczególne przedsięwzięcie ma podlegać generałowi Olbrichtowi. A on wyznacza pana, panie von Brackwede, swoim stałym zastępcą w tej sprawie.

- Zgoda - rzekł kapitan wyraźnie zadowolony. - A więc dostarczę piasku, którym będzie można niektórym sypać w oczy, chętnie i obficie. A jednym z pierwszych dostawców zostanie mój drogi braciszek, pod pewnym względem znakomicie się do tego nadaje.

- Nie powinniśmy niczego przeoczyć i niczego zaniedbać - polecił radca stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - Ale przecież nie da się zaprzeczyć, że pułkownik von Stauffenberg był kiedyś zagorzałym narodowym socjalistą.

- Wcale nie był! - bojowym tonem wykrzyknął Eugen G., zwany doktorem. - Tego rodzaju twierdzenie graniczy niemal z oszczerstwem. Jaki pan ma w tym cel?

Radca stanu popatrzył z wyrzutem na pełnego temperamentu profesora filozofu. Jego głos brzmiał łagodnie a zarazem karcąco:

- Staram się tylko wyjaśnić ewentualne nieporozumienia. A skoro ostatnio w. naszych kręgach wyraża się mniej lub bardziej jawne wątpliwości przeciwko panu Goerdelerowi, ważne jest, aby poznać tło, które mogłoby tu odgrywać rolę.

- A więc dobrze! - wykrzyknął doktor napastliwym tonem.  
- Lepiej powiem od razu: byłem kiedyś przywódcą jungvolku!

Hrabia von Moltke, gospodarz domu, wysoki mężczyzna o eleganckich ruchach, roześmiał się serdecznie. Jego pojednawcza wesołość odsunęła na bok napływające czarne myśli. Tego rodzaju rozważaniom nie chciał używać miejsca w swoim otoczeniu. Skierował uwagę gości na wino, które udało mu się załatwić: Kitzinger Mainleite, rocznik 1933. Wydawało się, że pół tuzina spiskowców skierowało chwilowo uwagę w inną stronę, również Eugen G.

Gospodarz miał dopiero trzydzieści pięć lat, ale należał do pozytywnych sił ruchu oporu. Leber stawiał go na równi z Beckiem, Goerdeler mu ufał i nawet grupy komunistyczne wyrażały się o nim z uznaniem. Do jego przyjaciół należeli: Stauffenberg, Brackwede i doktor G.

- Czy są panu znane zajścia w Bambergu trzydziestego stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego? - zapytał radca. Wydawało się, że pragnie pośrednio wzmocnić pozycję Goerdelera, von Moltke od razu to zrozumiał.

Doktor odpowiedział natychmiast:

- Czy znam! Leutnant reichswehry ciągnął ulicami wraz z rozentuzjasmowanym ludem. Był to Stauffenberg. A Brackwede był zastępcą prezydenta policji w Berlinie. Goerdeler zaś piastował Urząd komisarza cen i sporządzał tajne raporty ze swoich zagranicznych podróży dla Hitlera i Göringa.

I tak dalej - wtrącił hrabia von Moltke; starał się być wesoły.  
- Beck również nie był początkowo przeciwny. Profesor Popitz przytakiwał mniej lub więcej nowemu państwu, a profesor Haushofer dostarczył mu nawet paru teorii, wszyscy oni jednak należą do nas. Całkowicie! I myślę nawet, że ich odejście jest chyba bardziej ugruntowane niż nasze. My, tak jak wielu innych, byliśmy przeciwnikami

nazizmu od początku z uwagi na nasze pochodzenie, wychowanie i nastawienie polityczne. A także ze względu na wiarę. Oni natomiast musieli się dopiero przebijać do tej decyzji, niektórzy musieli przewyciężyć samych siebie. Zmianę ich przekonań poprzedzał ostry konflikt sumienia.

- Znane są trzy sentencje Clausa von Stauffenberga, które go doskonale charakteryzują - powiedział doktor G. dobitnie. - Trudno sobie wyobrazić bardziej celne sformułowania. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym powiedział: Głupi robi wojnę! W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym: Jeszcze za bardzo zwycięża! A w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim jego komentarz składał się z jednego słowa: Zabić!

Oberleutnant Herbert - na imię miał również Herbert - był przekonany, że teraz należy już do elity narodu. Wydawało się, że zaświeciła nad nim szczęśliwa gwiazda przychyłności. Został mianowany kierownikiem działu,- otrzymał własny gabinet i cieszył się widocznym zainteresowaniem kapitana Brackwede.

- Wiążemy z panem duże nadzieje - stwierdził kapitan. - I jesteśmy przekonani, że pan nas nie zawiedzie.

- Nie będę szczędził sił - zapewnił oberleutnant. - Oto nareszcie zadanie dla mnie.

- Nie chcielibyśmy tego przeceniać - powiedział von Brackwede, najwidoczniej w dobrym humorze. - Ale sądzimy, że pan to zadanie wykona. Z pańskim charakterem przypuszczalnie wiele da się zrobić, już ja się na tym znam. Mam mianowicie brata, myśli podobnie jak pan. Między innymi z jego powodu zaproponowałem pana na to atrakcyjne stanowisko z perspektywami. Życzyłbym sobie, aby pan udzielił leutnantowi lekcji pogłądowej na temat: co to znaczy być dobrym oficerem führera.

- Pańskie zaufanie przynosi mi zaszczyt - zapewnił Herbert uroczyście.

Podobne tony panowały jeszcze 'przez jakiś czas w tym pomieszczeniu, wypełniały je jak chmura perfum.

Bardzo zręcznie i niemal elegancko kapitan podrzucił, jak sądził, temu zapalonemu oberleutnantowi Wielkich Niemiec wielkie kukulcze jajo: oprócz pierwszych raczej rutynowych sondowań na terenie partii i podległych jej struktur szczególną uwagę należało zwrócić na sturbannführera Maiera.

Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział Herbert usłużnym tonem.

- Jestem w pewnym sensie zaprzyjaźniony ze sturmbannführerem Maierem. Jest dla mnie szczególnie ważne, zakładając oczywiście pańską zgodę, aby właśnie tu stworzyć szczególnie pełną zaufania współpracę.

- Uczynię to! - Herbert gotów był złożyć przysięgę.

Ale kapitan nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi.

- Będzie mnie pan oczywiście regularnie informował tak obszernie, jak to tylko możliwe. Wszystko inne samo przyjdzie. A zatem do roboty! Niech panu wpadnie do głowy coś dobrego!

- Na generała Oстера nie możemy niestety liczyć - oznajmił Olbricht . - Jest od dłuższego czasu śledzony. Gestapo próbuje zablokować całą abwehrę.

- Jedna kartka spowodowała tę decyzję - wyjaśnił pułkownik Stauffenberg. - Ta kartka z kilkoma nazwiskami leżała na biurku jednego z jego współpracowników. Oster próbował ją ukryć, podczas gdy funkcjonariusze gestapo przeszukiwali pomieszczenie. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę.

- Trzeba się liczyć ze wszystkimi możliwościami - stwierdził Henning von Tresckow, nie zdradzając, poruszenia - nawet z tym, że brytyjskie zapalniki nie działają. Kazałem umieścić w samochodzie Hitlera odbezpieczoną bombę, Nie wybuchła!

Narada trwała już kilka godzin. Von Tresckow był niezadowolony, jego przyjaciele również. Przytaczali argumenty, szukali kontrargumentów, dodawali sobie otuchy, wychodzili z nowymi propozycjami. Poza tym w osobie von Tresckowa pojawił się praktyk: blisko pół tuzina razy próbował uwolnić Niemcy od Hitlera.

Ośławiony „rozkaz komisarza”, rozstrzelanie na podstawie podejrzenia, wbrew prawu, to było jednoznaczne morderstwo. Odtąd każdy najbardziej okrutny czyn stawał się usankcjonowany.

Von Tresckow zawołał wówczas do „swoich przerażonych kolegów:

- Pamiętajcie o tym! Jeśli nam się nie uda doprowadzić do tego, aby te rozkazy cofnięto, to znaczy, że Niemcy utraciły swój honor. A skutki tego będą widoczne jeszcze za setki lat!

Owego dnia na Bendlerstrasse von Tresckow sprawiał wrażenie człowieka całkowicie pozbawionego złudzeń, panował nad swym temperamentem, był niemal zimny i dobitnie rzeczowy. Powiedział:

- Trzeba się zbliżyć do Hitlera, przysunąć się jak najbliżej, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. To jest decydujący warunek.

- Z tym nie ma problemu - powiedział Stauffenberg. - Ostatnio jestem dość regularnie wzywany na narady do głównej kwatery Hitlera, przeważnie z generałem Frommem.

- I oczywiście w grę wchodzi tylko bomba - mówił von Tresckow dalej.

- Przynajmniej u mnie. - Stauffenberg podniósł trzy palce lewej ręki.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił generał spokojnie. - Zamachy z użyciem pistoletu są niepewne. Tak zwane udane przykłady, jak na przykład Sarajewo, sprawiają wrażenie splotu przypadków. Oszczędźmy sobie spekulacji na ten temat.

Olbricht skinął głową z aprobatą.

- Poza tym Hitler nigdy nie jest całkowicie sam. Ma liczną obstawę, w dodatku, jak wiadomo, zdaje się potrafi wywęszyć niebezpieczeństwo. I to nie dopiero od zamachu w piwiarni w Monachium w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Wówczas w porę wyszedł; kiedy bombą wybuchła, był już bezpieczny.

- Przez jakiś czas - powiedział, von Tresckow — również ja i moi koledzy uważaliśmy, że wobec takiego człowieka należy stanąć z pistoletem. Tak, zdaje się, przystoi oficerom. Pięciu ludzi było do tego gotowych, aby wykluczyć wszelki przypadek. Ale jak mieli się dostać w pobliże Hitlera?

- W tym wypadku się zgadzamy - zapewnił Stauffenberg. - Również moim zdaniem w grę wchodzi jedynie bomba o dużej sile wybuchu. Tylko nie jest jeszcze dla mnie jasne, jak to, załatwić niepostrzeżenie i skutecznie.

- To się da zrobić - stwierdził von Tresckow pewnym głosem.

- I sądzę, że pułkownik myśli tak samo jak ja o naszym ulubionym niemieckim bagażu, o teczce. - Uśmiechnął się z ironią, ale natychmiast odezwał się poważnie: - Dla mnie ważniejsza wydaje się inna sprawa. Jak pan, panie Stauffenberg, reaguje na Hitlera?

- Co pan ma na myśli?

Olbricht wtrącił się do rozmowy.

- Mówi się powszechnie o niezwykłej sile oddziaływania Hitlera. Nawet Brauchitsch, jak się okazało, pozostawał pod jego wrażeniem, a był tylko jednym z wielu. A czy ludzie z naszej grupy w głównej kwatrze, na przykład Stieff, nie dali po sobie poznać, że fizycznie nie są w stanie w obecności tego...

Stauffenberg roześmiał się szeroko. Von Tresckow podniósł swoją



okrągłą czaszkę, jakby nasłuchując. Generał Olbricht patrzył lekko zdziwiony, choć sądził, że oduczył się już być zaskakiwanym przez tego pułkownika.

- Bez obaw - powiedział Claus von Stauffenberg. - Kiedy po raz pierwszy stanąłem naprzeciw niego, zadałem sobie jakby spontanicznie pytanie: Czy to rzeczywiście on? Wcale nie zrobił na mnie wrażenia. Czuję tylko jedno: ten człowiek jest zbędny!

Oberleutnant Herbert był zdecydowany nie zawieść swoich przełożonych, którzy okazali mu tyle życzliwości. Kapitan von Brackwede powinien być z niego zadowolony. Herbert zdawał się rozumieć, co znaczy całkowite poświęcenie się wojnie.

Już pierwszego wieczoru po mianowaniu go oficerem łącznikowym NS zmobilizował swoją aktualną narzeczoną, Molly Ziesemann, która pracowała w centrali telefonicznej na Bandlerstrasse.

- Liczę na ciebie, musisz się energicznie zabrać do dzieła, jeśli mnie kochasz.

Tak więc doszło do tak zwanej „niewielkiej miłej uroczystości”, która miała przynieść zdumiewające następstwa. Odbывała się na Ulmenstrasse, za trzecim rogiem licząc od Bandlerstrasse. Molly Ziesemann oddała do dyspozycji swoje mieszkanie i była gotowa do każdej innej ofiary.

Goście przybyli ochoczo. Byli to; sturmbannführer Maier i leutnant von Brackwede. Jeden przyszedł wprost z piwnicy na Pririz-Albrecht-Strasse, a więc z przesłuchania na gestapo, drugi z nowego miejsca pracy, szkoły lotniczej w Bernau pod Berlinem. Obaj jedli z dużym apetytem, popijali obficie i żartowali z Molly. Herbert zachęcał ich po koleżeńsku.

Po trzeciej butelce wina leutnant von Brackwede ożywił się. Zaczął wznosić hymny pochwalne na cześć swego brata, a Herbert mu wtórował. Maier słuchał uważnie.

Według ich słów kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede był wspaniałym człowiekiem i chłopem na schwał. Jeśli w ogóle istnieją jeszcze niemieccy mężczyźni, to on jest jednym z nich.

- Zawsze wysoko ceniłem mojego przyjaciela Fritza – zapewnił Maier; choć ciężko mu to przyszło. - Opowiedzcie o nim coś jeszcze, przyjaciele. Chętnie posłucham.

Maier spojrzął w górę na stiukowy sufit: był zadymiony na kolor szarobrunatny. Tapety miały rysy szerokości zapalki i plamy jak obrusy na stołach w knajpie po tygodniu używania. Deski w podłodze wybrzuszyły się niczym wilgotna bibuła.

Lepka mieszczańskość, pomyślał, rozeschła się, popękała, rozpadła. Ta wojna będzie radykalnym zwycięstwem nowego, jeśli uda się ją przetrwać.

Molly opróżniła popielniczki i napełniła kieliszki. Kręciła przy tym swoim jędrnym tyłkiem zarówno przed Maierem, jak i przed leutnantem von Brackwede. Herbert zauważył to z uczuciem dumy: coś swoim gościom zaoferował! I zdawali się to doceniać. Z przyjemnością odkorkował szóstą butelkę.

- A jak z babami, pardon, z tak zwanymi damami? - Maier prowokował leutnanta, uśmiechając się przy tym radośnie. - Każdy ma w końcu jakieś słabości, również mój przyjaciel Fritz.

- Ale nie takie. - Leutnant bronił swego brata, jednocześnie starał się trzymać Molly na dystans. - Mój brat jest człowiekiem honoru pod każdym względem.

Twarz Herberta zajaśniała.

- Muszę wziąć naszego kapitana w obronę! On na pewno nie zasypia gruszek w popiele. Nawet nasza hrabianka Mona Liza mu uległa, a to coś znaczy.

- To wierutne kłamstwo! - wykrzyknął leutnant oburzony. Zerwał się i uderzył kieliszkiem o podłogę. - Nikt nie ma prawa tak twierdzić!

- O co chodzi! - zawołał Herbert zmieszany! - Ja nie miałem nic złego na myśli. Pragnąłem tylko wyrazić moje najwyższe uznanie. Jak można było czegoś takiego nie zrozumieć, i to między kolegami!

Maier zdjął ręce z Molly. Pochylił się i napełnił do końca kieliszki. Powiedział przy tym:

- Mężczyzna jest w końcu tylko mężczyzną...

- Ale mój brat jest żonaty! - zawołał leutnant cienkim spazmatycznym głosem. W jego bladoniebieskich oczach połyskiwała pijana gwałtowność. - On kocha swoją żonę i dzieci ponad wszystko!

- Ponad wszystko? - zapytał Maier miękkim głosem i z przytkniętymi oczami.

- Raczej dałby się zabić, niż miałby zdradzić człowieka, który należy do niego.

- Jak to miło! - powiedział sturmbannführer z zadowoleniem. - Jak miło, że takie uczucia jeszcze istnieją:

- Opracowaliśmy kilka wariantów planu „Walkiria”, panie generale - powiedział Olbricht.

- Dobrze, skoro nie ma pan nic innego do roboty! - Fromm dał

do zrozumienia, że przeszkodzono mu w lekturze. Czytał właśnie o polowaniach, dzikiej zwierzynie i lesie.

- Te warianty mają na celu jeszcze bardziej umocnić siły w Berlinie, a w szczególności decyzję o zamknięciu dzielnicy -rządowej.

Mięsista twarz generała Fromma miała wyraz zagniewany. Nie lubił tego planu „Walkiria”, albowiem nie wyrósł on, jak zwykł mówić, na jego gnoju. Wymyślili go jego Szefowie sztabu.

- Proszę mi oszczędzić szczegółów - powiedział Fromm. - Czy też chce mnie pan koniecznie obciążyć tymi metodami komanda na kółkach? Nie mam o tym dobrego zdania, przedłożyłem nawet na piśmie moje wątpliwości co do całej akcji. I co pan na to?

Generał Olbricht milczał przez kilka sekund; ten szczywany lis znów się zabezpieczył. Ale jego otwartość pozwalała jednak żywić pewne nadzieje. Olbricht zauważył więc ostrożnie:

- Nawet sam führer wyraził zgodę...

- Wyraził! - wtrącił generał. Myśl o tym zdawała się go bawić; jego małe, przebiegłe oczka błyszcząły. - W końcu ten człowiek jest dyletantem, to widać wyraźnie. Nie przeczuwa nawet, co wy, lekkomyślni chłopcy, mu szykujecie.

Takie uwagi nie dziwiły Olbrichta, padały wcale nie tak rzadko w tym pomieszczeniu; oczywiście tylko wówczas, kiedy nie było trzeciej osoby. Chociaż oficjalnie Fromm był paladynem Hitlera, w duchu uważał go za bęcwała. A Himmlera za „lochę”. Na każdym kroku wychodził z niego myśliwy.

Jednakże nawet on nie od razu przejrzał plan „Walkirii”, choć znał dokładnie wszystkie jego szczegóły. Uważał, że zasadnicza myśl była wprost genialna. Przedstawiono w nim następującą, całkiem realną sytuację: w Rzeszy żyło kilka milionów cudzoziemskich robotników: co będzie, jeśli się oni zorganizują i powstaną? Wówczas do akcji wkroczy „Walkiria”. Wszystkie jednostki armii rezerwowej zostaną wprowadzone - rzekomo w obronie rządu, organów administracyjnych, organizacji partyjnych; włączając SS i gestapo.

- Róbcie to sami! - stwierdził Fromm energicznie. - Nie liczcie na to, że dam się przez was spalić.

- Wystarczy nam pańskie zrozumienie dla naszej sytuacji panie generale. - Olbricht uklonił się. To, co właśnie osiągnął, nie było wcale mało. Przebiegły Fromm wiedział, co było grane, odrzucał jednak osobisty w tym udział. Ale to znaczyło, że przynajmniej jest gotów siedzieć cicho.

Generał pochylił się znów nad swoją lekturą. Wydawano się, że nie zwraca uwagi na pomocnicze warianty Olbrichta. Ale, zanim najważniejszy człowiek w jego urzędzie się wycofał, Fromm popatrzył krótko zamrugał i powiedział:

- Jeśli już robicie ten swój pucz, nie zapominajcie o Wilhelmie Keitlu.

Olbricht był zaskoczony. Feldmarszałek Keitel był prawą ręką

Hitlera i zagorzałym przeciwnikiem Fromma. Nie znosili się nawzajem, mówiąc oględnie. Najeżali się na siebie jak dwa koguty, brak im było jednak energii, aby się nawzajem zniszczyć.

- Czy powiedziałem coś, co pana mogło zdenerwować, pułkowniku? - Generał Fromm zdawał się być zdumiony. - Nie, nic nie powiedziałem, być może tylko głośno myślałem. Niech pan na to nie zwraca uwagi.

- Gdzie jest mój brat? - zapytał leutnant Konstantin hrabia von Brackwede. - Muszę się z nim zobaczyć, to pilne!

- Dzień dobry! - powiedziała Elisabeth hrabina Oldenburg-Quentin z lekką naganą w głosie. Wciąż jeszcze przywiązywała wagę do form.

- Proszę mi wybaczyć. - Leutnant poczerwieniał. - Ale ja naprawdę ogromnie się spieszę, to bardzo ważne.

Teraz Elisabeth przyjrzała się bliżej swemu gościowi i stwierdziła, że jest bardzo wzburzony.

- Co się stało?

- Leutnant potrząsnął głową.

- Pani wybaczy, ale chciałbym to powiedzieć tylko mojemu bratu.

Hrabina poczuła się odepchnięta; nerwowo przerzucała papiery.

Powiedziała tylko

- Przykro mi, ale pańskiego brata nie ma w biurze. - Ale zaraz potem, jak gdyby znów gotowa do pomocy, rzekła cicho: - Czyżby pan nie miał do mnie zaufania?

Konstantin podniósł teraz pobladłą twarz.

- Jak pani może tak przypuszczać? Oczywiście, że mam do pani zaufanie. Po prostu nie chcę pani obciążać.

Fakt, że Konstantin starał się mieć na nią wzgląd, Elisabeth odebrała jako gest wzruszający i rycerski.

- Jeśli tylko mogę panu w coś pomóc, bardzo chętnie to uczynię - powiedziała.

- Dziękuję - odrzekł Konstantin i oznajmił: - Nasz ojciec, generał, został ciężko ranny. Trzeba o tym bezzwłocznie zawiadomić matkę. Ale to potrafi tylko mój brat.

- Rozumiem - powiedziała Elisabeth.

Wstała i podeszła do okna. Na jej czole utworzyła się poprzeczna zmarszczka, ale nie zeszpeciła ona ani trochę jej jasnej, pięknej, surowej twarzy.

Wreszcie odezwała się:

- Nie sądzę, aby pański brat zjawił się tu jeszcze dzisiaj. Wyjechał w ważnej sprawie. Ale rozumiem, że pan musi się z nim widzieć.

Wróciła zdecydowanie do swego biurka, nie omieszkała przy tym spojrzeć na Konstantina. Wzięła kartkę papieru i napisała na nim kilka słów.

Położyła tę kartkę przed Konstantinem. Oświadczyła przy tym: Prawdopodobnie znajdzie pan. swego brata pod tym adresem, którego nie wolno mi panu dawać; ani panu, ani nikomu innemu, bez wyraźnego zezwolenia kapitana. Myślę jednak, że w tym wyjątkowym przypadku mogę chyba zrobić to na moją odpowiedzialność.

- Czy narażam panią na jakieś kłopoty?- zapytał- Konstantin.  
- Nie chciałbym tego w żadnym wypadku.

- Niech pan o tym nie myśli, bardzo proszę. Tylko to jest tak: zapisane adresy łatwiej się zapamiętuje, tak uczy doświadczenie. Proszę mi teraz dać kartkę z powrotem, zniszczę ją.

- Czasem zadaję sobie pytanie - wyznał Konstantin niemal bezradnie - co się właściwie dzieje wokół mojego brata? A potem mówię sobie: on jest. moim bratem. I to wystarczy.

- Niech pan pojedzie metrem do Innsbrucker Platz,. stamtąd będzie pan miał nie więcej niż dziesięć minut marszu, Ale proszę nikogo nie pytać o drogę. Najlepiej będzie, jak pan przedtem przejrzy plan miasta. -

Konstantin ujął dłoń Elisabeth i pochylił się nad nią. Był to gest ogromnie rzadki, nawet tu, na Bendierstrasse. Hrabina poczuła jedwabiste blond włosy na swojej skórze, jego warg nie poczuła.

- Niech pan już idzie - powiedziała pospiesznie. - I proszę nie zapominać, że ma pan być ostrożny. Ze względu na człowieka, którego adres panu dałam, i ze względu na pańskiego brata!

O sobie w tym momencie nie myślała.

- Jakie masz argumenty przeciwko temu,. Bertholdzie? Powiedz wszystko, co wiesz.

Claus wypowiedział to żądanie ze spokojną powagą. Wiedział, że jego brat jest absolutnie szczerzy. Nie uznaje kłamstw. Nawet takich, które zwykło się nazywać „kłamstwami w dobrej intencji”.

- Wiele przemawia przeciw - powiedział Berthold z rozważą -obecne nastroje znacznej części społeczeństwa, kodeks honorowy kilku oficerów, a nawet zdrowy rozsądek. To, co postanowiłeś uczynić, wykracza poza tak zwane zwykłe normy.

Bracia Stauffenbergowie znów mieli wreszcie wieczór tylko dla siebie. Claus, pułkownik wojsk lądowych, i Berthold, sędzia główny marynarki, siedzieli obok siebie w niewielkim mieszkaniu w Wannsee; jeden z krewnych odstąpił im tu dwa pokoje.

- Czy ropieje ci oko, Claus? - zapytał brat po dłuższym milczeniu. - Boli cię?

- Nie - odpowiedział pułkownik i potarł swe chore oko tamponem z waty.

Berthold pochylił się nad nim i patrzył badawczo.

- Jeśli to oko ropieje, i wciąż się to powtarza, to znaczy, że nie jest martwe.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, Bertholdzie, że moje zdrowe oko może być zagrożone? Boisz się, że mogę całkiem oślepnąć? Byle tylko nie teraz!

Tragedia „ulubieńca bogów”, jak nazywali go przyjaciele, tej świetlanej postaci - nastąpiła 7 kwietnia 1943 w Afryce. Stauffenberg dostał się w ogień myśliwców bombardujących - twarz, ręce i kolana miał postrzelone. Przez długie dni otaczała go całkowita ciemność. Długie tygodnie leżał w gorączce.

Ale ledwie oprzytomniał, podyktował list do generała Olbrichta: Niech wezmą pod uwagę fakt, że on za kwartał znów stanie do dyspozycji, A potem w Berlinie zjawiał się człowiek, który stracił jedno oko i jedną rękę: mógł się posługiwać tylko trzema palcami lewej dłoni.

- Nasz przyjaciel Brackwede nie chce się chyba pogodzić z faktem, że to ty podejmujesz ryzyko. Każdy inny, powiada, tylko nie ty. Niemcy potrzebują ciebie, nie obciążonego niczyją krwią.

- Czyżby on był aż tak patetyczny? - powiedział pułkownik. - Chyba rozumie, że w obecnym stanie rzeczy jestem jedyny i ostatni, który to jeszcze może zrobić. Gdyby zechciał to' pojąć, jego poczynania byłyby bardziej trzeźwe i realistyczne.

Berthold spojrział na zegarek. Włączył radio. Zapowiedziano muzykę Haydna, koncert wiolonczelowy D-dur. Bracia cofnęli się w głąb pokoju, aby posłuchać.

Owiały ich mroczne dźwięki muzyki. Zamglone strzępki wspomnień unosiły się w powietrzu; muzyka i poezja opromieniały ich wspólną młodość. Claus grał na wiolonczeli i pragnął zostać architekt-

tem: czytali Stephana Georgego, bawili się z psami i odpoczywali w lesie. I co się z nich zrobiło?

- Zapomnijmy o tym - powiedział Claus gwałtownie, kiedy przebrzmiało allegro. - Haydn i Hitler są nie do pomyślenia w tym samym świecie. - Wstał i trzema palcami lewej dłoni przysunął do siebie kieliszek. - W najbliższy wtorek, jedenastego lipca, będę już w Berchtesgaden z ładunkiem wybuchowym w teczce.

Prawie wszyscy ludzie, których Konstantin spotykał po drodze, mieli wygląd szary - ziemistoszary, szary jak kurz, szary jak pole.

Na ich twarzach malował się głód, pośpiech, wycieńczenie, wściekłość i obojętność. Oczy sprawiały wrażenie, jakby chciały się ukryć. Głosy tych ludzi brzmiały szorstko, ochryple, nerwowo, desperacko, czasem złowrogo, rzadko kiedy głośno.

Dobrze odżywiony. osobnik był raczej wyjątkiem pośród tych kreatur odzianych jakby w nędzne mundurki i rzucał się w oczy niby muchomor w lesie. Trudno było spotkać kogoś, na kim te zmarnowane pięć lat wojny nie zostawiły śladów.

W metrze ludzie zrobili miejsce szczupłemu oficerowi odznaczonemu lśniącym matowo Krzyżem Rycerskim większość z respektem, niektórzy z niechęcią, wielu z podziwem. Mała dziewczynka patrzyła na niego oczarowana. Zachwycony starzec wysyczał swoje uznanie przez szczerbate zęby.

Leutnant pomógł jakiejś kobiecie umieścić w wagonie zabrudzoną walizkę. Przypuszczalnie jechała z dzielnicy, na którą spadły bomby. Z wahaniem przyjęła pomoc. Na koniec mruknęła kilka słów. Brzmiały one: - Przynajmniej raz coś pożytecznego. - Leutnant nie zrozumiał tych słów i zasalutował.

Pół godziny później Konstantin stał naprzeciw mężczyzny, który mu z miejsca zaimponował. Sterczała przed nim potężna głowa o ostrych, zapadających w pamięć konturach. Wyglądała jakby z kamienia i przywoływała u Konstantina kolejno wizję rzymskiego filozofa, następnie marchijskiego chłopca, wreszcie pruskiego urzędnika. Ale nic z tego się nie zgadzało. Mężczyzną tym był Julius Leber.

- Czy jest u pana mój brat? - zapytał Konstantin.

Leber stał w skromnie umeblowanym pokoju, zaniedbanym, jakby korzystało z niego- wiele osób, zdeptanym przez niespokojne stopy. A jednak sprawiał wrażenie, że można się w nim czuć swobodnie.

- Pan Brackwede, prawda? - Krępy mężczyzna średniego wzrostu

powiedział to, rzuciwszy na przybysza badawcze spojrzenie. – To widać.

Naprawdę? Zawsze myślałem, że ja i mój brat Fritz to przynajmniej zewnętrznie dwaj różni ludzie.

- Wobec tego jest pan w błędzie - powiedział Leber. Usiadł na twardej wyścielanej kanapie, która stała pomiędzy oknami. Krótkim zapraszającym gestem wskazał leutnantowi miejsce obok siebie. – Ma pan takie same oczy jak on. Czy kapitan kazał panu tu przyjść?

- Nie. Ale miałem nadzieję, że go tu znajdę. Muszę się z nim pilnie widzieć.

- Jest zapowiedziany - rzekł Leber po ledwie dostrzegalnym wahaniu. - Wobec tego należy sądzić, że przyjdzie. Będzie mi bardzo miło, jeśli zechce mi pan do tego czasu dotrzymać towarzystwa. Prawie jednym tchem zapytał: - Czy pan pracuje razem z bratem?

Leutnant odpowiedział przecząco: dopiero przed kilkoma; dniami przyjechał z frontu: obecnie został odkomenderowany do szkoły lotniczej w Bernatt. Niestety prawie nic nie wie o tym, czym naprawdę zajmuje się jego brat.

Mężczyzna o mądrych, uważnych oczach zadał kilka celnych pytań.

A więc odbywa pan służbę w szkole wojennej. Czym się dziś zajmują w tego rodzaju instytucji? Czy również takimi ludźmi jak Stein, Gneisenau i Scharnhorst?

- Oczywiście tym także, ale raczej na marginesie.

- Szkoda - powiedział Leber - albowiem w historii Prus ani przedtem, ani potem nie było takich pobudzających impulsów do odnowy, przeobrażeń, prawdziwej rewolucji. Przełomowy moment dla pruskich oficerów.

Leutnant słuchał z dużym zainteresowaniem. Ten człowiek wzbudził jego żywą sympatię, emanował ojcowską dobrocią. Konstantin uważał go teraz za generała w cywilu.

Czy zna pan pułkownika von Stauffenberga? – zapytał Leber.

- Któż to taki? - odparł leutnant.

- Pozna, go. pan? - powiedział Julius Leber: - Już pański brat z pewnością się o to postara. I chyba powinien pan wiedzieć, że ten Stauffenberg, rocznik tysiąc dziewięćset siódmy, pochodzi ze starej południowoniemieckiej szlachty: byli to wierni słudzy państwa i Kościoła. A w szeregu przodków matki owego pułkownika, hrabiny Uxküll, pojawia się nazwisko generała Gneisenau.

Konstantin całkiem zapomniał, po co tu przyszedł. Mężczyzna



siedzący obok niego prawie się nie poruszał, nie podnosił głosu. Jego oczy patrzyły uważnie, niemal chłodno. Leutnant poczuł rosnącą w nim sympatię:

- I ci ludzie, Gneisenau, Stein, Scharnhorst, zostali nazwani przez swoich współczesnych „kliką nędznych rebeliantów”, wymyślano im od „żałosnych demagogów”, odsądzano od czci i wiary!

Odczuwam to dziś jeszcze jako zawstydzające. -Leutnant popatrzył z ufnością na Leberą. - Mimo to historia przyznała im słusność, prawda?

- Jednakże nigdy nie jest łatwo świadomie rezygnować z podziwu swego otoczenia ~ powiedział Leber. - Ale tak już musi być, skoro się człowiek poświęcił dobrej i słusznej sprawie, wówczas nawet stawka własnego życia jest ceną umiarkowaną. Trzeba wziąć jeszcze-na siebie nienawiść i szyderstwo, jak, Scharnhorst, którego nazywano, „mizernym prostakiem”.

-Hitlerem było podobnie prawda?

- Z kim? - zapytał Leber zaskoczony.

Leutnant ponownie wymienił nazwisko; byli ponoć ludzie, którzy mieli czelność nazywać, führera „malarzem pokojowym”. Ale taki już jest ten świat, obojętny, przekorny, zacofany:

- Na szczęście jednak wciąż istnieją jednostki, które potrafią się wybić wbrew wszelkim przeciwnościom. Tak jak führer.

Julius Leber zdawał się śledzić ten tok rozumowania nieporuszony. Konstarnitn nawet nie przeczuwał, jak wielkie było opanowanie jego gospodarza. Leber powiedział tylko:

— Każda epoka musi poczynić własne doświadczenia, musi poznać swoich szubrawców i swoich bohaterów. Dodam jeszcze: to nie zawsze jest takie łatwe. W każdym razie nie dla każdego. Ale nie do uniknięcia.

Generał piechoty Friedrich Olbricht był, przy całej stanowczości, człowiekiem ostrożnym. Nie był duchem konspiracyjnym jak na przykład generał Oster z abwehry, dążył do zgody, zrozumienia i jeśli to możliwe – harmonii.

- Zasadniczo - mówił - wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Żadne nieporozumienia między nami nie powinny mieć miejsca.

Ów generał na życzenie wielu kolegów spotkał się w gospodzie wiejskiej na północ od Berlina z człowiekiem o nazwisku Erich Hoepner; było to w pobliżu Henningsdorf na skraju Stolper Heide. Na drewnianym stole przykrytym serwetą stały pomiędzy nimi szklanki

z tak zwanym cienkuszem, powszechnym w czasie wojny. Siuski, mówili znawcy, smakują niewiele gorzej.

- Ja i moi koledzy - powiedział Hoepner - jesteśmy zmartwieni. Sprawa nie posuwa się do przodu. Jak długo mamy jeszcze czekać?

Myślę, że to już tylko kwestia dni. - Olbricht poczęstował swego rozmówcę papierosami. Pochodziły z zasobów kasyna na Bendlerstrasse, on sam nie palił. - Stauffenberg jest zdecydowany rozstrzygnąć wreszcie całą sprawę,

- To nie jest zły człowiek - przyznał Hoepner. - Pochodzi w końcu z mojej szkoły.

Olbricht nie uważał za wskazane, aby wyrazić sprzeciw. Hoepner uważany był za pożądaną podporę ruchu oporu. Wprawdzie jeszcze w kampanii francuskiej poprowadził swoje oddziały pancerne do chwalebnych zwycięstw, ale już zimą 1941 zdawał się zawieść Hitlera: ten zwolnił go, zarzucając „tchórzostwo wobec wroga”. Został oficjalnie wyrzucony z wehrmachtu ale jego pensja była po cichu nadal

wypłacana. Hitler jednak, jak powszechnie sądzono, stworzył sobie najzacieklejszego wroga.

Erich Hoepner sączył swoje piwo i mówił dalej:

Choć oczywiście wysoko cenię naszego Stauffenberga, to jednak nie należy zapominać, że istnieją jego wypowiedzi, które budzą wątpliwości wśród moich kolegów.

Olbricht znał tę wypowiedzi. Pułkownik Stauffenberg mawiał o generałach Hitlera: „ci ludzie”; z całą bezwzględną otwartością nazywał ich „mieszczanami, lizusami”, określał ich jako „podejrzane indywidua którzy sobie już dwukrotnie zwichnęli kręgosłup”.

W październiku 1942 nazwał „skandalem” sytuację, na którą generałowie patrzyli z pobłażaniem, żądał „więcej odwagi i stanowczości”, „nawet jeśli trzeba będzie zapłacić za to własnym życiem”.

- Nie wolno panu zapominać - powiedział Olbricht, zmuszając się do dyplomacji - że pułkownik Stauffenberg miał na myśli całkiem określony rodzaj genefalicji. W żadnym wypadku pana ani pańskich kolegów. Ani także z całą pewnością mnie. A przyzna pan chyba, że istnieją tu pewne różnice.

Rzeczywiście istniały. Ten, kto okazał się przeszkodą w Rzeszy, był usuwany. Kto był posłuszny, dostawał ordery i wyróżnienia. Dla szczególnie zasłużonych przeznaczono specjalne dotacje, zwane również „honorowym wynagrodzeniem” godni zaufania feldmarszałkowie dostawali na przykład pięćdziesiąt tysięcy marek rocznie „dodatkowo”, a niekiedy nawet ćwierć miliona albo majątek ziemski jako specjalną premię.

- Osobiście nie mam nic przeciwko Stauffenbergowi - powiedział Hoepner spuszczać z tonu. - Ale kilku moich kolegów stawia wobec niego jak najbardziej zrozumiałe zarzuty. A ponieważ teraz już tylko on wchodzi w grę, jeśli idzie o wysadzenie w powietrze tego Hitlera, istnieje oczywiście obawa, że będzie stawiał warunki.

Panie generale - oznajmił Olbricht niemal uroczystym tonem - w ciągu ostatnich tygodni i miesięcy „obsadziliśmy setkę stanowisk od głowy państwa do przewodniczącego okręgu regencyjnego. Ani jednego Stauffenberg nie przewidział dla siebie.

A ja? - zapytał Hoepner bezceremonialnie.

- Pan ma, zgodnie z ustaleniami zastąpić dowódcę armii rezerwowej, a więc generała Fromma. Wyższe szczeble są do objęcia. Czy możemy zatem liczyć na pana?

— Ależ oczywiście zapewnił przepędzony przez Hitlera generał. I tonem ostrzegawczym, a jednocześnie wymagającym dodał: - Ale tylko pod tym warunkiem!

To niesłychane! - wykrzyknął kapitan von Brackwede. - Człowieku. Czego ty tu szukasz?

Fritz Wilhelm hrabia von Brackwede nosił stosownie do miejsca cywilne ubranie: niezgrabne półbuty, wypchane spodnie, workowatą marynarkę z lnianego płótna, spód której wystawała koszulą w kratkę. Nie wyglądał bynajmniej jak wytworny mężczyzna. I zgodnie, z tym starał się zachowywać, kiedy raptem spostrzegł Konstantina.

Leutnant wyjaśnił bratu, po co przyszedł. Ten stał leniwie i wyczekująco. Kiedy oznajmiono, mu że ojciec został ciężko ranny, pokręcił głową, jakby chciał lepiej słyszeć.

Potem zdecydował.

Ty zawiądoinsz matkę. Ty sam! Ja nie mam teraz na to czasu,

- Co?~- zapytał Konstantin wytrącony z równowagi. Nie masz na to czasu?

- Nie - odrzekł kapitan krótko. - I myślę, że powoli powinienes się, zapoznać z pewnymi realiami u nas, śmierć również do nich należy. We wszystkich możliwych formach. A więc idź, nie zatrzymuję cię! Później się tobą zajmę, tymczasem mam coś innego do roboty.

Konstantin pożegnał się z Leberem, uczynił to z głębokim szacunkiem. Bratu nie podał ręki; ten zdawał się uważać to za zbędny gest.. Leber odprowadził leutmanta do tylnego wyjścia Wzburzony Konstantin wyszedł.

- No, i co tym razem? - Julius Leber wrócił do pokoju, gdzie

hrabia von Brackwede porozkładał już swoje papiery. Niczym księgowy, który pragnie przedstawić swój dzienny bilans.

- To co zawsze - powiedział kapitan rzeczowo. Nie było sensu rozmawiać teraz o bracie; co się stało, to się nie odstanie.

Julius Leber usiadł ciężko na kanapie; uśmiechał się spokojnie.

- A więc znów memoriał naszego przyjaciela Goerdelera, prawda? Czemu nie? Bywają gorsze rzeczy. A więc zaczynajmy.

Doktor Carl Friedrich Goerdeler dorastał jako syn sędziego w małych miasteczkach w Prusach Zachodnich. Miał zostać kancierzem po zamachu na Hitlera. Mówiono o nim, że zamierza ustanowić nad Niemcami monarchę - dziedzicznego albo z wyboru.

Od lat już "włóczył się", jak to określono później w raportach gestapo po Niemczech; nie miał stałego miejsca zamieszkania; sypiał u przyjaciół, w hotelach, a nieraz w berlińskim przytułku. Odbывał wśród wielu trudów podróże na front wschodni, szukał na Zachodzie ludzi myślących - podobnie jak on, można go było spotkać zarówno w Skandynawii, jak i na Bałkanach.

Owego dnia zjawił się u hrabiego von Moltke. Stanął najpierw pod drzwiami nasłuchując, jego pociągła blada, jakby wymięta, twarz zdradzała napięcie. Uniósł głowę jak ścigane zwierzę, ale nie wywęszył psa gończego. Zapukał więc do drzwi.

Helmuth von Moltke otworzył drzwi i bez słowa wyciągnął rękę. Uśmiechnęli się do siebie, hrabia trochę niepewnie, Goerdeler z optymizmem. Starał się wciąż emanować ufnością; jednakże w ostatnich czasach czynił to coraz mniej przekonująco.

- O co chodzi? - zapytał niemal porywczo, kiedy przywitał go również dr Eugen G. serdecznie choć krótko. - Dlaczego mnie tu poproszono? Czy coś się stało?

- Nie wiem - powiedział Helmuth von Moltke z żalem w głosie.

- Nie orientuję się, dlaczego hrabia von Brackwede tak nalegał, aby z panem porozmawiać. Lada moment powinien tu być.

Goerdeler usiadł zmęczony na krześle, które stało najbliżej.

- Brackwede to to samo co Stauffenberg, prawda?

- Niekoniecznie - powiedział hrabia von Moltke. - Brackwede może mieć ewentualnie wiadomości z gestapo. Ma on pewne kontakty. Jeśli idzie o niego, wszystko jest możliwe.

Goerdeler dotykał nerwowo wiązania swego wytartego krawata - Stauffenberg - rzekł po chwili - jak się słyszy, zaczyna snuć całkiem nowe pomysły. Zrobił też zaskakujące propozycji personalne.

Teraz włączył się Eugen G.

- Są to z pewnością informacje fałszywe, a przynajmniej wprowadzające w błąd, byłoby więc lepiej nie zwracać na nie uwagi; a już w żadnym razie nie powinny być rozpowszechniane w naszych kołach.

- A. jednak - twierdził Goerdeler z uporem - Stauffenberg konferował podobno ostatnio z Juliusem Leberem. I to wiele razy. Ja osobiście nie widziałem go już kilka tygodni.

- To chyba oczywiste - powiedział von Moltke z przekonaniem - zważywszy pańską pozycję. Wszelkie dodatkowe rozmowy są zbędne i w dodatku niebezpieczne.

- Należy całkowicie wykluczyć okoliczności obciążające! - Doktor G. powiedział to z przekonaniem. - Znam kapitaną Brackwede tak samo jak Stauffenberga. Obaj myślą ze wszech miar metodycznie. Nie znoszą bezmyślnych awantur. Ich stanowisko wobec pana z pewnością się nie zmieniło.

- Pan również jest jeszcze bardzo młody -- powiedział Goerdeler bez cienia wyrzutu w głosie. - Ja też byłem młody jeszcze, przed paroma laty. I także miałem wiele ambicji. Tylko nigdy nie, byłem zapaleńcem.

- A teraz - rzekł hrabia von Moltke - złożył pan swój urząd nadburmistrza Lipska, bo nie mógł pan znieść, że pomnik Mendelssohna ma zniknąć sprzed budynku Gewandhaus.

- Być może - powiedział Goerdeler w ataku zmęczenia - że w tej sprawie okazałem się zbyt nierozważny. Może musiałem odejść, aby nie stracić, całkiem twarzy?

- Odszedł pan - zawołał doktor - aby móc pozostać wiernym sobie! Czyż można to jaśniej wytłumaczyć?

Kiedy kanclerz. Rzeszy Bruning był już na wykończeniu, zaproponował Hindenburgowi, ówczesnemu prezydentowi, dwóch ewentualnych następców. Obaj byli nadburmistrzami, jeden w Kolonii, drugi w Lipsku. Nazywali się: Adenauer i Goerdeler. Ale Hindenburg wybrał Papena, a tym samym pośrednio Hitlera.

Adenauer wycofał się do swego różanego ogrodu w Rhöndorf. Goerdeler pozostał na razie burmistrzem, pracował jako komisarz cen, wreszcie poszedł do przemysłu, przyjęła go ochoczo firma Boscha.. Najpierw zaczął sporządzać raporty z podróży, później memoriały. W tysiąc dziewięćset czterdziestym chwalił wprawdzie dokonania Wehrmachtu w zwycięstwie nad Francją, równocześnie jednak zarzucał Hitlerowi „brak umiaru Napoleona”.

- Należy odczuwać wstręt do człowieka - powiedział były komi-

sarz cen - który podaje się za skromnego, a przy tym grzebie się w milionach dla osobistych potrzeb.

Rozmowa została nagle przerwana, kiedy zjawił się kapitan hrabia von Brackwede. Powitał obecnych bardzo pobieżnie. Oznajmił:

- Panie Goerdeler, gestapo wydało wczoraj nakaz aresztowania pana. Jest to sytuacja, z którą musimy sobie poradzić. - Zebrani milczeli, doktor patrzył wzburzony; hrabia von Moltke zdawał się drżeć z przerażenia. Goerdeler zamknął oczy na kilka chwil. Potem oświadczył, jakby wcale nie poruszony:

- Wcześniej czy później należało się tego spodziewać, Brackwede skinął głową:

- Lepiej byłoby później - powiedział. - Jedno jest w każdym razie pewne. Gestapo pana szuka, a za dzień lub dwa zostanie w to włączona także policja kryminalna. Do tego zaś zmobilizuje się całą armię gefreitrów.

- Czy coś się przez to zmieni w moim życiu? - powiedział Goerdeler ze skromną pokorą. Przyjaciele nie bez słuszności nazywali go „wędrownym kaznodzieją” albo „wiejskim proboszczem”.

- Nawiązałem właśnie kontakt z abwehrą - powiedział Brackwede. - Są gotowi odtransportować pana z Niemiec w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- W jaki sposób? - Goerdeler wyprostował się. - Czy chcę mnie odesłać pod ochroną? Czy pan omówił ten plan ze Stauffenbergiem?

- Chcemy pana odstawić w bezpieczne miejsce - oświadczył kapitan stanowczo. - I to wszystko.

- Tak będzie najlepiej - zapewnił Moltke.

Również dr Eugen D. przyznał rację.

- To jedyne wyjście w obecnych warunkach.

- Zostaję tu - zdecydował Goerdeler spokojnie. - Chcę być tu, kiedy to się stanie. Bo to. się wreszcie teraz stanie, prawda?

W tych niespokojnych pierwszych dniach lipca 1944 pojawił się znów w Berlinie kapral, Lehmann, zwany Karłem. Wywołało to zdumienie i niepokój na Bendlerstrasse - ale oczywiście tylko wśród wtajemniczonych; a było takich niewiele ponad tuzin spośród setki oficerów.

- Witam, piękną pani! - zawołał do Elisabeth, wtykając najpierw nos w drzwi. Na widok hrabiny wyszczerzył zęby radośnie - miał zawsze słabość do tego łabędzia w kurniku, jak zwykł mawiać. - Czyżby pani przez ten czas straciła mowę?

- Mój Boże! - wykrzyknęła hrabina Oldenburg-Quentin zdumiona, - Jak pan. się tu dostał?

- Pociągiem, łaskawa pani; prosto z Paryża! A w Berlinie pierwsze kroki skierowałem najpierw do pani. - Kapral ujął wyciągniętą ku sobie dłoń i potrzęsnał nią serdecznie. - Nie powiem, że pani wypiękniała bo to jest po prostu niemożliwe. Uważam tylko, że pani jest nadal kwitnąca.

- Jestem pewna, że co najmniej bardzo szybko osiwieję przy tym wszystkim, co tu przeżywam. - Elisabeth hrabina Oldenburg próbowała zażartować.

- Niech się pani nie obawia, również w siwiźnie będzie pani do twarzy; to w pani typie. - Lehmann zachowywał się tak jakby dopiero wczoraj tu był; podszedł do regału, odsunął na bok dokumenty i wyciągnął przechowywany za nimi koniak. - Dla pani też kieliszek?

Hrabina skinęła głową, wzięła kieliszek i zanim wypila, powiedziała:

- Nie rozumiem tego, pana powinno tu jeszcze nie być. Coś tu się nie zgadza.

- To całkiem proste. Odstawiono mnie do Paryża, ale przypuszczalnie zapomniano mnie tam przykuć. I oto znów tu jestem, jako posłaniec.

Przywozi pan wiadomości z Paryża?

- Wiadomości to niewłaściwe określenie. - Kapral uderzył się obiema pięściami w piersi. - Jestem wprost wypchany prima materialem. A to wcale nie drobnostka przy tym cholernym upale. O, pardon, przy tych temperaturach w środku lata.

Elisabeth Oldenburg uśmiechnęła się. Jego beztroska była w rozweselający sposób zaraźliwa. Nawet sam Brackwede podziwiał opanowanie Lehmana.

- Jak pan sądzi, w jaki sposób kapitan pana przywita?

- Chyba nie z otwartymi ramionami, czy tak?

- Obawiam się, że odeśle pana natychmiast z powrotem do Paryża. I jest mi niemal przykro, ze względu na pana.

- Do diabła! - wykrzyknął Lehmann. - Niech pani mnie nie wbija w dumę. Może wreszcie pani mnie polubiła!

Elisabeth skinęła głową.

- Niewielu jest ludzi, o których myślę i o których się martwię. Nie chciałabym widzieć pana w niebezpieczeństwie.

- Dziękuję - powiedział Karzeł i ponownie napełnił swój kieliszek, ostrożnie, z oczami pełnymi śmiertelnej powagi. - Zdaje się, że przybyłem tu w samą porę.

W czasie gdy kapral Lehmann gawędził z hrabiną, czekając na kapitana von Brackwede, zjawił się oberleutnant Herbert.

Ukloniwszy się hrabinie zawołał koleżeńskim tonem do Lehmana:

- Chyba się nie mylę! To rzeczywiście pan! Co za niespodzianka! Lehmann uśmiechnął się lekko; przestawił się szybko na ton spokojnie prostoduszny.

- Jestem również zaskoczony tym, że ciągle jeszcze pana tu widzę.

Zauważył, że hrabina pakuje do teczki przywiezione przez niego papiery. Czyniła to tak, jakby wykonywała jakąś rutynową czynność. Oberleutnant Herbert miał wycucie stosunków poza wielką hierarchią, nauczył się tego na Bendlerstrasse. Pułkownik Stauffenberg konferował władczo z generałami, ale za chwilę dawał posłuch takiemu kapitanowi von Brackwede. On sam, oberleutnant Herbert, miał nawet ostatnio do czynienia z kierownictwem Rzeszy i z zachowaniem nakazanego respektu obcował z nimi jak z równymi sobie.

- Jestem tu oficerem łącznikowym pomiędzy dowództwem naczelnym a władzami partyjnymi i państwowymi.

Karzeł zdumiał się:

- Nie! Coś podobnego!

- To bardzo interesujące i odpowiedzialne stanowisko. - Herbert chętnie udzielał wyjaśnień kapralowi, który, jak zauważył, cieszył się życzliwością hrabiny. - Stanowisko to zawdzięczam kapitanowi von Brackwede.

- Nie do wiary! - zapewniał Lehmann naiwnie, jak tylko potrafił.

— Generał Olbricht oczekuje pana - powiedziała hrabina rzeczowym tonem do kaprała. Chwyliła teczkę ze starannie zapakowanymi papierami. - Proszę, niech pan weźmie, generał pilnie tego potrzebuje,

- Rozkaz, pani hrabino! - zawołał Karzeł, wziął teczkę i zniknął.

Porucznik Herbert spoglądał zdumiony za kapralem Lehmannem.

- Skąd on się tu wziął? Myślałam cały czas, że jest gdzieś na froncie.

Hrabina Oldenburg uważała za stosowne być miłą na sposób ostrożny. W tym zapewne delikatnym przypadku wszelkie komplikacje byłyby niewskazane.

- Ach, wie pan, wczorajsze rozkazy dziś już mogą być nieaktualne.

- A czego on chce od Olbrichta?

- Skąd mogę wiedzieć? - powiedziała hrabina, siłąc się na obojęt-



ny ton. I z lekkim uśmiechem dodała: - Może powinien pan zapytać o to generała Olbrichta.

- Ani myślę! - zawołał Herbert spontanicznie. - Nie, obchodzi mnie to... a może jednak?

- To byłoby całkiem słuszne stanowisko - zauważyła hrabina ujmująco.

Droga do generała Olbrichta na Bendlerstrasse prowadziła przez gabinet jego szefa sztabu, pułkownika von Quirnheima. On również zdawał się być zaskoczony widokiem Lehmana, a jednocześnie uradowany.

- Człowieku - powiedział serdecznym tonem. - Zjawia się pan jak na zawołanie!

Zameldował generałowi przybycie kaprała. Olbricht natychmiast wstał i powiedział:

- To wspaniale. - Następnie dodał: - Uprzedźcie Stauffenberga.

- Potem wyszedł na spotkanie Karła do drzwi gabinetu .

- Jak miło pana widzieć - oświadczył, uściskawszy mu dłoń. - Jak się panu podobało w Paryżu?

- Formidable! - zawołał Karzeł i zajął miejsce w generalskim fotelu; korzystał z niego zawsze dowódca, kiedy prowadził u Olbrichta narady. - Czułem się wspaniale również w tych dziedzinach, które tylko panów przypuszczalnie interesują. Tam wszystko gra! Generał von Stülpnagel i pułkownik von Hofacker zafali się energicznie do' dzieła. I nie tylko oni!

Kaprał położył na stole teczkę z przywiezionymi dokumentami. Olbricht i Mertz pochylili się nad nimi, zaczęli układać poszczególne kartki. Kiedy wszedł pułkownik Stauffenberg, generał zawołał do niego:

- Paryż, zdaje się, wykonał robotę na sto dwa!

Stauffenberg rzucił tylko krótkie spojrzenie na przedłożone materiały. Potem zwrócił się z zaciekawionym do Lehmana:

- Chce pan od razu wracać do Paryża, czy też ma pan ochotę zostać tu kilka dni?

- Dlaczego pan pyta? - Karzeł był szczerze zdumiony. - Pan może mi rozkazać.

- Ale tego akurat nie chcę, w każdym razie nie w tym wypadku.

- Stauffenberg zamyślił się tajemniczo. - Bo mógłbym pana tu potrzebować.

- Wobec tego nie ma o czym mówić, panie pułkowniku. Zostaję.

- Nie pytając nawet, czego od pana oczekujemy?

Lehmann roześmiał się.

- Spodziewam się najgorszego dla pewnych ludzi. I jestem pewien, że się nie zawiedziemy.

Teraz Claus von Stauffenberg się roześmiał. Olbricht i Mertz spoglądali zaskoczeni znad swojej lektury.

Ale ta wesołość została nagle przerwana. Do pokoju wszedł kapitan von Brackwede. Z wysoko podniesionym orlim nosem, co dla przyjaciół było oznaką bojowego oburzenia, stanął przed kapralem Lehmannem.

- Nie wierzę własnym oczom! - zawołał. - To pan naprawdę jest, a ja myślałem, że hrabina sobie ze mnie żartuje.

- Co u pana słyhać, panie kapitanie? - zapytał Karzeł. - Nie wygląda pan na wesołego. Czy ma pan kłopoty ze swoim bratem?

- Gefrejter przywiózł wspaniałe materiały - wtrącił się Olbricht - nie tylko potwierdzenie, że wszystkie plany zostały dokładnie zrealizowane, ale również nowe godne uwagi propozycje. W najbliższych dniach Hofacker sam tu przybędzie.

- Powitamy go serdecznie - powiedział von Brackwede z ironią. - W końcu nie jest jeszcze poszukiwany przez gestapo jak nasz żądny przygód przyjaciel. - I dodał rozkazującym tonem: - Musi pan natychmiast znów zniknąć, Lehmann, w ciągu najbliższych godzin, zanim te krwiożercze psy coś wywęszą.

- Wybacz, Fritz - odezwał się teraz pułkownik von Stauffenberg, cicho, niemal błagalnie - ale ja go potrzebuję.

- Zgoda - powiedział kapitan von Brackwede zdecydowanym tonem. - Jeśli tak się sprawy mają, zgadzam się. Pod jednym wszakże warunkiem: dopóki Lehmann jest potrzebny w Berlinie, nie wolno mu opuszczać Bendlerstrasse. Bo tylko tu jest bezpieczny przed gestapo.

Nad Berlinem dudniły samoloty bombowe.. Nadlatywały teraz dniem i nocą z regularnością, z jaką dawniej zjawiali się chłopcy od piekarza, i kobiety z gazetami. Naloty bombowe należały od jakiegoś czasu do codzienności berlińskiej.

Kapitan von Brackwede wszedł do przedpokoju, rozejrzał się badawczo i wydawał się zaskoczony, ujrawszy hrabinę Oldenburg samą.

-Co ja widzę! - zawołał. - Gdzież „się” podziewają pani adoratorzy? Chciałem panią właśnie wysłać z moim bratem do piwnicy.

- Pański brat i kapral Lehmann udali się za moją radą do oberleutnanta Herberta. Będą z nim przypuszczalnie szukać schronów przeciwlotniczych.

- Pani ostatnio za wiele się wtrąca, hrabino - powiedział kapitan lekko ostrzegawczym tonem. - To jest wbrew naszej umowie.

- A czy umawialiśmy się, że mam tu, w miarę potrzeby, występować w charakterze przynęty?

Von Brackwede roześmiał się ubawiony.

- To nie było zaplanowane i wcale nie uważam tego za możliwe - zapewnił wesoło. - Jednakże podoba mi się ten pomysł, szczerze przyznaję. Pani działa na mojego brata jak magnes, wpada tu, kiedy tylko ma choć pół godziny czasu.

- A pan to wykorzystuje, jest to dla pana mile widziana sposobność, aby go urabiać. A ja tego nie chcę.

- Zdaje się, że chłopiec przypadł pani trochę do serca, czyż nie tak? Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani wprowadzić w zakłopotanie. Ale dlaczego wysłała go pani, teraz do Herberta?

-Po pierwsze, dla równowagi. Uważam, że pańskie metody oświecania całkowicie mu wystarczają, a jeśli dojdą jeszcze do tego metody Lehmannai może się to dla Konstantina okazać zbyt dużym ciężarem, Pożą tym ten Herbert za bardzo węszy przy każdej okazji.

- Niech się pani nie obawia - zapewniał kapitan zdecydowanym tonem. - On uważa mnie za stuprocentowego hitlerowca, jestem nawet dla niego wzorem.

- Jak długo jeszcze? - Hrabina zdawała się być zajęta jakimiś dokumentami. - Poza tym pański brat jest przypuszczalnie jedynym, który może podtrzymać tę piękną iluzję. Jego przekonania nic budzą żadnych zastrzeżeń.

~ To jest to, na co zmarło już kilka milionów. Ile jeszcze?

Hrabina Oldenburg patrzyła z przerażeniem na wzburzonego kapitana. Nigdy jeszcze go takim nie widziała. Ale tak samo nagle jak wybuchł, tak też zgasł z powrotem - Brackwede potrząsnął głową, potem starał się uśmiechnąć.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział - To występuje u mnie niekiedy ostatnimi czasy, ale tylko wtedy, gdy jestem sam albo w towarzystwie zaufanych przyjaciół.

Elisabeth lekko się zarumieniła. Kapitan powiedział jej niezwykle komplement Szybko zapytała:

- Czy mam się połączyć z centralą informacyjną? Przypuszczam, że chciałby pan jak zwykle dowiedzieć się, jaki teren jest tym razem bombardowany

- Proszę niech pani to zrobi.

Hrabina musiała czekać dobra chwilę, zanim uzyskała połączenie.

Jeśli pan sobie życzy - powiedziała przy tym - zejść później do schronu.

- Bardzo bym sobie życzył, chociażby ze względu na naszego drogiego Karła. On ma już pewnie dość tej idiotycznej zabawy z Herbertem. Tylko co będzie potem, kiedy ten coś wywęszy? Poza tym, jak mówiłem, chętnie widzę mojego brata w pani towarzystwie.

Elisabeth hrabina Oldenburg skinęła głową, po czym powiedziała:

- Bombardowany jest teraz obszar na południe od Tiergarten mniej więcej przy Wittenberger Platz.

Kapitan rzucił okiem na plan miasta, który wisiał na ścianie obok jego biurka.

- Proszę, niech pani zapyta o Goethestrasse.

- Goethestrasse - poinformowała hrabina, zadawszy uprzednio kilka pytań - znajduje się pośrodku tego obszaru.

Brackwede wstał natychmiast. Zapiał pas i sięgnął ręką po czapkę.

- Niech podjedzie jakikolwiek samochód; wszystko jedno jaki, choćby nawet generała. Biorę to na siebie.

Goethestrasse, na którą dotarł kapitan von Brackwede po szybkiej jeździe, wyglądała jak jedno wielkie pole ruin.

Gęsty granatowy dym rozpościerał się nad okolicą: chmury kurzu wyglądały jak lepka mgła. Ludzie spieszyli przez rozgrzebane ulice, Ciągnęli za sobą różne sprzęty; wynosili rannych, odsuwali na bok belki i resztki murów. Oddział obrony przeciwlotniczej z wyciem syren przystąpił do akcji. Samochody sanitarne podjeżdżały skowycząc silnikami, załadowywano je, następnie odjeżdżały. Jakiś człowiek krzyczał. Spadająca fasada domu zdusiła krzyk jak grubą kołdrą.

Na tym parującym, rozżarzonym, cuchnącym rumowisku, na które Brackwede wszedł z trudem oddychając, natknął się na masywną postać, spluwającą i przeklinającą: stał przed nim gestapowiec Maier!

Przywitali się wśród tych parujących słodko chmur, smrodu i dymu niemal wesoło. Była to najlepsza metoda, aby pokonać zaskoczenie.

- Jeszcze pana tu brakowało! zawołał kapitan.

- Co za spotkanie! - wybuchnął Maier. - Dwie dusze, a jedna myśl, co? Czy też chciał pan sobie tylko przypadkiem pospacerować?

- Ależ skąd, zatańczymy jeszcze na tym samym weselu. - Ta uwaga wydała się kapitanowi nadzwyczaj zabawna. Maier również się roześmiał, choć miał oczy zamknięte. Kurz powodował łzawienie; była

to chyba jedna z niewielu możliwości, aby go doprowadzić do płaczu. Zdawało się, że obaj mają ten sam cel. Przebijali się energicznie przez gorące jeszcze ruiny na środek Goethestrasse. Stał tu tylko jeden jedyny dom. I należał do człowieka ó nazwisku Beck.

- Nie do wiary – stwierdził stufmbannführer potrząsając głową - że akurat ten ocalał.

- Może to jest coś w rodzaju opatrności, jeśli wolno mi użyć ulubionych słów naszego czcigodnego führera. - Kapitan mrugnął poufale i ujrzał, że Maier również poufale wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Proponuję, aby każdy z nas zatroszczył się najpierw o swoich ludzi. Potem pojedziemy na jednego i wspólnie sprawdzimy kasę, zdobycz podzielimy. Zgoda?

Rozdzielili się chwilowo, nie tracąc siebie jednak całkowicie z oczu. Von Brackwede podszedł do domu, który należał do generała broni Ludwiga Becka, dawniej szefa sztabu generalnego, uważanego w Niemczech za najlepszego stratega, często wymienianego jednym tchem wraz z Moltkem i Schlieffenem.

Teraz jednak ów mężczyzna, przewidziany jako głowa państwa po śmierci Hitlera, poruszał się w wygniecionych, brudnych; przydługich spodniach. Jego pierś okrywała gruba lniana koszula; był spocony, wymachiwał wiadrem, wpatrując się z uwagą w dymiący żar.

- A więc pan żyje! - stwierdził hrabia von Brackwede z ulgą.

- Czy ja żyję! - powiedział generał z furią. Jego chuda twarz wyglądała niemal uroczyście; jak zwykle. - Pomagam właśnie sąsiadowi przy gaszeniu, a tym samym gestapowcom, którzy się u niego zagnieźdździ. Pomagałem im nawet zabezpieczać dokumenty. Wśród nich było wiele zdjęć, które zostały zrobione moim gościom.

- Wspaniale! - rzekł kapitan. - To się nazywa prawdziwe bohaterstwo narodu.

- Jak to, pan uważa to za wspaniałe? - Generał nie po raz pierwszy miał okazję podziwiać tego oficera. - Nie przejmuję się pan, że tuż obok mnie zakwaterowano grupę gestapowców, aby mnie śledzili?

- Niczego innego nie należało oczekiwać. I jeśli to pana uspokoi: to dla nas żadna nowość. - Brackwede rozejrzał się badawczo dokoła. - Najważniejsze, że pański dom stoi. A jeszcze ważniejsze, że panu nic nie zginęło. A może?

- Nawet najmniejsza kartka, jeśli o to panu chodzi.

- To dobrze - powiedział kapitan z ulgą. - Wobec tego nie będę pana dłużej zatrzymywać. Moi przyjaciele z gestapo już czekają, abym z nimi porozmawiał.

- Jakiej wielkości, będzie przypuszczalnie pomieszczenie, w którym nastąpi wybuch? - dopytywał się kapral Lehmann. - Stosownie do tego muszę obliczyć ilość materiału wybuchowego.

- Nie można powiedzieć nic wiążącego - stwierdził Stauffenberg z powagą. -- Istnieją dwie możliwości: pierwsza, to budynek na Obersalzberg koło Berchtesgaden, następna to bunkier dowództwa w głównej kwaterze „Wilczy Szaniec” koło Rastenburga.

- Bunkier! To brzmi całkiem dobrze. Grube mury i wąskie okna. Sprawa pewna jak w banku.

Siedzieli obok siebie w gabinecie pułkownika von Stauffenberga.

Wyglądało to tak, jakby miłośnicy sztuki oglądali jakiś miedzioryt. Ale na stole przed nimi leżało tylko kilka pustych kartek. Lehmann miał zamiar zapisać na nich cyfry i wzory.

- Musimy brać pod uwagę każdą z tych dwóch możliwości -- powiedział pułkownik. - Jedyny punkt oparcia, który mogę panu podać, jest następujący: pomieszczenie, gdzie odbywają się te narady, to nigdy nie jest duża sala. Proszę sobie wyobrazić: mieści się tam ledwie ponad dwadzieścia pięć osób.

- To da się zrobić - powiedział kapral. - Materiał dostarczony przez generała majora von Gersdorffa jest absolutnie pierwsza klasa, najlepszy gatunek brytyjski. Potrzebną ilość da się bez trudności umieścić w teczce. Czy musi się pan liczyć z kontrolą?

- Za każdym razem - oznajmił Stauffenberg - odbywa się to zazwyczaj tak: uczestnicy narady odkładają pasy, zjawiają się więc bez broni.

- Czy to jest sprawdzane?

- Dość regularnie. Odpowiedzialny za to jest SS-Führer Rattenhuber wraz ze swoimi ludźmi: to gwardia przyboczna Hitlera. Zdarza się, że obmacują generałów jak przestępców.

Karzeł Lehmann był nieporuszony. Claus von Stauffenberg docenił rozważną dokładność kaprala. Był pewien, że znalazł najważniejszego człowieka do tej części swojego przedsięwzięcia.

- Ale ludzie biorący udział w tych spotkaniach przynoszą ze sobą załączniki, na przykład akta - rzekł Lehmann. - Powiedzmy akta w teczkach. Czy to również jest sprawdzane przez tych Rattenhuberów?

- Nigdy jeszcze tego nie doświadczyłem, ale nie jest wykluczone, że uprą się, aby obejrzeć moją teczkę.

- To się da jakoś urządzić -, stwierdził Karzeł z całym przeko-

naniem. - Mogę ułożyć ładunek wybuchowy warstwami, tak że będzie wyglądał jak paczka dokumentów. Odpowiednio więc to zmontuję.

- Drażliwy punkt to zapalnik - rozważał Stauffenberg. - Niejedno niepowodzenie zdarzyło się właśnie z tego powodu.

- Ten zapalnik kwasowy - oznajmił kapral ze znajomością rzeczy - musi być złamany, i to obcęgami, kwas rozsądzi boleć, ten uwolni iglicę. Całkowicie bezgłośnie, aż do momentu wybuchu.

- Chyba niezwykle trudno jest obliczyć właściwy czas.

- W porach roku, kiedy temperatury raptownie się zmieniają, rzeczywiście jest to trudne. Ale nie w pełni lata, tak jak teraz. W gorące dni, kiedy temperatura waha się od dwudziestu pięciu do trzydziestu stopni, można zagwarantować dość dokładne obliczenie. Jaka rozpiętość czasu będzie panu potrzebna?

- Mniej więcej piętnaście minut.

- Wobec tego musi się pan liczyć, jeśli to się stanie w dzień, z minimalnym odchyleniem około jednej minuty w jedną albo w drugą stronę.

- Teraz wreszcie mam pewność - rzekł pułkownik von Stauffenberg z ulgą. - Odkąd wiem, że pan wziął się do rzeczy widzę znacznie mniej komplikacji.

- Ta nasza rozmowa - stwierdził Lehmann ostrożnie - jest zaledwie skromnym początkiem. Niezliczone detale trzeba dopiero ustalić.

- Postaramy się nie przeoczyć najdrobniejszego szczegółu.

Kiedy już obaj dokonali swoich obchodów po rumowisku na Goethestrasse, spotkali się znowu zgodnie z umową: przy ocalałej tabliczce przystanku tramwajowego. Uśmiechnęli się do siebie, zakurzeni, spoceni, nieco wyczerpani.

- No i co - zapytał von Brackwede - czy pańskie owieczki dobrze się spisały, czy też nie?

- To zależy, co pan przez to rozumie - powiedział Maier wymijająco. - Może powinniśmy znów porozmawiać, okazja zdaje się dogodna. Co pan sądzi o winiarni Handlera? Ja stawiam!

- Zgoda! - Kapitan von Brackwede uśmiechnął się. Uznał za dobry znak fakt, że Maier gotów był narazić się na znaczny wydatek u Handlera.

Albowiem winiarnia Handlera, położona w centrum miasta, za uroczyste przyjęcie żądała kwoty wysokości miesięcznej pensji. Za to oferowano tam zdumiewające rzeczy, nawet w piątym roku wojny:

wędzone półgęski z Marchii, węgorki z Pomorza, dziczyzna z Prus Wschodnich. Wejście do Handlera było dyskretne, a wpuszczany był tylko ten, kto się wcześniej zapowiedział; oprócz ludzi z ówczesnych wyższych i najwyższych sfer. Maier należał do nich.

- Dzisiaj ma być kaczką w pomarańczach - powiedział sturmbannführer z ożywieniem. - Zapowiedziano również świeże langusty.

- Mam nadzieję, że po drodze nie stracił pan apetytu - zażartował von Brackwede.

Ruiny, które ich otaczały, nadal dymiły. Ludzie dźwigali walizki; zabitych układano w stopy na skraju ulicy. Maier i von Brackwede zdawali się gawędzić. Ludzie, którzy im towarzyszyli, oczyścili ich mundury szczotkami, które zazwyczaj znajdowały się w każdym, samochodzie.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał sturmbannführer. ~ Omlet z pieczarkami zamiast zupy ogonowej.

Co chwila wybuchały za nimi słupy ognia. Okrzyki brygady przeciwlotniczej stały się znów głośniejsze. Von Brackwede i Maier trochę się zakurzili. Potowy mundur oficera wymaga mniej trudu od czyszczącego żołnierza niż czarny sturmbannführera. Jego czyściciel był cały spocony. Poza tym kapitan przywiązywał do tego niewielką wagę. Powiedział:

- W tych czasach każdy jest brudny, na swój sposób.

Kiedy po krótkim czasie znaleźli się u Handlera, powitano ich z szacunkiem. Nawet był wolny ulubiony stolik Maiera. Znajdował się w najdalszym rogu w drugiej sali. Widać było stamtąd cały lokal.

- Najlepsze z najlepszych! - zawołał sturmbannführer do przechodzącego kelnera.

Lokal był, jak zwykle, niezbyt przepełniony: rozgościło się w nim kilku panów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w towarzystwie dam: minister z przyjaciółką; sekretarz stanu z jakimś japońskim małżeństwem; mała grupa świętujących oficerów wraz ze swym pułkownikiem (miał fabrycznie nowy Krzyż Rycerski), pewien aktor z pokornym młodym narybkiem.

Gestapowiec Maier znał większość obecnych. Na jego posterunku znajdowały się akta dotyczące niektórych z nich. Na wszelki wypadek...

Już przy portu - nie smakowało mu, ale chciał robić wrażenie światowca - sturmbannführer przystąpił do sprawy:

- Czy zna pan bliżej generała Becka?

Kapitan von Brackwede **był** przygotowany na takie pytanie,. Powiedział z rozumą:



- Myślę o Becku mniej więcej to samo co pan. Wiem, że znajduje się on na pańskiej liście. I o ile pana znam, chętnie by go pan zainkasował. Zgadza się?

- Jasne - odparł Maier. - To byłby w każdym razie niezły kąsek.

- Ale taki, który nie tak łatwo przełknąć. Można się przy tym udławić.

Gestapowiec, żując swoją kaczkę, skinął żarliwie głową.

- To jest sedno sprawy. Jeśli teraz zamknę generała, nie będzie z tego żadnego pożytku, bo praktycznie nie ma dowodów. Byłoby to diabelnie przykre.

- Rozumiem, Maier. Sensacyjny niewypał z pańskiej strony i łąduje pan w jednostce frontowej. Pan pragnie i musi przedstawić przekonujące dowody. A ja mam panu w tym pomóc.

-•To nie powinno być przecież takie trudne! Ten człowiek bez przerwy pisze. Musi mieć już w domu grube tomy akt. Muszą być wśród nich zdania, które mu skreślą kark.

- I najchętniej zarządziłby pan dziś, wśród ruin, coś w rodzaju akcji ratunkowej, pomoc dla zbombardowanego generała. Aby się przy tym dobrać do jego papierów.

- Na to nie jest jeszcze za późno - powiedział Maier niecierpliwie.

- Wystarczy jeden telefon, moi ludzie tylko na to czekają. I właśnie dlatego siedzę tu z panem. Potrzebuję pańskiej rady! Mam interweniować czy nie? No jak?

- Myślę, że doszliśmy do nadzwyczaj interesującego punktu. Powinniśmy to uczcić. Niech pan zamówi szampana, łaskawy panie. Wypijemy za naszą wielce obiecującą przyszłość.'

- Hrabia von Brackwede kazał panów przeprosić - powiedział generał Olbricht, witając obecnych. - Nasz przyjaciel prosił o przekazanie informacji, że ćwiczy panowanie nad sobą; je obiad z gestapowcem Maierem.

Pół tuzina mężczyzn, którzy spotkali się u hrabiego von Moltke, wyglądało na nieco ubawionych. Żarty ich kolegi, kapitana von Brackwede, były im dość dobrze znane.

- W szczególności pana, panie doktorze, powinienem prosić o wybaczenie. Kapitan tak bardzo chciał się z panem spotkać. .

- Gestapo ma oczywiście pierwszeństwo - powiedział Eugeri G., mrugnawszy okiem.

- Jesteśmy bardzo zaniepokojeni! - zawołał jeden z mężczyzn. Pracował w obecnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i był uważa-

ny za zażartego krytyka przyszłego ministra tegoż resortu, a więc Juliusa Lebera. - Nakaz aresztowania Goerdelera jest alarmujący, szczególnie w obecnej chwili.

- Zdaniem kapitana von Brackwede - oświadczył Olbricht sapiąc - należało się z tym liczyć już od miesiący, właściwie od roku. Ale jeszcze nie wszczęto poszukiwań Goerdelera i jestem pewien, że nie dostaną tak szybko naszego szczerwanego lisa. Albowiem to już kwestia kilku dni.

- Każdego dnia może się zdarzyć bardzo wiele! - wykrzyknął mężczyzna z ministerstwa. - Na kogo teraz kolej, kto musi się liczyć z nakazem aresztowania gestapo? Mamy rzeczywiście wszelkie powody do niepokoju. Dlaczego właśnie Goerdeler! To przecież nie może być przypadek.

- Bo też to wcale nie jest przypadek, ale i nie dzwonek alarmowy. - Jak zwykle w tego rodzaju sytuacjach, kiedy pojawił się niepokój i niepewność, włączył się do rozmowy z przekonującą uprzejmością bardzo młodo wyglądający Helmuth von Moltke. Jego głos brzmiał łagodnie, ale zdecydowanie. - Goerdeler jest znany od lat jako przeciwnik Hitlera. Na temat Lebera gestapo posiada grube teczki akt, które nie są jeszcze całkowicie zamknięte. A Beck jeszcze przed wojną został nazwany przez samego Hitlera nadzwyczaj niebezpiecznym człowiekiem. Można by przytoczyć wiele podobnych przykładów.

- Liczba wyroków śmierci z powodu zdrady stanu, destrukcji sił zbrojnych, zniesławienia fùhrera i podobnych przestępstw rośnie z roku na rok. - Olbricht referował sprawę dobitnie i rzeczowo. - Ponad trzy tysiące wyroków śmierci tylko w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim w sprawach cywilnych w Niemczech, oficjalnie ogłoszonych i wykonanych. To niemal cud, że w naszym kręgu tak niewiele było dotychczas ofiar.

- Ale jest niebezpieczeństwo, że się teraz zacznie!

- Nie można tego w każdym razie całkiem wykluczyć - oświadczył generał Olbricht. - Pułkownik Stauffenberg jest tego samego zdania. Uważa on, że skoro teraz chodzi jedynie o krótki okres i skoro wszystkie istotne szczegóły zostały omówione, nie powinniśmy w ciągu najbliższych dni i tygodni odbywać żadnych spotkań. A zatem największa ostrożność.

- Chwileczkę - wtrącił mężczyzna z ministerstwa. - Czyżby to był rodzaj rozkazu? Muszę wyznać, że niektórzy moi przyjaciele zastanawiają się nad dość władczym sposobem, w jaki pan pułkownik von Stauffenberg próbuje ostatnio ingerować w decyzje poszczególnych grup ruchu oporu.

Olbricht, niemile dotknięty, spojrział w stronę hrabiego von Moltke, który z kolei zamierzał pobudzić Eugene G. do wystąpienia: ten miał nie tylko ostry język i był odważny, lecz zwykł zawsze zdecydowanie stawać przed żołnierzami na Bendlerstrasse. Ale ów zazwyczaj tak skory do dyskusji doktor patrzył zamyślony przed siebie. I dopiero teraz uświadomiono sobie, że on, wbrew zwyczajowi, w ogóle nie brał udziału w tej rozmowie.

- Dlaczego pan,, panie Olbricht - zaczął z rozwagą - powiedział na początku, że kapitan von Brackwede chciałby się ze mną spotkać? Czy to jest to, co przypuszczam?

- Obawiam się, że tak - przyznał generał. I po krótkim wahaniu dodał: Powinienem powiedzieć, że również przeciwko panu gestapo wydało nakaz aresztowania.

- No i proszę bardzo!

Olbricht nie zwrócił uwagi na ten okrzyk, patrzył na milczącego Eugena G. Wyjaśnił tylko: - Ta sprawa nie ma nic wspólnego z nami. Gestapo zrobiło rewizję u księdza Bonhoeffera i znalazło rękopisy, wśród nich również .autorstwa naszego doktora. Dlatego jest poszukiwany,

- W porządku - powiedział Eugen G. - A więc się ukryję, przypuszczalnie w okolicach Stuttgartu. Ale kiedy tylko się zacznę, powrócę natychmiast.

- A więc naprzód, mój drogi - powiedział sturmbannführer Maier. kiedy w winiarni Handlera podano szampana gordon rouge. -Karty na stół! Czy może mi pan dostarczyć tego Becka?

Kapitan von Brackwede zdawał się zwlekać. Jakiś pułkownik, świeżo odznaczony Krzyżem Rycerskim, dyrygował przy stoliku obok. - Jeszcze jedna runda! Napełnić kieliszki po brzegi, bardzo proszę! - Jego głos, nawykły do wydawania rozkazów, brzmiał jak tuba w niedużym lokalu. Niektórzy goście patrzyli zdumieni. Starszy kelner związał się speszony jak w ukropie.

Tymczasem Brackwede powiedział: .

-Pański instynkt nie zwiódł pana. Generał Beck wcale nie jest wyłącznie niewygodnym człowiekiem stojącym z boku.

- Tak jest, spiskuje przeciw führerowi!

Powiem panu więcej. W niektórych kręgach Beck uważany jest za przyszlą głowę państwa niemieckiego.

Maier połykał deser, ciężko oddychając: było to ciasto miodowe, biszkopt i bita śmietana posypana drobno posiekanymi migdałami.

- Człowieku - jęknął przy tym - jeśli jest tak, jak pan mówi, to jedno pozostaje: do paki z tym typem.

- Ale najpierw trzeba udowodnić, że tak jest. A do tego, obawiam cię, sama pisanina generała nie wystarczy. W końcu jest filozofem, a tacy ludzie mogą zawsze dowieść, że zostali błędnie zrozumiani.

- To znaczy, że radzi mi pan, abym zaprzestał akcji?

- Podsuwam panu tylko pod rozważę jej celowość, w obecnej chwili, w danych warunkach! Niech pan się zastanowi: co mogłoby być bardziej cenne, jedno nazwisko więcej na liście rozstrzelanych czy też życzliwość przyszłej głowy państwa?

Twarz Maiera nawet teraz nie zdradzała jeszcze poruszenia, ale jego oczy miały lekko błędny wyraz. Wypił do dna swój kieliszek i zaczął rozmyślać. Von Brackwede przyglądał się tymczasem swoim rękom; nie czuł się dobrze we własnej skórze.

Ale wkrótce ich uwaga została gwałtownie skierowana w inną stronę: pułkownik z lśniącym Krzyżem Rycerskim darł się na całe gardło, przedstawiono mu bowiem rachunek. - To niesłychane! - krzyczał oburzony. - Jak można żądać ode mnie czegoś takiego!

Starszy kelner na nowo zaczął biegać w kółko, wspomagany przez dwóch kolegów. Próbowali utworzyć coś w rodzaju parawanu wokół ryczącego pułkownika, ale na próżno. Jego komenderujący głos przebiłby się nawet przez bitewny zgiełk; winiarnia Handlera drżała w posadach. - Jak oni mają czelność przedstawiać mu coś takiego!

I dalej wrzeszczał ten uwolniony z pęt gość, którego rozzarzył do białości jeden ze zwykłych tu rachunków: - Nazywam się Bruchsal! Moi koledzy i ja każdego dnia nadstawiamy na froncie karki. I tylko po to, aby taka hołota w ojczyźnie mogła żreć i pić! Po takich lichwiarskich cenach!

Starszy kelner błagał: - Proszę pana! Panie pułkowniku! Niech pan się uważa za gościa naszego lokalu!

- Gwiżdżę na to - krzyczał bohater wojny, cały drżący. Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. - Jak można mnie tak traktować! Ta Rzesza schodzi całkiem na psy!

Maier podniósł głowę, węsząc niemal z rozkoszą. Brackwede, na pozór nieporuszony, pił swoją kawę. Jego oczy patrzyły smumo.

Pułkownik wyładował swoją wściekłość bez opamiętania. - Ta cała Rzesza - to nędzny chlew! Ale nic dziwnego, przy takiej łamadze jak führer! Kryje się jak dżdżownica, podczas gdy pasożyty napychają sobie brzuchy!

Pułkownik Bruchsal był popychany przez swoich kolegów ku wyjściu, pozostali goście zachowywali się tak, jakby nic nie słyszeli.

- Wszystko powinno być na swoim miejscu. - Sturmbannführer zapalił cygaro: prawdziwa hawana z francuskich zdobyczy. - A drobna zwierzyna też w końcu wytwarza gnój. Muszę wreszcie jakoś użyźnić moje pole. - I tymi słowami wrzeszczący pułkownik Bruchsal został załatwiony, tak jakby już był martwy.

Kapitan von Brackwede pochylił się ku Maierowi. - A zatem akcja przeciwko Beckowi zostaje odwołana?

- Chwilowo - Maier skinął głową. - Powiedzmy: tymczasem, zakładając pełną zaufania współpracę, między nami.

- To byłaby zatem nasza "paczka z upominkiem" - powiedział kapral Lehmann. Wyglądało to tak, jakby trzymał w ręku gruby album ze zdjęciami rodzinnymi. - Zmieści się w każdej teczce. Pułkownik von Stauffenberg wziął paczkę, i przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała jak związane dokumenty i nie ważyła chyba więcej niż osiem do dziesięciu kilogramów.

. - I to wystarczy?

- Bezwarunkowo. Lehmann narysował pobieżny szkic pomieszczenia, w nim małe kółko, jako główny punkt, w kółku swastykę. - A więc jeśli akcja odbędzie się w bunkrze, wtedy wszystko jedno, gdzie będzie stał ładunek, W normalnym pomieszczeniu odległość między paczką a jej adresatem nie może wynosić więcej niż osiem do dziesięciu metrów.

- To da się zrobić - stwierdził pułkownik.

- Musi pan uważać na okoliczność, która o tej porze roku może się zdarzyć: na otwarte okna. Zmniejszają one dość znacznie siłę wybuchu. W takiej sytuacji musiałby pan podejść do niego na odległość trzech, najwyżej pięciu metrów.

Siedzieli obaj znów obok siebie w gabinecie Stauffenberga. Zdało się, że w budynku nie ma więcej nikogo; otaczała ich nasłuchująca cisza. Było tuż przed północą. Światło osłoniętej lampki padało na ich twarze: na wąską, długą czaszkę pułkownika i na pomarszczoną, obwisłą skórę kaprała.

- Dla niepoznaki zapakuję jeszcze kilka dokumentów.

.- Niech pan tego nie robi, panie pułkowniku. Lepiej wziąć czysty papier albo gazety, może numery „Völkischer Beobachter”. Niech pan się liczy z tym, że po wybuchu może zostać wyznaczony specjalny oddział, który będzie badał każdy strzępek. Niech pan zatem unika wszystkiego, co mogłoby wskazać osobiście na pana. Nigdy się nie

wie, jaki to wszystko będzie miało przebieg. Niech pan nie zostawia więc żadnych śladów, poczynając od wykorzystanej do tego celu teczki.

- Pan jest bardzo skrupulatny, Lehmann.

- Do dziś złoścuję się na myśl o bombie zamaskowanej jako butelka koniaku, którą ludzie Tresckowa wsunęli Hitlerowi do samochodu. Przepuszczalnie zawiódł zapalnik. Ale nie mogę w to uwierzyć. Niewykluczone, że w zdenerwowaniu nie został właściwie odbezpieczony. Nam coś takiego nie może się zdarzyć.

- Pozwoli pan, że zadam panu osobiste pytanie, panie Lehmann.

-Kaprał skinął głową nieco zdziwiony. - Dlaczego pan to robi?

Lehmann roześmiał się prawie bezgłośnie.

Mógłbym powiedzieć tak samo jak pan: ktoś to musi wreszcie zrobić. Ale w moim przypadku to niezupełnie tak. Ja cierpię na wrodzony kompleks: ojciec - syn. Mój stary jest mianowicie ortsggruppenleiterem, i to jakim! Stara się ze wszystkich sił, aby być kopia swojego führera. Zapewniam pana: coś takiego dodaje bodźca!

Pułkownik poklepał przyjacielsko kaprała po ramieniu swoją lewą ręką. Ten nie domyślał się nawet, że taki gest był u Stauffenbergą czymś niezwykłym. Odczuwał bowiem coś w rodzaju lęku przed dotknięciem drugiego człowieka.

- Niech mi pan poda swoją lewą rękę - poprosił kaprał. - A teraz niech pań ściśnie swymi trzema palcami. Niech pan ściśnie z całych sił, Pułkownik wykonał polecenie po krótkim wahaniu.

- W porządku - powiedział Lehmann. - Ma pan dużo siły w palcach. Musiał być z pana krzepki chłop.

- Nie za bardzo - odrzekł Stauffenberg z uśmiechem. - W każdym razie nie we wczesnej młodości. Byłem dość chorowitym dzieckiem. Potem to oczywiście minęło, systematycznie się odchudzałem, uprawiałem gimnastykę. Ale po co ta próba siły?

- Ponieważ teraz dochodzimy do następnego ważnego punktu.

Kaprał wyjął z chusteczki trzy pary obcęgow, przyjrzał im się uważnie, następnie wybrał jedno z nich. Wręczył je Stauffenbergowi. Potem wyciągnął gruby ołówek. - Niech pan go utnie obcęgami.

Pułkownik rozchylił wręczony mu przyrząd, przytknął do ołówka, ściśnął; ołówek rozdzielił się na dwie części.

- Proszę powtórzyć to trzykrotnie, raz po razie.

Stauffenberg wykonał polecenie. Kawalki ołówka odskakiwały jeden po drugim. Spadały na stół w krótkich odstępach. Lehman kiwnął głową z uznaniem.

- To, panie pułkowniku, jest praktycznie ostatnia czynność: złamanie zapalnika. Potem nie ma już odwrotu. Obcęgi uda się przypuszczalnie przenieść w pańskiej lewej kieszeni spodni, ale poza tym nic nie może się w niej znajdować. Każdy ruch musi być bardzo dokładny. Przećwiczymy to.

- A potem?

- Potem może pan przystąpić do akcji. Jeśli o mnie idzie, może to być już jutro.

- Pojutrze - rzekł pułkownik von Stauffenberg,

### 3

#### Stwór, który wymyka się wszelkim kalkulacjom

Jedenastego lipca, we wtorek, generał Olbricht i pułkownik Mertz von Quirnheim uparcie tkwili przy telefonie. Chodzili nerwowym krokiem po gabinecie i unikali patrzenia na siebie. Byli owładnięci silnym niepokojem.

Claus hrabia von Stauffenberg odleciał bowiem do Berchtesgaden ze słowami: - Zabieram cały sprzęt do teczki. - To, na co wszyscy od dawna czekali, miało się stać w końcu rzeczywistością.

- Hitler jest nieobliczalny - powiedział nagle Olbricht. - Nawet kiedy opuszcza główną kwaterę, muszą być zawsze opracowane trzy plany podróży, jeden na wypadek jazdy samolotem, drugi pociągiem, trzeci samochodem. Dopiero w ostatniej chwili się decyduje.

- Ale ten człowiek nie jest w końcu fantomem - odrzekł pułkownik. - I nie trafił dotychczas na żadnego Stauffenberga.

Nasi przyjaciele niejednokrotnie już umieszczali bomby w jego pobliżu. Gotowi byli nawet wylecieć razem z nim w powietrze: Axel von dem Bussche, Ewald Heinrich von Kleist, generał major Helmuth Stieff. Zawsze na próżno. Albo Hitler wcale się nie zjawiał, albo w porę się oddalał, albo przesuwiał terminy. Był po prostu nieuchwytny!

Pułkownik Mertz von Quirnheim krążył dalej wokół telefonu, który stał pomiędzy nimi.

- Przez całą historię wszystkich czasów i narodów krąży jak widmo godne uwagi zdanie: Jeszcze nie wybiła godzina. Teraz jednak nasza klęska jest nieunikniona. Rosjanie zbliżają się do granic Niemiec, inwazja aliantów się udała. Bałkany stracone. Hitlera trzeba za wszelką cenę sprzątnąć, zanim naród niemiecki do reszty się wykrwawi albo zmieni w bandę przestępców.



Zadzwonił telefon. Obaj rzucili się do stołu, na którym stał aparat. Pułkownik Mertz von Quirnheim podniósł słuchawkę i przekazał ją generałowi. Ten słuchał w milczeniu, nie ruszał się, skóra na jego twarzy przybierała szary odcień.

Potem Olbricht powiedział bezdźwięcznie:

- Nic z tego. Nie było ani Himmlera, ani Göringa. A Stauffenberg pytał, czy mimo to nie należało działać?

- Musi wystarczyć sam Hitler! - wykrzyknął pułkownik.

- Może następnym razem - powiedział Olbricht wyczerpany,  
- I musi się to stać za kilka dni.

- Gdzie jest mój brat? - zapytał kapitan von Brackwede. - Czyżby ostatnio nie czuł się najlepiej w pani towarzystwie? A może pani rmi uświadomiła, że również bohaterowie mogą być nędznymi głupimi psami, kiedy na przykład głowa państwa jest hieną?

- Mam dużo pracy - oświadczyła hrabina Oldenburg. Generał Olbricht zarządził ponowne sprawdzenie planów alarmowych „Walkiru”. Nie mogę się więc całkowicie poświęcić leutnantowi, nawet gdybym chciała.

- A chciałaby pani? - Hrabia von Brackwede był jednak na tyle taktowny, że nie oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie. - W każdym razie jeśli pani choć trochę zajmie się moim bratem, może to być tylko z korzyścią dla pani pracy. Obojętne bowiem, co pani teraz uczyni, to i tak nic nie zmieni.

- Stanie się?

- Nie słyszałem tego pytania, a pani go nie zadała. Pani nie wie o niczym, co dotyczy tej sprawy. Nie zna pani bliżej kaprała Lehmana ani szczegółów dotyczących Stauffenberga i innych osób. Nigdy też nie zaglądała pani do żadnych dokumentów w tym biurze. Tak zostało uzgodnione i tego się trzymamy. A teraz niech pani powie, gdzie się podziwia mój braciszek?

- W kasynie. Odbywa się tam odczyt. Specjalnie dla oficerów|,

- Coś podobnego! - wykrzyknął von Brackwede rozweselony i oburzony zarazem. - Czyżby oberleutnant Herbert wygłaszał jedną ze swych wielkoniemieckich mów szkoleniowych?

- Mówi o Zachodzie i zachowaniu prawdziwych wartości.

- Boże wielki! I coś takiego klepie o Zachodzie! A w dodatku znajdują się nawet rozumne istoty, które tego dobrowolnie słuchają! Wśród nich właśnie mój brat. Ale ja go wezmę do galopu.

Von Brackwede zadzwonił następnie do Maiera i poprosił o małą prywatną przysługę.

- Zna pan mojego brata. Chciałbym mu zafundować kilka mocniejszych wstrząsów, z pewnością ma pan kogoś w kleszczach. Czy nie mógłby pan pokazać czegoś takiego leutnantowi. Rozmawialiśmy ostatnio na ten temat. Nasi bohaterowie powinni wreszcie poznać, jak się nadstawia plecy walczącemu frontowi. Załatwione? W porządku. Każę go do pana przywieźć.

- Proszę, niech pan tego nie robi - powiedziała Elisabeth cicho.

- Niech pani na mnie nie patrzy z takim wyrzutem. Ten chłopak jest moim bratem i pragnę, aby pod każdym względem był moim bratem.

- Zawsze miło mi będzie pana widzieć, drogi przyjacielu - powiedział sturmbannführer Maier. - I to nie tylko dlatego, że jest pan bratem mojego wypróbowanego towarzysza walki. Pana również darzę moją pełną sympatią, jako reprezentanta naszych frontowych żołnierzy.

- Jestem wielce zobowiązany, panie sturmbannführerze.

Leutnant znajdował się na Prinz-Albrecht-Strasse, w tak zwanym „warsztacie naprawczym gestapo”. Przyjęty został nad wyraz uprzejmie. Ludzie, którzy pełnili tu służbę, zrobili na nim szczególnie dobre wrażenie: byli szczerze uprzejmi, zachowywali się po żołniersku i mówili tylko to, co niezbędne.

Również budynek sprawiał z zewnątrz solidne wrażenie. Nie był wystawny, ale za to niezwykle czysty. Wszędzie pachniało świeżą farbą i środkami dezynfekcyjnymi. Sprawiał wrażenie bardziej kliniki niż koszar. Maier dobitnie podkreślił swą serdeczność - wykrzyczawszy ją łagodnie - i nie chybił. Leutnant poczuł się bowiem mile połączony faktem, że wolno mu obcować tak poufale z jednym z wielkich w Urzędzie Bezpieczeństwa. Maier przedstawił wielokrotnie odznaczonego oficera swoim najbliższym współpracownikom: sturmführerowi w całej hitlerowskiej wspaniałości i okularnikowi, łagodnie wyglądającemu wyrosniętemu uczniakowi o nazwisku Voglbronner.

Przy filiżance kawy Maier rozpoczął wykład na temat swojego urzędu, obowiązków, trudności, jak również sztuce ich przewycięzania.

- Trzeba posiadać umiejętność znajdowania tego, co najważniejsze. Mamy obecnie u siebie egzemplarz wzorcowy, pułkownika, który wreszcie odpowie za to, że jest nędzną świnią.

Pułkownika? - zapytał leutnant z niedowierzaniem. Maier zrozumiał to pytanie po swojemu. Zaczął mówić obszernie o tak zwanych kompetencjach. O niedomaganiach aparatu sprawiedliwości wynikających z podziału; o specjalnych przywilejach, które niestety usurpuje sobie Wehrmacht w myśl fałszywie pojętych tradycji.

- Ale ostatnio zaczynają sobie torować drogę pewne postępowe metody: gestapo może już wylapywać wszelkie świny i męty, gdziekolwiek się znajdują, poza ograniczonym obszarem Wehrmachtu. Resztę załatwia kilka formularzy. Albowiem chodzi w końcu o Rzeszę, o naszego führera. A tu już każda ofiara jest jeszcze zbyt mała. Czy nie tak? -

- Każda - potwierdził leutnant von Brackwede.

- Niech więc pan ze mną idzie!

Zeszli na dół do hali, przeszli ją i udali się w kierunku wejścia do piwnicy. Ludzie Meiera otwierali każde drzwi, do których podchodził on wraz z leutnantem.

W piwnicy biała otynkowana szpitalna atmosfera tego gmachu wydawała się jeszcze wyraźniejsza. Pomieszczenie, do którego potem weszli, lśniło jasnością: na suficie lampy zebrane w krąg jak na sali operacyjnej. Długi stół pośrodku, za nim krzesło, tylko jedno. Maier kazał przynieść drugie i poprosił leutnanta, aby usiadł obok niego.

Następnie sturmbannführer Maier rozkazał:

:+ Przyprowadzić Bruchsa!

Wkrótce potem do sali przez jednego ze strażników wepchnięty został mężczyzna. Potoczył się W stronę stołu, próbował złapać równowagę, stanął lekko skurczony. Wreszcie kołysał się już tylko jak maszt statku przy lekkiej fali.

- No? - zapytał Maier miękkim głosem.

- Więzień Bruchsa! - zawołał mężczyzna głośno. Miał na sobie wymięte cywilne ubranie: wyblakła, brunatna szarość. Kołnierzyk koszuli wystawał ponad przyciasną marynarkę. Za luźne spodnie przytrzymał rękami. Nie miał ani skarpetek, ani butów. - Więzień Bruchsa numer trzydzieści siedem tysięcy osiemset cztery!

Był to odznaczony Krzyżem Rycerskim pułkownik z winiarni Handlera. Jego twarz była teraz blada, zapadnięta i od kilku dni nie golona. Ręce mu drżały jak alkoholikowi, śmierział potem, urynął i krwią.

- I takie coś - wrzasnął Maier - chciałoby zniszczyć naszego führera! - Sturmbannführer zwrócił się do Konstancy, która spoglądała zmieszana na ten wrak człowieka. - Ta świnka nazwała naszego

führera szaleńcem, którego należy zabić jak wściekłego psa. - I ostrym tonem wykrztusił: - Czy może pan zaprzeczyć, Bruchsal?

- Przyznaję się do winy - powiedział więzień i wpatrywał się ponad Maierem w białą ścianę.

- Takie są te świny. - Sturmbannführer - rozparł się zadowolony na krześle. - Najpierw drą mordy, a potem robią w portki! Żałuje pan tego, co pan zrobił, Bruchsal?

- Żałuję!

- Dalej!

- Żałuję - powiedział niemal bezgłośnie mężczyzna, ledwie trzymając się na nogach - i prosi o sprawiedliwą karę.

Sturmbannführer parsknął pogardliwie, rzuciwszy krótkie spojrzenie w bok na Konstantina. Pełne zdumienia wzburzenie leutnanta sprawiło mu przyjemność; trzeba mu zaoferować przedstawienie, którego nigdy nie zapomni. Wydawało mu się że jest chirurgiem, który na oczach przerażonego laika manipuluje skalpelem.

- Ten gnojek haniebnie oszukał swoich żołnierzy. Giną za Führera i Rzeszę, podczas gdy on w kasynie nazywa Hitlera, szaleńcem. I znajduje jeszcze posłuch u innych świń, które tak jak on są nędznymi zdrajcami bez honoru. - Sturmbannführer stwierdził to z zadowoleniem. Znalazł wreszcie kogoś, kto jego specjalnej, misji, jaką było pilnowanie Wehrmachtu, nadał sens i cel. Wreszcie!

- Nazwiska, Bruchsal!

Ten zaczął mechanicznie wyliczać;

- Oberleutnant Hasenclever, major Samson, major Edler von Hirth, pułkownik hrabia Nasseneuth, pułkownik Nätzel, generał Fellmann, generał Blumentritt, feldmarszałek Rommel... Ależ to absurd! - zawołał leutnant pospiesznie. - To nie może być prawda! Feldmarszałek Rommel? Nigdy!

Teraz sam sturmbannführer zdawał się być zaniepokojony. Zrezygnował ze swej miłej postawy, wstał, przechylił się nad stołem i wrzasnął: - Zamknijcie gębę, Bruchsal!

A do Konstantina powiedział: — To trochę za wiele, muszę przyznać. - Roześmiał się szorstko. - Temu draniowi najwyraźniej brak piątej klepki, ale coś takiego da się naprawić. - To posunęło się rzeczywiście za daleko, pomyślał, z czymś takim nie wolno przychodzić do Hitlera: Rommel był jego oczywistym ulubieńcem.

- Brak mi świeżego powietrza — rzekł leutnant, oddychając ciężko.

- Czy jest panu niedobrze?

- Tak - powiedział Konstantin - mdli mnie.

Feldmarszałek Erwin Rommel opuścił oficerów swojego sztabu bez słowa. Był to wystarczający komentarz. Znali go: kiedy milczał, oznaczało to najgłębsze rozgoryczenie albo pogardę. A milczał podczas wszystkich rozmów przy stole na temat przebiegu inwazji.

Udał się do pomieszczenia, w którym pracował jego szef sztabu: generał studiował mapę i; robił notatki. Rommel stanął obok niego.

- Tego się obawiałem - powiedział po chwili gorzkim tonem, - Katastrofy nie da się już powstrzymać. Tylko idiota może nie widzieć, że ona już nadchodzi.

Szef sztabu nie podnosił głowy znad swojej pracy. Powiedział jakby mimochodem:

-W pańskim gabinecie, panie feldmarszałku, czeka podpułkownik von Hofacker. Przybywa z polecenia generała von Stülpnagla z Paryża.

Rommel pochylił się nad mapą. Przeciwnik nieustannie zdobywa teren. Jeszcze kilka tygodni i alianci staną pod stolicą Francji. Jeszcze kilka miesięcy - i osiągną granicę Niemiec. Tak wygląda sytuacja. A żołnierz musiał ponosić konsekwencje. Ale Hitler zdawał się być ślepy. Już od dawna nie słuchał takich fachowców jak Rommel.

- Niezwykle czasy wymagają niezwyklej decyzji - powiedział spokojnie szef sztabu. - Jest to powiedzenie generała Becka.

Feldmarszałek podniósł zamyśloną twarz. Była to twarz jeźdźcy i myśliwego, który nie może już dostrzec widocznego celu. Zdawało się ogarniać go obezwładniające zmęczenie jak po długotrwałym wysiłku. A potem, jakby sam sobie nakazał żołnierską sprężystość, wstał i wyszedł.

Przywitał pułkownika von Hofackera serdecznym uściskiem dłoni

- Usiądźmy wygodnie-powiedział. -Przywozi pan wiadomości czy żądanie?

Casar von Hofacker był wysoki, szczupły i sprawiał wrażenie człowieka energicznego; nie przypadkiem przypominał Staufferberga. Pułkownik był jego kuzynem.

- Czy pan się zdecydował, panie feldmarszałku? Możemy na pana liczyć?

Bohater z Afryki znał swoją wartość. Jego nazwisko miało legendarną moc. Jego odwaga była niemalże przysłowiowa, jego sława była przez wszystkie niemieckie publikatory rozrzutnie rozdmuchiwana. Nawet alianci znajdowali dla niego słowa uznania.

- Zawsze - zaczął - przedstawiałem moje poglądy otwarcie i szczerze, na ile to było możliwe. To żadna tajemnica, że uważam tę wojnę za przegraną. I nie zawaham się postawić żądania, aby winnego pociągnąć do odpowiedzialności.

- Tym samym - stwierdził podpułkownik stanowczo - również pan wydał wyrok na Hitlera!

Feldmarszałek Rommel wstał. Na próżno starał się ukryć niepokój. Duszący fakt, że miałby być zmuszony do podjęcia decyzji, która dla każdego zwykłego żołnierza, takiego jak on, byłaby ponad siły, wprawiał go w zdenerwowanie.

- W połowie maja - powiedział rozmawiałem z pańskim generałem. W zasadzie jesteście jednomyślni. Kilka dni później spotkałem się z feldmarszałkiem von Rundstedtem, który wówczas był jeszcze głównodowodzącym na froncie zachodnim. Również u niego zyskałem sympatię, choć nie aprobatę bez zastrzeżeń.

- W przypadku nowego głównodowodzącego, feldmarszałka von Klugego, można liczyć na zasadniczo bardziej pozytywną reakcję.

- Bardzo dobrze, to wielce obiecujące i ze wszech miar logiczne! Nawet tacy zatwardziali generałowie SS jak Hauser najwyraźniej stracili już ochotę na tę wojnę. Ale tak po prostu położyć Hitlera trupem? Mówiąc szczerze, Hofacker, jest to myśl, z którą trudno mi się oswoić.

- A więc jak, panie feldmarszałku?

- Mogę sobie wyobrazić, że przy pomocy niezawodnych sił pancernych wsadzimy go do więzienia. Potem musiałyby odpowiadać przed sądem. Albo coś podobnego.

Podpułkownik zamknął na chwilę oczy. Pomyślał p tym, co Claus von Stauffenberg mówił o pewnych generałach. Ale podobne gorzkie myśli Hofacker szybko odpędzał, nie musiały one koniecznie odnosić się do takiego człowieka jak Rommel.

- Przypuśćmy, że uda się stworzyć fakty dokonane, co wówczas?

- Wówczas się przyłączę, oczywiście!

- Czy możemy więc w takim przypadku posługiwać się pana nazwiskiem, panie feldmarszałku? Pan wie, że pańskie nazwisko ma w Niemczech straszliwą moc.

- I właśnie dlatego - powiedział Rommel nie powinniśmy łapać ryb przed niewodem. Myślę, że dopiero gdy sytuacja będzie jasna, moja skromna osoba powinna przystąpić oficjalnie do akcji. Obiecuję sobie po tym nadzwyczajne rezultaty.

- I to niewątpliwie nastąpi - powiedział podpułkownik cicho i bez cienia ironii. - Należy tylko mieć nadzieję, że nie będzie wówczas za późno. Dla pana.

— Niech pan wejdzie - rzekł Julius Leber. - Wcałe mi pan nie przeszkadza ani nie zabiera czasu. - Wyglądało na to, że nie jest zdziwiony tak późną wizytą. - Nie przypuszczam jednak, aby pański brat przysłał pana do mnie.

- Nie, co to to nie. - Konstantin usiadł na twardej kanapie obok Lebera, jak podczas pierwszej wizyty. - Nawet wyraźnie zabronił mi przychodzić do pana. Ale ja musiałem całkiem po prostu przyjść. Bo nie mam z kim porozmawiać o tym wszystkim. Czy to źle?

Leber uśmiechnął się. Poorana zmarszczkami twarz pochyliła się do przodu; zdawała się promieniować z niej mroczna pogodność.

- A więc jest pan.

- Przychodzę wprost z Prinz-Albrecht-Strasse - oznajmił Kofl stantin gwałtownie.

- Sam? - zapytał Leber.

Leutnant spojrział zdumiony. Oczywiście, że przyszedł sam.

- Nikt za panem nie szedł?

- Dlaczego ktoś miałby za mną iść?

- Niech pan o tym niepotrzebnie nie myśli. Proszę mi lepiej powiedzieć, co pana tu sprowadza. Wygląda pan na nieco wzburzonego. Trudno się dziwić, zważywszy, gdzie pan przebywał. Czy chciałby pan o tym opowiedzieć? Proszę, jeśli to panu ulży.

- Dziękuję - powiedział Konstantin. Nie żałował, że wybrał sobie tego człowieka o ojcowskim usposobieniu; nie kapitana, nie Herberta, nie hrabinę. Opowiedział wszystko dokładnie, każdy szczegół. A potem zapytał:

, - Jak można było zrobić coś takiego?

Leber spojrział najpierw zdumiony, potem, w jego oczach zamigotał stłumiony smutek. Czy to pański brat pana tam wysłał?

- Tak - Konstantin popatrzył oburzony, - Uważam, że mógł mi oszczędzić takiego widoku.

- Jeśli pana dobrze rozumiem odezwał się Leber ostrożnie - pańska wściekłość jest skierowana głównie przeciw pułkownikowi-

- On był po prostu wstrętny.

- Z pewnością taki był. Ale niewykluczone, że wzburzyło pana nie tyle to, co ten pułkownik zrobił, ile widok, jaki przedstawiał.

- Właśnie tak! - zawołał Konstantin gwałtownie. - Zgoda, ktoś może być przeciwko führerowi; to może się zdarzyć.

- Bardzo dobrze - powiedział Leber z uznaniem. - Widzę, że gromadzi pan doświadczenia, i powoli zaczynam rozumieć pańskiego brata. No, dalej, panie von Brackwede.

Leutnant z uporem próbował uporządkować swoje rozhukane myśli.

- Jeśli taki ktoś jest przeciwko Hitlerowi, to niech trwa przy swoim przekonaniu. Niech będzie mężczyzną!

- Dalej!

- A co zrobił ten typ? Zachował się jak nędzny tchórz! Próbował nawet zrzucić winę na innych. Nie zawahał się też obciążyć feldmarszałka Rommla. Akurat Rommla!

Leber uniósł ciężko głowę nasłuchując.

- Niech pan to wszystko opowie swojemu bratu, i to możliwie szybko, ze wszystkimi szczegółami. Znajdzie pan w nim równie ważnego jak ja słuchacza.

Konstantin obiecał to uczynić. Następnie znów zajął się swoimi przeżyciami, uwaga Lebera dodała mu otuchy.

- To był już tylko jęczący wrak! Niemiecki pułkownik!

- Pan przypuszczalnie nie docenia brutalnej przemocy. Widział pan bowiem jedynie efekt, ale z pewnością nawet pan nie pomyślał, jak do tego doszło.

- Ależ tak! I właśnie dlatego uważam to za szczególnie wstrętne! Leber wstał i podszedł do prawego okna. Było ono najbardziej oddalone od zaciemnionej lampy na stole. Ostrożnie odsunął zasłon o kilka centymetrów i spoglądał w noc. Widział lśniący księżyc i setki czarnych cieni, w każdym z nich mógł się czaić szpicel. Nie było sensu wpatrywać.

- Można złamać opór niemal każdego człowieka - powiedział Julius Leber po dłuższej chwili. Stał plecami do zasłony.

Konstantin nie wiedział, że stojący przed nim mężczyzna spędził całe lata w obozie koncentracyjnym - z tego trzysta sześćdziesiąt pięć dni w zupełnej ciemności. Przy osiemnastostopniowym mrozie leżał bez koca, bez słomy, bez palta, na gołej podłodze. A jednak mógł o sobie śmiało powiedzieć: nie straciłem poczucia własnej godności.

Konstantin odezwał się nagle:

- Ja wiem, niegodne jest postąpić tak, jak postąpił ten pułkownik. Ale teraz wiem także, iż niegodne jest zmuszać człowieka, aby tak się zachował.

- Widzi pan, drogi przyjacielu, ma pan swoje pierwsze, szczególne doświadczenie. - Leber uśmiechnął się z ojcowską dobrocią. - Niech mi pan wierzy, to, czego się pan nauczył, to nie jest mało.

- Ale jak mam postępować? - pytał natarczywie Konstantin.

- Proszę, niech pan nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, nie mogę jej panu udzielić, choć pokusa jest bardzo wielka. - Leber znów spojrzął na szczerline zasłonięte okno. - Mogę panu powiedzieć tylko coś, co być może zabrzmie banalnie: niech pan zapyta o to swoje sumienie.

- Jestem bezradny, panie Leber.

- Nie zawsze pan będzie taki - pański brat zdaje się bardzo o to



starać. A teraz, jeśli się pan zgodzi, młody przyjacielu, może powinniśmy znów podjąć rozmowę, którą zaczęliśmy podczas pana poprzedniej wizyty. Rozmawialiśmy o wojnach niepodległościowych.

Leutnant von Brackwede opuścił Lebera dopiero wczesnym raniem. Na drzewach pozbawionych liści wskutek wybuchów śpiewały już ptaki. Słońce zdawało się wspinać w górę, zataczając się w mękach jak ciężko ranny, zabarwiało niebo nad Berlinem na czerwono.

- Co za dzień! - powiedział Konstantin,;

Był to dzień, w którym Julius Leber został aresztowany przez gestapo.

- Zebrani mężczyźni uśmiechali się z wysiłkiem, rozmawiali niczym, pochylali się ku sobie, nie zaniechawszy jednak swej sztywnej dumnej postawy, podobni do bocianów stojących w bajorze.

Dr Goebbels, minister propagandy i informacji Rzeszy, wydawał przyjęcie. Wydawał liczne przyjęcia w siedzibie swego biura i przylegających do niego nowych budynkach, to jednak było przeznaczone przede wszystkim dla wojskowych, i to dla tych czołowych osobistości państwowych i partyjnych, które zostały wyznaczone do współpracy z Wehrmachtem na terenie Berlina.

- Mam nadzieję, że dobrze się pan tu czuje! Zwrócił się Goebbels z naciskiem do pewnego generała.

- Bardzo dobrze - zapewnił ów generał.

Goebbels nie oczekiwał gładkiej konwersacji. Nastawił się na „prosty sposób”. Rozsiewał systematycznie swoją przychylność i kazał podawać mocne napoje. Jego goście roili się wokół niego jak komary.

Przez ponad godzinę pokazywał im kronikę wojenną, przeważnie materiały, których nie zobaczy się w żadnym kinie. Pragnął poznać reakcję tych fachowców, choć był pewien, że doświadczenie w ten sposób zdobyte nie na wiele się przyda. I właśnie to nastrojało go wesoło, choć kryła się w tym pewna doza zakłopotania.

- Czy te kroniki powinno się robić bardziej surowo, czy też raczej pod publiczność, jak pan sądzi? - Pytanie to skierował Goebbels do generała Hase, komendanta Berlina. - Bardzo mi zależy na pańskiej opinii.

- Surowość - odrzekł generał - oczywiście nigdy nie zaszkodzi, ale z korzyścią mogłoby być również dobroczynne odstępstwo.

- Odstępstwo od czego? - zapytał Goebbels uśmiechając się.

Generał wyprężył się, podniósł głowę i oświadczył z dobitną pewnością:

- Mam na myśli zręcznie sterowaną równowagę, wyważone „czarne-białe” przeciwieństwa, które się uzupełniają...

Goebbels skinął głową. Niczego innego nie oczekiwał. Jego chytre, rozbiegane lisie oczka lustrowały pomieszczenie. Gdziekolwiek spojrzeł, widział tylko zamierzoną harmonię: szare mundury obok czarnych; wśród nich także brunatne. Ogólny uśmiech ciągnący się jak guma opanował wysokie, urządzone z przepychem pomieszczenie.

Minister nudził się śmiertelnie, ale niewzruszenie rozsiewał optymizm. Niższe stopnie służbowe pomijał; zajmowanie się nimi uważał za stratę czasu. Ale oto stanął przed nim generał z elity partyjnej, von Kortzfleisch.

- Jak największa surowość! - powiedział nie pytany. - Trzymać za mordę, niech nikt nie zasypia. Jednocześnie trzeba ludziom uświadamiać, że istnieją nie tylko trupy, ale także rozrywka. Trzeba jakoś wyróżnić straty, moim skromnym zdaniem.

Minister uśmiechnął się szeroko i uprzejmie, zająrzył przy tym do małego pomieszczenia, gdzie wydawano napoje. Tam widać prowadzono rozmowy znacznie weselsze, chętnie by ich posłuchał. Bardzo był ciekaw.

W pomieszczeniach obok znaleźli się także kapitan von Brackwede i sturmbannführer Maier. Przywitali się nadzwyczaj głośno. Kilku przestraszonych młodszych oficerów odskoczyło na bok.

- No i jak - zapytał Maier - czy pańskiemu bratu oficjalna wizyta u mnie dobrze zrobiła?

- Niestety, na razie nie miałem możliwości zapytać go o to.

- Wobec tego ma pan jeszcze przed sobą drobną przyjemność, tak sądzę. W każdym razie chłopak omal nie zwymiotował! Czy próbował pan już bordeaux naszego kuternogi? - Miał na myśli kulejącego ministra. - Pierwsza klasa. Ten Goebbels ma nosa do wszystkiego, co dobre i drogie.

Kapitanowi Brackwede wesołość Maiera wydała się podejrzana. Stał jak paw, ręce skrzyżował na aksamitnie lśniącym galowym mundurze.

- Wygląda pan, jakby złowił wielką rybę.

- Nawet dwie! Ten pułkownik Bruchsal to prawdziwa kopalnia, dostarcza nawet więcej nazwisk, niż jest mi to w danej chwili na rękę.

Następnie - Maier spojrział teraz ostro na kapitana - wpadł mi w ręce człowiek o nazwisku Julius Leber.

Brackwede potrzebował kilku sekund, aby na powrót odzyskać równowagę. Przeciągając głos powiedział:

- Gdyby to miało wyrosnąć na pańskim gnoju...

- A co pan myśli! - odparował sturmbannführer ochotczo. - Zdaję, sobie doskonale sprawę, że wszedłem panu w drogę. Ale dajmy temu spokój. Leber został uwięziony przez inny wydział, ale ja z miejsca zaklepałem go dla siebie. Albowiem według informacji strażników na listach ludzi odwiedzających Lebera znajdują się także nazwiska kilku oficerów, a więc podpada pod mój resort.

- Postarał się pan o zastaw? Przeciwno mnie!

- W każdym razie nie wprost, jeśli już chcemy, aby wszystko było jasne. Ale teraz zadaję sobie pytanie: ile ten zastaw jest rzeczywiście wart? Czy mam tę rybę teraz zabić, czy też przekazać dalej? A może, zamrozić? Albo z powrotem wrzucić do wody? Nie ma pan ochoty na zamianę? Na przykład jeden Leber za dwóch generałów?

Hrabia von Brackwede zamknął oczy jakby oślepiiony, potem znów je otworzył! Malował się w nich niemy chłód.

- Niech pan, się liczy - powiedział ze zdecydowaną otwartością - z rychłą śmiercią Hitlera! A wtedy będziemy pertraktować zgodnie z aktualną sytuacją.

, Pułkownik, który stał teraz przed doktorem Goebbelsem, został przedstawiony ministrowi przez jednego ze swoich adiutantów jako rycerz Mertz Von Quirnheim. Przebywający tu w zastępstwie generała Fromma, dowódcy ari rezerwowej. Rozmowa z nim zaczęła wciągać Goebbelsa.

Albowiem ten pułkownik nie wygłaszał jedynie pustych frazesów, próbował ze swej strony zasięgać informacji u ministra propagandy. Chciał wiedzieć na przykład: - Jakie spostrzeżenia poczynił pan, próbując wyraźnie pokazać gorzką prawdę, jak reagują na to niemieccy obywatele?

- Nadzwyczaj interesujące pytanie - powiedział Goebbels szczerze. - Odpowiem na nie również pytaniem: Czy niemieccy oficerowie zwykli mówić swoim żołnierzom wszystko, co wiedzą?

- O nie, co to to nie.

- A dlaczego nie?

Wydawało się że szkoda słów na kontynuowanie tego tematu, obaj to czuli. Zнали reguły gry, które obowiązywały, od kiedy istniała władza i były prowadzone wojny: prosty żołnierz albo inaczej człowiek

z ludu, nie zawsze był dojrzały do każdej prawdy. Wodzowie to wiedzieli i zgodnie z tym postępowali.

- Jednakże uważam - powiedział pułkownik - że stosowane metody są nie tylko decydujące, ale także znamienne dla tego, kto się nimi posługuje.

- Masy - rzekł Goebbels z łagodnym cynizmem - są leniwe, głupie i zawsze gotowe obdarzać zaufaniem. Kto chce panować, musi się z tym liczyć. - Po krótkiej przerwie dodał: - To oczywiście nie ja wymyśliłem, tylko starożytni Rzymianie. My liczymy raczej na idealizm, gotowość poświęcenia się i poczucie obowiązku narodu niemieckiego. A wracając do pańskiego rzemiosła, panie pułkowniku, czy wyobraża pan sobie wodza armii, którzy szerzy pesymizm?

- Według potwierdzonych tradycji zwycięstwo jest wiarą żołnierzy.

Minister uśmiechnął się.

- W gruncie rzeczy pracujemy według tej samej zasady. Trzeba umieć myśleć szerokimi kategoriami, jeśli się chce osiągnąć dalekosiężne cele! Uczucia pozostawmy lepiej poetom i dziewczynom; tamten świat niech rezerwuje dla siebie Kościół; słabo rozwinięte umysły niech spokojnie produkują swoje bohaterskie marzenia i wyciskają z siebie miłość ojczyzny. Najważniejsze, żeby wszyscy byli posłuszni naszym rozkazom! Jak pan się właściwie nazywa?

Mertz von Quirnheim, zarejestrował Goebbels w swoim pojemnym mózgu pod hasłem: godni uwagi ludzie drugorzędni z ewentualnymi szansami na karierę.

- Widzę, że pan mnie zrozumiał, pułkowniku. Z pewnością wkrótce znów się zobaczymy.

Pułkownik uklonił się nieznacznie. Jego oczy zakrywały okulary, Podzielał rzeczywiście zdanie Goebbelsa odnośnie do jego ostatniej uwagi.

Z pewnością znów się wkrótce zobaczą.

Na, młodzieńczą twarz śpiącego leutnanta von Brackwede padł cień. Brat pochylił się nad nim. Przez dłuższy czas obserwował Konstantina bez ruchu, badawczo. Wreszcie delikatnie go obudził. Konstantin potrzebował zaledwie kilku sekund, aby całkowicie oprzytomnieć. Potem powiedział: .

- Ty tutaj? Właśnie ty?

- Właśnie ja - odparł kapitan z lekką ironią.

-- Czego chcesz ode mnie tym razem?

-Tym razem mam jedynie ochotę popływać. Zwolniłem cię na

dziś ze służby. Komendant twojej szkoły jest zaprzyjaźniony z pułkownikiem Mertzem von Quirñieimem, a tym samym automatycznie ze mną. A więc ubieraj się!

W godzinę później byli już nad Wannsee. Tu kapitan znał miejsce, gdzie mogli się w miarę spokojnie kapać w przyjemnym towarzystwie. „Cafe Krause z własną plażą” była dość znana.

- Przyjechałem tu wyłącznie dlatego, ponieważ muszę z tobą porozmawiać - oświadczył leutnant.

Niemal z niechęcią spoglądał na ludzi, którzy tu, na wąskiej przestrzeni, oddawali się skromnej radości kąpieli. Pierwsze dni lipca upływały pomiędzy ulewnymi deszczami a prażącym słońcem, przygniatającą dusznością i chłodną wilgocią pochmurnych godzin. Dziewczęta przyjeżdżały jednak ha berlińskie jeziora.

Również te dziewczęta nie pasowały do jego obrazu świata. Te istoty miały przypuszczalnie urlop albo wracały z nocnej zmiany, były to wdowy po poległych żołnierzach lub wcześniej rozwinięte dzieci, żadne wrażeń gospodyni domowe, czy też cudzoziemskie robotnice, te bardziej preferowane. Niezbyt wiele z każdego rodzaju, jednakże wystarczająco, aby odwrócić uwagę młodzieńca.

- Co ty masz wspólnego z uwięzieniem pułkownika Bruchsala?  
- zapytał leutnant.

Kapitan von Brackwede obserwował uważnie swego brata.

- Wyjaśnienie tego wcale nie jest takie proste. Byłem przypadkowo świadkiem, jak pułkownik Bruchsala wygłaszał swoje śmiałe mowy. Potem zeznawałem zgodnie z prawdą. Maier mnie o to prosił.

- I dałeś się do tego wykorzystać?

Co za budujące pytanie! Ty, zdaje się, naprawdę czegoś się nauczyłeś doceniam to.

- A więc pomogłeś wydać tego pułkownika na pastwę losu.

- Twoje sformułowania rzeczywiście mnie zdumiewają, chłopcze. Tylko pozwól mi wnieść małą poprawkę. Po pierwsze, była w tej sprawie cała masa świadków. Pułkownika nic nie mogło uratować. Po drugie; to, że przeklinał Hitlera, świadczy o jego znakomitym charakterze, ale że robił to akurat w lokalu dla bonzów nazi, pozwala wątpić w jego rozsądek.

Jakieś dziecko krzyknęło radośnie, przeraźliwie głośno; jakaś kobieta śmiała się serdecznie. Dwie dziewczyny zaczęły zapamiętale chichotać, raptem zerwały się i skoczyły do wody. Monotonny głos wołał: - Napoje chłodzące!

- Wstyd mi - powiedział leutnant. - Wstyd mi za ciebie!

- To wspaniale! - zawołał kapitan. - A więc uważasz, że nie

należało wydać gestapo człowieka, który nazwał Hitlera nędznym łajdakiem?

- Cóż to za metody! - wykrzyknął Konstantin bezradnie. - Rzygać mi się chce na was wszystkich!

- Obfita porcja nowych doznań! - Kapitan von Brackwede zdawał się rozkoszować chwilą. - Tylko tak dalej, a będę miał z ciebie pocięgę.

Ale Konstantin nie słyszał tego. Poderwał się, chwycił ubranie i uciekł. Przeskakiwał przez rozgrzane słońcem ciała kobiet, omijał pożądliwie pytające spojrzenia, nie zareagował na żartobliwe wołanie powabnej blondynki. Biegł przed siebie, szukając wyjścia.

- To jest ten dzień - oświadczył Olbricht optymistycznym tonem. Spojrzał na zegarek. - Za kilka minut otwieramy pierwsze śluzy. O jedenastej rzucam hasło „Walkiria”.

Była sobota, piętnasty lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Wczesnym rankiem pułkownik hrabia von Stauffenberg w towarzystwie generała broni Fromma poleciał do głównej kwatery Hitlera, tym razem do Rastenburga w Prusach Wschodnich. Potrzebne teczki miał przywieźć kapitan Friedrich Karl Klausning.

Na Bendlerstrasse pułkownik Mertz von Quirnheim otworzył już swoją szafę pancerną. Zaczął układać w stos na biurku posegregowane papiery.

- Najpierw - powiedział do kapitana von Brackwede, który przyglądał się temu z zainteresowaniem - zaalarmujemy jednostki, które są poza Berlinem, reszta nastąpi później.

- Widzę, że pan znów wszystko dokładnie przemyślał - powiedział von Brackwede ostrożnie prowokującym tonem. - Ale nie sądzi pan, że inni też się nad tym zastanawiają. Na przykład dowódcy jednostek, którzy ze swymi ludźmi jadą do Berlina.

- Drogi przyjacielu - rzekł generał Olbricht uśmiechając się, - Wszyscy w końcu musimy się zastanawiać. Również pan nad swoimi sipo, kripo i gestapo. I niech pan nie zapomina o dalszych politycznych „freblówkach”. A więc poważnie: przyda nam się każdy człowiek.

- Jeśli do tego dojdzie - oświadczył von Brackwede. - O ile wiem, narada w głównej kwaterze führera zaczyna się dopiero o wpół do drugiej, a pan już dwie i pół godziny wcześniej chce zacząć? Moje uznanie, ma pan odwagę!

- Ufamy Stauffenbergowi...

- A ja liczę się prócz tego, jeśli pan pozwoli, z Hitlerem!

- Mój Boże, Braekwede! - wykrzyknął generał Olbricht lekko oburzony. - Wiem, że pan chętnie gra tu rolę adwokata diabła, aby nas doprowadzić do najwyższego napięcia, ale wreszcie trzeba z tym skończyć.

- Najwcześniej o wpół do drugiej, jeśli wszystko będzie grało.

- Stauffenberg nie da się nikomu powstrzymać, wszystko za tym przemawia. - Olbricht starał się zdusić pesymizm kapitana. - Niech pan pomyśli o katastrofalnej sytuacji na frontach! Rommel przesłał Hitlerowi rodzaj ultimatum. Dowódca w Belgu, generał von Falkenhausen, został wczoraj zdjęty ze swego urzędu i zastąpiony przez gauleitera. I wreszcie aresztowanie Juliusa Lebera! To poruszyło Stauffenberga do głębi. Zawołał: „Potrzebujemy Lebera! Wydostanę go!

- Już czas - powiedział Mertz von Quirnheim. - Godzina jedenasta.

Olbricht chwycił za telefon: operacja „Walkiria” została puszczona w ruch.

- Wobec tego - rzekł kapitan von Brackwede - ja również zacznę swoje przygotowania. Gdybym był wcześniej potrzebny jestem w kasynie. Muszę się wzmocnić!

- Alarm! - rozległy się silne głosy w korytarzach koszar. Rozbrzmiały wibrujące gwizdy. Syrena wyła przez dobrą minutę. I wciąż na nowo okrzyki: - Alarm!

Działo się tak w oddziałach pancernych w Krampnitz i Gross-Glienicke, w szkole piechoty w Döberitz, w szkole podoficerów w Poczdamie i w wielu innych mniejszych jednostkach, które stacjonowały wokół Berlina.

Działo się to bez szczególnego wzburzenia. Alarmy ogłaszano rutynowo od czasu do czasu. Należały one do planu szkolenia.

- No to już! - mówili oficerowie. - Ruszamy.

- Migiem, na jednej nodze! - wołali podoficerowie. - Weźcie się do galopu!

A żołnierze mówili: - Akurat o tej porze. Jeśli to potrwa dłużej, jedzenie nam wystygnie. Ale co robić?

Ludzie schodzili się z sal wykładowych, magazynów i kantyn na plac apelowy. Napływali z piwnic, warsztatów i dziedzińców koszarowych.

Oficerowie mieli na rękach zegarki, interesował-ich czas, jaki upływał od ogłoszenia alarmu do zbiórki ich jednostek. Trzeba było

koniecznie osiągnąć normę, rekordy w miarę możliwości należy pobić. Wyglądało to na wojskowy mityng sportowy.

Dowódcy kompanii początkowo stali na dalszym planie, wyczekująco, rzucając krytyczne spojrzenia. Dowódcy batalionów udali się do sztabu. Komendant szkoły zebrał wokół siebie oficerów i polecił adiutantowi, aby mu podał z szafy pancerniej teczkę z hasłem „Walkiria”.

- Po pierwsze - powiedział pułkownik Gorn w Krampnitz - należy zakładać, że będą wewnętrzne niepokoje, spowodowane fikcją stanu wyjątkowego. Zgodnie z tym przeprowadzenie tej przymusowej akcji należy do armii.

Obecni stali spokojnie. W ciągu swojej służby jako oficerowie nieraz mieli do czynienia z szeroko zakrojonymi akcjami; pożar w koszarach, pokonanie oddziałów spadochronowych, poszukiwanie zbiegłych jeńców wojennych, działania podczas aktów sabotażu i teraz - wewnętrzne niepokoje.

- Po drugie - powiedział dowódca - wymarsz do Berlina, rejon Tiergarten - Bendlerstrasse, trzy bataliony pancerne. Podporządkowane im będą patrz załącznik C, jednostka szkoły podchorążych piechoty z Poczdamu, w składzie pięć kompanii, równa się jeden batalion. Następnie szkoła podoficerów z Poczdamu, również jeden batalion, ale w składzie tylko trzech kompanii.

Wśród zebranych ani śladu poruszenia. Rozkaz to rozkaz. Pytania o możliwość spożycia tak zwanych żelaznych racji, o ekstra przydziały konserw, wyrobów tytoniowych, ewentualnie także alkoholu, zostały nazwane „chwilowo nieważnymi”.

- Po trzecie - mówił dowódca, przerzucając kartki planów alarmowych - jednostka specjalna składająca się z kompanii czołgów zwiadowczych i kompanii grenadierów, opanuje radiostację Königswusterhausen i Zeesen. - Następnie pułkownik pochylił się znów nad swoimi papierami, jak gdyby chciał przeczytać je jeszcze dokładniej. Potem oznajmił, najwidoczniej sam zaskoczony: - Wszelki opór złamać siłą.

Nawet to nikogo nie poruszyło. Tego rodzaju sformułowania należały w owym czasie do języka codziennego. A w czasie wojny wszystko w końcu było możliwe. Żołnierze w każdym razie czekali cierpliwi, obojętni, gotowi do wymarszu.

- Wydać ostrą amunicję - polecił dowódca. - O wszystkich dalszych szczegółach dowiedzą się panowie z dokumentów, które przekaże mój adiutant. Ja sam udaję się zgodnie z rozkazem do dowódcy armii rezerwowej. - Na zakończenie dodał: - Życzę sobie, aby wszystko grało!



Wkrótce potem - o dwunastej piętnaście - zawarczały silniki. Żołnierze wykonywali mechanicznie swoje czynności, Pierwsze czołgi ruszyły z szarpnięciem w kierunku Berlina.

Szef łączności, generał Erich Fellgiebel, który sprawował pieczę nad wszystkimi telefonami, aparatami radiowymi i dalekopisami na obszarze głównej kwatery führera, stał leniwie przed swoim biurkiem, oparty o betonową ścianę.

Wyglądał jak dyrektor renomowanego Grandhotelu w Szwajcarii, który czeka na znakomitego gościa. Ze znudzoną miną wpatrywał się w szarozółty letni dzień. Potem uniósł lewą rękę, aby zobaczyć, która godzina. Było tuż po wpół do drugiej.

Generał starał się ukryć pełne napięcia oczekiwanie. Ale wciąż spoglądał w kierunku bunkra führera. Gęste drzewa i gruby drut kolczasty ograniczały jego pole widzenia. Palił cygaro najwolniej, jak mógł, i czekał. Potem rozpoznał oficera, opuszczającego wewnętrzny krag. Był to kapitan Klausning, który towarzyszył Stauffenbergowi. Sztywnym krokiem, z trudem się opanowując, podszedł do Fellgiebla.

- Coś nie gra? - zapytał generał.

Kapitan Klausning robił wrażenie zdenerwowanego i wyczerpanego. Powiedział z wysiłkiem:

- Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem...

- Planów było już co najmniej kilkadziesiąt, Klausning. Najlepsze głowy Niemiec nad nimi pracowały. Teoretycznie ten człowiek tam powinien już nie żyć od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego.

- Generał Fellgiebel odepchnął się plecami od ściany bunkra, stał teraz nisko pochylony do przodu. - No widzi pan, też gadam głupstwa! A więc: w czym mogę pomóc?

- Dzisiaj - powiedział Klausning tonem, jak gdyby się wstydził

- chyba nic już się nie da zrobić. Hitler opuścił naradę, ledwie się zaczęła. Przebywał w pomieszczeniu tylko kilka minut. I nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego wyszedł.

- Zawsze to samo! - Erich Fellgiebel bawił się swoimi skórkowymi rękawiczkami. - Czasem odnoszę wrażenie, że jego główne zajęcie polega na tym, aby przewracać do góry nogami plany, zmieniać nagle teren, nie dać się zaskoczyć. Od miesięcy już żyje jakby w ukryciu i zagrzebuje się w swoich wspaniałych jaskiniach.

- Proszę zawiadomić Bendlerstrasse, panie generale - mówił kapitan Klausning. - Jest to pilne życzenie pułkownika Stauffenberga. On sam został jeszcze wezwany do Himmlera.

Po co? Czyżby z powodu nowo utworzonego volkssturmu, który reichsführer SS chce bezprawnie zagarnąć dla siebie?

- Proszę, panie generale,- aby pan zawiadomił Bendlerstrasse. Berlin już od godziny jedenastej częściowo puszcza w ruch plan „Walkiria”.

- Do diabła! - wykrzyknął Fellgiebel. - Jeszcze i to. - Potem ruszył pospiesznie.

- Oto jestem! - Rozpromieniony doktor Eugen G. wszedł do gabinetu kapitana von Brackwede. - No i jak sprawy przebiegają?

- Człowieku! - zawołał von Brackwede zdumiony. - Myślałem, że się ukrywasz. Czego tu szukasz?

- Chciałem być przy tym - powiedział doktor pokornie.

Fritz-Wilhelm von Brackwede poczuł wzruszenie, zmusił się więc do swojej zwykłej ironii.

- Jeśli przybyłeś tu, aby się rozkoszować zakłopotaniem von Olbrichta i Mertza, to wybrałeś właściwą porę. Albowiem wielki dzień został odrąbiony.

- Nie udało się?

- Został przesunięty - powiedział von Brackwede spokojnie. - I to jeszcze nie jest najgorsze! Oczywiście, kosztuje sporo nerwów, kiedy dwukrotnie na próżno bierze się rozbieg, ale Stauffenberg ma mocne nerwy. Będzie próbował po raz trzeci, a także po raz czwarty, jeśli zajdzie potrzeba:

- Ciebie, zdaje się, to nie martwi, Fritz?

Ja po prostu czekałem, a z biegiem lat nabrałem wprawy w oczekiwaniu. Nasi stratedzy zbyt wcześnie otworzyli ogień, teraz chcieliby wystrzeloną amunicję z powrotem zgarnąć do luf armatnich. Chodź ze mną!

Kiedy weszli do pokoju Mertza von Quirnheima, zobaczyli i usłyszeli, że pułkownik telefonuje. Wciąż krzyczał:

— Ćwiczenie zakończone. Akcja „Walkiria” zostaje odwołana. Oddziały wracają do swoich jednostek. Raport do jutra w południe ma być u mnie.

Nieźle - powiedział von Brackwede. - Pan pięknie posypuje piaskiem gołoledź, pytanie tylko, czy tymczasem ktoś już nie złamał sobie nogi?

Olbricht był nieco blady, robił jednak wrażenie spokojnego i opanowanego - najwidoczniej pokonał już największe wzburzenie; resztę załatwił pułkownik swoją zimną krwią. Tak więc generał mógł powitać doktora G. z właściwą sobie serdecznością.

- Jesteście nie tylko dzielni, przyjaciele - powiedział kapitan z łagodną ironią. - Macie też sporo szczęścia. Bo nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby generał Fromm był przy tym. Niejedno z pewnością sam by zauważył. Poza tym nie jest wykluczone, że jego donosiciele będą próbowali otworzyć mu te królicze oczy, a znam w tym gmachu co najmniej trzech generałów, którzy mogliby wchodzić w grę.

- Liczę się z tym - odrzekł Olbricht poważnie. - Powiem, że podejmowałem tylko wyrywkowe próby.

- I Fromm w to uwierzy? - Brackwede popatrzył z powątpiewaniem. - Czy istotnie uwzględniono wszystkie szczegóły, które należały do częściowego alarmu ćwiczebnego?

Pułkownik przerwał telefonowanie. Najwidoczniej nie chciał, aby ta rozmowa toczyła się bez niego. Ale Eugen G. usnączał się do swojego przyjaciela Fritza. Niekiedy z berlińska serdecznością nazywał go „Fritze”. Generał Olbricht zdawał się nad czymś rozmyślać

A potem rzekł powoli i z rozwagą:

- Przydaje się taki sumienny gość jak nasz Brackwede, To on naprowadził mnie na pewną myśl: dokonam przeglądu kilku jednostek postawionych dziś w stan alarmu. Przemówię do nich, używając przy tym takich pojęć jak ćwiczenie, próbny alarm, sprawdzian. To z pewnością będzie dalszym zabezpieczeniem.

Tego dnia kapral Lehmann krążył beczynn timer po gmachu na Bendlerstrasse. Nikt się nim nie interesował, nikt nie potrzebował jego pomocy albo chociażby rady i nikt nie kwapił się do tego, by mu skrócić ciężko wlokące się godziny.

Stauffenberg był bowiem jeszcze w drodze, Brackwede ganiał zajęty jak zwykle po korytarzach, hrabina Oldenburg-Quentin była tego dnia na rozkaz kapitana zatrudniona poza gmachem, a tym samym nie można też było liczyć- na pojawienie się Konstantina.. Lehmann ziewał z nudów.

Wreszcie wpadł na Herberta. Ten udał, że ucieszył się na widok kaprala.

- Niech pan przyjdzie do mnie - powiedział. - Akurat skończyłem cały ten służbowy kram. Czy nie miałyby pan ochoty dotrzymać mi towarzystwa?

Kapral chętnie poszedł za Herbertem.

- Pod warunkiem, że ma pan u siebie kropelkę czegoś mocnego. Chyba to nie jest dla pana zbyt trudne? Przy pańskich stosunkach!

**W:**

Oberleutnant Herbert ugościł kaprała Lehmana wprost rozrzutnie. Opróżnił prawie połowę dolne szuflady swojego biurka; a były tam schowane najlepsze zapasy. Własnoręcznie otworzył puszkę langusty, postawił też najlepszą butelkę, jaką miał: siedmioletnią szkocką whisky. Tyle był dla niego wart ten człowiek.

- Niech pan je i pije - zapraszał Herbert serdecznie. - Nie zbiednieję. - Następnie oświadczył, że musi na chwilę wyjść, ale telefonował tylko z sąsiedniego pokoju.

Kiedy wrócił, zaczął opowiadać o braciach Brackwedfe, szczególnie o Konstantinie.

Zainteresowało to kaprała. - No, jakże się sprawuje?

- Jak najlepiej - oświadczył oberleutnant Herbert. - Spędzamy razem wiele czasu, często całe noce. Leutnant jest wspaniałym mężczyzną. Niestety, moja narzeczona też jest tego zdania.

Lehmann poczuł silną pokusę, aby się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. Następstwem tego była długa rozmowa. Herbert wygłaszał peany na cześć wszystkiego, co dotyczy nazwiska von Brackwede. Wyglądał przy tym oknem na ulicę. Podjechał tam teraz duży szaroczarny mercedes i zatrzymał się w przyzwoitej odległości od budynku.

Jestem niespokojny - powiedział oberleutnant Herbert i tym razem zabrzmiało to wiarygodnie.

Był umówiony z leutnantem, a ten się nie zjawia. To daje wiele do myślenia. Możliwe, że Konstantin przebywa obecnie w mieszkaniu jego narzeczonej, to całkiem blisko, za trzecim rogiem. Ale nie ma tam telefonu, a on sam też nie może wyjść z gmachu, bo oczekuje na ważną rozmowę z Ministerstwa Propagandy. - Więc co mam robić.

Lehmann dobrze się bawił. W jego oczach Herbert uchodził za człowieka, który potrafił mydlić oczy, za karierowicza i hitlerowskiego lizusa. A w rzeczywistości był utrudzoną biedną świnią. Miliony takich jak on żyło obecnie w Niemczech. Herbert był mu w gruncie rzeczy całkowicie obojętny. Ale nie Konstantin! A także nie owa narzeczona Herberta, która rzekomo była zdolna odwieść leutnanta od takiej wyjątkowej kobiety jak Elisabeth hrabina Oldenburg. To pobudziło jego ciekawość.

Powiedział więc usłużnie:

- Jeśli pan naprawdę chce i jeśli to tak blisko, to mogę tam szybko skoczyć.

- Proszę, niech pan tak zrobi! Będę panu wielce zobowiązany! — Krótkie spojrzenie przez okno - limuzyna przypominająca trumnę stała przyczajona.

Generał broni Fritz Fromm, dowódca armii rezerwowej, miał również swoich stronników, paladynów i donosicieli. Kiedy natychmiast, gdy wrócił z głównej kwatery Hitlera, został poinformowany, że podczas jego nieobecności rozpoczęto akcję „Walkiria”, w pierwszej chwili zareagował bez słowa. Przyjął to tylko do wiadomości.

Kilka minut siedział nieruchomo przy biurku. Potem zaczął ostrożnie sondować. Poczul ulgę, kiedy się dowiedział, że generał Olbricht wyjechał, aby przeprowadzić inspekcję jednostek. A więc mógł przebiegłego, zimnego pułkownika Mertza von Quirnheima wezwać do siebie.

- Cóż to za świństwo! - wrzasnął.

- Sprawa rutynowa .oznajmił pułkownik.

Fromm pominął zasadnicze pytanie, mianowicie - jak taiki rozkaz mógł być wydany bez jego zezwolenia. Przeciwnie, udał, że wszystko stało się zgodnie z jego intencją tylko nie całkiem dokładnie, zbyt mało precyzyjnie - To przedsięwzięcie należało przygotować staranniej.

Mertz von Quirnheim szybko się zorientował, do czego Fromm - zmierzał: uniknąć niewłaściwego kroku, nie brać na siebie ryzyka! Powiedział z ulgą:

- Zostaniemy poinformowani o ewentualnych źródłach błędu. Takie jest polecenie.

- Mam nadzieję - rzekł generał niechętnie;- że nie zrobiono tu zbyt wielkiego szumu. - I po ojcowsku zatroskanym tonem dodał: -Ludzie, tylko nie róbcie głupstw!

- Akcja była dokładnie przemyślana - zapewnił pułkownik.

- Mam nadzieję - powiedział Fromm odwracając się w każdym razie sporządzą notatkę do akt i niech pan to ma na uwadze. Najpierw do użytku wewnętrznego. A w niej będzie napisane: Nie pochwalam, i to jak najostrzej; upomniałem, i to stanowczo. Krótko mówiąc: nie mam zamiaru tolerować niepewnych eksperymentów na moim terenie. Czy to dość jasne?

- Wystarczająco jasne - potwierdził Mertz von Quirnheim i poprawił okulary.

Na Bendlerstrasse - w kierunku nabrzeża, Sprewy- zdarzył się tego dnia wypadek, który doprowadził do znacznych niepokojów. Zdarzenie miało przebieg następujący: podoficer o nazwisku Leh-

mann opuści budynek na Bendlerstrasse. Wyprowadził rower; jechał na nim powoli. Za nim zdążyło szaroczarne auto.

, Nagle podoficer zeskoczył z roweru, wyciągnął pistolet i celnymi strzałami przebił obie przednie opony samochodu. Pasażerowie auta schowali się - wszystko zgodnie z regulaminem - a kiedy znów odważyli się pokazać, mężczyzna z rowerem zniknął.

W samochodzie siedział Voglbronner. Zaalarmował go telefon. Działal tu z tak zwanej własnej inicjatywy, albowiem jego bezpośredni przełożony Maier był nieosiągalny. Nie przypisywał sobie winy za to że się nie powiodło.

Z wielkim trudem dotarł na Prinz-Albrecht-Strasse. I dopiero po dłuższym oczekiwaniu mógł złożyć sprawozdanie sturmbannführerowi.

- Człowieku - powiedział Maier - to wprost żalosne. - A potem wrzasnął: - Jest pan nędzną kreaturą. Takich ludzi należy łapać żywcem albo zostawiać martwych w przydrożnym rowie. A to, na co pan sobie pozwolił, graniczy niemalże z sabotażem!

Voglbronner zgrzytał zębami. Czegoś takiego, próbował się tłumaczyć, nikt przecież nie mógł przewidzieć; to się jeszcze ani razu nie zdarzyło w jego praktyce.

- Co też człowiek musi znosić! - grzmiał Maier.. I świdrując wzrokiem Voglbronnera dodał: - Jeśli jest otoczony takimi nieudolnymi pracownikami! Jeszcze jedna taka wpadka i koniec z panem, Voglbronner!

Maier próbował teraz wyjaśnić sprawę osobiście. Pojechał oficjalnie na Bendlerstrasse. Po kilku manewrach został skierowany do kapitana Brackwede, jak należało się spodziewać. Co nastąpiło potem, mógł przewidzieć.

Brackwede wydawał się zaskoczony.

- Czy to możliwe? - zapytał. Ponieważ tymczasem Lehmann rozmawiał z nim już telefonicznie, wiedział, że kapral jest bezpieczny. W Berlinie było jeszcze wiele kryjówek. - Oczywiście moim obowiązkiem jest go wydać, tylko że ja go nie mam!

Maier szybko się zorientował, że jego pozycja jest beznadziejna. I dlatego wystrzegął się stawiania pochopnych żądań. Powiedział nawet:

- Mam na myśli jedynie naszą planowaną współpracę.

- Przywiążuję do tego, tak jak dotychczas, szczególną wagę ~ zapewnił kapitan. - Ale z tym Lehmannem niestety nic się nie da zrobić. Jest po prostu nieuchwytny.

A dlaczego? Proszę mnie zrozumieć: potrzebuję oficjalnego przekonującego wyjaśnienia.

- Może je pan mieć! Ten Lehmann w pewnym sensie się usamodzielniał... odłączył się od jednostki. A zatem, i to może pan zanotować, zdezerterował.

- No już dobrze! - zawołał Maier. - Nie jestem taki głupi. I oczywiście chętnie służę panu pomocą w poszukiwaniu tego typu. W końcu kiedyś go schwytamy.

Von Brackwede oparł się na krześle.

- Pan chyba wciąż jeszcze nie zdaje sobie sprawy, mój drogi, jak mało czasu panu pozostało, aby zająć właściwy stosunek wobec pewnych spraw. Być może już jutro albo pojutrze może być dla pana za późno!

I tak to wygląda, żyjemy w wielkich, ale i niebezpiecznych czasach - oświadczył oberleutnant Herbert. - Kreatury, które stały się dezertkami, można spotkać wszędzie. A z łajdakami, którzy obrzucają führera wyzwiskami, musimy się niestety również liczyć i odpowiednio z nimi postępować.

Konstantina żywo interesowało co się stało z kapralem Lehmannem. Nie mógł również zapomnieć pułkownika Bruchsala. A fakt, że Julius Leber został aresztowany, uważał za tragiczną pomyłkę.

Przyszedł do brata, aby z nim porozmawiać, kapitan jednak twierdził, że jest bardzo zajęty. Próbował znaleźć hrabinę Oldenburg, ale ona podobno wyjechała na cały dzień. Natknął się w końcu na Herberta, który przyjął go z otwartymi ramionami.

- Nie musisz na to tak patrzeć, Konstantin, ofiary zawsze muszą być. - Zaczął zwracać się po imieniu do młodego leutnanta. Nie bez znaczenia był tu fakt, że był bratem najbardziej wpływowego kapitana, - Poza tym: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Zaciągnął Konstantina do Molly, aby stworzyć jak najprzyjemniejszą atmosferę. Dziewczyna siedziała w płaszczu kąpielowym, właśnie wzięła prysznic; przypadkiem znów była woda w tej części miasta i trzeba to było wykorzystać.

- Niech mi pan wytrze plecy - zwróciła się Molly z kokieterijną bez troską do Konstantina.

.. - U niej zawsze się zaczyna od pleców - zażartował Herbert.

Wahanie Konstantina zdawało się go bawić. Mrugnął poufale. - Nie krępuj się. Tu sami swoi, a poza tym jestem za ogólną koleżeńską.

Oberleutnant wskazał przy tym z dumą posiadacza na baterię butelek, które stały na barku na kółkach. Również to osiągnięcie związane z nową posadą zawdzięczał kapitanowi von Brackwede.

- Twój brat, Konstantinie, to zuch, co tu gadać. A kiedy rozmawia z pułkownikiem Mertzem albo z generałem Olbrichtem, to dopiero klasa! Ostatnio zbeształ nawet generała Fromma podczas narady, aż go zatkało! Ale tak trzeba! Żaden generał nie powstrzyma

nas od tego, aby otwarcie wypowiedzieć swoje zdanie.

Konstantin wycierał ostrożnie plecy Molly - mruzczała jak zadowolona kotka. Ale ruchy leutnanta były mechaniczne, uważał, że Molly bardziej go drażni niż podnieca. Ale i tak jego dziko poplątane myśli zostały przyjemnie ukojone: albowiem Herbert uparł się, aby leutnant wypróbował wszystkie gatunki przedniego francuskiego koniaku, od Hennessy do Doboucheta, od Monneta do Courvoisiera. Ten, który mu będzie najlepiej smakował, zostanie odtąd zarezerwowany dla niego.

- Trzeba być realistą, Konstantin! - ciągnął dalej Herbert. - Tu idzie o ostateczne zwycięstwo! Kto tego w stu procentach nie czuje, zostanie skrócony o głowę.

- Może pan śmiało mocniej masować - mruknęła Molly.

Ale Konstantin nie przystał na to. Lekko bełkocąc, powiedział:

- Jedna rzecz budzi moje poważne- obawy; mianowicie pewne metody...

- My bronimy przecież tylko swojej skóry, człowieku! Wrogowie chcą nas zniszczyć, tak powiedział führer!

Konstantin nie znalazł już sił, aby na to odpowiedzieć. Zobaczył, że Herbert wstał, zataczając się, i ugiął ramiona. Wyglądał, jakby trzymał w rękach pistolet maszynowy.

- Powystrzelać! - zawołał przytłumionym głosem. - Powystrzelać wszystkich, którzy stoją na drodze naszemu führerowi.

- Chcę znów wziąć prysznic - oznajmiła Molly i wstała, kołysząc się. - Kto mi namydli plecy?

Herbert otworzył następną butelkę i poprosił Konstantina, aby towarzyszył Molly do łazienki. Leutnant był akurat przy dwunastej próbie koniaku, tym razem była to rzadka marka Jouvét-Reserve; napełniono płynem szklanekę do wody. Konstantin wlał w siebie alkohol i poszedł na chwiejnych nogach i z zamglonym umysłem do łazienki.

Zwracał się do Molly „Elisabeth”. Ale zabrakło mu już sił, aby ją namydlić, jak sobie życzyła. Usiadł na brzegu wanny, zsunął się powoli na podłogę i tam został.

Herbert, przywołany przez Molly, wszedł, zataczając się. Popatrzył na leżącego leutnanta i powiedział ciężko:



- Potrzebna mu kobieta.
- Ale taka - wtrąciła Molly - która ma na imię Elisabeth.
- Będzie ją miał - oświadczył Herbert wspaniałomyślnie. - Jestem wszakże jego przyjacielem. Przemówię jej dosadnie do sumienia. Co sobie ta gęś myśli? Na co czeka?

- Zrobił pan tyle, ile mógł - zapewnił generał Ludwig Beck.
- Chciałbym to na wstępie stwierdzić.

- Ale to nie wszystko, na co mnie stać - powiedział pułkownik von Stauffenberg. - Ja nie rezygnuję.

W dniu po kolejnej próbie zamachu - w niedzielę 16 lipca 1944 - Stauffenberg został poproszony do Becka; prośba ta była rozkazem. Siedzieli naprzeciw siebie w gabinecie generała. Książki na ścianach otaczały ich jak wał ochronny.

- Puszczanie w ruch operacji „Walkiria” - powiedział Beck mogło przynieść tu i ówdzie problematyczny sukces. Nie wszędzie jednak zgrano to w czasie.

- Ja również jeszcze nie jestem zadowolony z planów - przyznał Stauffenberg. - Wydaje się, że poprawki są pilnie konieczne. Olbricht i Mertz pracują już nad tym. Brackwede również zgłosił zastrzeżenia. Nie podobają mi się wezwania alarmowe. One również powinny być opracowane na nowo. Nastąpi to w najbliższych dniach.

- Może powinniśmy odstąpić od radykalnego rozwiązania - powiedział nagle Beck. - Oczywiście to byłoby najpewniejsze. Jednakże istnieją jeszcze inne.

- Każde inne rozwiązanie - odparł pułkownik - potrzebuje czasu, wymaga nowych, drobiazgowych przygotowań, odsuwa coraz dalej decyzję. Tymczasem Goerdeler może zostać ujęty, Lebera zamęczą torturami, ważni ludzie stracą odwagę i odpadną.

- Tak - powiedział Beck wyraźnie niechętnie - wojna to nie życiodajne źródło, a już na pewno nie dla ludzi, którzy się zdecydowali na opór.

- Jest jeszcze tylko jedna możliwość! - Claus von Stauffenberg wyprostował się, trzy palce lewej ręki położył na mundurze, tam gdzie było serce. Zdawało się, że odczuwa silne, pojawiające się nagle bóle.
- Zarzuca mi się, że najpierw robiłem wielkie obietnice, a potem niczego nie dotrzymałem. Himmler groził, że takim ludziom jak Beck i Goerdeler przeszkodzi w realizowaniu ich zamiarów. A Brackwede pokazał nam notatkę brytyjskiej agencji Reutersa, w której podaje się do wiadomości, że W Niemczech wyznaczono już jednego z oficerów

sztabu generalnego, aby zabił Hitlera. To wszystko zmusza nas do szybkiej decyzji.

- A jeśli panu rozkażę, aby pan zrezygnował, co wtedy?

- Proszę, niech pan nie wydaje takiego rozkazu.

Ludwig Beck milczał dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

- Rozkazuję panu rzecz następującą: naradzi się pan raz jeszcze, ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi i przekaże im moje zastrzeżenia. Jeśli nadal będą obstawać przy pańskiej decyzji, wówczas: w imię Boże!

Przypadkowo szedłem tędy - powiedział sturmbannführer jowialnie. — Pylem służbowo w tej dzielnicy i pomyślałem sobie, że pana odwiedzę!

Maier zdawał się całkowicie wypełniać sobą wąski pokój leutnanta von Brackwede w szkole lotniczej w Bernau. Z zainteresowaniem lustrował skromne wyposażenie. Było to coś w rodzaju celi więziennej z odrobiną komfortu. Sturmbannführer usiadł na łóżku polowym.

- Kiedy widział pan ostatni raz swego brata? - zapytał uprzejmie.

- Wczoraj, ale był bardzo zajęty, zamieniliśmy ze sobą zaledwie dwa słowa - odpowiedział leutnant i niemal z goryczą dodał: - Może to i lepiej.

- Rozumiem pana - stwierdził Maier przyjacielskim tonem. - Pański brat nie jest z pewnością człowiekiem tuzinkowym. Ale właśnie dlatego powinien się nad tym trochę zastanowić.

- Jaki by to miało sens? - zapytał Konstantin. - On i tak robi, co chce.

Głos sturmbannführera przestawił się na najłagodniejszy ton, podczas gdy rysy twarzy zastygły. - Lubię Fritza, pańskiego brata, niech pan mi wierzy. Ale właśnie to napędza mnie pewną troską. Niepokoją mnie bowiem niektóre poczynania, na jakie sobie pozwala,

- Czasem i ja odnoszę niemal takie samo wrażenie - wyznał Konstantin z bezmyślną szczerością. - Kocham bezgranicznie mojego brata, ale nie jestem jego stróżem.

Sturmbannführer skinął głową i wyciągnął kartkę z mankietu rękawa. Na kartce narysowany był szkic: dość długie pomieszczenie, szeroki stół, litera „H” pośrodku, a obok krzyż.

- Czy pan wie, co to znaczy?

A chodziło tu o szkic, który przedstawiał naradę w głównej kwaterze führera. Krzyż oznaczał miejsce podłożenia ładunku wybuchowego, litera „H” krzesło Hitlera. Ani Maier, ani Konstantin nie mieli pojęcia, o co chodziło w tym szkicu, który został znaleziony

w koszu na śmieci w budynku przy Bendlerstrasse. Również tam kilka sprzątaczek pobierało od gestapo ekstra honoraria.

- Można się całkiem nieświadomie albo wbrew własnej woli wpłatać w niebezpieczną aferę, już ja się na tym znam. - Sturmabführer sięgnął błagalnym gestem po dłoń Konstantina. - Jeśli coś wyda się panu niezrozumiałe albo budzące wątpliwości, proszę się bezzwłocznie do mnie zwrócić. Na pewno wyciągnę pańskiego brata!

--Obiecałem generałowi Beckowi - rzekł Claus von Stauffenberg - że z bezwzględną otwartością przedstawię naszą sytuację. A potem, w lewo albo w prawo! Musimy powziąć ostateczną decyzję. I ta decyzja będzie wiążąca.

Tego wieczoru - w niedzielę 16 lipca 1944 - w mieszkaniu pułkownika vort Stauffenberga nad Grosser Wannsee zebrali się następujący ludzie: Adam von Trott zu Solz, radca poselstwa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; kapitan Ulrich-Wilhelm hrabia von Schwerin-Schwanefeld, starszy radca stanu; Peter hrabia York von Wartenburg, pułkownik rycerz Mertz; von Quirnheim; pułkownik w sztabie generalnym Georg Hansen; podpułkownik Casar von Hofacker z Paryża; Berthold von Stauffenberg i kapitan von Brackwede, razem dziewięć osób.

— Są trzy możliwości - zaczął Claus - i to nie tylko zdaniem generała Becka. — Czy mogę cię prosić, Fritz, abyś je przedstawił?

- Niechętnie ~ powiedział kapitan von Brackwede z uśmiechem. Zdawało się, że wypełnia go z trudem ukrywany niepokój. Niemal pośpiesznie wyjaśnił: - Rozwiązanie numer jeden jest wszystkim znane, radykalna akcja. Numer, dwa można nazwać rozwiązaniem berlińskim: przejście całego aparatu rozkazodawczego i informacyjnego, wycofanie frontów przechytrzenie głównej kwatery. Trzecie tak zwane rozwiązanie zachodnie: przerwanie tam walki, wycofanie oddziałów aż do Westfalii, wzmocniona obrona na wschodzie.

A dowódcy?

Brackwede uśmiechnął się sarkastycznie.

-Gdy tylko Hitler zostanie zlikwidowany, natychmiast będą potrzebowali nowej głowy państwa, aby znów móc pokornie służyć.

Kapitan spojrział wymownie na Stauffenberga, ale pułkownik milczał. Nie chciał się wtrącać zbyt wcześnie. Zakładał, że jego stanowisko wobec niektórych dowódców jest z góry znane. Między innymi nazwał ich kilkakrotnie osłami. Mówił o nich: pod drzwiami Hitlera są odważni, a w jego obecności upokarzają się!

Wielokrotnie próbowaliśmy nawiązać łączność z aliantami - oświadczył Trott zu Solz.

- Podobnie starał się i Himmler - wtrącił kapitan von Brackwede.

- Oczywiście te próby nie przyniosły rezultatu. Z takim katem jak on nikt nie chce pertraktować. A jak wyglądają nasze starania w tej mierze?

- Zainteresowanie, dobra wola, współczucie, ale nic poza tym

- poinformował radca z MSZ. - Nasi przyjaciele podjęli mozolne próby nawiązania kontaktów, sięgające aż do Churchilla, bez widocznego rezultatu.

- Może to i dobrze - powiedział Berthold von Stauffenberg w zamyśleniu. - Musimy sami, wyłącznie sami, ze wszystkim się uporać.

Obecni milczeli. Brackwede przyglądał im się lśniącymi oczyma. Claus von Stauffenberg siedział jakby nieobecny, zapomniał nawet wytrzeć ropiejące oko. Cienka strużka stawała się widoczna na jego napiętej twarzy: ale nie dał po sobie, poznać, że przenika go świdrujący ból.

- Rozmawiałem dziś telefonicznie z Hennihgiem von Tresckowem - oznajmił kapitan von Brackwede.

- Sprecyzował swój punkt widzenia następująco; zamach na Hitlera musi nastąpić, obojętnie za jaką cenę. Gdyby się nie udał, te i tak trzeba dokonać przewrotu, Albowiem teraz chodzi już nie tylko o praktyczny cel, ale także o to, że niemiecki ruch oporu z narażeniem życia odważył się wobec świata i historii na decydujący krok. Wszystko inne jest nieważne. Tyle Henning von Tresckow.

- Zgadzam się z nim--powiedział: pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg. - Jest jeszcze tylko jedna możliwość i ta musi być i będzie wypróbowana. Wciąż od nowa aż do skutku!

Kurz z ruin opadał jak mgła na ulice Berlina. Unosił się ku resztkom domów, oblepiał okna, a dachy jakby pociągał szarobrudną farbą. Ani jednego człowieka, który by robił wrażenie całkiem czystego.

Jednakże buty leutnanta Konstantina von Brackwede lśniły, rękawiczki były świeżo wyprane, a liczne odznaczenia błyszcząły na piersi. Stał pod kinem na Kurfurstendamm i czekał na hrabinę Oldenburg-Quentin. Był bardzo niespokojny: stawił się już na pół godziny przed umówioną porą.

Spoglądał na pobliski kościół, na dworzec ZOO i na ciemny

wieżowiec w kierunku Tauentzienstrasse. Nie widział pozaklejanych okien, które wyglądały jak puste oczodoły. Nie zauważał też ludzi, którzy przechodzili obok niego, również szarzy jak ruiny wokół, o kwaśnym zapachu, w ubraniach wiszących jak na szkieletach, o wyschniętych ziemistych twarzach. Pragnął ujrzeć wyłącznie Elisabeth.

Wreszcie przyszła. Miała na sobie szarą jedwabną sukienkę; opinała gładko jej ciało. Uśmiechała się do niego niemal czule już z daleka.

- Jak pięknie - zapewnił Konstantin z wdzięcznością - jak pięknie, że pani jest, że pani przyszła.

- Chętnie tu przyszłam - powiedziała. Ale jej oczy patrzyły poza nim w stronę ludzi, którzy sunęli ku ciemnym tunelom metra. Tam zanurzali się jak kamienie w bagnie. - Z pewnością znów będzie alarm przeciwlotniczy, ale zanim to nastąpi, mam nadzieję, że spędzimy miły wieczór.

Poszli do restauracji, która znajdowała się w bocznej ulicy od Kurfurstendamm, nazywała się „Pod Winoroślą” i była odwiedzana głównie przez oficerów z Bendlerstrasse. Właściciel służył ruchowi oporu jako „skrzynka” i rezerwował stoliki dla swoich przyjaciół.

- Oczywiście, powiedziałam pańskiemu bratu, gdzie będziemy - oświadczyła Elisabeth. - Taki jest zwyczaj w naszej pracy, musimy być każdej chwili do dyspozycji.

- Chyba nie ma nic przeciwko temu, iż jest pani w moim towarzystwie.

- Wydawało mi się, że mu to nawet odpowiada - przyznała Elisabeth. - Czy pan się gniewa?

Konstantin zaprzeczył; lekko się przy tym zaczerwienił. Pochylił się nad skąpą kartą dań. Ale nie potrzebował wybierać, albowiem właściciel sam się zjawił i oznajmił pozwolił sobie osobiście dokonać wyboru i proponuje wino ze swoich prywatnych zapasów. Uśmiechnął się lekko do hrabiny i wyjaśnił gościom: kapitan podsunął mu tę myśl telefonicznie.

Jedzenie, które im następnie podano, nie było szczególnie obfite, ale wyszukane, na ile to w Berlinie jeszcze było możliwe. Do tego wino z Kitzingen. Gawędzili swobodnie blisko godzinę.

Potem zjawił się kapitan von Brackwede. Podeszedł do ich stolika, usiadł i powiedział, uśmiechając się;

- Myślę, że przeszkodziłem! Ale nie dało się tego uniknąć, i być może warto było.

- Jestem oczywiście do pana dyspozycji - zapewniła Elisabeth.

— Tym razem nie chodzi o panią, zamierzam tylko porwać Konstantina. Jestem mianowicie umówiony z pułkownikiem Stauffenbergiem, który nie ma nic przeciwko temu, aby brat mi towarzyszył. To dla niego niepowtarzalna okazja! Pozwoli pani, hrabino.

Ehsabeth zapytała cicho:

- Czy nie ma innego wyjścia?

- Nie - powiedział kapitan. - Uważam to za konieczne i być może jest to jedna z ostatnich okazji dla Konstantina, aby zgromadzić ważne doświadczenia. Widzę, że pani nie ma nic przeciwko temu, hrabino. Dziękuję serdecznie! A więc chodź, mój chłopcze!

- Wejść!; - zawołał Stauffenberg do kapitana von Brackwede.  
- Jestem akurat przy moim ulubionym zajęciu, uprawiam zdradę stanu.

Pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg roześmiał się przy tym, a leutnant von Brackwede, który towarzyszył swemu bratu, był pewien, że usłyszał grubą żart. Wśród sztabowców takie ekstrawagancje były czymś powszednim, w każdym razie w tym gmachu.

Pułkownik odłożył na krótką chwilę słuchawkę i podszedł szybkim krokiem do leutnanta. Wyciągnął do niego trzy palce lewej ręki. Cieszę się, że mogę pana poznać, panie von Brackwede. Pański brat trochę mi o panu opowiadał.

Serdeczny śmiech Stauffenberga rozbrzmiewał już coraz rzadziej. Dawniej przyjaciele poznawali go przez zamknięte drzwi po tych wybuchach szczerej wesołości, ale teraz dostrzegało się tylko stanowczą energię, skoncentrowaną uwagę i napięte oczekiwanie.

Po chwili zostawił leutnanta i na nowo wziął do ręki słuchawkę. Rozmawiał z szefem sztabu Wojsk Lądowych.

- Ostatnia przesyłka została potwierdzona przez pańskie biuro przed blisko czternastoma dniami, na początku lipca, niech pan sprawdzi! - I prawie jednym ciągiem do kapitana von Brackwede: - Mamy już poprawione wezwania alarmowe i nowe teksty pierwszych dalekopisów, Fritz.

Kapitan podszedł do biurka Stauffenberga, wyciągnął teczkę leżącą z prawej strony na samym spodzie i usiadł na krześle. Konstantin stał z boku jak przykuty. Czuł niemal fizycznie napierający niepokój, który panował w tym pomieszczeniu.

Pułkownik znów rozmawiał przez telefon. Nie, w żadnym wypadku nie może podwoić przydziału materiałów; owszem, zdaje sobie sprawę, że byłoby to konieczne, ale w najbliższym czasie trzeba się nawet liczyć z tym, że z trudem zostaną zachowane dotychczasowe ilości.

- Ta wojna, mój drogi, zaczyna być przejażdżką saniami w przepaść... Czy pan się nad tym zastanowił, czy pan chce wyskoczyć? Nie? No to szczęśliwej podróży!

. Pułkownik nie odkładał słuchawki, rozmowa goniła rozmowę. Leutnant von Brackwede skromnie usiadł na krześle w pobliżu drzwi. Stąd mógł obserwować brata i młodzieńczo ożywionego szefa sztabu. Ci dwaj zdawali się rozumieć bez słów.

- Nie - zawołał Claus Stauffenberg, tym razem niemal z zimną zawziętością. Zazwyczaj jego głos brzmiał miękko i basowo. Ale ten głos potrafił się zmieniać w ciągu sekundy. - Tak nie można! Uprzywilejowana pozycja jednostki odpada wobec własnych kobiet i dzieci. Jeśli niemieccy obywatele z terenów wschodnich muszą uciekać do Rzeszy, to trzeba ich wspierać, a nie odpychać! Skoro kierownictwo Wehrmachtu zawodzi, ludność cywilna musi za to płacić.

-Twoje rozmowy telefoniczne - powiedział kapitan von Brackwede, podnosząc na chwilę wzrok znad papierów - stały się w ostatnich czasach zdumiewająco jasne.

-Wciąż jeszcze nie dość jasne - powiedział pułkownik. Nie odkładając słuchawki na widelki, zażądał trzech dalszych połączeń: z pełnomocnikiem do spraw uzbrojenia, z Rosenbergiem z kierownictwa Rzeszy, z Grupą armii „B” na zachodzie.

Tymczasem Stauffenberg zapalał papierosa. Nikt mu przy tym nie pomagał. Kapitan wyraźnie ostrzegł brata przed tego rodzaju chęcią okazania pomocy; wprawdzie pułkownik ma już tylko trzy palce u lewej ręki, ale sam się ubiera, radzi sobie że z wszystkim i sporządza notatki.

Stauffenberg włożył papierosa do ust, otworzył leżące przed nim pudełko i wyjął z niego pewnym, szybkim chwytem jedną zapalną. Potarł ją zręcznie o siarkę, zapaliła się natychmiast. Prawie w tej samej chwili pułkownik znów wziął do ręki słuchawkę. Na lewym palcu wskazującym miał sygnet; widniał na nim napis: „FINIS INITIUM”.

Ponieważ pułkownik nie dostał od razu żadanego połączenia, zwrócił się do Konstantina i zapytał głosem, który zadźwięczał teraz jasno: - A jak pan ocenia sytuację, panie leutnancie?

- Myślę, że nie mam szerokiego spojrzenia - odpowiedział Konstantin.,

- Mimo to jest pełen ufności - wtrącił kapitan, trochę ubawiony.  
- Należy do tych, którzy są gotowi zginąć za Niemcy, przy czym oczywiście myli Niemcy z Hitlerem. Szeroko rozpowszechniony błąd.

Stauffenberg był teraz odwrócony w inną stronę, rozmawiał przez telefon z pełnomocnikiem do spraw uzbrojenia, pochylał przy tym

lekkie swoje silne, szerokie plecy; czoło miał niemal bez zmarszczek.

- Wiadomość, że żyjemy w nienormalnych czasach, dotarła również na Bendlerstrasse! Wiem o trudnościach, ale to są pańskie trudności! A żołnierze na froncie potrzebują broni i pan będzie ją tak długo dostarczał, aż zostaniecie całkowicie zbombardowani!

Zaraz potem wyjaśnił Konstantinowi, jak gdyby chodziło tylko o zwykłe zadanie rachunkowe:

- Grupa armii „Środek” została już prawie zlikwidowana. W ciągu paru tygodni należy oczekiwać załamania się frontu wschodniego. Oddziały rosyjskie wkrótce przekroczą Wisłę, potem Odrę i w możliwym do przewidzenia czasie staną pod Berlinem. Tak wygląda sytuacja, panie leutnancie.

Konstantin hrabia von Brackwede siedział jak skamieniały na swoim krześle. Patrzył na brata, jak gdyby szukał u niego pomocy, ale ten zajmował się wyłącznie swoimi papierami. A Stauffenberg już znowu telefonował; do władz partyjnych - trzeba wydać odzież ludności cywilnej; następnie rozmawiał z jakąś kobietą, poinformowała go o śmierci swojego męża; Stauffenberg próbował ją pocieszyć.

Niemal jednym tchem zapytał kapitana von Brackwede:

- Dokąd doszedłeś ze swoją lekturą, Fritz? Czy możesz już wydać opinię na ten temat?

- Te wezwania są zbyt długie, zbyt napuszone, brak im prawdziwej siły przekonywania. Człowiek z ulicy nie od razu je zrozumie.

- Zawsze to mówiłem, Fritz, z belframi w mundurach nie można rozpoczynać nowych czasów!

Teraz wydawało się, że twarz Stauffenberga nabiegła krwią. Oko, na które jeszcze widział, promieniowało stalowoniebieskim blaskiem. Leutnant przyglądał się pułkownikowi zafascynowany, przeszkadzało mu to uważać, co ten mówi. Czuł tylko jedno: ten człowiek ma niezwykłą, porywającą siłę. Jest to jeden z tych dowódców, za którym każdy pójdzie w ogień.

Ale kapitan powiedział rzeczowo:

- Te wszystkie rozwlekości dadzą się usunąć. Sam się zajmę radykalnymi skrótami. Szczególnie ważny jest początek takiego orędzia. Zmieniłbym przy tym bez wahania słowa „Adolf Hitler nie żyje” na „Führer nie żyje” - to brzmi dla ludzi mniej prowokująco i bardziej pasuje do obecnego języka. Następne zdanie jednak musi od razu dać wyjaśnienie, dlaczego führer nie żyje, kto mógłby uchodzić za najbardziej wiarygodnego sprawcę.

- Co myśli o tym leutnant? - zapytał Stauffenberg.

- A więc naprzód, Konstantinie - zażądał brat. - Po kim byś się najbardziej spodziewał, że jest winien śmierci führera?



- Po nikim! - wykrzyknął leutnant zmieszany. - Nie istnieje nikt taki.

- Co znaczy „nie istnieje”? - Brat nie miał zamiaru okazywać dłużej pobłażliwości. - Nie ma nic niemożliwego. A już na pewno nie to, co barany uważają za niemożliwe. Pomyśl więc: kto mógłby tu wchodzić w grę?

Leutnant stał zdesperowany i zastanawiał się: troje oczu przyglądało mu się badawczo. Pochylił się; jego Krzyż Rycerski zwiśł bezradnie. Wreszcie powiedział:

- No... myślę... może wrogie elementy!

. - Dalej - napierał brat. - Co rozumiesz pod określeniem „wrogie elementy”?

Gładka chłopięca twarz leutnanta lśniła od potu. Rzekł z trudem:

- Ludzie bez sumienia. Jakaś klika albo ten czy ów przywódca partyjny.

-No tak - powiedział Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede zadowolony. — To by się zgadzało nawet z moją opinią. Dokładnie tak powinno brzmieć w tej chwili najbardziej wiarygodne sformułowanie początkowe: „Wyzuta z, sumienia klika ideowo obcych przywódców partyjnych”... Dziękuję ci, bracie. Jesteś wolny, pomogłeś nam.

Dnia 18 lipca 1944 przed południem dotarła do pułkownika von Stauffenberga wiadomość, że feldmarszałek Rommel odniósł ciężkie rany. Samolot, którym wracał z frontu, został zestrzelony przez aliancki myśliwiec.

Generał broni Beck wezwał do odpowiedzialnej decyzji. Doktorowi Goerdelerowi udało się umknąć swoim prześladowcom. Spędził kilka nocy u swego byłego woźnego. Rozpoczęło się przesłuchanie Juliusa Lebera. Maier wyraził swój żal wobec kapitana von Brackwede i twierdził, że nie miał na to wpływu.

Generał von Tresckow przysłał alarmujące wiadomości z frontu wschodniego. Generał Blumentritt zameldował o zdobyciu Caen przez aliantów, droga do Paryża została zbombardowana i jest wolna. Niepokoje na Węgrzech, partyzanci nawet we Włoszech. Hamburg jakby wymazany, Monachium zagrożone całkowitym zniszczeniem, ani jednego dnia, który by oszczędził Berlin, totalna katastrofa zdawała się być faktem.

- Jednakże istnieją generałowie - oświadczył Brackwede - którzy jeszcze teraz uważają, że Hitlerowi, być może, pisany jest los Fryderyka Wielkiego. Zdarzył się jakiś cud. Ratunek w ostatniej godzinie.

- Ja również czekam na taki cud - wyznał pułkownik.

Wziął akurat do ręki poprawki, które zaproponował Brackwede, kiedy zadzwonił telefon. Zgłosił się z gorliwą rutyną. Stało się to krótko po godzinie piętnastej. Oficer z głównej kwatery Hitlera, który należał do sztabu feldmarszałka Keitla, przekazał rozkaz: szef sztabu armii rezerwowej ma się stawić dwudziestego lipca na naradę u wodza naczelnego Wehrmachtu, a więc u Hitlera.

- Przyjadę - rzekł Stauffenberg.

19 lipca 1944 kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede wezwał Konstantina do siebie na Bendlerstrasse.

- Ale dopiero po zakończeniu służby! - dodał.

Leutnant przybył we wczesnych godzinach wieczornych. Hrabiny Öldenburg-Quentin już nie było. Kapitan siedział przy swoim biurku i przerzucał stopy dokumentów. Wymował spośród nich tylko niektóre kartki.

- Długo myślałem o pułkowniku Stauffenbergu i o tobie - wyznał Konstantin.

- Bardzo dobrze! - wykrzyknął kapitan. - I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Tkwisz w instytucji, która jest całkiem inna niż mój prosty żołnierski świat. Musisz się zajmować rzeczami, o których nam się nawet nie śni, należy też chyba do tego każda sprawa wyjątkowa. Na twoim podwórku trzeba być na wszystko przygotowanym, prawda? Również na śmierć führera.

- A co byś powiedział, mój bracie, na fakt, że my nie tylko bierzemy pod uwagę śmierć Hitlera, ale że tę śmierć sami systematycznie przygotowujemy? Nigdy nie przyszła ci do głowy taka myśl?

- Owszem, przejściowo tak - przyznał leutnant bez wahania. - I to spowodowało u mnie ostry konflikt sumienia. Potem jednak znalazłem dwa argumenty, które zdecydowania przemawiają przeciwko temu.

- Od razu dwa? A jakie to argumenty?

- Ty i pułkownik. - Konstantin wypowiedział te słowa zupełnie nie zbity z tropu. - Jesteście obaj ludźmi, których trzeba kochać i szanować bez zastrzeżeń i z pełną ufnością. Tak jak führera.

. - Dziękuję za kwiaty, mój chłopcze, przydadzą się na wieniec, może nawet wieniec nagrobny. - Kapitan roześmiał się krótko i znów pochylił się nad swoją pracą; tylko ona zdawała się wzbudzać jego Zainteresowanie,

- Byłem wczoraj w domu - powiedział jakby mimochodem.  
-Świętowaliśmy urodziny mojej żony.

- Przecież ona ma urodziny dopiero jutro?

- Ach - kto wie, co będzie jutro! Wczoraj dałem sobie trochę wolnego i pojechałem na kilka godzin do Brandenburga. Należy obchodzić swoje święta, dopóki są jeszcze okazje. Moja żona i dzieci przesyłają ci pozdrowienia, matka oczywiście również; wie dzie jej się całkiem nieźle, jak na te warunki.

- Ma wiadomości o ojcu?

- Nie. Kapitan wiedział, że ciężko ranny ojciec, generał piecndr ty von Brackwede, zmarł. Otrzymał tę Wiadomość *ptzó* trzenia godzinami. Ale zachował ją dla siebie. Zamierzał milczeć iv tej sprawie jeszcze jeden dzień.

- Myślę, że jutro albo pojutrze powinienes odwiedzić matkę. Jakoś to się da urządzić. Jak wiesz, jestem w pewnym sensie zaprzyjaźniony z twoim dowódcą. Masz, oto karta urlopowa.

- Dziękuję - powiedział leutnant. Apodyktyczność jego brata nie była już w stanie go poruszyć. -Czy masz jeszcze jakieś życzenie?

- Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę. Mam tu teczkę. - Kapitan wskazał ręką na wypchaną skórzaną teczkę, która stała już na jego biurku. - Czy weźmiesz ją na przechowanie i zawieziesz do hrabiny Oldenburg z listem, który zaraz napiszę?

- Oczywiście - zapewnił leutnant gorliwie. - Chętnie to dla ciebie zrobię. Ale nie znam adresu hrabiny i nie jestem pewien, czy o tej porze mogę to zanieść...

Kapitan przesunął grubą teczkę w stronę leutnanta, uśmiechając się przy tym skromnie.

- Hrabina Oldenburg jest zawsze do dyspozycji, kiedy tylko potrzeba. Należy do osób, na których można polegać. Jeszcze tego nie zauważyłeś?

Leutnant von Brackwede wziął wypchaną teczkę. Wydała mu się lekka.

- Mogę pójść natychmiast, jeśli chcesz!

Kapitan skinął głową. Następnie położył przed sobą czystą kartkę papieru. Nie miała żadnego nadruku, żadnego znaku wodnego, najmniejszego charakterystycznego szczegółu. Zaczął na niej pisać:

„A więc stało się, Łaskawa Pani!  
Posyłam Pani teczkę i mojego brata. Niech Pani postara się przechować oboje tak bezpiecznie, jak tylko Pani potrafi, i tak długo, jak to tylko możliwe. Co najmniej jednak dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu najbliższych dni nie będzie Pani tu potrzebna, a mój brat ma urlop. Niech Pani to wszystko urządzi jak najlepiej. Dobrze Pani wie, że ufam Pani pod każdym względem.

Życzę nam wszystkim szczęścia, możemy go bardzo potrzebować. Również dla Konstantina jest ono konieczne.

Pomyślności.

B."

Leutnant widział, jak kapitan pisał list, ale nie znał jego treści. Nie interesowała go zresztą. Jedyne adres hrabiny Oldenburg zwrócił jego uwagę. Brzmiał on: Schifferdamm 13, 3 piętro, na lewo, u Wallner...

- Wcale nie najwytworniejsza okolica Berlina - zauważył kapitan Wręczając Konstantinowi list, kartę urlopową i teczkę. - Ale czasy, kiedy jedna hrabina była właścicielką co najmniej jednej willi, już minęły. Wystarczy małe pomieszczenie, aby miało drzwi, które dadzą się zamknąć.

- Nie jestem rozpieszczony, nie tylko pod tym względem,

- Tym lepiej! - Kapitan przyglądał się swemu bratu z delikatną wyrozumiałością, a zarazem badawczo. Jakby od niechcienia stwierdził:

- Nie masz broni. - Następnie sięgnął do otwartej górnej szuflady biurka. - Trzymaj!

Rzucił Konstantinowi pistolet 08 w skórzanym futerale. Lejtnant złapał go i zapytał nieco ubawiony:

-Na co mi to?

-Kto to może wiedzieć? - Kapitan von Brackwede uśmiechnął się do brata. - Dom, w którym mieszka hrabina, leży nad którąś odnogą Sprewy, mogą tam być szczury.

Owego wieczoru, około 20.00 ówczesnego tak zwanego czasu środkowoeuropejskiego, Konstantin hrabia von Brackwede wszedł do domu na Schifferdamm 13. Późniejszy protokół urzędowy dopuszczał różnicę czasu od ośmiu do dziesięciu minut.

Według zeznań świadków, które zgadzały się ze sobą, owego dnia wydarzyło się, co następuje:

Leutnant von Brackwede w mundurze lotniczym, z Krzyżem Rycerskim na piersi i pistoletem u boku, niosąc w rękę wypchaną teczkę, spotkał w drzwiach Joachima Jodlera. Był on administratorem domu i ortsguppenleiterem NSDAP. Rozmawiali obaj kilka minut, znalazło się na to dwóch świadków. I według ich wypowiedzi rozmowa ta przebiegała w atmosferze pewnego „napięcia”.

Jodler stał w skórzanych pantoflach, w brązowych bryczesach i rozpiętej płóciennej koszuli; miał szerokie szelki ozdobione kolorowym haftem. Palił cygaro, spoglądał przymrużonymi oczyma w ciepły wieczór i czekał na cudzoziemską robotnicę, która została mu przydzielona; wysłał ją do kolegi partyjnego w Butter. — Ale to ścierwo wykorzystuje każdą okazję, aby się włóczyć.

Leutnant przywitał się uprzejmie, narzucając sobie najdalej idącą powściągliwość.

- Czy pan może do mnie? - zapytał Jodler, stając się od razu lekko podejrzliwy. -

- Mam zamiar złożyć wizytę pewnej damie.

- Na trzecim piętrze, co? - Jodler wyszczerzył zęby z wszytkowiedzącym uśmiechem. Przyjaciele jego führera byli ostatecznie i jego przyjaciółmi, życzył im więc z całego wielkoniemieckiego serca, aby od czasu do czasu naładowali swoje baterie. Nie podobało mu się tylko zbyt, że działo się to wciąż w jego domu, albowiem on sam nigdy jeszcze w tym nie uczestniczył.

- No, w końcu nie mam zamiaru psuć zabawy! Ale proszę powtórzyć owej damie, żeby tym razem zachowywała się trochę ciszej niż ostatnio! Radziłbym w pewnych momentach zamykać okna mimo upalnej nocy.

Leutnant zostawił Jodlera, nie zaszczyciwszy go ani jednym słowem więcej. Postanowił nie słyszeć tego, co mu ów człowiek powiedział. Nie pasowało to do subtelnego obrazu Elisabeth. Pełen oczekiwania wchodził po schodach na trzecie piętro.

Dom na Schifferdamm 13 był zniszczony, zaniedbany. Wydawało się, że całe pokolenia pozostawiły swoje ślady na ścianach klatki Schodowej: wiele tysięcy razy spocone palce dotykały poręczy schodów. Pachniało stęchlizną i kapustą stopnie były wydeptane i całe w szarobrazowych plamach; skrzypiały przy każdym stąpieniu.

Na drugim piętrze otworzyły się drzwi skrzypiąc, ale tylko odrobinę. Przez szparę wyglądała pani Breitstrasser, nic nigdy nie uszło jej uwagi. Ujrzała jak zeznała później - młodzieńca o blond włosach, który ostrożnie szedł na górę; resztę mogła sobie wyobrazić. Jej wyjątkowa fantazja była oślizła jak ropucha w kałuży.

Potem ta kobieta mogła zaświadczyć, że ów oficer dotarł do trzeciego piętra mniej więcej dwadzieścia minut po godzinie dwudziestej. I tam zatrzymał się na parę chwil niezdecydowany, jakby kogoś szukał.

Konstantin oglądał tabliczki na drzwiach, Było ich trzy: na jednej było napisane Johann Wolifgang Scheumer, profesor gimnazjalny.

Na drugiej: Erika Elster. Trzecia zawierała tylko nazwisko: Wallner. I do tych drzwi leutnant zadzwonił. Czekał jakiś czas, zanim mu otworzono. Potem ukazała się mała postać o potarganych siwych włosach; przypominały brodę świętego Mikołaja.

Głos tej kobiety był bezdźwięczny, jakby się lała woda do konewki.

- Czego pan sobie życzy?
- Czy mogę się widzieć z panną Oldenburg?
- Nie - powiedziała Wallner niecierpliwie. - Nie może pan.
- A dlaczego?
- Nie ma jej! - Wallner zamierzała zamknąć drzwi.

Konstantin przycisnął drzwi nogą.

- Czy mogę poczekać na hrabinę? To ważne.

Staruszka wysapała ostrym tonem i niechętnie:

- Jeśli o mnie chodzi, może pan czekać, jak długo pan zechce, ale nie w moim mieszkaniu! Nawet pana nie znam.

- Nazywam się Brackwede.

- Bzdura! Przypadkowo znam mężczyznę, który tak się nazywa.

On wygląda zupełnie inaczej, a poza tym jest kapitanem.

- To mój brat - wyjaśnił leutnant cierpliwie.

Kobieta zdziwiła się. Mierzyła wzrokiem mężczyznę, który stał przed nią, ale nie mogła dostrzec żadnego podobieństwa z kapitanem. Wykrzyknęła: - Każdy może tak powiedzieć! - I zatrzasnęła drzwi energicznym ruchem.

O tym wszystkim mogła zaświadczyć pani Breitstrasser z drugiego piętra. Prócz tego jeszcze to, że ów oficer stał na schodach dłuższą chwilę bez ruchu; trzymał przy tym w ręku teczkę. Następnie oparł się o ścianę i czekał; potem chodził niespokojny w tę i z powrotem, wreszcie usiadł - około dwudziestej czterdzieści pięć - na najwyższym stopniu.

- Wyglądał jak człowiek, który jest zdecydowany na wszystko - twierdziła Breitstrasser później - ale na co on był zdecydowany, oczywiście nie potrafię powiedzieć.

Około 21.00 na trzecim piętrze domu przy Schifferdamm 13 otworzyły się środkowe drzwi, na których widniało nazwisko Erika Elster. Kobieta w płaszczu kąpielowym zajrzała do skrzynki na listy była pusta. Spostrzegła przy tym Konstantina, i to z widocznym zadowoleniem.

- O, co pan tu robi? - Jej głos był lekko zaspany i trochę ochryply, był to głos wabiący. - Czekają na mnie?

Konstantin uprzejmie zaprzeczył, podniósł się, przedstawił i wyjaśnił swoją sytuację. Zdawało się, że spotkał się z życzliwym zrozumieniem.

- Dlaczego ma pan tu siedzieć? Proszę wejść do mnie.

Erika Elster była dziewczyną rudoblonde, miała okrągłą twarz i korpulentną figurę. Zapytała ze zdumiewającą bezpośredniością:

- Czy jest pan zaprzyjaźniony z hrabiną? Mam na myśli bliską zażyłość.

Leutnant zaprzeczył zdecydowanie. Usiadł na krześle, teczkę postawił obok siebie i przyglądał się zdumiony pomieszczeniu, w którym się znajdował: na wszystkich możliwych i niemożliwych miejscach leżały tam jaśki; piętroszyły się na wszystkich krzesłach, zaścierały szeroką kanapę, pokrywały grubym wełnianym dywanem. Kolory; różowy, jasnoniebieski, zielony, gdzie tylko spojrzeć.

Leutnant został poczęstowany koniakiem. Nastawiono również, dla niego płytę: *Ojczyzno, twoje gwiazdy!* A Erika przeciągała się prowokująco, pozostając niemalże w zasięgu ręki.

- Czy długo zna pan hrabinę?

Konstantin odpowiedział wymijająco. Siedział sztywno, lewą stopą dotykał teczeki, również prawa ręka wisiała nad nią jakby przypadkiem.

- Jestem pani bardzo wdzięczny za gościnność, ale nie chciałbym nadużywać.

Nie miał zresztą po temu okazji, albowiem zadzwieczał dzwonek. Przyszła hrabina Oldenburg.

Nietrudno było wytropić Konstantina. A Breitstrasser znalazła wszystkie szczegóły: Erika Elster zwała go do swojego mieszkania; niczego innego nie można się było spodziewać po takiej osobie!

Hrabina Oldenburg starała się ominąć tę kobietę, co wcale nie było takie łatwe; powiedziała więc;

-Jeśli pan ma do mnie sprawę, proszę pójść ze mną,

Erika Elster roześmiała się z dezaprobatą, ubawiona, a jednocześnie z pogardą. Konstantin poszedł jednak z hrabiną przez wąski ciemny korytarz do jej pokoju.

Dominującym kolorem była tu jedwabista biel.

Elisabeth Oldenburg przeczytała list od kapitaną von Brackwede, który wręczył jej Konstantin. Jej twarz spoważniała. Potem rzekła:

- Niech pan trochę u mnie zostanie, o ile nie ma pan nic lepszego do roboty. Ja w każdym razie bardzo będę rada, jeśli mi pan dotrzyma towarzystwa. - I śmiało dodała: - Jak długo pan zechce.

Owego 19 lipca 1944 pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg opuścił swoje biuro na Bendlerstrasse wcześniej niż zwykle. Tuż po godzinie ósmej wieczorem kazał się zawieźć „do domu” do Gresser Wannsee; towarzyszył mu jego brat Berthold.

Berthold był chyba jedynym człowiekiem, któremu pułkownik ufał bez zastrzeżeń. Nawet swojej żonie Ninie, którą darzył tkliwą miłością, nie mówił wszystkiego, aby jej nie obciążać ponad miarę.

O Bertholdzie mawiano, że łączy w sobie wielkość i serce, inteligencję i ducha. Był dla Clausa doskonałym uzupełnieniem: pełnią, głębią i spokojem. Kiedyś byli nierozłączni. A ostatnie trudne godziny w życiu pułkownika należały do brata.

Ów dzień 19 lipca zdawał się przebiegać jak każdy inny. Berthold, sędzia marynarki, pracował w swoim biurze oddalonym zaledwie kilkaset metrów od Bendlerstrasse. Claus odbył jeszcze po południu jedną ze swych rutynowych narad sztabowych. Było na niej obecnych blisko trzydziestu oficerów i żadnemu z nich nie rzuciło się w oczy „nic szczególnego”.

Około godziny 20.00 przyszedł Berthold. Drogę od swego miejsca pracy na Bendlerstrasse odbył na piechotę.

- Takie upalne letnie dni to coś wspaniałego - powiedział.  
- Człowiek powinien żyć na wsi, aby móc z nich w pełni korzystać.

Claus skinął bratu głową. Podpisał jeszcze kilka zestawień, listów i meldunków. Potem położył rękę na ramieniu Bertholda i wyszli. Na dziedzińcu czekał samochód pułkownika.

W Dahlen, na drodze do Wannsee, przejeżdżali obok kościoła. Odprawiało się tam nabożeństwo, drzwi były otwarte, dźwięki organów przedostawały się na ulicę.

Claus kazał się zatrzymać. Nic nie mówiąc, wysiadł. Przez chwilę jakby się wahał przed wejściem do środka. Ale potem wkroczył wyprostowany.

Stał przez jakiś czas w tylnej części kościoła: spokojnie, bez ruchu, głowę miał opuszczoną. Wyglądało tak, jakby mówił: - Pomóż mi, Boże!

Potem milczał przez długi czas.



Część  
druga

**20 lipca 1944**

# 1

## Teczki, które zawierają ludzkie losy

Ten dzień 20 lipca 1944 - czwartek - wypełził na środkową Europę jak zaszczute, udręczone zwierzę. Nocne niebo rozpościerało swą wypłowiałą szerokość nad poszarpaną- ziemią. Zapowiadał się najgorętszy dzień roku.

Śmierć nie próżnowała - kosiła żołnierzy na froncie, spadała jak grom z jasnego nieba, przechodziła przez lazarety, była w wodzie i w bunkrach, jeździła czołgami i wpadała do mieszkań. A mimo to byli ludzie, którzy jak dzieci zmęczone zabawą mogli spać.

Tę pięcioletnią wojnę można było porównać z wściekłym bykiem, który szalał wykrwawiając się. Ale w owych chwilach poczyniono wszelkie przygotowania, aby zadać jej śmiertelny cios. Było tak, jak gdyby historia nawoływała do działania.

W głównej kwaterze w Prusach Wschodnich, pośród ciemnych lasów, siedział Adolf Hitler w potrójnie izolowanym bunkrze mieszkalnym. Otaczali go wybrani przyjaciele, myślący tak samo jak on. A on do nich przemawiał.

Okna były otwarte, wilgotne ciepło otaczało zmęczonych zebranych. Hitler nigdy nie kładł się spać przed drugą nad ranem; do tej godziny piętrzył swoje myśli jak dziwaczne góry chmur.

Żaden temat nie był mu obcy. Jego ulubionym zajęciem, któremu się najchętniej oddawał, było komentowanie samego siebie. Albowiem on to były Niemcy! I te Niemcy okazały się jego godne, godzina próby była przed nimi już od miesięcy.

- Ja również - oznajmił nie bez widocznej dumy generał Jodl, szef sztabu Wehrmachtu - już przed paroma miesiącami dowodziłem

w rozmowach z kierownictwem Rzeszy, że zwyciężymy, bo musimy zwyciężyć.

- W przeciwnym bowiem razie - uzupełnił feldmarszałek Keitel - historia straciłaby sens.

- Zwycięstwo albo upadek - powiedział Hitler zamyślony i pogłaskał swego sapiącego przez sen owczarka z mechaniczną czułością. Ten gest wyzwolił ogólne wzruszenie. - Ale pograżymy się tylko wówczas, kiedy nie zasłużymy na zwycięstwo.

- A zatem zwyciężymy! - Nikt w pomieszczeniu zdawał się w to nie wątpić. Reichsleiter Bormann wcale nie musiał rzucać wokół siebie spojrzeń wzywających do aprobaty, ale jednak to uczynił. Sprawilo mu najwidoczniej radość, że Keitel z naciskiem skinął głową; pośrednie ślubowanie wierności.

Hitler niczego innego się nie spodziewał.

Tej nocy ruiny Berlina zdawały się świecić jak ognie na bagnach. Ciężkie ołowiane, niebo było tu wolne od bombowców, po raz pierwszy od długiego czasu.

W willi nad Wannsee siedzieli bracia Stauffenbergowie. Pili ostatnią szklankę wina i rozmawiali o wspólnej młodości. W teczce, która Stała nieco z boku, znajdowała się bomba.

~ Czy to prawda - zapytał Berthold - że nie zgodziłeś się na operację? Fritz von Brackwede opowiadał mi, że lekarze chcieli spróbować uruchomić przynajmniej twoją prawą rękę.

Claus skinął głową.

- Ale to trwałoby miesiące. Nie byłbym więc tu, i to tylko z powodu ręki. ..

Kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede rozpałił ogień na Bendlerstrasse. Siedział przy nim samotnie, w rozpiętym mundurze. Darł starannie stos przygotowanych papierów i wrzucał je w płomień. Drgające strzępki światła okalały mu twarz. Wyglądała teraz, jakby była ulepiona z zastygłej lawy. Podczas gdy żółtobrązowe chmury dymu drgając unosiły się w górę, jego oczy zwięzły się, jakby dręczyła go mroczna myśl, owa przepowiednia kuzyna, który niegdyś powiedział: „Fritz zostanie kiedyś ministrem - albo skończy na szafocie”.

Niewiele kilometrów dalej - na północ, w kierunku Tiergarten i Moabitu - w pobliżu stoczni zachodniej na Schifferdamm 13 stał

dom: ciemnobrażowa skrzynia, z oknami jak zaklejone otwory strzelnicze. Nie było już nocy w Berlinie, podczas których świeciłoby światło pod spokojnym niebem. Ale sen nie mógł jakoś zawładnąć tym domem. Śmierć także nie. Oboje czatowali u drzwi.

Joachim A. Jodler, administrator domu i ortsguppenleiter, odznaczał się pewnymi miłe widzianymi cechami, które upodobiały go do uwielbianego führera. A były to nie tylko wąsiki. Również jego przemowy przypominały Hitlera. I to nawet o późnej godzinie nocnej.

— To wielkie szczęście móc żyć w naszych Niemczech, prawda? - powiedział do Maii, której nazwiska nigdy nie potrafił wymówić., Przybyła z Polski, została zarejestrowana jako cudzoziemska robotnica i przydzielona jemu i jego żonie Hermine. Oboje służyli Rzeszy, a Maria była wyznaczona, aby służyć im.

— Jesteś u nas szczęśliwa — zapytał Jodler rozkazującym tonem - czy może nie?

-Tak - zapewniła Maria pospiesznie.

Miała się nimi opiekować - Hermine była poza domem. Szkoliła członkinie Związku Kobiet Niemieckich. To zajęcie tak ją ostatnio pochłaniało, że nie tylko w dzień, ale i w nocy pozostawała w mieście. Takie ofiary trzeba było jednak ponosić, i chętnie je oboje ponosili, zwłaszcza że w domu była Maria, zobowiązana ułatwić jego męczącą egzystencję.

Siedziała na stołku w pobliżu drzwi; drobne dziecięce dłonie przycisnęła do ciała, przyczajona, gotowa do skoku. Wielkie zamglone oczy dominowały na jej chorowitej bladej twarzy; Wąskie usta miała lekko rozchylone, jakby chciała lepiej oddychać. Długie kosmyki czarnych jedwabistych włosów spadały jej na ramiona. Maria miała szesnaście lat.

- Cieszę się, że ci się tu podoba -zapewnił Joachim Jodler protekcyjnym tonem i wyciągnął przed siebie nogi. - Masz wszelkie powody, aby być wdzięczna - bo kto wie, co by z tobą zrobili, gdybyś tu nie trafiła. Podejdz bliżej!

Maria zbliżała się drobnymi krokami. Starła się przy tym uśmiechać. Jodler wpoił jej, że przywiązuje dużą wagę do ufnej, pogody ducha - tak należy. Napelniła swój kieliszek i starła się podejść niezbyt blisko.

- A może wolałabyś pracować W jakiejś fabryce i spać w zapluskwionym baraku?

Jodler powiedział to głosem ochryplym i dobrodusznym. Zezwalał

łaskawie cudzoziemskiej robotnicy na obcowanie z przedstawicielem; panów; bądź co bądź była aryjką. Musiała się więc czuć szczęśliwa.

Bez ceregieli chwycił ją za kolano, a następnie zaczął posuwać rękę ku górze.

Ale Maria krzyknęła przeraźliwie po chwili odrętwienia. Następnie rzuciła się do ucieczki z przerażeniem w dziecięcych oczach. Otworzyła drzwi i wybiegła na ciemny korytarz.

Kapral Lehmann spędził pierwsze godziny tego dnia ze swymi nowymi przyjaciółmi, malując hasła na Prinzlauer Allee. Takie jak : „Jak długo jeszcze?” albo: „Bydło rzeźne dla Hitlera poszukiwane”, a także skromne, klarowne: „Niemcy, obudźcie się!”

Teraz siedzieli zaspiani w mrocznej piwnicy na Laridwehrstrasse w pobliżu Alexanderplatz: tramwajarz, dwie studentki, asesor, małżeństwo emerytów, dramaturg i Lehmann, obecnie, zgodnie ze swymi nowymi papierami, operator dźwigowy w porcie zachodnim, dział: węgiel.

- Czy to się robi każdej nocy?- zapytał Lehmann.

Jedna ze studentek spytała:

- Bardzo to było męczące?

- Tylko niewygodne - powiedział Lehmann zwięźle. Przyjaciele najwidoczniej nie wiedzieli jeszcze z kim mają do czynienia. Hasła wyglądają jakby namalowane drżącą ręką, to razi mój wyczulony zmysł estetyczny.

- Artystami malarzami niestety nie jesteśmy - oświadczył dramaturg.

Teraz Lehmann rozwinął swój szeroko zakrojony plan organizacyjny: wykonanie szablonów, szkolenie, bardziej racjonalne metody działania, używanie rzadszych, a jednocześnie odpornych na pogodę i świecących farb. Rozkoszował się zdumieniem które wywołał.

Emeryt, który wraz z żoną zarządzał magazynem, zastanawiał się:

- Jak sobie to wyobrażacie, towarzyszu? Czy wiecie, ile wysiłku trzeba włożyć, aby zdobyć kilogram farby!

- Zaraz przygotuję większe zamówienie - powiedział Lehmann miłym głosem. - Jak już to już! To moje prywatne hasło. Zobaczmy, czy uda mi się jeszcze dziś w nocy zafasować kilka beczek farby.

Zaraz potem telefonował z neutralnego aparatu, który był dostępny za pomocą wytrycha. Lehmann wcale się nie zdziwił, kiedy po chwili zgłosił się kapitan von Brackwede,

- Tu magazyn numer siedem! - zawołał Karzeł. - Czy mogę złożyć pilne zamówienie?

Brackwede potrzebował zaledwie kilku sekund, aby poznać, z kim rozmawia. Jego głos zabrzmiał wesoło:

- A czy tymczasem składowany materiał jest dobrze zabezpieczony?

- Jak najlepiej - zapewnił Lehmann. - Znakomicie osłonięty przed wszelkimi możliwymi wpływami atmosferycznymi.

Brackwede zdawał się wahać przez chwilę. Potem powiedział:

- Nie mamy tu żadnego materiału uszczelniającego. Wszystko już zapakowane i w drodze, około południa powinno być dostarczone na miejsce przeznaczenia.

- Świetnie - powiedział kaprał. - Czy mogę w celu kontroli rachunków udać się do odpowiedniego urzędu?

- Niech pan to robi - odrzekł kapitan, - Ale niech pan zachowa przy dostawie jak największą ostrożność.

Załatwione! - zapewnił Lehmann, szczerząc zęby w uśmiecha, A zwróciwszy się do przyjaciół, powiedział; - Albo przestajemy od dzisiaj malować, albo przyciągnę jutro wieczorem beczki farb.

Leutnant Konstantin hrabia von Brackwede już od kilku godzin siedział wyprostowany na krześle, które stało pośrodku wąskiego pokoju, pod matowo świecąca lampą. Stał przed nim niski stół wielkości rozłożonej gazety „Völkischer Beobachter”; znajdowały się na nim filiżanki i kieliszki, wszystko niemal pełne.

- Chyba już bardzo późno - powiedział leutnant z uprzejmym żalem w głosie.

- Nudzi się pan? - zapytała Elisabeth hrabina Oidenburg Qtientin

Siedziała naprzeciw niego, również ona starała się o sztywną poprawność. Jak gdyby znajdowała się w swoim biurze na Bendlerstrasse, gdzie każdej chwili może ktoś wejść.

Leutnant zaprzeczył gwałtownym ruchem ręki: nie, nie nudzi się.

- Jak pani mogła tak pomyśleć? - Chyba nigdy jeszcze nie rozmawiał z takim ozywieniem.

Literatura to był jej ulubiony temat rozmowy - ale na razie nie wyszli jeszcze poza Szekspira. Konstantin dał się namówić do cytowania całych ustępów z *Romea i Julii*. Teraz zamierzał z podobną dokładnością zająć się Schillerem.

- Dziwna, ze wszech miar, dziwna ta skłonność, bohaterów do

poezji - powiedziała Elisabeth. - Stauffenberg potrafi również recytować z pamięci najtrudniejszą poezję. A pański brat zna *Fausta* chyba lepiej niż własne akta, a to coś znaczy.

- Pani chciałaby się już położyć, prawda? Powiniennem już dawno sobie pójść.

- Nie chcę pana oczywiście zatrzymywać, jeśli ma pan jakiś konkretny cel. - Elisabeth powiedziała to świadomie dwuznacznie.

- Nie chciałabym, aby pan coś przeze mnie stracił.

Leutnant zdecydowanie zaprzeczył.

- Nie wyobrażam sobie nic przyjemniejszego...

Zamilkł szeszony. Szybko zapytał: - Co zrobimy z teczką którą mi powierzył brat?

Wypchana teczka stała obok niego na stole. Jej brązowożółta skóra lśniła matowo.

- Czy wie pan, co się znajduje w tej teczce? - zapytała Elisabeth z napięciem. - Czy zastanawiał się pan, co pan przyniósł?

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - powiedział leutnant, jakby stwierdzał rzecz oczywistą. - Brat mi ją powierzył. To przecież wystarczy!

- Ta teczka jest nie zamknięta. Nie miał pan ochoty zajrzeć do środka?

- Nawet najmniejszej.

- Ależ pański brat ma intuicję - powiedziała Elisabeth Uśmiechając się, jednakże jej uśmiech nie był przeznaczony dla leutnanta. - On wie, komu może ufać bez zastrzeżeń. Należy go podziwiać.

Zdawało się, że nasłuchuje w noc. Wokół niej rozpościerała się cisza zamyślenia, która trwała kilka minut. Później dał się słyszeć hałas: przeraźliwy krzyk kobiety! i zaraz potem głucho trzaśnięcie drzwiami. I tuż po nim człapiące kroki. Leutnant podniósł głowę.

- Co to było? - zapytał.

- Niech pan się nie przejmuj - powiedziała Elisabeth. - W takich czasach jak te noce należą nie tylko do snu! Czy potrafi sobie pan wyobrazić, że są wśród nas ludzie, którzy nie mogą żyć bez strachu? Widzę po panu, że ma pan do tego za mało fantazji. Ale to przyjdzie z czasem. Czy chciałby pan zostać u mnie na noc?

Okolo 15 minut później niż zazwyczaj Adolf Hitler zamierzał rozstać się ze swymi zaufanymi. To zwleknięcie wprowadziło Bormanna w lekki niepokój. Führer, nazywany przez niego również „szefem”, potrzebował pilnie snu. Albowiem gdy był niewyspany, stawał się

szczególnie nieznośny. Cierpiał na tym ściśle uregulowany rytm pracy w głównej kwaterze.

Ale feldmarszałek Wilhelm Keitel przeżywał wielką chwilę i nie zamierzał jej kończyć przedwcześnie. Rozkoszował się optymistycznie brzmiącymi wspomnieniami. A Hitler łaskawie go słuchał.

- Kiedy tak myślę, mój führerze, jak pan się wybił - wbrew wszelkim przeciwnościom, na przekór obrzydliwym intrygom, widzę w tym rękę opatrności.

Wilhelm Keitel rzeczywiście tak myślał. Był bez reszty oddany Hitlerowi i całkowicie przekonany o tym, że wzorowo spełnia swoje obowiązki. Uskrzydlało go dobre samopoczucie jego führera. Niemal jak okrzyki rozbrzmiewały jego wypróbowane hasła: pucz Röhma, kryzys Fritscha, afera Blomberga! Wykryte, stłumione i załatwione!

- Wszystko, co nas nie zabija - powiedział Hitler - umacnia nas. Ten cytat zebrani przyjęli jak objawienie. Otworzyli szerzej zmęczone oczy: dwie sekretarki, gruppenführer SS Fegelein, stenograf, feldmarszałek, adiutant, generał, służący, reichsleiter - wszyscy oni zadali sobie wiele trudu, aby zachować przytomność umysłu i okazać zainteresowanie. A w korytarzu czekał już scharführer, każdej nocy wyprowadzał psa Hitlera, a potem oddawał go do specjalnego pomieszczenia.

Führer przął swoją nić. Röhma, byłego szefa sztabu SA, kazał zabić dla dobra sprawy. Generał broni baron von Fritsch był podobno homoseksualistą, potem jednakże okazało się to pomyłką. Feldmarszałek Blomberg poślubił ponoć kobietę o wątpliwej reputacji. W każdym razie Hitlerowi udało się w ten sposób mianować siebie naczelnym wodzem Wehrmachtu, z absolutną władzą, bez żadnej instancji pośredniej. Jedynie do pomocy utworzył naczelne dowództwo wermachtu i oddał je w najlepsze ręce, jakie mógł sobie wyobrazić, w ręce feldmarszałka Keitla.

- Kto pragnie wielkości, nigdy nie może być drobiazgowym - mówił Hitler. Nad wszystkim, co w Niemczech było pod bronią od roku 1939, panował on sam. - A każdy człowiek sukcesu ma swoich wrogów! I jeśli się chce utrzymać, musi ich usunąć!

- Dobranoc! - powiedział reichsleiter Bormann; wydawał się być wzruszony.

Maria, cudzodziemska robotnicą wybiegła na ciemny, przesiąknięty stęchłą korytarz i wpadła na ścianę, tam się przewróciła. Z trudem oddychając, próbowała wstać. Jej otwarte usta dotykały brudnej wytartej warstwy wapna,



Tu znalazł ją lokator z trzeciego piętra, nauczyciel gimnazjalny Johann Wolfgang Scheumer. Był to pełen godności mężczyzna o twarzy aktora, wyglądającej jak twarz bohatera, otoczonej wianuszkami lśniących srebrem włosów. Spontanicznie wziął Marię w ramiona.

- A to co? - zawołał. - Co to ma znaczyć, drogie dziecko?

Johann Wolfgang miał ostatnio zwyczaj chodzić w nocy po domu na Schifferdamm 13. Jego żona leżała ciężko chora. Szkoła, w której uczył, została kilka dni temu zburzona. Coś go ciągnęło, aby jeszcze długo po północy patrzeć w niebo, mówiąc w duchu Kanta: niebo gwiazdziste nad nami - prawo moralne w wysmukłym ciebie.

Maria drżała na jego piersi, głaskał jej ramiona, plecy również jego słowa były jak delikatne głaskanie. .

- Tylko nie tracić nadziei, moje dziecko. Człowiek nie może stracić zaufania bez względu na to, co się wydarzy! A chyba masz do mnie zaufanie?

Maria skwapliwie przytaknęła. Uważała nauczyciela za człowieka delikatnego, wytwornego i dobrego.

- Możesz śmiało ze mną pójść - zapewnił. - Moja droga żona nie będzie miała z pewnością nic przeciwko temu. Zresztą dałem jej mocny środek nasenny. Nie obudzi się wcześniej niż koło południa.

Wspięli się po schodach na górę, przeszli obok mieszkania pani Breitstrasser, która podsłuchiwała za drzwiami.

I kiedy nauczyciel Scheumer prowadził Marię troskliwie, rzekł: - Co by człowiek zrobił bez bliźnich!

- Czy jest pan ciekaw naszego warsztatu, w którym się reperuje mózgi? - zażartował Maier szorstko. - Czy też szuka pan tu już kwatery?

- Mam zamiar jedynie cieszyć się pańskim widokiem - odpowiedział von Brackwede sarkastycznym tonem.

Gestapowiec Maier był znany jako nocny pracownik. Nieprzypadkowo w gabinecie sturmbannführera wisiała tabliczka z napisem: Kto wcześniej spać chodzi - sam sobie szkodzi. Kiedy nastawał nowy dzień, jego ofiary stawały się bardziej rozmowne.

- Czy chce mi pan tylko umilić czas, panie von Brackwede, czy też sprowadzają pana konkretne sprawy?

Stali naprzeciw jeden drugiego, jakby na siebie czatowali w piwnicy gestapo na Prinz-Albrecht-Strasse. Zapalili papierosy, nie spuszczać z siebie nawzajem wzroku.

— Jak mnie poinformowano - odezwał się po jakimś czasie von

Brackwede - ma pan do zanotowania na swym koncie znaczne sukcesy. Pułkownik Bruchsal śpiewa podobno jak cały męski chór.

- Rzygać mi się chce - oświadczył gestapowiec. - Ten Bruchsal nawet mnie wyprowadza z równowagi. Jest on mianowicie gotów, tak jak przedtem, obciążać feldmarszałka Rommla.

- I to uważa pan za niedorzeczność? - zapytał Brackwede.

Nie! To jest po prostu świństwo! - Maier patrzył pośepnie

- Ale jeśli powiem to führerowi, z miejsca mnie zgnoi.

- To niech pan mu tego nie mówi, całkiem po prostu! - Kapita powiedział to mrugnawszy okiem i po cichu. Strażnik stojący pod drzwiami piwnicy nie musiał słyszeć ich rozmowy.

- Panu to dobrze. Nic pana nie kosztuje udzielanie mi rad. Ale mnie grunt się pali pod nogami. Himmler zdmuchnie mnie, gładko z mojego stołka, jeśli mu wreszcie nie dostarczę konkretnych wyników. On zmierza „śmiało do celu”. Jeśli nie z moją pomocą, to moim kosztem.

- Tylko cierpliwości - poradził kapitan. - Zapewniam pana, że byłby to niebezpieczny błąd właśnie teraz działać zbyt pochopnie.

Sturmbannführer zaciągnął swego gościa do najbliższego kąta.

- Cała sprawa już ruszyła! Nakaz aresztowania Goerdelera to już nie rutyna. Kaltenbrunner, najwidoczniej podburzony przez Himmlera, ma zarządzić wielki pościg przez kripo. Beck jest już od miesięcy na czele mojej listy, mam wielką ochotę go zainkasować. W obronie własnej, rozumie pan? Jakiś materiał obciążający zawsze się znajdzie.

I to nawet całe stopy, pomyślał von Brackwede; wystarczyłoby tylko opróżnić biurko generała. Z tego, co tam było zgromadzone, udałoby się zestawić grube tomy akt.

- A co z Juliusem Leberem?

Sturmbannführer zdawał się być lekko zakłopotany.

- Jest już przesłuchiwany od wczoraj, całkowicie wbrew mojej woli. Nie mogłem nic na to poradzić. Ale ten chłopak jest cholernie twardy, jeśli to pana uspokoi. Na niego będziemy potrzebowali tygodni.

- Jeśli pan chce wykazać teraz zdrowy rozsądek - powiedział Brackwede cierpliwym, a zarazem rozkazującym tonem - to niech pan spróbuje przyhamować. I to energicznie! Pan, być może, będzie musiał jeszcze dreptać w miejscu dwadzieścia cztery godziny, a możliwe, że dwaście.

Maier poruszony spojrzał na kapitana błyszczącymi oczyma.

- Czy to makabryczny żart, czy też oferta?

Całkiem konkretna oferta! A teraz niech pan nad tym pomyśli.

Jaką cenę chce pan za to zapłacić? Mogę mieć jedynie nadzieję, że pan zrozumie: tanie to to nie jest. Pytanie tylko: ile właściwie warta jest taka głowa jak pańska albo jak moja?

- Dziwne - powiedziała Elisabeth hrabina Oldenburg - jak szybko może upłynąć taka noc.

Przeciągnęła się z lekko uniesionymi rękami.

Ów gest uszczęśliwił leutnanta. Podczas tych godzin rozmawiali ze sobą, jakby znali się od dziecka. Jej młodość zdawała się przebiegać podobnie, dorastali w dobrach ziemskich w Marchii i na Pomorzu.

- Podczas letnich nocy sypialiśmy często z bratem na dworze - opowiadał Konstantin. - Albo w ogrodzie, albo w lesie, W namiocie z dwóch koców.

- To musi być wspaniale mieć takiego brata jak on. Ja byłam prawie zawsze sama, nie mam rodzeństwa.

Powiedzieć teraz: - Ma pani mnie! - na to Konstantin jeszcze się nie odważył. Ale jego oczy patrzyły z nieskrywaną czułością. Również Elisabeth zdawała się odczuwać radość z powodu tych napływających fal żywej sympatii.

- Jestem trochę zmęczona - powiedziała i spojrzała przy tym śmiało na niego. - Ale nie na tyle, żeby spać, chciałabym się tylko położyć.

Konstantin już chyba po raz trzeci tej nocy zapewnił, że nie sprawi jej kłopotu,

- Mogę trochę pospacerować, aż ruszy pierwszy tramwaj do Bernau. Niewykluczone też, że na te kilka godzin znajdę schronienie na Bendlerstrasse.

- To w żadnym wypadku - powiedziała hrabina. I dodała cicho:

- A może nie ma pan ochoty tu zostać?

- Ja staram się myśleć tylko o pani! - zapewnił Konstantin.

- Pani opinia...

- Ach, co tam! - rzuciła Elisabeth z nieoczekiwaną energią.

- Dobra opinia to jedno, a wojna to drugie. W tych dniach miliony ludzi musi się gnieździć razem w ciasnych pomieszczeniach. Powinniśmy się cieszyć, że mamy chociaż jeden pokój dla siebie,

Następnie zaaranżowali to następująco: położyli się w jej łóżku, oczywiście nie rozbierając się całkowicie. Propozycję Konstantina, że będzie spał na podłodze, Elisabeth odrzuciła; można sobie oszczędzić niepotrzebnej niewygody.

- A teczka?  
- Postawimy ją pomiędzy nami - roześmiała się hrabina. - A więc dalej, nie mamy zbyt wiele czasu

- Malujemy całymi nocami - rzekł dramaturg zmęczony. - Ale coś trzeba przecież robić w takich czasach.

- Imponuje mi to - stwierdził Lehmann. - Każdej nocy ryzykuje pan, że zostanie schwytany. Jak długo zajmuje się pan już tą zabawą?

- Od trzech lat - odparł dramaturg. I niemal zakłopotany dodał:  
- Wprawdzie z paroma przerwami.

Przebywali wciąż jeszcze w piwnicy na Landwehrstrasse. Tylko ci z grupy, którzy mieszkali w pobliżu, poszli sobie. Pozostała czwórka: obie studentki, dramaturg i Lehmann. Dopiero o świcie mogli w miarę bezpiecznie wyjść i wmieścić się w tłum. Do domów mieli daleko.

Studentki prawie się nie znały, jedna poświęciła się filozofii, druga medycynie. Milczały zmęczone. Na ogół po takiej nocnej pracy spały w piwnicy na workach. Tym razem nie mogły, mężczyźni cały czas rozmawiali. Lehmann był bardzo ożywiony.

Czy pan to robi tylko o to, tak sobie, nie mając pewności, że to jest słuszne? - zapytał.

- Owszem - odpowiedział dramaturg.

Lehmann leżał na plecach, mrużył oczy w świetle słabo palącej się świecy. Kiedy podniósł rękę, blask świecy przygasł. Studentki, które przykucnęły w kącie, wyglądały jak milczące cienie. Dramaturg siedział w pobliżu drzwi oparty o popękana ścianę.

- I nigdy nie miał pan uczucia, że jest całkiem sam? - Lehmann wstał. - Nie wyobraża pan sobie, że jest opuszczony i zdradzony? Czy ma sens wypisywanie haseł na murach, podczas gdy wszędzie masowo giną ludzie?

- Niech panowie idą spać - wymruczała jedna ze studentek. ~ Nie trzeba za dużo myśleć o tym, co się dzieje w naszych czasach, jeśli się ma choć trochę rozumu. I świadomości. Albo: sumienia. Bo to do niczego nie prowadzi.

Druga studentka, niebieskooka blondynka o pociągłej twarzy, która teraz patrzyła surowo, zapytała;

- Słyszeliście chyba o rodzeństwie Scholl?

Dramaturg oświadczył monotonnym głosem:

- Sophie Scholl i jej brat, w towarzystwie pewnego przyjaciela, rozrzucali ulotki w hallu uniwersytetu w Monachium. Nienawidzili Hitlera i jego reżimu. Ich grupą z profesorem o nazwisku Huber, nazywała się „Die weisse Rose”. Zostali straceni. Potem była między

innymi tak zwana 'Rotę Kapelle', przeważnie oficerowie z Ministerstwa Lotnictwa, o ile wiem. Również oni zostali straceni, i to w ścisłej tajemnicy. Prócz tego duchowni i pedagodzy, urzędnicy państwowi i pisarze, przywódcy związków zawodowych i byli posłowie do reichstagu prawie wszystkich partii. I wielu, wielu innych. Kilka tysięcy rocznie. Ale wielu spośród nich jeszcze żyje, tak jak my.

- Znam generała, który się nazywa von Tresckow - mówił Lehmann - człowieka ze starej pruskiej szlachty, wielokrotnie próbował wysadzić Hitlera w powietrze. Znam podpułkownika Heinza, już w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym chciał wtargnąć z oddziałem szturmowym do kancelarii Rzeszy. Podpułkownik von Boeslager też gotów był wraz ze swoimi ludźmi zlikwidować Hitlera. Generał brygady Stieff, tak samo jak generał von Gersdorff, a także kapitan Asef von dem Bussche zamontowali materiał wybuchowy na własnym ciele, aby w ten sposób zabić Hitlera i siebie samych.

- To dlaczego ten człowiek jeszcze żyje? - zapytał cicho dramaturg.

- Dlatego, być może, że musiał się dopiero pojawić równej miary przeciwnik, przeciwwaga diabła, że się tak wyrażę. I pojawił się taki. Jest nim pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg.

- Otwierać natychmiast! - zawołał scharführer SS Josef Jodler w domu na Schifferdamm 13 i walił w drzwi. Otwarto mu niezwłocznie. Nauczyciel Scheumer stanął przed nim w płaszczu kąpielowym w niebiesko-białe paski; jego siwa senatorska fryzura zdawała się być lekko potargana.

- Heil Hitler, panie scharführer - powiedział. I szybko dodał:

- Co u pana słyszeć?

- Ta łajdaczka Maria jest u pana! - Josef Jodler nawet w powiewającej nocnej koszuli przedstawiał imponujący widok: pomnik ku czci poległych z nagim mężczyzną w brzoje krótko przed odsłonięciem.

- Wyda pan to ścierwo dobrowolnie, czy też mam użyć siły?

;- OW Josef był synem, administratora domu i Ortsgruppenleiters Jodtera, Należał do grupy operacyjnej i przebywał z misją specjalną na terenach wschodnich.

Chwilowo Josef był na urlopie. Mieszkał w innym mieszkaniu na parterze; i to przeważnie sam. Albowiem jego żona również pracowała dla Rzeszy. Jej praca była podobna do jego pracy. Była specjalistką od złota; od złotych zębów w szczególności. Jej urząd zaopatrywał bezpośrednio bank Rzeszy.

Josef odsunął na bok nauczyciela. Przeszedł przez korytarz i udał się przez otwarte drzwi do pokoju. Tu, na kanapie, leżała Maria - z wystraszonymi oczami; kołdrę naciągnęła aż pod brodę. - Proszę bardzo! - wykrzyknął scharführer. - Chyba nie jest pan starym lubieżnikiem?

Profesor, pełen godności, starał się okazać oburzenie; - Ależ, panie Jodler!

Nic więcej nie powiedział. Seharführer zaśmiał się głośno. Był jak sam sądził, człowiekiem o dużym poczuciu humoru, co miało przynieść szczególne skutki.

- Zamknij mordę. - powiedział do Scheumera miłym głosem. A do Marii: - Zbieraj się natychmiast, tak jak jesteś!

Marię odrzuciła kołdrę i wstała. Sięgnęła po prostą lnianą sukienkę, która leżała starannie złożona na krześle. Włożyła ją i udała się posłusznie, z opuszczoną głową, do drzwi, Seharführer Jodler przyglądał się jej z rosnącą uwagą.

- Proszę nu wierzyć, że miałem jak najlepsze zamiary... - jękał się przejęty nauczyciel Scheumer. Albowiem z Jodlerem juniorem nie było żartów. - Czuję się w obowiązku...

Młody Jodler zostawił go. Klepnął Marię w siedzenie i zawołał:

- No, ruszaj się! Precz do stajni, tam twoje miejsce!

Pułkownik Stauffenberg wstał tuż po piątej. Spał tylko kilka godzin, jak zwykle podczas minionych tygodni. W ciągu paru sekund był przytomny, twarz wyglądała świeżo.

Podszedł do okna, trzema palcami ujął zasłony i rozsunał je. Poranny upał sprawiał, że tego dnia Grosser Wannsee błyszczało bładoniebiesko. Przez kilka minut Claus niemal w zamyśleniu oglądał łagodnie lśniący pejzaż.

Potem udał się do łazienki. Był tu już Berthold, jego brat. Skinęli do siebie. Wszelkie słowa były zbędne.

Claus uchwycił mocno trzema palcami górną część pizamy i szarpnawszy zdjął ją z siebie. Berthold nie pomógł mu przy tym. Wiedział, że brat tego nie znosi.

- Termometr chyba już się gotuje - zauważył Berthold. - Być może dziś będziemy mieli najbardziej upalny dzień od wielu lat.

Claus namydlił twarz i górną połowę ciała. Bólu, który przy tym odczuwał starał się nie okazywać.

Miał trzydzieści sześć lat. I był starszy od swego, brata o ponad

dwa i pół roku. Bezlitosny czas zatarł tę różnicę niemal całkowicie. Wyglądali tak, jak gdyby przyszli na świat tego samego dnia.

- Wszystko odbędzie się zgodnie z planem - powiedział Claus, przesuając brzytwę po twarzy. - Tym razem jestem pewien.

- Tak - odrzekł Berthold. - Czuję, że jesteś pewien.

Plan, według którego Claus von Stauffenberg zamierzał działać, został opracowany ze sztabową dokładnością'. Pierwsza faza wyglądała następująco: około godziny szóstej rano pułkownik miał opuścić mieszkanie nad Wannsee. Towarzyszyć mu miał jego brat. Pułkownik będzie niósł teczkę. Jego kierowca będzie czekał przed domem ze służbowym samochodem... Dalej plan przewidywał: w drodze na lotnisko wsiądzie do samochodu adiutant Stauffenberga, oberlejtant Werner von Haeften. On również będzie miał teczkę. A w niej zapasowy materiał wybuchowy. Pułkownik chciał być przygotowany na wszelką ewentualność. W Rangsdorf ma czekać heinkel. Odlot był ustalony na godzinę siódmą.

- Nadeszła pora - powiedział brat.

Zanim Claus hrabia von Stauffenberg opuścił pokój, rzucił jeszcze krótkie spojrzenie na fotografię stojącą na małym stoliku obok jego łóżka. Była na niej jego żona Nina i dzieci. Uśmiechnął się do nich z ufnością. Kierowca zasalutował uprzejmie i spokojnie jak zawsze, kiedy ujrzał idącego ku niemu pułkownika.

O tej porze nad znaczną częścią Berlina unosił się jeszcze ciężki jak ołów poranny sen. Białe światło pierwszych godzin dnia drżało na ruinach rozbitego, rozgrzebanego, udreżonego miasta.

Kapitan von Brackwede rzucił się w swym gabinecie na Bandlerstrasse na łóżko polowe, leżał tam bez ruchu. Sturmbannführer Maier przebywał w swej rezerwowej kwaterze. Dwa aresztowania, przewidziane na ten dzień, przesunął. Oberleutnant Herbert u boku narzeczonej Molly marzył o wielkich czynach, nie przypuszczając nawet, że były one tuż przed nim.

W piwnicy na Landwehrstrasse Lehmann ułożył się obok studentek. Chętnie odstąpiły mu część swoich worków. Dramaturg nie chciał spać, robił notatki na małych kartkach. Na jednej napisał:

"Dziwi mnie zawsze,  
że wciąż te same twarze,  
jak przed trzema tysiącami lat,  
choć tyle nienawiści i cierpień  
przez nie przeszło."

Generał broni Beck zbudził się zlany potem. Działo się tak często w ostatnich czasach. Gospodyni zastawała zawsze rano łóżko „kompletnie mokre”. Przyjaciele obawiali się, że generał jest ciężko chory. Na jego twarzy malował się dręczący ból.

Julius Leber który owego dnia miał być powołany na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, spędził tę noc jak wiele innych w swoim życiu. Leżał związany na podłodze celi. Zadawał sobie pytanie; dlaczego nie zaciągnięto go jak zwykle rano na przesłuchanie. Musi istnieć jakiś szczególny powód. Albowiem oprawcy również zwykli byli postępować zgodnie z tradycją, zgodnie z planem.

Carl Friedrich Goerdeler, przewidziany na kanclerza Rzeszy, znalazł schronienie u byłego przewodniczącego okręgu regencyjnego, Ubiegłej nocy przyjął go radca poselstwa; jutro ma to być pewien duchowny. Goerdeler nie wiedział, że pułkownik von Stauffenberg już był w drodze, aby zrealizować ostateczną decyzję.

Eugen G. przybył poprzedniego dnia ze Stuttgartu do Berlina. Zakradł się do mieszkania swego przyjaciela Helmuta von Moltkego, zakładał bowiem, że jest ono strzeżone. Doktor przeszedł więc przez płot. Spał teraz spokojnie i mocno. Otrzymał pocztówkę, na której było napisane: Wesele wkrótce. Podpis: Peter York. A zatem: Peter hrabia York von Wartenburg, doktor praw, nadradca stanu, on również należał do najściślejzego kręgu wtajemniczonych.

Poranne słońce padało więc na setki osób, którym wschodzący dzień miał przynieść kres ich życia. I to nie tylko dlatego, że zdecydowali się wziąć udział w unicestwieniu Hitlera. Liczni spośród nich zginęli z powodu kilku uwag, inni, ponieważ udzielili schronienia ściganym; wielu, ponieważ znajdowali się na którejś liście, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. Same notatki wystarczyły, aby zniszczyć życie ludzkie

Ale najobszerniejsze chyba „załączniki do zamachu stanu” znajdowały się w pewnej teczce. Stała ona w wąskim jasnym pokoju na trzecim piętrze domu na Schifferdamm 13.

Elisabeth i Konstantin wciąż jeszcze leżeli obok siebie na łóżku. Żadne z nich nie spało. Patrzyli na szarobiały stiukowy sufit, wydawał im się kopułą, która ich osłaniała.

- Dlaczego pan nie śpi? - zapytała Elisabeth cicho.

- Nie zasną wyznał Konstantin - obok pani.

Ich twarze zwróciły się ku sobie. Zdawały się lekko błyszczeć jak srebro w delikatnym blasku świecy: Oddychali ciężko. A jej oddech niczym nieśmiałe palce muskał jej skórę.

- Elisabeth – powiedział ledwie dosłyszalnie;



- Słucham - odrzekła.

W domu pospiesznie zatrzasnęły się drzwi. Ktoś odkręcił kran. Słysząc było szum wody. Następnie ktoś przeszedł przez korytarz, skradając się ostrożnie. Jak z oddali rozległ się krzyk kobiety podobny do wycia syreny, zaraz potem zamilkł, jakby zduszony poduszką.

Elisabeth i Konstantin nic z tego nie słyszeli. Dotykali się nawzajem.

- Kocham cię - powiedział Konstantin.

- Tak - Elisabeth wyrzekła to z zamkniętymi oczami, jakby nie chciała widzieć światła dnia, które teraz z natrętną wyrazistością próbowało na nią padać.

I pozwoliła, aby stało się to, co było nieuniknione.

- Człowieku, myślę, że panu zazdroszczę - powiedział Lehmann.

- Ale dlaczego? - zapytał dramaturg lekko ubawiony. - Czyżby z powodu miłych studentek, które w niejedną noc dotrzymywały mi towarzystwa?

- Otóż to! - rzekł Lehmann rubasznym tortem, - Już dawno nie czułem się tak dobrze!

Rozmawiali cicho, dziewczęta jeszcze spały. Od jakiegoś czasu świeczka była zgaszona. Dramaturg mógł robić swoje notatki w pobliżu małego, zaklejonego okna.

- To może pan mieć każdej nocy - powiedział do Lehmann.

- Wie pan, czego panu naprawdę zazdroszczę? Pańskiego spokojnego sumienia. Bo pan może powiedzieć o sobie: coś zrobiłem!

- Ależ skąd! - zawołał dramaturg pospiesznie, z zakłopotaniem. - Niech nam pan nie przypisuje czegoś, na co nie zasłużyliśmy. My po prostu nie możemy inaczej. I to wszystko.

- Czy takich jak pan jest więcej?

- Cała gromada. Na samej tylko Landwehrstrasse są dwie grupy. W pobliżu Alexahderplatz mieszka rencista, inwalida wojenny z lat tysiąc dziewięćset czternaście, tysiąc dziewięćset osiemnaście. Pisze kartki pocztowe przeciw Hitlerowi i wojnie, Każdego dnia podrzuca gdzieś jedną taką. Na Metzger Strasse jest elektryk, który nas zaopatruje w żarówki, baterie i latarki kieszonkowe. Na samym tylko Luxemburger Platz wymalowano w nocy trzy różne hasła. Zrobiły to dwie różne grupy, a nas przy tym nie było.

- Zbyt mało nawzajem o sobie wiemy - powiedział Lehmann.

- Czy pan nigdy nie przypuszczał, że są tacy ludzie jak my?

- Nie - przyznał Lehmann. Jego oczy miały wyraz znużony i smutny. - My chyba żyjemy za bardzo obok siebie. - Ale myślimy tak samo, a niekiedy działamy tak, jakbyśmy się ze sobą umawiali... Czy to nie budzi nadziei?

Teraz światło dnia dotarło także do dziewcząt w kącie. Wstały, przetarły zaspane oczy, obciągnęły sukienki i zręcznymi ruchami doprowadziły włosy, do porządku. Po czym uśmiechnęły się do mężczyzn i podeszły bliżej; ich młodzieńcza skóra lśniła świeżością.

Kiedy znów się zobaczymy? -zapytały Lehmana.  
- Do diabła! - wykrzyknął Lehmann. - Ta noc być może postawi wszystko na głowie! Zupełnie nie wiem, co mam odpowiedzieć.

- W każdym razie jest pan u nas zawsze mile widziany - zapewniła dziewczyna o blond włosach serdecznym tonem. - Tacy mężczyźni jak pan mogą nam być potrzebni.

- Dziewczęta - powiedział Lehmann lekko zmieszany - być może widzimy się po raz ostatni. Mam taką nadzieję, ale jednocześnie wcale tego nie pragnę, tylko że wy tego nie możecie zrozumieć. Któż to wie, co będzie jutro. W każdym razie nigdy was nie zapomnę.

- My pana również.

Lehmann uściskał je spontanicznie. Drżąc uszczęśliwiony, poczuł ich usta na swojej twarzy. Klepnął dramaturga po ramieniu i powiedział.

- Że też są tacy ludzie jak wy! Gdyby Stauffenberg to wiedział, byłoby mu o wiele łatwiej!

Wypchana teczka, o której kapitan von Brackwede sądził, że znajduje się w bezpiecznym miejscu, stała obok łóżka w pobliżu butów leutnanta. Rzucona była na to cienka jedwabna bielelina.

Pokój ten należał do mieszkania wdowy nazwiskiem Wallner. Jej mąż był majorem i poległ „za Führera i Rzeszę niemiecką”. A jednak nie zostało jej oszczędzone przymusowe dokwaterowanie. Mimo to hrabina Oldenburg była mile widzianym lokatorem. Nie przeszkadzali jej „goście” gospodyni.

Swemu obecnemu „gościowi” Wallnerowa szeptała teraz cicho i pospiesznie: za głośno chodzi po korytarzu, puszcza wodę przy otwartych drzwiach i przy otwartym oknie. Cały dom się obudzi, a potem będziemy mieli nieprzyjemności.

Szczupły mężczyzna o wystraszonej, zagłodzonej twarzy, z którym rozmawiała Wallnerowa, prosił o wybaczenie. Spoglądał zmartwiony.

Ja nie chciałem... Starłem się zachowywać jak najciszej. Mogę mieć jedynie nadzieję...

Wallnerowa spojrzała zimnym wzrokiem.

- Nie potrzeba, aby mnie pan przepraszał! To ja powinnam pana przeprosić, ponieważ jestem zmuszona gościć pana u siebie w taki żałosny sposób.

„Gość” pokłonił się z wdzięcznością. Już od dwóch lat mieszkał w pokoiku pani Wallner. Nazywał się doktor Grunfeld, był lekarzem i Żydem. Dwukrotnie uratował majorowi życie; raz w czasie pierwszej wojny światowej na froncie, potem w Berlinie po wypadku ulicznym. Przed śmiercią bohatera nie mógł go uratować.

. - Ma pani ze mną tyle kłopotów i zmartwień - powiedział cicho.

Wallnerowa mruknęła niechętnie:

- I ta wojna kiedyś skręci kark, a wtedy chciałabym móc powiedzieć: tak całkiem nie dała mi rady.

W mieszkaniu obok spała aktorka, Erika, tym razem sama. Spanie było jej ulubionym zajęciem. Cieszyła się zrozumiałą przychylnością wśród wybitnych osobistości owych czasów. Prezydent policji Berlina był najbardziej przez nią wyróżnianym gościem, to on załatwił jej to mieszkanie, którym mogła sama dysponować.

W trzecim mieszkaniu na trzecim piętrze żył nauczyciel gimnazjalny Scheumer z rodziną. Należały do niej prócz chorej żony dwie szanowane i zacie córki. Jedna była pielęgniarką, druga siłą pomocniczą w Wehrmachcie; obie przebywały obecnie poza domem.

Życie Scheumera było trochę puste, odkąd szkoła została zbombardowana, ale postanowił je z pożytkiem wykorzystać. Przede wszystkim poświęcił się niemieckim filozofom, od Regla do Hitlera. Próbował dowieść, że obaj nawzajem się uzupełniają. Ale w obecnej chwili oddał się, przezornie, bardziej przyziemnemu zajęciu: sporządzał coś w rodzaju zapisków.

Można było w nich przeczytać: zatrudniona w domu cudzoziemska robotnica, nazywana powszechnie tylko Marią, została przez niego złapana i w pewnym sensie zabezpieczona. Scharführer Jodler przejął ją potem, należycie przez niego przekazaną, w równie poprawny sposób. Potem następowały bliższe dane dotyczące miejsca i czasu.

Również Breitstrasser z drugiego piętra spała teraz, wypełniona po brzegi rozrastającymi się jak szalone przeżyciami. Poranne słońce oświetlało jej pomarszczoną cytrynową twarz. Jej wargi poruszały się bezgłośnie jak gęby żab na skraju bagna.

Na parterze na prawo leżał scharführer Jodler - nagi, z szeroko otwartymi ustami; charczał jak po ciężkiej pracy. Obok niego leża-

ła Maria; również naga. Zwinęła się w kłębek jak zastraszonego pies. Mieszkanie na lewo na parterze było puste. Ortsgruppenführer, do którego należało, znajdował się w piwnicy. Był martwy.

Samolot dla pułkownika hrabiego von Stauffenberga stał na pasie startowym w Rangsdorf. Jego płaty i usterzenie drżały, pilot rozgrzewał silnik.

Samolot ten, marki Heinkel, oddał do dyspozycji generał artylerii Eduard Wagner, generalny kwatermistrz w sztabie generalnym armii. Był to starannie wypielęgnowany, godny zaufania stabilny środek transportu, jednakże bez urządzeń radiotelegraficznych. Urządzenia takie nie były wówczas powszechnie w użyciu.

Pilot, doświadczony, opanowany mężczyzna, sprawdzał tablicę rozdzielczą. Dochodziła siódma rano. Samochód pułkownika Stauffenberga zatrzymał się na skraju lotniska. Claus wysiadł razem ze swoim bratem Bertholdem i oberleutnantem von Haefenem. Generał brygady Helmuth Stieff czekał na nich. On również należał do „wtajemniczonych” i tego dnia miał też coś do załatwienia w głównej kwaterze Führera.

Oficerowie przywitali się po koleżeńsku, niemal jak przyjaciele. Różnice stopni zdawały się między nimi zacierać. Stauffenberg uderzył dłonią w jedną z dwu teczek, które niósł jego adiutant, jak gdyby chciał powiedzieć: tym razem się uda!

Twarze oficerów lśniły, prażący poranny upał otaczał ich niczym wilgotna ciepła chusta. Ale głos Stauffenberga dźwięczał mimo to świeżo i jasno.

- Jak pan się czuje, panie generale?

- Całkiem dobrze - odpowiedział Stieff, uśmiechając się. - Kiedy widzę przed sobą pana, mogę być tylko pełen ufności. - Ale niemal jednym tchem bez niepokoju, bez wątpliwości, jak oficer sztabowy przyzwyczajony do dokładnego planowania dodał: - Abstrahując jednak od pańskiej osoby: czy jest pan pewien, że tym razem wszystko potoczy się zgodnie z harmonogramem?

- Stuprocentowej pewności nie ma - stwierdził Claus von Stauffenberg jakby trochę niechętnie, - Ale według obliczeń, wszystkie przygotowania przebiegły z największą dokładnością.

Oberleutnant von Haefen podniósł obie teczki - jego przyjazna chłopięca twarz uśmiechała się pogodnie.

- Tym razem zabezpieczyliśmy się podwójnie. Gdyby jeden ładunek nie zadziałał, jest gotów drugi!

Czy zabrałeś dość waty. do swego chorego oka? - zapytał zatroskany Berthold.

- Tak, dziękuję.

Generał Stieff patrzył zamyślony przed siebie. Przeżył już wiele rozczarowań, nawet przy nadzwyczaj starannych planach. I tego nie mógł i nie chciał zapomnieć.

- Tym razem wiele może zależeć od tego, jak będzie funkcjonować informacja; jednak jest, to bardzo skomplikowana sprawa.

- Wobec tego trzeba ją uprościć - zawołał oberleutnant von Haeften. - Ale to można zrobić dopiero wówczas, kiedy wreszcie stworzymy fakty dokonane.

Ów oberleutnant wraz z innymi młodymi kolegami dążył do radykalnego rozwiązania. Generał broni Beck i dowódcy byli „myślicielami”, Olbricht, Stauffenberg i Brackwede należeli do planistów, którzy byli popychani do czynu. Ci, którzy ich popychali, zamierzali rozwiązać węzeł gordyjski za pomocą ciosu mieczem.

- Czas teoretyzowania już minął - powiedział Claus. - Jeszcze tylko kilka godzin i będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

Opuścił głowę jakby w zamyśleniu. Sprawilo to wrażenie, że sam sobie wydał ostatni rozkaz. Wyprostował się, skinął głową jedynie bratu i wszedł do samolotu.

Pilot zwiększył obroty silnika. Niebo było bezchmurne. Wskaźnik kierunku" wiatru wisiał oklapły na skraju lotniska. Start nastąpił dokładnie prawie co do minuty o 7.00, maszyna potoczyła się po pasie, szarpnęła, poderwała się i poszybowała przed siebie.

Berthold von Stauffenberg długo patrzył za samolotem, dopóki ten stał się tylko punktem nad migocącym horyzontem. Twarz Bertholda pozostała bez wyrazu. Ale oczy błyszczały wilgocią.

Piwnica w domu na Schifferdamm 13 była podzielona przegrodami z grubo ciosanych desek: każdy lokator miał swoją część. Śmierdziało tu resztkami kartofli, leżał zaoszczędzony węgiel, na półkach tu i ówdzie stały ostatnie słoiki z konfiturami. Do sufitu piętrzyły się walizki i skrzynki z rzeczami uważanymi przez właścicieli za wartościowe. Ale środkowe przejście było przerobione na schron przeciwlotniczy.

I tu znaleziono zwłoki Joachima A. Jodlera, ortsguppenleitiera i administratora domu. Jodler senior leżał w poprzek dwóch środkowych ławek. Na jego koszuli widniała rdzawoczerwona plama wielkości dłoni. Najwidoczniej został on „trafiony w serce”; jak

mówią słowa piosenki. Sprawiał teraz wrażenie wyjątkowo przyjaźnie usposobionego.

Wdowa po majorze była pierwszą osobą która go w takim stanie ujrzała. Zeszła do piwnicy po konserwę, alby zrobić przyjemność swemu „gościowi” po niespokojnej nocy.

Na widok trupa najpierw się cofnęła; Rozejrzała się zaniepokojona dokoła; Przekonała się, że nikogo prócz niej nie było w piwnicy. Następnie mruknęła:

- Tak go sobie wyobrażałam w snach. Ale potem postanowiła: nic nie widziałam! Oddaliła się pospiesznie i pobiegła na górę. Spotkała po drodze Scheumera. Powitał ją szerokim gestem. Wyglądało na to, że z jednej strony chce uchylić kapelusza, aż drugiej wykonać hitlerowskie pozdrowienie. Alę dokładniej nie można było poznać. Miał w tym wprawę.

- Już z drogi? - zapytał. - Mały poranny spacer, co? Ja też czuję potrzebę przywitania nowego dnia.

- Gdyby pan przypadkiem zszedł do piwnicy-powiedziała Wallnerowa śmiało - niech pan przy okazji rzuci okiem na mój zamek, czy nie jest wyrwany i czy go zamknęłam, dzisiaj wszystko może się zdarzyć.

Nauczyciel oddalił się, jego oczy błyszcząły przyjaźnie. Lekkimi ruchami schodził po schodach.

Zaledwie po dziesięciu minutach wrócił, wyraźnie pobladły, Ujrzał Jodlera i wykrzyknął: - O Boże! - był to spontaniczny napad pobożności, na jaką zdeklarowany filozof raczej sobie nie pozwalał; Również on po krótkim namyśle postanowił nic nie widzieć.

„Heil Hitler, towarzyszeko Schulz! - zawołał kapitan von Brackwede żartobliwym tonem. - Czy już wszystkie śmieci z wczorajszego dnia uprzątnięte?

- Witam, panie hrabio! - powiedziała sprzątaczką i mrugnęła do niego. - Wygląda pan jak ktoś, kto ma za sobą udaną noc.

Brackwede spał tylko kilka godzin, ale jego oczy błyszcząły żywo, „Mama” Schulz, sprzątaczką, należała do jego podopiecznych. Poleciał mu ją jeden z przyjaciół: zaczęło się nią bowiem interesować gestapo. Była zatrudniona na Bendlerstrasse w ramach obowiązkowej służby wojennej.

Kapitan zaprosił ją na filiżankę kawy, Traktował sprzątaczkę tak, jakby miał przed sobą miłego gościa, i tak też było. Pani Schulz

wiedziała, co hrabiego interesuje. W owym czasie byli to nocni pracownicy na Bendlerstrasse.

- Większość z nich śpi głębokim snem! Skąd oni biorą spokojne sumienie, które jest do tego konieczne?

Według obserwacji sprzątaczkii nikt się tu raczej „nie przemęczał”, oczywiście z wyjątkiem przyjaciół hrabiego von Brackwede.

- Ten pułkownik Mertz jest chyba przywiązany do swojego biurka!

Żartowali jeszcze jakiś czas. Brackwede cenił sobie „doniesienia” swojej podopiecznej, ułatwiały mu one ogólny wgląd w atmosferę w tym gmachu.

- Czyżby ten Herbert należał ostatnio do pańskich przyjaciół? - zapytała kobieta. - Przynajmniej tak się zachowuje. Nie dowierzałabym mu ani na moment!

- A dlaczego nie? - zapytał kapitan ubawiony.

- Bo ten chłopak nie potrafi się śmiać! Umie tylko szczerzyć zęby, nie nadaje się nawet na dziadka do orzechów.

: -. Pani powinna być w żeńskiej policji kryminalnej - powiedział kapitan. - Załatwię to, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Hrabia von Brackwede schodził teraz z trzeciego piętra domu przy Bendlerstrasse 11/13 na drugie piętro, po schodach imitujących marmur. Jeszcze nie wszystkie tryby czynności dnia powszedniego były do końca puszczone w ruch, albowiem zatrudnieni tu oficerowie zwykli byli zachowywać się przeważnie jak urzędnicy: mieli swoje godziny pracy i trzymali się ich.

Generał Olbricht znajdował się już tego dnia w swoim pokoju. Siedział u niego pułkownik Mertz von Quirnheim.

Kapitan von Brackwede przyłączył się do nich, ospale, bez szczególnego powitania. Pochylił swój orli nos nad ich papierami i zapytał: - Szukacie ewentualnych źródeł błędu?

- Nasz kalendarz alarmowy - zapewnił generał Olbricht - został tymczasem jeszcze raz gruntownie przepracowany. Gdy tylko dostaniemy wiadomość, że Stauffenbergowi się udało, natychmiast rozpoczniemy akcję.

Pułkownik Mertz pokiwał głową.

Tym razem postawimy wszystko na jedną kartę. Koniec z małymi krokami, będziemy, działać na całym froncie i wszystkimi dostępnymi siłami. - I uśmiechając się, von Quirnheim dorzucił: - Przedsięwzięcie całkowicie po pańskiej myśli, prawda? - Ale ja poza tym mam jeszcze rozum - zauważył kapitan uprzejmie. - A to niekiedy bywa ciężarem. Wtedy na przykład, kiedy zadaje sobie pytanie: a co będzie, jeśli się nie uda?

- Wtedy koniec z nami - powiedział generał zwyczajnie.  
- Absolutny? - zapytał Brackwede twardo. - Czy aby nie włączył pan możliwej katastrofy do planu, zgodnie ze zwyczajem sztabu generalnego? Czy jeśli ktoś rozpoczyna bitwę, nie musi także w kalkulować ewentualnego odwrotu? Aby uniknąć całkowitego zniszczenia?

Pułkownik Mertz von Quirnheim wysunął do przodu swą łysą, lśniąca czaszkę uczonego:

- Ma pan na myśli zabezpieczenie?
  - Oczywiście środki ostrożności, tak to nazwijmy.
  - A jakie w szczególności?
  - W tym gmachu jest za dużo papierów— stwierdził kapitan.
- Większość z nich należałoby spalić, żeby w żadnym razie nie dostały się w niepowołane ręce. Czy pomyślał pan o tym?
- Oczywiście - powiedział Olbricht. - Takie działania są przewidziane na wypadek, gdyby się coś nie udało. Należy jednak pamiętać, że pewne dokumenty mają, że tak powiem, wartość historyczną.
  - Panowie! -wykrzyknął kapitan von Brackwede ironicznie.
- O wieczności jeszcze zdążymy pomyśleć. Najpierw spełnijmy wymogi tego jednego dnia! I mogę panom tylko poradzić: posprzątajcie tu dokładnie. Spalcie wszystko, co nie jest wam koniecznie potrzebne. Resztę zabezpieczcie. Ja na swoim odcinku już to zrobiłem.

Teczka wciąż jeszcze stała przed łóżkiem, w którym leżeli Elisabeth i Konstantin. Ostre tego dnia słońce przedzierało się teraz z całą siłą przez zasłpny.

- Kocham cię - szeptał Konstantin ledwie dosłyszalnie. Pocałował ją i znów wyszeptał: - Kocham cię.

- Tak - powiedziała Elisabeth. W ciągu ostatnich kilku godzin powtarzała wciąż to jedno słowo.

Sufit tego wysokiego pokoju, ozdobiony bladyszarym ornamentem w róże, zdawał się nad nimi opuszczać. Jak wieko trumny. Objęli się z zamkniętymi oczami.

Konstantin czuł, jakby opadał bezdennie głęboko i znów się wynurzał, wyciągany przez Elisabeth drżącymi rękami. Ciężko oddychając zapytał:

- Czy ty mnie też kochasz?
- Tak - powiedziała szybko i cicho. Ścisnęła mocno jego ramiona i rzekła: - Zawsze pamiętaj o tym, że cię kocham. Nigdy nie zapomnij.

Ukryła twarz w jego ramionach. Jaskrawe przedpołudniowe



słońce dokuczało im, coraz bardziej. Elizabeth nie chciała otworzyć oczu. Drżała ze szczęścia i strachu.

Dom na Schiffardamm 13 zdawał się pędzić niepowstrzymanie przed siebie na fali z piany. Świat wokół był jakby wygasły; istnieli tylko oni. Elisabeth krzyknęła, zamierając.

Teczka stała teraz w jasnym świetle dnia! Brązowożółta skóra świeciła jak sygnał ostrzegawczy.

O 10.15 heinkel po trzygodzinnym locie wylądował w Rastenburgu w Prusach Wschodnich. Pułkownik Stauffenberg wysiadł pierwszy. Generał Stieff i oberleutnant Haeften za nim. Rzucali ostre cienie na ubitą ziemię.

Pilot otarł i pot z czoła. Obojętnie skinął głową von Haeftenowi, kiedy ten powiedział: - Niech pan będzie gotowy w południe do powrotu. W ciągu paru minut będzie pan musiał wystartować.

Pilot samolotu był żołnierzem. Słuchał rozkazów i wykonywał je jak wszyscy inni żołnierze.

Właśnie na to liczyli ludzie na Bendlerstrasse; na tym opierał się też plan „Walkiria”; wydane rozkazy zostaną wykopane. Tak było w Niemczech.

Pułkownik von Stauffenberg rozejrzał się badawczo dokoła: wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wylądowali z dokładnością niemal co do minuty. Maszyna okazała się sprawna, we właściwym czasie będzie na nich czekała gotowa do powrotu.

Łazik jechał powoli w ich stronę - komendant głównej kwatery Hitlera wysłał po nich pojazd. Stieff i Stauffenberg wsiedli bez słowa. Oberleutnant von Haeften rozmawiał jeszcze chwilę z kierowcą. Potem on również wsiadł. Najostrożniej, jak tylko mógł, obejmował obie teczki.

- Czy mam przyspieszyć? - zapytał kierowca uprzejmie.

Stauffenberg pokręcił głową. — Niech pan zachowa zwykłą szybkość.

Mieli dwadzieścia do trzydziestu minut czasu - dokładnie według planu.

Jechali przez czarnoniebiesko lśniące lasy: rozłożyste gałęzie zdawały się być ze sobą splecione jak palce rąk złożonych do modlitwy. Potem otoczyła ich migocąca jasna zieleń, przeważnie brzozy o sreprzystobiałych pniach. Wilgotne, ciepłe powietrze owiewało ich twarze.

Claus von Stauffenberg wdychał głęboko ten capach parującej zieleni, puszystego mchu i kapiącej żywicy - przypominało mu to lasy

jego dzieciństwa, spacer z Bertholdem, owe samotne godziny, w których linijki wierszy dźwięczały jak szklane dzwonki. Towarzysze widzieli, jak pułkownik się uśmiecha.

Oberleutnant dotykał palcami swoich teczek. Generał Stieff spoglądał ciemnymi zamyślonymi oczyma na zrytą drogę.

Zbyt mocno ciążyła mu świadomość niekończącego się łańcucha uchybień: nie wypróbowany materiał wybuchowy - wątpliwy zapalnik — nieobliczalność Hitlera! Również wiele praktycznych doświadczeń z bombami dawało jak najdziwniejsze rezultaty. Lekka powiewająca zasłona mogła ochronić pomieszczenie niczym betonowa ściana. Całe domy rozsypały się podczas potężnej detonacji a stojące tuż w pobliżu gipsowe figury pozostały całkiem nie uszkodzone.

Stauffenberg pochylił się nagle do Stieffa z ujmującym uśmiechem.

- Wie pan, co jest dla mnie najdziwniejsze? Przywykłem planować wszystko z największą dokładnością. Zrobiłem tak również tym razem. Jednakże wciąż dochodzę do wniosku, że nie można być pewnym żadnego człowieka, a już na pewno nie narodu, czasu ani tego, co nazywamy losem.

- Sądzi pan, że jesteśmy na niego zdani?

- Nie zdani! Po prostu zależy od niego. Myślę, że pozostaje nam tylko jedno: musimy być sami ze sobą w zgodzie. I tylko to się liczy!

O 10.45 dotarli do głównej kwatery führera.

Niemal dokładnie o tej samej porze kapral Lehmann zjawił się znów na Bendlerstrasse. Ubrany w niebieski kombinezon montera; w końcu był zarejestrowany jako dźwigowy w Stoczni Zachodniej. Na dzisiejszy dzień miał zwolnienie lekarskie;

- Jest coś do zreperowania? - zapytał energicznie.

Kapitan von Brackwede zaciągnął go do swojego gabinetu.

- Najpierw ~ powiedział - niech pan odpocznie, Zanim sprawa tu dotrze, upłynie dobrych kilka godzin. Poza tym wygląda pan na trochę zmęczonego, stary druhu!

- To złudzenie - zapewnił Lehmann. - Brak mi wprawdzie prima opieki sztabowej plus extra racji Herberta, ale mimo to jestem żywy jak ryba. Ostatnią noc spędziłem nawet jednocześnie z dwiema studentkami. Mogę panu tylko wyznać: co za przeżycia!

Gadali głupstwa jeszcze przez jakiś czas w atmosferze serdecznej wesołości. Lehmann zażądał koniaku, a von Brackwede chciał znać dalsze szczegóły.

Niech pan sobie wyobrazi - powiedział Lehmann poważnym tonem - podczas gdy my tu planujemy, nieznanymi towarzyszom podobnych poglądach ryzykują każdej nocy głową. My zapisujemy całe arkusze papieru, a tam krzyczą to z murów, tam ukrywa się ludzie, zapewnia bezpieczeństwo kandydatom na nieboszczyków.

Von Brackwede skinął głową.

- Wiem o tym, jesteśmy znacznie silniejsi, niż kiedykolwiek przypuszczaliśmy.

- Brak nam jedynie tego, co nasi sztabowcy nazywają koordynacją sił - zauważył Lehmann. - A mówiąc prosto: kontaktu kliki hrabiów z kliką towarzyszy.

- A gdzie, przyjacielu, jest klika podoficerów?

- Mam wielką ochotę taką utworzyć.

Podczas pobytu w Paryżu Lehmann poczynił ciekawe spostrzeżenia: był tam człowiek, który trzymał wszystkie nici w swoich rękach podpułkownik Casar von Hofacker - nie tylko spokrewniony ze Stauffenbergiem, ale także świadek na ślubie hrabiego von Brackwede; przyjaciel i kolega dziesiątków innych, którzy należeli do ścisłego grona.

- To by można w zasadzie ciągnąć dalej - powiedział kapitan uśmiechając się. - Jeden z naszych zaufanych oficerów jest zięciem generała Olbrichta. Mój ojciec znał blisko generała von Becka i von Stülpnagla, obaj bywali w naszym domu. Hoepner był kiedyś dowódcą Stauffenberga. A nasz doktor jest blisko z całą gromadą duchowieństwa. Julius Leber może liczyć na całą gwardię towarzyszy walki. Za Carlem Goerdelerem stoi część przemysłu.

- Sami kuzyni! - wykrzyknął Lehmann. Ale zaraz dodał: - Rozumiem, co pan chciał przez to powiedzieć: trzeba koniecznie móc polegać na sobie wzajemnie.

- A to jest możliwe, w naszych czasach tylko wówczas kiedy się nawzajem zna, i to dobrze. W końcu, mój drogi, nie chodzi tu przecież o sympatię albo o podobne przekonania, tylko po prostu o śmierć albo życie.

- Jednakże powinniśmy się znacznie więcej troszczyć o tych, którzy ani nie są naszymi krewnymi, ani nie zaliczają się do grona naszych osobistych przyjaciół czy też kolegów z pułku - rzekł Lehmann,

- Ach, mój drogi, niech pan tylko nie zaczyna śledzić błędów i zaniedbań. Ja sam już to czynię od lat. Nie czuję się szczególnie dobrze we własnej skórze. Żyjemy w tak wielkich czasach, aż mi

trudno w nich oddychać, niech pan o tym nie zapomina. Powinniśmy dziękować Bogu, że dotrwaliśmy przynajmniej do tego dnia.

- Ten dzień jeszcze się nie skończył - stwierdził Lehmann. - Ostatnio często myślę o mojej matce. Zawsze mówiła: choćbyś się nie wiem jak starał i postępował jak anioł, ani się obejrzysz, a diabeł z tobą zatańczy!

Trup w piwnicy domu na Schifferdamm 13 został oficjalnie znaleziony przez Erikę Elsner. Zareagowała na to całkiem prosto: spojrzała i stwierdziła, że ten człowiek nie żyje.

Popatrzyła na zegarek - była 11.15 - i poszła na parter. Tu zadzwoniła najpierw do Jodlera seniora. Ale ponieważ nikt jej nie otworzył, zadzwoniła do drzwi naprzeciwko, do Jodlera juniora. Otworzył jej skąpo odziany scharführer.

Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Chyba pani nie do mnie? Jestem bowiem na urlopie i akurat spałem. Ale jeśli pani właśnie dlatego...

Erikę rozbawiło to tylko nieznacznie, okoliczność była niezbyt stosowna.

- W tej chwili powinien się pan raczej zatroszczyć o swojego ojca, Leży w piwnicy - oświadczyła rzucając, krótkie, badawcze spojrzenia na jego nadmiernie jak u goryla owłosioną pierś.

- Pijany? - zapytał Jodler junior.

- Nie. - Erika nie zawahała się powiedzieć mu prawdy, była nawet trochę ciekawa jego reakcji. - On nie żyje.

Josef Jodler zmrużył oczy, zamilkł na kilka sekund. Żadnego innego poruszenia nie można było w nim dostrzec. Wreszcie zapytał .

- Czy to nieszczęśliwy wypadek albo coś podobnego? Nie? No tak, na wszelki wypadek zobaczę.

Zszedł do piwnicy, a Erika za nim, z rosnącą ciekawością. Aktorzy, obojętne jakiej rangi, zawsze ją interesowali. Patrzyła, jak syn pochylał się nad ojcem, i to wręcz ze znajomością rzeczy. Dla niego trupy to był chleb powszedni...

- Zastrzelony - orzekł fachowo, podnosząc się - nie wiadomo przez kogo. - Zmierzył wzrokiem Erikę. - Czy to pani?

- Na pewno nie! I to wszystko, co wiem.

Josef Jodler pozostał całkowicie nieporuszony. Jeśli chodziło mu o zaprezentowanie swego opanowania, to udało mu się przekonywująco.

- No tak - powiedział - w końcu jest wojna i wszystko może się

zdarzyć. Wszędzie dokoła sam motłoch. Może to być również nie-szczęśliwy wypadek albo samobójstwo. - Stał zamyślony. - Co ja teraz zrobić?

- Najpierw należałoby zawiadomić policję. - Dziewczynie zaczynało imponować takie opanowanie. - Urzędowe dochodzenie jest przecież w zwyczaju w takich wypadkach.

- Tak pani sądzi? - Jodler junior zdawał się być zdumiony. - Czy istotnie coś takiego jest w zwyczaju w piątym roku i wojny? Z powodu jednego trupa? W samym Berlinie każdej nocy jest tego parę tysięcy.

- Zapomina pan, że chodzi tu o całkiem szczególnego trupa, że się tak wyrażę, o ortsruppenleiterra.

- No dobrze - powiedział w końcu - uniesiemy więc kurtynę. Ale jeśli znajdę świnię, która załatwiła mojego ojca, posiekam na kawałki. Przysięgam!

Pułkownik von Stauffenberg widział już trzecią, ostatnią bramę, która go dzieliła od Hitlera. Znajdował się teraz w środkowej części głównej kwatery. Zjadł śniadanie z adiutantem komendanta, teraz zaś został wezwany do feldmarszałka Keitla.

Wilhelm Keitel, szef naczelnego dowództwa Wehrmachtu, przyjął pułkownika serdecznie. Stauffenberg był dla niego nie tylko swoistym symbolem: ciężko ranny oficer, który mimo to nadal prowadzi wojnę dla ojczyzny i führera i taką tezę skwapliwie przyjmowano.

Po uprzejmym wstępie feldmarszałek przeszedł do rzeczy:

- Przede wszystkim interesują nas nowo utworzone dywizje volksgrenadierów.

- Czy będą podlegały rozkazom reichsführera SS? - zapytał pułkownik otwarcie.

Keitel uśmiechnął się z właściwą sobie koleżeńską serdecznością:

- To wykracza poza zasięg mojej wiedzy. - Stwierdził to bez wahania, choć mógł dokładnie odpowiedzieć na pytanie. - Najpierw te dywizje muszą być utworzone, ostateczne decyzje należą oczywiście do führera.

Stauffenberg pozostał uprzejmy, jego głos był niezmienny. Tylko trzy palce jego lewej ręki objęty szybkim chwytem teczkę, którą przysunął bliżej siebie.

- W wypadku gdyby zamierzano włączyć te jednostki pod rozkazy SS, chciałbym o tym wcześniej wiedzieć, aby uniknąć dodatkowych komplikacji.

Keitel znów się uśmiechnął, starając się być uprzejmy.

- Proszę, niech pan się nie martwi, niech pan bez zastrzeżeń zaufa führerowi. Niech pan pomyśli, chodzi o to, aby zmobilizować ostatnie siły. Jak i gdzie Zostaną one włączone do akcji, to się dopiero okaże.

Pstrokaty betonowy schron Keitla znajdował się o kilkaset metrów od bunkrów Hitlera. Ale do tego miejsca nie było możliwe zwyczajne dojście: najwymyślniejsze systemy alarmowa, zabezpieczające i izolujące, podwójne i potrójne kontrole przemieniły „Wilczy Szaniec” w naszpikowany bronią zamek warowny.

Za pierwszą bramą, tak zwaną „bramą wejściową”, znajdował się zaminowany i umocniony teren średnicy około trzech kilometrów. Stała tam podwójna straż, krążyły patrole, czuwały nieustannie szybkie zmotoryzowane jednostki wojskowe. Dopiero druga brama dawała wstęp na właściwy teren pracy i administrowania głównej kwatery führera. Tu tłoczyły się formacje wartowników, których trzon stanowiła straż oficerska.

- Pan z łaski swojej przedstawi führerowi tylko to, co najpilniejsze - powiedział Keitel z naciskiem. - Dziś czas nagli szczególnie, dlatego nieuniknione były pewne zmiany w programie dnia.

Pułkownik Stauffenberg nie zdradził śladu zniecierpliwienia. A był zaniepokojony - albowiem takie „zmiany”, jak wiadomo, udaremniły już niejedyn plan spiskowców.

- Jakież istotne zmiany panie feldmarszałku?

Claus wyrzał przez otwarte drzwi. Pomiędzy wysokimi drzewami o ciemnych pniach zobaczył betonowe kloce w formie prostopadłościanów o białych maskujących kolorach, następnie nic drutów pod napięciem rozpostartych na słupach o wysokości dwóch i pół metra, strażę przemierzające swój rewir jak automaty, - zaaferowanych oficerów, którzy uzbrojeni spieszyli gdzieś z plikami dokumentów, skórzanymi teczkami albo notatkami.

- Południowa narada u führera tym razem nie odbędzie się jak zwykle o czternastej trzydzieści - poinformował Keitel. - Na tę godzinę bowiem zapowiedziany jest duce. W związku z tym wszystkie terminy musiały zostać skrócone i przesunięte na wcześniejszą porę. Wielką naradę sztabową ustalono na dwunastą trzydzieści. - Keitel spojrział surowo w swój terminarz, był niezwykle zapracowanym człowiekiem. - Niech więc pan się do tego dostosuje.,

- Dostosuję się - powiedział Stauffenberg.

Była dokładnie godzina 12.00

- Jaki piękny dzień! - wykrzyknął Konstantin.

Staął w oknie i odsunął trochę zasłony. Ujrzał czarne od dymu

ruiny, za nimi magazyny, hałdy węgla i basen przeładunkowy Portu Zachodniego. Błotnistociemna szarość była dominującą barwą. Ale świecące słońce rzucało na fo blaski jakby z matowego złota. Nie odsuwaj , proszę, zasłon - powiedziała Elisabeth. —Chcę być z tobą sama, widzieć tylko ciebie. Nic więcej.

- Jesteś piękna - powiedział Konstantin, przyglądając się jej.

- Chodź do mnie - rzekła Elisabeth.

Pospieszył ku niej. Podniosła ręce z radością oczekiwania. Konstantin potknął się o teczkę, która wciąż jeszcze stała przy łóżku. Elisabeth roześmiała się.

Przesunął teczkę na bok, również się śmiejąc. Uderzyła o krzesło, na którym leżało jej ubranie.

- Postaw ją w najdalszym kącie, Konstantin, pomiędzy oknem i koszem na śmieci. Nie chcę jej widzieć!

- Mam ją wyrzucić przez okno? - zapytał wesoło.

Elisabeth potrząsnęła głową. Położył się obok niej, ujął jej ręce i przyciągnął do siebie. Całował delikatnie jej ciało, chciał się przejrzeć w jej oczach. A ona patrzyła na niego z oddaniem, promiennym wzrokiem.

- Tak jak jest teraz - powiedział Konstantin - musi być już zawsze. - I szybko dodał: - I będzie zawsze.

Elisabeth uśmiechnęła się.

- Jednak kiedyś będziemy musieli wstać.

- Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Przynajmniej ten dzień należy tylko do nas.

- Wszystkie dni, od dziś,

Byli przekonani, że mają czas tylko dla siebie. Na Bendlerstrasse nie potrzebowano Elisabeth, a Konstantin miał kartę urlopową. Postarał się o to hrabia von Brackwede.

- Mój Boże - mówiła Elisabeth z wdzięcznością. - Wydaje mi się, że dotychczas nie wiedziałam, co to znaczy być szczęśliwą. Teraz jestem szczęśliwa i pragnę taką pozostać. Dopóki się da.

Karzeł Lehmann, teraz znów kapral, rozsiadł się wygodnie w gabinecie kapitana von Brackwede. Robił sobie manikiur pilnikiem, który wyjął ze swojej monterskiej skrzynki na narzędzia; Ale choć tak intensywnie zdawał się być tym zajęty, obserwował, jakby przyczajony, hrabiego.

Ten stał nieruchomo przy oknie. A jego wysoko podniesiona

głowa zdradzała, że dręczy go niepokój. Wsadził ręce do kieszeni spodni. Mundur miał porozzpinany.

- Zorganizowałem niewielką klikę podoficerów - oznajmił Lehmann. - Na razie tylko trzech ludzi, ale wszyscy niby psy gończe. Co pan o tym sądzi?

- To wspaniale! - Von Braekwede kiwnął głową z uznaniem. Odszedł od okna i zbliżył się do Lehmann. - Musimy być przygotowani na wszystko, co tylko nasza wyobraźnia jest zdolna wymyślić. Ale najpierw powinniśmy się nieco wzmocnić.

- Czyżby pan znów wyczyścił spiżarnię pańskiej szanownej rodziny? - zapytał Lehmann z radością w głosie.

Hrabia otworzył teczkę, która leżała na jego biurku. Wyjął z niej kielbasę metkę długości butelki. Lehmann chrząknął uszczęśliwiony, i otworzył szczyryk. Odkroił grube kawałki i zaczęli zapamiętale jeść.

- Cudownie! - zawołał Lehmann. I nagle zapytał: - Czy ma pan wyrzuty sumienia? Nie z powodu pańskiej kielbasy. Ale z powodu pańskiego führera. Był pan kiedyś jego zwolennikiem, jeśli się nie mylę?

- Nie myli się pan. - Von Braekwede zjadał z beztroskim apetytem. - Wstąpiłem kiedyś, przed przejęciem władzy, do tej partu. Z przekonania.

- I jak długo to trwało?

- Całe lata - wyznał von Braekwede; - Dla mnie powiązanie „narodowego” z „socjalistycznym” było fascynujące, w pewnym sensie zresztą jest tak jeszcze i dziś, z mojego punktu widzenia.

- Ale nie w tej formie, prawda?

-Długie lata byłem zatrudniony w służbie państwowej, przez krótki okres nawet jako wiceprefekt policji Berlina. I zawsze starałem się spełniać to, co w Prusach nazywano powinnością. Ale potem zostałem żołnierzem.

- A kiedy przejrzał pan na oczy?

- Już w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim zacząłem się zastanawiać, nigdzie słowa nie zgadzały się z czynami. Natomiast to, czego nie brałem poważnie, okazywało się śmiertelnie poważne. Bezwstydne kłamstwa ogłupiały naród. Narodowi socjaliści stali się bonzami. - Von Braekwede pokiwał głową, tym razem nad sobą samym. - Jednakże: próbowałem robić to, co jeszcze można było w Niemczech, robić najlepszego, Ale czy z przestępcami da się paktować? W żaden sposób! Nie ma na to usprawiedliwienia. Chyba że człowiek ma pełną nieświadomość rzeczywistych zdarzeń. Ale właśnie to nie odnosi się do nas.

- Kielbasa jest w każdym razie wyśmienita! - Lehmann odkroił już czwarty kawałek. - Powoli, ale tylko powoli, zaczynam pojmować coś z tego, co tu zaszło. U Becka, u pana i u wielu innych ta bestia Hitler rozwiął ideały. Uważał pan, krwiożerczego fanatyka, chępliwego krzykacza za ucieleśnienie tak zwanych wiecznych Niemiec i tego mu pan nigdy nie wybaczysz.

- Sobie tego nie wybaczę! - stwierdził ponuro hrabia von



Brackwede.

- Niech pan się pospieszy, Stauffenberg - zawołał feldmarszałek Keitel nagląco..

Stał niespokojny przed swoim barakiem. Jego adiutant, generał Buhle, spojrział na zegarek. Był już najwyższy czas, aby pójść na naradę.

- Już idę - powiedział pułkownik. - Tylko zabiorę teczkę.

Claus von Stauffenberg stał teraz sam w przedsionku baraku. Zdjął z wieszaka pas i czapkę i położył przed sobą na małym stoliku. Potem otworzył teczkę szybkim chwytem. Odgarnął na bok papiery leżące na bombie, wziął obcęgi, które miał w lewej kieszeni spodni, ścisnął nimi zapalnik. Powstał ledwie dosłyszalny syk, jak gdyby ktoś: wrzucił do szklanki kostkę lodu. Eksplozja musi teraz nastąpić. W ciągu mniej więcej piętnastu minut.

- Niech pan weźmie teczkę Od pułkownika! - zawołał Keitel do swego adiutanta.

Ten chciał ją gorliwie chwycić, ale Stauffenberg nie dopuścił do tego ze zdecydowaną uprzejmością. Feldmarszałek nie zwrócił na to uwagi, pędził naprzód do Führera.

Zamieniono kilka obojętnych słów. - Wartownik otworzył trzecią bramę. Przed nimi stał bunkier mieszkalny Hitlera, pawilon dla gości, barak obrad i wybieg dla psa.

Wkrótce potem pojawił się jak zwykle Rattenhuber we własnej osobie. Jego ostry wzrok zdawał się badać każdego, kogo spotykał - a było to nieuniknione - czy nie ma broni. Ale tym razem uśmiechnął się szeroko do Keitla. On i jego świta mogli przejść bez specjalnej kontroli.

Stauffenberg zmuszał się, aby nie przyspieszać kroku. Kiedy znalazł się w przedsionku baraku obrad, podszedł do feldfebla ze służby łączności, który był sam na posterunku. Powiedział do niego. -Czekam na pilny telefon z Berlina. - Keitel i jego adiutant słyszeli to

wyraźnie. Usłyszeli też, jak pułkownik powiedział: - Potrzebne mi są jeszcze pewne materiały do mojego referatu u Führera.

Potem weszli do głównego pomieszczenia. Tu narada była już w pełnym toku. Generał Heusinger informował o sytuacji na froncie wschodnim. Hitlera otaczały teraz dwadzieścia cztery osoby.

Wszyscy stali w podłużnym pomieszczeniu o powierzchni mniej więcej pięć na dziesięć metrów. Pośrodku stał dębowy stół o blacie grubości dziesięciu centymetrów. Stół miał sześć metrów długości i niewiele ponad metr szerokości. Podtrzymywały go dwie masywne drewniane podpory.

Na dłuższej ścianie naprzeciw drzwi wejściowych, stało krzesło Hitlera. Przed nim leżały mapy sztabowe, konieczne podczas referowania starannie ułożone jedna na drugiej. Wyczyszczone do połysku okulary znajdowały się w zasięgu jego ręki.

Pomieszczenie to miało dziesięć okien. I wszystkie były szeroko otwarte z powodu prażącego słońca. Stauffenberg spodziewał się tego, zarejestrował jedynie ów fakt krótkim spojrzeniem.

Hitler spojrzał znad mapy na wchodzących. Skinał głową Keitlowi i czekał, aż pułkownik się zamelduje. Podał Stauffenbergowi rękę. Nigdy sobie nie odmawiał tej teatralnej demonstracji: naczelny wódz wita ciężko rannego.

- O pańskie sprawozdanie poproszę później Stauffenberg. Przedtem jeszcze ogólna sytuacja.

Generał Heusinger kontynuował swój referat. Obecni znów pochylili się nad rozłożonymi mapami, tak jak Hitler. Udawali gorliwych, zdawali się słuchać w napięciu i myśleć intensywnie.

Pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg zdołał jednak postawić swoją teczkę pod stołem, na którym leżały mapy - zaledwie dwa metry od Hitlera.

Wkrótce potem, nie zauważony, opuścił pomieszczenie.

Była godzina 12.37.

Na Bendlerstrasse kapitan von Brackwede wędrował po korytarzach i wsadzał swój orli nos to do jednego, to do drugiego gabinetu. Nie czynił tego wyłącznie po to, aby odwrócić swoją uwagę od najważniejszego - była to raczej jedna z jego ulubionych zabaw towarzyskich.

Pytał przy tym zazwyczaj: - No, jak tam bitwa?

Odpowiedź w myśl przyjętych reguł gry brzmiała: - Jaką bitwa?

Na to von Brackwede: - No ta, którą właśnie przegrywamy.

- Potem następowało kilka jego złośliwych żartów.

Pewien efekt wesołości pojawił się także owego dnia. Jednakże kapitan czuł, że nie jest w zwykłej formie. Możliwe, że pogoda była zbyt przygniatająca. Aby jednak trochę się rozerwać, poszedł do oberleutnanta Herberta. Zgodnie z oczekiwaniem oficer führera znajdował się by tak rzec, na pełnych obrotach. Wydzwaniał do biur partyjnych, żądał całych skrzyń materiałów propagandowych dla nowo tworzonych przez Stauffenberga dywizji volksgrenadierów.

- Pana chyba nic nie odstraszy, prawda? - Kapitan usiadł z wesołą miną i skinął głową Molly Ziesemann; była teraz nie tylko narzeczoną oberleutnanta, ale także jego najbliższą współpracownicą. - Pan, zdaje się, troszczy się już o następną wojnę?

Herbert poczuł się pochlebiony. Jego urząd funkcjonował! Powoli nawet ilość zużytej przez niego benzyny zaczynała dorównywać zużyciu Stauffenberga; a to wiele znaczyło.

- Niestety-powiedział Herbert z żalem - dziś nie wszystko idzie tak dobrze jak zazwyczaj. Ale to nie przeze mnie. Winne są połączenia telefoniczne. Nie działają należycie.

- Nie działają? - zapytał von Brackwede, zaczynając słuchać uważniej.

- Nie wszystkie.

- A dlaczego?

- Bo dziś akurat przełączają centralę - wyjaśniła Molly Ziesemann ze znajomością rzeczy. W końcu pracowała dość długo w biurze informacji.

Zainteresowało to najwidoczniej kapitana von Brackwede, ponieważ kazał sobie wszystko dokładnie wyjaśnić. I dowiedział się, że akurat tego dnia główna kwatera w Rastenburgu w Prusach Wschodnich zostaje przełączona do Zossen pod Berlinem. A to oznaczało, że spiskowcy być może opanują najważniejszą sieć informacyjną tylko częściowo.

- Pracujcie więc dalej! - zawołał kapitan i wyszedł pospiesznie. Zbiegł w dół po schodach i wpadł na pułkownika Mertza. Ten porządkował niemal z czułością zawartość swojej szafy pancerniej: plany alarmowe leżały znów uporządkowane, gotowe do wzięcia.

- Czekamy tylko na decydujący telefon - powiedział pułkownik,

- A co się stanie, jeśli takiego telefonu nie będzie? Czy pan wie, że dziś przełączają centralę?

Pułkownik w lśniących okularach uczonego spojrział zamyślony. Potem podniósł słuchawkę. Kazał się natychmiast połączyć z zaufanym specjalistą od informacji.

I znów fachowiec, należący do wtajemniczonych, potwierdził

obawy kapitana: Nie jest to odpowiedni dzień na opanowanie sieci telefonicznej, być może jest to nawet dzień najbardziej nieodpowiedni, jaki można sobie wyobrazić. Możliwe, że zależy to od tego, jak daleko zaawansowane jest to przełączenie.

-No i co? - zapytał Brackwede z błyszczącymi oczami. - Czy zostało to przewidziane w pańskim kalendarzu alarmowym?

Od początku liczymy się z trudnościami i komplikacjami. - Pułkownik Mertz von Quirnheim poprawił okulary. - Jesteśmy więc zdecydowani nie dać się niczemu zaskoczyć.

- Ale czy nie uważa pan także, mój drogi, że te niespodzianki występują o wiele za wcześnie? W jaki bowiem sposób chce pan przeprowadzić tę rewoltę przez telefon, skoro połączenia nie działają?

- Oczywiście spowoduję aby eksperci zajęli się tym problemem - oświadczył pułkownik lekko zniecierpliwiony. I uśmiechając się, dodał: - Niech pan nam spokojnie dalej dopieka, drogi przyjacielu po to pana mamy; I jestem pewien, że nie zaniedba pan przy tym swoich specjalnych zadań. Co robią na przykład oddziały policji Berlina?

- To samo co większość tu, w tym gmachu! Stoją i czekają! Oni jeszcze nic nie wiedzą o swoim szczęściu.

Rewir policji właściwy dla domu na Schifferdamm 13 wysłał tam swojego wachmistrza. Był to policjant nazwiskiem Kopisch. Towarzyszył mu asystent kryminalny. Był czymś w rodzaju wyżła, natychmiast reagował na wołanie; jakiegokolwiek samodzielności nie należało się jednak po nim spodziewać.

Kopisch, wypróbowany podczas długich lat pokoju, a teraz, w latach wojny, częściowo honorowo posiwiwały, działał dokładnie według przepisu: obejrzał miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, i sporządził pierwszy raport. Jego pospolite oblicze spoglądało z godnością i prostodusznie.

- Pan jest synem zmarłego? - zapytał.

Josef Jodler przedstawił się, wymienił nazwisko i stopień służbowy; podkreślił też swoje stanowisko. Był traktowany z niezwykłym szacunkiem. Albowiem Kopisch stwierdził z uznaniem: ten człowiek ma postawę! On wie, co to wojna! Nie należało zatem spodziewać się żadnych komplikacji.

- A pani? - zapytał wskazując ołówkiem na Erikę. - Co pani ma z tym wspólnego?

- Ja znalazłam trupa - poinformowała kobieta.

Nie spodobała się policjantowi Kopischowi. Nie znosił takich

pulchnych kobiet. Przypominały mu natrętnie, ile traci. Albowiem za swoją z trudem zachowywaną wzorową postawę musiał słono płacić.

- Ma pani w tym domu samodzielne mieszkanie? - Kopisch patrzył z głęboką nieufnością. - I to tu, w tej dzielnicy, w piątym roku wojny?

- Dziwi to pana? - Erika poczuła się sprowokowana i zamierzała skutecznie odparować cios. - Mam pewne stosunki.

Kopisch zachnął się. - Wielu twierdzi, że ma stosunki, no i co z tego? Chyba to nie jest minister? - zapytał lekko ubawiony

- Tylko prefekt policji Berlina - powiedziała Erika niedbale. - Wystarczy to panu?

Kopisch spojrzął z niedowierzaniem znad swoich notatek.

- Jesteśmy zaprzyjaźnieni - mówiła Erika swobodnie dalej - można by rzec, jakby zaręczeni.

Policjant zamknął usta i notatnik. Mruknął kilka słów, które brzmiały jak usprawiedliwienie. Potem zniknął. Zostawił jednak swego pomocnika.

Pani jest równa babka - powiedział Jodler z uznaniem. - Dobrze się pani spisała. Z miejsca nabrałem dla pani szacunku i pomyślałem sobie: po niej wiele można się spodziewać.

Erika roześmiała się swoim wyuczonym scenicznym śmiechem: srebrzyście jasno, od czasu do czasu z ciemnym, wabiącym odcieniem.

- Jak to życie się z nami bawi, co? - powiedziała kokieteryjnie.

- Nikt nie jest wolny od niespodzianek.

Kopisch rzucił się do najbliższego telefonu. Zadzwoił do swego zwierzchnika i pospiesznie zdał sprawozdanie. Na koniec powiedział:

- Zdaje się, że tu pachnie grubą sprawą, można się na niej łatwo poślizgnąć. Potrzebny jest natychmiast ktoś z gestapo, najlepiej od razu z głównego urzędu, żeby się udało. Tymczasem zamykam szczelnie całą budę.

Bomba w głównej kwaterze führera wybuchła o 12.42.

Generał Heusinger był w połowie swojej relacji:

- Rosjanie wkraczają z dużymi siłami na północ, jeśli teraz wreszcie nie wycofa się wojsk, wówczas katastrofa...

W tym momencie barak zatrzęsł się jak od potężnego uderzenia pioruna. Jaskrawe płomienie strzeliły w górę i przysłoniły obecnych rażącym światłem. Następnie gęsty jak wata niebieskoszary dym wypełnił pomieszczenie. Dzikie okrzyki, ustąpiły miejsca obeszładniającej śmiertelnej ciszy.

Pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg stał około stu pięćdziesięciu metrów od miejsca miażdżącej katastrofy. Twarz miał nieporuszoną. Na ułamek sekundy jakby zamarł w bezruchu;

Potem spojrzął na oberleutnanta von Haeftena, który siedział w samochodzie gotowym do jazdy. Pułkownik wsiadł.

Na lotnisko— rzucił.

Pięć metrów dalej, przy bramie prowadzącej do środkowej strefy wartowniczej, został zatrzymany. Oficer pełniący służbę oznajmił z żalem że nie może ich przepuścić. Stauffenberg wysiadł na pozór całkiem spokojny i zażądał połączenia telefonicznego. Sam wybrał numer, mówił krótko do słuchawki, potem ją odłożył i rzekł jasnym, spokojnym głosem,:

- Panie leutnancie, wolno mi przejechać.

Z nikim nie rozmawiał. Ale jego opanowany spokój przekonał wartownika. Notatka w książce wartowniczej brzmiała: „12.44 - wyjechał pułkownik Stauffenberg”.

O 12.45 włączono wielki alarm.

Mniej więcej trzy do czterech minut później samochód zbliżał się do zewnętrznej straży Południe. Tu już żelazne słupy zagradzały każdy przejazd. Ustawiono dodatkowe, podwójne posterunki.

Pułkownik po raz drugi wysiadł z samochodu, nadal opanowany. Straż trzymał starszy sierżant Kolbe, spokojny, niemal przyjemnie wyglądający mężczyzna. Oznajmił krótko -Przejazd zamknięty.

- Nie dla mnie - odparł pułkownik. - Proszę mi pozwolić zatelefonować.

Tym razem jednak, wiedziony instynktem, Stauffenberg nie udawał. Zadzwoił naprawdę do adiutanta komendanta strefy i powiedział.

- Tu pułkownik hrabia Stauffenberg, jestem przy zewnętrznej straży Południe. Wartownik nie chce mnie przepuścić z powodu eksplozji. A mnie się spieszy. Na lotnisku czeka na mnie generał Fromm.

Do tej chwili - mniej więcej do 12.49 - nie mówiono jeszcze w głównej kwaterze führera o tym, co się stało. Wiedzano tylko, że nastąpił wybuch, nic więcej;

Toteż adiutant powiedział:—Może pan jechać.

Stauffenberg Odłożył słuchawkę zamasztywym ruchem, Jego; pociągnęła twarz o wysokim czole pozostała nie zmieniona. Oberleutnant von Haeften patrzył na swojego pułkownika pełen promiennego, zachwytu postawą tego człowieka napełniała go oszałamiająca ufnością.

Starszy sierżant Kolbe nie zauważył nic niezwykłego. A przecież

i on miał pewien instynkt, t dlatego uparł się, aby otrzymać bezpośredni rozkaz. Zakręcił korbką swego aparatu polowego i kazał się połączyć z adiutantem komendanta strefy. Stauffenberg przyjął tę formalistycznie niebezpieczną poprawność nie poruszony. Mijały nerwowe sekundy.

Na tym odcinku lasu rosły wysokie świerki, niczym maszty statków z opuszczonymi żaglami. Dokoła krzaki sięgające aż do skraj drogi. Ptaki, które skakały niewidoczne wśród gęstych gałęzi, ćwierkały radośnie. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

- Wolno jechać - powiedział wreszcie starszy sierżant Kolbe i podniósł szlaban.

Podczas gdy jedli, ktoś cicho zapukał do drzwi. Mieli otwartą puszkę sardynek w oleju, do tego dwie kromki chleba; wszystko leżało na białej serwetce na podłodze tuż przy łóżku.

- Cudownie być tu razem z tobą - powiedziała Elisabeth wesołym i beztróskim głosem.

Pochylił się ku niej: przyciągnęła go do siebie:

Znów słyhać było pukanie do drzwi, odrobinę głośniejsze niż poprzednio. Nareszcie je usłyszeli, Elisabeth podniosła głowę, Powiedziała w stronę zamkniętych drzwi:

- Teraz nie mam czasu.

- Tylko parę chwil - wyszeptał ochryply, zalękniony i przytłumiony głos. Był to głos pani Wallner. - Muszę z panią koniecznie porozmawiać.

- Ale teraz nie mogę! Naprawdę nie mogę. Czy pani tego nie rozumie?

- Oczywiście - zagrzmiała gniewnie wdowa przytłumionym głosem. - Wszystko rozumiem, w końcu nie jestem głucha!

- Tym lepiej! Przyjdę później do pani!

Oparła głowę na Konstantynie, ten ujął ją w dłonie. Ich ciała lśniły matowo. Patrzyli na siebie i oddychali ciężko.

I znów usłyszeli głos pani Wallner, bardziej donośny niż przedtem, bardziej niecierpliwy, bardziej wzburzony.

- Przykro mi, że muszę pani przeszkodzić, ale w domu coś się stało!

- Ach, nic nas to nie obchodzi! Ani to, ani wszystko inne. -I szepciem dodała: - Tylko to, co się stanie z nami, Konstantin, tylko to.

Na: Bendlerstrasse przybył mężczyzna w skromnym cywilnym ubraniu. Wysiadł w bramie ze swego łazika. W ręku nioś małą skórzaną walizkę. Podszedł do niego wartownik.

- Wszystko w porządku - oznajmił kierowca. - Generał Olbricht oczekuje tego pana.

Wartownik zasalutował niedbale, mężczyzna w cywilu nie zrobił na rum szczególnego wrażenia. Wyglądał niemal tak, jak sobie wyobrażał przedstawiciela wytwórni odkurzaczy.

A jednak głos tego mężczyzny brzmiał, jakby przywykł do wydawania rozkazów, trochę szorstko, z ostrymi jak kosa tonami.

- Myślę, że jeszcze się tu orientuję - powiedział. -- Nie trzeba mi przewodnika.

— Jak pan sobie życzy - powiedział strażnik z całkowitą nieświadomością. Nie mógł wiedzieć, że ma przed sobą przyszłego następcę generała Fromma. Otworzył drzwi do lewego skrzydła budynku. Mężczyzna z walizką wszedł po schodach.

Nie od razu znalazł właściwą drogę. Ta Bendlerstrasse była jak lisia nora: jakby wsunięte jedno w drugie główne wejścia. 1, la, 2; prócz tego drzwi do wartowni; dalej pokój dla dowódcy; wreszcie. wiele przejść dla personelu zaopatrzenia. Do tego dochodzą wielostronnie rozgałęzione, ale ściśle ze sobą splecione korytarze - na ukos przez główny hall, na boki do budynków poprzecznych, w górę i w dół na piętra., Do tego jeszcze kilka setek drzwi.

Mężczyzna z walizką był lekko spocony, ale szedł wyprostowany. Jego pociągła, poorana zmarszczkami twarz poczerwieniała.

- Jestem - powiedział, kiedy wszedł do gabinetu, Olbrichta. Postawił walizkę na podłodze i stał przez kilka sekund jak posąg. Mam nadzieję, że nie przychodzę za późno.

I teraz niepozorny cywil przeżył satysfakcję, kiedy generał Olbricht, podbiegł do niego z radością. Również pułkownik Mertz Von Quirnhelm wyciągnął ku niemu rękę. Nawet kapitan von Brackwede wstał, choć trochę niedbale. Ale mężczyzna z walizką nie spodziewał się po nim innej reakcji.

- Serdecznie witamy, panie generale! - zawołał Olbricht. Tym generałem był Erich, Hoepner, dawny dowódca dywizji Stauffenberga, który w 1942 został odarty z czci i wyrzucony z Wehrmachtu, ponieważ podczas kryzysu zimowego pod Moskwą samodzielnie wycofał wojska.

Von Brackwede wziął od Hoepnera walizkę i sprawdził jej ciężar.



- Mam nadzieję, że nie przyniósł pan żadnych dokumentów. Tego mamy tu aż nadto.

Olbricht roześmiał się, jakby usłyszał dowcip, wprawdzie taki, który uznał za nieszczególnie udany.

- Oto jedną z głównych trosk kapitana. Boi się, że przez tę papierową wojnę nie będziemy już zdolni do skutecznych akcji.

- W zasadzie wcale nie jest to takie bezpodstawne - powiedział Hoepner, wyrażając tym samym kapitanowi skromne uznanie.

- Precyzyjna rozkazy nie wymagają drobiazgowych wyjaśnień. - Potem jednak wskazał na walizkę. - Znajduje się tu tylko mój mundur. Jeśli dojdzie do tego, załóż go.

- Cieszę się na ten widok - zapewnił kapitan von Brackwede, uśmiechając się. - Mam nadzieję, że nie będę musiał długo czekać.

Na Behdlerstrasse nikt jeszcze nie wiedział, że bomba już wybuchła. Albowiem autorytatywna wiadomość, która by nie wprowadzała w błąd, jeszcze tu nie nadeszła. Wobec tego Olbricht, aby spędzić jakiś czas oczekiwania zaprosił generała Hoepnera na małą przekąskę.

- Życzę smacznego - powiedział von Brackwede. - Ja tymczasem zajmę się naszym ulubionym obecnie sportem. Będę telefonował.

Krótko po wybuchu w głównej kwaterze führera - mniej więcej o 12.43 - Adolf Hitler wyszedł chwiejnym krokiem na dwór. Wyłonił się jak duch z dymiących ruin. Keitel podtrzymał swego wodza troskliwie.

Hitler szedł, zataczając się, do bunkra mieszkalnego. Był najwidoczniej w szoku, ale nie ciężko ranny. Przybyły w pośpiechu osobisty lekarz mógł tylko stwierdzić: osmalone włosy; oparzenia na prawej nodze; uszkodzone błony bębenkowe; plecy mocno stłuczone spadającą belką,

- To doprawdy cud! - zawołał Keitel. Słowo „cud” należało do ulubionych sformułowań Hitlera i jego otoczenia.

Ten „cud”, jak się później okazało, zawdzięczano pułkownikowi Heinzowi Brandtowi. Przeszkadzała mu teczka Stauffenberga, postawił ją więc z drugiej, oddalonej od Hitlera, strony masywnej podpory podtrzymującej ciężki dębowy stół. W ten sposób uratował życie wodza, swego jednak nie.

Hitler wkrótce znów się wyłonił ze swej prywatnej jaskini i patrzył na dymiące ruiny baraku, który był już tylko dziwacznym stosem popękanych desek, pokruszonych zwałów betonu i gruzu.

Keitel zawołał entuzjastycznie:

.- Dopiero teraz führer żyje!

Adolf Hitler, pochylony i drżący, patrzył niespokojnym i badawczym wzrokiem na tych, którzy przeżyli, i na tych, którzy spieszyli z pomocą. Widział wokół tylko zatroskane oddanie. To mu przyniosło ulgę. W końcu powiedział:

- To mógł być atak myśliwców nieprzyjacielskich. I zdecydowanie dorzucił: - Zarządę szczegółowe dochodzenie.

Rattenhuber zwołał swoich ludzi szorstkim tonem zupaka. Zamknęli hermetycznie wewnętrzny krąg. Ogłoszono alarm pierwszego stopnia. Każdy z obecnych został izolowany. Nawet mysz nie mogłaby się przecisnąć, nikt nie mógł wyjść poza teren.

Nadbiegli lekarze i pomocnicy, otwarto skrzynię ze środkami opatrunkowymi, przyniesiono nosze. Ludzie Rattenhubera nadzorowali wszystkie te czynności z odbezpieczonymi pistoletami maszynowymi. Zaledwie w pół godziny po wybuchu pierwsze sanitarki odjechały w kierunku Rastenburga.

Ci, którzy przeżyli, stali dokoła roztrzęsieni. Generał broni Jodl, szef sztabu Wehrmachtu, po Keitlu najwierniejszy wasal w głównej kwaterze, wykrzyknął oburzony:

- Ta przekłeta wieczna przebudowa! - Był przekonany, że to robotnik budowlany z organizacji Todta, przypuszczalnie obcego pochodzenia, podłożył bombę; według wszelkiego prawdopodobieństwa pod podłogą; albowiem tam powstała dziura głębokości metra!

Wkrótce- potem w głównej kwaterze führera zaczęły się rodzić niezwykle wizje. Zmarli, konający, ciężko i lżej ranni zostali przeniesieni na bok, a ci, którzy przeżyli, zaczęli snuć przypuszczenia: podstępni cudzoziemscy robotnicy - wywiad brytyjski - sowiecki desant - amerykańscy gangsterzy do specjalnych, poruczeń. Bormann wpadł nawet na pomysł:

Tu mogła działać żydowska organizacja terrorystyczna!

Hitler jednak powiedział pełen przeczuć:

Również we własnych szeregach mogą istnieć kreatury, które mnie chcą zniszczyć. Mnie, a tym samym i Niemcy!

Na Clausa Stauffenberga nie padł początkowo nawet cień podejrzenia. Dopiero po dwóch godzinach „jednooki pułkownik” został wspomniany jako możliwy sprawca. Wreszcie powstało przypuszczenie, że Stauffenberg mógł tymczasem wylądować za frontem rosyjskim.

Pierwszy krwawy bilans: spośród dwudziestu pięciu uczestników narady czterech było zabitych, pięciu umierających, sześciu uznano za

ciężko rannych. Całkowicie bez obrażeń wyszedł spośród nich tylko jeden: feldmarszałek Keitel.

A führer rozkazał, niespokojny o swój honor jako nietykalną narodową świętość:

- Nic, nawet najmniejsza wiadomość nie może się przedostać na zewnątrz.

Dom na Schifferdamm 13 sprawiał wrażenie nędznej, szarej obojętności. Pozaklejane okna spoglądały ponuro. Rysy na murach wyglądały jak ślady po robakach, które je toczyły i którymi nikt się nie przejmował.

- Nazywam się Voglbronner - powiedział mężczyzna niskiego wzrostu, który właśnie nadszedł. - Otrzymałem rozkaz, aby przeprowadzić tu konieczne, naszym zdaniem, śledztwo.

- Stary nie żyje - odezwał się Josef Jodler. - Przynajmniej to jest pewne.

Rzeczywiście przynajmniej to. - Voglbronner spoglądał łagodnym, jakby przepaszającym wzrokiem. - Ale nie chodzi tu przypuszczalnie o zwykłą śmierć, ponieważ zmarły nie był zwykłym człowiekiem.

- Oczywiście że nie! - zawołał Jodler syn zdecydowanym głosem. Pojmował, zdaje się, czego od niego oczekiwano. Wystąpienia jako bojownika o Wielkie Niemcy. I w związku z tym nie miał zamiaru nikogo rozczarować.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? - zapytała Erika z widocznym zniecierpliwieniem. Nie podobał jej się rozwój wypadków; weszła implikacje.

Voglbronner uniósł ręce w geście przysięgi.

- Proszę, niech mnie pani źle nie zrozumie. Nie jestem tu z powodu jakichś tam zwłok, których obecnie jest tysiące na każdym kroku. Mam zamiar strzec interesów partii i państwa, z pani pomocą.

Aha! - wykrzyknął Jodler z uznaniem. - Miło to słyszeć! To jest właściwa postawa, Zdaję się, że jest pan na dobrej drodze.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Erika pełna oczekiwania - że uniknie pan fałszywych kroków.

Pani jest, że tak powiem, pod moją szczególną opieką - zapewnił gestapowiec łagodnie, tonem wzorowego ucznia. Przezornie zasięgnął o niej języka. Informacje, których udzieliła Erika Kopsischowi, wydały mu się na tym tle wcale nie wyssane z palca. W każdym razie swoje mieszkanie zawdzięczała prefektowi policji Berlina, hrabiemu Helldorfowi. Oprócz apartamentu w hotelu Excelsior, miał chyba ze cztery mieszkania tego rodzaju. - Może pani na mnie polegać, potrafię dopilnować pani interesów.

- A ja? - zapytał Jodler, pochyliwszy się w oczekiwaniu. - Co pan

myśli, ze mną zrobić?

Zamierzam pana prosić o energiczną pomoc. - Wachmistrz Kopach przekazał mu coś w rodzaju listy osób przebywających obecnie w domu na Schifferdamm 13. Jest na tej liście pewien leutnant, i to w dodatku nazwiskiem von Brackwede. Dlatego do akcji zostało włączone biuro Maiera, pod nieobecność sturmbannführera.

- A więc najpierw raz dwa przekręcimy przez maszynkę bandę z tego domu - stwierdził Voglbronner. Już teraz jestem ciekaw, co z tego wyniknie.

W tym czasie - o godzinie 13.00 - pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg znajdował się w drodze na lotnisko w Rastehburgu. Towarzyszył mu jego adiutant Werner von Haefen. Obaj milczeli. Na ich twarzach malowało się odprężenie.

Samochód podskakiwał na rozjechanej wyboistej szosie. Kierowca z wprawą manipulował kierownicą, aby samochód jechał możliwie równo. Później stwierdził: - Ci dwaj oficerowie zachowywali się tak jak wszyscy inni, których woziłem na lotnisko.

Pułkownik i oberleutnant siedzieli obok siebie w milczeniu. Byli przekonani, że im się powiodło. Nie ma już Hitlera. A tym samym wygasła owa diabelska przysięga, która ostrożnym patriotom wciąż jeszcze kazała się ościagać.

- Płomień był tak wysoki - powiedział von Stauffenberg - jak gdyby wybuchł granat, tego nikt nie mógł przeżyć.

Pułkownik był o tym przekonany, nie przeczuwając jakie następstwa będzie miało owo przekonanie. Poza tym twierdzono, że Stauffenberg widział, jak Hitler wyleciał w powietrze z roztrzaskanego baraku. A generał Feltgiebel miał powiedzieć: - Führer szybował w powietrzu jak nietoperz,

Inni znów sądzili, że mogą ręczyć za następującą wypowiedź Feltgiebla: - Stało się coś strasznego! Führer żyje. Wszystko zablokowane.

Mówiąc „wszystko zablokowane”, generał miał na myśli węzeł łączności w głównej kwaterze führera, który był mu podległy. Wszystkie połączenia odcięte...

Ale ten środek informacji nie był jedyny na terenie Rastenburga.

W pobliżu znajdowała się główna kwatery Himmlera, która dysponowała własnymi kanałami łączności. Miał je także Göring. A reichsleiter Bormann wpadł nawet na prosty pomysł, aby skorzystać z normalnej sieci pocztowej.

Wkrętcę też zaczęto telefonować z zapalem, już wówczas kiedy Stauffenberg i Haeften zdążyli na lotnisko. Bendlerstrasse pozostawała jednak bez jednoznacznej, jasnej informacji. Jedyne do Zossen, do generalnego kwatermistrza Wagnera, dotarła około godziny 13.15 zagadkowo brzmiąca wiadomość: zamach najwidoczniej dokonany, ale przypuszczalnie nieudany.

W drodze na lotnisko oberleutnant von Haeften wyrzucił z samochodu drugą, rezerwową bombę. Wpadła z głuchym hukiem do przydrożnego rowu. Teraz, kiedy już się to stało, była tylko balastem,

Czynność ta nie uszła uwagi kierowcy - opowiadał o tym później, a kronikarze owego dnia jeszcze po wielu latach twierdzili zgodnie: to, co się tu stało, jest nadzwyczaj dziwne! Ale czy rzeczywiście było to takie niezwykle? Podróżni, którzy się spieszą, rezygnują z niepotrzebnego bagażu.

Wszystko przebiega zgodnie z planem - powiedział oberleutnant von Haeften z ufnością, kiedy na lotnisku w Rastenburgu ujrzał gotowy do startu samolot.

Samolot uniósł się w powietrze już po kilku minutach. Upłynęły prawie trzy godziny, zanim doleciał, do Berlina. Ale Stauffenberg był pewny: Hitler jest zabity, zamach stanu doszedł do skutku.

## 2

### Ludzie, którzy chcieli się przekonać, do czego są zdolni

Budynek na Bendlerstrasse wyglądał jak forteca. Prowadzący przez środek przejazd zdawał się kończyć w jaskini skalnej. Wąskie okna sprawiały wrażenie strzelnic.

- Może powinniśmy uciąć sobie poobiednią drzemkę dla wzmocnienia ~ zaproponował kapitan von Brackwede żartobliwym tonem. Prawie wszyscy w tym gmachu ledwie trzymali się na nogach.

Przyszedł właśnie do generała Olbrichta. Ten, po posiłku, znów siedział z generałem Hoepnerem i pułkownikiem Mertzem von Quirnheimem w swoim gabinecie. Przed nimi stały kieliszki, lśnił w nich czerwony jak krew płyn..

- Czy mógłby pan teraz zasnąć? - zapytał Olbricht nieco zdumiony.

- Zawsze mogę, kiedy chcę - stwierdził von Brackwede i przysiadł się do nich nie proszony. - Ale nie chcę!

- Niespokojny? - zapytał generał Hoepner. Zależało mu na tym, aby sprawiać wrażenie wyrozumiałego przełożonego. Wspaniałomyślnie znosił cywilne maniery, które ten dziwny kapitan tak beztrząsowo manifestował: mundur miał rozpięty, jakby narzucił na siebie letnie wdzianko.

- Ja także jestem niespokojny - wyznał pułkownik Mertz. 7 I to nie od tego niejasnego telefonu.

-Trzeba umieć panować nad nerwami - zauważył Hoepner - i czekać spokojnie, aż nadejdą wiarygodne wiadomości.

Von Brackwede podniósł głowę. Pozornie niezachwiana pewność siebie, którą ten generał w cywilu demonstrował, zaczynała go irytować. Uważał, że w takiej godzinie nie można sobie wyobrazić nikogo, kto mógłby być całkowicie spokojny. Może z jednym wyjątkiem:

generał broni von Hammerstein! Ale-ten niestety już nie żył, a Hoepner nie stanowił nawet jego namiastki.

Brackwede zapytał więc nerwowo:

- O jakim telefonie tu mowa?

Hoepner nie miał ochoty odpowiadać - według niego półcywilni kapitanowie nie powinni wszystkiego wiedzieć. Ale Olbricht skinął Mertzowi głową ledwie dostrzegalnie i ten oznajmił:

- Przed paroma minutami, około trzynastej piętnaście, okrężną drogą, przez generała Thiela, nadeszła krótka wiadomość. Według niej zamach został prawdopodobnie dokonany, ale przypuszczalnie się nie udał.

- Niejasne, niezrozumiałe, a więc praktycznie nieprzydatne - stwierdził Hoepner.

Kapitan patrzył przed siebie zmrużywszy oczy.

- Czy narada w głównej kwaterze nie była ustalona na czternastą trzydzieści?

- Tak, ale niespodziewanie została przesunięta na wcześniejszą godzinę. Na dwunastą trzydzieści.

Hrabia von Brackwede pochylił się do przodu, jego jasnoniebieskie oczy zablęsyły. Zawołał z ożywieniem:

- Tak? Wobec tego na co jeszcze czekamy?

- Na autorytatywne potwierdzenie - powiedział generał z odzieniem nagany w głosie.

- Czy mamy łączność z kwaterą führera?

- Nie! - Pułkownik Mertz celowo starał się hamować fantazję kapitana von Brackwede. - Tamtejsza centrala się nie zgłasza, zdaje się, że jest nieczynna.

Teraz kapitan zerwał się zdecydowany. - A więc tym samym wszystko jest jasne! Wyłączenie kwatery dowodzi, że Stauffenberg przystąpił do akcji.

- Nie wolno nam w żadnym wypadku działać przedwcześnie.

- Generał Olbricht rzucił to zdanie pod rozważę. - Nie możemy znów bez wyraźnej konieczności puszczać w ruch operacji „Walkiria”, jak w ubiegłą sobotę. Tym razem musimy mieć pewność.

- Rozpoczęcie akcji zbyt wcześnie - zawołał von Brackwede

- można nazwać krokiem śmiałym albo lekkomyślnym, ale zacząć zbyt późno to prawie samobójstwo.

- Tylko bez żadnych niepewnych poczynań! - zawołał Hoepner ostrzegawczo.. - Kto ma głębokie poczucie odpowiedzialności, musi być w stu procentach pewien.

Pułkownik Mertz von Quirnheim milczał i tylko patrzył na

kapitana von Brackwede. Ten zdjął okulary; zimna szarość Oczu ustępowała rozbłyskającym błękitnym odcieniem.

Kapitan rzekł:

- Musimy teraz działać, w lewo albo w prawo! Istnieją przy tym jeszcze tylko dwie możliwości: albo natychmiast uderzymy, albo spróbujemy wszystko zatuszować, w każdym wypadku mamy niewiele czasu. Myślę, że mniej więcej trzy godziny. W każdym razie natychmiastowa decyzja wydaje się nieuchronna.

- Ja też tak uważam - powiedział pułkownik Mertz spokojnym głosem.

- Generał Beck - zauważył Olbricht - wielokrotnie ostrzegał przed przedwczesnymi decyzjami. - Spojrzał przy tym na Hoepnera.

Ten zdawał się rozmyślać, opanowany. Wreszcie oznajmił:

- Powinniśmy czekać. Wytrzymajmy nerwowo. Tylko nic nie robić w popłochu!

Berlin przedstawiał wrzący kocioł. Dom na Schifferdamm 13 znajdował się w samym jego środku. Słupek rtęci w termometrze przekraczał 30°. Urzędnik gestapo Voglbronner zdawał się nie odczuwać upału. Jego błada twarz była całkiem sucha. Za to mężczyzna, który sporządzał protokoły, wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpląnąć; grube krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Na podstawie wstępnych dochodzeń - referował Voglbronner - wydaje się, że śmierć Ortsgruppenleiters nastąpiła między godziną trzecią a szóstą rano. Znalaziono pocisk rewolwerowy, bada się go obecnie w laboratorium. Jak pan widzi, działamy metodycznie. Dlatego też jedno z moich pierwszych pytań do każdego mieszkańca tego domu musi z konieczności brzmieć: gdzie pan przebywał w tym czasie?

A więc, panie Jodler?

Scharführer powiedział, szczerząc zęby .

- Byłem w łóżku.

- Sam? - zapytał Voglbronner łagodnym tonem.

- Moja żona jest poza domem, jeśli to pana interesuje. - Jodler - udzielił tego wyjaśnienia, mrugając oczami. -. Pracuje na rzecz ostatecznego zwycięstwa i chyba nie ma pan tu nic do zarzucenia. Ale ja jestem w końcu mężczyzną i przyjechałem prosto z frontu. Rozumie pan?

- Rozumiem - odrzekł urzędnik gestapo życzliwym pobłażliwym tonem. - A więc z kim?

Jodler wymienił imię, prosząc o dyskrecję: Maria.



- Była akurat pod ręką, rozumie pan. Czyżby zazdrościł pan takim jak ja przyjemności?

Voglbronner nie odpowiedział. Polecił wachmistrzowi Kopischowi, aby przyprowadził Marię. Zjawiała się natychmiast, stała drżąca, z opuszczoną głową. Twarz miała czerwoną. Jodler stanowczym tonem dodawał jej. od wagi..

- To głupia dziewczyna - powiedział do kolegi z gestapo. - Ledwie mówi po niemiecku,, trzeba być dla niej wyrozumiałym. Ale jest nadzwyczaj chętna.

To chyba było istotnie prawdą. Albowiem Maria, skwapliwie potwierdzała wszystkie zeznania Jodlera, jękając się przy tym i szukając odpowiednich słów. Tym sposobem dwie osoby w tym domu zdawały się mieć alibi na czas przestępstwa.

Voglbronner uśmiechnął się wyrozumiale i jakby od niechcenia zapytał:

- Czy ta dziewczyna jest zatrudnioną u pana, czy u pańskiego ojca.

- Przeważnie u ojca, tak było ustalone. Ale mała pragnęła poza tym jakiegoś oparcia.

- A więc u kogo jeszcze?

- No dobrze - powiedział Josef protekcyjnym tonem. - Jeśli pan tak ostro nalega, dam panu dobrą radę. Niech pan wetknie nos na trzecie piętro. Warto tam zrobić trochę porządku.

Kiedy kapral Lehmann wszedł do gabinetu kapitaną von Brackwede, zastał go siedzącego głęboko, w fotelu przy biurku. Kapitan miał przed sobą otwartą książkę.

- Czy pan naprawdę czyta? - zapytał Karzeł.

- Po to są książki - oświadczył hrabia.

Przerzucał aforyzmy Georga Christopha Lichtenberga, cenił je szczególnie w chwilach zgorzknienia. Wiele z nich podkreślił, niektóre

czytał teraz z wyraźnym zadowoleniem. Na przykład: „Wiele spraw mnie boli, inne tylko sprawiają przykrość" albo: „Słabości przestają nam przeszkadzać, kiedy tylko je poznamy".

- Czy są wiadomości od naszego pułkownika? - zapytał? kapral Lehmann. .

- Nie ma - powiedział kapitan - nawet najmniejszej.

- Czy to dobrze?

- Nie wiem.

Kapral potrząsnął głową z dezaprobatą.

Ach, te zasrane połączenia! Czy naprawdę nikt nie wie, co w tej chwili robi pułkownik Stauffenberg? Czy jest tuż przed? Czy może już w samolocie?

- Nie mam pojęcia, Lehmann!

— Nie podoba mi się to! To jest wręcz podróż donikąd! Ja w każdym razie telefonowałbym przynajmniej co kwadrans. Każdy krok Stauffenberga jest ważny.

- Ale pan nie jest oficerem sztabu generalnego, Lehmann.

- Niestety nie - powiedział Karzeł uśmiechając się. I aby zwrócić uwagę kapitana w inną stronę, oznajmił: - Ja kieruję obecnie jedynie moją kliką kaprali, składającą się z Beckeratha i Klimscha; do tego dochodzi jeszcze ordynans z kasyna i służący Fromma. Wszystkie to moi ludzie! Jeden obija się w hallu wartowni, drugi włóczy się po korytarzach, a moja kwatera główna znajduje się tutaj.

- Wspaniale! - stwierdził von Brackwede. - A więc chce pan tu zorganizować coś w rodzaju siatki szpiegowskiej?

- Z samych nudów albo też z niepoprawnej żądzy zabawy. W każdym razie nie chcę tu siedzieć beczynnie.

- Czy pańscy ludzie są wtajemniczeni?

- Co pan sobie wyobraża! - zachnął się Lehmann niemal przerażony. - Przecież jestem pańskim współpracownikiem, a poza tym znam system Stauffenberga: każdy może wiedzieć tylko tyle, ile jest mu konieczne do wykonania zadania. W tej budzie zaledwie co piąty wie, o co tu naprawdę chodzi!

- Nawet nie co. dziesiąty - zauważył von Brackwede z uśmiechem. Najważniejsze w, każdym . razie, że w rezultacie silnik będzie działał na pełnych obrotach! I tak też powiedziałem moim ludziom: Chłopaki, miejcie oczy i uszy otwarte. A jeśli coś zwróci waszą uwagę, macie mi to natychmiast szepnąć. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Wiele spraw, które się tego dnia wydarzyły, znajdowało się jeszcze jakby za gęsto parującą ścianą mgły. Wyglądało tak, jakby uporczywy upał sparaliżował liczne mózgi - zarówno w Berlinie, jak i w oddalonym od niego o kilkaset kilometrów albo trzy godziny lotu „Wilczym "Szańcu" pod Rastenburgiem w Prusach Wschodnich, w głównej kwaterze fűhrera.

Hitler, już przebrany, oglądał władnie spodnie, które miał na sobie podczas wybuchu. Adiutant, sekretarka, podoficer SS i jeden z osobis-

tych strażników stali obok i patrzyli jak on na spodnie: wyglądały, jakby ktoś je rozdał ostrymi nożyczkami.

Führer, kanclerz Rzeszy i naczelny wódz Wehrmachtu uznał ten widok za wielce znaczący i wymowny. Albowiem mógł stwierdzić: znów los drasnął go jak brzytwą. I oszczędził. Dla jakich jeszcze wielkich czynów?

Te spodnie stały się wkrótce podziwianym przez wielu eksponatem. Nawet reichsleiter Bormann obejrzał je i wspomniał o opatrności.

A feldmarszałek Keitel powiedział: - Stwierdziłem już wcześniej to samo, zaraz po wybuchu.

Zjawił się też marszałek Rzeszy Göring. W wielce hałaśliwy sposób gratulował führerowi. On również wspomniał o opatrności.

Hitler zdawał się nie znajdować jeszcze właściwych słów na określenie tych okropności. Jego milczenie było nienaturalne.

Powiedział tylko:

- Jak to się mogło stać. Chciałbym, aby mi to ktoś wytłumaczył!

W związku z tym działał już w swojej kwaterze Heinrich Himmler, reichsführer SS, i jego kanały funkcjonowały.

Już kilka minut po trzynastej pierwszy telefon, dotarł do Berlina. Zgłosił się Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Himmler kazał się połączyć z Kaltenbrunnerem.

- Wydarzyło się tu straszne świństwo - powiedział. - Niech pan natychmiast zbierze załogę samolotu, złożoną z najlepszych ludzi - wśród nich specjalistów od tropienia i od materiałów wybuchowych, i niech pan ich tu przyśle jak najszybciej.

- Załatwione - powiedział Kaltenbrunner. - Coś jeszcze, reichsführerze?

- Chwilowo nic więcej! Ale niech pan będzie w pogotowiu. Zobaczymy, co dalej. Teraz jeszcze nie mogę powiedzieć nic konkretnego.

Nikt obecnie nie mógł wiedzieć ze wszystkimi szczegółami, co faktycznie się stało.

Pułkownik von Stauffenberg siedział w samolocie z oberleutnantem von Haftenem. Przed nimi rozpościerały się wschodnie Niemcy, monotonne lasy, pośród nich jeziora wyglądające jak wyblakłe źrenice.

Nikt nie mówił ani słowa. Pułkownik zamknął oczy, wyglądał na rozluźnionego. Oberleutnant uśmiechał się z ulgą. Pilot wpatrywał się

znudzony w swą tablicę rozdzielczą. Silnik maszyny, nie posiadającej Rządzeń nadawczych, huczał z nużącą jednostajnością. A oficerowie myśleli: co też może się teraz dziać na Bendlerstrasse? A tam nie działo się nic. Hoepner, Olbricht i Mertz czekali niecierpliwie na „jednoznaczną” informację. Tymczasem popijali „za sukces”.

Kapitan von Brackwede zaczął telefonować. Próbował uzyskać połączenie z główną kwaterą, z generałem Fellgieblem. Ale mu się nie udało.

Generał łączności Erich Fellgiebel uczynił to, czego od niego, oczekiwano: zablokował centralę w „Wilczym Szańcu”.-1 to tak gruntownie, że lepiej nie można było sobie wyobrazić; również Bendlerstrasse nie mogła, się z nim połączyć.

Generał Fellgiebel „wyłączył się” całkowicie, pod każdym względem. Ze stoickim spokojem siedział pośród swoich oficerów i czekał na to, co musiało nastąpić. A nastąpiło szybko: wezwał go Keitel w celu złożenia raportu.

Fellgiebel wstał, wygładził mundur, wyrzucił za okno swoje ostatnie cygare i posiedział do siedzących w milczeniu kolegów: Gdybyśmy wierzyli w zaświaty, moglibyśmy już sobie powiedzieć do widzenia.

O 14.30 odezwało się Zossen pod Berlinem. Do generalnego kwatermistrza pułkownika Eberharda Finkha w Paryżu dotarła stamtąd wiadomość: „Ćwiczenia zakończone”. A to oznaczało, że zamach na Hitlera został dokonany. Oddziały niemieckie na terenie Paryża wkrótce potem zostały postawione w stan alarmowy, znacznie wcześniej niż oddziały w Berlinie.

Albowiem nic - ciągle nic - nie działo się na Bendlerstrasse.

Mężczyzną, który teraz - niczego nie świadomy - wkroczył do akcji, był leutnant dr Hans Hagen. Miał dobroduszną, różowo lśniąca twarz, jego dziecinna figura nie pasowała do munduru.

Hagen powinien mieć wykład. Chodziło o to, aby w sposób możliwie efektowny przedstawić sprawę NS. Tym razem oficerom batalionu wartowniczego Berlina.

Dla Hansa Hageną nie przedstawiało to żadnej trudności. Zanim został oficerem, był urzędnikiem w Ministerstwie Propagandy. I tam sam szef Josef Goebbels traktował go życzliwie. Był kimś!

Szedł sobie teraz po Friedrichstrasse i wymyślał celne sformułowania, jak np.: dopiero w największej nędzy objawia się prawdziwa

cnota! Albo: w imię prawdziwej wielkości żadna ofiara nie jest zbyt wielka. A także: nic nie będzie nam darowane, jeśli coś chcemy zdobyć, musimy na to zasłużyć!

Znajdował się w pobliżu Wintergarten, budynku varietes, kiedy: spostrzegł samochód osobowy, jakich powszechnie używa się w Wehrmachcie. Siedział w nim mężczyzna w mundurze. Leutnantowi doktorowi Hagenowi wydawało się, że rozpoznał Brauchitscha!

- Zdziwiło go to. Albowiem feldmarszałek Brauchitsch .znajdował się obecnie w nielasce. Został osobiście przez führera zdymisjonowany : W związku z tym nie wolno mu było nosić munduru nigdzie, a już na pewno nie w Berlinie.

Widok ten wydał się najpierw leutnantowi tylko dość „zabawny zgodnie z jego późniejszymi wypowiedziami. Nie uznał wówczas za konieczne, aby się nad tym zastanawiać.

Powiedział: - W najwyższym stopniu dziwne!

Wykluczone przy tym, aby mógł ujrzeć tego dnia feldmarszałka Waltera von Brauchitscha, który do 1941 był dowódcą wojsk lądowych. Owego dnia przebywał w swoich dobrach w Prusach Wschodnich. Ale nie to było ważne.

Hagen dojrzał coś, co zaczęło go zajmować, początkowo nieświadomie. Tak później zapewniał i należy mu wierzyć. Jednakże ta pomyłka należała do wypadków, które doprowadziły do tragedii nie mającej sobie równej.

Niebo było bezchmurne, panowała całkowita bezwietrzna cisza,, termometr wskazywał w cieniu 34°. Sytuacja na frontach bez zmian. Żadnych jednostek bombowych nad Berlinem.

Mężczyzna nazwiskiem Voglbronner nie spieszył się. Instynktownie rozpoznał: w tym domu na Schifferdamm 13 wszystko było możliwe. Wiedział, że na trzecim piętrze wcześniej czy później natknie się na leutnanta von Brackwede. Ale nie wiedział jeszcze, jak na to zareaguje.

Nie mógł też wiedzieć, że tam, gdzie przebywa obecnie leutnant znajduje się teczka, która jest istnym materiałem wybuchowym. Zamierzał tylko w miarę zręcznie lawirować pomiędzy interesami prawa, koniecznością państwową i aktualnymi konstelacjami władzy.

Była prawie godzina 15.00, kiedy ruszył na trzecie piętro.

Okolo godziny 15.00 Keitel zjawił się u Hitlera i poprosił o zgodę na odblokowanie centrali. „Ze względu na telefony z frontu”.

Führer spojrział zdumiony na swojego feldmarszałka.

- Blokada? Ależ ja o niczym nie wiem. Kto to zarządził?

Keitel był zakłopotany, jego tak miły zazwyczaj głos zabrzmiał ochryple:

- Najwidoczniej Fellgiebel błędnie zinterpretował pańską uwagę; mój führerze. Świadomie błędnie zinterpretował.

- Jaką uwagę?<sup>1</sup> - zapytał Hitler grzmiącym głosem.

- Powiedział pan: najmniejsza wiadomość nie może się przedostać na zewnątrz!

-Co, i dlatego zablokowano łączność? - wybuchnął Hitler. - To sabotaż! Kto jest za to odpowiedzialny? Natychmiast zamknąć tego typa.

Już przezornie aresztowałem generała Fellgiebla.

O godzinie 15.00 pułkownik Finckb w Paryżu kazał się połączyć z dowódcą Grupy Armji "Zachód". Zgłosił się jednak tylko jego szef sztabu, generał von Speidel który oznajmił: feldmarszałek von Kluge jest nieobecny w swojej łwaterze.

- Musi pan spróbować niezwłocznie go odszukać - zażądał Finckh. - Hitler nie żyje.

Generał Speidel milczał parę chwil, ta wiadomość go poraziła, ale nie była dla niego szczególnie zaskakująca: należał bowiem do wtajemniczonych. Tylko nie znał szczegółów.

Wreszcie oświadczył:

- Feldmarszałek jest nieosiągalny, przynajmniej w tej chwili. Przebywa w pobliżu frontu.

Nie potrzebowali sobie nawzajem nic wyjaśniać. Wiedzieli, że feldmarszałek zajmuje decydującą pozycję, tylko on mógł przeprowadzić akcję „Zachód” a tym samym spowodować lawinowo pucz w całym Wehrmachcie.

-Kiedy feldmarszałek spodziewany jest z powrotem? - zapytał Finckh opanowany.

- Nie wiadomo. Możliwe, że dopiero późnym wieczorem.

A do tej pory?

Musimy czekać.

Na Bendlerstrasse w dalszym ciągu nic się nie działo-

Od godziny 15.00 do 16.00 leutnant dr Hans Hagen prowadził wykład dla oficerów berlińskiego batalionu wartowniczego. Celne

sformułowania zdawały mu się płynąć z ust. Jego słuchaczy można by określić jako uważnych.

Wśród nich znajdował się również komendant tej jednostki, major Otto Ernst Remer. Miał twarz żołnierza o grubych rysach, ale sprawiającą wrażenie zdecydowanej. Słuchał w przepisowej postawie, od czasu do czasu kiwał przyzwalająco głową. Był wiernym oficerem swojego führera, co w tej godzinie stało się znów widoczne.

Hagen mówił o germańskiej Rzeszy Wielkiego Narodu, o wierności. Rzucił przy tym cytaty z Eddy, z Nietzschego i Rosenberga. Nawet Goethego nie oszczędził.

„W tej wielkiej godzinie, którą nasz naród został zaszczycony...”

Samolot pułkownika von Stauffenberga szybował w kierunku Berlina.

Adolf Hitler stał na dworcu pomocniczym przy głównej kwaterze, gotowy na przyjęcie Benito Mussoliniego.

Major Remer powiedział do doktora Hagen:

- Niech pań z nami jeszcze trochę zostanie, abyśmy mogli lepiej zgłębić poruszone tematy.

Na Beridlerstrasse: nic szczególnego! Tam czekano. Już od trzech godzin. Bezczyinnie.

Tuż przed godziną 16.00 czarnoszara limuzyna sturmbannfurjraera Maiera skręciła z Lutzowplatz na Bendlerstrasse.. Budynku nr 11z13 nie sposób było przeoczyć; stał niemal samotny na zakurzonym polu ruin.

- Maier w wyprasowanym cywilnym ubraniu wysiadł powoli i rozkazał swojemu kierowcy, aby czekał na przeciwległej pustej stronie ulicy. Niemal z zaciekawieniem ruszył następnie w stronę szerokiego betonowego bloku. Straż przywitała go niedbale. Rozgniewało go to. Nie- było żadnej specjalnej kontroli; nie musiał nawet okazywać legitymacji służbowej.

Przyspieszył kroku, szedł po schodach wydających głucho echo i dalej labiryntem korytarzy. Znał tę lisią norę dość dobrze, miał dokładne plany w swoim biurze. Spodziewał się tu „ruchu”, niepokoju, nerwowego zaaferowania, a zastał pokornie całkiem, normalny szary dzień.

- Czy wy tu śpicie? - zapytał. - Czy też żyjecie na księżycu?

Powiedział te słowa, do kapitana Fritza-Wilhelma hrabiego von

Brackwede. Ten spojrzął znad swojej lektury. Obserwował pędzącego jak dzikie zwierzę Majera lekko zdumiony.

: - Myślałem, że tu dom drży-w posadach.

Maier spojrzął wręcz z wyrzutem. - Co to znaczy, mój drogi, czy pan się nie orientuje, co się wydarzyło?

Brackwede udął obojętność, ale jego oczy nagle załśniły.

- Dlaczego pan się denerwuje?

Maier zaczął sapać ze złości.

' - Pan mnie rozczarowuje. I to jak! Siedzicie niemrawo, jakby was nic nie obchodziło. Jedno wszak jest pewne: w Rastenburgu rozszalało się piekło. Wszystko aż się trzęsie. Himmler zamówił u Kaltenbrunnera gromadę specjalistów od tropienia i otł materiałów wybuchowych, są już w samolocie lecącym do głównej kwatery führera. A co wy robicie? .

- Czekamy.

- Do diabła, na co jeszcze?

Na to pytanie Brackwede nie mógł odpowiedzieć. Oświadczył tylko:

. - Tu w każdym razie sprawy nie zaszły tak daleko; nie musi się pan niepokoić. Jedno wszakże mogę panu obiecać. Kiedy u nas coś się zacznie, natychmiast pana zawiadomię. Albowiem jest to zgodne z naszą umową.

- I żadnych szczegółów nie chce mi pan ujawnić?

- Teraz jeszcze nie. Poza tym liczę na pański zdrowy rozsądek i pańskie kontakty. Zresztą sam pan będzie wiedział, có dla pana najlepsze.

. - Człowieku - powiedział Maier - jeśli będziecie się jeszcze dłużej wahać, przegajicie odpowiednią chwilę i wtedy dopiero nastąpi kłapa. A wówczas ja nie zawaham się każdemu z was ukreść głowę. A kiedy już sprzątam, to gruntownie. Czy dość jasno się wyraziłem?

Kapitan skinął głową.

- Wiem, i to może być ceną naszego układu. Ale na razie, mój drogi, wszystkie konta są otwarte. Pewne jest tylko, że nie pozostaniemy sobie nic dłużni -Cierpliwości!

W domu na Schifferdamm 13 Voglbrunner zrobił sobie ochoczo coś w rodzaju twórczej przerwy. Okazją do tego była Breitstrasser : już na niego czyhała. Stała na rozkraczonych nogach w przyćmionym świetle w korytarzu pod swoimi drzwiami. Otaczał ją lepki słodko-



stęchły zapach utworzony z ciężkich kuchennych wyziewów i przepoczonego ubrania.

Jeszcze zanim otworzyła usta, Voglbronner wiedział, co o niej sądzić. Tego rodzaju typy podnosiły swój nos tylko po to, aby go gdzieś wetknąć. Ta kobieta była jak mętne źródło, które gwałtownie chciało wytrysnąć.

- Jeśli idzie o obyczaje i przyzwoitość - oznajmiła zachęcająco - można się całkowicie zdać na mnie! Nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała przed powiedzeniem całej prawdy.

Voglbronner zostawił towarzyszącego mu Josefa Jodlera na schodach; i wepchnął domnieranego koronnego świadka do jej mieszkaniami tu zajmował się: nią bite pół godziny. Kiedy potem znów się zjawił, uśmiechał się zadowolony.

- Niech pan posłucha, mój drogi - powiedział gestapowiec do scharführera. - Doceniam pańskie szczególne zasługi, ale pańska sytuacja bynajmniej nie przedstawia się zbyt różowo. Tu śmierdzi na kilometr!

-No co, no co?— zdenerwował się Jodler. Czyżby mnie ta koślawa dupa obsmarowała? No, a jeśli nawet! W każdym razie nie jestem starym lubieżnym capem jak ten nauczyciel Scheumer. Temu powinniście się dokładniej przyjrzeć! Albo ta perfidna Wallnerowa razem ze swoimi pełzającymi wokół sublokatorami. Niech pan nie zapomina też o tej dumnej kobiecie, o tej Oldenburg Quentin, ta to robi najwidoczniej tylko z hrabiami!

- To brzmi bardzo obiecująco -powiedział Voglbronner: łagodnym tonem: - Na razie jednak, na podstawie dotychczasowego śledztwa, tylko jedna osoba wchodzi w grę jako sprawca! mianowicie pan!

Jodler najwyraźniej z trudem łykał powietrze. Nad jego górną wargą pojawiły się grube krople potu.

— To zupełna bzdura! -- wrzasnął ochryplym głosem. --Ja, syn, miałbym zabić mojego własnego ojca?

- Takie rzeczy się zdarzają. ~ Voglbfonher wrócił znów do swego ulubionego zajęcia: pasjonował się szczuciem., Ale ją nie mam zamiaru pana obciążać. W końcu należymy obaj do tego samego środowiska.

- No właśnie! - zawołał Jodler z ulgą. -Też tak myślę!

- I dlatego właśnie niech pan wykorzysta każdą okazję, jaką panu stworzę, aby tę sprawę oczyścić w pańskim, w naszym rozumieniu. Wie pan, co mam na myśli?

Jodlerowi istotnie zdawało się, że wie W końcu byty to metody

stosowane w jego branży: skoro tylko znaleziono winnego, nie było więcej podejrzanych.

- Zrobię to - obiecał z przekonaniem.

- No dobrze - powiedział kolega z gestapo. Zyskał teraz na czasie i nie potrzebował od razu spotykać się z leitnantem von Brackwede. Mógł się tymczasem jak najlepiej zabezpieczyć.

- Mam nadzieję że pan wykona całą pracę. Ja teraz pójde się napić kawy.

Krótko przed godziną 16.00 kurierski heinkel z pułkownikiem Clausem von Stauffenbergiem i jego adiutantem, oberleutnantem Wernerem von Haeftenem na pokładzie, wylądował na lotnisku Rangsdorf pod Berlinem: Haeften wyskoczył samolotu i pobiegł do najbliższego telefonu.

Stauffenberg patrzył badawczym wzrokiem ponad wysuszoną zielenią pasa łąki na główny budynek. Zobaczył, że nikt go nie oczekuje, esesmani również nie; odetchnął głęboko. Potem ruszył wyprostowany przed siebie.

Oberleutnantowi udało się tymczasem połączyć z Bendlerstrasse. Po kilku sekundach usłyszał spokojny, dźwięczny głos generała Olbrichta. Zameldował mu:

- Właśnie wróciliśmy!

- Nareszcie! - wybuchnął Olbricht z ulgą i z napięciem jednocześnie. - Co się stało?

- Co się stało? - Oberleutnant von Haeften powtórzył to pytanie z niedowierzaniem. Spojrzał na Stauffenberga: Ten wziął od niego słuchawkę.

- Czy mówię z generałem Olbrichtem? ~ zapytał pułkownik. Być może przypuszczał, że został źle połączony. Ale natychmiast poznał głos współspiskowca. - Jak wygląda sytuacja?

- Siedzimy tu i czekamy na pański telefon, panie pułkowniku.

Stauffenberg był niemal pewny, że się przesłyszał.

- Jak daleko jesteśmy? - zapytał. - Czy posunęliśmy się naprzód?

- Czy wszystko poszło szczęśliwie? - zapytał Olbricht.

Po tych słowach nastąpiły przerażające, ogłuszające sekundy ciszy. Oberleutnant, który przysłuchiwał się rozmowie, spojrzał na swego pułkownika mocno zmieszany.

- Czyżby „Walkiria” nie została jeszcze puszczona w ruch? - zapytał Stauffenberg bezdźwięcznym głosem.

- Jak mieliśmy to zrobić, nie otrzymawszy autorytatywnej informacji?

- Hitler nie żyje! - powiedział Stauffenberg.

- Jest pan pewien?

- Widziałem wybuch na własne oczy. Wystrzeliło w górę, jakby rozerwał się granat przeciwzołgowy. Nikt nie przeżył!

- Do diabła! - zawołał oberleutnant von Haeften. - Trzy bite godziny, podczas których nic się nie działo. Trzy godziny! W sytuacji, kiedy każda minuta jest na wagę złota!

- Plan „Walkiria” musi być natychmiast puszczony w ruch - zażądał pułkownik hrabia von Stauffenberg. - Natychmiast!

Dopiero od tej chwili 20 lipca 1944 był rzeczywiście jego dniem!

Pierwszą osobą, która na Bendlertrasse zdecydowanie zareagowała, był pułkownik Mertz von Quirnheim. Nie tracąc ani słowa, nie okazując najmniejszego poruszenia, otworzył kalendarz alarmowy, który leżał przed nim, gotowy do wzięcia. W kilka minut później popłynęły pierwsze rozkazy, dokładnie o 16.12.

Generał Olbricht zdał sprawozdanie przybyłemu tymczasem generałowi Beckowi. Beck stał w cywilnym ubraniu w pobliżu okna. Świadomie zrezygnował z munduru, aby podkreślić cywilny element tego oporu.

- Stauffenberg jest przekonany, że Hitler nie żyje - powiedział Olbricht.

- Widocznie tak jest - odrzekł Beck.

- Stauffenberg żąda, aby niezwłocznie- puścić w ruch plan „Walkiria”.

- Trzeba to zrobić w imię Boże! - Głos generała był wzburzony, pochylił pooraną zmarszczkami twarz. - Jestem gotów.

Generał broni Hoepner również był gotów, skinął głową, wyrażając tym swoją zgodę. Nie znajdował odpowiednich słów. Olbricht pospieszył do sąsiedniego pokoju.

Tu był już w akcji uznany na Bendlerstrasse za pierwszego po Stauffenbergu strateg telefoniczny, pułkownik Mertz von Quirnheim. Jego polecenia brzmiały chłodno i rzeczowo i były nadzwyczaj krótkie. Precyzyjnie funkcjonująca maszyna do wydawania rozkazów została uruchomiona. Z miejsca zaczęła pracować na wysokich obrotach.

Jego najczęściej używane słowa: - Rozkazuje się, aby...

Tylko niekiedy musiał wyraźnie dodawać: - To rozkaz!

Najczęstszymi słowami, które on sam słyszał, były: - Tak jest!

Von Brackwede wpadł do swojego gabinetu z wysoko podniesionym orlim nosem. Podeszedł do biurka, na którym teraz siedział Karzeł Lehmann.

Tu kapitan zatrzymał się, pochylił się oparł ręce na blacie. Jego surowa twarz, często sprawiająca wrażenie irytująco wyniosłej, wykrzywiła się teraz w szerokim uśmiechu.

Lehmann od razu wiedział, co to oznacza

- A więc - powiedział - należało się tego spodziewać. Przy takim przygotowaniu...

- Von Brackwede roześmiał się, ale tylko, na chwilę. Potem rozmawiał przez telefon z hrabią Helldorfem, prefektem policji Berlina. Poinformował go, że Hitler nie żyje. Helldorf obiecał niezwłocznie wprowadzić w czyn wszystkie ustalone zarządzenia i zapowiedział swoje przybycie, na Bendlerstrasse.

Lehmann tymczasem otworzył środkową szufladę biurka i wyjął z niej pudełko cygar. Podał je kapitanowi. Była to ulubiona marka hrabiego, wyborowe egzemplarze przeznaczone na specjalne okazje, na dni świąt, uroczystości i rocznice. Wszystkiego tylko trzy sztuki.

- Dzisiaj dwa z, nich zostaną wypalone - rzekł kapitan, sięgając po cygaro. - Jedno należy się panu, mój drogi. Resztę i tak bym sam wypalił, moja" żona ma dzisiaj urodziny!

Kapral wziął cygaro do ręki jak order. Kiedy podawał ogień kapitanowi, bąknął zamyślony:

- Nie wygląda pan na szczególnie zadowolonego.

- A z czego pan to wnioskuje? - zdumiał się hrabia..

- Trudno powiedzieć, czuję to. Coś się chyba panu nie podoba. Ale co?

- No, ma pan jasny umysł, mój przyjacielu -. powiedział von Brackwede, paląc z dużą przyjemnością. -I właśnie dlatego powinien był pan zadać, mi pewne pytanie, kiedy pan się dowiedział, że to się stało.

Lehmann palił intensywnie cygaro. Potem jego oczy ożywiły się. - Kiedy? - zapytał.

Von Braekwede skinął głową z uznaniem - ludzie, którzy umieli myśleć przenikliwie i szybko, cieszyli się jego przychylnością.

.-. Dokładnie tak!

- A więc kiedy wybuchła.bomba?

- Przed blisko czterema godzinami.

- Człowieku! - zdołał tylko zawołać Lehmann. - To wprost nie do wiary! A gdzie jest teraz pułkownik?

- W drodze do nas. Około szesnastej wylądował w Rangsdorf. Stamtąd na Bendlerstrasse potrzeba mniej więcej czterdzieści minut.  
- Kapitan spojrzął na zegarek. - Jeszcze około dziesięciu minut, a potem się tu zacznie.

Generał Olbricht krążył - na zmianę z pułkownikiem Mertzem od planów alarmowych do telefonu, a stamtąd, do przedpokoju. Dwie sekretarki pracowały bez przerwy przy swoich maszynach; Ordynansi zanieśli pierwsze,, najważniejsze, gotowe już rozkazy do poszczególnych referentów i do centrali łączności.

Centrala znajdowała się w piwnicy. Zatrudniony tam personel pracował sprawnie i niezawodnie: szybko przywrócono łączność telefoniczną, dalekopisy zaczęły stukać. W ciągu paru minut piwnica zamieniła się w ul.

- Nareszcie coś się u nas dzieje! - zauważył sierżant zuchowato. Należał do tych, którym sprawiało radość, kiedy wszystko szło pełną parą. Mógł w ten sposób udowodnić, że jego ludzie są stale w pogotowiu.

Oficer dyżurny zdawał się być bardziej powściągliwy. Przyjmował materiały, podpisywał je i przekazywał dalej. Była to praca rutynowa. Powiedział tylko:

- Wystarczająco dużo jak na jeden dzień!

Oficerem tym był leutnant Röhrig, przydzielony jako dyżurny zgodnie z planem dnia. To czysty przypadek, że akurat jego tu skierowano. Mógł to być każdy inny oficer. Ale automatycznie przypadła jego kolej.

Był to opanowany, uważny mężczyzna o młodzieńczej twarzy i nieco nieśmiałych ruchach. Był z usposobienia romantykiem, studiował muzykę i należał do studenckiego związku NS, co nie było niczym szczególnym.

Trzymał w ręku tekst, który miał nadać, i przyglądał mu się lekko zdziwiony. Sierżant, który stał obok niego, już wyciągnął rękę, aby przyjąć i ten rozkaz.

- Coś niejasnego? - zapytał.

- Te materiały nie wydają mi się całkiem w porządku - powiedział leutnant Röhrig ostrożnie.

Sierżant nieco się zdziwił.

Na pewno jest wszystko w porządku! Te rozkazy pochodzą wprost od generała Olbrichta, on je podpisał.

- Z pewnością, z pewnością - przyznał leutnant pospiesznie. - Ale

są napisane na zwykłym papierze. Nie mają adnotacji „ściśle tajne”. Brak im; też informacji o stopniu pilności.

To może się zdarzyć - powiedział sierżant -szczególnie kiedy czas nagli, a to, zdaje się, jest taki przypadek. - I zatroskany dodał: - Czy chce pan może te wszystkie pisma odesłać z powrotem?

- Oczywiście że nie. - Leutnant Rohrig pospieszył przekazać pdpiery dalej. - Tylko jestem trochę zdziwiony. W końcu u nas poprawna praca to rzecz naturalna. To zrozumiałe! I jeśli coś nie jest całkowicie bez zarzutu, to mnie zdumiewa; Ale oczywiście możliwie najszybsze przekazanie poleceń jest dla nas nadrzędnym nakazem.

Leutnant Rohrig w centrali informacyjnej na Bëridlerstrasse był zatem „speszony”. Poza tym nic więcej początkowo się nie działo. Zgodnie z przepisami" wychodziły pierwsze rozkazy.

Ale pewien leutnant w pewnej piwnicy stał się podejrzliwy.

- Urządzimy sobie święto! - zawołała Elisabeth uskrzydłona. Stała dziewczęcym krokiem po wąskim pokoju. - Święto niezwykle; co o tym sądzisz, Konstantin?

Przyglądał jej się uszczęśliwiony; prawie nic innego podczas minionych godzin nie robił. Był pełen tkliwości. Przytakując, uśmiechnął się do niej.

- Ofiaruję wszystkie moje zapasy -powiedziała Elisabeth i rozetrzała się w poszukiwaniu. - Niech będzie tak, jakby już nic po tym dniu nie miało się zdarzyć. To jest jeden, jedyny dzień, który zawiera całe życie... Rozumiesz?

Konstantin, nie rozumiał, ale przytaknął gorliwie. Wszystko jedno, co chciała przez to powiedzieć; ale to brzmiało Wspaniale! Pospieszył ku niej i potknął się przy tym o tęczkę brata.

Elisabeth przytuliła się do niego, tym razem jednak tylko na; krótko, prawie nieśmiało. Oderwała się szybko i powiedziała: Mam jeszcze kawę, wystarczy na cały dzbanek. Poza tym kawałek ciasta, puszkę kawioru, dwa opakowania chleba chrupkiego i mały<sup>v</sup> słoik gęsiego smalcu.

- Nie damy rady tego zjeść! -, zawołał Konstantin wesoło.

- Zaprosimy gości -oznajmiła Elisabeth wspaniałomyślnie - jak trzeba, kiedy się obchodzi święto. Zaproszę do nas panią Wallner, a także jej gościa.

Konstantin zgadzał się na Wszystko, co Elisabeth proponowała. Wspólnie przygotowali poczęstunek. Potem szeroko otworzyli drzwi.

- Pani Wallner- zawołała Elisabeth.- prosimy do nas!

Pani Wallner zdawała się tylko czekać na otwarcie drzwi, stojąc w ciemnym, niebieskim przedpokoju zastawionym meblami. Jej siwe włosy wyglądały jakby oświetlone reflektorem - szara twarz pod nimi była jakby zamazana.

- Pozbieraliśmy wszystko, co jeszcze mieliśmy - powiedziała Elisabeth serdecznie. - Chętnie się z panią podzielimy. Połowa dla nas, połowa dla pani i pani gościa, jak go pani nazywa.

Wallnerowa potrząsnęła głową.

- Niech pani tego nie robi - rzekła cicho. - Niech pani myśli o sobie, a nie troszczy się o mnie, a tym bardziej o mojego gościa.

- Pani ukrywa Żyda, prawda? - Dla, Elisabeth wydawało się to czymś oczywistym. - Wiem to już od dłuższego czasu, dobrze, że są jeszcze tacy ludzie jak pani.

Konstantin patrzył z niedowierzaniem. Potrzebował trochę czasu, aby się z tym oswoić. Pomarszczona twarz Wallnerowej wywołała w nim współczucie. A wszystko, co myślała i robiła Elisabeth, musiało być słuszne!

- Niech pani zamknie drzwi - powiedziała Wallnerowa - nawet choćby miała pani zyskać przez to tylko kilka minut! W tym domu niebawem rozpęta się burza. Stary Jodler został zabity poprzedniej nocy. Policja i gestapo już tu są. A teraz najwidoczniej poszukuje się winnego, za wszelką cenę! Będą przeszukiwać cały dom. A co dalej?

Wallnerowa oddaliła się ledwie dosłyszalnymi drobnymi kroczkami. Cienie padały na jej siwe włosy. Wyciągnęła rękę jak tonący, ale tylko po to, aby zamknąć drzwi.

- Co my mamy z tym wspólnego? - zapytał Konstantin, siląc się na spokój. - Absolutnie nic.

- Zdaje się, że zapomniałeś o teczce swojego brata.

- Nie rozumiem. Ta teczka to jedna sprawa, a my to druga.

Ale Elisabeth pochyliła głowę i powiedziała ledwie dosłyszalnie:

- Jaki ty jesteś naiwny.

O godzinie 16.10 generał Olbricht udał się do generała Fromma. Dowódca armii rezerwowej siedział jak zwykle za swoim biurkiem niby za betonowym wałem. Przywiązywał wagę do dystansu.

Olbricht zaczął tę rozmowę zdecydowanie, bez żadnego wstępu. Oświadczył:

- Hitler padł ofiarą zamachu.

Generał Fromm milczał przez chwilę. Jego mięsista twarz wodza

zdradzała intensywne myślenie. Patrzył na wypielęgowaną podłogę swojego gabinetu, nie na Olbrichta.

<sup>1</sup> - Skąd pan to wie?

Generał wiedział to od pułkownika Stauffenberga. Nie zamierzał jednak mówić tego Frommowi. Ostateczną prawdę należało podać możliwie ostrożnie.

- Wiadomość, że Hitler nie żyje, nadeszła wprost z głównej kwatery führera. Tam miał miejsce zamach.

- Kto za to ręczy?

- Generał Fellgiebel.

- A kto poza tym? Czy jest jakieś oficjalne potwierdzenie?

- Nie może być, bo i Hitlera już nie ma. - Generał Olbricht starał się emanować niezachwianym przekonaniem. - Ale i do nas, i do generalnego kwatremistrzostwa w Zoßen nadeszły jednakowo brzmiące meldunki. Decyzja wydają się nieuchronna. Plan „Walkiria” musi być zrealizowany. Proszę o pańską zgodę.

Generał Fromm sapiał - niechętny i wzburzony zarazem. Twarz mu poczerwieniała, w ostatnim czasie ciśnienie krwi podniosło mu się ponad normę. Ale oświadczył opanowany:

- Widzi pan, że jestem zaskoczony! Stwierdzam, że daje pan posłuch absolutnie nie potwierdzonej wiadomości z trzeciej ręki. Poza tym przedstawia mi pan propozycję o niezwyklej doniosłości. Czy to nie jest zbyt pochopne? Czy przeprowadzono stosowne badania? Nię? Ja w każdym razie nie zamierzam się przedwcześnie pakować w jakąkolwiek awanturę.

- To nie ma nic wspólnego z awanturą, panie generale, chodzi raczej o historyczne rozstrzygnięcie!

Oczy Fromma były na pół zamknięte. Podparł dłonią podbródek.

- Jest pan tego pewien? - zapytał po chwili.

- Absolutnie!

- Zdaje pan sobie sprawę, mój drogi - mówił powoli generał - że nieobce mi są poglądy i zamiary pana i pańskich kolegów. Rozumiem pana, jednak musi pan przyznać, że powinno mi być obce wszelkie spontaniczne działanie, a być może i lekkomyślne. Spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność i nikt nie może jej ze mnie zdjąć.

Olbricht zorientował się natychmiast, że Fromm jak zwykle zamierza się zabezpieczyć. Starał się nawet to zrozumieć, ale był absolutnie pewny swego. Sam podniósł słuchawkę telefonu i zażądał połączenia z główną kwaterą Hitlera całkowicie przekonany, że nic z tego nie będzie.

Jednakże „Wilczy Szaniec” zgłosił się zdumiewająco szybko.



Fromm sam był tym zaskoczony. Wezwał do telefonu Keitla. Feldmarszałek zgłosił się niemal natychmiast.

Generał Fromm zaczął rozmowę po koleżeńsku jak generał z generałem.

Zapytał jakby od niechcenia:

- Co się właściwie tam u was zdarzyło? Tu w Berlinie krążą najdziwniejsze plotki.

- Nie ma powodu do większych obaw - oświadczył Keitel.

Na to Fromm: - Czy to prawda, że dokonano zamachu na Hitlera?

W tym momencie można było dostrzec, że Keitel i Fromm bynajmniej nie są przyjaciółmi, Fromm należał do tych, którzy nazywali Keitla „lokajem”, a Keitel określał Fromma „pieniaczem”, i że najchętniej schodzą sobie z drogi,

Keitel oznajmił poufnie i zarazem wyzywająco: - Rzeczywiście, była próba zamachu na Führera, ale na szczęście się nie udała. Führer żyje i jest tylko lekko skaleczony. - I prawie jednocześnie zapytał: - A gdzie jest wasz szef sztabu, pułkownik hrabia Stauffenberg?

- Nie było go jeszcze u mnie - powiedział Fromm.

I to wszystko.

Więcej żadnej uwagi na temat Stauffenberga. Żadnej najmniejszej wzmianki, że sytuacja mogła być niebezpieczną. Dominowało raczej uczucie, że znów wszystko dobrze się skończyło!

- A więc to wszystko wcale nie było takie straszne - oznajmił Fromm generałowi Olbrichtowi.— Realizacja planu „Walkiria” w celu wzbudzenia wewnętrznych niepokojów jest całkowicie zbędna. Widzi pan: nie tak łatwo zabić Hitlera, A więc: zimna krew!

Tymczasem w domu na Schifferdamm 13 scharführer Jodler już teraz w pełnym umundurowaniu, przejął groźną inicjatywę.

Nikt mu przy tym nie przeszkadzał. Voglbrunner, jak oznajmiono, poszedł się napić kawy. Klatka schodowa była jakby w ciężkim półśnie. Fale upału wpełzały po schodach, jak niewidoczne chmury gazu.

Policjant zagroził wejście słupkami. Wachmistrz Kopisch uciął sobie spóźnioną drzemkę, zagłębiony w wielkim skórzanym fotelu,

A Josef Jodler był zdecydowany pójść na całego.. Miał dwa połączone ze sobą cele: musiał przekonywająco zrzucić z siebie podejrzanie, a jednocześnie znaleźć kogoś, kogo mógłby obarczyć winą.

Najpierw rozpracował dokładnie Breitstrasser na drugim piętrze. Sądząc, iż wie, jak należy traktować takie typy, aby osiągnąć jak najlepszy skutek, uderzył ją w twarz, z lewej i z prawej strony. To na początek. Następnie obiecał jej obniżkę czynszu, większą piwnicę, specjalne przydziały i widoki na mieszkanie na pierwszym piętrze.

Wtedy Breitstrasser oświadczyła, że gotowa jest zmienić swoje zeznanie: będzie wdzięczna za odpowiednie wskazówki. Zostały jej w obfitości udzielone. Odtąd była chętna zeznać pod przysięgą wszystko, co Jodler junior uważał za właściwe.

Następny przystanek to nauczyciel gimnazjalny Johann Wolfgang Scheumer. W jego wypadku Jodler postanowił na początek zagrać na fanfarach patriotyzmu. Jodler zaapelował do państwowotwórczego przekonania i wiary w ostateczne zwycięstwo. Udało mu się to jedynie połowicznie.

Następnie Jodler stał się bardziej konkretny. Szarpnął nauczyciela w górę i rąbnął nim o ścianę. Ten chwycił z trudem powietrze i patrzył na swego rozmówcę z bładą z przerażenia twarzą. Po chwili z wysiłkiem zapytał:

- Czego pan żąda?

- Chciałem panu pomóc, bo uważałem zawsze, że pań jest naszym człowiekiem. Ale pańskie zachowanie daje dużo do myślenia. Ojciec wielokrotnie ostrzegał mnie przed panem. Czyżby pan był wrogiem ludu? Jako taki mógł więc pan zabić mojego starego.

Scheumer podniósł obie ręce w żarliwym geście przysięgi. Prosił aby wolno mu było wykluczyć tego rodzaju nieporozumienie. Prośba ta została uwzględniona. A ponieważ był człowiekiem intelektu, otrzymał polecenie, aby napisać szczegółowy raport, który by w sposób niezbity odwoływał zniesławienie Jodlerą juniora i dawał wyraźne wskazówki co do ewentualnego sprawcy.

Następnie Jodler udał się do mieszkania obok, do Eriki Elster. I tu potkał się z pełną sympatią. Nie mógł jednak z niej chwilowo w pełni skorzystać, albowiem bardzo się spieszył.

- Czy mogę na panią liczyć? Mam na myśli pozytywne zeznanie..

- Oczywiście, zależy mi na tym, aby pana dla nas zachować. I to z różnych powodów.

- Łaskawa pani, kiedy już będę miał wszystko w kupie - oświadczył Jodler serdecznym tonem - będziemy musieli sobie koniecznie całkiem prywatnie porozmawiać. Że aż hej!

Potem jednak Jodler natknął się na nieoczekiwaną przeszkodę: albowiem kolejne drzwi pozostały dla niego - początkowo - zamk-

nięte. Walił w nie pięściami i kopał. Ale pani Wallner nie otwierała.  
' - Liczę do trzech! ~ powiedział Jodler sapiąc.--Jeśli do tego czasu drzwi nie zostaną otwarte, wtedy zobaczycie!

Kapitan von Brackwede stał przy jednym z frontowych okien. W lewym oku miał monokl, aby lepiej widzieć. Popołudniowe słońce oświetlało jego łysiejącą głowę. Na twarzy nie widać było, ani kropli potu. Przygniatający upał zdawał się na niego nie działać.  
: - Nareszcie! - zawołał, ujrawszy samochód pułkownika Stauffenberga. Odskokzył od okna, trzema susami przesadził pokój, otworzył drzwi i wybiegł na schody, naprzeciw Clausowi.

Pułkownik spieszył na górę po ciemnych marmurowych schodach wydających głucho echo; wyglądało że chce szturmem zdobyć górę. Była godzina 16.40.

- Czy akcja, rozpoczęta? - zawołał do przyjaciela.

- Najwyższy czas, żebyś już tu był -' powiedział Brackwede. Pchnął najbliższe drzwi, które prowadziły do pomieszczeń generała Olbrichta. - Znajdziesz to, czego się spodziewasz.

- Dziękuję - powiedział Stauffenberg pospiesznie. - Dobrze, że tu jesteś.

Przez ułamek sekundy popatrzyli sobie w oczy. Ich ręce dotknęły się lekko.

W pokoju generała Olbrichta stał generał broni Beck, spokojnie jak posąg. Wokół tego głównego punktu ciężkości zgrupowali się inni: patrzyli w milczeniu, czekając na pułkownika. Tylko Mertz von Quirnheim nie przerwał swojego zajęcia, podniósł jedynie rękę' na powitanie; z dokładnością maszyny przekazywał przez telefon rozkazy.

- Hitler nie żyje - oznajmił pułkownik Stauffenberg.

- Główna kwatera fuhrera twierdzi coś wręcz przeciwnego - powiedział Beck spokojnie.

. - Na zdrowy rozum Hitler nie może żyć - oświadczył Stauffenberg nieporuszony. - Sam widziałem wybuch.

Beck podniósł rękę. Ale zanim jeszcze mógł zabrać głos, hrabia von Brackwede zawołał:

- Czy Hitler żyje, czy nie, musimy działać tak, jakby nie żył! Potraktujmy twierdzenie Keitla jako manewr mylący.

- Zgoda - powiedział Beck zdecydowany. - Niech będzie! Dla mnie ten człowiek nie żyje. Dostosuję do tego moje dalsze działania. Nie wolno narażać teraz zboczyć z tej linii.

Od tej chwili na Bendlerstrasse nie było już żadnej niejasności.

w każdym razie w tej sprawie. Olbricht skinął przyzwalająco głową. Hoepner patrzył wzrokiem marszałka. Brackwede skinął głową Stauffenbergowi; Młodszy oficerowie stali przez kilka sekund w skupieniu, jak gdyby znajdowali się w kościele garnizonowym w Poczdamie,

- Część jednostek w Krampnitz, Gross-Glienicke, Doberitz i Poczdamie została tymczasem, zgodnie z planem, zaalarmowana - oznajmił Mertz pułkownikowi von Stauffenbergowi. - Wszystkie rozkazy alarmowe zostaną potwierdzone.

- Dobrze - powiedział pułkownik i podszedł do najbliższego telefonu. - Czy jest połączenie z komendantem Berlina?

- U generała von Hase zbierają się właśnie teraz podlegli mu dowódcy, aby odebrać rozkazy.

- Czy są jakieś wiadomości z innych miast?

- Wiedeń melduje gotowość, Praga dotychczas potwierdziła jedynie otrzymanie naszych rozkazów. Ale w Paryżu rozpoczęły się już pierwsze akcje.

Stauffenberg spojrział na kapitana Brackwede: niczego innego nie należało się spodziewać w Paryżu, gdzie działał podpułkownik Casar von Hofacker.

- A gdzie jest Witzleben?

Ów feldmarszałek - imieniem Erwin - był przewidziany jako nowy wódz naczelny Wehrmachtu. On również należał do zdeklarowanych przeciwników Hitlera, i to nie tylko dlatego, że führer w 1942 pozbawił go urzędu. Szanował bardzo Becka i należał do przyjaciół generała von Brackwede; rzygać mu się chciało na myśl o Hitlerze.

Całkiem oczywiste więc, że feldmarszałek von Witzleben tego dnia ochoczo przystąpił do akcji. Jednakże nie na Bendlerstrasse! Zjawił się około trzydziestu kilometrów dalej, w Zossen - u generalnego kwatermistrza. Ale tam nie było dla niego nic ważnego do roboty.

- On jest potrzebny tu! - zawołał Stauffenberg.

- Jeszcze tu przyjdzie - wtrącił von Brackwede z łagodną ironią. - I myślę, że może śmiało przyjść, kiedy zechce, oby tylko nie było wtedy za późno.

Obaj pułkownicy zaczęli teraz prowadzić zażarte bitwy przez telefon. Ich podział pracy, był uprzednio dokładnie zaplanowany: każdy z nich miał przed sobą specjalną listę.

Beck i Hoepner wiedzieli, co ich czeka w ciągu najbliższych minut, a może nawet godzin. Właściwie nic, co by wymagała ich osobistej interwencji. Musieli czekać.

Tymczasem utworzyła się pierwsza niewielka grupa oficerów, która stała teraz na korytarzu drugiego piętra. Mężczyźni rozmawiali

ze sobą przyciszonym głosem. Jedni byli „oślupiali, wykrzywieni i bladzi jak śmierć”, inni robili wrażenie jedynie bezradnych.

- A teraz śmiało, przyjaciele - zawołał do nich hrabia von Brackwede, przechodząc w pośpiechu. - To musi być wesoly pogrzeb pierwszej klasy.

- Nie ma mowy! - oświadczył wzburzony leutnant Konstantin hrabia von Brackwede. Stał demonstracyjnie obok pani Wallner, która nerwowo wymachiwała rękami. - Wtargnięcie tu to naruszenie spokoju domowego.

Jodler walił w drzwi jak w bęben. Jego kolejne kopnięcia spowodowało, że drewno zatrzeszczało.

- Otwierać, do cholery. Tu SS!

Elisabeth była w najwyższym stopniu zdenerwowana.

- Powinniśmy z nim porozmawiać, Konstantin - nalegała. - Tylko proszę bez przemocy! Przecież można inaczej!

- Tak w każdym razie nie wolno - odparł leutnant bojowo. Zbyt brutalnie został wyrwany ze swego idyllicznego snu. - Już ja mu pokażę, co to są dobre maniere!

- Nie wpuszczę go do mieszkania! - zawołała pani Wallner oburzona. - Po moim trupie! - I to nie była przesada.

- Proszę, niech się pani uspokoi - rzekł leutnant mężnie. - W końcu istnieją w tym kraju ciągle jeszcze porządek i sprawiedliwość! - I całkiem niepotrzebnie dodał: - O to przecież też walczymy,

Wallnerowa spojrzała na Konstantina zaskoczona. Elisabeth próbowała się uśmiechać, ale jej się to nie udawało. Nawet Jodler ze zdumienia jakby przerwał swoje bębnienie.

- No, jak długo mam jeszcze czekać! - krzyknął jednak zaraz potem. - Moja cierpliwość już się wyczerpała.

- Moja również - powiedział leutnant i ruszył zdecydowanie naprzód. Przypinał przy tym swój pas, który mu, podała Elisabeth.

- Bądź rozsądny, proszę!

- Jestem - zapewnił leutnant.

- Spróbuj dogadać się z tym człowiekiem po dobroci. Nie drażnij go niepotrzebnie jeszcze bardziej. Bo sprowadzi na nas niebezpieczeństwo. Mój Boże, ty chyba naprawdę nie wiesz, że w tym kraju wszystko jest możliwe.

To ostrzeżenie Konstantin puścił mimo uszu, Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Jodler próbował staranować drzwi, ale wpadł przy tym na leutnanta.

- Wolnego! - powiedział Konstantin, powstrzymując go całą siłą.
- Nie tak energicznie. Czy nie ma pan już dość?

Oficerowie z berlińskiego batalionu wartowniczego otoczyli swego komendanta majora Ottona Ernsta Remera. Ten rozmawiał ze swoim gościem; leutnantem doktorem Hansem Hagenem.

Wygłosił nam pan wspaniały wykład. Taki budujący, na czasie.

- Hagen skłonił się dziękując i popatrzył na krąg zebranych Oficerowie, zdawali się czuć to samo co ich komendant Również oni sprawiali wrażenie ludzi, którzy mieli za sobą godzinę bogatą w przeżycia.

I podczas gdy nadal wymieniali uprzejme, słowa, major Remer został odwołany przez swego adiutanta.

- Pilny telefon, pan major jest proszony osobiście. .

Była godzina 16,15.

i Komendant zgłosił się, powiedział: - Tak jest! - i słuchał. Adiutant, który stał obok niego, widział, jak Remer stał się biały jak kreda. I znów zawołaj: - Tak- jest! - Jego oczy patrzyły pośpnie.

Potem jednak major się wyprężył, odszedł powrotem do swoich oficerów, postarał się, aby jego ochryply głos znów zabrzmiał silnie, i zawołał: - Moi panowie! Dokonano zamachu na führera. Wehrmacht przejął władzę.

Oficerowie milczeli zdumieni, bezradni; Ten i ów zdawał się przerażony. Większość jednak czekała na to, co teraz niechybnie miało przyjść, na najbliższy rozkaz. To wyjaśniłoby sytuację, do czasu nadejścia dalszych rozkazów.

- Plan „Walkiria” zostaje wprowadzony w czyn - oznajmił major Remer. - Nasze zadanie polega na tym, aby całkowicie opanować i zablokować dzielnicę rządową. Jest to pierwsza faza naszej akcji. Omówimy od razu konieczne szczegóły, o ile nie są one już znane dzięki ostatnim ćwiczeniom.

Podczas tego pierwszego rozkazu, który teraz nastąpił i który został przyjęty z gotowością i bez żadnych pytań, leutnant Hagen pozostawał nieco odsunięty, na dalszym planie.

Podczas kiedy Remer mówił, Hagen zaczął myśleć. I nagle przypomniał sobie, że chyba widział przed paroma godzinami ; zdymisjonowanego feldmarszałka von Brauchitscha w pełnym umundurowaniu, jadącego Friedrichstrasse. I szepnęła oficerom, którzy stali w pobliżu: - Chłopaki, tu coś śmierdzi!

Mężczyzna, którego przyprowadzono do kapitana von Braekwede, poruszał się elegancko i zdawał się mieć znakomite maniery. Ukłonił się nie tylko kapitanowi, ale także lekko kapralowi Lehmannowi, co tego wyraźnie zachwyciło.

- Panowie- się nie znają? - zapytał von Braekwede. Wskazał teatralnym gestem na kaprala: - Jeden z moich najbardziej zaufanych współpracowników.

Gość przedstawił się:

- Pan pozwoli, prefekt policji hrabia Helldorf.

- Kapral Karzeł Lehmann - powiedział ten mrugając oczami. - Bardzo mi miło.

Helldorf był zdumiony, ale tylko przez chwilę. Usłyszał, jak kapitan dźwięcznie się roześmiał - znał ten żart z „Karłem” swojego Lehmana, ale na nowo go to ubawiło w obecnej sytuacji. Teraz roześmiał się również prefekt.

- Powinienem być przygotowany na tego rodzaju żarty na pańskim podwórku, panie von Braekwede. - Helldorf potrząsnął ręką kaprala. - Ale oczywiście nie mogłem przypuszczać, że pan sam dziś...

- Dziś dopiero - powiedział kapitan i zaraz potem zapytał: - Czy ustalone przedsięwzięcia docierają do pana?

- Wszystko gotowe do startu. Jednakże chciałem się wpierv jeszcze osobiście upewnić...

- O czym? Na razie nic się nie dzieje. - Von Braekwede powiedział to po cichu, na pozór uprzejmie, ale nieco ostrym tonem. - Niech pan idzie ze mną - rzekł nagle. - Powinien pan zobaczyć Stauffenberga przy pracy i porozmawiać z Beckiem.

- Hitler nie żyje! - zawołał pułkownik do hrabiego Helldorfa i dalej prowadził rozmowę telefoniczną, którą na chwilę przerwał.

- A więc jednak! - mruknął prefekt policji. Wyglądało na to, że mu ulżyło. Przywitał się uprzejmie z obecnymi, choć był naciskany przez kapitana.

- Na co pan jeszcze czeka? Przewidziane akcje muszą natychmiast ruszyć.

- Wystarczy jedno moje hasło,

- Więc niech je pań da, proszę! - Braekwede czynił starania, aby przesunąć Helldorfa do następnego pomieszczenia i ten zdawał się gotów, aby posłusznie tam przejść.

Ale teraz rozległ się głos generała broni Becka, spokojny, pewny, poważny. Ten prawdopodobny mężczyzna powiedział:

- Musimy pana prefekta lojalnie poinformować, że mamy wiadomość z głównej kwatery führera, według której Hitler podobno wcale nie zginął.

Stauffenberg oniemiał na chwilę. Hoepner odwrócił się. Mertz von Quirnheim popatrzył z niedowierzaniem znad swoich dokumentów. Ale Olbricht zawołał nerwowo, powtarzając:

- Keitel kłamie, Keitel kłamie!

Można mówić tylko o opatrności - oświadczył znów feldmarszałek Keitel. - Nie ma innego wytłumaczenia tego, co się stało.

Keitel zaprowadził führera i jego gości Benito Mussoliniego na miejsce wypadku. Owczarek Hitlera zaskomlał. Przebywał w zagrodzie, aby nie przeszkadzać w oficjalnej wizycie.

- Było to tak jak podczas poprzedniej wojny na froncie - opowiadał Hitler, a rozprawiał o tym szczególnie chętnie. - Pamiętam na przykład wybuch miny, która zasypała mnie i wielu kolegów. Dziś było podobnie.

Mussolini podnosił co chwila swoją kwadratową głowę i spoglądał na ruiny baraku. Jego twarz, tak niegdyś energiczna, teraz przypominała wyblakłą gumową masę, która zatraciła swoje kontury. Szedł ostrożnie przez potrzaskane belki, do miejsca, gdzie, jak go zapewniano, stało krzesło Hitlera.

Führer pozwolił swemu gościowi na to zajęcie, bowiem uwalniało go ono od męczących rozmów. Niestety nie mógł uczestniczyć w odprężającej przerwie, na jaką sobie pozwolił Mussolini. Keitel szepnął mu z tyłu:

- Rozmawiałem przez telefon z Frommem. Był bardzo zdenerwowany, ale udało mi się go uspokoić.

Z prawej strony Himmler szeptał teraz do führera:

- Na podstawie dotychczasowego śledztwa wydaje się, że pułkownik Stauffenberg wchodzi w grę jako sprawca. -I niemal triumfująco, choć z, wymaganą ostrożnością, zawołał do Keitla: - Pański Stauffenberg, panie feldmarszałku!

- To nie jest mój Stauffenberg - zaprotestował Keitel pospiesznie.

- Prawie go nie znam. Jeśli jednak ma pan istotnie przekonujące dowody...

- Jeszcze nie, ale niedługo będę miał.

Hitlera ogarnęła złość. Miał wyczulony zmysł na dysonanse w swoim najbliższym otoczeniu, nie tylko je tolerował, lecz nawet popierał. Owego dnia jednak poczuł wstręt do intryg, chciał widzieć rezultaty dostarczone przez swoją zespoloną drużynę.

- Ten, kto mi przywlecze winnego - powiedział szorstkim tonem

- może liczyć na moją wdzięczność i uznanie. Obojętne, kto jest tym winnym, chcę go mieć.



Benito MussoUni przedzierał się po gruzach z powrotem do swego towarzysza walki Adolfa Hitlera. Dwaj wybrani korespondenci wojenni z całym poświęceniem pstrykali zdjęcia. Byli pewni, że pochwycili historię.

Mieli do dyspozycji najlepsze obiekty, jakie można sobie wyobrazić.

Duce, kiedy zszedł już ze stosu gruzów wyprostował się-zdjęcie.

- Zmierzał w stronę Hitlera z wyciągniętymi rękoma - zdjęcie. Ich ręce splotły się w uścisku.- zdjęcie. Patrzyli sobie w oczy, świadomi zwycięstwa - zdjęcie.

A Mussolini wypowiedział, według stenogramu, następujące słowa;

- Po tym, co zobaczyłem, uważam że był to znak nieba!

- Pan mnie nie zna albo może ze, słyszenia; nazywam się Maier, Jestem zaprzyjaźniony z hrabią von Brackwede, A nawet więcej; prowadzimy wspólne interesy. Czy pan o tym wie?

- Nie - odrzekł mężczyzna, który stał przed sturmbarmführerem.

Był to Julius Leber. Maier kazał go do siebie przyprowadzić Aby to się mogło stać, wystarczyło tylko przejść korytarz; Leber przeszedł go na słabych, jakby sparaliżowanych nogach. Stali teraz po raz pierwszy naprzeciw siebie.

- Wiem o panu wszystko - stwierdził Majer i wskazał Leberowi krzesło. Leber Usiadł. -1 mogę mieć tylko nadzieję, że pan również wie coś o mnie.

- Niestety nie -wymamrotał Julius Leber.

Wypowiedział te słowa nie chcąc ani rozczarować sturmbaführera, ani go dotknąć. Maier dobrze wiedział, że ma przed sobą „najtwardszy głaz ruchu oporu”, a mimo to nie stracił jeszcze nadziei, że go poruszy.

- Ja wiem, Leber, nie można panu nic wmówić, jeszcze nikt nie potrafił złamać pańskiej woli. Nawet ja nie zamierzam tego próbować! Przeciwnie, chętnie bym z panem współpracował. Podobnie jak z hrabią von Brackwede.

Ten Leber nawet jeszcze teraz okazywał imponującą siłę. Choć jego ciało zwijało się w bólach, kanciasta twarz pozostawała dumnie podniesiona. A w oczach lśnił daleki uśmiech.

- Co się stało? - zapytał.

- Dokładnie to, co, być może, pan przypuszcza - panie Leber.

- Głos Maiera brzmiał zachęcająco.

Julius Leber przymknął oczy; nie można było zaobserwować żadnej reakcji, sturmbannführer patrzył na niego nie bez podziwu: takie uczucie było czymś niezwykłym.

- Gdyby pan zechciał mi się zwierzyć, udzielić pewnych wskazówek...

— Nie - powiedział rozbity mężczyzna - dlaczego miałbym to zrobić?

Maier oddychał z trudem, jak gdyby dźwigał wielki ciężar. Ale w tej chwili mimo woli musiał go podziwiać. - Leber przetrwał wszelkie możliwe tortury. Nawet komisarzowi Helbeckerowi, najbardziej ceni onemu i cieszącemu się największymi sukcesami policjantowi gestapo, nie udało się zmusić tego człowieka do mówienia.

Niezachwiana postawa Lebera stała się już legendarna. Jeszcze przed rokiem 1933 jego przeciwnicy się go bali; wielokrotnie podczas bójek w lokalach przebił się z nogą od krzesła przez zgraję wymachującą nożami. Kiedy w noc przejęcia władzy przez Hitlera napadła na niego banda ludzi z SS, rozbił ich - jeden z napastników nie przeżył, dwaj leżeli ciężko ranni, reszta uciekła.

- W takich chwilach nie chcę stać z boku - zapewniał Maier niemal serdecznie. - Nie lubię pozostawać bezczynny. Czy pan to rozumie?

. - Doskonale! Pan pragnie się zabezpieczyć.

- Niech pan to nazywa, jak chce! - Sturmbannführer sięgnął do szyi - kołnierzyk zdawał mu się za ciasny. - Proponuję wszelkie przywileje za jakiś impuls, który by mi pomógł coś zacząć.

- Proszę się zwrócić do hrabiego von Brackwede.

Dopiero w tym momencie Maier zorientował się, jak niebezpieczną była gra, którą prowadził. Leber wiedział, że jeśli wszystko poszło dobrze, będzie wolny, w przeciwnym razie i tak był ostatecznie zgubiony. Całkowicie zbyteczne było więc jakiegokolwiek, choćby, najmniejsze, napomknięcie.

Twarz sturmbannführera pokryła się potem.

Około godziny 16.40 leutnant doktor Hans Hagen poprosił komendanta batalionu wartowniczego, ó rozmowę. - W cztery oczy, bardzo proszę. - Chętnie się na nią zgodzono.

Wydawanie rozkazów było zakończone, oficerowie spieszyli się do swoich żołnierzy. Rozbrzmiewały pierwsze alarmujące gwizdki. Major Remer stał gotów do akcji.

- Pan dźwiga wielką odpowiedzialność - zaczął leutnant Hagen, badając grunt.

- Wiem o tym - odpowiedział dowódca skromnie.

- Odczuwam przy tych akcjach pewien niesmak - wyznał teraz leutnant.

- Ja też to odczuwam.

Tak więc obaj byli co do tego zgodni.

- Panie majorze - rzekł dr Hans Hagen - a jeśli się okaże, że padliśmy ofiarą pomyłki?

- To byłoby źle. Ale rozkaz to rozkaz, a ja jestem żołnierzem.

- Ale czy nie także narodowym socjalistą?

- Narodowosocjalistycznym żołnierzem, oficerem führera. - Tu jednak major się zmieszał; i sam zdawał się być tym zdumiony. - Ale skoro Hitler już nie...

Najwyraźniej nie wiedział, co dalej. Przez jego poczciwą twarz przepływały fale bezradności. Chciał być dzielny, posłuszny rozkazom, a jednocześnie odważny. Jak to osiągnąć - nie wiedział.

- Zgodnie z planem „Walkiria” mam rozkaz zabezpieczyć ministra oświecenia i propagandy, co w praktyce oznacza, że powinienem go aresztować.

- Czy to się daje pogodzić z pańskim sumieniem, z pańskimi przekonaniami? - zapytał leutnant Hageh. Miał przed sobą człowieka, który kołysał się jak trzcina na wietrze. - Niech mi pan .da do dyspozycji motocykl! Niech mi pan pozwoli, w pana własnym interesie wyjaśnić sytuację. Najpóźniej ,za godzinę będzie pan wiedział więcej, panie majorze.

- Zaszkodzić to chyba nie powinno - Dowiedział w końcu Remer.

- Niech więc pan jedzie!

- Za pozwoleniem! - zawołał Josef Jodler zdumiony i zmierzyl wzrokiem leutnanta, na którego wpadł. - Chyba nie chce mi pan przeszkodzić wejść do tego mieszkania?

- Owszem, chcę - oświadczył Konstancin zdecydowanie.

Jodlera oślepił nieco Krzyż Rycerski oficera. To było nie do przeoczenia: ostrożność wskazana. Ale Josef Jodler nie mięknie z takiego powodu. Poza tym uważał, że ma rację. Istniała zresztą jeszcze dodatkowa konieczność. Bądź co bądź należał do tych ludzi, którzy decydowali, jakie metody mają w Niemczech panować.

- A więc, panie leutnancie - powiedział Jodler, siląc się na koleżeński ton. - Nie pytam, co pan tu robi, ma pan swoje powody i nie zazdroszczę panu. Ale muszę wejść Jo tego mieszkania, że tak powiem, jako nowy administrator w miejsce mojego ojca, który niestety nie żyje.

- Mogę panu jedynie odpowiedzieć, że właścicielką mieszkania jest pani Wallner, a ona prosiła mnie, abym nikogo nie wpuszczał -oświadczył leutnant.

- Chciałbym się tylko trochę rozejrzeć, a potem zamienić kilka,

słów z Wallnerową.

- Nie! - zawołała roztrzęsiona kobieta z głębi mieszkania. - Ten człowiek nie może przekroczyć progu mojego domu!

Ale Elisabeth powiedziała łagodząco:

- Dlaczego nie możemy wpuścić pana Jodlera? Niech się rozejrzy, a jeśli chce, może też z nami porozmawiać.

- Nie! - krzyknęła Wallnerową przeraźliwie.

- Nie chce pani? - zapytał Jodler.

- Nie. - Kobieta w czerni i z lśniącą białą grzywką zatrzasnęła za sobą drzwi do kuchni.

- Ona nie chce. Przykro mi - powiedział leutnant uprzejmie i zarazem odmownie. - Słyszał pan i nie pozostaje panu nic innego, jak się do tego dostosować.

Stali teraz sami naprzeciwko siebie; hrabina również się oddaliła. Konstantin z podniesioną głową spoglądał opanowany; w tym momencie w zdumiewający sposób przypominał brata nawet nie mając o tym pojęcia.

Jodier, zmuszony do tego, uderzył w bardziej sentymentalny ton, po którym obiecywał sobie, że zrobi wrażenie.

- Działam tu w interesie ruchu, partu, państwa. Czyżby pan miał coś przeciwko temu? .

- Ani trochę - powiedział leutnant. - Ale właśnie dlatego wołałbym nie być świadkiem jakiegokolwiek nadużywania władzy. W końcu żyjemy w Niemczech.

- I właśnie to próbuję panu uświadomić, panie leutnancie. Czy pan tego nie rozumie?

Elisabeth pospieszyła do swego pokoju. Tu rozejrzała się badawczo dokoła. Potem szybkim ruchem rzuciła koc na rozgrzebane łóżko. Następnie chwyciła teczkę, która stała w kącie przy oknie. Schowała ją pospiesznie w dolnej szufladzie komody.

- Mój Boże - szepnęła przy tym ledwie dosłyszalnie, zdenerwowana, z trudem chwytając oddech. - Ten świat wywraca się całkiem do góry nogami. Jak sobie z tym wszystkim poradzić?

- Obawiam się - powiedział generał Olbricht z naciskiem - że powoli nadchodzi czas, aby generałowi Frommowi powiedzieć szczerą prawdę.

- Dopóki nie widzi, co się tu dzieje - rzekł Hoepner - nie! powinniśmy go bez potrzeby obciążać.

, -Myślę, że nie należy nie doceniać Fromma. On wie dość dokładnie, co się tu dzieje, choć nie chce wiedzieć.

- To może nam wyjść tylko na dobre - stwierdził generał Hoepner obojętnym głosem.

• - Fromm w żadnym razie nie jest naiwny - odezwał się Beck; - Nie chciałbym go mieć za przeciwnika. Potrafi być bezwzględny jak Hammerstein-Equord, nie posiadając jego czystego jak kryształ sumienia. Nie czuję się zbyt dobrze ze świadomością, że mam za plecami Fromma chwilowo pozornie obojętnego.

- Powinno mu się przystawić pistolet do piersi - wybuchnął kapitan von Brackwede, gotów do strzału. - I to nie tylko symbolicznie. Albo będzie współdziałał, albo pistolet wystrzeli!

Generał Beck spojrział na kapitana z naganą.

- Odrzucam tego rodzaju metody..

- To panu przynosi zaszczyt - oświadczył kapitan spokojniej - ale to może być decydujący błąd. Nie mamy do czynienia z pocziwymi przywódcami narodu, którzy błędzą, tylko z politycznymi maszynami zagłady, działającymi na wysokich obrotach, a te dadzą się unieruchomić tylko przemocą.

Beck potrząsnął głową z naganą. Hoepner patrzył wzrokiem wyrażającym odmowę.

- Jednakże sprawa Fromma musi być szybko i konsekwentnie załatwiona - orzekł generał Olbricht twardo.

- Zgoda, wobec tego niech pan to załatwi - westchnął Hoepner.

- Jestem gotów - podsumował Olbricht. Następnie zwrócił się do -Becka: - Czy zechce mi pan towarzyszyć, panie generale?

Beck zawahał się przez moment. Potem powiedział:

- Miałem zamiar interweniować dopiero później. Przede wszystkim musimy za wszelką cenę uniknąć wrażenia zaskoczenia. Fromm musi mieć możliwość dobrowolnej decyzji.

- Ach tak! - zawołał von Brackwede. - To jest po prostu marnowanie czasu, zobaczy pan!

- Być może ma pan rację, kapitanie - przyznał generał Olbricht.

- Możliwe także, że Fromm zareaguje zupełnie; inaczej. Właśnie dlatego, że jest on nieprzenikniony, musimy być przygotowani. na wszystko.

- Niech pan w każdym razie: się nie spodziewa, że rzuci się panu w ramiona! - mówił von Brackwede. - Niech pan przygotuje butelkę

najlepszego czerwonego wina, ale także dwóch, trzech zdecydowanych oficerów, których nic, nawet Fromm, nie, odstraszy.

- Akceptuję tę inicjatywę - zgodził się Olbricht. Rozejrzał się badawczo dokoła. - Uważam też za wskazane stanąć przed Frommem nie w pojedynkę - być może będę potrzebował świadka, może też kogoś, kto poprze moje żądanie, pomoże umocnić moją pozycję. Który z panów zechce mi towarzyszyć?

- Ja z przyjemnością! - zawołał von Brąckwede,

Ale zanim jeszcze ktokolwiek zdołał zaprotestować przeciw tej ofercie, zgłosił się pułkownik Stauffenberg i oświadczył:

- Ja to uczynię. Uważam to za rzecz oczywistą.

Doktor Eugen G. zmierzał pospiesznie ku wejściu do gmachu na Bendlerstrasse. Miał na sobie letni sportowy garnitur. Jego czujne oczy spoglądały badawczo.

Ale nie dostrzegł nic z tego; czego oczekiwał: ani tłumu ludzi, ani ścisłu pojazdów, ani nagromadzenia broni. Obojętność zdawała się ziać z murów z piaskowca.

Pojawił się oficer, kapitan wojsk lądowych: układny, spokojny, uprzedzająco grzeczny. Wyszedł z lewych drzwi, zbliżył się do doktora i zapytał: - Czego pan sobie życzy?

Eugen G., krępy, ale ruchliwy, spojrzał w górę na oficera. Stłumionym głosem powiedział:

- Hasło „Ojczyzna”

Kapitan pozostał niezmienny, uprzejmy, a zarazem na dystans. Tylko teraz zasalutował:

- Witamy! - powiedział krótko. Następnie do wartownika: - Ten pan może wejść.

To zajście mogło obudzić w doktorze pełną nadzieję; mimo pozornego popołudniowego zmęczenia wyglądało na to, że tu się nie śpisz

Wrażenie to jeszcze się umocniło, kiedy Eugen G., spiesząc na górę po marmurowych schodach, wszedł na korytarz drugiego piętra: drzwi były pootwierane szeroko, dochodziły zza nich ożywione głosy; kilku oficerów stało w niewielkich grupach blisko siebie, zdawało się, że prowadzą intymne rozmowy.

- Fritze! - Wykrzyknął Eugen G. uszczęśliwiony, dostrzegł bowiem hrabiego von Brąckwede. Podszedł do niego. - Że też akurat ciebie tu spotykam...

- Skąd się tu wziąłeś? - zawołał kapitan.

- Jak tu wygląda? - Doktor potrząsnął serdecznie dłonią kapitana. - Jak daleko zaszliście? Wszystko w porządku?

Von Brackwede odciągnął przyjaciela na bok, do okna, przez które widać było pierwsze podwórko bloku na Bendlerstrasse: kamienne płyty, nieco pożółkła trawa, jakieś auto, dwaj ludzie stojący nieruchomo obok siebie. Ani śladu energicznych działań związanych z przewrotem.

- Czego ty tu szukasz, Eugen?

Doktor uznał to pytanie za całkowicie zbędne. Ze wzrastającą troską obserwował napiętą twarz przyjaciela.

- Wygląda na to, że nie jesteś zbyt zadowolony?

- Jestem nawet do głębi zaniepokojony, widząc cię tutaj! - Czy otrzymałeś rozkaz? Masz przekazać wiadomości? Czy przewidziano dla ciebie na dziś jakąś oficjalną czynność do wykonania? Nic z tych rzeczy! Ale jesteś tu?

- Proszę cię, Fritz, a gdzie bym mógł być w tej chwili?

Von Brackwede objął przyjaciela wzruszony, poklepał go po ramieniu. Potem jednak odsunął go od siebie i mówił niemal surowo;

- Jakiż z nas dziwny naród, Eugen! Jesteśmy poplecznikami szczurołapa i posłusznymi dziećmi Boga, zacierzewanymi obrońcami kraju i ludźmi pełnymi miłości ojczyzny! Człowiek taki jak ty mógłby się teraz za nas modlić. A on co robi? Chce być z nami! Ach, drogi przyjacielu, do czego to doprowadzi?

- Jest pan wreszcie! - Generał broni Fromm zasępił się na widok Stauffenberga. - Główna kwatera führera pytała już o pana. Nie wje pan może dłużej?

Generał Olbricht przezornie zostawił na posterunku w przedpokoju dwóch oficerów. Trzeci przygotowywał tymczasem rodzaj tymczasowej kwatery, pomieszczenia, które nadawałoby się dlaaresztanta. Do dowódcy zaś powiedział:

-! Chodzi o sprawę najwyższej wagi.

- To jest pański pogląd, panie generale. Ale to wcale nie musi być również mój, prawda? - Dowódca armii rezerwowej oparł się na swoim krześle przy biurku, - pełen oczekiwania. - Co pańskim zdaniem takiego szczególnego nastąpiło.

- Hitler nie żyje. Pułkownik Stauffenberg może tę śmierć potwierdzić.

Fromm uśmiechnął się pobłaźliwie. Starł się zademonstrować swoje zakłopotanie. I oświadczył przeciągle:

- To się nie zgadza. Jak pan wie, rozmawiałem niedawno przez telefon z feldmarszałkiem Keitlem. Zapewnił mnie o czymś wręcz odwrotnym.

- Keitel kłamie jak zwykle - rzekł Stauffenberg z naciskiem.

Generał opuścił wzrok i bawił się nożem do rozcinania listów. Jego ręce zdradzały z trudem opanowywany niepokój.

A potem, usłyszał jeszcze, jak generał Olbricht powiedział:

- Puściliśmy w ruch plan „Walkiria”. Wszystkie przewidziane decyzje przeciw niepokojom wewnętrznym zostały wprowadzone w życie.

Teraz Fromm pochylił się jak pod silnym podstępny cios. Potem zerwał się nagle. Krzesło stojące za nim przewróciło się na podłogę.

Wrzasnął wściekły;

- To czysta niesubordynacja! Kto się odważył wydać taki rozkaz?

Olbricht wziął na siebie całą odpowiedzialność. Stauffenberg uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Fromm jednak, nie zadzwolił się, tym „rycerskim rozwiązaniem”.

- Odpowiedzialność za to ponosi pułkownik Mertz von Quirnheim! - krzyknął dowódca. - Niech się u mnie natychmiast zamelduje!

Było to w tej. sytuacji, jak sądził Fromm, zręczne posunięcie szachowe. Albowiem ów pułkownik był człowiekiem zimnym i mądrym, rachmistrzem i realistą. Jakikolwiek spontaniczne głupstwa były u niego raczej niespotykane. Dowódcą niemal pełen nadziei spoglądał na drzwi.

Mertz von Quirnheim wszedł, po kilku minutach. Ze stoickim spokojem ostrym badawczym wzrokiem popatrzył na Fromma.

- Mertz - rzekł generał - nie mogę sobie wyobrazić, że pan się odważył wydawać rozkazy w jnoim imieniu, nie zapytawszy mnie uprzednio!

- Owszem, zrobiłem to - oświadczył pułkownik spokojnie.

- Nie wierzę. Nie mogę ,w to uwierzyć! Pan przecież nie jest głupcem!

- Kieruję się wyłącznie pewnymi faktami, panie generale. A ,dla mnie jest pewne: Hitler nie żyje!

- To szaleństwo! - krzyknął Fromm. - Ten typ... ten człowiek... chciałem powiedzieć führer, żyje! Jestem tego pewien! A jeśli ktoś nie chce przyjąć tego faktu do wiadomości, jeśli nie jest gotów się z nim liczyć, każę go aresztować. Bezwzględnie! Was wszystkich, tak jak tu stoicie, jeśli będzie trzeba!



Pułkownik Mertz von Quirnheim pozostał nie poruszony. Cofnął się tylko o krok, stał teraz pomiędzy Stauffenbergiem i Olbrichtem. Fromm zdawał się widzieć przed sobą ścianę.

A pułkownik Stauffenberg oświadczył:

- Ja sam podłożyłem bombę.

Fromm zachwiał się lekko, ale nadal trzymał się prosto. I tonem ostrym jak nóż rzekł po chwili:

- Jeśli to prawda, Stauffenberg, pozostaje panu tylko strzelić 'sobie w łeb. Nie ma dla pana innego wyjścia. Albowiem zamach się nie udał. '

Pułkownik niemal ironicznie wykonał pożegnalny ukłon. Ciężkie, ciemne kosmyki włosów opadły mu przy tym na wysokie, spocone czoło; otarł je niedbale ręką.

Fromm powiedział ochryplym głosem:

- Niniejszym uznaję was trzech za aresztowanych.

- Jest pan w błędzie, jeśli idzie o ocenę rzeczywistych sił - odparł Olbricht. - To my pana aresztujemy.

- Nie odważycie się - wyrzekł Fromm bezdźwięcznie.

Poruszał się, jakby był popychany, do przodu. Wyglądało na to, że gotów jest rzucić się na Olbrichta. Wpadł przy tym na stojącego na drodze Stauffenberga. Ręce generała wczepiły się w mundur szefa sztabu, zostały jednak, energicznie odepchnięte. Fromm zatoczył się i stanął bezradnie.

Słabym głosem bąknął:

- To niesłychane!

- Pan nas do tego zmusza, panie generale - powiedział Olbricht.

- Proszę, niech pan traktuje to,, co jest nieuniknione, jako decyzję zapobiegawczą. Gdyby pańskie stanowisko wobec tych zdarzeń uległo zmianie, wystarczy, aby pan nas o tym poinformował.

- Jeszcze pan tego pożałuje! - parsknął Fromm. Stauffenberg otworzył drzwi. Ukazali się dwaj oficerowie. Poprosili dowódcę,, aby z nimi poszedł. Stało się to niemal mechanicznie.

Fromm został zamknięty w sąsiednim pokoju.

Była godzina 17.15.

Na trzecim piętrze domu na Schifferd mm 13 leutnant hrabia von Brackwede przeżywał niespokojne denerwujące chwile. Był przekonany, że działa całkowicie słusznie. Ale nie znajdował spodziewanej aprobaty.

- Nie rozumiem cię - powiedział zdziwiony do Elisabeth. - Uczy-

niem tylko to, co było oczywiste. W końcu nie możemy się dać tak napastować komukolwiek.

- Wciągnęłaś nas w niebezpieczną sytuację - mówiła Elisabeth gorzko. Spoglądała przy tym przez otwarte okno. Niebo nad Berlinem pokryło się ołowianymi chmurami, które zgasiły słońce. Upał jednak nadal prażył. Nie można było swobodnie oddychać.

- Wiele rzeczy nie rozumiem - powiedział Konstantin. - Ale tyle chyba tymczasem pojąłem: nie wolno niczego uogólniać! Wszędzie bywają zjawiska wyjątkowe.

Elisabeth zdawała się go omijać. Poruszała się niespokojnie wokół wąskiego stołu, z dala od niego. Potem zapytała, oparta o ścianę:

-- Chcesz nas wydać?

Konstantin zarejestrował jedynie fakt, że ona go unika. A pragnął znów widzieć Elisabeth uśmiechniętą.

- Niepokoisz się, że jestem u ciebie?

- Nie, Konstantin, to nie to..- Spojrzała na komodę, w której schowana była teczka. - Ale nie wolno nam dopuścić, aby w tym mieszkaniu doszło do rewizji. A może się to bardzo łatwo przydarzyć, mamy w końcu do czynienia z gestapo. Czy ty rzeczywiście nie przeczuwasz, co to oznacza.

Konstantin starał się uśmiechać.

- Ci ludzie chodzą wszak po waszym biurze. Sturmbannführera Maiera znam osobiście, a prefekt policji jest zaprzyjaźniony z moim bratem. Z tymi ludźmi da się przecież pogadać.

- Więc uczynić to! - zawołała Elisabeth z naciskiem. - Pogadaj z nimi. Natychmiast. Póki jeszcze nie jest za późno.

- W strefie ochronnej A wszystko wróciło do normy - zameldował gorliwie SS-führer Rattenhuber swemu führerowi. - Zabici i ranni uprzątnięci albo się kurują'. Miejsce zamachu jest strzeżone przez dwóch moich ludzi najbardziej godnych zaufania do czasu przybycia z Berlina specjalnej komisji? która jest spodziewana lada moment.

- No już dobrze - rzekł Bormann przytłumionym głosem i machnął ręką. Nie należało przeszkadzać führerowi: właśnie rozmyślał. Rattenhuber oddalił się lekko urażony.

- Ten powinien być także przesłuchany - zauważył Bormann, notując sobie kilka słów. - Czy przypadkiem nie zawiodły służby nadzoru? Rattenhuber jest podejrzenie usłużny.

Bormann zwykł był nie pomijać żadnej okazji, aby umocnić swoją pozycję. Najskuteczniej udawało mu się to wówczas, kiedy obniżał

czyjąś wartość; powątpiewał albo wręcz podsuwał podejrzenia. Hitler najczęściej reagował, jeśli nawet nie w tym konkretnym momencie.

Hitler tkwił w swoim bunkrze mieszkalnym, przygnieciony ciężarem chwili. Orientalne dywany, adamaszkowe zasłony, płótna holenderskich mistrzów w ciemnych barwach, w szerokich złożonych ramach wisiały na ścianach. Zjawili się również wypróbowani dostojnicy.

Wśród nich chudy i wysoki, oszczędny w słowach i po żołniersku poprawny wielki admirał Dönitz, Przyleciał niezwłocznie na niepewną wiadomość o zamachu. Na widok lekko tylko rannego Hitlera wzruszony mówił o Bogu i Rzeszy i przysięgał niezachwianą wierność. Siedział teraz, wyróżniony, po prawej ręce führera, milcząc tak samo znacząco jak jego naczelny wódz.

Marszałek Rzeszy Göring wzmocniał się tymczasem alkoholem. Teraz zaczął przeklinać armię, okazja do tego była jak najbardziej dogodna.

- W tej brudnej sprawie z pewnością maczali swoje rzekomo czyste ręce generałowie wojsk lądowych!

Keitel, sam generał wojsk lądowych, początkowo milczał wyczekująco. Patrzył na führera; ten zdawał się niknąć w fotelu. Tylko Dönitz nagle jakby się ożywił.

- W tym względzie podzielam poglądy pana marszałka - rzekł.

- W istocie wojska lądowe nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Ale również Luftwaffe zawiodła, i to w żaloszny sposób.

-To jest pospolita plotka, którą muszę odrzucić - rozłościł się Göring.

- Ja jednak podtrzymuję mój pogląd - powiedział Dönitz z rezerwą. Przez co wielki admirał dał wyraźnie do zrozumienia; tylko marynarka... Pełen nadziei spojrział na Hitlera.

Führer jednakże milczał tak jak przedtem. Przy stole naprzeciw niego siedział Benito Mussolini, teraz zaledwie jakby „gauleiter Lombardii”. Był jak własny, zwietrzały już posąg. Unikał zabierania głosu w tej gorączkowej rozmowie. Ale też nikt nie zwracał na niego uwagi.

Keitel patrzył gotów do mediacji. Bormann i Himmler szeptali coś z tyłu. Göring opróżnił swój kieliszek: znów kazał go napełnić. Minister spraw zagranicznych Ribbentrop pochylił się do przodu.

- Poglądy pana admirała zdają się być nie pozbawione słuszności - oświadczył z nieoczekiwaną u niego odwagą.

Ale Göring zagrział:

- Niech pan zamknie swój cholerny pysk, nędzny handlarzu szampanem!

Ribbentrop zamilkł obrażony. Duce zdawał się liczyć kwiaty na

dywanie. Słuch führera wyraźnie ucierpiał, jego uporczywe milczenie było przerażające.

Ale teraz włączył się Martin Bormann. Wiedział, w jaki sposób można wyrwać wodza z głębokiego zamyślenia, obezwładniającego letargu, który, być może, wziął się między innymi ze straconej popołudniowej drzemki. Pochylił do przodu twarz bez wyrazu i powiedział z rozważą:

- Ta rewolta, jeśli to w ogóle była rewolta, przypomina mi, naszą sytuację w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym.

Wtedy to Ernst Rohm, szef SA, podjął próbę zorganizowania puczu przeciwko Hitlerowi. On i jego poplecznicy zostali zlikwidowani, a przy okazji kilka innych niewygodnych osób Führer włączył się osobiście; Göring i Himmler załatwili resztę roboty. A była to dobra robota.

- Wytępię ich razem z ich pomiotem! - zagrział Hitler, Jego nienawiść trysnęła w górę jak fontanna. - Niech zdechną wszyscy jak szczury!

A potem führer napadł na Himmlera i krzyknął:

- Rozstrzelać! Każdego, kto choćby w najmniejszym stopniu jest podejrzany.

- No, jak tam pościg?. - zapytał gestapowiec Maier z poufną serdecznością. - Jak pan sądzi, mój drogi, pańscy ludzie dadzą radę?

- Początki są ze wszech miar obiecujące -zapewniał kapitan von Brackwede; wyglądał tak jakby był w świetnym nastroju. - I oczywiście wszelka energiczna pomoc jest przez nas mile widziana.

Spotkali się w Cafe Röhr, między ZOO a Sprewą, dziesięć minut drogi od Bendlerstrasse. Siedzieli w rogu sali. Nikt zdawał się nie zwracać na nich uwagi.

- Czy nie odnosi pan wrażenia, że cała ta sprawa to niewypał?  
- Sturmbannführer. za wahał się przez chwilę, a potem powiedział:  
- W każdym razie nie mogę sobie wyobrazić, że bierze pan udział w jakimś przedsięwzięciu skazanym na plajtę.

Dla Maiera najważniejsze było to, że chcieli ubić interes. I działali w pewnym sensie na neutralnym gruncie. W przypadku, gdyby coś się nie udało, nikt nie mógłby sturmbannführerowi udowodnić, że w podejrzany czasie przebywał na Bendlerstrasse.

- A więc przejdźmy do rzeczy - powiedział von Brackwede. - Pan chce się zabezpieczyć, a ja zamierzam ten pomyślny fakt wykorzystać. Coś za coś! Najpierw potrzebne mi są różne informacje dotyczące planowanych działań odwetowych.

- Zgoda - rzekł Maier. - I tu od razu informacja numer jeden: w ciągu najbliższej półgodziny zjawi się na Bendlerstrasse standartenführer Piffnader, chwilowo bez wyraźnych rozkazów. Ma tylko wektnąć tam swój nos.

. - Świetnie - ucieszył się kapitan. - To całkiem niezły początek dla naszej transakcji. W następnej kolejności oczekuję od pana wydania pewnych osób, które, być może, okażą się nam niezbędne.

- Między innymi Juliusa Lebera, prawda?

Twarz kapitana rozpromieniła się zaskoczona, ten człowiek rozumiał swój interes. Powiedział szybko.

- Szczegóły potem! Na początek wystarczy mi, jeśli będę mógł liczyć na pańską gotowość.

- Może pan, do pewnego punktu.

- Wiem! Gdyby sprawa upadła, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ale pan wykorzysta wszystko, co pan wie, bez najmniejszego-wahania. No dobrze, zgadzam się. Ryzykuję więc głową, mówiąc pańskim fachowym językiem.

- Nie tylko - zapewnił Maier bez żenady. - W razie czego każę pana przepuścić przez maszynkę. Pana i całą waszą bandę.

Leutnant von Brackwede schodził w pełnym umundurowaniu po schodach domu na Schifferdamm 13. Zażądał rozmowy z „kierownikiem akcji” i został zaprowadzony do Voglbronnera.

- Chciałbym złożyć skargę. -. Leutnant Konstantin hrabia von Brackwede zaczął tę rozmowę rzeczowym tonem. - Zachowanie pana Jodlera, który się powołuje na wyższe instancje, a więc przypuszczalnie na pana, wydaje się w najwyższym stopniu budzić wątpliwości.

- Bardzo mi przykro - zapewnił Voglbronner. - Ale zastanówmy się, czy pańskie zdenerwowanie jest uzasadnione.

Urzędnik gestapo zaczął się teraz rozwodzić, posługując się ładnie brzmiącymi banalnymi zwrotami: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą; brak wzorowo wykształconych urzędników, przymusowe rozwiązania muszą być traktowane jako nieuniknione, wreszcie: oczekuje się daleko idącego zrozumienia, *vo* jest równoznaczne z niezachwianym zaufaniem” do dobrego niemieckiego myślenia. - A na to, panie leutnancie, mogę chyba u pana liczyć?

- Oczywiście - zapewnił Konstantin pospiesznie. - Ale właśnie dlatego jestem szczerze oburzony na tego rodzaju metody.

Voglbronner był pewien, że się nie myli: miał przed sobą czystej

wody idealistę. A z takimi trzeba obchodzić się jak z surowym jajkiem.

Ustępując, zapytał więc na początek: -Jak pan się nazywa?

- Proszę mi wybaczyć, zapomniałem się przedstawić. – Wymienił nazwisko i stopień służbowy.

- Braekwede? - Voglbronner był zaskoczony. - Znam kapitana, który się tak nazywa był kiedyś wiceprefektem policji Berlina.

- to mój brat - powiedział leutnant z dumą.

Voglbronner wstał, Obszedł stół, za którym się oszańcował wyciągnął rękę i rzekł:

- Trzeba było mi to od razu powiedzieć!

Ale ta scena życzliwego wyjścia naprzeciw została zatarta przez szybki, zbliżający się jak lawina huk. Dochodził z korytarza. Potem drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Jodler: czerwony i wyraźnie uszczęśliwiony. Oznajmi

- Złapałem go! Próbował się schować w szafie. Ale ja znam takie sztuczki! Mnie się na to nie nabierze!

- O czym pan mówi?-zapytał Voglbronner.

- O Żydzie! - zawołał Jodler, - Wallnerowa ukryła go w swoim mieszkaniu. Żydowska świnia. Teraz już wszystko jasne, dlaczego to ścierwo tak broniło dostępu do swojej budy, - Scharführer popatrzył wokół siebie, jakby właśnie zwycięsko zakończył bitwę. - To wszystko wyjaśnia.

- Oczywiście, wiele zmienia - oświadczył Voglbronher. - Ale jeszcze nie mogę przewidzieć wynikających z tego skutków. Wiem tylko tyle: mogą być dalekosiężne. . . .

Kiedy kapitan Brackwede wracał z Cafe Röhr na Bendlerstrasse, zastąpił mu drogę obetleutnant Herbert. Zdawał się czatować na niego. Miał uroczystą minę.

~ Panie kapitanie - powiedział z wahaniem - przeżywam konflikt sumienia.

- Naprawdę? - zdziwił się hrabia von Brackwede. Spieszyło mu się, chciał się Jak najszybciej spotkać ze Stauffenbergiem. Jednak zapytał: - A w czym to się przejawia?

- Jeśli ta wiadomość jest prawdziwa, że führer nie żyje...

- Przypuśćmy, że tak. Co wtedy?

-. Wtedy wyciągnę konieczne konsekwencje. - Herbert zdawał się wietrzyć rozstrzygnięcia na miarę historyczną; w każdym razie uważał je za niewykluczone. Rozejrzał się pospiesznie dokoła z miną spiskowca

Ale nie zauważył, aby ktokolwiek podsłuchiwał. Oświadczył więc:  
- Mogę zerwać orla z piersi. Inni koledzy również są gotowi to uczynić. Cóż zatem mamy robić?

- Czekać - powiedział von Brackwede.

- A co pan o tym sądzi? - napierał Herbert. - Czy ma pan wrażenie, że to się opłaca? Uważa pan, że pora już na rozstrzygnięcie? Mam do pana zaufanie.

- Nie zasłużyłem na to - zapewnił kapitan, siląc się na ironię.

- Jak powinniśmy postąpić, ja i moi koledzy? - Oficer łącznikowy oberleutnant Herbert patrzył na kapitana błagalnym wzrokiem. - Będziemy wdzięczni za każdą radę.

- Niech się pan trzyma poza zasięgiem ostrzału - powiedział von Brackwede, zanim ruszył dalej, do Stauffenberga. - Jest to najlepsza rada, jakiej mogę udzielić panu i panu podobnym. Jeśli führer istotnie nie żyje, może pan spokojnie zaufać Bogu. I silnym batalionom.

Kapitan odszedł pośpiesznie. Oberleutnant Herbert pobiegł kłusem do swoich kolegów, którzy czekali niespokojnie w jego gabinecie: Powiedział do nich:

- Sprawa jest otwarta. Słyszałem to od kapitana von Brackwede, a ten, jak wiadomo, orientuje się, co w trawie piszczy. Nie pozostaje nam więc nic innego jak czekać.

- Trzeba się zabezpieczyć - zaproponował major.

Ów major, nazwiskiem Heythe, zarządzał najważniejszymi, jak sądził, dokumentami. Uważał się za bardzo ważną osobę. Jednakże nie był wtajemniczony! I musiał to sobie tłumaczyć jako zdeklasowanie.

Prócz niego znajdowało się u Herberta jeszcze trzech mężczyzn, i to doprawdy nie tylko dlatego, że częstował ich wybornymi trunkami. Jednego przyznały tu przekonania, był lokalnym przywódcą hitlerjugend. Drugi, oberleutnant, pracował w biurze majora Heytha. Trzeci ciągle jeszcze należał do bliskich przyjaciół Molly Ziesemann: poza tym był członkiem partu.

- Ja oczywiście jestem również za tym, abyśmy się zabezpieczyli ~ przytaknął Herbert. - Ale jak to zrobić najlepiej?

- Musimy mieć broń - zaproponował major.

- Przeciw komu? - zapytał zmieszany oficer, który był również członkiem NSDAP.

- To chyba niewłaściwe sformułowanie pytania - poprawił uprzejmie major Heythe. - Można powiedzieć inaczej: potrzebujemy broni do określonego zadania. Na czym ono będzie polegać, jeszcze się okaże. Najważniejsze, żebyśmy w porę o wszystko zadbali.

- Bardzo słusznie! - zawołał przywódca hitlerjugend z aprobatą.  
-. Jeśli już do tego dojdzie, niewiele zdziałamy naszymi pistoletami.  
Potrzebny nam większy kaliber.

- Ale ten znajduje się w magazynach arsenału Berlina - stwierdził major ze znajomością rzeczy. - Zgromadzono tam tego całe stopy, trzeba tylko żądać. I powinniśmy to uczynić,

- I tak też uczynimy! - wykrzyknął Herbert. — Nie mamy zamiaru siedzieć tu bezczynnie. Na nas można polegać pod każdym względem!

Major Heythe skinął głową z aprobatą. Spojrzał na zegarek, zanim podniósł słuchawkę telefonu. Oberleutnant Herbert patrzył z za jego farnienia. Była godzina 17.15.

- Zbliży się niejaki Piffnader! - zatelefonował z wartowni donosi-  
ciel z kliki kaprała.

- Bonza SS. Jak zapisano w książce, w pełnym umundurowaniu.  
Lehmann przekazał tę wiadomość swojemu kapitanowi. Ten ski-  
nął głową, wstał i powiedział

, - Niech pan skieruje tego człowieka do przedpokoju pułkownika  
Stauffenberga.

Von Brackwede schodził w dół po schodach, udał się na pierwsze  
piętro, przeszedł przez gabinet Olbrichta i Meftza: znajdowało się tam  
wielu przyjaciół gotowych do działania. Siedzieli teraz wszyscy obok  
siebie i przeważnie milczeli. Doktor Eugen G. siedział przy biurku na  
krześle generała.

- Ciągłe jeszcze na posterunku?

, - Czekam - mruknął doktor.

Leżała przed nim gazeta. Była lekko wybrzuszona. Von Brack-  
wede podniósł papier w górę z zaciekawieniem. Pod spodem leżał  
pistolet, naładowany i zabezpieczony.

- Czy ten przyrząd należy do ciebie, Eugen?

- A do kogóż by, -Fritz? .

- Moje uznanie - pochwalił von Brackwede. - Niedoszły pastor  
z automatycznym pistoletem, co za widok!

- A co, Fritze, może być bardziej na czasie?

Von Brackwede poklepał przyjaciela po plecach i udał się do  
pułkownika Stauffenberga. Ten jak zwykle telefonował.

- Masz gościa, Claus, zaraz się tu zjawi standartenführer Piffader..

- Kto to jest i czego chce?

Piffnader należy do najbogatszych w sukcesy ludzi w swojej



branży. Na samych Bałkanach załatwił, z grubsza biorąc, dwieście tysięcy Żydów. Ale w tej chwili nie ma żadnego konkretnego zadania, chyba tylko próbuje zapuścić sondę,

- Co mam począć z tym osobnikiem? - zapytał Stauffenberg z niechęcią.

- Położyć trupem - polecił von Brackwede.

Pułkownik powiedział cicho:

- Rozumiem cię, Fritz. Zdecydowaliśmy się na radykalne rozwiązanie i wiem, że każdy półśrodek jest zły. Nie mogę jednak postąpić zgodnie z twoimi radami, choćby ze względu na generała Becka.

- Wobec tego mogę ci tylko poradzić: nie kłopotuj się "tym". Pozostaw takie sprawy mnie; ktoś musi mieć odwagę. To nie jest spór między dwoma dżentelmenami, Claus, tu chodzi o śmierć albo życie. I to nie tylko nasze.

- Nie - powiedział Stauffenberg spokojnie. - Za bardzo cię lubię i cenię, aby jeszcze i tego od ciebie wymagać. Musi wystarczyć, że moje ręce są splamione krwią.

Tymczasem standartenführer SS Piffraeder, <sup>x</sup> z polecenia reichsführera, jak podkreślił, dotarł do przedpokoju dowódcy armii rezerwowej, Poraszał się leniwie i rozważnie. Trzej młodzi oficerowie otoczyli go z uprzejmym zainteresowaniem: von Kleist, Fritsche i von Hammerstein. Powierzono im specjalne aresztowania, o czym gość nie mógł wiedzieć.

- Czy ma pan jakieś szczególne życzenie? - zapytał jeden z oficerów lekko ironicznym tonem.

- Nię mam zbyt wiele czasu - zauważył Piffraeder niecierpliwie. Poczekał chwilę, potem ukazał się pułkownik Claus von Stauffenberg. Zatrzymał się w drzwiach i zapytał:

- Z czym pan przychodzi?

Mam zamiar zadać panu tylko kilka pytań, panie pułkowniku.

-Odmawiam.

- Ta odmowa może mieć nieprzewidziane następstwa, panie pułkowniku.

- Nie dla mnie, panie Piffraeder.

- Ja jednak obstaję przy tym, aby pan udzielił mi pewnych odpowiedzi - oświadczył oficer SS.

Piffraeder, germański typ; niebieskooki blondyn, był opanowany, pewny siebie i po męsku twardy. Dokładnie taki, jak mały Jaś wyobrażał sobie potężnego gestapowca wysokiej rangi.

- Jest pan aresztowany - oznajmił pułkownik.

- To był drugi numer po Frommie - powiedział leutnant von Hammerstein do swoich kolegów, - A numer trzeci chyba jest już w drodze.

Chodziło o generała von Kortzfleischa, komendanta Wehrmachtu w Berlinie. On również należał do tych, którymi się zdawało, że wiedzą, jakie naprawdę są Niemcy: narodowosocjalistyczne i wierne führerowi. Z głęboką nieufnością zjawiał się na Bendlerstrasse.

Zażądał rozmowy z Frommem, został jednak skierowany do Olbrichta. W jego gabinecie spotkał generała Becka. Kortzfleisch stanął na szeroko rozstawionych nogach i rozkazał: - Proszę mi wyjaśnić, co się tu dzieje.

- Chodzi o totalną zmianę - wyjaśnił Beck. I koleżeńskim tonem dodał: - Pan jest znany jako wzorowy, godny zaufania żołnierz, powinien -więc pan być gotów stosownie do tego działać.

- Składałem przysięgę - powiedział generał. - I nie mam zamiaru jej złamać.

- Przysięga złożona komuś, kto sam złamał przysięgę, nie może być ważna!

- Nie jest mi wiadome nic, co by uzasadniało tego rodzaju przypuszczenia - stwierdził Kortzfleisch i zaczął się Wycofywać. - Poza tym jestem przekonany, że nastąpiła tu fatalna, jeśli nie kryminalna pomyłka. Moim bezpośrednim przełożonym jest wciąż jeszcze generał Fromm, tylko od niego przyjmuję rozkazy.

- Apeluję do pańskiego sumienia, panie generale.

Kortzfleisch zdawał się wahać. Przez kilka chwil patrzył niezdeterminowany. Mimo najszczerzych chęci nie wiedział, jak powinien się zachować. Nigdy nie służył bezpośrednio pod Beckiem, wiedział tylko o legendarnej niemal sławie, jaka otaczała tego generała: mówiono o nim, że to Moltke i Schlieffen w jednej osobie. Jednakże był też Hitler, który już niejednokrotnie okazał Kortzfleischowi przychyłność.

- Nie - oświadczył w końcu generał.

Beck odwrócił się zmartwiony. Poprosił Stauffenherga o decyzję. I pułkownik zdecydował: - Aresztować!

- Tym sposobem mielibyśmy numer trzeci - stwierdził leutnant von Hammerstein.

- To jest w każdym razie początek - zawyrokował hrabia von Brackwede, który został o tym szybko, poinformowany. - Ale nic więcej.

Voglbronner doszedł do punktu, w którym mógł już zrobić tylko jedno: pozostawić wszystko w zawieszeniu, nie podejmować decyzji, stosować w miarę możliwości manewry opóźniające. Zachowywał się tak, jakby intensywnie myślał, w rzeczywistości pragnął tylko zyskać na czasie.

- Zamknąłem tymczasem tego Żyda w piwnicy - poinformował Jodler junior wielce zadowolony z siebie i pewny uznania.

Był to fakt, który trzeba było przyjąć do wiadomości. Voglbronner bez trudu to zrozumiał. W sprawie Żyda nie odważył się nic zrobić, ten już był zgubiony. Ale jakie skutki z tego wynikną?

- Ja w każdym razie nie mam z tym nic wspólnego - zapewnił leutnant twardo.

To stwierdzenie pochodziło od Konstantina von Brackwede. Należało to wziąć pod uwagę. Voglbronner żonglował już co najmniej dwiema piłeczkami, ale dla niego to zaledwie dziecięca zabawa; mógłby pokazać jeszcze całkiem inne sztuczki, jeśli okazałoby się to konieczne.

- Ta kobieta, która ukrywała Żyda, jest tymczasem, pod strażą - oznajmił Josef, Jodler. - Członek partu Scheumer, nauczyciel gimnazjalny, otrzymał ode mnie rozkaz, aby tego ścierwa nie spuszczał z oczu.

- Mogę mieć tylko nadzieję, że hrabina Oldenburg, moja narzeczona, pozostanie wolna od wszelkich podejrzeń - powiedział leutnant z hamowaną wściekłością.

— Patrzcie państwo! - zawołał Jodler szczerząc zęby. - Ta kobieta jest z panem zaręczona! A ja zawsze myślałem, że to pański brat się za nią ugania.

- - Wypraszam sobie tego rodzaju insynuacje! - zawołał Konstantin wściekły. Obrzucił Jodlera krótkim pogardliwym spojrzeniem. Następnie zwrócił się do Voglbronnera z żądaniem: - Mam nadzieję, że pan natychmiast przyhamuje tego rodzaju wypowiedzi.

Voglbronner zajmował się przez dłuższy czas swoimi notatkami. Potem poprosił leutnanta, tak samo jak scharführera, aby sobie nie przeszkadzali.

- Niech panowie udadzą się spokojnie do swoich zajęć, ja tymczasem będę prowadził dochodzenie.

Kiedy mężczyźni odeszli, Voglbronner chwycił za telefon. Zadzwoił na Prinz-Albrecht-Strasse i poprosił sturmbannführera Maiera, a ten, zdawał się nic innego nie robić, tylko czekać na telefony.

Voglbronner oznajmił, że został wezwany rutynowo do domu na Schifferdamm 13. Chodzi tu przypuszczalnie o zabójstwo. Funkcjonariusz partyjny, zasłużony podoficer SS oraz oficer Wehrmachtu należą do osób, które bezpośrednio lub też pośrednio mogą mieć z tym coś wspólnego. Dlatego też zawiadomiono ich miejsca pracy. To byłoby w porządku.

- Ale przy tym natknąłem się na Konstantina von Brackwede, brata kapitana. Co mam z nim zrobić?

-A co miałby mu pan ewentualnie do zarzucenia? - zapytał Maier.

- Coś się znajdzie, jeśli okaże się to celowe. - Voglbronner informował dalej: nie można wykluczyć podejrzenia sprzyjania, albowiem leutnant von Brackwede spędził noc u swej rzekomej narzeczonej, hrabiny Oldenburg. - I to, że tak powiem, pod jednym dachem z ukrywanym Żydem. Z tego da się coś zrobić, jeśli będzie potrzeba.

- Niech pan trzyma rękę na pulsie - zdecydował Maier po krótkiej przerwie. - Tylko bez komplikacji. Po prostu: niech się smaży, i pilnować, aby się nie przypaliło. Jasne?

- Tak jest - powiedział Voglbronner.

Przy tym nic dla niego nie było jasne. Najwyżej to, że znów po raz któryś z rzędu nałożono na niego odpowiedzialność. Ale za co właściwie był odpowiedzialny, tego nie wiedział.

Była godzina 17.25.

Leutnant dr Hans Hagen przybył do Ministerstwa Propagandy. Udało mu się przedrzeć aż do przedpokoju Goebbelsa. Wziął tę przeszkodę ze słowami:

- Chodzi o sprawę najwyższej wagi.

Neumann, sekretarz stanu, znał Hagen, zawsze okazywał się on godny zaufania. I znał również swojego ministra, miał wyraźny zmysł dla kontaktów o niebagatelnym znaczeniu. Minął zaledwie kwadrans i leutnant stał przed Goebbelsem..

- No, drogi doktorze, z czym pan do-mnie przychodzi? - zapytał minister propagandy z pogodnym uśmiechem.. Był w lekkim spacerowym ubraniu z najlepszego angielskiego materiału, perłowa szarość z ledwie widocznymi niebieskimi kropkami. - Niech pan mówi! .

- Prowadziłem wykład w berlińskim batalionie wartowniczym - zaczął leutnant swoje sprawozdanie szybko, ale szczegółowo. - Prawie bezpośrednio po tym ogłoszono alarm „Walkiria”.

Minister wyglądał jak karzeł, ale siedział jak na tronie za swoim biurkiem. Dawał do zrozumienia, że dla wypróbowanych sojuszników ma zawsze czas. Jednocześnie przysunął bliżej siebie notatnik i jak zwykle coś w nim zapisywał.

- Dzielnica rządowa właśnie jest otaczana przez batalion wartowniczy - raportował Hagen.

W tym momencie Goebbels na moment zeszytniał. Następnie powiedział:

- Przecież to niemożliwe!

Leutnant Hagen patrzył z oddaniem na swojego ministra. To wielka chwila móc widzieć, że zrobiło się na nim wrażenie. Ale lekkomyślnością byłoby to wykorzystywać. Pospiesznie tłumaczył:

- Oddziały otrzymały rozkazy i należy sądzić, że będą zgodnie z nimi działać, jeśli w ostatniej chwili nie nastąpi ich odwołanie.

Jak się wydawało, informacja ta zadała Goebbelsowi silny cios.

Odrzucił na bok notes i ołówek. Podniósł się zdecydowanym ruchem. Jak automat podszedł do okna.

Zobaczył przez nie ciężarówkę, a na nich uzbrojonych żołnierzy. Czołg rozpoznawczy toczył się wolno naprzód, lufa działa obracała się groźnie. Tak jakby chciała pokazać Goebbelsowi, że wzięła go na cel. Minister odruchowo cofnął się o krok. Głuche dudnienie silników unosiło się z drżeniem ku szaremu niebu.

Działo się to przed domem nr 20 na Hermann-Gpring-Strasse. Fakt, że Goebbels akurat tu rezydował, na ulicy, która nosiła imię „gumowego lwa”, skłaniał go często do niejednej ironicznej uwagi. Ale teraz jego zawodowy uśmiech zgasł niczym latarnia. Przez kilkana sekund minister stał w milczeniu. Następnie zapytał:

- Co to za człowiek ten Remer?

- Uważam go za godnego zaufania - odpowiedział Hagen. I dodał: - Jestem przekonany, że major jest dobrym narodowym socjalistą.

- Wobec tego niech go pan przyprowadzi - zdecydował Goebbels. - Ma przyjść do mnie natychmiast. Chcę z nim porozmawiać.

- Niech pan spojrzy - powiedział leutnant Röhrig w centrali łączności na Bendlerstrasse. Podsunął sierżantowi plik dalekopisów.  
- Co pan o tym sądzi?

- Te rozkazy mają nadruk nadzwyczaj pilne.

- Niech sobie mają, jeśli o mnie chodzi. Pilne zdaje się być w tej chwili wszystko. - Leutnant wskazał palcem na parę miejsc w tekście: - Ale powoli zacznym się coraz bardziej zastanawiać nad tym, co my tu nadajemy.

- Ale przecież treść nie powinna nas obchodzić, prawda? - zauważył sierżant podejrzliwie.

- Zazwyczaj nie - przyznał leutnant. - Ale to nie jest zwyczajny przypadek. - Czy panu jest całkowicie obojętne, co tu napisane?

Feldfelbel czytał:

- Do korpusów I-XU, XVU, XVUI, XX, XXI, kom. Gen. Gub. Czechy-Morawy.

... natychmiast zdjąć ze stanowisk i odesłać do miejsc szczególnie dobrze strzeżonych: wszystkich gauleiterów, namiestników Rzeszy, ministrów, burmistrzów prefektów policji, wyższych przywódców SS i policji, szefów gestapo i biur SS, szefów urzędów propagandy i kreisleiterów.

- No tak - przyznał wreszcie sierżant - to mocna rzecz.

- Niech pan czyta dalej - polecił leutnant Röhrig.

... Jednostki Waffen-SS, których bezgraniczne posłuszeństwo budzi wątpliwości, należy niezwłocznie rozbroić. Konieczna jest przy tym energiczna interwencja z przeważającymi siłami, aby uniknąć większego rozlewu krwi.

- To rzeczywiście posuwa się dość daleko - wybuchnął zdenerwowany sierżant. - Kiedy o tym pomyślę, chciałbym się schować w myśią dziurę, Ale cóż można poradzić?

- Te dalekopisy są podpisane przez generała Fromma i hrabiego Stauffenbergą. Ale Fromm już niemal od godziny nie telefonuje, jest również nieosiągalny. Zamiast niego zgłasza się Stauffenberg.

Dalekopisy trzaskały w pomieszczeniach piwnicy. Dziewczęta przy centralkach były bez przerwy zajęte. Głosy miały zaspane, jakby je kto gonił. Głuche dźwięki dzwonek nie milkły.

- Może powinniśmy pilnować niektórych telefonów? - zastanawiał się sierżant.

- A których pańskim zdaniem?

- Od Stauffenbergą, Olbrichta i Mertza von Quirnheima. Tych przede wszystkim.

- Wspaniała propozycja - przytaknął leutnant z ulgą. Poczul, że feldfelbel go zrozumiał. - Proszę, aby pan to zarządził.

A co z tymi dalekopisami, które tu leżą?

- Te mają czas. Mimo. uwag, że są nadzwyczaj pilne. Muszę je najpierw dokładnie zbadać. A to zajmie przypuszczalnie trochę czasu. Może nawet parę godzin. Co pan o tym sądzi?

- Jestem całkowicie pańskiego zdania, panie leutnancie. Szkoda tylko, że nie ma tu nikogo do kogo moglibyśmy się zwrócić w tej sprawie z całym zaufaniem.

- Trochę cierpliwości - rzekł leutnant Röhrig z nadzieją w głosie.  
- Działamy absolutnie prawidłowo, sumiennie, nie spieszmy się zbytnio. I to jest na razie wszystko, co możemy zrobić.

Klika kaprała Lehmana przystępowała coraz energiczniej do działania. Korytarzowi donosiciele sygnalizowali nieśmiało zgromadzenia. Ordynans Fromma zameldował o aresztowaniu generała. Wartownik wytykał niedbałą kontrolę przy wejściu.

Karzel przekazywał wszystkie wiadomości kapitanowi von Brackwede.

- Ten interes nie jest dość sprężysto zorganizowany - stwierdził.

. - Błędy są nieuniknione, a niedociągnięcia uważam za oczywiste - bronił się hrabia.

- Horda Herberta łącznie z Heythem i partyjniakami dzwoni nieprzerwanie do arsenału. Żądają broni - uzupełnił Lehmann.

- Będziemy ją mogli ewentualnie należycie wykorzystać.

- Żądanie zostało tymczasem potwierdzone.

. - Jednak, jak uczy doświadczenie, może potrwać jeszcze parę godzin, zanim zamówiony materiał nadejdzie - zauważył von Brackwede. Nie mylił się, do tego czasu miały upłynąć jeszcze cztery godziny.

- Są nowe wieści o Frommie?

- Z pierwszej ręki! - Karzel uśmiechnął się. - Generał zgłosił, specjalne życzenie. Prosił, aby go zwolniono do domu, czyli do jego służbowego mieszkania w tym budynku.

. - W zasadzie to chyba wszystko jedno, gdzie się znajduje, zakładając, że jest unieszkodliwiony.

- Fromm dał nawet swoje słowo honoru i uroczyście zapewnił, że będzie się zachowywał spokojnie.

- - To jednak budzi wątpliwości. Z takim typem jak Fromm nie ma żartów. Jego rzekome słowo honoru może być kłamstwem z konieczności. Kiedy tylko popuści mu się cugli, będzie próbował nas załatwić. Muszę iść natychmiast do Stauffenberga.

,- Niech pan się zastanowi nad jednym - poradził Karzel. - Ten gmach ma pół tuzina wyjść zapasowych. I trzeba je znać: A Fromm je zna z pewnością jak nikt inny. Może z wyjątkiem leutnanta von Hammersteina. Rezydował tu kiedyś jego ojciec, generał. Leutnant był wówczas małym chłopcem, ale chłopcy lubią odważnie węszyć. To może mieć czasem nieocenioną wartość.

Dziękuję za tę wskazówkę. Coś jeszcze?

Niech pan każe wzmocnić strażę przy bramie. Jest tam tylko jeden, oficer. Reszta kima. Każdy tu może wejść i wyjść, jak mu się tylko zechce. Obecnie Bendlerstrasse jest jak hotel. A ja zawsze sobie wyobrażałem, że jeśli do tego dojdzie, to pudło zamieni się w twierdzą.

- Oczekuję szybkiego i bezwzględnego działania!

Hitler krzyknął to do Himmlera. Reichsführer pobudził Kaltenbrunnera. A ten z kolei uruchomił Müllera.

Heinrich Müller był obergruppenführerem SS i szefem gestapo. Przybył z policji kryminalnej z Monachium, był tam uznanym ekspertem od gwałtów. Teraz już od dziesięciu lat zajmował się chwytnością i łapaniem elementów antypaństwowych.

- Führer żąda, aby ci plugawcy zostali aresztowani! Niech, pan weźmie najlepszych ludzi! - Takie polecenie otrzymał Müller.

- Zrobione - odparł lakonicznie.

Opanował swoje rzemiosło do perfekcji. Określenie „Müller-Trupiarz”, pomyślane raczej jako zaszczytne, nie było przesadą. Uważany był za skrupulatnego buchaltera Śmierci. Kto go pierwszy raz zobaczył, myślał, że ma do czynienia ze skromnym, wzorowym urzędnikiem państwowym, który błyszczał zniekiedy dowcipem, właściwym komiwojażerom, ale nie mogło być nic bardziej mylącego. Niejeden już taką pomyłkę przypłacił życiem; wśród nich również niektórzy jego współpracownicy.

Müller wiedział dokładnie, którą dźwignię, poruszyć. Kazał wezwać do siebie człowieka, któremu poufnie nakazał tajny nadzór Wehrmachtu, sturmbannführera SS Maiera. I tego najpierw zbestał.

- Tu zdaje się szykować wielkie świństwo, a pan najwyraźniej o niczym nie wie! Kilku ludzi z Wehrmachtu, na których powinien być pan mieć oko, prawdopodobnie uprawia beztrioskie próby puczu.

- Parę niejasnych wiadomości, wszakże...

- To dlaczego pan tu jeszcze stoi, Maier? Niech pan weźmie swoich ludzi do galopu, niech pan osobiście wetknie nos w tę sprawę. Führer chce widzieć rezultaty, Maier, i ja także. chcę. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Tak jest - powiedział Maier na pozór spokojnie.

Znał ten sposób podkręcania podwładnych, był on w zwyczaju nie tylko na Prinz-Arbrecht-Strasse. Również szef gestapo nie zajmował się dłużej swoim kierownikiem działu; ten już się weźmie do roboty!



W hotelu Majestic na Avenue Kleber w Paryżu znajdowały się biura dowódcy wojskowego we Francji, generała piechoty Karła Heinricha von Stülpnagla, mężczyzny o ostrych rysach żołnierza frontowego i oczach najczęściej dobrodusznym, które patrzyły niemal po ojcowsku,

- Rozmawiałem przez telefon ze Stauffenbergiem - poinformował go podpułkownik luftwaffe Casar von Hofacker. - W Berlinie wszystkie przewidziane akcje ruszyły. - I z widocznym zadowoleniem zameldował: - My tutaj, jak widać, posiadamy już pewną przewagę. Komendant garnizonu „Wielkiego Paryża”, generał leutnant von Boineburg-Lengsfeld, postawił do dyspozycji swoje oddziały do akcji przeciwko wszystkim biuram SS, gestapo i SD na nadzorowanym przez nas terenie.

Generał von Stülpnagel skinął głową ledwie dostrzegalnie, uważał, że wszystko było oczywiste. Ani chwili się nie zawahał wydając rozkaz: aresztować! zatrzymać! W razie oporu użyć broni palnej. Utworzyć sądy doraźne, jak było przewidziane!

Opanował całkowicie sytuację w Paryżu. Niemało współpracowników, popierało go przy, tym bez zastrzeżeń. Na każdej jednostce na jego terenie można było polegać. Mimo to spojrzał zamyślony na przyjaciół.

- Rozmawiałem przez telefon z generałem Beckiem - oznajmił; - Zapewniłem go, że jesteśmy zdecydowani współdziałać. Ale potem generał zapytał o feldmarszałka Klugego. I na to pytanie nie umiałem odpowiedzieć. .

- Feldmarszałek nie może się przecież już teraz wycofać - powiedział Casar von Hofacker. - Decyzja zapadła. I Kluge wie, że teraz wszystko spoczywa w jego rękach, Jeden jego rozkaz i armie na Zachodzie są po naszej stronie. Reszta Wehrmachtu musi się potem przyłączyć...

- takie jest też zdanie generała Becka - rzekł Stülpnagel zamyślony.

- On sam musi porozmawiać z Klugem!

- Ja też to poradziłem Beckowi.

- I z jakim skutkiem, panie generale? - Chłodna napięta twarz von Hofackera zdawała się płonąć. - I Co Beck osiągnął?

- Tego nie wiem - przyznał generał, von. Stülpnagel z ledwie dosłyszalną niechęcią. ~ Wiem tylko tyle: feldmarszałek von Kluge kazał mnie poprosić, abym wraz z szefem sztabu przybył jutro około

godziny dwudziestej do dowództwa Grupy armii na ważną naradę.

- Nie takie to złe - stwierdził podpułkownik Casar von Hofacker z nadzieją w głosie. - Typowy Kluge! Nie mówi nie, nie mówi tak, zwleka z decyzją; tym razem wszakże tylko o kilka godzin.

- A jeśli Kluge powie nie, co wtedy? - zapytał jeden z oficerów.

Stülpnagel nie zdradził się z żadną reakcją na to pytanie, spojrział tylko na Hofackera; A tamten odpowiadał, przekonany ó tym, że ma prawo wymagać optymizmu. Niewątpliwie feldmarszałek jest ze wszech miar człowiekiem ostrożnym; nauczyły go tego warunki. Ale oczywiście jest także, że potrafi myśleć jasno i konsekwentnie. Dlatego

będzie się trzymał realiów.

- A co wówczas, jeśli okaże się, że te spodziewane realia nie istnieją?

- Musimy sami je stworzyć - zawołał von Hofacker. - Skoro Kluge reaguje tylko na fakty dokonane, powinien je-mieć. Jeśli bomba

na Hitlera mu nie wystarcza, złożymy u jego stóp wszystkich dostępnych na Zachodzie bonzów partyjnych, SS i gestapo. To go przekona.

- Co osiągnąłeś, Konstantynie? - zapytała Elisabeth, kiedy leutnant znów wszedł do jej pokoju. - Dadzą nam spokój?

- Mam nadzieję. Rozmawiałem z urzędnikiem, który wydaje się być rozsądnym człowiekiem. - Konstantin von Brackwede usiadł na krześle, które stało w pobliżu drzwi. - Oczywiście ta cała sprawa jest skomplikowana,

, - Czy to znaczy, że ci ludzie mogliby jeszcze przeszukać te pomieszczenia? Również nasz pokój?

- To mało prawdopodobne.

- Ale czy wykluczone?

- Tego nie można z całą pewnością powiedzieć; Ale nie musisz się z tego powodu niepokoić, Elisabeth. Jestem niemal pewien, że nie wydarzy się tu nic, co byłoby niezgodne, z prawem. Urzędnik, który prowadzi śledztwo, sprawia solidne wrażenie.

- Ach, takie wrażenie sprawiają niemal wszyscy! Oni potrafią patrzeć na wskroś po ludzku nawet wówczas, kiedy już sięgają po pistolet.

Hrabina von Oidenburg-Quentin przystanęła przy oknie swego wąskiego pokoju. Zdawało się, że chce zaczerpnąć powietrza, przygniatał ją nieznośny upał.

- Masz na myśli tę sprawę z Żydem?

- Tak - Elisabeth powiedziała to z nieoczekiwaną gwałtownością.

- Potraktowano go nieludzko.

- To było jedno z owych nadużyć, jakie niestety wciąż jeszcze się zdarzają - oświadczył leutnant zakłopotany. - Złożę skargę.

Cicho bądź! - zawołała Elisabeth oburzona. - Proszę, abyś nie mówił tak lekkomyślnie o sprawach, których najwyraźniej nie znasz. Powinieneś o tym porozmawiać ze swoim bratem.

- Zgoda, Elisabeth, porozmawiam z nim. - Konstantin starał się uspokoić hrabinę. Zbliżył się do niej i chciał delikatnie przyciągnąć do siebie.

Ale ona zrobiła unik. Zapytała cicho: -- A co będzie z teczką?

Leutnant von Brackwede starał się zrozumieć Elisabeth, ale nie potrafił.

Dręczyło go to.

- Co nas teraz obchodzi teczka? Brat dał mi ją na przechowanie, nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia.

- A jeżeli ludzie z gestapo przyjdą tu i będą przeszukiwać pokój i zechcą wziąć teczkę - co wtedy?

- Daj spokój, Elisabeth, to niedorzeczne.

- Niestety, to wcale nie jest niedorzeczne. Ta teczka nie może im być obojętna. Zechcą ją zabrać, jeśli tylko zaczną przeczuwać, co może w niej być! Uwierz mi. I weź to pod uwagę.

- Co z Döberitz? - niecierpliwiał się von Stauffenberg. - Dlaczego się nie zgłasza?

- Właśnie to sprawdzam - odrzekł pułkownik Mertz von Quirnheim.

Von Brackwede przysunął się bliżej zaciekawiony. Pojawiał się regularnie co pół godziny, aby zobaczyć „jak idzie interes”. Potem przeważnie zaraż się wycofywał, aby nie przeszkadzać przyjaciółom. Tym razem jednak powiedział:

- Mam nadzieję, że w Döberitz mamy u steru przynajmniej jednego godnego zaufania człowieka!

- Nawet trzech - odparł Claus.

Przerwał swoją bitwę telefoniczną, aby wziąć od kapitana cygaro. Ten zapytał, zapalając zapałkę:

- Czy radiostacje wciąż jeszcze me są opanowane? Brackwede znał dość dokładnie plan „Walkiria”. Wiedział, że szkoła piechoty w Döberitz była przewidziana do jednej z najważniejszych akcji tego dnia. Zaufane oddziały miały przejąć gmach na Masurenallee. w Berlinie i rozgłośnię radiową pod Königswusterhausen, nie uszkodzoną, gotową do nadawania.

- Nic takiego do tej pory nie nastąpiło - powiedział Stauffenberg niechętnie.

Ta rozmowa została przerwana pojawieniem się generała broni Hoepnera. Założył tymczasem swój mundur w toalecie na półpiętrze. Brackwede przyglądał mu się z radosnym zdumieniem, wbrew wszelkim oczekiwaniom jakiś blask emanował z Hoepnera.

Generał oznajmił:

- Fromm uporczywie zgłasza wciąż nowe życzenia. Tym razem prosi o żywność.

- Co takiego?! - wykrzyknął kapitan. - Czy on uważa, że my tu się bawimy w reorganizację kasyna?

Generał Hoepner nie zniżył się do rozmowy z tym agresywnym kapitanem. Dał wyraźnie do zrozumienia, że zamierza pertraktować wyłącznie z pułkownikiem Stauffenbergiem.

- Beck, Olbricht i ja jesteśmy zdania, że należy Fromma traktować elegancko, choć z rezerwą. Należą mu się kanapki, a także butelka wina.

- Czy jesteśmy tu po to, aby go tuczyć? - zawołał kapitan von Brackwede wściekły. - Jeśli się chce robić rewoltę, trzeba najpierw zdjąć rękawiczki. Podawanie kanapek i napojów nie ma z tym nic wspólnego.

- Niech pan robi, jak pan uważa - powiedział Stauffenberg krótko. I lekko rozdrażniony dodał cicho: - W tej chwili mamy inne zmartwienie. - Popatrzył przy tym na Mertza von Quirnheima.

Ten oznajmił:

— Generał Hitzfeld, komendant szkoły piechoty w Doberitz, przebywa w Baden, ze względu na śmierć w rodzinie.

- Akurat dzisiaj! - zawołał Brackwede wzburzony.

- Nie ma powodu do zdenerwowania - stwierdził Stauffenberg rzeczowo. - W końcu w Doberitz jest jeszcze pułkownik Müller, zastępca komendanta. On również należy do wtajemniczonych. Co z nim?

- Pułkownik Müller odbywa podróż służbową - powiedział Mertz von Quirnheim. -, Prowadzi wykłady w okolicy. Wróci około godziny dwudziestej trzydzieści.

- -Do diabła! To bardzo późno - stwierdził kapitan - o wiele za późno.

- Nasz trzeci zaufany człowiek w Doberitz, adiutant komendanta, poinformował mnie, że zarządzono alarm i oddział jest gotowy do wymarszu - kontynuował pułkownik Mertz. - Ale oficerowie są niepewni. Omawiają faktyczną sytuację, Zdania są podzielone. Większością głosów postanowili poczekać.

Tak zwany „wielki rozkaz” - zarządzenie stanu oblężenia - dotarł do centrali łączności na Bendlerstrasse dopiero około godziny osiemnastej.

Ten równie ważny jak obszerny dokument istniał najpierw -jako projekt w teczce pod hasłem „Walkiria”. Teraz musiał zostać ostatecznie sformułowany. Sekretarka Erika von Tresckow, żona generała, i Margarethe von Owen pracowały nad tym bez przerwy. Ich maszyny do pisania nie milkły całymi godzinami.

Następnie ten „wielki rozkaz”, został starannie przejrany, poprawiony, zaopatrzony w subtelności językowe. Dopiero wówczas powędrował do centrali łączności. I tu dostał się nieuchronnie w ręce leutnanta Rohriga.

- Ci na górze zaczynają grać w otwarte karty - powiedział Röhrig do sierżanta.,- Naprawdę nie wiem, czy w ogóle mogę odpowiadać za przekazywanie takich tekstów.

- A więc powinniśmy to czy owo zmienić - zaproponował sierżant bezceremonialnie.

Zorientował się, do czego leutnant zmierza, sam był gotów brać udział w tej grze. Jeśli się coś nie powiedzie, cała odpowiedzialność spadnie na Rohriga. A jeśli leutnant postępuje słusznie, co nie wydawało mu się wcale takie nieprawdopodobne, to znaczy, że feldfelbel również wyciągnął swą szczęśliwą kartę. .

Obaj byli poinformowani, jak chyba nikt na Bendlerstrasse. Pilnowali teraz telefonów od Stauffenberga i Mertza, blokowali rozmowy, zaczęli przekreślać rozkazy, które mieli przekazywać, albo w ogóle odkładali je na bok. Przynajmniej na jakiś czas. Ich rekord wynosił dwieście dwadzieścia minut.

— Myślę, że powinniśmy też sami nawiązać łączność - zaproponował leutnant Röhrig. - Więcej aktywności.

Ta myśl coraz mocniej ich intrygowała. Wiedzieli teraz także, do kogo powinni się zwrócić: funkcja sturmbannführera SS Maiera była im znana. Próbowali do niego zatelefonować. Ale adiutant odpowiedział im uprzejmie, że sturmbannführer jest na mieście w nadzwyczaj ważnej sprawie.

- A może powinniśmy się połączyć bezpośrednio z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy? Osobiście z Kaltenbrunnerem albo Müllerem - zaproponował feldfelbel.

- Jeszcze nie - powiedział Röhrig ostrożnie. - Za wcześnie.

Podczas gdy to mówił, na drugim piętrze na Bendlerstrasse

pułkownik Hassel stał beczynnie. On również należał do zaufanych oficerów. Zameldował się punktualnie u Olbrichta, który powitał go serdecznie.

- Na razie wszystko pozostaje w zawieszeniu. Wydarzenia przebiegają wprawdzie zgodnie z planem, mimo to nie możemy chwilowo robić nic innego, tylko czekać cierpliwie i trzymać nerwy na wodzy - rzekł generał.

Pułkownik Hassel był jednym z najbardziej uznanych fachowców w służbie łączności armii. Poza tym człowiekiem b prawym charakterze, wielkiej energii i niewątpliwym darze improwizacji. A jednak stał beczynnie, zaledwie kilka metrów od węzła łączności.

Rozmawiał z paroma oficerami, ale nie mógł zrozumieć ich niepokoju i niezdecydowania. Znów się udał na teren grupy Olbrichta, gotów do działania. Cierpliwie rejestrował panujące tam podniecenie. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i pojechał do domu.

Krótko po godzinie 18.00 zameldował się jeden ze szpicli kaprała:

- W przedpokoju dowódcy stoją trzech generałowie.

Lehmann powtórzył to kapitanowi von Brackwede. Ten spojrzął zdziwiony:

- Czego *ci* panowie tam szukają?

- Mają w rękach teczkę, mówią, że chcą się widzieć z generałem Frommem. Osobiście z Frommem.

Von Brackwede niezwłocznie przystąpił do' działania. W centrali kierownictwa oporu rozejrzał się dokoła. Pułkownicy telefonowali, generałowie konferowali, przyjaciele stali wokół grupkami, prowadzili rozmowy przytłumionym głosem.

Kapitan usiadł na krześle przy biurku Stauffenberga. Ten przywołał skinieniem swojego adiutanta, oberleutnanta von Haeftena, i Brackwede zaczął z nim rozmawiać.

- Słyszę, że do Fromma przyszli goście,

Oberleutnarit roześmiał się beztroško, jego chłopcęca twarz promieniała. Wyglądało tak, jakby to, co się działo, sprawiało mu przyjemność.

- Jeśli chodzi o tych trzech generałów w przedpokoju, są to szefowie wydziałów. Zwołano dla nich na godzinę osiemnastą rutynową naradę u dowódcy. Powiedziałem im, że Fromm jest w tej ©hwui nieosiągalny. A oni stwierdzili, że poczekają, aż będzie osiągalny.

- I pana to nie niepokoii, młody przyjacielu?

- Dlaczego? Niech czekają.

Brackwede spojrzął na generała, ten skinął mu głową. Kapitan wstał i udał się do przedpokoju Fromma. Trzej generałowie spojrzeli na niego badawczo, - najwyraźniej zaczęli się niepokoić. Nie przywykli czekać na generała dłużej niż kwadrans, chyba że byli uprzedzeni.

- Co tu się stało? - zapytał jeden z generałów. - Czy pan coś wie?

Kapitan bez wahania zaprzeczył ruchem głowy.

- Gdzie jest generał?

- Niestety, tego również nie potrafię powiedzieć.

Trzej generałowie zaczęli się między sobą naradzać. Jeden powiedział: - Poczekajmy jeszcze kwadrans. - Drugi na to: - Wracajmy do naszych zajęć. Jeśli generał będzie nas potrzebował, wezwie nas. - Trzeci natomiast zastanawiał się: - Fromm zazwyczaj przestrzega skrupulatnie terminów, a przynajmniej w porę odwołuje i jeśli by nas teraz nie mógł przyjąć, poinformowałby nas o tym osobiście w dwóch, trzech słowach. Moi panowie, boję się. Tu coś się nie zgadza.

Szefowie wydziałów przy dowódcy armii rezerwowej byli wypróbowanymi, godnymi zaufania biurkowymi strategami, niezawodni na froncie, wykształceni sztabowcy, starannie dobrani osobiście przez Fromma.

Szli śmiało prostą drogą, którą im wskazano - nie dawali się wciągnąć w żadne podejrzane sprawy.

Brackwede rozpoznał to bez szczególnego wysiłku. Znowu udał się do Stauffenberga i powiedział:

- Tych się tak łatwo nie pozbędziesz, Claus.

- A może zastanowią się i przystąpią do nas - zauważył oberleutnant von Haefen z nadzieją w głosie. - Może powinniśmy ich odpowiednio uświadomić.

Kapitan potrząsnął głową przecząco. Następnie przez kilka minut zajmował się notatkami Stauffenberga; pułkownik podsunął mu je ochoczo. I już po krótkim czasie generałowie w przedpokoju stali się głośni i energiczni.

- Domagają się, aby ich niezwłocznie zaprowadzić do generała Fromma - oznajmił oberleutnant von Haefen.

- Świetnie - powiedział hrabia von Brackwede. - Jeśli się przy tym upierają, należy spełnić ich życzenie.

- A więc dobrze - zdecydował Stauffenberg - - Aresztować.

Grupa leutnanta załatwiła to uprzejmie, a zarazem energicznie. Powoli nabierali, wprawy. Nie zwracali uwagi na protesty. Ostre zarzuty przyjmowali obojętnie.

- Prosimy z nami - powiedział leutnant von Hammerstein uprzejmie, jak gdyby zapraszał na bankiet w kasynie-

- Czy nadal nie ma komunikatu radiowego? - zapytał Adolf Hitler niecierpliwie.

- Niestety nie - powiedział Bormann z zachmurzoną twarzą. - Ja też tego nie rozumiem. - I z prowokującym spokojem dodał: - Goebbels na ogół nigdy tak długo nie zwlekał.

.Ale führer miał w tej chwili za mało czasu, aby przyjąć do wiadomości tę prymitywnie wyrafinowaną mieszankę Bormanna złożoną z uznania i podejrzenia. Hitler musiał pożegnać swojego gościa, Benito Mussoliniego.

Stali na prowizorycznej stacji kolejowej głównej kwatery führera koło Rastenburga. Wysokie świerki otaczały ich jak gigantyczni strażnicy. Słońce promieniało łagodnym blaskiem.

- - Nigdy nie zapomnę tego dnia - zapewniał duce.

- Fakt, że pan był tu akurat dziś, ma głębokie, symboliczne znaczenie - powiedział führer.

Podali sobie ręce, uścisk trwał długo. Była to dobrze zaplanowana, uroczysta chwila. Jeszcze raz spojrzeli sobie w zmęczone oczy. Już nigdy więcej nie mieli się spotkać.

Bezpośrednio po tym Hitler pospieszył z powrotem do swej betonowej jaskini.

- Mam wrażenie - rzekł, nasłuchując jak osaczone zwierzę - że nie wszystko jest w takim porządku, jak by się wydawało. —Podniósł ostrzegawczo drżącą rękę. - Na coś się zanosi. Zamach to nie było wszystko.

Keitel poinformował, że próbował połączyć się z Olbrichtem, ale się nie zgłasza.

- W Ministerstwie Spraw Zagranicznych panuje absolutny spokój - zameldował Ribbentrop. - Nie wiadomo o niczym, co w jakiś sposób mogłoby być niezwykłe.

- Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy jest całkowicie nietknięty - zapewnił Himmler. - Moi ludzie gotowi są natychmiast przystąpić do akcji, gdyby, powstała groźna sytuacja.

- Jednakże führer powinien przemówić do narodu niemieckiego - zauważył Bermann.

- Jestem gotów - oświadczył Hitler. - Ale jak to zrobić przy takim tempie, które mi się proponuje?

- Niestety nie dopilnowano, aby założyć führerowi bezpośrednią łączność radiową - powiedział Bormann. - Może to się okazać błędem dużej wagi. Trudno uwierzyć, że minister propagandy nie dostrzegł takiej potrzeby.



Hitler zażądał teraz, aby go połączono bezpośrednio z Goebbelsem. Ten zgłosił się szybko, jednakże zdawał się być wręcz podejrzanie opanowany, kiedy informował:

- Do dzielnicy rządowej przybyły czołgi. Trzy spośród nich, prócz tego kilka drużyn piechoty, widać z mojego gabinetu.

Führer wielkoniemieckiej Rzeszy zaczął się trząść jak w gorączce. Ale jego głos brzmiał mocno i szorstko jak zwykle:

- Co to wszystko znaczy, doktorze?.

- Przypuszczalnie pucz wojskowy. - Minister powiedział to nad wyraz rzeczowym tonem, jego nerwy były widocznie nie naruszone.

- Ale podjąłem akcję odwetową. Mam nadzieję, że niedługo będę mógł powiedzieć coś więcej.

Ta krótka rozmowa wywołała w głównej kwaterze führera narastającą nieufność. - A więc tak! - zawołał Bormann.

- Co za świństwo! - powiedział Himmler głucho.

Tylko Keitel zauważył optymistycznie:

- Tu może chodzić równie dobrze o pomyłkę. Niemiecki oficer nie robi czegoś takiego.

Hitler popijał herbatę. Göring był jakby oszołomiony. Ribbentrop był pewien, że wyjdzie cało z tej brudnej sprawy, zarówno on, jak i jego urząd. Jedna z sekretarek płakała roztrzęsiona.

Hitler podszedł do kąta, oparł się o chłodną ścianę grubości metra i skinął na Bormanna i Himmlera. Podbiegli pełni gotowości.

- Czy to możliwe, żeby sam Goebbels zdradził? - zapytał stroskany.

Himmler uniósł ręce, miało to oznaczać skargę, a jednocześnie niezrozumienie. Patrzył posepnym wzrokiem. Bormann, wstrząśnięty, pochylił głowę jak pokonany.

- Zawsze uważałem Goebbelsa za człowieka, któremu można w pełni ufać - zapewnił — i nadal tak uważam. Choć tymczasem musiałem uznać, że na tym świecie nie ma nic niemożliwego.

Niemal co do minuty w tym samym czasie w Berlinie pułkownik Stauffenberg krzyczał do każdego, z kim rozmawiał przez telefon:

- Wiadomość, że Hitler żyje, to świadome wprowadzanie w błąd.

Dalekopisy, które wychodziły z Bendlerstrasse - o ile leutnant Röhrig ich nie zatrzymał, nie pozmieniał albo na nowo nie sformułował - miały podpisy generała broni Fromma i pułkownika Stauffenberga. Albo generała broni Hoepnera, dowódcy armii rezer-

wowej. A wreszcie feldmarszałka von Witzlebena, głównodowodzącego Wehrmachtu.

Praga meldowała: wszystko przebiega zgodnie z planem. Wiedeń oznajmiał: ustalone działania w toku. Paryż wreszcie mógł poinformować: u nas ruszyły czolgi.

O godzinie 18.30 nadszedł meldunek: 3 kompania batalionu wartowniczego zgodnie z rozkazem otoczyła dzielnicę rządową. Utworzono „wymaganą barierę”. I nie wolno jej, zgodnie z planem, przekroczyć ani generałowi, ani ministrowi.

- Najgorsze już za nami. - Pułkownik Stauffenberg uznał, że może tak twierdzić.

Ale kapitan von Brackwede zauważył: - Bez trupa nie ma stypy.

Teczka stała pośrodku stołu.

Hrabina Oldenburg postawiła ją tam, otworzyła i przysunęła do leutnanta von Brackwede:

- Zajrzyj tam, proszę, musisz wiedzieć, o co tu chodzi.

Konstantin potrząsnął jedwabście blond chłopięcą głową.

- Nie interesuje mnie, co jest w tej teczce.

- Jest ci to obojętne?

Stali naprzeciw siebie, jakby gotowi do skoku. Kiełkująca nieufność między nimi zdawała się gasić wszelką czułość. Przez kilka sekund patrzyli na siebie, jakby byli sobie obcy.

- Ta teczka mnie nie obchodzi. Należy do mojego brata.

- A jeśli znajdują się w niej plany, które świadczą o istnieniu oporu przeciw Hitlerowi? I, nie tylko to, coś znacznie więcej: dokumenty dotyczące dokładnie zaplanowanego powstania przeciw twojemu führerowi? A nawet szczegóły na temat jego zlikwidowania? Jeśli to dotyczy tych spraw, Konstantin, co wtedy?

Konstantin stał jak skamieniały. Jego błyszczące dotychczas oczy zrobiły się niemal martwe. Butnie odrzucił głowę do tyłu. Potrzebował jednak kilku sekund, aby wydobyć z siebie głos.

Ale potem rzekł z bezgraniczną naiwnością:

- Nawet jeśliby tak było, Elisabeth, jakie to ma znaczenie. Ufam bez zastrzeżeń mojemu bratu. Jeśli w tej teczce znajdują się materiały, o jakich mówisz, Fritz mógł je przecież zgromadzić, aby w ten, sposób ochronić naszego führera.

- Mój Boże - powiedziała hrabina Oldenburg-Quentin bezdzwięcznym głosem. - Czy ty się nie domyślasz, że zawartość tej teczki może kosztować życie kilkuset ludzi?

O godzinie 18.35 major Otto Ernst Remer stał przed ministrem doktorem Goebbelsem. Towarzyszył mu leutnant Hagen.

Goebbels uczynił to, co - jak zawsze uważał - robi największe wrażenie: uśmiechnął się, szeroko, ujmująco, szczególnie serdecznie. Ukrył zręcznie swoją zjadliwą radość.

- Witani pana serdecznie, panie majorze - oświadczył. - Doce-  
niam fakt, że ma pan do mnie zaufanie i wzajemnie. - Poprosił gości,  
aby usiedli, zdawało się, że przyjmuje przyjaciół i ma dla nich  
nieograniczoną ilość czasu.

Okazała twarz von Remera patrzyła ze zdyscyplinowanym od-  
daniem. Goebbels odczuwał czystą radość na ten widok. Miał przed  
sobą obraz prawdziwego pruskiego oficera, który prawdopodobnie  
był jednocześnie narodowym socjalistą. Trudno o bardziej obiecującą  
mieszankę.

- Myślę - powiedział minister ufnie - że się rozumiemy. Możemy  
sobie oszczędzić ceremonialnych wstępów. Przejdźmy zatem od razu  
do rzeczy- czy ma pan rozkaz aresztowania mnie?

- Tak jest - przyznał Remer niemal zawstydzony. - Tego się ode  
mnie wymaga.

Goebbels chciałby poznać bliższe szczegóły na ten temat. Chętnie  
by zapytał, jak major to sobie wyobraża. Ale stłumił tego rodzaju  
odruchy. Powiedział natomiast:

- Rozumiem pańską sytuację. I nie spodziewam się, aby pan  
podał się moim namowom, skoro pan wierzy, że Hitler już nie żyje.

- Nie mogę w to uwierzyć, panie ministrze, ale tak mi  
powiedziano.

- Wobec tego myślę, że rozwiązanie pańskiego problemu jest  
całkiem proste.- Minister podniósł słuchawkę telefonu. - Proszę mnie  
połączyć z główną kwaterą.

„Wilczy Szaniec” szybko się zgłosił. Natychmiast włączył się  
Keitel. Potem Bormann przejął rozmowę. ty kilka sekund później  
Hitler był przy aparacie.

- Mój führerze - zaczął Goebbels radosnym tonem. - Stoi obok  
mnie komendant batalionu wartowniczego Berlina major Remer. Ma  
polecenie zablokowania dzielnicy rządowej i aresztowania wszystkich  
napotkanych tu ministrów i pozostałych wyższych urzędników. Czy  
mogę pana prosić, mój führerze, o zajęcie stanowiska w tej sprawie?

Hitler był poruszony, słyhać było, jak oddycha. Potem powie-  
dział:

- Chcę rozmawiać z majorem.

Major wziął słuchawkę. Wielka godzina przygniatała go. Ale uśmiech przysłuchującego się ministra powstrzymał go przed zachwianiem się.

- Majorze Remer - powiedział Adolf Hitler - pan mnie zna. Gzy poznaje pan mój głos?

- Tak jest, mój führerze! - zawołał major do głębi poruszony.

Dr Goebbels kiwnął z uznaniem głową leutnantowi Hansowi Hagenowi. Ten poczerwieniał z dumy. Wyczuł, że co najmniej awans ma zapewniony.

- Panie majorze - powiedział teraz Adolf Hitler - mówię teraz do pana jako wódz naczelny niemieckiego Wehrmachtu. Niech pan od tej chwili uważa się za podległego mnie osobiście. Niech pan odtąd działa zgodnie z moim życzeniem, liczę na to.

- Tak jest! - zawołał major.

- Daję panu polecenie złamania Wszelkiego oporu! Niech pan pracuje razem z doktorem Goebbelsem, ale niech pan dzwoni do mnie niezwłocznie, jeśli cokolwiek wyda się panu niejasne. Tymczasem niech pan działa z całą stanowczością! Absolutnie bezwzględnie. Niech pan stale ma na uwadze: tu idzie o Wielkie Niemcy, o Rzeszę, o nasz naród.

„O mnie!” - jakby chciał jeszcze powiedzieć, ale nie powiedział.

Po tej rozmowie Adolf Hitler znów zdawał się rozkwitać. Godziny ponurego milczenia najwidoczniej minęły. Bormann odetchnął.

Na Bendlerstrasse pułkownik von Stauffenberg znów telefonował do Paryża - do podpułkownika von Hofackera, swojego kuzyna i przyjaciela. Ten zapewnił:

- U nas wszystko w porządku. Stülpnagel reaguje wspaniale. Za kilka minut jedziemy do feldmarszałka von Klugego. Przyłączy się!

Generał Beck kazał sobie przedłożyć ostatnie meldunki. Czytał je uważnie. Zdawały się wiele obiecywać. Ożywiony skinął głową do Hoepnera i Olbrichta.

Von Brackwede przystanął obok kliki kaprała. Panowała tu beztroska wesołość. Karzeł Lehmann zauważył .mrugając:

- Cokolwiek się stanie, znam teraz co najmniej trzy drogi ucieczki, jedną przez tylne podwórko, drugą korytarzami, a trzecią po dachach!

Oberleutnant Herbert siedział wśród swoich popleczników, jakby kij połknął. Nie znajdował u nich ani pociechy, ani nadziei. Nie mieli

pojęcia o tym, co się naprawdę stało. Zamówiona broń z arsenału nie nadchodziła. Na próżno Molly, jego narzeczona, starała się go pocieszyć.

W dzielnicy rządowej major Remer zebrał swoich oficerów. Rozkazał im cofnięcie się w szyku. I to w miarę możliwości w kierunku Bendlerstrasse.

- Na razie pozostajemy w stanie gotowości. Ale z hasłem: Niech żyje führer!

Sturmbannführer SS Maier był nieuchwytny. Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy był jak wymarły. Na Prinz-Albrecht-Strasse już od wielu godzin nie odbywały się żadne przesłuchiwania. Gestapowiec Müller chodził w kółko po swoim biurze, jak drapieżne zwierzę w klatce.

W domu na Schifferdamm 13 Voglbrunner ziewał ospale. Ukrywający się tu dotychczas Żyd siedział zamknięty w kącie w piwnicy. Breitstrasser udawała, że się modli. Jodler junior znudzony zaczął szukać cudzoziemskiej pracownicy Marii. Erika Elster marzyła, leżąc na plecach. Scheumer udawał, że szuka pociechy u Goethego. Wallnerowa płakała.

Elisabeth i Konstantin patrzyli na siebie. Wyglądało to tak, jakby spoglądali przez grube szklane ściany. Teczka, która stała w pokoju, wyrastała między nimi jak przeszkoda nie do przezwyciężenia.

Wojska tymczasem maszerowały - toczyły się w kierunku Berlina, koncentrowały się w Paryżu, ruszyły z Wiednia, Pragi i Monachium. Żołnierze patrzyli przed siebie obojętnie. Nie byli w stanie pojąć, czego od nich oczekiwano.

- Ten świat jest po brzegi wypełniony różnymi nedorzecznosciami i niezwykłymi, niewyobrażalnymi, najwspanialszymi zdarzeniami - powiedział kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede. - Tyłko co ludzie z niego robią?

Nigdy nie dowierzałem wojsku! - wykrzyknął Hitler do swego otoczenia. - Generalicja zawsze spiskowała przeciwko mnie. Himmler podszedł do niego.

W tej ciężkiej godzinie próby... - zaczął uroczyście. Potem położył na stole przygotowane pismo o następującej treści: Reichführer SS zostaje mianowany naczelnym dowódcą armii rezerwowej, a więc następcą generała broni Fromma.

Pismo to führer podpisał na stojąco. Wykrzyknął przy tym:

- Niech pan rozstrzela każdego, kto ośmieli się stawiać opór! Chodzi o los narodu!

- Mój führerze, gdziekolwiek istnieją wrogowie państwa, usuniemy ich - zapewnił Himmler, z wdzięcznością. - Po to żyjemy.

### 3

#### Mężczyźni, którzy spełnili swój obowiązek

Aparat radiowy, który kapitan von Brackwede włączył w swoim pokoju, ryczał skoczne melodie, ku pokrzepieniu ducha sentymentalnych obrońców ojczyzny.

- Jest pan spragniony rozrywki? - zapytał Lehmann z sąsiedniego pokoju. - A może panu smutno?

- Jestem ciekawy - oświadczył Brackwede i dalej telefonował.

Kapitan nie czekał, aż jego zaufani ludzie zadzwonią, Sam ich dopingował z regularnością podsycającą niepokój. Im bardziej drugo- i trzeciorzędni spiskowcy stawali się rozdrażnieni, tym weselszy był von Brackwede.

- Mój drogi - mówił właśnie kapitan, zachęcając przyjaźnię swego rozmówcę - pański głos brzmi tak, jakby pan dopiero co odbył popołudniową drzemkę.

Ow rozmówca major policji, wyznał zatroskany:

- To wszystko jest tak mało przejrzyste...

- Dziwi to pana? Trudno się spodziewać Czegoś innego, dopóki ludzie tacy jak pan sztucznie odwlekają swoje przystąpienie do akcji.

- Pan wybaczy! Ale dopóki nie wiem nic dokładnie, nic pewnego...

- Jak to! - zawołał kapitan, -Czyżby bunt u nas odbywały się dopiero wówczas, kiedy zostaną rozdane zaświadczenia gwarancyjne!

Lehmann stanął w drzwiach i wykrzywił twarz w uśmiechu, Słyszał ostatnią rozmowę telefoniczną.

- Pierwsi już mają pietra?

- Jestem oburzony, Lehmann, - Hrabia von Brackwede powie dział to całkiem spokojnie, tylko jego broda wysunęła się lekko do przodu. - Nawet rozumiem że niewielu idzie za nami. Przystąpienie

teraz do akcji wymaga odwagi. I jeszcze czegoś więcej! Ale najpierw mówić wielkie słowa, składać święte obietnice, opowiadać o prawdziwych Niemczech, a potem się wahać, wykręcać, chować? Mdlę mnie od tego.

- Ponieważ jest mowa o mdłościach, moja klika melduje, że w kasynie panuje wielki ścisk. Być może panowie chcą się najpierw nieco wzmocnić, zanim się zajmą podejmowaniem decyzji.

Von Brackwede skinął Lehmannowi głową z wdzięcznością. A po tem zapytał:

- A co jest dziś w jadłospisie?

- Świeże fladry - powiedział kapral. - Poleciłem mojemu przyjacielowi, który jest ordynansem w kasynie, aby zostawił kilka dla pana, . - Świetnie - odrzekł kapitan. Przywiązywał wagę do jedzenia i picia, ale nie aż tak, aby się tym rozkoszować; było to jedno z jego frontowych doświadczeń: nie pomijać niczego, co wzmacnia, bo kto wie, co będzie jutro.

Wkrótce potem oberleutnant Herbert poprosił o rozmowę. Karzeł zniknął, kiedy ten się zjawił. Herbert spojrzał zatroskany i oznajmił na wstępie:

- Ja i kilku moich kolegów mamy wrażenie, że tu w końcu musi się coś wydarzyć.

- Nie myli się pan - powiedział von Brackwede.

-Trzeba się chyba zdecydować.

Rzeczywiście.

- Ale na co właściwie, jak pan myśli?

- To całkiem proste! Albo pan położy trupem Stauffenberga, albo tego, kto chce położyć trupem Stauffenberga - zażartował von Brackwede bez wahania. - To jest właśnie niedwuznaczne zajęcie stanowiska.

Oberleutnant Herbert roześmiał się serdecznie iż oddaniem. Ale nie czuł się zbyt dobrze podczas takich żartów.

- A co pan robi, panie, kapitanie, jeśli wolno zapytać? Ja się dostosuję do pana!

- Pójdę do kasyna. Są tam dla mnie zarezerwowane fladry.

Herbert podziękował uniesieniem i pospieszył do swoich kolegów. Ci patrzyli na niego wyczekująco.

- A więc, przyjaciele, ten Brackwede to przebiegły facet - oznajmił Herbert. - Wiecie, co on robi? Słucha radia. A macie pojęcie, co zamierza? Iść do kasyna. Chciałbym mieć jego nerwy!

Koledzy Herberta próbowali zgadnąć, co to oznacza. Zdawało im

się, że zgadli: ten Brackwede, który ma przecież oczy na wszystko otwarte, trzyma się konsekwentnie poza polem ostrzału.

- Wydaje się, że należy zachować najwyższą ostrożność. Wszyscy koledzy przytaknęli oberleutnantowi Herbertowi! Oczywiście ich hasło pozostało niezmienione: Czuwać! Jedna czy druga rozmowa z biurem partyjnym z pewnością nie może zaszkodzić.

W tym momencie monotonne brzęczenie radia zostało przerwane. Hrabia von Brackwede odwrócił odbiornik na cały regulator. I usłyszał - o godzinie 22.40 - następujący komunikat radia Deutschlandsender:

„W dniu "dzisiejszym dokonano na führera zamachu bombowego...”

Sam führer nie doznał żadnych obrażeń, oprócz lekkich oparzeń i stłuczeń. Bezpośrednio po wybuchu mógł podjąć na nowo pracę...”

Cała informacja została odczytana w ciągu niespełna 15 sekund.. Wymieniono potem nazwiska ciężko i lżej rannych. Dodatkowo, jeszcze duce i marszałka Rzeszy. Poza tym żadnego innego nazwiska. Nie wspomniano również ani słowem o podejrzanych.

Brackwede ruszył małymi krokami do pułkownika Stauffenberga.

Ten sam komunikat W tym samym czasie usłyszał leutnant von Brackwede. Stał przy głośniku w pokoju hrabiny Oldenburg-Quentin. Konstantin myślał, że dowie się czegoś, o sytuacji w powietrzu, tymczasem usłyszał o zamachu na führera.

- Że też są ludzie zdolni uczyni coś takiego! - zawołał i nadal słuchał.

Ale głos spikera nagle ucichł. Elisabeth wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Powiedziała niemal szorstko:

- Co nas to obchodzi! Mamy teraz inne zmartwienia!

Pozwól, proszę! - nalegał leutnant Konstantin niespokojny.

- W końcu w tej wiadomości chodziło o führera!

- On żyje. Rzekomo! - Elisabeth podeszła do drzwi; i tu się zatrzymała, lekko pochylona do przodu, nasłuchując. - To, co się dzieje w tym domu, jest dla nas w tej chwili o wiele ważniejsze! Próbuje się nas wpędzić w ślepą uliczkę. Tylko to powinno cię niepokoić.

Konstantin potrząsnął głową. Popatrzył ze smutkiem na drzwi. Były koloru brudnobrązowego, zniszczone i masywne. Biel ścian lśniła



teraz rażąco, zasłony ukazywały wyblakłą niebieskość, meble były stare i nędzne.

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Hrabina otworzyła drzwi. Zobaczyła łagodną, jakby zakłopotaną, chłopięcą twarz, gładką, okrągłą, różową.

Ten człowieczek powiedział łagodnie:

- Pani pozwoli, nazywam się Voglbronner. Prowadzę tu śledztwo,

- Jeśli pan ma zamiar przeprowadzić tu rewizję - powiedziała Elisabeth energicznie, to zwracam panu uwagę, że musi pan mieć specjalne zezwolenie. Prawda, Konstantin?

- Oczywiście - powiedział leutnant i stanął obok niej, Voglbronnerowi było przykro, że jest tak niedoceniany. Ale jakoś to zniósł. Uśmiechnął się i powiedział:

- Absolutnie nie mam zamiaru przysparzać państwu jakichkolwiek kłopotów. Doskonale wiem, kogo mam przed sobą. I mogę zapewnić, że niezwykle cenię kapitana von Brackwede, to niezwykle człowiek.

Wydawało się, że leutnantowi ulżyło.

- A hrabina Oldenburg pracuje w jego biurze - uzupełnił.

To wszystko wiem. - Voglbronner okazywał niemal unізoną uprzejmość. - Jestem dokładnie poinformowany. - I nagle zapytał zniętnacka: - A dlaczego pani się obawia, że mógłbym przeprowadzić rewizję? Jak pani sądzi, co mógłbym przy tym znaleźć?

- Ten komunikat radiowy - powiedział generał. Beck po zastanowieniu - nie powinien nas obchodzić.

Dobrze wiedział, czym w Niemczech była propaganda. Fałszywe meldunki od lat należały tu do codzienności. Tego rodzaju manipulacje w uczciwym człowieku budziły wstręt.

Ale Brackwede był nieustępliwy. Komunikat może nas nic nie obchodzić, ale został nadany. A mógł zostać nadany tylko dlatego, że plan „Walkiria” nie funkcjonuje bez zarzutu. Rozgłoszenie powinny być przez nas opanowane co najmniej od godziny.

- Niewygodna prawda - stwierdził Beck i skinął kapitanowi głową z uznaniem. - I już najwyższy czas, aby ta prawda została otwarcie wypowiedziana.

Generał starał się pokazać takim, za jakiego uważał go hrabia von Brackwede: starym, ale wciąż jeszcze niebezpiecznym lwem. Chodził po pokoju ciężkim krokiem.

- Nie podoba mi się to! - wykrzyknął niechętnie. Stał przed Olbrichtem. - Gdzie jest Witzleben?

- Feldmarszałek znajduje się w drodze z Zossen. Niestety, jego przybycie chyba się opóźnia.

- Powinien już tu być - mruknął lew. - Ale dalej, gdzie jest generał Lindemann? Wyznaczony został przecież do wygłoszenia mowy przez radio.

- Niestety, nie można go znaleźć.

- A maszynopis jego przemówienia?

- Ma przy sobie.

Generał Beck spojrzał wściekły na kapitana. Słowa były tu zbędne. Szybko padło następne pytanie.

- A dlaczego nie melduje się generał Wagner?

- Nie on jeden - odpowiedział von Brackwede zamiast generała Olbrichta. - I wcale nie uważam tego za dziwne. Sytuacja ogólna nie jest dość przejrzysta. Reakcje ludzi muszą więc być odpowiednie do tego. Jedni czekają, inni stosują uniki, a jeszcze inni całkiem po prostu kają odpowiadać, że są nieobecni.

Beck stanął przed kapitanem von Brackwede. Jego stalowoszare oczy przyglądały mu się jak jakieś nowej tajnej broni - krytycznie, a jednocześnie pełne nadziei.

Twarz kapitana von Brackwede pozostawała bez wyrazu, podniósł ją tylko, jakby czegoś szukał. Jego sępi nos sterczał wyzywająco.

Kapitan spojrzał, wskazując jakby na pułkownika Stauffenberga. Ten stał dwadzieścia metrów dalej, oddzielony półotwartymi oszklonymi drzwiami, w pokoju Fromma. Stauffenberg telefonował niezmordowanie i wciąż od nowa powtarzał:

- Keitel kłamie... Hitler nie żyje... Akcja się toczy!...

Beck, zwrócony do kapitana von Brackwede, odezwał się:

- Gdyby wszyscy byli tacy! - A potem spojrzał na generała Hoepnera.

Zaalarmowane oddziały wciąż jeszcze nie nadchodzą! - zawołał generał ze skargą w głosie.

Jednostki SS również nie - uzupełnił von Brackwede z lekką ironią.

Ale Stauffenberg zawołał:

- Co nas obchodzą propagandowe meldunki przez radio! To wszystko kłamstwa! Prawda jest następująca: w Paryżu akcja przebiega zgodnie z programem. W berlińskiej dzielnicy rządowej ważniejsze

domy są otoczone przez batalion wartowniczy. Pierwsze czołgi znajdują się już w centrum miasta.

- A kiedy padnie pierwszy strzał? - zapytał kapitan von Brackwede.

W głównej kwaterze führera pracowała specjalna grupa tajnej policji, zorganizowana przez Kaltenbrunnera: fachowcy od środków wybuchowych, specjaliści od zabezpieczania śladów, rutynowani pracownicy urzędu śledczego.

Przystąpili do akcji według ściśle określonych reguł. Posuwali się ostrożnie w kierunku miejsca przestępstwa - otaczali powoli zacieśniającym się pierścieniem wskazany obiekt.

Ustalili: miejsce przestępstwa, ściślej - pokój narad, 12,5 metra długości, 5 m szerokości; pośrodku stół z mapami; po prawej stronie mały okrągły stolik; po lewej biurko i radiola. Pomieszczenie wraz z całym umeblowaniem mocno zniszczone. Na prawo od wejścia dziura w podłodze średnicy 55 cm.

Niespełna 50 metrów od tego miejsca Hitler wrzeszczał w swoim bunkrze mieszkalnym. Sekretarki, zazwyczaj traktowane przez niego w miarę po dżentelmeńsku, biegały podenerwowane. Tylko Bormann znosił ten tajfun ze spokojem.

- Chcę wreszcie przemówić do narodu niemieckiego! ryczał führer rozwścieczony. - Dlaczego wciąż jeszcze nie mogę?

- Wóz transmisyjny z Królewca jest właśnie w drodze.

— A kiedy tu przybędzie?

Reichsleiter Bormann podniósł z ubolewaniem rękę. Wiedział, że zanim dojdzie do nagrania, mogą upłynąć jeszcze godziny. Ale tego nie powiedział. Oświadczył tylko:

- Oczywiście będę nalegał na największy pośpiech. Na terenie zburzonego baraku pracowali nadal specjaliści Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Sporządzali rysunki, robili pomiary, wypełniali formularze.

Stwierdzili: dziura po wybuchu wskazuje, że ładunek eksplodował powyżej podłogi. Dolna fala uderzeniowa zburzyła podłogę. Górna znalazła ujście przez okna, drzwi i ścianę działową.

- Mój führerze - zameldował Bormann z widoczną ulgą - przybyła ekipa radiowa z Królewca. Za kwadrans będzie gotowa.

Technicy radiowi pracowali intensywnie: zainstalowali mikrofon, przeciągnęli kable, sprawdzili jakość dźwięku, wypróbowali aparaturę nadawczą. Byli spoceni od wysiłku. Mobilizowała ich nie tylko „wielka

godzina"; orientowali się, że chodziło tu także o ich stanowiska!

- Możemy zaczynać, mój führerze - powiedział Bormann.

Przysunął krzesło dla Hitlera. Führer usiadł. Kartki w jego rękach drżały.

- Uwaga, nagrywamy! - zawołał Bormann.

Hitler nałożył okulary. Musiał się jednak pochylić by móc czytać centymetrowej wielkości litery, napisane na specjalnie dla niego sporządzonej maszynie. Jego głos gulgotał, jakby się dusił.

- Pełne wzmocnienie mikrofonu - szepnął Bormann do techników.

O pół metra dalej kilku specjalistów gestapo o poważnych twarzach bawiło się jak dzieci: przesiewali piasek. Oficjalnie: przeprowadzali „przesiewanie masy gruzu”. W efekcie znaleźli kawałki metalu i skóry, jak również resztki żelaznych obcęgów.

Kawałki metalu to były resztki ładunku wybuchowego, najwidoczniej brytyjskiego pochodzenia. Zastosowano tu najpewniej zapalnik chemiczno-mechaniczny. Znalezione kawałki skóry były resztkami te czki. Rozpoznano ją przy pomocy świadków jako własność pułkownika Stauffenberga.

- Natychmiast to nadać! - rozkazał Hitler, kiedy z trudem od czytał swoją odezwę. - Nadać natychmiast i powtarzać wielokrotnie.

Działo się to krótko po godzinie 19.00.

Hitler wycofał się zadowolony. Bormann zapewnił go:

- To wywarło nadzwyczaj głębokie wrażenie, mój führerze.

Keitel gratulował:

- Były to przekonujące słowa!

Technik odpowiedzialny zadźwięk zameldował z ulgą;

- Nagranie w porządku!

Do tego samego mikrofonu mówił jeszcze marszałek Rzeszy Göring i wielki admirał Dönitz. Oni również przygotowali celne sformułowania. Bormann czuwał nad ich oświadczeniami z uważną gorliwością.

- Kiedy będzie można to nadać? - zapytał.

- Najszybciej, jak się da! - oznajmił radiowiec.

Brzmiało to wielce obiecująco i przyniosło nie tylko słowa uznania, ale również hojny poczęstunek: kawę, kiełbasę i sękacz. Bormann przyglądał się ekipie radiowej pełen nadziei.

- Chyba się udało! - szepnął do Keitla.

Ale miało upłynąć jeszcze ponad pięć godzin, zanim te przemówienia można było wyemitować.

Choć słowa te wyszły tak późno - nie wyszły zbyt późno.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział Konstantin hrabia von Brackwede, stojąc wyprostowany - może pan to pomieszczenie spokojnie przeszukać.

- Naprawdę? - zapytał Voglbronner lekko napięty.

- Dlaczegoż by nie? W końcu nie mamy nic do ukrycia. Prawda, Elisabeth?

- Hrabina skinęła głową. Unikała spojrzenia na komodę, gdzie w dolnej szufladzie znów znajdowała się teczka kapitana; nie spuszczała oka z Voglbronnera.

Ten powiedział jakby zamyślony:

-Po cóż mielibyśmy komplikować to, co wydaje się. wyjaśnione. Tym bardziej że mamy zeznanie.

-Kto zeznawał? - zapytała Elisabeth uprzejmie, pochylając się do przodu.

No, ten Żyd - Voglbronner westchnął, trudno poznać, z ulgą czy z zakłopotaniem. - Zeznał, że zastrzelił ortsruppenleitiera. Pan Jodler się o to zatroszczył!

. — To czysty nonsens!, - wykrzyknęła hrabina von Oldenburg .

- Myślę - powiedział Konstantin ostrzegawczo - że nas to nie dotyczy.

Voglbronner uśmiechnął się.

- Lubię dokładność - oświadczył łagodnym tonem. -- I mam zwyczaj nie działać w pośpiechu, jeśli to możliwe. Przy tym niech mi wolno będzie przyjąć na wstępie, że nieznaną była państwu obecność owego Żyda w tym mieszkaniu!

- Jedno w każdym razie wiem z całą pewnością - rzekła hrabina Olderiburg-Quentin stanowczym głosem - że gość pani Wallnerowej w żadnym razie nie może być sprawcą zabójstwa, albowiem ubiegłej nocy nie mógł opuścić tego mieszkania. Są tu bowiem dwa klucze: jeden wisi u administratora domu, a więc u Jodlera, ze względu na naloty drugi znajdował się całą noc u mnie. A drzwi były zamknięte. Mogę to zaświadczyć.

- Czy pani się dobrze nad tym zastanowiła? - • zapytał Voglbronner pobłaźliwie.

- Tu nie ma się nad czym zastanawiać! Voglbronner spojrział na zegarek. Takie odejście od tematu było mile widziane. Wciąż bowiem nie miał wiążących dyrektyw od sturbannführera Maiera, mógł więc spokojnie trwonić czas. Wstał i oświadczył zapraszającym tonem:

- Gdyby państwo zechcieli mi towarzyszyć...

- Oczywiście idę z panem! - Leutnant stanął obok hrabiny.

Ona jednak powiedziała energicznie:

- Przecież ty, zgodnie ze swoim zeznaniem, nie masz z tym absolutnie nic wspólnego! A więc, proszę, zostaw tę sprawę mnie.

Tak więc leutnant został w pokoju. Czuł się nieszczęśliwy, opuszczony, niezrozumiany. Elisabeth odsunęła się od niego nieskończenie daleko.

Dreńczony ponurymi myślami patrzył przed siebie, na wąski aksamitnobrązowy dywan z Buchary leżący u jego stóp. Następnie spojrział, jakby przyciągnięty magiczną siłą, na komodę, w której, jak wiedział, znajdowała się teczka brata. Błade światło dnia nie miało siły, aby tam wpełznąć.

Leutnant podchodził teraz powoli do komody.

- Trawi mnie uczucie, drogi Brackwede, że niestety nie wszystko przebiega zgodnie z planem.- wyznał generał Beck.

- Właściwie nic - odparł kapitan. •

Beck zaciągnął kapitana do niszy okiennej. Wiedział, że z tym człowiekiem może szczerze rozmawiać; był podobny do swojego ojca, w którego domu generał często i chętnie gościł. Wygląd zewnętrzny. podkreślana niedbałość, była to zapewne jedynie poza.

-Co my robimy źle, kapitanie?

- Traktujemy krety jak pożyteczne zwierzęta domowe. - Von Brackwede powiedział to niezwykle dobitnie. - Powinniśmy zmusić niektórych kolegów, nie zważając na ich rangę, aby zajęli stanowisko wobec alternatywy: albo mają honor, albo go nie mają.

Beck znów chodził niespokojnie po pokoju. Odrzucał brutalne stawianie żądań. Liczył na zaufanie. I nie znalazł go, w każdym razie w oczekiwanej pełni.

- Jeszcze nigdy nie czułem się bardziej samotny niż podczas tych godzin - szepnął.

- Dla mnie to jest całkiem oczywiste, panie generale.

Beck wyciągnął spontanicznie rękę z serdeczną ufnością. Poklepał nią stojącego sztywno kapitana po ramieniu. Czegoś takiego nie uczynił chyba jeszcze nigdy w swoim życiu. Ale teraz miał przed sobą człowieka, który był jakby jego ukochanym synem.

- Co mam czynić, drogi Brackwede, aby to co się tu dzieje, skierować na właściwe tory?"

- Niech pan zadzwoni do feldmarszałka von Klugego - powiedział kapitan z naciskiem W Niech pan spróbuję wymusić na nim decyzję.

- A jeśli kazał powiedzieć, że go nie ma?
- To przynajmniej będziemy wiedzieć chociaż tyle.

Beck skinął głową. Brackwede sam połączył się z wodzem naczelnym na froncie zachodnim. I feldmarszałek von Kluge istotnie zgłosił się w ciągu kilku minut.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał pospiesznie.

Beck zaczął od ścisłych wyjaśnień, zbyt jednak szczegółowych.

- W przypadku Klugego może pan sobie darować tego rodzaju wstępu - szepnął przysłuchujący się rozmowie Brackwede. — Nie da się go do niczego przekonać, reaguje tylko mi fakty.

Generał zmarszczył czoło. A potem rzekł:

- Pytam pana całkiem jasno, panie Kluge: czy popiera pan tutejszą akcję i podporządkuje się mnie?

To było wystarczająco wyraźne. Ale Kluge milczał kilka sekund.

- To jest nieoczekiwana sytuacja - powiedział w końcu głównodowodzący frontu zachodniego. - Nie potrzebuję chyba pana zapewniać, że moje stanowisko wobec pewnych zjawisk się nie zmieniło. Jednak muszę się najpierw naradzić, zanim podejmę decyzję.

- Niech pan zapyta, ile czasu potrwa - szepnął von Brackwede do generała, który stał jak osłupiały. Beck jakby poblekł, ale nie okazał wzburzenia. Całkiem normalnym głosem zadał pytanie, które mu odpowiedziano.

- Za pół godziny zadzwonię do pana - zapewnił feldmarszałek i pospiesznie zakończył rozmowę.

Generał Beck powiedział z goryczą: - To jest cały Kluge! - I nic już więcej nie było do dodania.

Sturmabführer Maier wycofał się z wyrachowaniem. Teraz, starał się zabezpieczyć ze wszystkich stron. Podczas tych godzin zorganizował swoją kwaterę główną u pewnej zaprzyjaźnionej damy. Niemal było kobiet tego pokroju. Tę jednakże Maier wyszukał jedynie z powodu mieszkania: jej dom na Lutzowufer był położony bardzo korzystnie: pomiędzy Bendlerstrasse i Prinz-Albrecht-Strasse.

Maier również poświęcił się głównemu tego dnia zajęciu: telefonał. Leżał przy tym na wygodnej kanapie koloru czerwonego wina. I nie tylko ze względu na upał pozbył się zasadniczych części garderoby.

- Jeden spośród twoich pięciu dobrze wykształconych zmysłów powinnaś wyłączyć - powiedział do swej opiekuńczej damy. - Nie słuchaj, zajmij się czymś innym.

Trik Maiera podczas tych potyczek telefonicznych polegał na tym, że on sam nieustannie dzwonił, a do niego nie można było telefonować. Nikomu nie powiedział, pod jakim numerem był osiągalny, w dodatku twierdził przy każdej rozmowie: - Jestem. właśnie w drodze!

Najpierw zapytał Voglbronniera o stan rzeczy na Schifferdamm, I ten poinformował: - Istnieje możliwość rozwoju w każdym żądanym kierunku. - Otrzymał nowy rozkaz - nadal dreptać w miejscu, nie budować żadnego wyjścia.

- I niech pan nie popełni błędu, mój drogi! To, co pan tam wysiedzi, może się w pewnych okolicznościach okazać całkiem tłustym kąskiem. Zrozumiano?

Następnym partnerem telefonicznym Maiera był kapitan von Brackwede. I jego sturmbannführer zapytał poufnym tonem;

- No, mój drogi, jak wygląda sytuacja na froncie?

- Proszę przyjść, to pan zobaczy! - Głos kapitana brzmiał optymistycznie. - Dobrze pół tuzina generałów już zamknięto.

Naprawdę? - Sturmbannführer był zaskoczony. Może zainkasowaliście również gruppenführera SS Piffrada?

Kiedy padła odpowiedź twierdząca, Maier poczuł coś w rodzaju respektu.

- I mnie chcielibyście najchętniej także uwięzić, prawda?- Coś w rodzaju zastawu?

— Mógłbym potrzebować pańskich rad.

- Otrzyma je pan, ale tylko telefonicznie. - Maier roześmiał się szorstko. - Albowiem pan przecież; wie: jestem jednym z pierwszych, który panu pogratuluje zwycięstwa albo pozwoli jak najszybciej dojechać do najbliższego grobu. To zależy. Rozumiemy się, prawda?

Oni istotnie się rozumieli, co do tego nie było nawet cienia wątpliwości. Również ta rozmowa zadowoliła sturmbannführera. Poklepał swoją damę po siedzeniu i zaczął dzwonić do następnego partnera: do oberleutnanta Herberta; trudno było wyszukać sobie lepszego człowieka podobnie myślącego, aby się zabezpieczyć.

Zapytał go: - No i co, żyje pani jeszcze? Mam na myśli, czy pan żyje na wolności.

Herbert jęknął; powiedział: - Tu wszystko jest całkiem niejasne. Czy może mi pan poradzić, co mam robić?

- Oczywiście! - odrzekł Maier. Przede wszystkim niech pan tyle nie pije! Mówi pan tak, jakby pan zamiast języka miał w ustach mokrą szmatę. Panu potrzebny jest jasny umysł. Poza tym nie musi pan robić nic innego, tylko spełniać swoje obowiązki.



- Oczywiście, oczywiście! Ale co mam przez to rozumieć, zgodnie ze stanem rzeczy, jak pan sądzi?

Maier bawił się coraz lepiej.

- Moja rada jest absolutnie jednoznaczna. I mam nadzieję, że pan sobie w odpowiednim czasie przypomną, że to ja zaapelowałem do pańskiego sumienia. Teraz powiem tylko tyle: chodzi o Niemcy, człowieka!

Kiedy rozmowa się skończyła, sturmbannführer kazał się połączyć ze swoim własnym biurem. Zgłosił się jeden z jego pierwszych popleczników, sturmführer.

- Dobrze, że pan wreszcie dzwoni. Jest pan tu pilnie potrzebny.

- Nie może być nic ważniejszego niż to, co obecnie robię! Jestem na tropie afery najwyższej wagi. Jestem niemal pewien, że mamy do czynienia ze spiskiem na wielką skalę. Niech pan niezwłocznie poinformuje o tym reichsführera! A dla mojego biura rozkaz brzmi; działać radykalnie! Od tego wszystko zależy!

Ale co miało zależeć, tego nie powiedział. Wierzył jednak że zabezpieczył się na wszelkie możliwe sposoby. Co najmniej najbliższy kwadrans należał teraz do jego usłużnej damy.

- Posterunki budynku na Bendlerstrasse, regularnie obsługiwane przez berliński batalion, wartowniczy, załatwiała przybywających jak zwykle z niedbałą rutyną. Nie dotarły do nich żadne szczególne rozkazy.

Coś w rodzaju wzmocnienia nastąpiło krótko po godzinie 16.00. Zjawił się pierwszy kapitan. Zajmował się osobiście osobami pragnącymi się dostać do środka, najczęściej ze słowami: - Może wejść. Nie było to nic szczególnego. Zdarzało się już nieraz kiedy na przykład dowódca wydawał przyjęcie albo kiedy odbywały się specjalne konferencje.

Pierwszego kapitana zmienił drugi kapitan, a tego z kolei trzeci. Byli uprzejmi, zachowywali się z rezerwą i zdawali się wiedzieć dokładnie, czego chcą. Pomagało im kilku podoficerów.

O godzinie 18.50 zajechał pod bramę łazik. Kapitan zaszalutował i zawołał swoje stereotypowe: - Może wejść!

Wartownik dał wolną drogę. A kapitan powiedział do swojego podwładnego: - Pułkownik Glaesemer.

Podoficer zatelefonował do szefa kliki, Lehmana. Lehmann z kolei poinformował kapitana von Brackwede. A kapitan Von Braekwede zameldował generałowi Olbrichtowi:

-Przybył komendant szkoły wojsk pancernych numer dwa w Krampnitz.

- Czego tu chce pułkownik Glaesemer? - zapytał generał Hoepner zdumiony. - O tej porze powinien być zupełnie gdzie indziej.

- Natychmiast go przyjmujemy - powiedział Beck. I to był rozkaz.

Komendant Glaesemer zatrzymał się w drzwiach i patrzył zaskoczony na liczne zgromadzenie. Sprawiał wrażenie człowieka energicznego i solidnego; typowy zawodowy oficer.

Pułkownik Wolfgang Glaesemer poznał Becka, skłonił się przed nim z szacunkiem. Ale nie zwrócił się do niego; podszedł do Olbrichta.

- Czy mogę mówić z dowódcą w pilnej sprawie?

Olbricht wykonał uprzejmy przeczący ruch głową.  
- Generał Fromm jest chwilowo nieosiągalny. Może pan porozmawiać ze mną.

- Tak jest - odrzekł komendant. - Otrzymałem rozkaz, aby rozpocząć działania przewidziane w planie „Walkiria”.

- Zgadza się - potwierdził generał. Mam nadzieję, że pan zastosował się do wszystkich poleceń w tej sprawie.

- Nie - powiedział pułkownik Glaesemer otwarcie.

To zwięzłe wyznaczenie poruszyło gwałtownie obecnych. Dały się słyszeć okrzyki niechęci. Olbricht nie mógł ukryć swego wzburzenia.

Tylko generał Beck pozostał obojętny. Podszedł do komendanta Szkoły wojsk pancernych w Krampnitz i zapytał:

- Dlaczego nie?

- Nie mogę i nie chcę brać w tym udziału - wyznał pułkownik porywczo. - Nie podoba mi się ta cała sprawa!

Na to Beck:

- A jeśli osobiście pana zapewnię, że wypełnienie danego panu rozkazu uważam za absolutnie godne szacunku?

- Nie mogę - wyskandował Glaesemer zdecydowanie.

- Będzie pan musiał ponieść konsekwencje tej odmowy - ostrzegł Olbricht.

Pułkownik Glaesemer nic więcej nie powiedział. Skapitulował i stał wyprostowany: odmówił wykonania rozkazu, tak mu nakazywało sumienie. I wyraził tę odmowę otwarcie, prosto w twarz temu, kto wydał rozkaz.

- Postępowanie błędne, ale z jego punktu widzenia uczciwe - zdecydował wielkoduszny generał Beck". - Rozumiem zachowanie pułkownika.

- Mimo to pewnych konsekwencji nie da się uniknąć - powiedział

Olbricht. Spojrzał na oberleutnanta von Haeftena, ten skinął głową oddział wykonujący aresztowania był gotów.

- Protestuję - powiedział komendant.

- Pański protest - odrzekł generał Olbricht - zostaje przyjęty do wiadomości i nawet utrwalony na piśmie. Może się pan ewentualnie później na to powoływać.

Pułkownik Glaesemer został odprowadzony. Otrzymał azyl na czwartym piętrze. Bendlerstrasse zaczęło się powoli zamieniać w prowizoryczny obóz więźniów: pięciu generałów, wśród nich Fromm, już tam siedziało. Do tego wyższy oficer SS Piffraeder i teraz pułkownik.

Stauffenberg, poinformowany o tym, rozkazał bez wahania:

- Plan „Walkiria” przeprowadzi zastępca komendanta Krampnitz. Obowiązuje to od teraz i dotyczy wszystkich podobnych przypadków. Jeśli ktoś zawiedzie, znajdzie się innego. Przecież Niemcy nie mogą być tak żałośnie ubodzy w ludzi zdolnych do czynu, jak niektórzy zdają się obawiać.

Leutnant Konstantin hrabia von Brackwede ukląkł przed komodą. Ujął w ręce ozdobne uchwyty z brązu i wyciągnął szufladę. Uczynił to ostrożnie, niemal z wahaniem. Żółte blade światło zapadającego wieczoru padało na jego napiętą twarz.

Teczka leżała zamknięciem w dół. Wyciągnął ją i chciał przysunąć do siebie. Kilka kartek wielkości pocztówek zaplątało się pod klapą: upadły teraz na podłogę. Konstantin zgarnął je i zamierzał z powrotem włożyć do szuflady, do innych kartek, które, rzucone jedna na drugą, sięgały niemal po brzegi. Ale w połowie tej czynności Konstantin jakby zamarł w bezruchu: trzymał w ręku fotografie. Na nich Elisabeth - wszędzie ona.

Wokół niej twarze, które Konstantin znał: leniwy spokój Casara von Hofackera; skoncentrowana powaga Clausa von Stauffenberga, radosny spokój kochanego brata. Do tego twardy jak dąb Leber, Sprawiający ojcowskie wrażenie Beck, cierpliwie stojący hrabia von Moltke!

- Ona wszystkich zna - powiedział Konstantin zdumiony. - Ale nigdy mi o tym nie mówiła. Dlaczego?

Z niemałym wysiłkiem doszedł do przekonania: nic mnie to Wszystko nie obchodzi! Ale zdjęcia zajmowały jego uwagę. Ociągając się, odłożył je z powrotem.

Gładził rękami co i rusz wyskakujące zdjęcia, cała szufladę zdawała się być nimi wypełniona. Teczka tylko chwilowo je przyciskała. A wśród tych zdjęć, na samej górze, leżał otwarty list. Konstantin natychmiast go rozpoznał: był to list, który dał mu brat dla hrabiny Oldenburg-Quentin zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu.

Ujął kartkę mechanicznie, na jego twarzy malowała się zaduma i ciekawość, potem zabłysnął na niej niepokój. Zdecydowany wyciąg-

nął list z koperty. I przeczytał, początkowo z niedowierzaniem, wreszcie ze wzrastającym wzburzeniem:

„A więc doszło już do tego... Posyłam Pani teczkę i mojego brata... niech Pani przechowa jego i ją,, .co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny... wiem, że mogę na Pani polegać pod każdym względem..”

Konstantin opuścił rękę. Kartka papieru spadła na podłogę. Wszystko wokół niego wydawało się blade, wyblakłe, jakby pokryte mącznym pyłem: podłoga, na której ciągle jeszcze klęczał, list, który leżał tuż obok niego, powoli zamierające światło dnia.

. Łeutenant uderzył pięścią w teczkę. Ta przewróciła się i otworzyła.

Na Berjlderstrasse generał Olbricht zebrał oficerów swego biura. Otoczyło go trzydziestu pięciu do czterdziestu mężczyzn. Stali w milczeniu.

- To przedsięwzięcie - oświadczył generał — może mieć nieprzewidziane znaczenie! Nie jestem wprawdzie w stanie poinformować was o wszystkim szczegółowo. Tyle jednak powinniście wiedzieć, moi panowie: w waszych rękach być może leży rozstrzygnięcie! Polegam na was!

- Może pan! - zawołał pułkownik.

Kilku oficerów przytaknęło. Dostojna reszta milczała nieporuszona. Olbricht przemówił do nich. Mówił i mówił.

- Powinien się pan trochę odprężyć! ~ zawołał Karzeł do swego pułkownika podczas tego przemówienia. Poczęstował go cygarem z żelaznych zapasów. Claus chętnie po nie sięgnął.

Było to ostatnie cygaro w jego życiu.  
- Czy pan nie jest zmęczony? - zapytał Lehmann z troską w głosie. - Przysłuchiwałem się trzem rozmowom telefonicznym. Coraz więcej ludzi udaje, że nie ma ich w domu.

- Trzeba się do tego przyzwyczaić - rzekł Stauffenberg. — Jestem na to przygotowany. Być może wcale nie czułbym się dobrze; gdyby wszystko poszło gładko.

Tymczasem w pokoju. obok generał Beck, podburzony przez, hrabiego von Brackwede, wzywał do telefonu dowódcę Grupy Armii Północ na froncie wschodnim. Ale był rzekomo nieosiągalny.

- Ten również udaje, że go nie ma - stwierdził Beck.

I teraz po raz pierwszy hrabia von. Brackwede stracił swoją pełną wyższości ironię.

- Gówniarze! - wykrzyknął.

A generał Beck poprosił stojących wokół oficerów do siebie. Rozkazał sporządzać „notatkę do akt”. Rozważnie wywodził, cd następuje: chciał dać okazję armii północnej, aby broniła sensownie<sup>1</sup> swojej ukochanej ojczyzny, w tym wypadku Prus Wschodnich. Jego zamiarem było ustrzec żołnierzy niemieckich przed dalszymi obłądanymi rozkazami. Ale niestety nie udało mu się.

- Godzina dziewiętnasta trzydzieści - dodał Beck. -

Był to jedyny zanotowany rozkaz, jaki generał wydał w tych dniach. Podpisał go nie jako „generał broni”, tylko zwyczajnie; „generał”. Pogardził tego dnia stopniem, który mu kiedyś nadał •Hitler.

Co naprawdę myślał w tej chwili, tego nikomu nie zdradził. Nie wyraził też żadnego zarzutu, stwierdził jedynie fakt. A fakt ten musiał odczuwać jako szczególnie gorzki.

- Wielki Stary stoi jak skała - opowiadał Brackwede pułkównikom Stauffenbergowi i Mertzowi. Lehmann tymczasem przejął obsługę telefonu. Kapitan usiadł przy biurku dowódcy.

- Żadna chwila nie może być bardziej wzniosła i zarazem budząca niepokój, przyjaciele! Szlachetny rumak, który idzie dumnie naprzeciw stada wilków, nigdzie, jak okiem sięgnąć, ani śladu nikogo, kto wystrzelałby tę całą zgraję!

- Nie ma już połączenia z batalionem wartowniczym - oznajmił Lehmann. - Generał von Hase, komendant Berlina,, kazał to zameldować.

- Może to oznaczać, że batalion: wartowniczy wkroczył nareszcie do akcji.

- Ale możliwe również, że po prostu połączenie telefoniczne nie funkcjonuje już należycie - zauważył kapral Lehmann.

Nawet von Brackwede puścił mimo uszu tę informację. Zjawił się bowiem oberleutnant von Haefen i zawołał radośnie wzburzony: -Przybył feldmarszałek von Witzleben. Nareszcie!

- Ja to zrobiłem - powiedział porywczco skurczony mężczyzna. Zastrzeliłem go z pistoletu. Nie mogłem inaczej... To był przymus. Szczegółów już nie pamiętam.

- On nie mógł tego zrobić! - twierdziła hrabina Oldenburg nie dając się zbić z tropu. - Tej nocy nie opuszczał naszego mieszkania

- Niech pani się nie wtrąca! - zawołał Jodler ostrzegawczym tonem. - Gównu to panią obchodzi! A może to pani Żyd?

Voglbronner uśmiechnął się łagodząco, uznał, że wszystko rozwija się pomyślnie. Ten mężczyzna był już tylko wrakiem, gotowym do każdej wypowiedzi, jaka tylko okaże się potrzebna. Młody Jodler odgrywał twardo rolę tarana i starał się ze wszystkich stron atakować. A nieustępliwość hrabiny Oldenburg-Quentin była po prostu nieoceniona, umożliwiała mu rozciągnięcie sprawy tak daleko, jak: tylko będzie chciał.

Zupełnie tego nie rozumiem! - zawołał; Jodler wzburzony. - Serwuję winnego jak na srebrnej tacy, jego wypowiedzi są również jak płyta gramofonowa, ale widocznie to nie wystarcza.

- Bo nie jest to zgodne z prawdą - powiedziała Elizabeth.

Pobity mężczyzna spojrział na nią błagalnym wzrokiem

- Proszę przestać, pani sobie tylko zaszkodzi. A ze mną i tak już koniec.

- Nie - powiedziała hrabina Oldenburg-Quentin twardo. - Nie chcę przykładać ręki do morderczej niesprawiedliwości.

- Do diabła! - wrzasnął Jodler. - Czy tak zachowuje się niemiecka kobieta?

Voglbronnerowi zbierało się już na ziewanie. Za kogo ta hołota się uważa! Kimże on jest, ten Żyd; jeszcze jeden kandydat do pieca krematoryjnego. A jakie znaczenie miał ów trup choć dla odmiany był trupem ortsigruppenleiters. I czym była prawda, honor, sprawiedliwość? Środkami do użyźniania państwowej gleby.

Teraz Voglbronner istotnie ziewnął. Kazał odtransportować mężczyznę z powrotem do piwnicy. Poprosił hrabinę Oldenburg, aby pozostała do dyspozycji w swoim mieszkaniu. Potem zajął się Jodlerem.

Powiedział mu:

- Moje uznanie dla pańskich metod, ale nie jest pan tu sam ze swoim Żydem; tu wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, przynajmniej na razie.

No co, no co! - zawołał Jodler. - Czyżby pan brał pod uwagę tę hrabinę?

Voglbronnera drażnił fakt, że wszystko wie, zna przebieg dnia

i sprawcę, a mimo to nie może zrobić z tego użytku. Chciał mieć przynajmniej choć niewielką przyjemność.

- Hrabina Oldenburg twierdzi ze wszech miar wiarygodnie, że Żyd nie mógł opuścić mieszkania, bo ona miała klucz - oświadczył Voglbronner. - Nie można tego tak łatwo podważyć, chyba że Żyd był widziany w tym czasie przez jakiegoś świadka poza mieszkaniem. Niech pan się nad tym zastanowi!

Scharführer Jodler qd razu połknął przynętę. Zapytał:

- A co pan sądzi o Breitstrasser? Na niej można polegać, ona wszystko zezna pod przysięgą.

- Być może. - Voglbronner starał się go ostrożnie przyhamować; to byłoby zbyt proste, nie zapowiadało żadnej przyjemności. - Gadaliwe babsko nie jest przekonującą przeciwwagą dla dość wyrafinowanej szlacheckiej klaczy. Musi się więc pan postarać o inny luksusowy egzemplarz. Nic połowicznego, jeśli wolno prosić.

- No dobrze, wobec tego pójdę na całego - obiecał Jodler. I powiedział sam do siebie, mruczac przytłumionym głosem: - Och, te ceregiele!

- A to ładne świństwo! - zawołał feldmarszałek von Witzleben grzmiącym głosem.

Kapitan von Brackwede uśmiechnął się zachwycony. Nawet Karzel obok niego szczerzył zęby zadowolony. Wreszcie zaczęło się na dobre!

Erwin von Witzleben zjawił się w pełnym umundurowaniu, przyrósł także ze sobą buławę marszałkowską; Okrzyk „ładne świństwo” był jak gdyby jego mową powitalną, jeszcze zanim kogokolwiek zauważył. Twarz miał czerwoną jak burak.

- Teraz dopiero zdawał się rozpoznać generała Becka. Podszedł do niego krokiem niemal defiladowym, uklonił się z szacunkiem i powiedział przytłumionym głosem: - Melduję się!

Potem nastąpił uroczysty uścisk dłoni. Ani słowa wyrzutu ze strony Becka, ani jednego pytania o to, dlaczego von Witzleben zjawił się dopiero teraz. Stojący wokół odetchnęli z ulgą.

- Muszę powiedzieć... - Feldmarszałek znów zagrzmiał.

- Nie potrzebuje mi pan tego mówić, Witzleben upomniał go Beck z powściągliwą uprzejmością.

Feldmarszałek zamilkł i uklonił się na nowo Beckowi. Zebrani cieszyli się tym widokiem nie po raz pierwszy: prawie wszyscy ówcześni dowódcy armii pochodzili ze szkoły Becka - i pozostali jego uczniami. Jeśli ktoś kiedykolwiek pracował pod jego dowództwem, nigdy nie przestawał go podziwiać.

Kapitan von Brackwede szepnął do kaprała:

- Mam nadzieję, że zostaną nam oszczędzone wielkie słowa. Szczególnie teraz to stracony czas.

Lehmann pospieszył do drzwi prowadzących do gabinetu dowódcy i otworzył je zapraszającym gestem.

Witzleben, przewidziany jako naczelny wódz Wehrmachtu, podbiegł teraz w pokoju Fromma do Stauffenberga. Uderzył pięścią w stół i zawołał: - Do cholery!

Rzucał gromy, besztął wszystkich, którzy stali wokół niego. Również Olbrichta. Szczególnie zaś Hoepnera. Stauffenberg porzucił na kilka minut swoje telefony i przysłuchiwał się uważnie, lekko pochylony do przodu, temu nieoczekiwanemu wybuchowi Wulkanu.

- To świństwo! - wykrzykiwał co, chwila feldmarszałek. - Tu, zdaje się, nic nie funkcjonuje właściwie!

Pułkownik Mertz von Quirnheim patrzył zatroskany, jak twarz jego przyjaciela Stauffenberga się zasępiła. Przysunął się bliżej Witzlebena:

- Panie feldmarszałku, od początku uważaliśmy, że trudności są nieuniknione.

- Nie pytam o to! - grzmiał von Witzleben. - Pytam o osiągnięcia.

- Na to potrzebujemy trochę czasu.

-Ale go nie macie.

Poszczególne akcje zaczęły się całkiem obiecująco y. oświadczył pułkownik. - A ostatnie meldunki zdają się potwierdzać.

- Chcę widzieć fakty!.- Witzleben wzburzony walił buławą o biurko. - Które urzędy zostały zajęte, którzy ministrowie Rzeszy uwięzieni, która rozgłośnia jest w naszych rękach, jakie są reakcje frontu wschodniego, w jakim stopniu udało się wyłączyć jednostki SS? No?

-Jeszcze za wcześnie, aby móc się spodziewać namacalnych rezultatów.

- Jest osiem godzin po zamachu, moi panowie. A według naszych kalkulacji decydujące były już pierwsze cztery godziny!

Trzy godziny straciliśmy.

- To jest wyjaśnienie, ale żadne usprawiedliwienie. Gdzie tylko spojrzeć, same niewypały. Nie biorę w tym udziału, nikt nie może tego ode mnie żądać!

Nie znalazł się też nikt, kto by tego od niego zażądał. Stauffenberg



milczał. Pułkownik Mertz von Quirnheim patrzył bezradnie przed siebie. Oberleutnant von Haeften stał błądzący przy drzwiach.

- Bardzo żałuję - powiedział z wysiłkiem feldmarszałek do Becka, ale w tej sytuacji...

- Ja również bardzo żałuję - odrzekł Beck i odwrócił się.

Następnie Erwin von Witzleben opuścił Bendlerstrasse z wysoko podniesioną głową. Jego występ, który wywarł silne wrażenie, trwał zaledwie ponad pół godziny. Krótco po godzinie dwudziestej feldmarszałek wsiadł do mercedesa i kazał się zawieźć do swej wiejskiej posiadłości, pięćdziesiąt kilometrów od Berlina.

Tam został aresztowany następnego dnia.

A generał Beck powiedział:

- Do roboty, moi panowie! Powstanie trwa!

Pułkownik Claus von Stauffenberg popatrzył za znikającym naczelnym wodzem. Następnie podszedł do jednego z trzech okien, przy którym stał w milczeniu Brackwede. Popatrzyli obaj z tego miejsca na Bendlerstrasse, która sprawiała wrażenie wymarłej; nikt w tej chwili nie nadchodził, nikt się nie oddalał. Upał kładł się ciężarem na ruinach.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Fritz. - Stauffenberg zdawał się mówić przed siebie. - Znam wszystkie twoje argumenty i rozumiem je. Ale mimo to wzbraniam się przed zastosowaniem metod, które ty uważasz za konieczne. Wycelowane w jedno życie, w życie Hitlera. I nie chcę żądać ofiar innych ludzi.

Pułkownik spojrział teraz na kościół Św. Mateusza, położony w odległości kilometra. Podczas bombardowania został zniszczony. Jego spiczasta, jakby zamkowa wieża strzelała ostrymi konturami w szare niebo.

Do kościoła, który był jakby twierdzą Pana Boga, przylegał mały wąski cmentarz.

- Uważam, że z tą sytuacją każdy musi się sam uporać - powiedział von Brackwede - każdy na swój sposób. Co się tyczy mnie, zawsze działałem na własną odpowiedzialność i nadal będę to robił. Nie musisz brać na swoje sumienie niczego, co ja teraz zamierzam uczynić. Od tej chwili jestem moim własnym ruchem oporu.

Stauffenberg uśmiechnął się do niego.

- Czymże jest cały tuzin generałów w porównaniu z tobą, Fritz?

- Co, tuzin generałów tego gatunku? - Kapitan zamrugał szaroniebieskimi oczyma. - A ja zawsze myślałem, że masz o mnie lepsze zdanie.

Feldmarszałek von Kluge miał przed sobą dwie depesze dalekopisowe. Jedna nadeszła z głównej kwatery führera i była podpisana przez feldmarszałka Keitla, druga zaś z Bendlerstrasse i podpisał ją feldmarszałek von Witzleben. Obie depesze były całkowicie sprzeczne. Co pan teraz zrobi? - zapytał szef sztabu. Będę czekał - powiedział von Kluge - ale najpierw zjem kolację. A przez ten czas?

- Wszystko pozostanie po staremu.

W kolacji głównodowodzącego Grupy armii Zachód, w La Roche-Guyon, której uczestnicy zebrali się około godziny dwudziestej, brali również udział generał von Stülpnagel i podpułkownik Casar von Hofacker; prócz tego generałowie Speidel i Blumentritt. Przestrzegano skrupulatnie zwykłych w takich wypadkach form.

Zanim wszyscy udali się do jadalni, przemawiał Casar von Hofacker - prawie piętnaście minut. Powstrzymując wzburzenie, starał się podsumować wszystkie argumenty, które przemawiałyby za uznaniem buntu żołnierzy przeciw Hitlerowi jako niezbędnego zachowanie tych podludzi - sytuacja na frontach - honor żołnierzy - głos sumienia - paląca troska o Niemcy...

Feldmarszałek nie przerywał obefleutnantowi, zdawał się raczej uważnie słuchać. Nie okazywał przy tym ani aprobaty, ani odmowy.

Milczał.

I to milczenie było przygniatającym ciężarem.

Wreszcie powiedział:

- Tak, moi panowie, oto nieudany zamach!

Casar von Hofacker spojrział zmieszany na głównodowodzącego. Generał von Stülpnagel wyraźnie pobladł. Pozostali starali się nie patrzeć sobie w oczy.

- Proszę do stołu; moi panowie! - powiedział von Kluge nieporuszony.

Udali się „milczący i bladzi” do pokoju obok. Siedzieli bez słowa. „Było tak jak w domu pogrzebowym” - opowiadał naoczny świadek.

- Mój drogi - powiedział von Brackwede do Lehmann - zamierzam przedsięwziąć małą wycieczkę.

- Jak pan to sobie wyobraża?

- Całkiem prosto. Wsiądę do samochodu i każę się zawieźć do

komendantury Berlina. Tam, zdaje się, jest pilnie potrzebny ktoś do poganiania i nie chciałbym sobie odmówić tej przyjemności.

- I mam teraz przygotować samochód do drogi, tak?

Kapral Lehmann popatrzył zdumiony. Następnie oznajmił, że na ulicach Berlina, na południe od Tiergarten, widziano podobno pierwsze oddziały uzbrojonych po zęby żołnierzy i pojedyncze czołgi.

- Przypuszczalnie opuścili dzielnicę rządową i posuwają się teraz powoli w kierunku na Bendlerstrasse.

- I co z tego?! - zawołał von Brackwede. - Jeszcze jeden powód, aby możliwie szybko działać!

- No, skoro pan się chce w ten sposób rozerwać... - Lehmann nie dokończył zdania. Zaczął telefonować. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Po niespełna trzech minutach oznajmił:

- Tak jak przypuszczałem: w tej chwili nie ma do dyspozycji ani jednego auta.

- , Niemożliwe, Lehmann!

- Niestety, to fakt. W dodatku tylko jeden z wielu wręcz kuriozalnych. Stało tu jedynie sześć samochodów w pogotowiu i wszystkie są w drodze. Kto wie, kiedy znów jakkolwiek będzie dostępny.

- Cholera! - powiedział von Brackwede spokojnie.

- Niech pan tak nie mówi! - zawołał Karzeł. - W ten sposób pan zostanie dla nas ocalony. Bo kto wie, co by tu pana jeszcze mogło ominąć. Cyrk dopiero rozkręca się na dobre.

- No i co słyhać na kuchennych schodach? - zapytał Sturbannführer Maier Voglbronnera.

- Maier był w dobrym humorze, i to nie tylko z powodu kobiety, u której zorganizował sobie biuro. Wszystkie kontakty jak dotąd funkcjonowały doskonale. A to oznaczało: jeszcze nie potrzebował się decydować, wszystkie możliwości stały otworem.

Tu sprawy przebiegają jak najlepiej - zapewnił Voglbronner.

- Zdaje się, że pan jest w bardzo dobrym nastroju - stwierdził sturbannführer lekko zdumiony. - Skąd ta pewność siebie?

- Mogę dostarczyć niemal wszystko, co jest potrzebne, na ile to oczywiście możliwe w moim skromnym zakresie, panie sturbannführerze.

- Skąd pan wie, Voglbronner, co jest mi potrzebne?

- Obojętnie co, panie sturbannführerze, mam w zapasie niemal wszystkie konieczne gatunki.

Maier słuchał uważnie.

- Wobec tego proszę mi przedstawić kilka ofert!

- Po pierwsze: zmarły ortgruppenleiter. Bezsprzecznie zabity.

- Przez кого?

- Przypuszczalnie przez własnego syna, scharführera grup operacyjnych SS, z powodu pewnej Polki.

- Nieźle - zauważył Maier. Szykuje się ewentualny obiekt zamiany w ramach Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, wzajemna niezbędna pomoc służbowa. - Dalej, Voglbronner.

- Oprócz nauczyciela gimnazjalnego i donosicielki, którzy są raczej odpadkami niż dodatkami, mogę zaoferować narzeczoną prefekta policji.

- Patrzcie państwo! - zawołał sturmbannführer z uznaniem. - A do czego mógłby pan tę damę dokleić?

- Stosunek z synem zamordowanego, a więc ewentualnym mordercą, wydaje się niewykluczony. Z tego można później skonstruować co najmniej podejrzenie o współdziałanie.

- Moje uznanie, Voglbronner. "Teraz tylko brakuje abyście mogli coś przypisać leutnantowi Brackwede i hrabinie Oldenburg.

- Mogę, panie sturmbannführerze! W mieszkaniu, w którym oboje spędzali noc, ukrywał się Żyd. Tym samym może tu wchodzić w grę współdziałanie, do tego wprowadzenie władzy w błąd, podejrzenie o składanie fałszywych zeznań; z tego da się nawet wywieść działalność antypaństwową.

- Czy te gołąbki mają już pojęcie o pańskim szczęściu?

- Najmniejszego! Sprawiają wrażenie całkiem naiwnych. Nie potrafią sobie nawet wyobrazić, jakimi możliwościami dysponujemy. Najwyraźniej wciąż jeszcze wierzą w podręcznikową sprawiedliwość.

- Niech więc pan tych .naiwniaków pozostawi z ich wiarą, przynajmniej na jakiś czas. Niech pan się z tym nie spieszy. dopóki nie otrzyma pan innego rozkazu bezpośrednio ode mnie. Poza tym, mój drogi, to jest prawdziwa robota. I obojętnie co. się zdarzy, jeśli nie popełni pan błędu, nie ominie pana awans. Tak jak i mnie..

Oberleutnant Herbert udał się na dół na tajną naradę. W piwnicy miał się spotkać z kolegą ze służby łączności Chodziło o „ewentualną koordynację wspólnych dążeń” - jak to zostało sformułowane.

Herbert starał się być niefrasobliwie dobroduszny, pragnął nie rzucić się w oczy. Udało mu się. Nie zauważony mijał korytarze, szedł

obok oficerów, którzy stali w małych grupkach, ale prawie nic nie mówili. Pełno ich też było na schodach; zbierali się również na dziedzińcu. Większość z nich nie była jeszcze nastawiona negatywnie wobec „zasadniczej zmiany”. Ale już odzywały się tu i ówdzie „głosy, ostrzegawcze”.

- Jestem - powiedział oberleutnant Herbert i podszedł do wysłannika pododdziału łączności doktora Röhriga.

Podali sobie ręce. Potem wycofali się do niszy. Następnie zapewnili siebie nawzajem, z niezbędną ostrożnością, że radzi są temu spotkaniu.

Tę wielką chwilę mieli do zawdzięczenia Molly Ziessemann. Dane jej było wziąć udział w niemałym stopniu w tej całej pułapce światowej polityki. Uczyniła to we właściwy sobie sposób. Ówczesna narzeczona i współpracownica oberleutnanta Herberta kiedyś sama pracowała w węzle łączności na Bendlerstrasse, wciąż jeszcze zbiegały się tam tak zwane „czułe więzy”. Doszło więc do tego, że Molly stała się jednym z ważniejszych ogniw łączących obie te grupy.

- Mam nadzieję - powiedział Herbert - że wy teraz na dole jesteście lepiej poinformowani o wszystkich wydarzeniach; my błądzimy, że tak powiem, po omacku w ciemnościach;

Czy pan jest za, czy przeciw führerowi? - zapytał wprost wysłannik służb łączności.

Co za pytanie! - Herbert wyprostował się, okazując wzburzenie, które miało wyglądać na szczere. - W końcu jestem tu oficerem odpowiedzialnym za ideologię narodowosocjalistyczną! Tym samym jestem zdeklarowanym oficerem führera! - I od razu szeptem; poufnym tonem, dodał: - Ale führer podobno został zabity, W każdym razie nie wszystko jest tu całkiem jasne.

- Führer żyje! A to, co się dzieje w tym budynku, to jest zdrada stanu.

-Człowieku! Jest pan tego pewien?

Herbert zdawał się drżeć. Jego skóra lśniła od potu - otarł rękawem mokre czoło.

- Co pan zamierza robić? zapytał wysłannik.

- Ja oczywiście nie jestem tak zupełnie nie przygotowany – powiedział z wysiłkiem. Nastawiłem się nawet przezornie na najbardziej niemożliwe, zażądałem broni z arsenału.

- Przed paroma godzinami, wiemy od tym. Ale ta broń jeszcze nie

W oryginale: „zarte Bande”, aluzja do konkurencji pomiędzy różnymi służbami Wehrmachtu (abwehra) i RSHA (m.in. gestapo i SD) (przypp.- red.)

nadeszła. A nawet gdyby się tu znalazła, w jaki sposób zamierzałby pan z niej skorzystać?

- A więc pan o tym wie. To bardzo dobrze, bardzo dobrze! Wobec tego biorę pana na świadka! - Oberleutnant wyprężył się. - Jak tylko broń nadejdzie, zrobimy tu porządek. Czy pan jest istotnie pewien, że Hitler żyje?

- Już od paru godzin stosownie do tego działamy.

Opór wobec oporu znacznie się wzmocnił w piwnicy zajmowanej przez węzeł łączności na Bendlerstrasse. Leutnant Röhrig, jego pomocnik sierżant i inni oddani żołnierze dobrze się spisywali: zaczęli już unieważniać poprzednie dalekopisy; czuwali nad wszystkimi rozmowami telefonicznymi Stauffenberga i jego przyjaciół; zorganizowali nawet stałe połączenie z kapitanem z Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

- Teraz i ja jestem całkowicie zdecydowany - zapewnił Oberleutnant Herbert.

- Chcę pójść do mojego mieszkania - takie życzenie wyraził generał Fromm. - Zamierzam położyć się spać.

Siedział raczej pokojowo usposobiony. Zjadł kanapki, wypił do tego butelkę czerwonego wina. Trzej pozostali uwięzieni generałowie szefowie wydziałów, otaczali go w milczeniu. Oni, także zostali wspaniałomyślnie zaopatrzeni przez kasyno.

- Gotów jestem dać słowo honoru w każdej żądanej formie, że będę respektował fakt mojego aresztowania, dopóki będzie ono trwało - oświadczył Fromm.

Ta propozycja została przekazana dalej przez oficera, który pilnował aresztanta. Dotarła do Olbrichta, Hoepnera i Becka. Odbyli krótką naradę. Przysiężone słowo honoru naczelnego dowódcy zrobiło wrażenie. Generał Beck nie wypowiedział się na ten temat. Olbricht oświadczył, że jest niekompetentny. Hoepner powiedział:

- W ten sposób przynajmniej uwolnimy się od niego. Albowiem świadomość, że ma się Fromma na karku, nie jest przyjemnym uczuciem.

- A więc dobrze - zgodził się Olbricht niechętnie.

Tym samym zezwolono Frommowi, aby udał się do swojego mieszkania, które miało połączenie z pomieszczeniami biurowymi. Jego słowo honoru przyjęto jako wiążące. Fromm podniósł się, poprosił trzech swoich generałów, aby mu towarzyszyli, skinął życzliwie głową pilnującemu go oficerowi i zniknął.

Tym samym generał Fromm udał się do swojej lisiej nory, którą znał lepiej niż pilnujący ją ludzie.

- Moi panowie - rzekł do swoich generałów - a teraz będziemy działać.

Szefowie wydziałów stali w milczeniu; Zbyt straszne było dla nich to wszystko, co im się przytrafiło.

Ale Fromm powiedział:

- Ja zostanę tu, na posterunku. Nie ze względu na słowo honoru, którego praktycznie wcale nie dałem. Niezależnie od tego, że i tak byłoby nieważne wobec zdrajców, zamierzam przeczekać, aż znów będę miał pełną swobodę działania.

Znalazł pełne zrozumienie. Ucieszyło go to i dodało odwagi.

- Ale wy, moi panowie, zaalarmujecie zbrojne oddziały!

Polecił generałom, aby za nim poszli. Przepuścił ich tylnymi schodami do oddzielnego wyjścia, do wąskich oszklonych drzwi na prawo od hallu. Tylko on miał do nich klucz. Były nie strzeżone.

- Spodziewam się szybkiej interwencji. Macie w tej sprawie moje wszelkie pełnomocnictwa. Czekam na rezultaty.

- Panie kapitanie - zawołał oberleutnant Herbert, wpadając bez tchu do gabinetu hrabiego von Brackwede - teraz jest już pewne, że chodzi tu o zdradę stanu!

- Skąd pan to wie? - zapytał hrabia i założył sobie monokl na lewe, słabsze oko.

- Z pewnego źródła!

- Więc to chyba prawda - powiedział von Brackwede niemal wesoło. - Dziwi mnie tylko, że potrzebował pan aż tyle czasu, żeby to stwierdzić.

- Pan o tym wie? - zapytał Herbert zdumiony.

- Oczywiście.

- Wobec tego nic nie rozumiem. Dlaczego więc pan nie przeciwdziała?

- A w jaki sposób, mój drogi?

- Chyba przy pomocy sił zbrojnych! Nie sądzi pan?

Von Brackwede uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Moje uznanie, drogi Herbercie, dla pańskiej gorliwości. A zaufanie, jakim pan mnie darzy, jest wprost wzruszające. Mogę panu jednak tylko poradzić: niech pan się nie da nikomu namówić do lekkomyślnego wyłączenia swojego rozsądku.

-Jak mam to rozumieć?

- Dosłownie. Niech pan pomyśli przy tym o następującej możliwości: rewolta, konflikt państwowy, pucz, niech pan to nazywa, jak pan chce, istotnie coś takiego zostało przedsięwzięte. Ale co potem, kiedy plan się nie powiedzie?

Herbert wydawał się być przyciśnięty do muru. Stał jak oszołomiony. Patrzył bezradnie na swojego kapitana, jakby szukając pomocy. Ale kapitan mówił dalej:

- Przypuśćmy, że cała ta rebelia nie wypali. W porządku, wówczas wiadomo będzie, kto się dopuścił zdrady. Jeśli powstanie się powiedzie, wtedy automatycznie pojawi się inny gatunek zdrajców stanu. Chyba nie chce pan lekkomyślnie do nich należeć?

Oberleutnant potrząsnął niemal automatycznie głową. Nie, tego nie chciał! Pogmatwane myśli kotłowały mu się w głowie.

- Do diabła! Więc co mam robić?

- Czekać, mój drogi... Cóż innego pozostało?

W ten sposób hrabia von Brackwede na nowo obezwładnił grupę Herberta, przynajmniej na kilka najbliższych godzin. Potem dopiero nadeszła broń z arsenału .

Około godziny 21.00 feldmarszałek Keitel nadał z głównej kwatery führera następujący telegram „do wszystkich dowódców”.

„Führer mianuje, ze skutkiem natychmiastowym, reichsführera SS Himmlera dowódcą armii rezerwowej... Rozkazy Fromma, Witzlebena czy Hoepnera są nieważne.”

Telegram ten dotarł również na Bendlerstrasse, tylko parę minut później. Leutnant Röhrig trzymał go triumfalnie w ręku.

- Teraz już wszystko jasne! - zawołał.

- Czy mamy to traktować jako rozkaz najwyższej wagi? - zapytał sierżant.

- Oczywiście! Popchniemy go najszybciej, jak tylko się da, we wszystkich kierunkach.

- A rozkazy z góry? - Chodziło tu o dalekopisy i telegramy od Olbrichta, Stauffenberga i Mertza. - Co dalej z nimi robić?

- Będą od tej chwili spokojnie leżały - odpowiedział lejtnant Röhrig.

Na stole przy którym siedział feldmarszałek Kluge ze swymi gośćmi, paliły się świece. Wśród zaproszonych znajdował się generał von Stülpnagel i podpułkownik Casar von Hofacker. Jedli w milczeniu, siedzieli Jak skamieniali.



Szef sztabu generalnego informwał: pod St. Lo i Caen toczą się krwawe walki. Potrzebne są pilnie posiłki, ale brak jakichkolwiek rezerw. Front musi się załamać.

Głównodowodzący zdawał się nie słuchać tych wiadomości. Popijał kawę. Blask świecy pełgał niespokojnie po jego twarzy, pogrążonej w głębokiej zadumie. Ludzie z jego otoczenia myśleli: jeszcze nie, jeszcze się ostatecznie nie zdecydował.

- Proszę o rozmowę w cztery oczy — zażądał generał von Stülpnagel.

Odbyła się: ona w przyległym pokoju. Generał oznajmił:

- W tej chwili rozbrajane jest w Paryżu SD, SS i gestapo. Wszyscy zostaną aresztowani i postawieni pod sąd wojenny.

- Nie - powiedział Kluge bezdźwięcznym głosem - na to się pan nie odważy.

-To są fakty dokonane, nie mogłem postąpić inaczej, panie feldmarszałku. Teraz musi pan z tego wyciągnąć niezbędne wnioski.

- Trzeba mnie było o tym wcześniej zawiadomić! - zawołał Kluge oburzony. - Nie przyłączam się. - I pospiesznie dodał: - Zwalniam pana ze stanowiska!

Kluge ze wszystkich sił starał się opanować. Podeszedł zdenerwowany do drzwi, przystanął na kilka chwil, potem zawrócił i rzekł do generała Stülpnagla oburzony, a jednocześnie pufale:

- Niech pan się ukryje, niech pan spróbuje uciec!— Nie mogę.

-Ma pan jeszcze tylko tę możliwość.

- Nie, nawet jeśli teraz pan będzie działał zgodnie ze swoim sumieniem.

- Ponoszę odpowiedzialność za setki tysięcy żołnierzy - powiedział von Kluge twardo. - Kto mnie od niej uwolni?

Niech pan myśli szerzej, niech pan myśli o Niemczech!

Nie pozwolę sobie na awanturę. To moje ostatnie słowo w tej sprawie. Cieszyć się wszyscy moją najgłębszą sympatią; ale nie aprobatą: Czy też mam się wyrazić jaśniej?

- Nie - powiedział generał von Stülpnagel, odwracając się.

- Co innego gdyby ta świnia była martwa! -zawołał von Kluge gwałtownie.

Wkrótce potem feldmarszałek podpisał wiernopoddańczy telegram z życzeniami, skierowanymi do naczelnego wodza: „...ten podły zamach na Pańskie życie, mój Führerze, dokonany ręką mordercy, nie udał się z łaski Opatrzności... życzę Panu szczęścia i zapewniam Pana,

mój Führerze, o mojej niezmiennej wierności, cokolwiek by się stało..."

Cokolwiek by się stało!

Elisabeth hrabina Oldenburg-Quentin patrzyła na otwartą teczkę, która stała na stole. Patrzyła na wysuniętą dolną szufladę komody i zdjęcia, które tam leżały. Leutnant von Brackwede wyglądał tak, jakby nie chciał ich widzieć, Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do krzesła i usiadła. Jej uśmiech był gorzki; wyczerpana Zamknęła oczy. Konstantin powiedziała przeciągle:

- Oczywiście nie czynię ci wyrzutów!

- A za cóż to? - zapytała Elisabeth z niespodziewaną siłą. Znow otworzyła oczy i przyglądała mu się, jakby go widziała po raz pierwszy.

Konstantin stał pośrodku pokoju. Jego Krzyż Rycerski lśnił łagodnie w blasku późnego popołudnia. Młodzieńcza twarz nabrała jakby starych rysów. Elisabeth ogarnęło współczucie.

- Przecież nie ma nic, co mógłbyś mi zarzucić - powiedziała, ale jej głos brzmiał krucho i słabo. - Powiedz, co cię niepokoi?

- Nic - odrzekł Konstantin zaczepnie.

Elisabeth uniosła nieco ręce w jego stronę, ale opadły bezsilnie; Oparła się o krzesło:

Czy chodzi o zdjęcia? - zapytała z wysiłkiem.

- Nie - odpowiedział. - Te zdjęcia są wyłącznie twoją własnością.

- Zgoda, Elisabeth jakby nieco ulżyło. - A więc o co, Konstantinie? O zawartość teczek?

- Nie - . mówił jakby mechanicznie - Nie mam z tym nic wspólnego. A co ma z tym wspólnego mój brat, to już jego rzecz. Poza tym jestem nadal przekonany, że mój brat to człowiek honoru...

- Bo tak jest naprawdę - zapewniła hrabina Oldenburg gwałtownie. Wstała.

Do bladego nieba zachodzącego dnia domieszały się teraz krwawe promienie zachodzącego słońca. Zabarwiły wąski pokój na czerwono. Twarz Konstantina płonęła jak, w gorączce.

Trzymał przed nią list swego brata. Ręka mu drżała. Kartka poruszała się lekko jak skrzydła gołębia.

— A więc o to ci chodzi? - zapytała Elisabeth.

- Tak - odpowiedział. A ponieważ nie wzięła listu, wypuścił go z ręki. Upadł na stół - tuż obok teczeki.

- To wszystko było wczoraj - powiedziała Elisabeth cicho. A od tamtej pory wiele się wydarzyło. Bardzo wiele! Czy ty tego nie rozumiesz, Konstantin?

- Doktorze - powiedział von Brackwede do swego przyjaciela Eugena G. - Poprosiłem was do siebie, aby wam coś zaproponować, tobie i Lehmannowi.

Siedzieli w trójkę w gabinecie kapitana. Z radioodbiornika płynęły jak, zwykle nastrojowe dźwięki wielkich i małych orkiestr rozrywkowych, kapel tanecznych, zespołów ludowych i wojskowych.

- Kiedy pan coś proponuje - odezwał się Lehmann - staję się z miejsca lekko podejrziwy. Najlepiej niech pan od razu wyłoży kawę na ławę,

- Zgodą, przyjaciele. Chciałbym, abyście odbyli niewielki wieczorny spacer.

- Bez pana? - zapytał kapral.

Doktor popatrzył zdumiony.

- Czy to ma znaczyć, że mamy się ukryć?

- Coś w tym rodzaju - powiedział von Brackwede. - Jesteście, że tak powiem, odkomenderowani, na przechowanie. Lehmann zna drogę.

- Chętnie pokażę ją również panu, panie kapitanie.

- Przyjdę później.

- Albo pójdziemy wszyscy trzej, albo wcale - oświadczył doktor, nie dając się zbić z tropu.

Von Brackwede wstał, aby podejść do radioodbiornika, ponieważ ten nagle zamilkł. Kapitan przyglądał się przyjacielom błyszczącymi oczami.

- Lehmannowi mógłbym od biedy wydać rozkaz.

- W tym momencie byłbym znów dźwigowym w Porcie Zachodnim - wtrącił Lehmann - a tym samym osobą cywilną.

- Niepoprawny kpiarz - stwierdził von Brackwede. - Tobie, Eugen, w każdym razie chciałbym zadać pytanie: jaką czynność tu sprawujesz? Żadnej! A jaka funkcja jest dla ciebie przewidziana w dniu dzisiejszym? Żadna. Jak sądzisz, co mógłbyś tu robić? Nic! A więc?

- Jestem tu, to wystarczy. - Doktor wyrzekł to nieco zakłopotany. - I nie chcę być teraz nigdzie indziej!

Kapitan odwrócił się w stronę radioodbiornika. Spiker zapowiadał: - Za chwilę führer przemówi do narodu niemieckiego! - Tekst ten był wielokrotnie powtarzany.

Jest kilka minut po dwudziestej pierwszej - skonstatował Lehmann, spoglądając na zegarek.

-- No i co? - spytał kapitan. - Wciąż jeszcze za mało powodów, aby udać się na proponowany przeze mnie spacer?

.. - Istotnie, już najwyższy czas - zauważył Karzeł, szczerząc zęby.

- Właściwie najwyższy czas na kolację, inaczej odłożone dla nas fladry wystygną.

- To jest moja propozycja numer dwa - powiedział kapitan.

- Nie mam wprawdzie apetytu, ale tę propozycję przyjmuję - wyznał Eugen G.

- A więc naprzód, przyjaciele! - Hrabia von Brackwede podszedł do drzwi. - A co się tyczy twego apetytu, doktorze, to nie musisz się martwić, jestem gotów zjeść za dwóch.

- Tylko że jeszcze jestem i ja - zauważył Lehmann.

- Gdzie są meldunki o wykonaniu zadania!? - krzyczał wzburzony Hitler w swoim bunkrze. - Już dawno powinny tu być! Czyżby w moim otoczeniu byli jeszcze zdrajcy i ludzie niesubordynowani?

Znów wpadał w czarną depresję. Pełne radości oszołomienie spowodowane faktem, że opatrność go oszczędziła, szybko minęło. Po przygnębiających skargach pojawiła się nadzieja zwycięstwa. Ale i ona nie na długo wystarczyła. Führera ogarnęły ponure wątpliwości.

- Tyle zrobiłem dla tych generałów i teraz taka wdzięczność!

- Partia jest całkowicie nietknięta - zapewnij Bormann.

- W wypadku Wehrmachtu chodzi tylko o niewielką grupkę która wkrótce zostanie wyłączona - twierdził Keitel uspokajającym tonem.

Jeszcze tylko oni dwaj, reichsleiter i feldmarszałek - stanowili najbliższe otoczenie Adolfa Hitlera. Inni przebywali w pomieszczeniach dla personelu. Pracowano tam gorączkowo.

- Dlaczego Fromm się nie zgłasza? Niech się natychmiast zgłosi! Chcę z nim mówić!

- Próbujemy się połączyć z generałem - zameldował Keitel. - Jak dotąd bezskutecznie.

- Trzeba wyłączyć tę Bendlerstrasse, siedliska zdrajców! - Głos Hitlera odbił się echem od ścian bunkra. - Dlaczego jeszcze tego nie zrobiono? Czy artyleria już nadeszła? Czy jadą jednostki pancerne? Jeśli o mnie idzie, można tę stajnię zrównać z ziemią.

- Wszystkie jednostki na obszarze Berlina zostały postawione w stan pogotowia - poinformował Bormann. - Obergruppenführer Müller z gestapo kieruje osobiście tymi akcjami. Również Skorzeny

przybył tymczasem zgodnie z planem. Ma w zastępstwie Himmlera przejąć dowództwo na Bendlerstrasse.

- Ale kiedy, kiedy? - Hitler bębnił pięścią w biurko. - Co robi Remer? Czy wie, że mianowałem go pułkownikiem?

- Wie o tym - zapewnił Keitel. - Według ostatnich meldunków batalion wartowniczy został ściągnięty z dzielnicy rządowej i ruszył w kierunku Bendlerstrasse. Pułkownik Remer kazał aresztować generała von Hase, komendanta garnizonu Berlina.

- Czy postawił tę świnie pod ścianą?

- Przekazał generała ministrowi Rzeszy Goebbelsowi. Tam go zamknięto. - Keitel pospiesznie kontynuował swoje sprawozdanie. - Generał Herfurth, szef sztabu u Kortzfteischa, wyjaśnił telefonicznie, że chodzi o pucz wojskowy, ale generał trzyma cugle mocno w garści.

Führer patrzył przed siebie nieruchomo. Cisnęło mu się na usta pytanie: A kto to taki ten Herfurth? Ale takie pytanie mogłoby wzbudzić wątpliwości co do jego sławionej powszechnie „fenomenalnej pamięci”. Wolał je więc pominąć.

Ów generał major Otto Herfurth należał do sprzysiężonych. Uznał, że musi się w porę skutecznie zamaskować, izolował się, pozornie się przestawił. Inni też tak uczynili. Niejeden mimo to zginął. - Czy, Remer jest człowiekiem takiego formatu, że potrafi sprostać sytuacji?

Keitel mógł rozwiązać te wątpliwości. - Nowo mianowanego pułkownika podporządkowałem wypróbowanemu od dawna generałowi Reinicke. - A to był dobry wybór. Reinicke był uważany za znakomicie funkcjonującego człowieka „ostatecznego zwycięstwa”. - Dowodzi blokadą Bendlerstrasse.

No dobrze, dobrze! - powiedział Hitler ponaglącym tonem.

Reinicke niech się spieszy i działa radykalnie. Ale głównych przywódców całej akcji chcę dostać żywych. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak zdychają.

- Zdaje się, że klamka zapadła - rzekł prefekt policji Berlina Wolf Heinrich hrabia von Helldorf. Stwierdził to z goryczą, ale z opanowaniem: - Najwidoczniej doszliśmy do końca.

Rozmawiał ze swym przyjacielem Hansem Berndem Giseviusem. ów radca stanu był kimś w rodzaju zagranicznego reprezentanta spisku antyhitlerowskiego. Utrzymywał najbardziej liczące się kontakty zagraniczne. Był duchem konspiracyjnym, który od jedenastu lat

wzniecał niepokoje wśród przeciwników narodowego socjalizmu i torował drogę siłom napędowym.

Wahał się uparcie przed zaprzestaniem gry.. Zainwestowano w to zbyt wiele czasu, niebezpieczeństwa i nadziei. - Blisko dwanaście gorzkich lat!

- Wszystko to na próżno, jak pań widzi.

Przynajmniej jeszcze jedną godzinę - zaklinał Gisevius hrabiego Helldorfa.

Ten oparł się wyczerpany. Głos mu się łamał.

- To beznadziejne - powiedział.

Hans Bernd Gisevius pochylił się do przodu błagalnie. Jego oczy, które widziały tak wiele, były teraz puste. Apelowal jednak do wiary w Niemcy. Choćby do resztek tej wiary!

Hrabia Helldorf, prefekt policji, oświadczył:

Niech pan sobie nic nie wmawia! Od lat generałowie srają na nas. Wszystko obiecali. Niczego nie dotrzymali. Również to, co się dziś rozegrało, jest niczym innym jak gównem!"

A pułkownik Claus hrabia von Stauffenberg bez przerwy wykrzykiwał:

- Jest to chwila, w której oficer, i tylko oficer, musi się wykazać!

W kamienicy na Schifferdamm 13 leżały w piwnicy zwłoki ortsgrappenleitiera Jodlera. Niegdyś tak masywnie wyglądające ciało spoczywało teraz oklapłe. Pobity „gość” z trzeciego piętra siedział przy nim w kucki pojękując cicho.

Na parterze Voglbronner siedział rozparty w fotelu. Urzędnik policji stał pod drzwiami, czekając na rozkazy. W pomieszczeniu obok Maria sapała wyczerpana na gołej podłodze.

Mieszkańcy pierwszego piętra starali się być niewidoczni. Na drugim piętrze Breitstrasser dreptała niespokojnie. Na trzecim nauczyciel Seheimer znów zaaplikował swojej żonie silną dawkę środka nasennego. Sam otworzył swego rzekomo ulubionego *Fausta*, ale go nie czytał. Nasłuchiwał przy ścianie.

Usłyszał najpierw wesołe i głośne, ale niezrozumiałe słowa; potem ordynarny chichot; wreszcie jęk, Seheimer znał tego rodzaju efekty akustyczne, dość często dochodziły do niego z mieszkania obok. Zmieniali się tam zapewne mężczyźni, ale odgłosy pozostawały zawsze takie same.

Jesteś chłop na schwał - powiedziała Erika. - Powiedz tylko, co mam dla ciebie zrobić, a chętnie to zrobię.

- Świetnie - rzekł Jodler. - Co byś powiedziała na przykład na pierwszorzędne zeznanie świadka? Mógłbym je należycie wykorzystać.

Potem oczywiście będę gotów do dalszych Wzajemnych usług.

W mieszkaniu obok Konstantin i Elisabeth wciąż jeszcze stali naprzeciw siebie z pochylonymi głowami. Patrzyli na stół, który znajdował się pomiędzy nimi, na teczkę, która na nim stała, na list. Żadne z nich najwidoczniej nie miało ochoty na rozmowę,

Ale potem Elisabeth zawąłowała kruchym jak szkło głosem:

—Dlaczego nie możesz mi uwierzyć?

- Oduczyłem się tego w dniu dzisiejszym - odparł cicho Konstantin.

Krótko po 22.00 ciężarówka wojskowa wtoczyła się przez bramę gmachu na Bendlerstrasse na dziedziniec. Nikt jej nie zatrzymywał, nikt nie kontrolował, nikogo zdawała się nie obchodzić.

Towarzyszący szoferowi podoficer udał się niechętnie do wartowni położonej na lewo od wjazdu. Panował tu silny niepokój, który wyglądał na niezgodny z planem. Co najmniej dwie różne grupy spierały się co do zakresu obowiązków i pełnomocnictw.

Podoficer, który przyjechał ciężarówką, krzepki Pomorzanin, potrząsnął zdumiony głową i podszedł po prostu do najbliższego telefonu.

- Czy w tej stajni znajduje się oberleutnant Herbert? - zapytał.  
- Połączcie mnie z nim..

Mężczyźni w wartowni stali teraz wokół dwóch oficerów, z których każdy chciał tu przejąć służbę. Trzech który również ani myślał dać się zepchnąć, siedział początkowo na krześle i czekał; Żołnierze szepotali coś między sobą. Nagłe na kilką sekund zapanowała cisza. Jeden z oficerów cisnął swój pistolet na stół.

I w tej ciszy odezwał się podoficer ze zbrojowni, spokojnie, jak gdyby dostarczył tylko kilka skrzynek piwa:

- Przywiozłem ładunek broni i amunicji. Stoi przed wejściem dwa a. Jeśli nikt zaraz nie przyjdzie, zabieram wszystko z powrotem.

Z tymi Słowami podoficer odłożył słuchawkę i rozejrzał się dokoła w oczekiwaniu. I choć chyba każdy w pomieszczeniu słyszał, co nowo przybyły właśnie powiedział do słuchawki, nikt, zdaje się, nie był szczególnie zaskoczony. Wszyscy mieli własne zmartwienia. Instynktownie wyczuwali że należy trzymać się z daleka od tego całego bałaganu. Była to stara mądrość wojaków.

Przy ciężarówce czekało już sześciu ochotników gotowych do przenoszenia broni, z oberleutnantem Herbertem na czele. Ale oficer przekazał towar dopiero po pokwitowaniu, przy czym bacznie pil-

nował dokładnego przejrzenia i przeliczenia. Paczki i skrzynki zostały następnie z mrówczą skrzętnością zaciągnięte na trzecie; piętro, do gabinetu Herberta.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytał kapitan von Brackwede.

Oprócz ludzi Herberta był on jedynym człowiekiem na Bendlerstrasse, który zatroszczył się o ten transport. Zameldował mu o tym jeden spośród trzech wystawionych przez Lehmana „psów gończych”.

Bardzo dziękuję, panie kapitanie! - Oberleutnant Herbert powiedział to uprzejmie, wciąż jeszcze nie orientując się w sytuacji.

- Czy pan już się dowiedział, kogo pan chce za pomocą tego załatwić?

- To z czystej przezorności - zapewnił oberleutnant pospiesznie - Chyba że może mi pan już wymienić pewne nazwiska?

- Kilka. Na przykład pięciu generałów, którzy tymczasem zostali tu aresztowani. Łącznie z Frommem.

- Ale Hitler żyje!

- Jak długo jeszcze?

Herbert ciągnął zawzięcie skrzynię zawierającą dwa pistolety ma szynowe. Targały nim gwałtowne wątpliwości. Pot, który wystąpił mu na twarzy, nie był spowodowany jedynie wysiłkiem fizycznym.

- Jesteśmy teraz na wszystko przygotowani! - zawołał do przyjaciół, ale zaraz potem dodał: - Tylko musimy sprawę gruntownie rozważyć.

A na te rozważania zużyto dużo czasu, prawie godzinę.

Sturmbannführer Maier zapinał powoli mundur. Nadeszła wreszcie godzina, aby się pożegnać ze swoją damą. Miał za sobą serię rozmów telefonicznych, z których dowiedział się zdumiewających nowości. Teraz należało się spieszyć.

Szczególnie alarmujący wydał się Maierowi fakt, że nie zadzwonił się do kapitana von Brackwede. A to oznaczało, że albo kazał mówić, że go nie ma, albo nie mógł już rozmawiać; Tak czy owak, stan ten przyspieszył jego decyzję.

Najpierw jednak zamierzał na koniec podłożyć jeszcze kilka min. Zadzwonił do Voglbronnnera i zapytał: - Co z leutnantem? -Otrzymał



odpowieź, że leutnant von Brackwede upiera się, aby opuścić budynek. Musi się koniecznie zobaczyć z bratem.

- To wspaniale! - zawołał Maier wielce uradowany. - Dokładnie o to chciałem go prosić! Powiedzcie leutnantowi że zaraz tam będę i zawiozę go do brata. Z czystej przyjaźni.

Następnie Maier zadzwonił do oberleutnanta Herberta. Powiedział mu:

- Mam nadzieję, że poczynił pan wszelkie przygotowania. Nadeszła pora. Przyślę panu leutnanta von Brackwede. Będzie na Bendlerstrasse za kwadrans. Przekaze panu moje wytyczne, niech go pan łapie przy wejściu.

Teraz Maier zażądał połączenia ze swoim biurem.

- Pucz Wojskowy odkryty. Wszystkie jednostki do mojej dyspozycji. Miejsce spotkania: południowy róg Bendlerstrasse, przy kanale Sprewy.

Pozwolił sobie jeszcze na kilka sekunda aby się pożegnać ze swoją damą. Potem wybiegł i przywołał gwizdem samochód. Wóz wygramolił się ze stosu ruin.

- Schifferdamm trzymaście! - zawołał sturmbannführer - ale gazem - i wskoczył do środka.

O godzinie 22.30 generał Olbricht zebrał znów wokół siebie oficerów swojego biura, po raz trzeci tego dnia. Wyjaśnił im: berliński batalion wartowniczy, który był wyznaczony także do regularnej ochrony Bendlerstrasse, przekazał rozkaz swoim ostatnim żołnierzom, pełniącym jeszcze służbę w gmachu, aby opuścili posterunki.

- Teraz, moi panowie, utworzymy straż oficerską i będziemy się sami troszczyć, o swoją ochronę.

- Dlaczego dopiero teraz? - zauważył major z przyganą.

A oberleutnant zawołał ostrym tonem: - O co tu właściwie chodzi?

Twarz Olbrichta jakby znieruchomiała od bolesnego oburzenia. Z trudem powiedział:

- Nie zależy mi, panowie, na strachliwych powątpiewaczach, potrzebuję ochotników.

Zgłosiło się sześciu spośród trzydziestu sześciu oficerów, wśród nich czterech, którzy już wcześniej przystąpili do działania. Reszta opuściła pomieszczenie, większość bez pożegnania.

- I to ma być wszystko? - zapytał sam siebie generał Olbricht. Był wstrząśnięty.

Leutnant von Brackwede czekał przed domem na Schifferdamm 13. Pas miał zapięty, czapkę na głowie, na rękach skórkowe rękawiczki, Teczke ścisnął pod pachą. Voglbronnier i komendant policji stali obok niego.

- Szybko, niech pan wsiada, drogi przyjacielu! -zawołał Maier.  
- Stała się straszna rzecz. Musimy natychmiast jechać na Bendlerstrasse!

Leutnant wszedł i auto ostro ruszyło z miejsca. Sturmbannführer ujął dłoń Konstantina i zapytał:

- Czy słuchał pan wiadomości przez radio? Czy pan wie, że dokonano zamachu na führera?

To leutnant wiedział. Wiedział też, że führer doznał tylko lekkich zranień i potłuczeń...

- A czy wie pan także, że chodzi tu chyba o pucz wojskowy? Że ruszyły czołgi? Że generałowie są aresztowani? Że zamachowiec zakradł się na Bendlerstrasse i że stamtąd podminowuje się systematycznie niemieckie fronty? Po to, aby obalić führera?

Tego leutnant nie wiedział. Patrzył przed siebie blady jak ściana. Usłyszał, jak Maier zapytał:

- Panie leutnancie, czy można na pana polegać? Na pańskiej wierności wobec führera?

- Całkowicie! - zapewnił leutnant ze ślepym oddaniem.

- W porządku! - Sturmbannführer rozparł się zadowolony na siedzeniu samochodu. Jego dłoń spoczywała na teczce Konstantina, która stała pomiędzy nimi. - Ja sam niestety nie mogę jechać na Bendlerstrasse, jeszcze nie, nie ryzykując głową. A ta jest mi chwilowo potrzebna. Ale pan może się tam dostać bez przeszkód. Przywejściu będzie na pana czekał oberleutnant Herbert.

- A mój brat? - zapytał Konstantin. — Co z moim bratem?

- Do niedawna byłem z nim w stałym kontakcie -odparł Maier zgodnie z prawdą, co go rozbawiło. - Potem jednak nie mogłem się już z nim połączyć. Kto. wie, co się z nim stało! Być może będzie pan musiał torować sobie drogę do niego, mój chłopcze. I właśnie do tego celu potrzebny będzie panu Herbert i jego ludzie. No, a teraz powiem, jak ma się pan zachować.

Przez resztę drogi sturmbannführer udzielał leutnantowi wskazówek. Okazał się przy tym ze wszech miar fachowcem wkrótce też miała to potwierdzić praktyka.

Nocny Berlin jakby przepływał na ruchomej taśmie: ciemne fasa-

dy domów, groteskowe kształty stosów ruin, uschnięte drzewa, sterzące kikutami w górę, które zdawały się rozdierać granatowe niebo.

Samochód zatrzymał się zaledwie trzysta metrów od gmachu na Bendlerstrasse, tuż przy czołgu rozpoznawczym, który wyglądał, jak gdyby był unieruchomiony.

- A więc - zawołał sturmbannführer do leutnanta zachęcająco połamania rąk i nóg!

- Potrzebne mi są natychmiast pełnomocnictwa! - zawołał jakiś pułkownik wtargnąwszy do środka.

Trafił na poważne, milczące zgromadzenie ludzi, którzy sprawiali wrażenie ledwo panujących nad sobą żałobników. Generał Olbricht wyszedł mu naprzeciw. Z trudem mógł ukryć zdumienie.

- Słucham, czego pan sobie życzy?

- Potrzebny mi rozkaz na piśmie, pełnomocnictwo, abym stawił czoło niezdecydowanym czy wręcz nastawionym niechętnie oficerom. Wówczas rozkażę, jak było przewidziane, obsadzić rozgłośnię.

- Pułkownik Wolfgang Müller ze szkoły piechoty w Döberitz - szepnął Mertz von Quirnheim do generała.

Olbricht skojarzył sobie: tamtejszy generał Hitzfeld nieobecny z powodu śmierci w rodzinie. Zastępca, pułkownik Müller, cały czas w podróży z wykładami. Obecnie przybył tu w celu potwierdzenia wykładu, który odbył się chyba przed siedmioma godzinami.

- Dziękujemy panu - powiedział Olbricht nie bez wzruszenia.

Nawet kapitan von Brackwede porzucił na kilka sekund swą zwykłą ostrą ironię. Uśmiechnął się do doktora. A potem zapytał:

- Czy ma pan poza tym jeszcze jakieś życzenie, panie pułkowniku?

- Dziękuję - odrzekł Müller. - Ważne jest dla mnie tylko pełnomocnictwo.

Pułkownik Mertz von Quirnheim podyktował je z kamienną twarzą. Generał Olbricht podpisał. Müller wziął papier z ulgą.

Był to ostatni pisemny rozkaz grupy spiskowców, który tego dnia wyszedł z Bendlerstrasse. Była godzina 22.40.

- Każę pana pułkownika wyprowadzić przez jednego z moich ludzi.

- Von Brackwede pochylał się lekko przed Wolfgangiem Müllerem.

- Znam w tej lisiej norze kilka dziur, o których nie wie nawet Fromm.

- Powodzenia i bardzo dziękuję - powiedział generał Olbricht powściągliwie. - Fakt, że istnieją tacy ludzie jak pan, nadaje sensu temu, co próbujemy czynić.

- Tędy! • zawołał oberleutnant Herbert przytłumionym głosem, stojąc przy jednym z wejść na dziedziniec. Zatrzymał się w najciemniejszym miejscu, jedynie ręka, którą kiwał, była widoczna. - Tylko ostrożnie! - Wziął leutnanta von Brackwede za rękę i potrząsnął nią. Pociągnął go przy tym w cień. - Z czym przychodzisz? Czy istotnie przybywasz wprost od sturmbannführera Maiera?

- Przywiózł mnie tu. Co się właściwie wydarzyło?

- Do diabła! Człowieku, gotuje się jak w kotłach czarownic. Wszyscy wszystkich szpiegują, wszyscy wszystkich podejrzewają, tylko nikt, nie wie dokładnie dlaczego. Czego oczekuje sturmbannführer?

- Gdzie jest mój brat? Co u niego?

- Nie mam pojęcia! Gabinet pusty. Chciałem go zawiadomić o twoim przybyciu, ale nikogo nie zastałem. Ale czego chce Maier?

Zatrzymali się zasapani na podeście schodów. Konstantin przyciskał do siebie teczkę. Herbert przechylił się przez poręcz i patrzył, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Czy możesz skombinować kilku zaufanych ludzi? - zapytał Konstantin zgodnie ze wskazówką Maiera.

- Pełna stajnia już gotowa.

- Macie broń?

- Chodź! - Leutnant pospieszył do swego gabinetu, rozglądając się cały czas dokoła, jakby się bał, że jest śledzony. Tu szerokim gestem wskazał zgromadzony towar. - No, co na to powiesz? - zapytał z dumą leutnanta.

Konstantin von Brackwede nic nie powiedział. Ujrzał bowiem u stóp zmontowany i gotowy do użytku karabin maszynowy, poza tym leżały tam pistolety maszynowe, karabiny, rewolwery wojskowe starej produkcji, nawet dwie rakiety. Z tyłu stali członkowie grupy Herberta - później nazwani grupą Heythegoj według stopnia: major, dwaj kapitanowie, oberleutnant, dwaj leutnanci, do tego trzech podoficerów i czterech innych mężczyzn.

- Nasz kolega - oznajmił Herbert swoim ludziom i wskazał przy tym na Konstantina - przynosi wskazówki z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Leutnantowi spieszo było wypełnić polecenie, chciał bowiem ja t najszybciej odszukać brata.

- A więc sturmbannführer Maier polecił przekazać, co następuje: w tym gmachu dokonana się zdrada stanu, Idzie o śmierć albo życie. Trzeba przeprowadzić natychmiast kontrakcję z użyciem siły. Nateży

przy tym przeczesać wszystkie pomieszczenia, a wszystkie napotkane osoby ustawić w szeregu i zapytać czy są za. czy przeciw führerowi.

- Wszystkie osoby? - zapytał major Heythe.

- Wszystkie! Bez wyjątku, bez względu na stopień służbowy.

- A jeśli ktoś się nie zdeklaruje, co wtedy?

- Jeśli ktoś się nie opowie jednoznacznie za führerem, należy go aresztować, powiada sturmbannführer. Kto jest wierny führerowi, powinien niezwłocznie przystąpić do akcji.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, mamy ewentualnie wystąpić nawet przeciwko generałom?

- Tak, zdaniem Maiera, który kazał powiedzieć, że kto bierze udział w tym przedsięwzięciu, ten działa praktycznie bezpośrednio na polecenie führera.

- A więc do roboty! - wykrzyknął oberleutnant Herbert i sięgnął po pistolet maszynowy.

- Tylko żadnych dzikich akcji, proszę - zażądał major, występując do przodu. On również wziął pistolet. - Musimy się najpierw szybko i dokładnie zorganizować. Trzeba utworzyć oddziały szturmowe, wyznaczyć łączników, urządzić coś w rodzaju aresztu.

- Ja już zaczynam! - zawołał Herbert i chwycił za broń. Zwietrzył konkurencję. Spieszyło mu się. Skinął na dwóch młodych oficerów:

- Wy za mną. A pan, panie majorze, może zorganizować resztę.

-Oberleutnant wybiegł. Najwidoczniej zapomniał o Konstantinie. Leutnantowi było to na rękę. Młody von Brackwede oddalił się z teczką pod pachą. Chciał odszukać brata.

- Czy masz jeszcze cygaro, Fritz? - zapytał przyjaciela pułkownik von Stauffenberg.

- Niestety nie - odpowiedział kapitan von Brackwede. - Jak widzisz; Claus, nawet moja organizacja wykazuje braki.

Przez kilka minut pułkownik nie telefonował. Dla kapitana był to objaw niepokojący. Zapytał cicho:

- Jesteś zmęczony, drogi przyjacielu?

Stauffenberg potrząsnął głową.

- Czekam tylko na połączenie z Paryżem.

- Ty nigdy nie przestaniesz, prawda? .

- Nie - powiedział Claus. I jakby od niechcenia dorzucił: - Poinformuj innych, że nie wolno nikogo zmuszać ani nawet namawiać, aby się do nas przyłączał. Więcej: każdy, kto zechce i może, powinien odejść. Wszelka odpowiedzialność spada na mnie. Nie odstąpię od

tego. A przede wszystkim ty powinienes się ukryć". Ktoś musi zaświadczyć o tym, co tu się stało.

- Chętnie, Claus - powiedział von Brackwede równie spokojnie. - Ale mam rładzieję, że pozwolisz mi jeszcze na wgląd w ostatnie możliwości. .

- Mogę ci tylko powiedzieć, Fritz, to, co dopiero przed kilkoma minutami powiedziałem generałowi Beckowi: proszę, abyście pozostawili mnie, tylko mnie, tę resztę, która jest jeszcze do zrobienia.

- I co Beck na to odpowiedział?

- On trwa na posterunku i nie zamierza go opuszczać, taka była odpowiedź generała.

- Moja jest identyczna, Claus.

Stauffenberg słuchał teraz w napięciu tego, co dochodziło do niego przez telefon. Jego twarz lśniła w blasku świece.

-7 W Paryżu podjęto akcję przeciwko SD, SS i gestapo. Aresztowano wszystkich. Paryż tkwi mocno w rękach naszych przyjaciół.

- Najwyższe uznanie - powiedział kapitan von Brackwede bez cienia sarkazmu. - Ale my jesteśmy w Berlinie. I teraz ja znów przejmę inicjatywę. Spróbuję zorganizować dla nas kilka cygar.

Oberleutnant Herbert wraz ze swymi ludźmi zaczął przeczesywać najpierw trzecie piętro.

Odbywało się to w następujący sposób: podoficer otwierał drzwi pokoju wpadał tam Herbert z pistoletem maszynowym gotowym do strzału; obaj leutnanci stawali po bokach. Herbert krzyczał zgodnie ze wskazaniami:

- W tym gmachu, dokonano zdrady stanu! Zdecydujcie się, jesteście za czy przeciw führerowi?

Przeważnie wyważał otwarte drzwi. Majorzy i pułkownicy podnosili bowiem ręce w górę z oddaniem, co dla Herberta stanowiło budujący widok. Jednym tchem oświadczaali, że oczywiście są za führerem.

- Więc przyłączcie się do nas! - żądał Herbert z oszłamiającą stanowczością. - Wasza postawa musi być jasna i jednoznaczna. Zapewniam was, że pożałujecie działań połowicznych. Niech żyje fuhrer!

Sformułowanie takie powtarzał Herbert co najmniej tuzin razy; szybko nabrał wprawy. Oficerowie sztabowi zapewniali o swej bezwzględnej lojalności. Generałowie wyrażali się o nim z uznaniem.

Leutnanci odbezpieczali pistolety i szli za nim. Wkrótce otaczała Herberta gromada wiernych poddanych führera.

- Sprawa posuwa się naprzód! -zawołał oberleutnant radośnie. W ciągu dziesięciu minut gorliwych badań sumienia za pomocą pistoletów maszynowych nie padł ani jeden strzał. Pewnemu majorowi trzeba było przycisnąć lufę do żeber, potem i on opowiedział się za führerem. Tylko jeden kapitan odmówił wszelkiej deklaracji. Czerwony na twarzy pozwolił się wyprowadzić.

Ale te okazy wierności zmieniły się w jednej chwili, kiedy horda Herberta wpadła na drugie piętro. Kilku oficerów, stojących na korytarzu, zaczęło uciekać. Nie zważali na okrzyki oberleutnanta: „Stać! Nie ruszać się!” - Ale nie zdążył zawołać: „Bo będę strzelał!”

Usłyszał bowiem z oddali serię strzałów. Ktoś opróżnił cały magazynek pistoletu maszynowego.

- Co się stało? - zapytał Herbert, oddychając pospiesznie.

Łącznik oznajmił:

- To nasz drugi oddział szturmowy, panie oberleutnancie. Kieruje nimi major Heythe. Udał się wprost do gabinetów dowódców.

Herbert zdumiał się. Ten człowiek, ten major, którego wciągnął do swojej grupy, wszedł mu najwidoczniej, w paradę! Próbuje wykraść mu sławę. Trzeba go ubiec.

Herbert pospieszył przed siebie, potknął się, upadł jak długi, rozbił sobie czoło, podniósł się. Naprzeciw niego, środkiem pustego korytarza szedł spacerkiem oficer.

- Za czy przeciw führerowi?! - krzyknął oberleutnant.

- Czy ma pan cygara? - zapytał ów oficer uprzejmie.

Dopiero teraz Herbert poznał kapitana von Brackwede. Z wielkim trudem próbował uśmiechnąć się.

- Właśnie robię tu porządek. Czy chce się pan przyłączyć?

- Dziękuję - wycedził hrabia i poprawił monokl. - Mam w tej chwili co innego do roboty. Szukam cygar, o ile to możliwe, hawańskich.

- Widać nic nie zostanie nam oszczędzone - powiedział generał Beck z ponurą twarzą.

Usłyszał strzały, które zdawały się przybliżać. Nie patrzył już nikomu w oczy, nie chciał nikogo denerwować. Podszedł do okna.

Mężczyźni w pokoju milczeli. Wyglądali, jakby na twarzach mieli przyłbice. Stali upozowani jak modele dla malarza - w grupkach uformowanych w niewielkie koła.

Tylko doktor Eugen G., siedzący za biurkiem Olbrichtaj, odsunął na bok gazetę, pod którą leżał przygotowany do strzału pistolet. Wziął go, do ręki. - Przyglądał się swojej dłoni, Była spokojna, jak gdyby znajdował się na prawdziwym polowaniu. Doktor uśmiechnął się zdumiony na tę myśl, albowiem, i on odczuwał lęk przed tym, co im wszystkim zagrażało.

Nagle drzwi, które znajdowały się na wprost lufy jego pistoletu, otworzyły się gwałtownie. Dwie sekundy potem wpadł Heythe, ale uderzył się o otwarte szeroko drzwiczki kasy pancernej, w której znajdowały się plany akcji „Walkiria”. tam się zatrzymał.

Doktor widział tylko stopy majora i jego zdumioną twarz od czubka nosa w górę. Resztę zasłaniała kasa pancerna. Eugen G. zawahał się przed wystrzeleniem - widok sprzed nim nie był pozbawiony komizmu, miał ochotę się roześmiać - a jednak wycelował.

- Nie strzelać - -rozległ się za nim dźwięczny głos generała Olbrichta. - Nie strzelać.

W tej chwili otworzyły się z trzaskiem drugie drzwi do pokoju. Wpadł oberleutnant Herbert. Pistolet maszynowy w jego drżących rękach zataczał koła.

- Gdzie jest generał Fromm?

Nie otrzymał odpowiedzi. Mężczyźni w pokoju patrzyli poza nim jakby był ze szkła. Oberleutnant Herbert, poczuwszy ogólną pogardę zaczął manipulować przy spuście.

Generale - zwrócił się szorstkim głosem do Olbrichta -żądaj wyjaśnienia.

— Nie mam panu ruc do wyjaśnienia - powiedział Olbricht.

- Wobec tego wszyscy jesteście aresztowani!

Major Heythe wysunął się do przodu. Teraz należało wykazać inicjatywę! Bo inaczej ten oberleutnant Herbert będzie pierwszy. BO nawet jeśli w tej chwili Herbert okazałby się śmiałkiem, to oh, major,, był w każdym razie lepszym organizatorem.

- Wszystkie rozmowy są zabronione - zarządził. - Zostaną panowie odizolowani. Wszelki opór jest bezcelowy i zostanie natychmiast stłumiómy. Proszę panów, abyście się bezwzględnie podporządkowali naszym zarządzeniom.

Albo on wystrzeli! - wrzasnął Herbert. - Teraz my rozkazujemy, w imię führera!

Dzięki Bogu żyjesz! - zawołał leutnant von Brackwede do swego brata.

Miał ochotę rzucić mu się na szyję, objąć go i zasypać tysiącem



pytań. Ale nie uczynił tego. Zimne szare oczy kapitana, który właśnie wszedł do swego gabinetu, powstrzymały go przed tym.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał starszy brat niemal, z niedowierzaniem.

- Maier mi pomógł. Nasz przyjaciel Maier.

Kapitan kopnął niechętnie drzwi.

- Ciebie chyba nie da się już naprawić - powiedział Fritz gorzko. - Co jeszcze musiałyby się wydarzyć, abys pojął, do czego ludzie są zdolni!

- Dokonano tu zdrady stanu - powiedział Konstantin z gorliwością, starając się bronić. - Tyle chyba jest pewne, Jestem jednak przekonany, że ty nie masz z tym nic wspólnego.

- Na Boga! - wykrzyknął Fritz-Wilhelm von Brackwede niemal rozpaczliwym głosem. - Jeśli rzeczywiście tak myślisz, dlaczego nie jesteś z tymi dzikimi obrońcami ojczyzny, którzy teraz strzelają tu na oślep, gdzie popadnie.

- Nie mogłem tego zrobić. Coś mnie powstrzymywało - wyznał Konstantin.

- Bzdura nie do pojęcia! Cały świat jest tego pełen! - Kapitan pochylił się zniechęcony. - Ale dajmy temu spokój. Nie ma czasu. Powiedz mi lepiej, gdzie jest teczka, którą ci powierzyłem?

- Przyniosłem ją. Stoi na twoim biurku.

Jeśli ktokolwiek widział kiedykolwiek Fritza-Wilhelma hrabiego von Brackwede bezradnego, to był to jego brat - w tym momencie. Spojrzał na skamieniałą twarz i otwarte usta jak u zdumionego dziecka.

- Co ci jest? - zapytał Konstantin zatroskany. -- Zle się czujesz?

- Czuję się już trupem - wybąkał martwo Fritz i odwrócił się.  
- A jest to wyłącznie zasługą mojego brata.

Uzbrojona W pistolety maszynowe zgraja napierała dalej., Dopingujący się nawzajem oficerowie wybili oszklone drzwi, które prowadziły do przedpokoju dowódcy wojsk rezerwowych. Ciężkie buty z cholewami kopały ławki wyściełane czerwonym aksamitem. Jeden z pistoletów terkotał w kierunku szafy z dokumentami. Portret Hitlera został podziurawiony.

- Wszyscy ręce do góry! Nie ruszać się! - krzyczał Herbert.

Wysoki mężczyzna zamierzał umknąć zgrai drapieżnych szarych, wilków. Był to pułkownik Stauffenberg. Oficer podniósł pistolet.

Spośród sześciu strzałów dwa zdawały się być celne, w lewe ramię i w plecy. Ale rodzaj i zasięg ran nigdy nie został dokładnie ustalony. Pozostawiając za sobą ślady krwi, Stauffenberg wybiegł w kierunku pokoju, w którym znajdował się generał Beck. Położyć go trupem! - krzyknął jeden z bandy, - Położyć trupem te wszystkie świnię!

Ale Herbert rozkazał, kierując się wskazówkami Maiera:

- Najpierw musimy uwolnić generała Fromma.

I tak się stało. Generał Fromm oczekiwał swoich wybawców w salonie własnego mieszkania. Kiedy tam wpadli, siedział w ciemno brązowym skórzanym fotelu. Jego mięsista twarz była bez wyrazu tylko oczy błyszczały. Powiedział krótko:

-Najwyższy czas! -Potem wstał i rozkazał:- Zgarnąć wszystkich podejrzanych i trzymać pogotowiu. Tego, kto spróbuje uciekać, zastrzelić, kto będzie sprawiał trudności, także! Zaprowadzimy tu wreszcie porządek!

Leuthant Konstantin hrabia von Brackwede stanął za teczką swojego brata. Ociągał się wyraźnie z oddaniem jej. - Czyżbyś miał coś wspólnego z tym szaleństwem, Fritz? - spytał z naciskiem.

- A co to cię obchodzi - rzekł brat niecierpliwie.

- Brałeś udział w tym puczu? Proszę, odpowiedz!

Kapitanowi von Brackwede udało się roześmiać.

- Mój czas jest krótki i ani myślę go marnować. Muszę jak najszybciej zniknąć, zanim ostatnie drogi ucieczki zostaną odcięte.

- A więc jednak... - wyszeptał Konstantin.

Brat ujął zdecydowanie teczkę i przyciągnął do siebie.

- Zawsze żyłem własnym życiem - powiedział, starając się przy tym uśmiechać. - Spróbuj robić tak samo na swój sposób. Teraz może się to okazać korzystne.

Kapitan otworzył teczkę i zajrzał szybko do środka. Jasne światło lampy padało na jego twarz, śmiało zarysowane czoło zdawało się świecić.

-Fritz - zapytał brat cicho-co mam teraz robić?

- Życ - powiedział kapitan i zamknął z powrotem teczkę, - A potem od czasu do czasu pomyśl może o tym, że nazywasz, się Brackwede.

- Ty wiesz, że cię kocham, Fritz, bez zastrzeżeń.

- Wiem o tym - pdrzknął brat z czułą powściągliwością. Ale jego głos zmienił się nagle, jakby zatrzasnęły się drzwi. - Nie powinna ci

to jednak przeszkadzać iść własną drogą. Nawet gdyby miała cię ona prowadzić po zwłokach twojego brata. Ponad tymi drobiazgami zarysowuje się wzniósły cel.

Zaledwie kilka minut później - krótko po godzinie 23.15 - generał Fromm stał znów za swoim biurkiem. Obok niego ustawili się oficerowie od pistoletów maszynowych. Prócz tego zabezpieczali pomieszczenie czterej podoficerowie z karabinami i granatami ręcznymi.

A w środku stali trzech generałowie - Beck, Olbricht i Hoepner; dwaj pułkownicy - Stauffenberg i Mertz; poza tym oberleutnant von Haeften, adiutant Stauffenberga. Milczeli!

Fromm patrzył poprzez tych sześciu mężczyzn. Jego głos brzmiał zimno i zdecydowanie. Powiedział:

- No więc, moi panowie! Teraz zrobię z wami to, co wy dziś po południu chcieliście zrobić ze mną. - Podniósł wręczony mu pistolet. - Złóżcie broń! - Ale żaden ze spiskowców nie miał przy sobie broni. Milczeli dalej.

Jedynie generał Beck odezwał się spokojnie i mocnym głosem:

- Zostawiłem mój pistolet w pokoju obok. Ale chciałbym go zatrzymać dla celów prywatnych.

-Niech pan to zrobi! - Fromm natychmiast zrozumiał, co Beck chciał przez to powiedzieć. Zdawało się, że mu ulżyło. - Ale niech pan to zrobi natychmiast!

Beck próbował jeszcze coś mówić o „minionym czasie”. Generał w cywilu najwyraźniej nie chciał rozstać się z życiem, nie znalazłszy przedtem u Fromma zrozumienia dla swojej postawy. Ten jednakże machnął Szorstko ręką; niech się wreszcie stanie to, co nieuniknione.

Tak więc najbardziej konsekwentny oficer, ostatni filozof pruski w mundurze, sięgnął po pistolet. Odbezpieczył go i strzelił sobie w głowę. Zachwiał się. Krew spływała po jego siwych włosach, ciekła po twarzy, ale żył.

- Pomóżcie staremu człowiekowi - zawołał Fromm do stojących wokół oficerów.

Generał Beck otrzymał inny pistolet, „naładowany i odbezpieczony”. Znów wycelował, prowadząc broń obiema drżącymi dłońmi ku głowie, i nacisnął spust. Jego czaszkę odrzuciło na bok. Tułów drgał i prężył się. Wciąż jeszcze żył.

Podoficer, na rozkaz Fromma, zaciągnął ciężko rannego, generała do sąsiedniego pokoju i tam go zastrzelił.

Gmach na Bendlerstrasse 11/13 otaczały czołgi i zmotoryzowane oddziały piechoty. Dowodził nimi generał piechoty Hermann Reinicke.

Od generała Reinickego zażądano „najściślejszej współpracy” z hauptsturmführerem SS, Ottonem Skorzenym, podczas trwania tej akcji. Skorzeny otrzymał rozkaz, aby aż do przybycia Kaltenbrunnera albo Himmlera przejąć funkcję dowódcy wojsk rezerwowych.

Oznaczało to, że od hauptsturmführera pochodziły ostatnie decydujące zarządzenia. I był on w pełni świadomy swojej pozycji. Bezceremonialnie, z zuchwałą manierą silnej ręki wydawał generałowi rozkazy.

Sam szef gestapo, obergruppenführer Heinrich Müller, który przybył osobiście, nie miał w tym czasie Skorzenemu wiele do zakomunikowania.

- Działam na bezpośrednie polecenie führera - powtarzał Skorzeny wielokrotnie. A Müller był wystarczająco mądry, aby się wtrącać tylko wówczas, kiedy szło o jego bezpośrednie pole działania. Nie przywiązywał znaczenia do pełnienia tu obowiązków wodza oddziałów szturmowych.

Müller zrobił przegląd swoich oddziałów specjalnych. Przyjął meldunek przybyłych jednostek policji. Do blokady przewidzianych było około czterdziestu ludzi. Wreszcie wysłuchał bez słowa sprawozdania sturmbannführera Maiera.

- Proszę teraz na rozmowę końcową - zażądał Skorzeny.

Znajdowali się w południowej części Bendlerstrasse, blisko Sprewy. Od czasu do czasu zapalała się latarka kieszonkowa. Żołnierze tkwili w milczeniu w swoich pojazdach.

- Melduję przybyłe oddziały gotowe do akcji - oznajmił generał Reinicke. - Blokada gmachu jest całkowita. Czołgi stoją we wszystkich wjazdach. W wypadku oporu będą strzelać. Inne szczegóły przygotowane zgodnie z ustaleniami.

- W porządku - powiedział Skorzeny. - Skoro tak, to nie pozostaje nam nic innego, jak wtargnąć do tego gniazda szczurów.

- Dla nas najważniejsze są dwie rzeczy - rzekł Müller, szef gestapo - zabezpieczenie materiałów i ujęcie wszystkich, którzy choć w najmniejszym stopniu wydają się podejrzani.

- Ja już na wszelki wypadek przygotowałem sporą listę - oznajmił sturmbannführer Maier. - Ale po ostatnich wiadomościach obawiam się, że ta lista jeszcze długo nie będzie kompletna.

- Najlepiej będzie, jeśli na początek zamkniemy całą bandę bez wyjątku - zaproponował Skorzeny.

- Ale nie moich ludzi! - wykrzyknął Maier.

Szef gestapo popatrzył na swojego kierownika wydziału.

- Czy chce pan kogoś zabezpieczyć, mój drogi? Może nawet samego siebie?

- Ja tylko tak, z przeczności - zapewnił sturmbannführer Maier.

- Dość późno, jak mi się zdaje. - Teraz uśmiechnął się obergruppenführer SS. - Że tak powiem w ostatniej chwili.

- Ale nie za późno.

Skorzeny zorientował się, co tu się rozgrywa. Każdy z nich obu starał się umocnić swoją pozycję. I nie chcąc dopuścić, aby te dążenia przerodziły się w utarczki, podsunął:

- Uważam, że grupy gestapo powinny przeprowadzić konieczne aresztowania, oddział Maiera niech zabezpieczy dostępne materiały. Nie powinniśmy dłużej zwlekać.

- Możemy jeszcze trochę poczekać. - powiedział sturmbannführer Maier. - Ta sprawa załatwi się sama. Za kilka kwadransów wszystko spadnie nam pod nogi jak przejrzały owoc. Bez jednego strzału z naszej strony.

- Skąd taka pewność? - zapytał szef gestapo podejrzliwie. Maierowi udało się roześmiać. Następnie powiedział pewny siebie:

- Pewność wypływa właśnie z faktu, że się w porę zabezpieczyłem! Od kilku godzin jestem w kontakcie z zaufanymi oficerami. Rozpocząłem kontrakcję i nawet przemyciłem odpowiednich pomocników. Zobacz pan; moje lalki są niezawodne.

- No, mam nadzieję - powiedział obergruppenführer Müller wyraźnie sceptycznie.

- Jeśli o mnie chodzi - rzekł Skorzeny - najlepiej, żeby się spokojnie nawzajem powystrelali. Głowy się potoczą z pewnością i tak. Jedna mniej, jedna więcej nie ma tu znaczenia.

- Tylko nie wolno nikogo przeoczyć - dodał szef gestapo i spojrział na Maiera.

— Przyjacielu - powiedział hrabia von Brackwede do Lehmana i schwycił kaprała za rękę - zamierzam pana rozerwać.

Karzel spojrział na swojego kapitana pełen oczekiwania.

- Czyżby pan jeszcze teraz planował wycieczkę?

- Właśnie tak! Czy to się da zrobić?

- Ależ oczywiście - odparł Lehmann. - Ja sam już chciałem się stąd wynieść. Tylko nie myślałem o tak miłym towarzystwie. Czy wolno zapytać, czemu mam przypisać ten zaszczyt?

- Muszę zanieść teczkę w bezpieczne miejsce.

- Ale dokąd?  
- Dokądkolwiek.  
-. Myśleć że powinniśmy może to przedtem ustalić. - Kapral siedział z zamyśloną twarzą na biurku kapitana. - Oczywiście u żadnego, ze swoich przyjaciół nie może się pan schronić. Wszędzie tam lada moment zjawi się gestapo. Gdyby jednak zechciał pan zadowolić się moimi nowo odkrytymi towarzyszami, mógłbym panu polecić kilka świetnych adresów.

- Człowieku! - wykrzyknął von Brackwede lekko zniecierpliwiony. - Niech pan sobie daruje żarty! Siedzi pan jak w łoży teatralnej. A tu w każdej chwili opanują cały gmach.

- I to, panie kapitanie, jest właśnie ta chwila, na którą czekam.

Hrabia von, Brackwede nie bardzo wiedział, czy jest bardziej zatroskany, czy rozbawiony. Lehmann przekroił małe cienkie cygaro na dwie części. Większą wręczył kapitanowi.

- Zamierzam działać według systemu leutnanta von Hammersteina - oświadczył kapral. - Ten nie pominął żadnej możliwości, A ostatnia z nich jest taka: po dachach i po rynnie w dół przez piwnice dwóch zbombardowanych domów, wzdłuż zburzonego muru, przez mniej więcej dziesięć metrów nieczynnych kanałów, a potem możemy napluć do Sprewy.

- Zatem naprzód! Jestem ciekaw pańskich przyjaciół, wśród nich zaś ślicznych studentek. Na co jeszcze czekamy?

Lehmann patrzył na dym ze swego cygara.

- Im bardziej zacieśnia się krąg wokół Bendlerstrasse - powiedział - tym lepiej dla nas. Będziemy przed nimi uciekać na mniejszej przestrzeni. Najbezpieczniej, jeśli będziemy obserwować całe przedstawienie z dachu. Kiedy wszyscy znajdą się w budynku; wystarczy odbyć niewielki spacer.

- Nie żyje - zameldował podoficer, mając przy tym na myśli generała Becka.

Fromm skinął głową. Jego ponuro-energiczny wyraz twarzy mówił: przykre, ale nieuniknione. - Dalej! - rzekł ponaglającym tonem.

Teraz wystąpił generał Hoepner i oznajmił: - Chciałbym dowieść mojej niewinności. - Prosi najuprzejmiej, aby go w związku z tym odpowiednio potraktowano. - Moje zachowanie miało szlachetne motywy. I bardzo żałuję...

- Będzie pan musiał ponieść konsekwencję! - zawołał Fromm.

- Tak jest! - zawołał Hoepner z oddaniem.

Oświadczenie to generał Fromm przyjął z pewną ulgą; był to człowiek, który mu nie zaszkodzi. - Wyprowadzić! - polecił z lekkim ruchem ręki.

Podoficer i drugi mężczyzną uczynili, jak im kazano, generał Hoepner poszedł za nimi nie bez godności. Ale nikt w pokoju nie zwrócił na to uwagi.

Fromm wyprostował się. Jego wzrok, błędził po stojących przed nim oficerach, jak światło latarni morskiej: po generale Olbrichcie, pułkowniku Stauffenbergu, Mertzu von Quirnheimie, oberleutnancie von Haeftenie.

- A wy, moi panowie?

Obojętne milczenie.

Po kilku sekundach generał Fromm wstał.

- Przyjmuję, że nie mają panowie złudzeń co do swojego losu - stwierdził. - Daję panom jeszcze kilka minut czasu, powiedzmy pięć minut, abyście mogli napisać listy pożegnalne.

Przekazano im do dyspozycji papier i przybory do pisania. Pozostały nietknięte. Fromm oddalił się. Kilku żołnierzy z bronią gotową do strzału stało w pogotowiu. Nikt się nie poruszył.

Potem - pięć minut później - zjawił się znów generał, oznajmił:

- W imię führera odbył się zwołany przeze mnie sąd doraźny.

Czy istotnie kiedykolwiek miał miejsce taki sąd -bez przesłuchania oskarżonych - nikt tego nie mógł później udowodnić. Nie wiadomo kto wchodził w jego skład; nie znaleziono nigdy żadnej notatki na temat aktu oskarżenia i wyroku. Wszystko to pograżyło się w gęstej mgłę tego krwawego dnia, podobnie jak wiele innych rzeczy.

A Fromm mówił dalej:

- Ów sąd skazał czterech spośród panów na śmierć. Mianowicie: pułkownika Mertza ze sztabu generalnego; generała piechoty Olbrichta; pułkownika, którego nazwiska nie znam... ~ wskazał przy tym ręką, nie patrząc na Stauffenberga - ... i tego óberleutnanta. - Miał na myśli von Haeftena.

I znów milczenie!

Fromm daremnie czekał na jakieś słowo, na gest oburzenia, na okrzyk buntu. W oczach, które na niego patrzyły, błyszczała tylko gorzka pogarda.

- Wyrok ma być wykonany natychmiast! zawołał Fromm porywczo.

A do leutnanta, który stał z tyłu, z pistoletem maszynowym w pogotowiu, powiedział:

Niech pan weźmie kilku ludzi i wykona wyrok na dole, na dziedzińcu.

- Tak jest - rzekł leutnant posłusznie  
Jego nazwisko pozostało nieznanne.

Wskazówki zegara przesunęły się na północ.

Na dziedzińcu bloku na Beridierstrasse zabłysły reflektory ciężarówki; zdjęto z nich osłony. Rzuciły światło na szarą ścianę, na której znajdowały się ostre cienie.

Na prawo i lewo piętrzyły się stosy Worków z piaskiem. Stanowiły osłonę przeciwlotniczą, teraz posłużą jako zapory dla kul.

Czterej oficerowie skazani na śmierć schodzili na dół po schodach wydających głuchy dudniący odgłos. Zdążali w kierunku dziedzińca. Towarzyszyło im ośmiu żołnierzy: oficerów i podoficerów. Nie padł ani jedno słowo.

Skazańcy ustawili się obok siebie, z lewej strony podwórza, niecałkiem ponad dwadzieścia metrów od głównego wejścia. Uformował się oddział egzekucyjny. Wszystko odbywało się niemal mechanicznie, postacie poruszały się jak lalki na drutach.

- Ładuj broń, odbezpiecz broń - komenderował leutnant.

Żołnierze załadowali do magazynków przekazaną inr amunicję, odbezpieczyli broń i czekali, gotowi do strzału.

- Cel! » zawołał leutnant,

Pole egzekucji było wąskie, pomiędzy oknami ledwie dwa metry przestrzeni. Ofiary przysunęły się blisko siebie, ich ramiona się dotykały. Ostatnią rzeczą, którą widzieli, to skierowane na nich dwa reflektory i karykaturalne cienie wokół nich. A potem: Niebo! Było płowoszare i zdawało się zapadać gdzieś głęboko.

Doktor Eugen G. stał oparty o ścianę. Przed nim znajdowało się trzech wartowników. Jeden, z pistoletem w dłoni, pilnował dwóch pozostałych. Ci skierowali lufy na trzech mężczyzn, którzy stali przed nimi.

-Tylko żadnego fałszywego ruchu! - powiedział jeden z wartowników ostrzegawczo.

Doktor rozglądał się dokoła. Szukał możliwości, aby się wydostać z tej sytuacji. Szansa rzucenia się na żołnierzy z pistoletem równała się zeru.



Na to również byłem przygotowany - powiedział mężczyzna stojący na prawo od Eugena G. - Co mi tam.

- Stul pysk! - zawołał wartownik, - Bo strzelam!

Na prawo od doktora stał Helmuth James hrabia von Moltke adwokat i specjalista w dziedzinie prawa wojennego i międzynarodowego w naczelnym dowództwie Wehrmachtu. Pogodzony z losem uśmiechał się lekko. A jednak był jakby odrętwiały.

Mężczyzna na lewo od doktora był to Berthold - hrabia von Stauffenberg, brat pułkownika. Milczał i oddychał ciężko. Również stał bez ruchu.

Usłyszeli znajomy głos. Głos pułkownika Clausa hrabiego von Stauffenberga. Dochodził do nich jakby z bardzo daleka.

- Niemcy! - zawołał ów głos.

Trzeszcząca wściekle salwa zagłuszyła te słowa.

- Ognia! - wydał komendę leutnant na dziedzińcu Bendlerstrasse. Żołnierze wystrzelili. Generał Fromm osobiście nadzorował tę akcję.

Po latach ujawniło się wiele tak zwanych „zecznych świadków”. Prawie wszystkie były ze sobą sprzeczne, Według jednej wersji oddziałem egzekucyjnym miał dowodzić leutnant Schady, według innej leutnant nazwiskiem Schlee,

Major Remer zapewniał, że nie miał z tym nic wspólnego. Kaltenbrunner oświadczył z naciskiem, a poparł go Müller, Maier i Skórzyński, że kiedy jego ludziom udało się obsadzić Bendlerstrasse, było już dawno po wszystkim.'

Jedno zdaje się być pewne: przydzielony do tego leutnant wydał swoim posłusznym żołnierzom rozkaz strzelania.

Oberleutnant. von Haefen wyprężył się i runął. Generał Olbricht padł jak ścięte drzewo. Pułkownik Mertz von Qufrnhein zasłonił sobą Clausa hrabiego von Stauffenberga.

A ten zawołał, zanim zmarł:

Niech żyją święte Niemcy!

Część  
trzecia

## **Potem**

„Za sprawę tak świętą i słuszną  
poświęcenie własnego życia  
nie jest ceną wygórowaną.”

Julius Leber

## 1

### Noc, która nie chciała się skończyć

W kilka minut po północy na dziedzińcu na Bendlerstrasse zagrział trzykrotny okrzyk „Sieg Heil”. Rozpoczął generał Fromm, okrzyki podchwyt grapa egzekucyjna i stojący dookoła żołnierze. Wykrzykiwali te słowa nad czterema trupami.

Fromm popatrzył w niebo, Gorącą noc drżała jakby wyczerpana. Cłłoty odbijały się preytramionym echem od ścian budynku. Ttyarze stanowiły brudnoszare płaszczyzny.

Generał opuścił dziedziniec. Minał swoich oficerów, którzy ustąpili mu z drogi. Otoczyła go pytającą ciszą, słyhać było tylko stukot butów z cholewami.

- Dalekopis do fűhrera - rzucił Frónmt, kiedy znów znalazł ślę W swoim gabinecie.

Opadł ciężko na fotel. Unikał patrzenia na twarze ludzi, którzy stali wokół niego, były nowe w jego najbliższym otoczeniu. Wydawały mu się puste i nic nie mówiące.

Dyktował, jakby przekazywał codzienny ratynowy meldunek. Próba puczu udaremniiona.. Wszyscy przywódcy rozstrzelani... zawsze wierny...

Na koniec dodał; - Godzina pierwsza dwadzieścia.

Niemal dokładnie o tej samej porze rozpoczęła się akcja opanowania Bendlerstrasse. Przebiegała zgodnie z planem. Wyznaczone jednostki wtargnęły, nie napotykaając na opór.

Oficer, który pełnił służbę w wartowni, zasalutował. Czołgi stały nieruchome. Skorzeny wysunął się do przodu jedynie w towarzystwie dwóch ludzi. Sturbannfűhrer Maier szedł za nim.

- Podporządkować się! - zawołał Skorzeny z pistoletem w dłoni.  
- Tak jest! - powiedział oficer i ponownie zasalutował. - Właśnie pana oczekujemy.

Pojawił się nawet, rodzaj oddziału powitalnego: major Heythe i oberleutnant Herbert. Przecisnęli się do przodu radośnie podnieceni. Skorzeny spoglądał na nich nieufnie.

- Oczyszciliśmy teren - zapewnił Herbert.

Wszystkie zdradzieckie elementy zostały tymczasem zamknięte i unieszkodliwione – uzupełnił Heythe.

Hauptsturmführer SS Skorzeny przyjął meldunek od generała Reihicke: - Wszystkie wejścia obsadzone! Żadnego oporu. Oddziały zabezpieczają boczne i tylne części budynku. Część frontowa jest do pańskiej dyspozycji.

- Niech mnie pan zaprowadzi do generała Fromma - zwrócił się Skorzeny do majora Heythe.

- Gdzie jest kapitan von Brackwede? - zapytał Maier Herberta.

- Przypuszczalnie w swoim gabinecie. Czeka tam na nas.

Oberleutnanta rozpałała gotowość do walki. Teraz był pewien, że w tej wielkiej godzinie wywarł odpowiednie wrażenie, że okazał się wspaniałą postacią.

- Pańskie rady, sturmbannführerze, były dla nas niezwykle cenne i mogę zapewnić...

- Później - skwitował Maier, rozglądając się, niespokojnie. - Najpierw muszę mieć kapitana. Niech mnie pan do niego zaprowadzi.

Poszli szybko na górę po schodach. Nikt im nie zagradzał drogi. Nieliczni oficerowie, których spotykali, schodzili usłużnie na bok, niektórzy podnosili przy tym ręce do niemieckiego pozdrowienia. Stufbannführer Maier rejestrował te fakty w pamięci.

- Jak to jest z tym von Brackwede?,- zapytał, pędząc przed siebie. Czy wzbudza podejrzenia? Mam na myśli, czy on coś przeciwko...

- Ależ to nie kapitan von Brackwede! - wykrzyknął Herbert zdumiony. - Powiedziałbym, że wprost przeciwnie! Udzielał nam cennych wskazówek!

- To do niego podobne - stwierdził sturmbannführer. - Mam nadzieję, że zastaniemy go nadal równie żwawego!

. - Panie generale - powiedział Otto Skorzeny, kiedy stanął na przeciw Fromma - mam polecenie, aby przejąć pański urząd, dopóki nie nadejdą dalsze rozkazy.

- Jeśli pan ma takie polecenie - oświadczył Fromm służbowym tonem - wobec tego nie będę panu przeszkadzał w jego wypełnieniu. Zakładam, że działa pan na rozkaz führera.

- Na bezpośredni rozkaz führera!

Generał opuścił swoje miejsce, zajął je hauptsturmführer. Ceremoniu tej towarzyszyły ukłony z obu stron. Wymienienie uścisku dłoni uznali za zbyt uczynne.

- Rozpoznanych zdrajców kazalem rozstrzelać zgodnie z prawem - oświadczył Fromm.

- Myślę, że pan się nad tym zastanowił - powiedział Skorzeny. - I że jest pan świadomy odpowiedzialności.

—Oczywiście! - Generał stał wyprostowany. - Spełniłem tylko swój obowiązek!

- I co zamierza pan teraz zrobić?

- Mam zamiar złożyć szczegółowe. sprawozdanie ministrowi Goebbelsowi. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- To jest całkowicie zbyt uczynne - zachnął się Skorzeny i ujął za telefon. Na Fromma nie zwracał więcej uwagi.

Fromm wyprostowany opuścił pokój, w którym przez tyle lat urzędował.

Już nigdy więcej nie miał przekroczyć jego progu.

W Paryżu generał von. Stülpnagel stał bez słowa w hallu hotelu Raphael. Ogłuszyła go marszowa muzyką płynąca z radioodbiorników rozkręconych na cały regulator. Z dawnych pomieszczeń jadalnych, obecnie sal kasy, dochodziły podniecone głosy zgromadzonych tam oficerów.

Oberieutenant Cesar von Hofacker, który stał obok niego, powiedział zmęczonym głosem:

- Ach ten Kluge! Ale chyba nie jest jeszcze za późno! Kiedy wystrzelamy wszystkich przywódców, których aresztowaliśmy.

Stülpnagel milczał. Zaciśnął zęby i zamknął oczy. Jego kierowca patrzył na niego ze współczuciem. Generał nieporuszony wysłuchał wiadomości, które przekazał mu oficer łącznikowy: admirał Krancke zaalarmował wszystkie jednostki marynarki stacjonujące w Paryżu; generał Waffen SS Sepp Dietrich postawił ultimatum: wyruszy ze swoim korpusem pancernym na Paryż pod warunkiem, że dostojnicy SS nie zostaną uwolnieni. Wkrótce zjawi się Blumentritt, aby na polecenie Klugego zmienić Stulpnagla,

- Tworzyć fakty dokonanie! - zawołał pułkownik von Hofacker zrozpaczony.

Stülpnagel popatrzył zmartwiony na swego powiernika, potem spojrzął na podłogę. Muzyka marszowa nagle umilkła. Następnie rozległ się głos spikera, który oznajmił;

- Za chwilę führer przemówi do qar pdu niemieckiego.
- Poczekamy jeszcze pół godziny - powiedział generał bezdźwięcznym głosem. - Muszę się zastanowić.
- - Za dużo tego zastanawiania - rzekł Casar von Hofacker ledwie dosłyszalnie. A potem wykrzyknął: - Dlaczego nie działamy?

- Tu wszystko przebiega całkowicie zgodnie z programem - oznajmił Otto Skorzeny. - Fromm położył trupem przywódców, reszta oficerów jest posłuszna.

Powiedział to do Ernsta Kaltenbrunnera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Ten tymczasem, osłaniany przez swoją osobistą straż, przybył na Bendlerstrasse.

- Czy to nie idzie zbyt gładko? - zapytał Kaltenbrunner. Wydaje mi się to wręcz podejrzane.

- Wszystko przebiega absolutnie normalnie - zapewnił Skorzeny z przekonaniem. - Albowiem u nas ciągle jeszcze rozkazy, jeżeli tylko brzmią przekonywająco, są respektowane.

- Czy musiał pan zastrzelić kogoś jak psa?

- Całą brudną robotę - poinformował hauptsturmführer - wykonali za nas koledzy z Wehrmachtu. Pozostałą resztę załatwia generał Reinicke.

Generał piechoty Hermann Reinickę, wspomagany przez zaufanych ludzi, przeczesywał tymczasem pierwsze i drugie piętro na Bendlerstrasse. Również dla niego wybiła wielka godzina i był zdecydowany ją wykorzystać. Zamienił ten gmach w więzienie śledcze.

- Kazał aresztować każdego, kto jest w najmniejszym stopniu podejrzany - oznajmił Skorzeny.

. Standardowe sformułowanie tego generała podczas intensywnej pracy brzmiało: - Moi panowie, jesteście aresztowani. Wyrok usłyszycie z ust führera.

- To wszystko jest zbyt proste. - Szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy znów ogarnęły wątpliwości. - To nie może być ostateczne rozwiązanie! Przecież są ludzie, którzy byli zdecydowani uśmiercić Hitlera... Pytam więc, gdzie się podziewają?

- Właśnie znów przemienili się w wiernych poddanych!

- Mam nadzieję, że pan się nie myli, Skorzeny. --Pomieszczenie, do którego wszedł Kaltenbrunner, miało dużo miejsca, ale zdaje się za

mało dla tego mężczyzny. - Tym razem są ofiary, i to jakie! Zamach był skierowany przeciwko führerowi, a więc przeciwko głowie państwa. To zorganizowany przez wyższych oficerów! Coś takiego jeszcze nigdy w Niemczech się nie zdarzyło.

Zakrystian kościoła Św. Mateusza, owego kościoła z dzwonnica niby wieża zamkowa, którą pułkownik Stauffenberg widział ze swojego gabinetu, był poczciwym, usłużnym człowiekiem. Kiedy w środku nocy zapukano do jego drzwi, wstał bez słowa i włożył leżące w pogotowiu spodnie. Następnie otworzył drzwi ziewając.

Stał przed nim sierżant. On również robił wrażenie człowieka poważnego, zacnego, godnego zaufania. Stali obaj naprzeciw siebie jak bracia. Obaj nauczyli się przyjmować posłusznie to, co niesło bieżące życie, jeden od Boga, drugi od swoich przełożonych.

- Musimy wykopać grób - powiedział sierżant. - To dość duży. Pięć trupów już przywiozłem. Należy się liczyć ewentualnie jeszcze z trzydziestoma.

Zakrystian nie miał odwagi o nic pytać. Skinął tylko głową, zapiął spodnie i poszedł za sierżantem. Przed kościołem ujrzał oddział konwoju i małą ciężarówkę. Wspólnie przenieśli zwłoki pod mur cmentarny. Noc rzuciła na nie blade światło.

- No, zaczynamy! - powiedział sierżant, splunął w ręce i chwycił za łopatę. Wbij ją w skrzypiący piasek. - Dalej, do roboty! - zawołał zachęcająco do swego towarzysza.

Zakrystian cofnął się. Był niespokojny, albowiem ten nocny i mało chrześcijański pochówek był czynnością, za którą nie zamierzał być sam odpowiedzialny. Zatelefonował więc do najbliższego komisariatu policji,

Wkrótce potem zjawili się dwóch funkcjonariuszy i i do tego komendant rewiru. Zapalili pochodnie i oświetlili nimi zwłoki: generała, dwóch pułkowników, oberleutnanta i jednego cywila generała Becka.

- Nie, no coś takiego! - wyrzekł jeden ze zdumionych policjantów.

- Ludzie - zawołał spocony już sierżant, - Co tak stoicie i rozdziawiacie gęby! Bierzcie się do roboty. To sprawa państwowa, ściśle tajna. Opinia publiczna nie może się o tym dowiedzieć. Bezpośredni rozkaz führera. No, co jest?

Teraz również policjanci chwycili przygotowane łopaty. Wetknęli pochodnie w ziemię i zaczęli gorliwie kopać. Kopące płomienie oświetlały ich napięte twarze. Trupy wyglądały jak płański pagórek.

- Gdzie jest kapitan? - Sturmbannführer Maier rzucił się jak sęp na Konstantina von Brackwede.

Leutnant stał sam przy oknie w gabinecie swojego brata. Był blady i pełen niepokoju. Nie odpowiedział.

- Czyżby pan był chory? - zapytał Maier niemal z nadzieją w gipsie. Chwytał Konstantina za ramię, potrząsając nim. - Czy też strach pana obezwładnił? Pytałem pana o coś.

- Nie wiem, gdzie jest mój brat - odpowiedział Konstantin jakby nieobecny. - I wcale nie chcę wiedzieć!

- No, no, mój drogi, cóż to za ton! Nie poznaję pana! Muszę się widzieć z kapitanem, najszybciej jak to tylko możliwe. Jest nam pilnie potrzebny.

Leutnant przysunął się dwa kroki do przodu. Jaskrawe światło lampy padało teraz na jego napiętą, kredowobiałą twarz'. A włosy połyskiwały popielatoszaro.

- Czy zamierza pan aresztować mojego brata?

- Skąd panu to przyszło do głowy? - wykrzyknął Maier. - Tylko proszę, żadnych pochopnych wniosków. A może jest pan przekonany, że brat brał udział w tym świństwie?

- Ja nic nie wiem - wyznał Konstantin von Brackwede bezradnie. - Zupełnie nie wiem, co mam myśleć.

Sturmbannfuhrer odetchnął.

- Najlepiej, jeśli pan w ogóle nie będzie o tym myślał. Niech pan czeka bez obaw na rozwój wydarzeń. Może pań to uczynić z całym spokojem, osobiście gwarantuję. Przekazał pan bowiem moje rozkazy i polecenia grupie Herberta. To była świetna robota i zasługuje na słowa uznania.

- To się naprawdę stało? I co ja mam z tym wspólnego? Dlaczego szuka pan tak zawzięcie mojego brata?

- Człowieku! Pan znowu zaczyna myśleć! Niech pan nie zawraca głowy swojemu bratu ani mnie. Kapitan i ja marny jeszcze ważne sprawy do załatwienia. Tylko gdzie on jest?

- Tego naprawdę nie potrafię panu powiedzieć. Ale myślę, że chyba musi tu wrócić:

- Kiedy pan go widział ostatni raz!

- Jakies pół godziny temu.

- Wobec tego musi być jeszcze gdzieś w gmachu - stwierdził Maier z ulgą.

Konstantin skinął głową.



- Też tak sądzę. Ale wyglądało na to, że się bardzo spieszy. Prawie ze mną nie rozmawiał, a tego, co mi powiedział, nie zrozumiałem. Wziął teczkę i zniknął.

- Jaką teczkę? - zapytał Maier, nastawiając uszu.

- Wczoraj mi ją powierzył, a mówiąc dokładniej; przedwczoraj. W godzinach wieczornych.

- Jak to powierzył panu teczkę? Co się w niej znajdowało?

- Mnóstwo papierów. Była to zresztą ta samateczka, którą miałem ze sobą, kiedy przed kilkoma godzinami jechaliśmy obaj na Bendlerstraße. Podał mi ją pan, kiedy wysiadałem.

Sturmabführer dyszał jak pies po dzikiej, bezskutecznej pogoni. Patrzył z bezradnym zdumieniem na leutnanta.

- Człowieku, musimy to jak najszybciej sprzątnąć, jeśli nie chcemy zginąć wszyscy trzej!

Krótko po godzinie 1.00 Adolf Hitler, führer i kanclerz Rzeszy, wódz naczelny Wehrmachtu, przemówił do narodu niemieckiego. Jego głos brzmiał ochryple, z trudem opanowywany, z domieszką dźwięków podobnych do wycia wilków.

Hitler powiedział:

- Rodacy i rodaczki! Fakt, że dziś do was przemawiam, ma dwa powody; po pierwsze, chcę, abyście usłyszeli mój głos i abyście wiedzieli, że nie jestem ranny i jestem zdrowy; po drugie, abyście się również dowiedzieli czegoś bliższego o zbrodni, która nie ma równej sobie w historii Niemiec.

Pułkownik został wrzucony, do dołu „jak worek węgla”. Fromm odszukał Goebbelsa i wykrzyknął ku niemu dźwięcznie: „Heil Hitler”; W Paryżu Stülpnagel postanowił skapitulować. W Berlinie kapitan von Brackwede biegł w cieniu domów, taszcząc ze sobą teczkę, na północ, w kierunku Schiffersdamm.

Hitler mówił dalej:

- Niewielka grupa głupich oficerów żądnych sławy, wyzuty z sumienia, a zarazem zbrodniczych, uknuła spisek, aby mnie zabić.

Generał Beck został wrzucony na Stauffenberga, ich twarze otarły się o siebie; ziemia posypała się strużką na ich usta. Oberleutnant Herbert przyglądał się pełen nadziei swojej narzeczonej i odkorkował nową butelkę, aby wypić za ostateczne zwycięstwo. Feldmar-

szalek von Kluge patrzył z pogardą na wrzeszczący radioodbiornik.

Hitler: - Całkiem małą grupą..., która myślała, że teraz, tak jak w roku

tysiąc dziewięćset osiemnastym, będzie mogła zadać cios w plecy...

Elisabeth hrabina von Oldenburg-Quentin leżała na łóżku, słuchała tych słów i płakała. - Wytępić te świnię! - wołał Jodler dwa piętra niżej. Na cmentarzu przy kościele Św. Mateusza oberleutnant von Haefen został wrzucony do dołu jako ostatni. Goebbels powiedział do Fromma: - Panu, zdaje się, bardzo było spieszo zlikwidować niewygodnych świadków!

Dalej Hitler: - ...to nie do pomyślenia, że na froncie setki, tysiące i miliony porządnych obywateli oddaje wszystko, podczas gdy na tyłach niewielka klika przestępczych, żądnych sławy, żalosnych karykatur próbuje zaprzepaścić na trwałe tę postawę... Tym razem porachujemy się z nimi tak, jak to zwykliśmy robić jako narodowi socjaliści...

- Boże, pobłogosław naszemu kochanemu führerowi! - jęknęła Breitstrasser z oddaniem. Zapomniała przy tym o pilnowaniu korytarza; a tam biegł po schodach na górę kapitan von Brackwede. Maier rozkazał telefonicznie, aby na Prinz-Albrecht-Strasse przygotować tyle cel, ile się tylko da". Następnie Voglbrunner otrzymał specjalne polecenie.

Ulice Berlina były puste. Większość ludzi spała wyczerpana i nie słuchała Hitlera: - bombowce alianckie również tej nocy nie nadleciały; dzięki Bogu i za to.

Karzeł Lehmann przybył do swoich stronników.

- Oto jestem! - zawołał. Gotów malować dla Niemiec! Szczególnie dziś jeszcze muszą się pojawić wyraźne hasła-w rodzaju: „Nie dajcie się sprzedać!". Poza tym możliwe, że doczekamy się przychówku, będzie to mężczyzna, którego nawet ja z szacunkiem nazywam hrabią. Z nim można konie kraść, nawet te z brązu, które stoją na dziedzińcu kancelaru Rzeszy.

Kiedy führer skończył przemówienie", rozległ się *Badenweiler Marsch*. Potem zabrał głos marszałek Rzeszy Göring. Ze szczególnym naciskiem oznajmił: - Niesłuchanie nikczemny zamach dokonany został w dniu dzisiejszym przez pułkownika Stauffenberga...

Stauffenberga przykryła spadająca ziemia. Fromm pił wino z piwnicy Goebbelsa. Hofacker miał łzy w oczach.

Himmler zameldował w głównej kwaterze führera: Bunt stłumiono. W Berlinie panuje spokój. Dokonano licznych aresztowań; dalsze mają nastąpić.

Kiedy odegrano płytę z chwackim marszem wojskowym, przemówił wielki admirał Dönitz. Jego zdania były jak nagłówki w gazecie.

Siłą wielkoniemieckich sformułowań przewyższył nawet swoich przedmówców.

Wołał między innymi: - Straszliwy gniew i niepohamowana wściekłość napętlają nas z powodu tego przestępczego zamachu, który miał pozbawić życia naszego ukochanego führera... Niewielka grupa szaleńców, nie mających nic wspólnego z naszą dzielną armią, zdradziecko uknuła to morderstwo...

Na koniec spiker radiowy powiedział: - Spisek... Całkowicie stłumiony... przywódcy... po części sami sobie odebrali życie. Pozostali... winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

Hitler siedział w wielkim bunkrze. Kiwał głową, kiedy słuchał sam siebie. Następnie rozkazał:

- Chcę ich zobaczyć, jak wiszą! Chcę to widzieć!

- Dlaczego łaskawa pani ma taką przerażoną twarz! - zawołał kapitan von Brackwede z ożywieniem. Uśmiechnął się do hrabiny Oldenburg i usiadł na krześle. - A ja cały czas miałem nadzieję, że pani się ucieszy, kiedy panią odwiedzę w środku nocy.

Elisabeth spojrzała na niego zmieszana. Odruchowo okręciła się szczerlnie szlafrokiem, jak gdyby było jej zimno.

- Mój Boże, skąd się pan tu wziął? Akurat tu!

- Boi się pani?

- Owszem, o pana! - Elisabeth zgasiła górne światło. Palila się, tylko bladoczerwona lampka w pobliżu jej łóżka. Szybkim ruchem podeszła do okna i drżącymi rękami odsunęła nieco na bok zasłonę zaciemniającą. Wyrzała na dół, oddychając ciężko.

- Niech się pani nie obawia, nie zabawię długo - powiedział von Brackwede. - Ale zanim zniknę, chciałbym się jeszcze dowiedzieć, co pani zrobiła z moim bratem? Chłopiec wygląda jak zmielony przez maszynkę. Co się stało?

- Prawie cały dzień było tu gestapo - oznajmiła Elisabeth. - I zdaje mi się, że znów idą.

Brackwede zerwał się, podbiegł do okna i wyrzał na dół; ulicą toczyła się czarnoszara limuzyna ze zgaszonym silnikiem, niemal bezgłośnie; zatrzymała się przed drzwiami domu. Wysiadł z niej Voglbronner i mrużąc oczy spojrzał na trzecie piętro.

- Moje uznanie - powiedział kapitan - ten Maier zna swoją robotę! Choć nie spodziewam się po nim wielkich subtelności, ale nie sądzę, żeby on tak głupio myślał, jak ja głupio zadziałalem. Gdzie mógłbym się schować?

Kapitan został wepchnięty razem ze swoją teczką do wąskiego pokoju bez okna pomiędzy kuchnią a toaletą. Było to to samo pomieszczenie, w którym znajdowali schronienie żydowscy goście pani Wallner.

- Czego pan chce? - zapytała hrabina Oldenburg czatującego pod drzwiami Voglbronnera. - Czy może przyszedł mnie pan aresztować? Proszę, jestem do pańskiej dyspozycji.

- Ależ nie - zaprzeczył gestapowiec. - Przynoszę pani tylko, wiadomość. Tę wiadomość powinna pani jak najszybciej przekazać dalej. Brzmi następująco: potrzebny jest pilnie kapitan Brackwede. Sturmbannführerowi Maierowi szczególnie zależy na współpracy z nim, im szybciej ona nastąpi, tym lepiej. I tym lepiej dla nas wszystkich, niewykluczone, że i dla pani, Rozumiemy się? Czy też mam powiedzieć wyraźniej?

W Berlinie tej nocy również siedziba ministra propagandy Rzeszy, doktora Josefa Goebbelsa; zamieniła się w prowizoryczne więzienie. Kiedy pan domu był pewien, że opanował sytuację, rozkoszował się pełną ironu wyższością.

— I takie coś chce spiskować! - wykrzyknął. Mógł bowiem „skasować” jednego generała po drugim, nie napotykając na najmniejszy opór, - Oni nawet nie potrafią przeprowadzić należytej akcji, nic więc dziwnego, że jeszcze nie posunęliśmy się dalej z tą wojną. Fromm, z butelką wina, został zamknięty w palarni. W pokoju muzycznym siedział hrabia Helldorf, prefekt policji Berlina. Generał von Hase znajdował się w salonie, jemu również podano wino; A kiedy Hase zażądał drugiej butelki, Goebbels, powiedział, będąc w dobrym nastroju: - Dajcie mu ode mnie! Ale nie pozwolę aby mi wyżłopali całą piwnicę.

A do Himmlera odezwał się niemal z pogardą: - Rewolucja przez telefon! - Ale potem dodał, przyzymkając lekko oczy: - Tylko kilka strzałów i kto wie, gdzie byśmy teraz byli., - Potem znów się roześmiał.

W Paryżu generał von Sttilpnagel oznajmił:

- Los zdecydował przeciwko nam.

Po czym wydał rozkaz, który uwalniał niemal wszystkich więzionych na jego terenie ludzi z SS, SD i gestapo. Nakazał: ma się to odbyć w uprzejmej formie i zwyrazami ubolewania.

Czy mamy również tych panów zaprosić na uroczystość z okazji uwolnienia? - zapytał Cusar von Hofacker gorzko.

Generał milczał. Ale jego partner, generał leutnant Hans von Boineburg-Lengsfeld, pozwolił sobie wspaniałomyślnie na komedię szczególnego rodzaju: odszukał uwięzionych führerów SS, i potraktował ich z wyszukaną uprzejmością.

- Co za godna pożałowania pomyłka! - wołał, zapraszając ich szerokim gestem do hotelu Raphael. - Na kieliszek szampana! - Zaproszenie zostało przyjęte z ulgą. Tu podejmował ich generał von Stülpnagel.

Uśmiechali się do siebie z przymusem. Potem gruppenführer SS Oberg, „rzeźnik' Paryża", wziął do ręki podany mu kieliszek szampana. Przepił do Stülpnagla, który był już właściwie trupem.

Zaczął się coś w rodzaju „szalonej nocy". Oficerowie Wehrmachtu pili z funkcjonariuszami SS, czuli się niezwykle swobodnie. Opróżniano seriami butelki szampana; wrzawa rosła; nie dało się uniknąć sentymentalnych scen pojednania.

Podpułkownik Gasar von Hofacker wycofał się z towarzystwa. Stał jak skamieniały przez kilka minut w swoim pokoju. Potem zaczął palić pozostałe jeszcze papiery.

Tymczasem generał Stülpnagel i gruppenführer SS Oberg usiedli razem w kącie. Otto Abetz, ambasador w Paryżu, starał się grać rolę mediatora; ustalono coś w rodzaju reguł gry. Zgodnie z nimi miało to wyglądać następująco: ćwiczenia alarmowe, nic innego. Uzgodnione uprzednio z najwyższymi władzami SS. Podane następnie do wiadomości uczestniczącym jednostkom i grupom partyjnym.

- Czy to jest najlepsze rozwiązanie? - zapytał ambasador.

- Zgoda - powiedział gruppenführer Oberg. Podniósł swój kieliszek z szampanem w kierunku Stülpnagla. I rzekł do niego niemal poufnie, tak aby nikt nie słyszał. - Czy pan naprawdę myśli, że to wypali?

- Zobaczymy - odparł Stülpnagel.

- Obawiam się - mówił oficer SS z uśmiechem - że tym razem postawił pan niebezpiecznie wysoką sumę na niewłaściwego konia, panie generale.

Również na Behdlerstrasse panował entuzjazm.

Sturmbannführer Maier odkrył w pomieszczeniach generała Olbrachta pierwsze ważne „znalezisko dokumentów" zawierало sto nazwisk. Kaltenbrunner i Skorzeny przyjęli te dokumenty. Szef gestapo

Müller kazał już odtransportować na Prinz-Albrecht-Strasse trzy tuziny podejrzanych, miał uzasadnioną nadzieję, że dojdzie do sześciu tuzinów.

Oberleutnant Herbert zwolnił swoich ludzi. Rozdzielił ich pomiędzy kolegów, kazał im pójść do piwnicy, gdzie znajdował się węzeł łączności, zaopatrzył w ten sposób wspaniałomyślnie przywódców działających tam grup. Było aż nadto powodów do świętowania. Albowiem nadeszły tymczasem pierwsze dowody uznania i wdzięczności od führera, kanclerza Rzeszy:

Zgodnie z tym nie tylko major Remer został mianowany pułkownikiem. Prócz niego takie same stopnie otrzymali dalsi oficerowie sztabu; Iputnant Röhrig został kapitanem, a jego sierżant powitał świt owego dnia jako oficer.

- Oplącało się - wybełkotał Herbert. Z pomocą swojej narzeczonej odkorkował następną butelkę. Jego rumiana jak jabłko twarz lśniła niby wypolerowana. Albowiem otrzymał stopień majora.

Ale na tym nie skończyła się wdzięczność Hitlera wobec Herberta „pogromca rewolty na Bendlerstrasse” został dodatkowo odznaczony Krzyżem Żelaznym I klasy. A ten order był zazwyczaj przyznawany wyłącznie „za szczególną odwagę wobec wroga”.

- Gdzie jest mój przyjaciel Konstantin? - zawołał Herbert, obecnie major i bohater, chwając się aa nogach. - Muszę go uściskać! I gdzie jest kapitan Brackwede, mój protektor? Chcę go przygarnąć do piersi!

- Drodzy towarzysze - powiedział z ożywieniem Karzeł Lehmann, obecnie znów dźwigowy w Porcie Zachodnim - przedstawiam wam, najnowszego członka naszego związku. Jest zaprzyjaźniony z Juliusera Leberem. - I tym sposobem wszystko zostało powiedziane,

Lehmann wskazał na hrąbiego von Brackwede, który stał zdumiony w drzwiach piwnicy. Ścisnął teczkę pod pachą; jego monokł połyskiwał drażniąco. Przyglądał się zebranym z widocznym zaciekawieniem. Zostali mu przedstawieni. Fritz-Wilhelm podał każdemu rękę. Następnie usiadł wśród nich z największą naturalnością.

Ma pan tu przed sobą gromadę wielokrotnych zdrajców stanu — objaśnił Lehmann.

- Znakomicie - powiedział von Brackwede - wobec tego jesteśmy sami swoi.

- Co możemy dla pana zrobić? ~ zapytał dramaturg.

Obie studentki również zadały takie samo pytanie. Były żywo zainteresowane. Ale Lehmann przyhamował ich zachwyty.

- Hrabia jest żonaty, trzeba wam to wiedzieć. Poza tym zarezerwowałem was dla siebie, proszę pamiętać.

Wszyscy roześmieli się bez troski. Von Brackwede poczuł się tu pewnie. Odstawił teczkę na bok. Oświadczył:

- Kontakt ze mną może być niebezpieczny, chciałbym wam zwrócić na to uwagę. Ten, kto mi udzieli schronienia, może. to przypłacić życiem.

Dźwigowy Lehmann wyszczerzył zęby.

- Tym pan nikomu nie zaimponuje.

Von Brackwede skinął głową i powiedział.

- Potrzebuję schronienia na czas nieokreślony. Drobiazgi nie grają tu żadnej roli, tylko jedno jest dla mnie ważne: musi być piec. Zamierzam dobrze w nim napalić zawartością mojej teczki.

Otrzymał niezwłocznie sześć ofert.

- Nie musi się pan spieszyć z decyzją -- powiedział Lehmann.

- I tak najbliższe dni musi pan spędzić u nas. Powinien pan w miarę możliwości dobrze się czuć. To dla nas bardzo ważne.

Krótko po godzinie 4;00 rano Goebbels oświadczył, ziewając z zadowoleniem:--Moi panowie, pucz zakończony.

Zamierzał udać się do swoich prywatnych pomieszczeń.. Towarzyszył mu Naumann, sekretarz stanu. Szli korytarzem aż do popiersia;; Führera, stojącego we wnęce. Minister popatrzył na nie z uśmiechem, następnie położył prawą dłoń na włosach z brązu, opadających nisko na czoło.

Powiedział przy tym:

-To już szósty pucz przeciwko fuhrerowi, który przeżyłem. -I roześmiał się, dodał - Żaden nie był tak niebezpieczny jak ten, ale też żaden nie został tak szybko zdławiony-

Nie mógł jednak jeszcze spać. Nerwowymi; dłońmi poklepał popiersie Führera. Zadzwieczało głucho. Potem usiadł na małym stoliku, który stał obok, i machał swymi krótkimi nogami. Znów roześmiał się na myśl o spiskowcach: zrobili ten swój pucz jak głupie baby,

Ale wkrótce popadł w ponure zamyślenia które go najwyraźniej zdziwiło. Jego chytra łotrowska twarz spoglądała zadumana. I cicho jakby do siebie, powiedział: - Śmieszne to wszystko razem! Ale jest coś, co zrobiło na mnie wrażenie. Wie pan, co mam na myśli?

Sekretarz stanu wyznał, że nie wie. Stał wyczekująco, Był wyczerpany, miał zaczerwienione oczy.

Ten Stauffenberg - powiedział Goebbels. - To był facet! Co za zimna krew, co za inteligencja, co za żelazna wola! - I niechętnie, jakby wbrew sobie, dodał: - Niepojęte, że otaczał się bandą takich idiotów!

O świcie tego dnia znów rozległo się walenie w drzwi u zakrystiana kościoła Sw. Mateusza. Tym razem ujrzał przed sobą oddział gestapo.

- Musimy mieć zwłoki - oznajmił dowódca.

- Spoczywają już w ziemi - powiedział zakrystian.

- Wobec tego je wykopujemy, całkiem po prostu. - Gestapowcy zdawali się być nieco ubawieni, stos ziemi to w końcu żadna przeszkoda, A łopaty znajdują się na każdym cmentarzu. - Służba śledcza musi zrobić jeszcze kilka fotografii.

Zostali więc znów wykopani: oberleutnant von Haeften, pułkownicy Mertz i Stauffenberg, generał Olbricht i cywil, generał Beck. Zwłoki wrzucono na ciężarówkę i wywieziono.

Powędrowały do któregoś z krematoriów. Ich prochy zostały rozrzucone po polach, jak oznajmił później Himmler.

Generał-major Henning von Tresckow nie miał pojęcia, co się działo w Berlinie. Przeżył męczący dzień, Sytuacja na froncie wschodnim była katastrofalna. Spał teraz wyczerpany na swoim polowym łóżku.

Oberleutnant Fabian von Schlabrendorff, jego kolega i przyjaciel, obudził go. Tresckow podniósł się natychmiast, był przyzwyczajony do tego, że go wrywano ze snu. Wydawało się też, że nie istnieje już taka hiobowa wieść, która byłaby w stanie nim wstrząsnąć.

Słuchał nie poruszony, co Schlabrendorff miał mu do powiedzenia. Potem von Tresckow poruszył się ciężko; przeszedł kilka kroków po pokoju, przystanął, zdawał się myśleć intensywnie. Wreszcie powiedział z wielką prostotą:

- Będą teraz próbowali dowiedzieć się ode mnie nazwisk przyjaciół. Aby temu zapobiec, odbiorę sobie życie.

Schlabrendorff milczał. Szczera prostota Tresckowa spowodowała, że nie był w stanie wydobyć głosu. Otaczały ich rozpadające się drewniane ściany, stoczone przez korniki, mapy sztabowe i plany organizacyjne, Czytane książki i części ubrania, wyglądające, jakby je wyrzucono.

Duszna, gorąca noc skradała się wokół nich jak kot.



Teraz cały świat rzuci się na nas i będzie nam złorzeczył - powiedział Tresckow. - Ale ja trwam niezłomnie w przekonaniu, że działaliśmy słusznie. Albowiem moralna wartość człowieka zaczyna się wówczas, kiedy jest gotów oddać życie za swoje przekonania.

Kazał się zawieźć na front; tam udał się na najbardziej wysuniętą linię. Wystrzelał do końca magazynek, aby upozorować brak naboju. Następnie rozerwał się ręcznym granatem.

Zameldowano: generał major Henning von Tresckow poległ z jęk nieprzyjaciela.

W piątek, 21 lipca 1944, wczesnym rankiem pewien kapral zbliżał się do gmachu na Bendlerstrasse 11/13. Jego nazwisko jest nieważne. Jego misja była bez większego znaczenia, miał tylko przekazać pismo.

Ów kapral nic nie wiedział o tym, co się stało. Nie słuchał radia, nie został też poinformowany przez żadnego ze swoich przełożonych. Miał za sobą spokojną noc, teraz wypełniał rozkaz.

Na późniejsze pytanie, czy rzuciło mu się w oczy coś szczególnego, odpowiedział jedynie:

- Było piekielnie gorąco. Koszula przyklejała mi się do skóry. Ulica była pusta, potem z kamiennych wrót stajni na Bendlerstrasse wyszli naprzeciw mnie żołnierze, mniej więcej w sile kompanu. Mieli na ramionach pistolety maszynowe i karabiny. Śpiewali. To wszystko.

Wydawało się, że nic szczególnego się nie wydarzyło. Straż w bramie funkcjonowała jak należy. Praca przebiegała normalnie. Wymarszerowujący żołnierze śpiewali. Nie było widać tego, co za sobą zostawili.

- Wszystko było całkowicie normalne - oświadczył kapral.

- Nikt nie może nam się wymknąć - oznajmił sturmbannführer Maier z przekonaniem. - Wcześniej czy później złapiemy każdego. Nasz system jest niezawodny.

- Być może - powiedział leutnant Konstantin hrabia von Brackwede. z rezerwą.

- A to nie powinno być chyba panu obojętnej, ze względu na pańskiego brata. - Sturmbannführer wydawał się zakłopotany. - Zależy mi szczególnie, aby pan wiedział jedno: im szybciej pański brat się Stawi do naszej dyspozycji, tym lepiej dla nas wszystkich.

Poproszono Konstantiria, aby się zameldował u Maiera na Prinz-Albrecht-Strasse. Tu sturmbannführer grzebał w stosie papierów

były to nakazy aresztowania i meldunki o wykonaniu. W piwnicach gestapo znajdowało się już ponad stu wojskowych. Rozpoczęto pierwsze przesłuchania.

Kaltenbrunner osobiście kierował akcją. Na razie utworzył trzy pododdziały i najważniejszy, z nich powierzył Maierowi: wojskowych z Bendlerstrasse. Oczywiście z komentarzem:

- Führer pragnie bezzwłocznie znać rezultaty, i ja także. A ponieważ pan, panie Maier, przezornie nastawił się na tych chłopaków, będzie pan mógł szybko dostarczyć przekonujące dowody.

Było to nie tylko żądanie, lecz i groźba. Ostrożny sprzeciw Maiera - „niestety, główni świadkowie zostali straceni” - został odrzucony krótkim ruchem dłoni.

- Są jeszcze inni i pan musi ich znaleźć.

Faktycznie byli jeszcze inni, przynajmniej jeden z całą pewnością: Fritz Wilhelm hrabia von Brackwede; być może jedyny jeszcze żyjący znawca, wszystkich powiązań w grupie Stauffenberga. Trzeba go odnaleźć!

- Nie mógł odlecieć - oświadczył sturmbannführer siedzącemu sztywno, jakby nieobecnemu Konstantinowi. - Na lot konieczne są specjalne zezwolenia. Auto wymaga pozwolenia na jazdę i benzynę. Na dworcach i w pociągach przeprowadzane są podwójne i potrójne kontrole. Marsz pieszo nie ma sensu, zaalarmowaliśmy wszystkich żandarmów i wszędzie wysłaliśmy dodatkowe patrole. Przez granice również nikt się nie przedostanie, są zablokowane. A więc pański brat musi być jeszcze w Berlinie!

- To możliwe, ale ja nic o tym nie wiem!

*i-* Niech pan posłucha uważnie moich argumentów - ciągnął Maier lekko zniecierpliwiony. - Powinien pan zrozumieć, że ucieczka albo ukrywanie się nie mają sensu. Niech pan pomyśli chociażby o kartkach żywnościowych, wystarczają na cztery tygodnie; hotele i zajazdy po wsiach przyjmują najwyżej na trzy dni. Wszystkie wsie są wypełnione uchodźcami z powodu bombardowań. I wreszcie: kto udzieli schronienia uciekinierowi, narażając przy tym własne życie? Pański brat zna doskonale te reguły gry.

-To sprawa mojego brata powiedział Konstantin, wcale nie zbity z tropu.

- Człowieku! - wykrzyknął sturmbannführer. - Niech pan będzie rozsądny! Uderzył pięścią w plik papierów, które leżały przed nim na biurku. - Przecież ja nie żądam, aby pan swego brata wydawał na rzeź! Pan powinien nam pomóc. A przy tym może pan uchronić brata przed najgorszym. Czy pan wciąż jeszcze tego nie pojmuje?

Leutnant Konstantin von Brackwede milczał. Jego twarz była blada, a w oczach malowała się bezradność.

- No dobrze - rzekł Maier z odzieniem ubolewania. Sięgnął po nakaz aresztowania. - Oczywiście musimy się ubezpieczyć na wszelkie sposoby. Ponieważ nie mamy pańskiego brata, musimy się zadowolić jego współpracownicą.

- Hrabina Oldenburg - zapewnił Konstantin energicznie - nie ma z tym nic wspólnego. W najmniejszym stopniu.,

- Być może - skwitował sturmbannführer - to się okaże. Ale najpierw ją aresztujemy. Nie ma powodu do obaw, drogi przyjacielu, chodzi tylko o środki ostrożności. Tej damie na razie nie spadnie włos z głowy. A kiedy zjawi się pański brat, uwolnimy ją. Obiecuję to panu?

- Nie mam pojęcia, gdzie on przebywa.

- Wierzę że pan tego nie wie. Ale to może się zmienić. Może się wkrótce sam zgłosić. - Maier przestawił się teraz na współczucie.

- Bardzo proszę, mój drogi, aby pan był przekonany, że jestem panu szczerze życzliwy, jak również pańskiemu bratu. I mogę mieć jedynie nadzieję, że podejrzenie przeciwko niemu nie potwierdzi się.

- Chce pan powiedzieć, że nie jest jeszcze pewne?

Cóż może być pewnego na tym świecie? – Sturmbannführer podszedł do Konstantina z nakazem aresztowania w rękę. -Proszę, niech pan na własne oczy zobaczy, jak dalece wychodzę panu naprzeciw: niech pan sam poinformuje hrabinę, że muszę ją niestety aresztować. Ma pan na to godzinę czasu albo dwie. Będziecie sobie z pewnością mieli coś do powiedzenia.

Generał piechoty Kari Heinrich von Stülpnagel w Paryżu otrzymał dnia 21 lipca rozkaz, aby się stawił w Berlinie „do raportu”. Wiedział, co to oznacza. Żegnając się ze swoimi współpracownikami, blady, uśmiechnął się i jasnym, spokojnym głosem powiedział:

- Tak musi być. Przyjmuję wyłączną odpowiedzialność za wszystko, co się stało na moim terenie. Proszę, aby każdy z was konsekwentnie tym się kierował. Potem wsiadł do swego samochodu i odjechał.

Pod wieczór auto generała dotarło do Verdun. Kazał zrobić krótki objazd przez Sedan. Jego współtowarzysze widzieli, jak wyprostował się w napięciu. Kiedyś, podczas pierwszej wojny światowej, walczył tu jako młody oficer. Często o tym wspominał w kręgu znajomych. Kazał skrócić w boczną drogę, a potem powiedział:

- Proszę się tu zatrzymać. Chcę odbyć jeszcze krótki spacer. Sam,

Odszedł, wyprostowany, o szczupłej, ostro zarysowanej sylwetce. Wyglądało, jakby zniknął na horyzoncie

W kilka minut później jego towarzysze usłyszeli strzały z pistoletu, dwa albo trzy. Żołnierze spojrzeli po sobie przestraszeni i pobiegli za generałem. Znaleźli go dopiero po długich poszukiwaniach. Leżał w kanale, twarz miał zwróconą ku górze, ręce zaciśnięte na szyi. Rzęził, kiedy go wyciągali.

Czapka i pas zniknęły, brakowało również jego Krzyża Rycerskiego; wyglądało na to, że go zerwał. Generał leżał błądy i drżący. Strzelił sobie w prawą skroń. Pocisk utkwił w oczodole. Generał oślepl. Ciężko rannego odwieziono do lazaretu i tu z wielką troskliwością pielęgowano, aż znów mógł myśleć, mówić i stać wyprostowany. Potem został postawiony przed sądem, skazany na śmierć i powieszony.

Umarł bez słowa.

- Jak właściwie funkcjonuje pańska pamięć, panie von Brackwede? - zapytał dźwigowy Lehmann.

- Całkiem nędznie, jeśli zechcę - odpowiedział kapitan. - Jeśli trzeba, potrafię nawet nie pamiętać, że pana kiedykolwiek widziałem.

Mieli teraz obaj dużo czasu dla siebie. Karzeł grał rolę szefa sztabu generalnego, kapitan próbował być kapralem.

- Nasze dokumenty są już zamienione. Kartki żywnościowe nadejdą jutro. Złożyłem już wnioski o ponad pół tuzina specjalnych dowodów osobistych, do tego stałe bilety na kolej miejską i metro.

- Poza tym, o ile dobrze zrozumiałem, chce pan zorganizować zakładmalarzski na wielką skalę.

-To jest tylko drobne uboczne zajęcie— rzekł Lehmann, niedbale.

- Majaczą mi się całkiem inne projekty.

-Czy dlatego pytał pan o moją pamięć?

Lehmann skinął głową.

- Nie mam zamiaru siedzieć beczynnie dzień po dniu za każdym razem w innej budzie i ożywiać Się tylko w nocy. Szukam przyjemniejszego zajęcia w wolnym czasie.

Ten dzień - 21 lipca, piątek - spędzali obaj w mieszkaniu dramaturga. Brackwede rzucił się od razu na książki, które tam stały, i wziął sobie sześc. Tkwiał teraz z nimi przy drzwiach balkonowych. Lehmann uszczelnił w kuchni kran i cofnął licznik prądu za pomocą magnesu. Rozglądał się teraz za następnym zajęciem.

- Wie pan, panie Brackwede, co najchętniej bym teraz zrobił? Pomajsterkowałbym.

Hrabia opuścił otwartą książkę. Popatrzył zdumiony na Karła i powiedział.

- Chyba nie zamierza pan uprawiać swego ulubionego sportu?
- Tylko po to, aby nie wyjść z wprawy.
- Człowieku, czy pan jeszcze nie ma dość? Dwudziesty lipca, przyjacielu, był wczoraj!

I dlatego mielibyśmy zmarnować choć jeden dzień? Musi tu chyba gdzieś być jakiś materiał wybuchowy, prawda?, Chciałbym go mieć. To wszystko.

Von Brackwede potrząsnął głową zdumiony.

- Po co?
- Tak sobie! Człowiek nigdy nie wie, do czego coś takiego może się przydać.
- -W związku z tym chce pan odpowiednie adresy.
- Tak jest! I to możliwie szybko. Żebyśmy się tam dostali jeszcze przed gestapo.

Hrabia von Brackwede zerknął na Lehmana z wyrozumiałością.

- To niezły pomysł i kto wie, czy kogoś w ten sposób nie ustrzeżemy przed kłopotami. - Napisał z pamięci adres, dodał trzy cyfry. - Niech pan tam spróbuje to zainkasować.

21 lipca 1944 Ernst Kaltenbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, został mianowany „przewodniczącym komisji specjalnej 20 lipca”. Do jego współpracowników należał sturmbarni führer Maier. Führer rozkazał, aby mu codziennie przelczywać raport na piśmie, z całą dokładnością i bez ogródek.

Ta specjalna komisja miała już wkrótce jedenaście pododdziałów; i zatrudniała czterystu gestapowców, Przesłuchali blisko siedem tysięcy podejrzanych. Ponad tysiąc. Spośród nich aresztowano, z tego kilkuset zabito.

22 lipca na Bendlerstrasse przybył reichsfuhrer SS Himmler. Członkowie korpusu oficerskiego, jeśli już nie byli zabici, nie uciekli albo nie zostali aresztowani, stawili się na jego powitanie. Himmler wygłosił mowę, apelował do honoru, wierności i sumienia i wzniósł trzykrotny okrzyk: Sieg Heil! na cześć; fuhrera; Oficerowie wtórowali mu ze wszystkich sił. Himmler został wreszcie głównodowodzącym armii rezerwowej.

Wkrótce potem doktor Josef Goebbels został mianowany „pełnomocnikiem generalnym do działań wojennych”. Z miejsca przystąpił do akcji za pomocą jednej ze swoich wypróbowanych podburzających mów radiowych.

Rozpoczął się tym samym okres niepohamowanych głośnych wyzwisk. Marszałek GŚring nazywał ludą 20 lipca „żałosną kliką

byłych generałów, których trzeba było usunąć z powodu ich nieudolności i tchórzliwego zachowania". Admirał Dönitz mówił o „łajdakach i sługusach wroga". Himmler określił oficerów spisku jako „sabotażystów działań wojennych i sojuszników wroga".

Takie samo stanowisko zajmował również reichsleiter Bormann najbliższy zaufany: Hitlera. Mówił o podstępnej próbie zawarcia „po koju z Moskwą"-, To był największy postrach. Poza tym pozwalał sobie na inne obelżywe sformułowania.

Generał Jodl starał się go prześcignąć. Rozpowszechniał pogląd, że „tych ludzi można porównać do jezuitów". I trzeba z nimi zrobić porządek jako z osobnikami Jeszcze bardziej podłymi niż najpodlejsi zawodowi przestępcy".

Ta fala zapалу pobudziła także ministra spraw zagranicznych Ribbentropa. Nazwał on Stauffenberga „bezwartościowym duchowo indywiduum w mundurze pułkownika". A reichsleiter Ley bełkotał w pijackiej wściekłości:- Wytepić wszystkich!

Ludzie ci posunęli się jednak za daleko. Sam Hitler wydał tajny rozkaz, aby poniechać tego rodzaju wyrażen, albowiem niektórzy z tej wyklinanej „szlacheckiej oficerskiej kliki" byli jeszcze potrzebni.

Goebbels zręcznie i jak zwykle bez skrupułów o wiele precyzyjniej trafił w wymagany ton; W swoim przemówieniu radiowym bez wahania nazwał pułkownika Stauffenberga „złym, zdegenerowanym osobnikiem". Również on mówił o „spisku uknutym w obozie wroga". Materiał wybuchowy - az Anglii; pieniądze - z Ameryki; inspiracja z Rosji.

Ale potem znów zatrafił nagle w fanfary. Jeśli uratowanie führera z największego niebezpieczeństwa nie było cudem, to cuda nie istnieją. I dalej zagrał na uczuciach tej grupy wierzących, którzy imię Hitlera i Pana Boga wymieniali jednym tchem. - Możemy być pewni -- wołał -że Wszchemogący nie mógł nam się ukazać bardziej wyraźnie niż przez to cudowne ocalenie führera.

Kobiety szlochały, żołnierze nie wstydzili-się swoich łez. Telegramy z wyrazami oddania wypełniały wielkie kosze. Znaleźli się nawet duchowni, którzy inicjowali modły dziękczynne.

A Goebbels powiedział do swoich zaufanych, szczerząc zęby:

- Bomba pod dupą Hitlera była konieczna, aby nabrał rozumu.

- Elisabeth - powiedział cicho Konstantin - co się z nami stało-

Coś go pchało, aby do niej podejść, objąć ją: Ale stał sztywno. Nie znajdował słów, które mogłyby wyrazić nurtujące go uczucia.

Twarz Elisabeth była bladą maską.

- Niech mnie aresztują - syknęła. - To nieważne wobec tego, o co tu chodzi.

- Nieważne, ale nie dla mnie! - zawołał Konstantin zrozpaczony.  
- Dla mnie ty jesteś wszystkim.

Usiadł wyczerpany na krześle. Było to to samo krzesło, na którym przedtem leżało jego ubranie. Nie pamiętał tego.

- Musisz teraz wiele zapomnieć - mówiła Elisabeth. - W takich czasach jak te nie można żyć tak, jak by się chciało. Próbowaliśmy, ale się nie udało. Uważam, że teraz przede wszystkim musimy myśleć o twoim bracie, tylko on jest ważny. Z jego powodu stało się nieuniknione to, o czym nigdy nie odważylibyśmy się pomyśleć. I bardzo bym chciała, abyś potrafił to zrozumieć.

- On nie ma prawa żądać takiej ofiary. - Konstantin wyciągnął rękę w jej stronę, ale znów ją cofnął. - I też nigdy by tego nie żądał, a już na pewno nie od ciebie. Gdybym tylko mógł z nim porozmawiać...

- Konstantin - powiedziała hrabina cicho i z naciskiem - czy ty nie widzisz, że próbuje się wygrać ciebie przeciwko niemu? I czy nie czujesz, jak wielką wartość ma dla tych ludzi twój brat? Każdy środek jest dobry, aby go dostać w swoje ręce

- Co to za człowiek ten mój brat? - zawołał Konstantin niemal oskarżycielskim tonem. - Dlaczego nigdy nie rozmawiał ze mną tak, jak należy rozmawiać z bratem! Z całą szczerością! Musi przecież wiedzieć, że go kocham; obojętne, co uczynił. Nawet, jeśli go nie potrafię zrozumieć, nawet jeśli zrobił coś najgorszego, cóż to zmienia w mojej miłości do niego? A ciebie, Elisabeth dotyczy to samo.

- Uważasz więc za możliwe, Konstantin, że twój brat mógł brać udział w zamachu na Hitlera?

- Tak odparł leutnant.

- Czyżby to znaczyło, że masz dla niego zrozumienie?

Na to pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć, Elisabeth, je szcze nie, Wiem tylko tyle: dla mnie führer to wciąż jeszcze Niemcy; byłem gotów umrzeć za niego. Wierzyłem w niego bez zastrzeżeń. Ale skoro tacy ludzie jak Beck, Stauffenberg i mój brat bezwarunkowo są przeciw Hitlerowi, to musi mieć sens i uzasadnienie.

- Dobrze - powiedziała Elisabeth cicho. - I po krótkim wahaniu oznajmiła; Uważam, że musisz porozmawiać ze swoim bratem. Może to się da zrobić. Mamy pewne ustalenia na wszelkie ewentualności. Bądź wieczorem, możliwie tuż po ósmej w hallu dworca ZOO.

Czekaj tam przy kiosku z gazetami obok wyjścia z podziemia. Tylko proszę, bądź ostrożny.

—Uczynię wszystko, co zechcesz aby tylko ci pomóc, Elisabeth. I jemu. Nam wszystkim.

- Chodźmy więc - powiedziała hrabina głucho. Włożyła swoją dłoń w jego, pociągając go za sobą; dłoń ta była zimna i mocna. - I nie martw się o mnie. Jestem niemal szczęśliwa, że należę do tych ludzi, którzy zostaną teraz aresztowani; możesz mi wierzyć.

Dwaj mężczyźni, którzy zjawili się w głównej kwaterze führera, ubrani byli uroczyście na czarno. Poruszali się z godnością. Zostali niezwłocznie przyjęci.

- Moi panowie - powiedział Adolf Hitler, podkreślając swoją życzliwość wobec nich - czekają panów wielkie zadania! Ustalimy teraz szczegóły. Mogę panów zapewnić, że mam całkowite zaufanie do waszych umiejętności.

Podał im rękę. Wyglądało to tak, jakby witał zaprzyjaźnione głowy państwa. Poprowadził ich do wyściełanej ławki. Usiedli: przewodniczący trybunału ludowego i kat Berlina.

Przewodniczący trybunału był chudym i wysokim mężczyzną o głosie twardym jak szkło, Kat Berlina wyglądał raczej na urzędnika pocztowego, który wzorowo sprzedaje znaczki. Obaj spoglądali z odaniem na führera, najwidoczniej czuli się ogromnie uhonorowani.

- Myślę, panowie - powiedział Adolf Hitler - że jesteśmy zgodni co do tego, iż mamy do czynienia z hołotą najpośledniejszego gatunku.

- Z szumowinami ludzkości - zapewnił przewodniczący. - Jeśli o mnie chodzi, zaniechałbym wszelkich rozpraw, wyroki nie mogą budzić wątpliwości. Jednakże przypuszczam, że należy zachować formy. - Oczywiście - przytaknął Hitler. - Jesteśmy w końcu praworządym państwem, jednakże dalekim od wszelkich humanitarnych mrzonek.

Przewodniczący trybunału natychmiast się zorientował, co jego führer raczył dać do zrozumienia;

- Będę działał z największą zwięzłością i dokładnością i będę tłumił w zarodku wszelką paplaninę odwracającą uwagę. Na moim polu działania nigdy nie dopuszczano do takich przemówień.

- Bardzo dobrze - powiedział führer. - Ile wyroków załatwi pan podczas jednego dnia!



Myślę, że około ośmiu.

- A pan da radę? - zapytał Hitler kata.

- Dołożę wszelkich starań - zapewnił kat. ~- Dotychczas moja wydajność dzienna wynosiła trzech do czterech delikwentów, to jest około trzydziestu procent więcej niż moich kolegów w Królewcu i Monachium. Jednakże uważam za możliwy na moim terenie wzrost o sto procent, jeśli zostaną mi przyznane środki na rozbudowę urzędzeń do wieszania.

- Zostaną przyznane - powiedział führer.

Popijali herbatę. Podano ją w cienkich, ozdobnych porcelanowych -filizankach. Pachniała przyjemnie cierpko. Postawiono ciastka.

- Ta straszna rzecz, która się tu stała - oświadczył Hitler - wymaga przykładowej kary. Musi ona całkowicie Odstraszyć! Oczekuję zwięzłej, przekonującej rozprawy, szybkiego, trafnego wyroku i natychmiastowej egzekucji. Kto przed południem zostanie skazany, po południu musi wisieć!

- Tak będzie - obiecał przewodniczący.

A kat orzekł: - To da się zrobić.

- Żadnych strzałów! - powiedział Hitler. - Te kreatury nie są tego warte. Każda kula potrzebna jest na froncie. Mają wisieć!

- Śmierć przez powieszenie jest zwykłą w takich wypadkach praktyką - zapewnił przewodniczący trybunału.

- Jak długo coś takiego trwa? - zapytał führer.

- Dziesięć do piętnastu sekund, w zależności od siły rozmachu moich pomocników, od organizmu i wytrzymałości delikwenta.

- A nie da się tego przedłużyć?

- Oczywiście. Przy użyciu strun fortepianowych zamiast pętli z cienkiego drutu. Wtedy może to trwać kilka minut.

- Chcę to zobaczyć - zażądał Hitler. - Niech to zostanie sfilmowane ze wszystkimi szczegółami, zarówno egzekucję, jak i rozprawy przed trybunałem. W wypadku nieważnych fragmentów wystarczą nagrania dźwiękowe.

Na dalszym planie Bormann sporządził notatkę dla Goebbelsa, któremu podlegały film i radio.

Przewodniczący trybunału pochylał się poufnie do wodza: - Pozbawienie członków Wehrmachtu przysługującego im sądu wojennego, mój führerze, wymaga pewnych prawnych podstaw.

- To już zostało zrobione - powiedział Bormann, zamiast führera; - Powołaliśmy tak zwany sąd honorowy i tym sposobem pokonailiśmy śpiewająco wszystkie trudności.

„Sąd honorowy” Wehrmachtu obradował zgodnie z rozkazem. Miało to miejsce po raz pierwszy 4 sierpnia 1944. Przewodniczył feldmarszałek Gerd von Rundstedt.

- W imię führera - powiedział.

Następnie odczytał pierwszą listę. Znajdowały się na niej dwadzieścia dwa nazwiska, wśród nich jeden feldmarszałek i ośmiu generałów. - Ci ludzie - oświadczył Rundstedt - nie zasługują: na to, aby; dalej nosić zaszczytny mundur.

Nikt z obecnych się nie sprzeciwił. Byli tam generałowie Keitel, Burgdorf i Meisel; prócz tego Schroth, Specht i Kriebel. Na liście uczestników sądu widniało również nazwisko Guderiana. Ow specjalista od broni pancernej i zasłużony dowódca oświadczył później, że brał udział tylko w dwóch czy trzech posiedzeniach, i to „z największą niechęcią”. Odczuwał te procesy jako „odrażające i tragiczne”. Ale i on nie zaprotestował.

- Dla elementów, które podniosły rękę na głowę państwa - oświadczył feldmarszałek von Rundstedt - nie ma miejsca w naszych szeregach.

Usunięto więc „z hańbą” około stu żołnierzy.

W praktyce oznaczało to, że odtąd nie przysługiwał im sąd Wehrmachtu. Można ich było teraz, „zgodnie z „prawem”, przekazać gestapo i oddać pod trybunał ludowy.

- Choć w jednym czy drugim wypadku można by nad tym ubolewać - zapewnił przewodniczący „honorowego zgromadzenia” - nie da się uniknąć koniecznych konsekwencji. Jesteśmy to, moi panowie, winni Niemcom i naszemu führerowi!

Gestapo dalej działało. Himmler osobiście zagrzewał swoich ludzi. Kaltenbrunner również potrzebował materiału do codziennych raportów dla führera. Sturmabführer Maier okazał się głównym dostawcą.

Jego ludziom, szczególnie Voglbrunnerowi, w bardzo krótkim czasie powiodły się dalsze poszukiwania dokumentów. Znalaziono więc „listy rządowe” spiskowców z Bendlerstrasse, do tego coś w rodzaju „dziennika”. Zawarte tam zaszyfrowane stenogramy eksperci mogli bez trudu odczytać.

Nie bez znaczenia okazał się również plik akt odkryty w Zossen, W urzędzie generalnego kwatermistrzostwa. Z Paryża, od gruppenführera Oberga, nadeszły dalsze materiały. Służba łączności na Bendlerstrasse przedłożyła protokoły swej „akcji podsłuchiwania”.

- Wcale nie jest tak źle - powiedział sturmbannführer Maier pewnym głosem.

- Jak na początek całkiem dobrze - rzekł Kaltenbrunner protekcyjnie. - Ale to wszystko mało. Jeśli pan rzeczywiście chce nas przekonać, musi pan wytoczyć całkiem inne działa.

Sturmbannführer zażądał posiłków. Otrzymał je niezwłocznie. Teraz próbował się skoncentrować na brakujących jeszcze asach. Beck i Stauffenberg już nie żyli; Leber w porę został wyłączony. Ale brakowało jeszcze - jednego: Goerdelera!

Jego to tropił Maier zawzięcie. Ale nie znalazł, choć użył w tym celu setki funkcjonariuszy gestapo. Dwóch z nich pojawiło się w ramach działań rutynowych w Christlicher Hospitz; w przytułku tym Goerdeler nocował od czasu do czasu.

Funkcjonariusze zastali stos ruin, ale wśród nich kogoś, kto tymi resztkami zarządzał. Ów mężczyzna, wzburzony, utrudzony, oznajmił:

- Znamy pana Goerdelera. Mieszkał tu od czasu do czasu lecz ostatnio już nie.

Gestapowcy już chcieli zawrócić zawiedzeni. Raptem urzędnik pobiegł za nimi.

- Jest tu tylko gruby list pana Goerdelera. Przekazał go nam w swoim czasie, a my przechowaliśmy go w naszej szafie pancерnej.

List ów został wręczony funkcjonariuszom gestapo; Oddali go Voglbronnerowi; ten przekazał go Maierowi. Maier z kolei zaniósł go ufnie do Kaltenbrunnera.

- Znajduje się tu kilka memoriałów, które są jawną zdradą stanu.

- A czego innego spodziewał się pan po tym Goerdelerze?

- Wymienia nazwiska. Około setki.

- To już jest coś - zauważył Kaltenbrunner, Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy - ale wciąż jeszcze nie to, czego nam potrzeba: całościowego zarysu!

- Tego może przypuszczalnie dostarczyć-tylko jeden jedyny człowiek, hrabia von Brackwede!

A gdzie on jest?

- Tego jeszcze w tej chwili dokładnie nie wiem,

A więc niech go pan łaskawie szuka! Oczekujemy od pana, że dostarczy nam pan możliwie najlepszego materiału dowodowego w jak najkrótszym czasie. Jak pan sądzi, dlaczego już od lat na stawialiśmy pana w tym kierunku? Gdyby pan miał teraz zawieść, pociągnęłoby to za sobą skutki, które łatwo pan może sobie wyobrazić. Czy mam się wyrazić jaśniej?

- Niech pan się nie odwraca - odezwał się przytłumiony głos obok leutnanta von Brackwede. - Niech pan patrzy nadal przed siebie i to możliwie tak samo spokojnie jak dotychczas.

Konstantin stał w hallu dworca ZOO. Kupił kilka gazet i ścisnął je pod pachą. Obserwował ludzi, którzy przesuwali się obok niego.

- Niech pan rozłoży jedną z gazet - powiedział głos cicho.  
- Proszę udawać, że pan czyta, dopiero wówczas może pan ze mną rozmawiać, nie zwracając niczyjej uwagi.

Leutnant spełnił to polecenie. Rozłożył „Völkischer Beobachter”, gazeta dużego formatu zasłoniła jego twarz, Krzyż Rycerski, prawie wszystkie odznaczenia. Przytłumionym głosem zapytał:

- Czy to pan, panie Lehmann?

- Niech panu przypadkiem nie przyjdzie do głowy mnie uściskać - powiedział Lehmann. - I proszę, niech pan nie wymienia nazwisk i stara się zachować obojętność.

Lehmann stał tuż obok Konstantina - wydawało się, że ogląda wywieszane kartki pocztowe. Kupił jedną z nich. Przedstawiała wielkoniemieckie dzieło sztuki: Adolf Hitler w lśniącej zbroi rycerskiej, wysoko na koniu, w ręku powiewający sztandar ze swastyką.

Potem Lehmann powiedział do Konstantina:

- Niech pan idzie za mną, starając się nie rzucać w oczy. Odległość pięć do dziesięciu kroków. - Leutnant von Brackwede szybko zorientował się w obowiązujących tu regułach gry. Powoli złożył gazetę. Zobaczył przy tym Lehmanna w skromnym podniszczonym cywilnym ubraniu: robotnik z fabryki zbrojeniowej wracający ze zmiany.

W ten sposób zaczęła się skomplikowana droga wzdłuż i wszerz śródmiejskich dzielnic Berlina. Prowadziła od dworca ZOO do Nollendorfplatz, stamtąd do Gleisdreieck, potem z powrotem do Bulowstrasse, dalej Wittenbergplatz. Skończyła się na razie na Uhlandstrasse.

Tu Lehmann zniknął w jakiejś bramie. Leutnant całkiem zrećcznie podążył za nim: zdawał się człapać ciężkimi krokami, jakby odbywał jedynie przechadzkę.

- Robi pan postępy, panie leutnancie - powiedział Lehmann z uznaniem. Przesunął na kark niebieską czapkę z daszkiem. - Zachowuje się pan już prawie jak jeden z nas.

Konstantin ujął wyciągniętą ku sobie rękę i uściśnął ją serdecznie.  
- Co u pana słyhać? - zapytał.

- Podobnie jak u pańskiego brata - odpowiedział Karzeł, szcze-

rząc zęby. — A to chce pan chyba wiedzieć. Jesteśmy jeszcze dość dziarscy, choć już nie tak jak ryby w wodzie.

- Czy znajdujemy się już na miejscu?

- Ależ skądże, jeszcze długo nie! - Lehmann otarł spocone czoło. — Najpierw urządzamy zawsze skomplikowane zabawy, jak u pocziwego wujka Karola Maya. Nie na darmo jest on ulubionym pisarzem Niemców.

Leutnant również otarł sobie pot z czoła, i pierwsze dni po dwudziestym lipca także były upalne. Dopiero we wtorek, dwudziestego czwartego, spadł ulewny deszcz. Ale zaraz potem powietrze zdawało się znów gotować.

- - Myśli pan, że nas ktoś śledził?

Lehmann potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że nie. Choć zasadniczo jestem na to przygotowany, Nie liczę na szczęście ani na przypadek, opowiadał się raczej za systematycznym postępowaniem. Mamy teraz za sobą pół tuzina manewrów wymijających i mylących. To przypuszczalnie wystarczy.

- Widzę, że sprawia to panu nawet przyjemność.

- Tak niewiele jest rzeczy, które nam to życie w. Nieinezech uprzyjemniają, chwytam więc każdą nadarżającą się okazję.,

- Ach, drogi przyjacielu! - zawołał leutnant spontanicznie. Cóż to za dziwny kraj, w którym przyszło nam żyć.

Ale musimy przeżyć, nic więcej.

, Lehmann znów nasunął niebieską robociarską czapkę na łsnią-, cą twarz. - I właśnie dlatego musimy się liczyć z tym, że na każdym; rogu stoi ktoś, kto tego oprycha Hitlera bez zastrzeżeń uważa za kochającego ojca ojczyzny. W Niemczech, panie leutnancieci najuczciwsi patrioci to teraz dzika zwierzyna wyjęta spod prawa.

Carl Friedrich Goerdeler nie uczestniczył bezpośrednio w wydarzeniach 20 lipca. Ukrywał się przed gestapo. Nie próbowano go nawet wciągać.

Nie słuchał meldunków i przemówień radiowych. Od wielu dni nie było już wokół niego spiskowców. Próbował jeszcze tylko podpełzać tam, gdzie nadarzała się sposobność.

- A więc führer żyje stwierdzono.

Na to wygląda - powiedział Goerdeler.

- Żyje i najwyraźniej jest panem sytuacji.

.Goerdeler zęgnął się z jednym ze swych licznych gospodarzy udzielającym mu gościny. Był to urzędnik w Ministerstwie Gospodarki

Rzeszy. Wymamrotał kilka słów ubolewania, ale spieszył się, aby swego gościa odprowadzić do drzwi. Goerdeler zniknął w ciemnościach nocy.

W tych dniach zmieniał codziennie miejsce pobytu. Nieustanna ucieczka przed siepaczami od dłuższego czasu stanowiła część składową jego życia, teraz prawie uregulowanego. Na razie pozostawał jeszcze w Berlinie.

I tu spędził też dzień trzydziesty pierwszy lipca, swoje sześćdziesiąte urodziny.

Tego dnia zatrzymał się w mieszkaniu niejakiego Labetzkiego. Mężczyzna ów był woźnym, Znał Goerdelera tylko powierzchownie, był on dla niego jednym z wielu nazwisk na niekończącej się liście. Jednakże woźny Labetzki z naturalną gotowością udzielał schronienia byłemu nadburmistrzowi.

Patrzył na niego, jak spokojnie siedzi pochylony w kącie. Goerdeler poprosił o papier do pisania: Znowu sporządził memoriał. Tym razem jednak bardzo krótki.

Kilka dni potem, kiedy zmieniał jedną kryjówkę po drugiej, spotkał Goerdeler w metrze znajomą. Powiedział do niej właściwym sobie tonem wędrownego kaznodziei: - Nie zabijaj! - dając wyraźnym do zrozumienia, że uważa tragiczne niepowodzenie Stauffenberga za „wyrok Boży”. - Pan tego nie chciał.

Widował teraz swoje zdjęcie z nazwiskiem na wszystkich tablicach i słupach ogłoszeniowych, w metrze i przed teatrami, na murach i drewnianych płotach, w każdej gazecie, którą rozkładał. Za jego głowę dawano milion marek.

Była to najwyższa suma, jaką kiedykolwiek wyznaczono za „ujęcie przestępcy”. I została ona, tylko nieco później, wypłacona,

Każdy, kto przyjmował do siebie Goerdelera, ryzykował życiem.

Istotnie wielu potem zginęło tylko dlatego, że jadł on przy ich stole i spał w ich domu. Tak więc wędrował, pozostawiając za sobą wyroki śmierci, od jednej kryjówki do drugiej.

8 sierpnia opuścił Berlin. Niczym trędowaty żebrak skradał się ku swojej ojczyźnie, Prusom Wschodnim. Jego celem było Marienwerder - grób jego rodziców. Podróżował tam dwa dni i dwie noce.

- Kiedy dotarł do grobu, ukląkł i modlił się. Jego spocone czoło dotykało ziemi. Leżał całkowicie wyczerpany.

Potem podążył dalej. Sypiał pod gołym niebem, w stodołach, w poczekalniach. Żywił się skradzioną rzepą. Prosił chłopów o chleb. Chleptał wodę jak zwierzę.

12 sierpnia, będąc już u kresu sił, dotarł do gospody. Miejscowość

nazywała się Konradswalde. I tu został rozpoznany przez dziewczynę z obrony przeciwlotniczej, aresztowany przez dwóch płatników i wydany gestapo.

Ale to jeszcze nie był jego koniec. Jego mózg, wypełniony po brzegi nazwiskami, datami i szczegółami, trzeba było „odkorkować”. I trwało to długie miesiące od dnia ogłoszenia wyroku śmierci:

Co za budujący widok powiedział kapitan von Brackwede do swojego brata, który stanął przed nim. - Po co przyszedłeś?

Żeby cię zobaczyć, Fritz!

- No dobrze, teraz mnie widzisz - powiedział Fritz.

Leżał na kanapie, palił cygaro i zdawał się słuchać radia. Pokoje w którym się znajdował, położony był w pobliżu Savignyplatz i należał do pracownika przedsiębiorstwa handlu węglem Lebera.

- Muszę z tobą porozmawiać, Fritz., Elisabeth została aresztowana.

-To było do przewidzenia - powiedział Brackwede z zamkniętymi oczami,

- Ale nie uważam, że jest zagrożona. Elisabeth jest wyjątkowo żywą, zręczną i nadzwyczaj mądrą osobą. Mam nadzieję, że sam się o tym przekonałeś. Do tego jeszcze jest odważna!

Ona jest zbyt porządna, nie może paść ofiarą.

Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede nie poruszył się. Jakby nieobecny zapytał tylko:

- Masz wiadomości z domu?

- Twoja żona martwi się o ciebie.

- Kobietom, które poślubiają takich ludzi jak ja, nigdy nie jest to całkiem oszczędzone - powiedział von Brackwede.

- Dzieci pytają o ojca!

- Konstantin - rzekł hrabia, niemal ostro. - Mężczyzna i jego rodzina to dwie całkiem różne rzeczy. Każda jest światem samą dla siebie.

Konstantin spojrzął na brata oburzony.

Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, coś narobił, twoja żona i dzieci są niespokojne. Poza tym szuka cię gestapo. Maier chce się z tobą pilnie widzieć. Ja chciałbym wiedzieć, co się naprawdę stało. Ale najważniejsze w tej chwili: musisz pomóc Elisabeth!

- Muszę zmienić kwaterę. Chwilowo nic nie jest dla mnie bardziej ważne. - Kapitan wstał, - Powinieneś wreszcie przestać obnosić się ze swymi uczuciami, obojętne czy chodzi o ojczyznę, czy o rodzinę.

- Stało się coś niepojętego, Fritz!  
- Ja nazywam to czymś oczywistym, koniecznym, całkowicie, naturalnym. Wybierz z tego, co chcesz.

- Co ty masz wspólnego z tymi wydarzeniami? - zapytał Konstantin. - Powiedz mi!

.-. Kapitan uśmiechnął się, wciągając skarpetki. Pokój miał szerokie weneckie okno, a meble były delikatnej piękności: wczesny, starannie toczony biedermeier. Zegar na kominku wydawał jasne srebrzyste dźwięki.

- Ten świat jest pełen idealistów - powiedział Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede, sięgając po buty. Można ich też nazwać głupcami. I zarówno jedni, jak i drudzy nudzą mnie! Mam dość ich-wszystkich!

- Naprawdę nie wiem, Fritz, co o tobie myśleć.

- Nic - powiedział von Brackwede, zawiązując sznurowadła.  
- Nie jestem ani typem męczennika, ani sługusiem na czyjejs służbie. Nie jestem też głupcem. Chcę tylko przeżyć. I mam nadzieję, że takiej właśnie informacji zdajesz się pilnie potrzebować.

Konstantin von Brackwede stał pochylony, opuścił głowę. Krzyż Rycerski huśtał mu się na piersi. Poruszał niespokojnie rękami, jakby czegoś szukał.

Fritz Wilhelm przyglądał się bratu z tkliwą wyrozumiałością.

Jeżeli zburzyłem jakiegokolwiek twoje złudzenia, mój mały, uczyniłem to chętnie.

Czy ty tego nie rozumiesz? Chcę iść za tobą.

Dokąd?

- Dokąd zechcesz.

- Odmawiam! - Oświadczył von Brackwede; - Nie jestem przywódcą stada. Chcę iść własną drogą. I przekaz wszystkim, którzy się o mnie niepokoją: wypraszam sobie, aby ktokolwiek mną się interesował.

- Ty nas zupełnie nie rozumiesz, Fritz!

- Mój mały, nie śmiałbym nawet o tym marzyć. Powiedz mojej żonie, że powinna teraz żyć tak, jakbym w ogóle nie istniał. Hrabina Oldenburg niech się dowie, że teraz sama musi się ze wszystkim uporać bez względu na to, co ją spotka, i musi postępować tak, jakby szło wyłącznie o jej skórę.

- Czego żadasz od nas?

Kapitan wyprostował się. Pozapinał mundur jak zwykle niedbale, kołnierzyk pozostawił odpięty.

- A naszemu drogiemu Maierowi możesz przekazać, że nie będzie już robił ze mną żadnych interesów!



Przynoszę panu pismo od naszego führera - rzekł feldmarszałek Model. Powiedział to do feldmarszałka Gunthera von Kluge. Ten zawahał się, zanim przyjął podsunęty dokument.

- Pan ma mnie zastąpić? - zapytał bezdźwięcznie.

Model opuścił zimną i gładką twarz. Przytaknął.

- Jest mi niezwykle przykro, że muszę panu przekazać tę wiadomość, ale w grę wchodzi bezpośredni rozkaz, od którego nie mogłem się uchylić.

- Ale że właśnie pan? - zapytał Günther von Kluge.

.- Ktoś musiał nim zostać, prawda? - skwitował Model.

Pismo Adolfa Hitlera wzywa Klugego, aby udał się natychmiast do Berlina w celu złożenia wyjaśnień dotyczących „pewnych niejasnych szczegółów”. Feldmarszałek zorientował się w mig, co to oznaczało: czekały go przesłuchania, przypuszczalnie przez gestapo. Przez dłuższy czas siedział „jak oszołomiony”.

- Za nic nie ponoszę winy - powiedział z trudem.

- Tego nie potrafię ocenić - odrzekł Model uprzejmie.

W kilka miesięcy później również i ten feldmarszałek musiał popełnić samobójstwo za pomocą własnego pistoletu służbowego, w lasku w Zagłębiu Ruhry, w pobliżu Essen. Tego dnia jednakże osiągnął szczyt swojej kariery wojskowej: został mianowany głównodowodzącym Grupy armii Zachód.

- Chciałbym jeszcze napisać kilka słów - powiedział von Kluge.

Prośba ta została wspaniałomyślnie wysłuchana. I podczas gdy jego służbowy wóz czekał, feldmarszałek von Kluge napisał do syna, że zawsze spełniał tylko swój obowiązek i gdyby miał teraz umrzeć, to jest to też spełnienie obowiązku. Następnie napisał do swego naczelnego wodza.

- Mój Führerze, Zawsze podziwiałem Pańską wielkość... zawsze prowadził. Pan honorową i wielką walkę... Takie świadectwo wystawi Panu historia." ;

Potem feldmarszałek opuścił swoją kwaterę. Wsiadł do służbowego samochodu i odjechał. Wziął ze sobą tylko niewielki bagaż,

Jego kierowca zeznawał później: feldmarszałek siedząc za nim prowadził ze sobą głośne, ale niezrozumiałe rozmowy.

Tu się zatrzymamy - polecił po paru godzinach monotonnej jazdy..- Mam zamiar odpocząć.

Feldmarszałek wysiadł zdrętwiały. Znajdował się w pobliżu Verdun.

Rozpostarto koc w cieniu kasztanów.

- Dziękuję - powiedział von Kluge zmęczony. Następnie się położył. Jego towarzysze odeszli, wówczas feldmarszałek rozgryzł kapsułkę z trucizną, którą już od miesiący nosił przy sobie. Zmarł szybko i spokojnie. Działo się to w odległości kilku kilometrów od miejsca, w którym generał Stülpnagel chciał się zastrzelić, tracąc przy tym wzrok.

Ten honorowy - według listu pożegnalnego Klugego - bojownik Hitler przeżył 20 lipca 1944 tylko o dziesięć miesięcy i dziesięć dni. Potem się zastrzelił. Jego zwłoki obłano benzyną i spalono, jego prochy rozsypano, tak jak prochy pułkownika Stauffenberga.

- Gdybym chciał, mógłbym pana kazać posiekać— powiedział sturmbannführer Maier.

- Ale pan nie chce, prawda? - Karzeł Lehmann uśmiechnął się ostrożnie..

- Po co mi kielbaska, jeśli mogę upiec na rożnie całego wołu?

W południe tego dnia Lehmann został pochwycony w pobliżu dworca ZOO, kiedy wyszedł po zakupy. Najpierw zauważył tylko, że ktoś za nim idzie. Nie zaniepokoiło go to szczególnie, wykonał kilka zakrętów i Był pewien, że zgubił dwóch do czterech prześladowców Nie miał; pojęcia, że wysłano za nim ponad dwa tuziny ludzi.

Ale ta kielbaska zdaje się mieć dla pana jakąś wartość - sondował Lehmann, macając ostrożnie grunt. - Właściwie dlaczego? Aż mnie to niepokoi. Chyba nie uważa mnie pan za kieszonkowego Stauffenberga?

Maier roześmiał się. Lehmann zarejestrował uważnie ten odruch. Zaczęli zerkać na siebie. Trwało to kilka sekund. Potem Karzeł przysunął sobie najbliższej stojące krzesło i usiadł na nim.

- Figlarz z pana! - zawołał sturmbannführer. - Poza tym jest pan bardziej przebiegły, niż myślałem.

- A jednak właśnie taki. Jaki jestem, przypadłem panu do gustu.

Karzeł mógł sobie pozwolić na przymilanie się, byli sami w pokoju. Maier również usiadł. Wyglądało, jakby się namyślał. Następnie przysunął w stronę Lehmana pudełko cygar, częstując go.

- Całe? - zapytał Lehmann swobodnie.

Maier znów roześmiał się hałaśliwie.

-Chciałbym mieć pańskie poczucie humoru, mój chłopcze! A przy tym chyba pan wie doskonale, że mógłbym pana przepuścić, przez maszynkę po tym, co pan nabroił.

- Przypuszczam, że pan nie wie nawet połowy. - Karzeł otworzył pudełko z cygarami i obwąchał ze znanstwem zawartość. Fotem stwierdził: - Chciałbym wziąć trzy - jedno na teraz, drugie na drogę do domu, trzecie jako formę koleżeńskiego pozdrowienia, wie pan dla kogo.

Sturmbannführer skinął głową. W jego oczach zamigotał jakby szacunek.

- Człowieku - rzekł z uznaniem - ktoś tak przebiegły jak pan i akurat takie plajtujące przedsięwzięcie! Dlaczego pan nie jest u nas?

- Może o tym jeszcze porozmawiamy - powiedział Lehmann. -Ale chwilowo mamy chyba obaj inne zmartwienia. Ja chciałbym zanieść moje cygara w bezpieczne miejsce, a pan tęskni, za hrabią von Brackwede...

- Mniej więcej tak - przytaknął Maier. - A przy tym liczę teraz na pańską energiczną pomoc.

- Czemu nie. - Karzeł pokombinował chwilę i zaczął z miejsca stawiać warunki. - To oczywiście nie jest takie proste, ale pan to już zauważył. Niech pan nie żąda ode mnie adresu hrabiego, nie mógłbym go panu dać, bo sam go nie znam. On wciąż zmienia kwaterę. Ale spróbuję go znaleźć.

Człowieku! - zawołał sturmbannführer niecierpliwie - ze mną nie musi być pan taki ostrożny. To graniczy: .niemal ze znie wagą. Chyba nie wątpi pan w mój rozsądek?

- Jestem jak najdalszy od tego! - zapewni! Karzeł. - Mogę więc teraz zniknąć, a pan nie wyśle za mną swoich psów gończych?

Maier skinął głową.

Pan się teraz zanurzy i wypłynie u kapitana. I niech pan wie: znajduję pana znów, jeśli zechce; a kiedyś na pewno zechce. Wcześniej czy później znajdziemy również hrabiego, gwarantuję panu.

- Ale pan go potrzebuje natychmiast i chętnie pan za to zapłaci.

- Nawet dużo! A zatem rezygnuję z pańskiego towarzystwa, Lehmann, choć przychodzi mi to z wielkim trudem.

- A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, mam przekazać hrabiemu von Brackwede wiadomość od pana.

- Dobrze pan zrozumiał. - Sturmbannführer pochylił się do przodu. - Powie mu pan: jeśli o mnie idzie, może sobie spokojnie działać tak, jakby jego brat był mu obojętny i hrabina Oldenburg również. Ale ma w końcu żonę i dzieci, troje czy czworo, jeśli się nie mylę. I ich mam zamiar teraz zniszczyć z całą bezwzględnością! Chyba że stawi się w jak najkrótszym czasie. Niech mu pan to przekazuje.

Lehmann wcale nie okazał zaskoczenia; znał metody gestapo i ówczesną cenę ludzkiego życia.

- Jakie gwarancje pan mu oferuje?

- Jeśli przyjmie moją ofertę - oświadczył sturmbannführer Maier - umożliwię jego żonie i dzieciom wyjazd do Szwajcaru. W ciągu dwudziestu czterech godzin. Odpowiednie drobiazgi, jak paszport, zezwolenie na wyjazd i bilety są przygotowane. Ale w godzinę po przekroczeniu przez jego najbliższych granicy Brackwede musi tu być. To mój warunek.

- Polega pan na jego słowie?

- Dziwi to pana? - Oczy Maiera błyszczały. - Niech do mnie zadzwoni, nic więcej.

- A jeśli nie zadzwoni, aresztuje pan całą jego rodzinę, prawda?

- Mniej więcej tak.

- A co będzie, jeśli da słowo, a potem go nie dotrzyma? - zapytał Lehmann. - Wystarczy, że będzie wiedział, że jego żona i dzieci są bezpieczne.

- Wtedy załatwię brata razem z hrabiną Oldenburg. Potem schwytam pana, a do tego kapitana von Brackwede i drzazgi się posypią.

- Zrozumiałem - powiedział Lehmann. Wstał i zawinął starannie cygara w gazetę. - A więc obyśmy się nie zobaczyli!

- Niech pan powie kapitanowi jeszcze jedno: jeśli przyjdzie, nie musi się w najmniejszym stopniu obawiać o swoją osobę. Wprost przeciwnie, oczekuję go, że tak powiem, z otwartymi ramionami, jak wielce pożądanego współpracownika.

Feldmarszałek Rommel leżał ciężko ranny. Wracał do zdrowia bardzo powoli. Mógł już opuścić lazaret we Francji i przebywał teraz w domu, w swojej szwabskiej ojczyźnie.

Tu dotarł do niego rozkaz Hitlera; feldmarszałek ma się udać do Berlina „na ważną naradę”. Rommel wiedział, co to oznaczało, odelegrafował: „Przykro mi, ale nie mogę; jestem chory”,

A do przyjaciół powiedział:

- Hitler chce mnie usunąć.
- Nie odważy się - odpowiedzieli przyjaciele.

Siedem dni później w Hesslinger, gdzie mieszkał Rommel, w południe zjawili się generałowie Burgdorf i Maisel. Wraz z nimi przybyły oddziały Waffen SS. Esesmani otoczyli wieś z bronią gotową do strzału. Mieli rozkaz strzelać do tak podziwianego przez Hitlera i tak hojnie obdarzonego odznaczeniami dowódcy w wypadku, gdyby próbował ucieczki.

- Przychodzimy z rozkazu fuhrera - zapewnili obaj generałowie uroczyście.

Wszelkie próby odprawienia ich były bezcelowe. Oznajmili, że jeśli zajdzie konieczność, wedrą się przemocą. Zostali więc zaprowadzeni do Rommla. Odbyli z nim blisko godzinną rozmowę.

Generałowie fuhrera oświadczyli: udowodniono, że Rommel brał udział w spisku przeciwko naczelnemu wodzowi. Ma teraz do wyboru: trucizna albo trybunał ludowy. Jeśli zażyje truciznę, jego rodzina nie dozna żadnych prześladowań. Zapewnia mu się nawet uroczysty pogrzeb na koszt państwa. Rozprawa przed trybunałem ludowym oznaczałaby wstyd i hańbę, a wreszcie śmierć po długich cierpieniach.

- Za kwadrans nie będę żył - powiedział Rommel do żony. Opuścił dom o godzinie 13.05 w towarzystwie obu generałów. Już po dwudziestu pięciu minutach został odwieziony martwy do lazaretu w Ulm. Jego towarzysze oświadczyli:

- Przyczyną śmierci był zator. Dalsze badania są zbyteczne. Rozkaz fuhrera!

Uroczysty pogrzeb oczywiście się odbył. Fuhrera i wodza naczelnego reprezentował feldmarszałek von Rundstedt. Powiedział, wskazując na trumnę, w której leżał Rommel:

- Jego serce należało do fuhrera.

A Adolf Hitler oświadczył swemu otoczeniu, na pozór głęboko poruszony:

Postawimy mu godny pomnik! Po zwycięstwie!

30 lipca, prawie dokładnie co do minuty w dziesięć dni po owej chwili, kiedy w głównej kwaterze fuhrera eksplodowała bomba Stauffehberga, kapitan hrabia Fritz-Wilhelm von Brackwede zjawiał się na Prinz-Albrecht-Strasse. - Jestem oczekiwany - oznajmił esesmanowi przy wejściu.

Miał przy sobie teczkę, tę samą, która 20 lipca była przynoszona z Schifferdamm na Bendlerstrasse i z powrotem. Tylko teraz nie było

w niej żadnych papierów. Zawartość jej stanowiło mydło, ręcznik, maszynka do golenia, piżama, bielizna, skarpetki.

- Sturmbannführer Maier jest bardzo zajęty - zakomunikował wartownik SS. - Nie może z nikim rozmawiać.

.- Mnie to nie dotyczy - powiedział von Brackwede z przekonaniem. Przewyciężył szybko napierające mocne pragnienie, aby natychmiast zawrócić. - Niech mu pan tylko powie moje nazwisko.

Tak się stało. Wydawało się, że zaporą została przełamana. Dwaj wartownicy przeobrazili się błyskawicznie w uprzejmych towarzyszy i zaprowadzili gościa do Maiera. Sturmbannführer wyszedł kapitanowi naprzeciw aż na korytarz, niemalże z otwartymi ramionami.

- No, jest pan nareszcie!

Umowa to umowa - powiedział hrabia. - Poza tym, jak pan wie, jestem ogromnie ciekaw, może nawet tego, co pan tu w rozlicznych formach oferuje; mianowicie śmierci.

- Jest pan i pozostanie starym kpiarzem! - zawołał Maier. ~-W każdym razie jest pan tu, i to najważniejsze. Wnioskuje z tego, że pan jest w jakimś sensie gotów do owocnej współpracy. Myślę, że pan dobrze wie, o co chodzi.

- Wiem tylko, co to jest aresztowanie najbliższej rodziny - oświadczył hrabia von Brackwede - i to mi całkowicie wystarczy.

- Wystarczy, abyście poczytali germańskie sagi! - zawołał reichsführer SS Himmler do swoich współpracowników biorących udział w totalnej likwidacji.

Dla obywateli Wielkich Niemiec, gotowych do ostatecznego rozwiązania, nic nie mogło być bardziej jednoznaczne. Zgodnie z tym podstawową komórką każdego społeczeństwa była rodzina. Jeśli rozwijała się obiecująco, należało ją świadomie pielęgnować i popierać. Jeżeli odstawała od wspólnoty, trzeba ją było wytepić.

Tak więc badaniom poddawano również żony, kuzynów, braci i siostry, starców i dzieci, a nawet niemowlęta. Wszyscy osiągalni członkowie domniemanych głównych uczestników spisku zostali ujęci przez gestapo. Znajdowało się wśród nich co najmniej dwanaście kobiet w wieku powyżej siedemdziesięciu lat, również matka braci Stauffenbergów.

Zostali dostarczeni do więzień, domów wychowawczych i obozów koncentracyjnych. Uznano ich za narodowo niepełnowartościowych i odpowiednio do tego traktowano. Na ich ślad natrafiono dopiero w wiele miesięcy po zakończeniu wojny i po mozolnych poszukiwaniach.

Himmler mówił dalej:

- Rodzina Stauffenbergów ma zostać wymazana z powierzchni ziemi aż do ostatniego przedstawiciela.

Nina hrabina Stauffenberg, żona pułkownika, oczekiwała narodzin czwartego dziecka. Trafiała na współczujących strażników. Nie była, źle traktowana i otrzymywała wystarczające ilości pożywienia. Dano jej nazwisko Schank.

Dzieci Stauffenberga - dwaj synowie i córka- zostały oddzielone od matki. Nazywali się odtąd Meister. „Pieczę” nad nimi sprawowały organizacje partyjne. Odseparowano je wraz z innymi dziećmi „zdrajców”.

- Powtarzano im nieustannie: wasi ojcowie to nędzni przestępcy!

- jNiech pan z łaski swojej nie zwraca uwagi na nieuniknione drobiazgi - powiedział Maier. - Niech pan myśli realnie i rozsądnie postępuje. Będzie pan dla nas tym, kogo w sądownictwie brytyjskim nazywa się koronnym świadkiem. Może pan za to żądać, czego pan zechce;

; - Czy istotnie Jestem w pańskich oczach aż taką świnia? - zapytał von Brackwede,

- Nonsense! - zawołał Maier. - Obaj jesteśmy jakby stworzeni na partnerów do interesów w tej cholernie niebezpiecznej branży. Wiemy, kłedy postawić na właściwego konia. W każdym razie nie wyobrażam sobie, aby taki mądry człowiek jak pan nie wołał uniknąć żalostnego bankructwa.

- Pan, zdaje się, ma ogromne trudności. Sturmbannführer skinął głową potakująco. Według niego mógł teraz tylko wygrać. Podobało mu się odgrywanie szczerej otwartości. Pracujemy na wysokich obrotach - w dzień i w nocy. Kilkuset urzędników wyznaczono dla blisko tysiąca dotychczas podejrzanych.

Całkiem niezła gromada, nie sądzi pan? Z przyjemnością widziałbym tę zgrają w akcji dwudziestego lipca.

-Wiem, wiem, ujęliśmy wszystkich, którzy nam wpadli w ręce. Obserwujemy, wybieramy, próbujemy wykryć punkty zaczepienia. To w najwyższym stopniu mozolna praca. Poza tym według mnie za późno dano sygnał do startu;

- Czy pan chce przez to powiedzieć, że Himmler zwlekał z otwarciem tu wszystkich szluz?

Maier wyszczerzył poufale zęby.

- Znamy przecież naszego Himmlera! Kto wie, czy nawet wśród

spiskowców nie ma swoich donosicieli i współpracowników, tak samo jak ma swoich Żydów „na wszelki wypadek”.

- Coś takiego jest chyba bardzo męczące, prawda?

- Mój drogi, wygląda na to, że pan ulega fałszywym złudzeniom. Ubezpieczyliśmy się pod każdym względem, oczywiście za zgodą führera. W związku z tym istnieją wyraźne wytyczne dotyczące prze słuchań, specjalnie opracowane dla tej akcji.

- Rozumiem. Pan po prostu nakazał: nie tolerować pod żadnym pozorem wypowiedzi odwracających uwagę, wprowadzających w błąd albo powodujących zakłopotanie. Chodzi tylko o tak zwane sedno.

- Widzę, że pan się orientuje. .

. - Gdybym na przykład zaczął opowiadać o naszych tajnych kontaktach, umowach, zamknięto by mi szybko usta czy tak?

- I to dokładnie przytaknął sturmbannführer. - Nie posługujemy się przy tym półśrodkami. Zna pan nas, nie muszę pana ostrzegać. - Nie, nie potrzebuje pan.

- A więc znów jesteśmy zgodni? - Maier zacierał ręce. - Dalej więc! Niech pan wyłoży karty na stół!

Hrabia von Brackwede potrząsnął zdecydowanie głową.— Nasz układ jest absolutnie jednoznaczny. Pan zabezpieczył moją rodzinę, a ja za to miałem się u pana zameldować. I tak się stało.

O niczym więcej nie było mowy.

Człowieku - powiedział sturmbannführer Maier wielce zdziwiony - chyba pan nie chce próbować mnie okpić? Nie w tej sytuacji! To mogłoby oznaczać dla mnie wyrok śmierci, jeden wśród wielu setek innych. Czy pan chce do tego dopuścić? :



## 2

### Ostatnie dni, podczas których ukazały się inne Niemcy

Jestem szpiclem nasłanym na pana — powiedział mężczyzna o sennie wyglądającej, spiczastej mysiej twarzy. - Nazywam się Dambrowski, na imię mam Alarich, i nic nie mogę poradzić. A więc został pan ostrzeżony.

Alarich klęcząc wycierał celę, w której został umieszczony Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede. Kaprawe oczy szpicla rozglądały się badawczo dokoła. Wychudzone ciało poruszało się leniwie, jakby starając się oszczędzać siły.

- Chyba pan nie wie, że został pan umieszczony, że tak powiem, w pierwszej klasie.

- Niech pan się uważa za mojego gościa, bardzo proszę - powiedział Maier. I von Brackwede zorientował się, że istotnie był tu trhyba najważniejszym gościem. Albowiem otaczał go swego rodzaju komfort: łóżko polowe z pościelą, krzesło z oparciem, stół wielkości wieka od trumny. Nawet pulpit-do pisania stał pod zakratowanym oknem. A już godnym podziwu szczytem luksusu była umywalka; do tego toaleta z bieżącą wodą.

- Pan musi być ważną figurą - zauważył Dambrowski z zaciekawieniem. - Przypuszczalnie szwagier kogoś z kierownictwa Rzeszy albo coś podobnego.

Brackwede milczał. Przyglądał się nie bez podziwu pełzającemu na kolanach mężczyźnie, który miał postać zagłodzonego dziecka. Wreszcie powiedział:

- Skoro jest pan moim szpiclem, musi pan też coś o mnie wiedzieć, przynajmniej powierzchownie.

- Zgadza się - powiedział Alarich i wyprostował się. Jego oczy były mętne jak poruszona woda w stawie. - Pan jest dobrze zorien-

towany, prawda? Być może jest pan nawet zastępcą prefekta policji. Zgadza się?

Brackwede skinął głową.

- Jednak znajduję się w celi. I tego rodzaju pomieszczenia dotychczas oglądałem dość bezmyślnie zawsze tylko z zewnątrz.

- Ach, można się do czegoś takiego przyzwyczaić - powiedział Dambrowski.

- Długo pan już jest w tym budynku?

- Blisko pięć lat! - Chudy jak szczapa mężczyzna w wiszącym na nim więziennym ubraniu spojrział niemal z dumą. --A to już coś znaczy, zapewniam pana! Uchodzę za najlepszego szpicla w całej budzie. A ten młynek do mielenia kości i mózgów nie ma sobie równego w swojej branży... Nie sądzi pan?

Brak mi na razie dokładniejszego rozeznania.

- Na pewno je pan zdobędzie. - Alarich skinął głową. - Nawet pan sobie nie wyobraża, ile człowiek może znieść. Mówię to panu poniekąd dla pokrzepienia. Przeżyłem tu nawet rzadkie, piękne chwile, kiedy gestapowcy po przesłuchaniu byli prawie tak samo wykończeni jak ci, których przesłuchiwali!

- Wyobrażam sobie! - powiedział hrabia von Brackwede bez śladu ironii. - Odnosi pan sukcesy w swoim: zawodzie.. Pańska technika spoufalania się jest dużej klasy.

- Pan jest fachowcem! - zawołał Alarich uszczęśliwiony. - Dziękuję za komplement. Czuję, że będziemy się rozumieli. Tylko obawiam się, że nie będziemy mieli dla siebie zbyt wiele czasu. Hieny z gestapo pracują tym razem na pełnych obrotach. Pierwsza dostawa dla trybunału ludowego jest prawie w komplecie.

- Kto? - zapytał von Brackwede.

- No na przykład Goerdeler, Witzleben, Stieff i Hoepner. - Alarich Dambrowski robił wrażenie znakomicie zorientowanego. - Na temat tych zdrajców, zgodnie z obecną terminologią, zdaje się, istnieją stosy materiałów. Ale w sprawie wielu innych kandydatów na szubienicę nasi śmierziele łamią sobie potężnie głowy. Pan mógłby tu bardzo pomóc, prawda?

- Mniej więcej - odparł hrabia zdumiony.

- I uczyni pan to?

- Jak na początek chce pan dużo wiedzieć, panie Dambrowski.

- Von Brackwede zajrzał z uśmiechem w chytre oczka. - Ale rozumiem, że dla pana jako najlepszego szpicla w tym gmachu byłoby dobrze, gdyby mógł pan służyć jakimiś rezultatami. A więc może pan powiedzieć, że prawdopodobnie nie miałbym nic przeciwko temu, by

odpowiednio zeznawać. Tylko muszą mi coś za to obiecać. Maier niech się zastanowi, ile dla niego są warte pewne szczegóły.

- Panie von Brackwede - powiedział Alarich Dambrowski z uznaniem. - Dziękuję panu za bardzo pozytywne impulsy. Jestem gotów do wzajemnych usług.

- Panie przewodniczący, jest pan teraz dla mnie najważniejszym; człowiekiem w niemieckim sądownictwie.

Te słowa wypowiedział Adolf Hitler, fulirer i kanclerz Rzeszy, do doktora Rolanda Freislera, przewodniczącego trybunału ludowego. Znow siedzieli razem naprzeciw siebie w głównej kwaterze. Chodziło o końcowe ustalenia. Za kilka dni miała się odbyć pierwsza rozprawa.

- Mogę zapewnić, mój führerze, że wszystkie przygotowania zostały poczynione z niezbędną dokładnością- - Freisler był człowiekiem o chudej, napiętej twarzy. Jego broda zdradzała energię, głos dźwięczał metalicznie, twardo jak stal. - Będę sprawował ten drakoński sąd całkowicie po pana myśli, mój führerze.

- Bravo! - zawołał nieodzowny reichsleiter Bormann, zerknąwszy uprzednio w bok na swego wodza.

Doktor Roland Freisler miał pięćdziesiąt lat, ale wciąż jeszcze nie był sekretarzem stanu; doszedł jedynie do stanowiska podsekretarza. Następnie poszedł „w odставку”, jak uważał; w roku 1942 został mianowany pierwszym przewodniczącym (wo powołanego trybunału ludowego. Miał być również jego ostatnim przewodniczącym. Ale pragnął zostać ministrem sądownictwa Rzeszy. Teraz wydawało mu się, że nadeszła sprzyjająca okazja.

- Między naczelnym prokuratorem Rzeszy a mną - powiedział opanuje daleko idąca zgodność, zwłaszcza że istniejące ustawy są absolutnie jednoznaczne i nie dają możliwości nieuczciwych kompromisów. Za zdradę stanu należy się kara śmierci. Taka kara zostanie wniesiona i odpowiednio do tego będzie brzmiał mój wyrok.

- To mnie uspokaja - oświadczył Adolf Hitler. Jego ręce poruszały się niespokojnie, podczas gdy ciało było jakby zdrętwiałe. - Ja żyję i pracuję dla Niemiec i nic poza tym mnie nie obchodzi! Od lat nie przeczytałem książki, nie byłem w teatrze, tffie słuchałem koncertu.

- Führer się poświęca - powiedział Bormann wprawdzie cicho, ale wyraźnie.

- To oczywiste - stwierdził Hitler. Nasze życie należy do Rzeszy, a Rzesza to ja! Nie może istnieć nic, co zagrażałoby naszym

Niemcom. Również pan, panie Freisler, musi się o to starać w swojej dziedzinie.

- Wy tępię bezlitośnie wrogów mojego führera - oświadczył Freisler skromnie.

- Czy przyznają się do winy? - zapytał Bormann.

- Będą skowyczeć - zapewnił Freisler. - Gestapo w związku z tym przygotowało dobrze grunt. Resztą zajmę się ja.

- Czy obrońcy są przewidziani dla tych niebezpiecznych dla społeczeństwa kreatur? - zapytał znów Bormann.

- Oczywiście, zgodnie z ogólnie przyjętą procedurą. - Przewodniczący trybunału tryskał optymizmem. - Chodzi przy tym przeważnie o tak zwanych obrońców z urzędu; tylko w wyjątkowych wypadkach przysługują oskarżonym prywatni adwokaci. Ale jakkolwiek bądź: w tych najważniejszych, najdonioślejszych chyba chwilach niemieckiego sądownictwa sprawiedliwość zatriumfuje w sposób przekornywający. To gwarantuję.

- Na nim można polegać w stu procentach - zapewnił Martin Bormann, kiedy znów był sam na sam z Adolfem Hitlerem.

A Hitler powiedział, uspokojony i zamyślony:

- Ten Freisler to nasz Wyszyński!

Tymi słowy wyraził uznanie dla prokuratora Stalina, którego jednocześnie uważał za najskuteczniejszego naczelnego sędziego partyjnego w Związku Radzieckim. Ów człowiek mu imponował. Jeśli rosyjskiemu gigantowi praworządności ktokolwiek mógł dorównać, to tylko Roland Freisler.

- Załatwi to jak należy! - oświadczył Adolf Hitler. - Już sam się postara, aby zapanowała u nas sprawiedliwość, aż światu oko zbieleje! I pod tym względem się nie omylił.

- Mój drogi, powoli zacznym tracić cierpliwość - powiedział sturmbannführer Maier. Jego głos był zasmucony. - Chciałbym okazać się pańskim przyjacielem, ale w końcu w tej maszynie jestem tylko jednym z wielu trybików. I wie pan, jak to jest: Hitler naciska Bormanna, ten naciska Himmlera, Himmler Kaltenbrunnera, a Kaltenbrunner mnie. W końcu to ja mam dostarczyć rezultaty.

Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede siedział na krawędzi krzesła, jakby gotów do skoku. Starał się opanować za wszelką cenę. Ale niepokój, który go ogarnął, spowodował, że ręce mu drżały; zaciskał je.

- Gdzie znajduje się zawartość pańskiej teczki? - zapytał sturmbannführer.
- Gdzieś tam - odparł Brackwede wymijająco.
- Czego pan żąda za te papiery?
  - Być może już ich nie ma.
  - Czy to znaczy, że pan zniszczył te dokumenty? - zapytał Maier ochryłym głosem.
  - A gdyby tak było?
  - Wówczas pozostaje nam jeszcze pańska pamięć - wysyczał sturmbannführer oddychając ciężko.
  - A gdyby całkowicie zawiodła, co wtedy?
  - Wtedy będę pana musiał przekazać komisarzowi Habeckerowi.
- Wie pan, kto to jest?
- Nie.
  - No to powinien się pan czuć szczęśliwy. W porównaniu z Habeckerem ja jestem człowiekiem nadzwyczaj dobrodusznym, czego pan niestety nie docenia. Ów Habecker będzie dalej obrabiał pański przypadek, jeśli obaj nie dojdziemy do porozumienia.
  - Czy pan rzeczywiście oczekuje ode mnie, że wydam jednego po drugim ludzi, którzy są ze mną zaprzyjaźnieni, których nauczyłem się czczyć i kochać?
  - Pan patrzy zbyt jednostronnie na tego rodzaju manipulacje.
  - Sturmbannführer zdawał się szczerze zatroskany. - Dlaczego nie woli pan reprezentować tu poglądu, że mógłby pan oddać cenne usługi sprawiedliwości, Rzeszy, führerowi, proszę, niech pan wybierze najwłaściwsze słowo. A coś takiego wcale nie musi nastąpić wprost, jeśli właśnie to panu przeszkadza. Wystarczy mi całkowicie, jeśli da mi pan do dyspozycji zawartość teczki albo odtworzy znajdujące się tam listy. Nie musi pan robić do tego żadnych uwag. Zgodzimy się na zwykłą w takich wypadkach wersję: zostało znalezione. Co pan o tym sądzi?
  - Nie - powiedział Brackwede. - Odrzucam to. Nie jest to propozycja do przyjęcia. Albowiem pierwotna zawartość teczki jest warta znacznie więcej niż tylko moje życie.
  - No dobrze, oferuję więc pańskie życie i dodatkowo życie hrabiny Oldenburg. Poza tym jeszcze pańskiego brata.
  - Stop! - przerwał hrabia von Brackwede stanowczo. - To są mrzonki. Mojemu bratu nic pan nie może zarzucić. Dwudziestego lipca sam pan zrobił go hitlerowskim bohaterem.

- Niech pan nie będzie taki pewny - osłrzęł Maier. - Bohaterów można szczególnie łatwo zniszczyć. Mam nadzieję, że nie doprowadzi pan do tego, abym musiał i to udowodnić.

Przed trybunałem jako jeden z pierwszych stanął feldmarszałek Erwin von Witzleben. A ponieważ został przez „sąd honorowy” usunięty z Wehrmachtu, nie posiadał ani tytułów, ani fangi, ani godności. Był jedynie „oskarżonym Witzlebenem”.

Ów oskarżony Witzleben starał się przytrzymywać swoje spodnie, którym groziło, że zaraz opadną. A Freisler kpił sobie z niego. Cóż to oskarżony cały czas gmera przy spodniach, czy nie mają guzików?

Zebrani na sali roześmieli się, czekając, co będzie dalej. Wpuszczono tu ze dwieście osób; sami wierni poddani führera. Kaltenbrunner siedział w pierwszym rzędzie. Lekko przechylony do tyłu, z zamglonym spojrzeniem, gładził brodę. A Freisler rozpoczął od jednego ze swoich licznych chwytów.

Oświadczył wręcz smutnym głosem, że jako członek reichstagu kiedyś, w tysiąc dziewięćset czterdziestym, był głęboko poruszony, gdy führer mianował tego Witzlebena marszałkiem. Jak nędznie ten człowiek odpłacił mu za tę wspaniałość! Podjął zdradzieckie kontakty z osobnikiem nazwiskiem Beck.

Erwin von Witzleben, na którym widać było cierpienie, głód, bezradność, próbował wyjaśnić swoją szczególną sytuację. Uświadomił sobie bowiem, że w toku tej wojny popełniono ciężkie błędy. Unikał przy tym wymienienia nazwiska Hitlera.

Freisler usadził go rycząc:

To jest buta, jakiej świat nie widział, oświadczać, że mógłby pan robić coś lepiej niż ten, który jest wodzem nas wszystkich. Czy pan myśli, że führer dałby się schwytać bez walki? Czy pan tak myśli?

A Witzleben powiedział na to:

- Owszem, tak sobie wówczas wyobrażałem.

- Tak pan to sobie wówczas wyobrażał! - zawołał Freisler ostrym tonem. - Ach, ta mieszanina zbrodniczości i głupoty!

Następnie Freisler zajął się rozwlekłe śmiesznymi drobiazgami: Pan urzęda, sobie ładne przejażdżki korzystając z naszej benzyny!

- Oskarżony poprawił uprzejmie, że jego samochód napędzany jest gazem drzewnym, nie benzyną. Na to Freisler: - Na tym też można zaoszczędzić!

Po drodze złośliwe, szydercze akordy. Poza tym podchwytliwe pytania: - Czy miał pan krwotok z żołądka? Czy był pan bardzo chory? Tak - odpowiedział Witzleben. A Freisler stwierdził po-

spiesznie z triumfem: - Złościło więc pana, że z powodu choroby nie mógł pan być dowódcą!

I z udawaną odrazą przewodniczący zawołał: - Pan zamierzał rządzić na szkodę narodu! - Używał też słów takich jak „zadużany pyszałek”, „zramolały typ” itd. Syczał jak lokomotywa pod parą.

W słowie końcowym oświadczył ze szlachetnym patosem: - Wracajmy do życia, do walki. Nie mamy z panem nic wspólnego... Maszerujemy z totalną siłą ku totalnemu zwycięstwu!

Krótko przedtem przewodniczący trybunału Freisler skazał feldmarszałka Erwina von Witzlebena na śmierć. - Powiesić - brzmiało używane na to fachowe określenie.

- Pan przecież należy do tych ludzi, którzy uważają, że znają Boga i świat - powiedział dźwigowy Lehmann do dramaturga. - Co pan sądzi o sprawiedliwości, ale o tej, którą nazywają boską?

- Drogi przyjacielu, czego pan ode mnie żąda? - Mały ruchliwy człowieczek potrzęsnał wąską głową. - Ja zajmuję się losami poszczególnych ludzi, próbuję je poznać. Ale nie potrafię ich całkowicie wytłumaczyć.

Lehmann zjawił się owego dnia w piwnicy swojej grupy malarskiej wcześniej niż zazwyczaj. Został tam dramaturga, który jak zwykle zapisywał notatkami wąskie kartki. Twierdził, że to środowisko nie - zwykle go interesuje. Ale prawda była taka, że chciał w porę być do dyspozycji.

- Właściwie po co to wszystko? - filozofował Karzeł. - Dlaczego nie prowadzi pan burzliwego życia ze swoimi aktorkami? Właziłyby panu do łóżka, aby pan napisał dla nich jakąś rolę. Dlaczego ja nie pójdę z naszymi studentkami na dobrą kolację, a potem do mojej budy? Dlaczego zamiast tego wypisujemy hasła na murach? I dlaczego hrabia von Brackwede, który jest przecież tak błyskotliwie rozsądnym człowiekiem, gra najprawdopodobniej tragiczną bohaterską rolę? Przecież mógłby, gdyby tylko chciał, być nadprefektem albo superkomisarzem, dlaczego tego nie chce? Dlaczego Stauffenberg nie stanął po stronie Hitlera, zamiast robić na niego spisek? Dlaczego nie zatelefonował z ostrzeżeniem do Hitlera i nie czekał na nominację na generała?

Dramaturg zdawał się porządkować swoje notatki. Milczał.

- Niech pan spróbuje chociaż w przybliżeniu mi to wyjaśnić - ciągnął Lehmann. - W końcu jest pan kimś w rodzaju Schillera,

prawda? W młodości pożerałem go jak budyń z rodzynkami. Dziś;<sup>1</sup> jeszcze mam od tego rozstrój żołądka.

Dramaturg powiedział cicho, niemal z udręką w głosie:

- To, czego pan tak uparcie szuka, zwykle się nazywać sensem życia. - Szukał właściwych słów. - To jest usiłowanie, aby nie ulec beznadziejności.

- A co to oznacza w praktyce?

- No... można na przykład wypisywać hasła na ścianach.

- Albo wysadzić w powietrze szefa państwa, który jest łotremi

- To także.

- No dobrze - powiedział Karzeł. - Każdy musi się uporać ze swoim otoczeniem, ze swoim życiem, i to tak, aby mieć uczucie, że może samemu sobie spojrzeć w oczy.

- To, przyjacielu, wcale nie jest mało.

Lehmann majstrował przy walizce, którą przyniósł. Zawierała materiał wybuchowy w podobnej ilości, jaką wykorzystał Stauffenberg, ten sam brytyjski gatunek.

- Komu by ją najlepiej wsunąć pod siedzenie? - zastanawiał się. - Żebym i ja w końcu wiedział, co jest naprawdę słuszne. I to w tych Niemczech!

— Kto to jest komisarz Habecker? ~ zapytał Fritz-Wilhelm von Brackwede. Alarich Dambrowski spojrział na kapitana ze współczuciem.

- Czy panu nim grożono? - Szorował przy tym mechanicznie muszlę klozetową. - Wobec tego sprawa jest cholernie poważna. Ten, Habecker to największa świnią albo, mówiąc oficjalnie, chyba najskuteczniej działający urzędnik w tym budynku. U niego są zwykle tylko dwie możliwości: albo się zdycha, albo się wyznaje to, co on chce.

Brackwede, teraz w wymiętym, szarym, wyjściowym ubraniu, W niebieskiej koszuli z odpiętym kołnierzykiem, podniósł się ze swego łóżka polowego. Z wykrzywioną twarzą podszedł do mężczyzny.

- Czy zna pan hrabinę Oldenburg?

Alarich Dambrowski skinął głową, niemal ze smutkiem.

- Bardzo miła kobieta - powiedział. - Rzadko miewamy takie wyborowe egzemplarze na składzie. Miała ona, powiadam, miała, szczególnie delikatną twarz.

- Czy to znaczy, że ją bito?



- Poddano ją kilku przesłuchaniom, zresztą bez szczególnych rezultatów; tyle wiem.

Dambrowski spuścił wodę. Podczas gdy spływała, powiedział:

- Hrabina jest umieszczona w celi obok. Mam polecenie, aby niby przypadkiem zostawić drzwi obu cel otwarte, potem zniknąć na dłuższy czas. Zarządzenie kolegi Maiera.

Brackwede zaczął pojmować, co go czeka. I Czuł, że chciałby odwlec to spotkanie. Był świadom swojej słabości i to go dręczyło. Starając się zmienić temat, zapytał szpicla:

- Skąd pan pochodzi?

- Z Hamburga - odrzekł Alarich. - • Byłem dokerem... Dziś już tego po mnie nie widać, prawda? Ale wciąż jeszcze mam niezlą krzepę. Ostatnio skreśliłem kark pewnemu generałowi. Chciał popełnić samobójstwo, ale nie udało mu się całkowicie, więc mu pomogłem. Poza tym jestem komunistą, to znaczy oficjalnie byłem. Czy panu to przeszkadza? Nie? To dobrze! Od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego żyję na koszt państwa. Najpierw byłem w obozie koncentracyjnym w Dachau, następnie w Flossenburgu,<sup>1</sup> po czym trafiłem do więzienia Plötzensee, wreszcie wylądowałem tutaj.

- Pan również nie pragnie nic innego jak tylko przeżyć, prawda?

- Pan zdaje się myśleć dokładnie tak samo jak ja, panie von Brackwede. - Alarich Dambrowski mrużył oczy zmęczony. - Prawda, że również zapowiedziane tysiąc lat kiedyś minie; być może już w najbliższych miesiącach. Ale do tego czasu trzeba się jakoś przegryźć i chyba z niejednym pogodzić. Także z widokiem, hrabiny Oldenburg. Tego, niestety, nie mogę panu oszczędzić. Czy też chce mnie pan pozbawić opinii najlepszego szpicla w tym piekle?

W kilka minut później Brackwede ujrzał hrabinę leżącą w sąsiedniej celi. Ledwie mogła się poruszyć, z trudem uniosła nieco rękę. Jej twarz była obrzmiała różową masą. Mimo to próbowała się uśmiechnąć.

Fritz-Wilhelm stanął przed nią. Nieśmiało dotknął jej ręki, poruszyła palcami. Brackwede zamknął oczy na kilka sekund, jak gdyby oślepiła go bolesna jasność. Ale jego głos brzmiał spokojnie.

- Niech pani nic nie mówi. Wiem, co pani mi chce powiedzieć, Elisabeth. Dzięki za wszystko. Jeszcze dziś będzie pani wolna.

Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. On jednak potrząsnął zdecydowanie głową. Potem pochylił się nad nią i bardzo ostrożnie dotknął policzkiem jej twarzy.

Wyszedł, nie oglądając się. W korytarzu nasłuchiwał Alarich Dambrowski. Brackwede powiedział do niego:

- Teraz jestem gotów; możecie liczyć na każdą wypowiedź, jaką tylko chcecie. Niech pan to zamelduje dalej.

Karl Theodor Huber uważał się w tych dniach za najbardziej udreźnionego człowieka w całych Niemczech. Patrzył przed siebie błędnym wzrokiem, ręce mu się trzęsły i zimny pot spływał po twarzy.

Ów Karl Theodor Huber, pochodzący z solidnej południowoniemieckiej chłopskiej rodziny, był realizatorem dźwięku w rozgłośni niemieckiej. Otrzymał polecenie nagrywania rozpraw przed trybunałem ludowym. Kierownik rozgłośni Rzeszy osobiście powiedział do niego i do pozostałych zatrudnionych przy tym osób: - Chłopcy, powierzam wam niepowtarzalne zadanie. Pracujecie, że tak powiem, ~ bezpośrednio dla führera!

Początkowo wszystko zdawało się przebiegać pomyślnie: na sali zainstalowano i starannie wypróbowano wiele mikrofonów. Huber zajął fotel sędziowski i robił próbę mikrofonu. Jego pomocnicy udawali obrońców i oskarżonych. A jednemu z reporterów spodobała się rola prokuratora. Powtarzał wielokrotnie: - Wnoszę więc o karę śmierci!

- Wspaniale! - stwierdził Huber-Karl w swojej zaimprovizowanej kabinie dźwiękowej. - To musi chwycić. Każdy będzie słuchał z zapartym tchem.

Ale już siódmego sierpnia, podczas pierwszego posiedzenia trybunału ludowego w sprawie „zamachu na führera, zradzieckiego spisku, permanentnej zdrady stanu” - operator dźwięku spadł z wyżyn swej technicznej doskonałości. Albowiem rozpoczął się łańcuch katastrof.

Przewodniczący ryczał prawie cały czas, przeciążone mikrofony nieprzerwanie trzeszczały. A kilku oskarżycieli mówiło dla odmiany zbyt cicho; niektórzy prawie szeptem. Znalezienie właściwej równowagi dźwięków wydawało się Karlowi Theodorowi Huberowi zadaniem niemal ponad siły.

Szczególnie rozpaczliwie operator załamywał ręce podczas przesłuchania byłego komendanta Wehrmachtu Berlina, generała Paula von Hase. Albowiem ten mężczyzna nie miał siły głosu, jakiej należałoby oczekiwać od generała, mówił raczej niewyraźnie, niechętnie, często ledwie dosłyszalnie.

- A więc pan był w zмовie - stwierdził Roland Freisler.

I znów operator dźwięku drgnął zaniepokojony; tym razem bo-

wiem przewodniczący nieoczekiwanie mówił cicho. - Cholera z tym wszystkim! - jęknął mężczyzna w kabine dźwiękoszczelnej.

„Zmowa” to było ulubione słowo Rolanda Freislera podczas tego przesłuchania. Oskarżony Hase odważył się nie odrzucić natychmiast - i z całą stanowczością rozkazu zajęcia dzielnicy rządowej.

- A więc był pan w zmowie!

Te słowa pozostały w uszach operatora dźwięku jedynie jako kwilenie, jak wycie szakala z oddali. Wskazówki skali dźwięku trzepotały bezradnie.

- Najpierw zostałem w gmachu. Miałem jeszcze coś do załatwienia - oświadczył komendant garnizonu Berlina.

Freisler zawył teraz jak syrena.

- Aha! Zajmował się pan pracą, zjadł obiad. Co jeszcze?

- Nic szczególnego - powiedział generał von Hase pokornie.

Freisler rzucił się natychmiast jak jastrząb na pewną zdobycz.

Jego głos brzęczał jak dzwonek alarmowy. Huber-Karl wzburzony Wprawiał w ruch wszystkie możliwe regulatory natężenia dźwięku,

- Nic szczególnego zatem! - zawołał przewodniczący. - A ja myślę, że powinien był pan mieć wówczas przed oczami następującą prawdę: w każdej chwili, która teraz upływa, jestem łotrem, zdrajcą, draniem i coraz większa staje się moja wina za to, że nasz führer zostanie zamordowany...

- Panie przewodniczący - powiedział cicho von Hase - ta myśl oczywiście przeszła mi przez głowę.

A nft to Freisler gwałtownym dźwiękiem fanfar: - Przestępca... bezczelny... kłamca... - Wreszcie syknął: - ...pan już nie był żołnierzem ...kiedy zdrada zagnieździła się w pańskiej głowie... absolutnie niemożliwe!

I tu również: wyrok śmierci.

Roland Freisler: -Złamali przysięgę.;, wyczuci z honoru;zarozumialcy... zdradzili... jak jeszcze nikt w całej naszej historii... pełnej ofiar wojny, poległych za naród, führera i Rzeszę... zdrajcy ojczyzny, dla której żyjemy i walczymy, wszyscy zostają skazani na śmierć. Ich majątek przepada na rzecz Rzeszy.

- Ten człowiek to istna katastrofa! - mruknął operator dźwięku Karl Theodor Huber, będąc już u kresu sił. - Nie ma najmniejszego pojęcia, co tu jest najważniejsze.

- Jestem nad wyraz zgnębiony - stwierdził sturmbannführer Maier. - Na co pan liczy? Do czego pan mnie zmusza? Czy ja na to

zasługuję? Człowieku, przecież zawsze się tak dobrze rozumieliśmy.

- Ach, nie owijajmy w bawełnę! - wykrzyknął von Brackwede. Będzie pan miał moje kompletne zeznanie, bez zarzutu pod względem prawnym, pod warunkiem, że uwolni pan niezwłocznie hrabinę Oldenburg-Quentin.

- Tylko zeznanie? - A pańską współpracę? A pańskie materiały?

- Nie wszystko naraz! - przerwał Fritz-Wilhelm von Brackwede, nie dając się zbić z tropu. - Niech pana to nie dziwi - dobrze pan wie, że sprzedam swoją skórę jak najdrożej. A więc przejdźmy do następnej pozycji naszego rachunku.

- Jak pan chce - powiedział sturmbannführer Maier zawiedziony, - Ale ja pana ostrzegałem, przekonywałem, uczyniłem wszystko, co mogłem. To, co teraz nieuchronnie nastąpi, to nie z mojej winy, pan mnie do trgo zmusza.

Po czym sturmbannführer wydał rozkaz: uwolnić natychmiast hrabinę Oldenburg-Quentin. Wolno jej przebywać bez nadzoru we własnym mieszkaniu; akta jej sprawy są zamknięte. - Zawiadomić leutnanta Konstantina von Brackwede, aby się nią zaopiekował. W porządku?

Hrabia skinął głową.

Potem zjawili się dwaj urzędnicy śledczy. Jeden podyktował przy gotowane już oświadczenie, drugi pisał je od razu na maszynie. Zgodnie z tym Fritz-Wilhelm von Brackwede zeznał, co następuje:

„Brałem poważny udział w przygotowaniu zamachu na Hitlera. Działalem aktywnie na czele spisku na Bendlerstrasse dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Jestem świadom konsekwencji moich działań, jak i znaczenia niniejszego zeznania.”

Kiedy hrabia von Brackwede podpisał ten „protokół” w pięciu egzemplarzach, sturmbannführer Maier zabrał go. Odprawił urzędników. Zdawał się rozglądać smutno po swoim gabinecie, który był skromnie umeblowany i pachniał dymem cygar i zakurzonymi pa pierami.

Sturmbannführer wziął pięć kartek krótkiego niebezpiecznego dla życia protokołu w swoje grube ręce.

- Mogę te świstki podrzeć - powiedział. - Wystarczy, żeby pan oświadczył, iż od tej chwili pracujemy razem,

- Niech pan nie drze tych papierów - powiedział hrabia. ..

Maier wzruszył ramionami.

- Wobec tego pańskim następnym przystankiem będzie Habecker.

Przewodniczący trybunału ludowego siedział w otoczeniu dwóch „ławników” - generała Hermanna Reinicke i radcy sądowego Lemmle. Jeden wierzył ślepo w Hitlera, drugi był tylko urzędnikiem. Obaj Spełniali jedynie „swój obowiązek”, jak zapewniali.

Generał Reinicke, obecnie szef biura ogólnego przy naczelnym dowództwie Wehrmachtu, patrzył z odrazą na zdrajców. Jego zdaniem, poza kilkoma wyjątkami nie wywierali szczególnie dobrego wrażenia.

- Droga prawdy - wołał Roland Freisler - jest ciężka bo wąska, ale lekka, gdyż prosta. Proszę iść tą drogą! - Przewodniczący lubił cytaty, sięgały od Nibelungów do Hitlera, którego niekiedy nazywał „naszym księciem” zasługującym na „wiernych dworaków”.

Ale takie rzeczy nie mogły zaimponować generałowi Reinicke. Jaskrawo migocące reflektory czyniły go obojętnym, warczące kamery nie mogły odwrócić jego uwagę nie widział trzech dużych chorągwi ze swastyką, które wisiały za nim. Jedynie popiersie Wielkiego Fryderyka, króla Prus, rzucało mu się w oczy. Kiedy jego wzrok spoczywał na nim, oczy zdawały się łagodnieć.

Freisler ryczał: - Stała się rzecz podła, która przechodzi wszelkie wyobrażenie! - Podczas tych rozpraw przewodniczący mówił znacznie więcej niż wszyscy oskarżeni, obrońcy i oskarżyciele razem wzięci. - Chciano nam odebrać führera, tchórzliwie, podstępnie zamordować!

Generał pomyślał o przysiędze: została haniebnie złamana, Pomyślał o nietykalności głowy państwa. I był absolutnie pewien: ci, co tu stali przed swym ziemskim sędzią, choć mu ten sędzia w czerwonej todze działał na nerwy, nie mogli być żołnierzami pruskoziemier, ckiej armii.

Oto były generał major Helmuth Stieff, teraz w rędznuui cywilnyrn ubraniu: szczupły, nieco ułomny, o nieruchomej twarzy. Stał w milczeniu i ani drgnął, kiedy Freisler nazwał go „nędznym kłamcą”. Freisler: - ...nie powiem za dużo, kiedy oświadczę, że pan najpierw przed policją kłamał jak z nut. - Słowem „policja” nazywał bez żenady gestapo. - Czy pan kłamał? Zgadza się? Tak czy nie?

- Przemilczałem pewne sprawy - przyznał Stieff.

- Tak czy nie! - wrzasnął Freisler. - Między kłamstwem a prawdą nie ma nic pośredniego. Czy pan skłamał, czy powiedział całą prawdę?

- Tę powiedziałem później - oświadczył oskarżony. I nie poruszony, jakby skamieniały, milczał, kiedy Freisler nazwał pułkownika Stauffenberga, „mordercą” i „przestępcą”. Ale kiedy przewod-

niczący zagrział o „narodowosocjalistycznej wierności”, Stieff przerwał mu nagle i zaczął mówić o „obowiązku wobec narodu niemieckiego”.

Siedzący w charakterze ławnika generał słuchał z niedowierzaniem, tego było już zdecydowanie za wiele! Chodzi tu przecież o zdrajców stanu, którym udowodniono przestępstwo! Co się właściwie działo w ich mózgach? Pełen oczekiwań spoglądał na przewodniczącego.

Roland Freisler nie zawiódł tych oczekiwań. Wrzasnął gwałtownie na „nędznego'oskarżonego Stieffa”:

- Führer i naród to zawsze jedno! Co za jezuicko-reakcyjne zastrzeżenia pan tu wygłasza? Co by było, gdyby jeden z ostatnich Gotów pod Wezuwiuszem zrobił takie zastrzeżenie? Jak pan myśli, co by się stało z tym, który powiedziałby coś takiego podczas wędrówek plemion germańskich? Zostałby zatopiony w błocie, bo błoto pasuje do błota.

Generał odchylił się do tyłu. Z gorzkim ledwie widocznym uśmiechem smutnej pogardy przyglądał się oskarżonym. Potem przymknął na chwilę oczy.

Jeszcze jeden, którego trzeba powiesić.

W piwnicy tylnej części budynku gestapo na Prinz-Albrecht-Strasse Alarich Dambrowski biegał w kółko zaaferowany.

- Wszędzie tu jestem potrzebny - oświadczył zmrużywszy oczy.  
- Pan nadal jest moim podopiecznym, ponieważ na górze szpiclowałem pana ze znakomitym powodzeniem.

Cela, w której teraz znajdował się Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede, była wąska i brudna jak pobieżnie uprzątnięty pojemnik na śmieci. Ręce miał w kajdankach - żelazny łańcuch, którym był przepasany dokoła tułowia, sprawiał mu ostry ból przy każdym poruszeniu.

- Musi się pan nauczyć sam jeść w takich warunkach. I pisać - polecił szpicel. - Niech pan to ćwiczy, wkrótce nabędzie pan wprawy. Nie ma nic niemożliwego, dopóki człowiek żyje. Czy ten dziwny pułkownik, ten Stauffenberg, miał tylko jedną rękę?

- Jedną rękę z trzema palcami! - powiedział von Brackwede.

- No widzi pan! - Dambrowski uśmiechnął się zachęcająco.

- A teraz niech pan to weźmie. - Wyciągnął z kieszeni spodni kawałek kiełbasy wielkości piąstki dziecka i piętękę chleba. - Przyda się to panu. Bo jedzenie tu nie wystarcza do utrzymania człowieka w zdrowiu.

Goerdeler jęczy z głodu każdej nocy. A poza tym będzie pan jeszcze dzisiaj przesłuchiwany przez tę świnię Habeckera. Mam nadzieję, że pan jest przygotowany na najgorsze. Niech pan przy tym uważa na Elfriedę.

Komisarz Habecker, do którego potem zaprowadzono kapitana von Brackwede, wyglądał na początku jak listonosz, który rozdziela przesyłki pieniężne: spokojny, przyjazny, wyrozumiały, o dobrodusznie brzmiącym głosie. Miał pocziwą twarz piwosza.

Zaczął od tak zwanego „oficjalnego przesłuchania”.

- Chciałem pana poinformować, że podniesiono wobec pana zarzut, iż brał pan udział w spisku dwudziestego lipca. Mam tu przed sobą pańskie zeznanie, są świadkowie. Nie ma sensu kłamać. A więc zaczynamy od pańskiej wypowiedzi.

Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede oglądał pomieszczenie, w którym się znajdował. Było chyba takie jak wszystkie w tym budynku: kredowobiałe, czyste, z masywną podłogą. Jaskrawe światło było skierowane na niego, przed nim stał Habecker; funkcjonariusz gestapo stał za kapitanem jak napęczniały wąż gumowy. W kącie siedziała maszynistka Habeckera. Czekwała znudzona; miała zielone oczy i gładko zaczesane ciemne włosy. Jej imię brzmiało: Elfrieda.

- Ja nie kłamię - powiedział von Brackwede mocnym głosem. - I nie złożę żadnego innego zeznania.

Habecker uderzył go w twarz, najpierw płaską dłonią. Skuty więzień próbował się odchylić. Cios trafił go w kark. Funkcjonariusz za jego plecami przystąpił do akcji. I znów Habecker uderzył; tym razem zaciśniętą pięścią; orli nos hrabiego zaczął krwawić.

- I tym sposobem usunęliśmy chyba wszystkie wątpliwości - powiedział komisarz. - Teraz możemy zacząć rozmawiać ze sobą otwarcie. Proszę o pańskie zeznanie.

- Nie mam nic do zeznania - oświadczył von Brackwede. Od-dychał z trudem, cieknąca z nosa krew spływała do kącików ust i groziła uduszeniem. - I nic nie zeznam!

- Przypatrz się bliżej tej gębie, Elfrieda - polecił Habecker i zapalił papierosa. - Masz przecież słabość do takich krzykaczy. A więc dalej, nie certol się! Zatkaj mu pysk.

Elfrieda wstała, wygładziła spódnicę i podeszła do hrabiego niemal tanecznym krokiem. Jej zezujące oczy zdawały się obmacywać kapitana von Brackwede. Następnie wyjęła Habeckerowi z ust papierosa i przycisnęła go do skutych rąk kapitana. Ten zacisnął zę-

by, zamknął oczy i milczał. Funkcjonariusz za plecami objął go przezornie.

- Nawet nie chce spojrzeć w twoje piękne oczy - stwierdził Habecker. Oparł się o biurko i stał na lekko rozkraczonych nogach.

- Zdaje się, że nie potrafi docenić we właściwy sposób twoich szczególnych zalet. Czy tak zachowuje się džentelmen?

Hrabia otworzył oczy i ujrzał dwa rozcapierzone palce Elfriedy, jak zbliżają się do jego twarzy. Posuwały się do przodu powoli, z drżeniem, jakby po taśmie transportowej. A potem poczuł gwałtowny świdrujący ból, który przewiercał się jak pocisk od oczu w tył głowy.

- Skromny początek - zauważył Habecker niedbale. - Mała uwertura do opery, która wypełni cały wieczór i którą ja dyryguję!

Hrabina Oldenburg leżała jak rozbita na swoim łóżku. Nie ruszała się. Ledwie oddychała.

Lekarz, którego przyprowadził Konstantin, siedział wyczerpany na krześle. Na jego twarzy malowało się obezwładniające zmęczenie; codzienna praktyka obejmowała całe cmentarzyska. A jednak zapytał:

- Jak to się mogło stać?

- Była na gestapo - wyjaśnił Konstantin.

Lekarz wstał wzburzony. Zacisnął pięści. Daremnie szukał odpowiednich słów. Nisko zwiesił głowę. Wreszcie powiedział nerwowo:

- Powinna być jak najszybciej odwieziona do szpitala, ale nie znam takiego, który by ją przyjął. Wszystkie są przepełnione. Musi też dostać zastrzyk z morfiny, co najmniej jeden. Ale nie mogę go dać. Już od dawna nie mam wystarczającej ilości leków.

- Czy jest bardzo źle? - zapytał Konstantin wystraszony.

- A czy może nie być źle w tych czasach? - Lekarz pochylił się jeszcze raz nad ciężko chorą. Wyciągnął ku niej rękę, ale ją cofnął, nie dotknąwszy Elisabeth. - Postaram się zdobyć leki. Może znajdzie się też jakieś wolne łóżko w którymś szpitalu. Ale nie mogę nic obiecać.

- A do tego czasu?

- Jest jedna rzecz, która mogłaby jeszcze pomóc: modlitwa - powiedział lekarz. - Niech mi pan wierzy, takie rady nie przychodzą mi łatwo. Ale teraz nie ma nic lepszego.

Lekarz wyskoczył jak z procy. Obiecał możliwie szybko znów przyjść, przypuszczalnie jutro, w ciągu dnia. Konstantin tego nie słyszał. Pochylił się nad Elisabeth.

Patrzył na obrzmiałą twarz, która teraz była jak stwardniała masa,



kruchego wosku. Mijały długie, męczące minuty, jakby pełne majaczeń. Byli sami ze sobą i swoimi bezsilnymi myślami. Zdawało mu się, że Elisabeth zaczyna się uśmiechać, staje się uosobieniem czułości, oddania, jak kiedyś. A było to dopiero przed kilkoma dniami.

- Kocham cię, Elisabeth - powiedział Konstantin i pochylił się nad nią.

Ale Elisabeth hrabina Oldenburg-Quentin już nie żyła.

Sturmbannführer Maier nie posiadał się z oburzenia: nawet Habecker nie posunął się do przodu w tak ważnej dla niego sprawie. Jednocześnie Kaltenbrunner wzmacniał nacisk na podległego mu kicrow.-nika działu: führer żąda każdego dnia nie tylko szczegółowych informacji, ale także przekonujących rezultatów.

- Dlaczego nie posuwa się pan do przodu z tym Brackwede - pytał Maier napierając.

Komisarz Habecker wyglądał na lekko stropionego.

- Ten chłopak jest piekielnie twardy! Robię, co mogę, ale milczy jak głaz!

- A kiedy zacznie śpiewać, jak pan sądzi?

- Tego nie potrafię dokładnie powiedzieć - wyznał Habecker.

Sturmbannführer Maier wiedział, co ta informacja oznacza: 'nie można było oczekiwać rezultatów, w każdym razie nie w przewidzianym czasie. A to było dla niego wprost katastrofalne.

- Czy wypróbował pan już wszystkie sposoby?

- Niezupełnie wszystkie. A mam to zrobić?

- Tak - powiedział Maier twardo.

Tym samym wydał kapitana bez zastizeżeń. Uznał to teraz za nieuniknione, ostrzegął hrabiego.

- Jak pan sądzi, Habecker, czy w ten sposób posuniemy się dalej?

- To niestety wydaje się sprawą całkowicie otwartą - oświadczył komisarz. - Bywają przypadki...

- A czy pan wie, co to oznacza? - zawołał Sturmbannführer wzburzony. - Czy pan ma pojęcie, jakie to może przynieść skutki? Dla pana? Również dla mnie. Dla nas wszystkich. Należy go zmusić do mówienia.

- Uczynię wszystko, co możliwe - powiedział komisarz. Wydawało się, że jego ambicja zawodowa została zraniona. - Dotychczas zawsze dowodziłem moich umiejętności. Ale bywają wyjątki. Jak na przykład ten Julius Leber.

. - Leber! - zawołał sturmbannfuhrer<sup>4</sup> zirytowany, - Niech pan mi

tu z tym nie wyjeżdża! - Ów człowiek przypominał mu najciemniejszą godzinę jego gestapowskiej kariery. - Julius Leber jest absolutnie szczególnym przypadkiem. Coś takiego jak on nie może się pojawić pó raz drugi.

- Niestety tak, obawiam się, że ten Brackwede jest pod pewnym względem podobnym typem. - I, niemal zamyślony, komisarz dodał: - Ich obu wyobrażam sobie jako ministra spraw wewnętrznych i sekretarza stanu... Oni odwróciliby porządek świata, gdyby mieli po temu sposobność.

- Niech pan sobie wsadzi gdzieś te spekulacje - przerwał szorstko Maier. - Niech pan się lepiej skoncentruje na swojej działalności. Albo von Brackwede zacznie wreszcie mówić, albo pan zamilknie razem z nim!

Habecker cofnął się obrażony. Sturmbannführer patrzył za nim nie bez satysfakcji: dał mu do wiwatu.

Jednakże Maier czuł, że ma powody, aby ponuro spoglądać w przyszłość. Z zaciętością rzucił się w wir pracy, miał nadzieję na jasną chwilę.

I ta zdawała się istotnie nadciągać. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił Lehmann, prosząc Maiera do telefonu.

Sturmbannführer zgłosił się od razu, choć był w połowie przesłuchania.

- Czy pan sobie mnie przypomina? - zapytał Lehmann..

- Pytanie, czy sobie pana przypominam, stary draniu! -- zawołał Maier siląc się na familijny ton. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Nie sądzę, aby pan był ciekaw, jak się czuję?

- Skądże - powiedział Lehmann łagodnie. - Mam tylko zamiar zaproponować panu interes.

- Czemu nie! A więc, co pan może mi zaoferować i czego pan żąda w zamian?

- Żądam ważnego paszportu, ochrony aż do granicy szwajcarskiej i tysięcy dolarów w gotówce. Prawdziwych dolarów, ma się rozumieć.

Sturmbannführer milczał zaskoczony. Potem usiłował zajązartować: - Czy mam również pozłocić pańską dupę?

Ale Lehmann ciągnął dalej rzeczowym tonem:

- Proponuję panu dokumenty hrabiego von Brackwede, do tego dokładną rekonstrukcję bomby Stauffenberga.

-- Naprawdę? - zapytał Maier niemal bez tchu. - Kiedy?:

- Kiedy pan tylko zechce. Czy nasza umowa stoi?

- Jeszcze dziś, jeśli o mnie chodzi.

- Załatwione - powiedział Lehmann zadowolony. - Niech pan czeka na mój telefon w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Ale ta propozycja dotyczy wyłącznie pana. Nie wolno panu przyprowadzić więcej niż trzech ludzi. Coś za coś.

- Zgoda - zapewnił Maier. - Każę natychmiast wszystko przygotować.

- Dobrze - powiedział Karzeł, na pozór zadowolony. - Ale niech pan nie próbuje mnie oszukać. Nie jestem hrabią, nie znam się na manierach, sram na wszelkiego rodzaju słowa honoru. Chcę tylko dostarczyć i zainkasować. A to, myślę, powinno być całkowicie zgodne z pana życzeniem.

Główny oskarżyciel w procesach przed trybunałem ludowym nazywał się Lautz, prokurator Lautz; godnie wyglądający prawnik. Przeżył wszystko i wszystkich. Otrzymał później „należną mu” emeryturę; on również oświadczył, że spełniał tylko Swój obowiązek. Gdyby nie on, musiałby to-robić ktoś inny.

Jego sytuacja była, można powiedzieć, jasna jak kryształ. Wystarczyło mu tylko kierować się istniejącymi ustawami. I nic innego ponad to nie czynił. Za zdradę stanu należała się kara śmierci i o tę karę regularnie wnosił.

- Sędziowie trybunału ludowego Rzeszy! Historia prusko-niemieckiego Wehrmachtu, tak bogata w przykłady odwagi, waleczności, wierności i honoru, nie zna równie ohydneho procesu, który dzisiaj toczy się przed państwem, moi panowie. Dlatego podczas przedstawienia osoby i jej czynu trudno jest zachować umiar, Jaki od powiada godności trybunału...

To wstrząsające... był to niewielki krąg podłych łajdaków,.. Niemiłość wobec führera... paląca ambicja wysforowania się ptfzed innych... brak ludzkiej godności w najwyższym stopniu... w powiązaniu i z głęboką nieuczciwością sumienia wobec narodu niemieckiego...

Przez niecne, tchórzliwe morderstwo na fuhrepe które dzięki lasce Boga się nie udało, próbowali zdobyć władzę nad wojskiem i ojczyzną. Następnie chcieli przez tchórzliwe pakty... oddać Rzeszę wrogowi... Dlatego są nie tylko zdrajcami stanu, ale także zdrajcami ojczyzny.

I tak dzień po dniu: kara śmierci, pozbawienie praw honorowych, jeśli nie uczyniłjuż tego „sąd honorowi Wehrmachtu”, przepadek mienia.

A na zakończenie Freisler, aprobując wniosek prokuratora: nie

mogło być mowy o śmierci przez rozstrzelanie, Rzesza bowiem stworzyła sobie ustawę na wypadek szczególnie niecznych czynów. Groziła za to „egzekucja przez powieszenie”. - W ten sposób powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia.

Był to „normalny przebieg” owych dni. I wszyscy czynili „tylko swoją powinność”. „Służyli prawu”. Jakiś czas później odczuwali te zdarzenia jako „tragiczne”.

Od czasu do czasu zdarzały się także „rozweselające intermezza”. Beztroski śmiech rozlegał się wówczas w wypełnionej po brzegi sali dla publiczności. Również prokurator czuł się wówczas nieco swobodniej i okazywał pobłażliwy uśmiech.

Jak na przykład wtedy, kiedy przewodniczący Freisler wezwał przed stół sędziowski „towarzyszkę Elbę Bergenthal”. Tę dobroduszną i skromnie wyglądającą kobietę traktował z wyszukaną uprzejmością.

- Zaprosiliśmy tu panią, aby pani złożyła zeznanie.

Freisler oświadczył, pochylając się przy tym do przodu, że z całą gotowością będzie respektował „honor i pozycję Bergenthal jako kobiety niemieckiej”,

- Przypuszczamy, że pani ze względu na swój honor będzie mówiła prawdę.

- Tak obiecała Bergenthal.

. Dwieście osób na sali, przeważnie w mundurach, podniosło głowy w oczekiwaniu. Zanosilo się na coś szczególnego.

- Pani była gospodynią u tego Becka - zaczął Roland Freisler, sepleniacz delikatnie, - Niech pani powie, czy była to silna, twarda osobowość, która mogłaby coś znaczyć, gdyby wystąpiła przed narodem i czegoś by od narodu zażądała?

- Tego nie wiem - powiedziała Bergenthal. Nie mam prawa do takiej oceny.

Freisler powiedział, że potrafi to zrozumieć. Nie oczekuje też żadnej wartościującej oceny, interesują go tylko pewne charakterystyczne szczegóły. Czy na przykład rano były w łóżku ślady, że się wierzcił?

Tu towarzyszka Bergenthal musiała przytaknąć. Poinformowała więc, wprawdzie z niechęcią, ale szczerze, że Beck „w nocy straszliwie się pocił”.

- Tale że rano, kiedy wstał, łóżko było całkiem mokre - uzupełnił Freisler z przyjemnością.

Świadek to potwierdził. Przewodniczący trybunału ludowego po-

dziękował jej uprzejmie nie skazał jej przysięgać i pożegnał serdecznymi słowami.

Następnie stwierdził ż, triumfem: człowiek, „który tak się rzuca w nocy ze strachu, że rand jego łóżko jest całkiem mokre”, nie może być „szczególnie silny”. I taka hołota miała czelność jedyne, nieporównywalnego führera...

Przez salę przeszedł pomruk uznania.

- Ciągle jeszcze rzeński? - zapytał Habecker i udawał znudzonego.  
- Czy też jest pan wreszcie gotów nabrać rozsądku?

- Nie złożę żadnego zeznania - oznajmił hrabia von Brackwede, nie zbity z tropu. Na jego twarzy znać było głód i cierpienie, pokryła ją gęsta siatka zmarszczek. Nabiegłe krwią oczy patrzyły posepnie;

Spędził trzy dni i trzy noce w ciasnych pętach, związany mocno jak paczka. W jego celi ani na chwilę nie wyłączono jaskrawego, boleśnie oślepiającego światła. Nędzne jałowe pożywienie odebrało mu siły i uczyniło sennym. Bito go, kopano i opluwano. A Elfrieda, sekretarka Habeckera, próbowała wyciągnąć mu język za pomocą obcęgów i wwiercała ołówek w jego jądra.

Prócz Habeckera cały czas w akcji byli trzej funkcjonariusze śledczy. Jeden wrzeszczał, okładał kapitana pięściami i kopał, drugi udawał przyjemnie ludzkiego, trzeci apelował natarczywie do hono-; ru, sumienia i innych wyższych wartości. Brackwede nie powiedział ani słowa.

- Powinien pan coś wymyślić, co by odwróciło ich uwagę - poradził Alarich Dambrowski zatroskany, kiedy ocierał mu krew z ciała.

Czy nie może pan zarzucić jakiejś przynęty, zanim pana zetną, na proszek? Wie pan, jaki jest najpewniejszy chwyt? Niech pan po prostu obciąży kogoś, kto już nie żyje.

- Tylko nie to! - powiedział von Brackwede wydając jęki

I znów został zaprowadzony do Habeckera.

- Taki ktoś jak pan już dawno mi się nie trafił - powiedział komisarz na pozór łagodnie. : Pan pobudza wprost moją ambicję:

- Habecker oglądał przy tym swoje poogryzane paznokcie. - Pan mnie mocno rozczarowuje, mogłem się po panu spodziewać więcej rozsądku. Człowieku, przecież musiał pan słyszeć o naszych metodach? A więc jak: poda pan wreszcie nazwiska?

Von Brackwede zamknął oczy i podniósł głowę, był to gest jednoznacznej odmowy. Jego zaciśnięte wargi były jak ostra, cienka kreska.

- Jeszcze ostatnia próba - powiedział komisarz Habecker. - Mam przed sobą zeznanie Goerdelera, które pana poważnie obciąża.

- To zeznanie zostało sfalszowane - powiedział von Brackwede z naciskiem. Wiedział, że takie metody działania przez zaskoczenie były w tym budynku na porządku dziennym. - Niech pan postawi Goerdelera naprzeciw mnie, wtedy się okaże, czy pańskie dokumenty są prawdziwe.

Habecker wzruszył ramionami.

- No dobrze, jeśli pan się przy tym upiera, zaprezentujemy więc teraz bardziej skuteczne metody przekonywania.

Po czym na hrabiego von Brackwede rzuciło się czterech mężczyzn. Torturowali go z dyszącą żądzą zniszczenia. Przez całą noc.

Wbijali mu igły w czubki palców, w biodra, w nogi. Przywiązywali go mocno powrozem między dwiema belkami i rozciągali jego członki - najpierw powoli, potem szarpiąc... Związali go, tak że przedstawiał już tylko kupkę mięsa i kości. Potem bili drągami, aż stracił równowagę i upadł twarzą na podłogę. Krew tryskała mu z nosa, ust i uszu.

Były to „cztery stopnie” tortur stosowane na Prinz-Albrecht-Strasse. Metod tych gestapo nie wymyśliło - ono je przejęło. Ze średniowiecza.

Serce kapitana von Brackwede trzepotało jak szalone; w głowie zdawały się wybuchać wulkany. Stracił świadomość i charcząc leżał jak nieżywy na podłodze.

Dwanaście godzin Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede leżał jak nieżywy, zwinięty w kłębek w kącie celi.

Kiedy znów oprzytomniał, zawołał, wypluwając krew, czołgając się do drzwi:

- Nie! Nic nie powiem! Ani słowa! Teraz dopiero nie.

Dzień po dniu Ernst Kaltenbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, składał führerowi szczegółowe pisemne sprawozdania. Miejsce nadania: Berlin SW 11, Prinz-Albrecht-Strasse 8. Podpis: Obergruppenführer SS i generał policji.

A w tych sprawozdaniach: „odzwierciedlenie nastrojów” - „zestawienie meldunków” - „sprawozdania z rozpraw” - „ukazanie tła” - „listy uwięzionych” - „wyniki śledztwa”. I wciąż od nowa: „nastroje ludności”.

Tym Adolf Hitler interesował się szczególnie. I na to skwapliwie kładły nacisk raporty Kaltenbrunnera: führer powinien dostawać do czytania to, czego chętnie słucha. Informowano go Q pewnym oficerze

Wehrmacht, który powiedział: „Takie świny jak te muszą zostać potopione w rzece niczym koty”.

Gazety podawały: „Gniew narodu osiągnął szczyt”. Rozgłośnie niemieckie rozpowszechniały bez przerwy podobne twierdzenia. „Front stoi bez zastrzeżeń za führerem, pełen odrazy...”

Tak samo większość rodaków oświadczała, według Kaltenbrunnera, zgodnym chórem: „Takie świny należałoby torturować jak w średniowieczu”.

„Głos Narodu” zbierano z mrówczą gorliwością - w domach obywateli, w koszarach, gospodach, fabrykach i „wśród żołnierzy na pierwszej linii frontu”. To führer chciał czytać, tego mu dostarczano. Wydawało się, że Niemcy dziękują Bogu.

Wódz państwa dowiadywał się przy okazji, że w Halle aresztowano kobietę, która wyraziła ubolewanie z powodu nieudanego zamachu; inną kobietę aresztowano w Wiedniu, powiedziała: „Coś takiego musiało nastąpić”. Były to jedyne głosy przeciwne, zamieszczone w przeznaczonych dla führera sprawozdaniach.

Przeważnie jednak - tak pisano - zacni rodacy ogarnięci byli „straszną wściekłością”. Ale również wdzięcznością. Ze Schwerinu donoszono: „Szczególnie kobiety mówią, że führer ma dobrego anioła stróża”. A jako pogląd „żołnierzy i młodych oficerów” podawano: „Śmierć przez powieszenie to dla tych zbrodniczych kreatur ze wszechmiar stosowna i jeszcze zbyt łagodna kara”. „Starsi oficerowie” natomiast uważali: „Nie powinno się tym ludziom żałować kuli”.

I wciąż podkreślano, co mówił „wzburzony lud niemiecki” głośno i zgodnie: „Wymieść ten chlew!”, „Zrobić porządek!” I wreszcie: „Lepiej powiesić o jednego za dużo niż o jednego za mało”.

Może się pan znów poruszać? - zapytał Alarich Dambrowski. Pochylił się zatroskany nad hrabią Von Brackwede. - Ubiegłej nocy pan sam wciągnął się na swoją prycz. Człowieku, a ja myślałem, że z panem koniec!

- Teraz jest z powrotem jako tako.

- Niech się pan z tym przed nikim nie zdradzi! - zawołał mężczyzna o wyglądzie zagłodzonego dziecka. - Niech pan tu leży możliwie jak najdłużej, niech pan udaje, że pan nie może ruszyć palcem. Powiem, że to ja wciągnąłem pana na pryczę.

Dambrowski zaczął dokładnie obmacywać kapitana von Brackwede wychudzonymi palcami. Hrabia krzyknął z bólu.

Złe - powiedział szpicel. - A jak mózg, może pan myśleć?

Nie chcę!

Dobrze, dobrze! - Aiarich wyciągnął butelkę z kieszeni spodni.

- Niewiele mogę dla! pana zrobić. Tylko zaoferować coś na wzmocnienie. Tran. Załatwiłem, tego nikt nie chce pić. Ale lepsze to niż nic.

Niech pan da. - Brackwede sięgnął drżącymi rękami po butelkę,

- Muszę jak najszybciej znów wstać.

- Aby znów trafić do młyna?

- Muszę porozmawiać z jednym z moich przyjaciół.

- Z którym na przykład?

- Z którymkolwiek. W tym gmachu jest ich przypuszczalnie cała masa, prawda?

- Czy mogę panu w tym pomóc?

Brackwede poprosił, aby następnego ranka zaprowadzono go do umywalni. Znajdowało się tam zawsze jednocześnie kilku więźniów; Możliwe było wówczas jakieś słowo porozumienia, albo chociaż ostrzegawcze spojrzenie: A pod prysznicem w kącie można było nawet niekiedy przeprowadzić krótką rozmowę.

- Niech pan się w każdym razie oszczędza - poradził Dambrowski i uformował poduszkę z marynarki kapitana. - Jeśli pan jednak chce przekazać jakąś wiadomość, może mógłbym to dla pana zrobić?

Alarich starał się ze wszystkich sił, aby okazać uśmiech.

- Wydaje mi się, że pan jest znów wystarczająca rzeźki. To dobrze. A więc komu chciałby pan coś przekazać? Hrabiemu Moltke, Uxküllowi czy też Bertholdowi Stauffenbergowi? Jest tu również jezuita Müller z Monachium. Następnie doktor.

- Ten także?

Szpicel zakaszłał gwałtownie, próbował się roześmiać.

- Ten doktor to lepszy numer. Czy pan wie, na co on sobie między innymi pozwala? ażdego ranka wyciąga pastrowie Delpowi z kieszeni kartkę którą ten w nocy zapisał. I dotychczas żaden ze strażników tego nie zauważył. Co pan na to?

Von Brackwede wyprostował się, zacisnął zęby. Zimny pot oblewał mu twarz.

- Niech pan powie któremukolwiek z tych ludzi, obojętne komu, że nie wymieniłem żadnego nazwiska. Ani jednego.

- Naprawdę nie? - zapytał Dambrowski z niedowierzaniem.

- Nie, ani jednego nazwiska!.

- I myśli pan, że tak się dalej uda? - Szpicel podniósł ręce.

- Goerdeler na przykład zachowuje się całkiem inaczej. Podobna sporządził długą listę; Wprost nie do wiary, jakie nazwiska można na



niej znaleźć. Myślę, że nawet Himmlera... Czy to nie jest metodą? Pan też mógł iść tą samą drogą.

- Każdy robi tak, jak potrafi powiedział von Brackwede, zanim osunął się wyczerpany. - Ja w każdym razie potrafię milczeć.

A potem upadł, całkiem bez sił.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że muszę to panu powiedzieć, ale pański brat się przyznał. - Sturmbannführer powiedział to z nutką żalu. - Wobec tego jest pan zmuszony opowiedzieć się jednoznacznie z nim albo za führerem. Czy z trudem to panu przyjdzie?

Konstantin hrabia von Brackwede, wezwany na Prinz-Albrecht-Strasse, wziął do ręki podsunięte mu dokumenty. Przerzucał je sztywnymi palcami. Wydawało się, że to, co czytał, nie wywołało u niego żadnej reakcji. Bez słowa zwrócił papiery.

- Pojmuję pański głęboki szok —zapewniał Maier. - Niestety, pewne fakty muszą teraz na panu wywrzeć silne wrażenie. Jestem jednak przekonany, że nic pana nie powstrzyma przed spełnieniem obowiązku.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytał Konstantin nie patrząc na sturmbannführera.

- Niech pan przemówi swemu bratu do rozsądku. Ewentualnie musi pan być również gotów zeznawać przeciw niemu. Wiem, wiem, żądam wiele! Ale pragnę z pańską pomocą uchronić pańskiego brata przed najgorszym, daję na to słowo honoru. Czy jest pan gotów z nim porozmawiać?

Konstantin skinął głową i podniósł się. Urzędnik zaprowadził go do piwnicy, tu strażnik powiódł go dalej. Weszli do celi, w której leżał Fntz-Wilhelm hrabia von Blackwede. Był przy nim lekarz. Starał się ze wszystkich sił postawić swego „pacjenta” na nogi, aby możliwie szybko mógł się sławić na następne tortury.

Konstantin spojrział przerażony na brata, który leżał jak nieżywy z zamkniętymi oczami, ale usta miał szeroko otwarte, rzęził lekko. Konstantin podszedł bliżej. Lekarz i strażnicy oddalili się i zamknęli drzwi. Upływały minuty.

Potem Konstantin ukląkł i pochylił się nad rozbitą twarzą hrabiego.

- Fritz - powiedział cicho.

Brat jęknął. Jego ręce zaczęły się z drżeniem poruszać. Otworzył oczy, mrugając powiekami.

- Mój mały - powiedział z trudem.  
- Nic nie mów, Fritz - rzekł Konstantin z pełną bólu tkliwością. - Ja cię i tak rozumiem.  
- Jeszcze nie jestem skończony - powiedział Fritz. - Proszę, żadnego współczucia.  
- Nie - odezwał się Konstantin. - Teraz jestem całkowicie twoim bratem.  
- To, źle - wykrztusił Fritz. Próbował się wyprostować. Bóle zdawały się spadać na niego jak lawina kamieni, twarz mu się wykrzywiła. Upadł i stracił przytomność.

A Konstantin opuścił celę i Prinz-Albrecht-Strasse. Pojechał do dawnego mieszkania hrabiny Oldenburg. I tam się zastrzelił.

- A więc do dzieła -> oznajmił Lehmann. - Niech pan jedzie na Sayignyplatz. Tam zatrzyma się pan przed budką telefoniczną na rondzie. Zatelefonuję tam do pana.

Sturmbannfuhrer Maier był pewien, że teraz może osiągnąć swój wymarzony cel. Albowiem Lehmann, o czym był przekonany, wyglądał na realistę. Wydawał mu się typem, który sprzedałby własną matkę, gdyby uznał to za korzystne.

Maier trzymał się zatem chętnie reguł gry. Towarzyszyli mu tylko Voglbronner, najbliższy zaufany współpracownik, oraz standartenfuhrer SS, najlepszy specjalista Maiera od materiałów wybuchowych. Punktualnie o umówionym czasie zadzwonił telefon. Lehmann podał im adres. W ciągu kilku minut znaleźli się przed oznaczonym domem. Tu stanęli naprzeciw Karła. Witam serdecznie - powiedział były kapral.

Na stole przed nim leżał gruby plik papierów. Obok stała teczka, podobna do teczek Stauffenberga i kapitana von Brackwede. - Niech panowie podejść bliżej; jestem pewien, że mam panom coś ważnego do zaoferowania.

Pomieszczenie, w którym znajdowali się trzej wyżsi oficerowie gestapo i Lehmann, było prawie puste. Znajdowało się na poddaszu. Na ukośnych mansardowych ścianach wisiały ołówkowe szkice.

- Ten stos przede mną to dokładnie te papiery, które hrabia von Brackwede chciał ukryć. Również teczka jest taka sama jak teczka hrabiego Stauffenberga, za pomocą której Hitler, albo jak panowie wolą, nasz fuhrer, miał wylecieć w powietrze.

- No dobrze - powiedział sturmbannführer wspinałomyślnie - przejdźmy od razu do interesu.

- Niech mi panowie pozwolą na małe wyjaśnienie - rzekł Lehmann do swoich gości, którzy stali trzy metry od niego. I proszę, aby panowie pozostali na swoich miejscach, proszę się nie posuwać do przodu ani nie cofać, bo mogłoby to doprowadzić do przykrych nieporozumień.

- Tylko bez zbędnego gadania mój drogi - powiedział Maier. - Do rzeczy!

- Jestem gotów - zapewnił Lehmann. - I dlatego chciałbym panom zwrócić uwagę na tę teczkę. Zawiera ten sam rodzaj i taką samą ilość ładunku wybuchowego, jaki został użyty dwudziestego lipca. Działanie jest więc znane. Zapalnik z tej samej serii znajduje się również w ładunku. Proszę spojrzeć na urządzenie, które leży przede mną. - Lehmann wskazał na przyrząd wielkości dłoni, podobny był do klawisza aparatu Morse'a. Do tego przymocowana była bateria latarki kieszonkowej. Od przyrządu odchodziły dwa druty, które kończyły się w teczce.

- Zapalarka kontaktowa - powiedział specjalista od materiałów wybuchowych bezdźwięcznie.

- Zgadza się. Prymitywna, ale niezawodna - oświadczył Lehmann. - Krótkie naciśnięcie i cała ta buda wyleci w powietrze. W chwili kiedy nacisnę, nikt nie zdąży strzelić ani uciec. Czy to jasne?

- Należy wierzyć, że on to zrobi! - wykrzyknął Voglbronner.

- Teraz tylko nie tracić nerwów! - ostrzegł Maier drżącym głosem. Próbował przejść na swojski ton co mu się jednak nie udało przekonująco. - Oto cały Lehmann. Czyż nie powtarzałem zawsze, że to szczywany lis.

- Tylko niech pan się nie zbliża, aby to obejrzeć - ostrzegł mężczyzna przy klawiszu.

Teraz sturmbannführerowi udało się roześmiać.

- Nie jestem taki głupi! Wierzę, że pan nie blefuje, ale wiem też, że jest pan do niejednego zdolny. I tak jak ja, nie jest pan ani idealistą, ani idiotą. Pan chce tylko załatwić sprawę.

Voglbronner odetchnął z ulgą. Praktyk Maier, chyba znów miał rację.

Voglbronner powiedział:

- Od razu miałem cholernie dziwne uczucie, kiedy tu wszedłem i zobaczyłem na środku stołu tę paczkę jak prezent na Boże Narodzenie.

- Już dobrze - powiedział sturmbannführer niechętnie. - Niech pan się lepiej zamknie! - A Lehmannowi oznajmił zachęcająco:

- Przynieśliśmy wszystko, jak było umówione, paszport, tysiąc dolarów, bilet pierwszej klasy i zezwolenie na wyjazd do Bazylei.

- Chętnie bym zobaczył Bazyleję - powiedział Lehmann  
- A więc nic nie stoi na przeszkodzie! - Głos sturmbannführera znów zadźwięczał żwawo. - A teraz niech pan wreszcie zdejmie rękę z guziczka, denerwuje mnie to; Umowa jest w końcu umową.

- Ale nie będzie mnie pan ścigał? - zapytał Karzeł. - Nie zamknij pan granic mojego powodu, a właściciela paszportu nie umieści pan na liście ściganych, oczywiście jeśli uda mi się w ogóle opuścić ten dom?

- Ma pan moje słowo - zapewnił Maier.

- Słowo łajdaka - stwierdził Lehmann z całym spokojem.

Sturmbannführer poczerwieniał i wykrztusił ostrzegawczo:

- Niech się pan nie posuwa za daleko!

- On wcale nie chce! - szepnął Voglbronner przerażony.

- Tylko się nie ruszać! - ostrzegł specjalista od materiałów wybuchowych. - Jeszcze ułamek sekundy...

- Lehmann - zagulgotał sturmbannführer - niech pan będzie rozsądny...

- A co to takiego rozsądek? - Lehmann spojrzał pogardliwie.

- Co człowiek ma począć z rozsądkiem, jeśli się dostał pomiędzy szakale? Może tylko spróbować załatwić kilku z nich, zanim sam zginie.

- On to mówi poważnie - odezwał się Voglbronner ledwie do słyszalnie.

- Chce tylko, abyśmy tu wszyscy robili w portki ze strachu powiedział Maier nie bez nadziei w głosie.

- Wybuch powiedział specjalista - i pół domu...

- To nic - oświadczył Lehmann niedbale. - Nie wiem, czy pan czytał, że tu znajdują się urzędy partyjne? Jeden z członków partu dał nam do dyspozycji to pomieszczenie, a sam tymczasem zwołał w piwnicy naradę. - Jesteśmy więc wśród swoich.

- Czego pan żąda? - zapytał Maier z pokorą. - Niech pan żąda, czego pan chce!

- Troje ludzi - powiedział Lehmann spokojnie. - Dwoje zmarłych i jednego kandydata na nieboszczyka. Chodzi mi o hrabinę Oldenburg, leutnanta von Brackwede i hrabiego.

- Ale to jest, to jest... - Sturmbannführer spoglądał zmieszany, twarz miał w plamach, drżał cały. - Nie, to nie może być prawda.

-- A prócz tych trojga ludzi żądam od pana mojej wschodniemieckiej ojczyzny, której zniszczenia jest pan współwinny.

O Boże wyjąkał Voglbronner, jakby się dusił.

- Do diabła z wami wszystkimi! - powiedział Lehmann niemal pogodnie. Następnie nacisnął klawisz.

Dom zatrzęsł się. Ostatnie piętro zamieniło się w słup ognia i rozpadło na setki tysięcy strzępów. Nie znaleziono nawet śladu ludzi.

Przed Rolandem Freislerem stał były generał broni Hoepner. Przewodniczący miał z nim niezłą zabawę. Już podczas studiowania akt Hoepnera zorientował się, że trafił na obiekt rozrywkowy pierwszej klasy.

- A więc... - zaczął przewodniczący. I nie zaglądając do akt, stwierdził: Oskarżony udał się już dziewiętnastego lipca do Berlina. Dlaczego?

Na co Hoepner gorliwie odpowiedział:

- Moja żona otrzymała zawiadomienie od swego kuśnierza nazwiskiem Salbach, aby zechciała przyjechać w pierwszej połowę tygodnia do miary futra, które odziedziczyła po matce.

Freisler przymrużył dobrotliwie oczy; ten Hoepner szedł na lep z całą gotowością. Z takim człowiekiem można by było chyba rozbawić nawet führera.

- Przyjechał pan zatem do Berlina. Po pierwsze z powodu żony.

- Tak - odrzekł Hoepner. - Po drugie, chciałem zatelefonować z Berlina do Schlawe. Po trzecie, chciałem się zaopatrzyć w cygara. A po czwarte, chciałem pomóc żonie.

To było już po pierwsze - poprawił Freisler z ironią.

Dwustu widzów na sali roześmiało się. Tłumiona wesołość popłynęła jak fala do stołu sędziowskiego. Hoepner spojrzał nieco zdumiony, najwidoczniej nie pojął, co tu z niego robią. Przewodniczący pochylił się do przodu, do swego mikrofonu, a tym samym praktycznie do ucha swego führera: jego przyszły minister sprawiedliwości uradował go.

Freisler w bezczelny sposób wykorzystywał poczciwość Hoepnera. Zastawiał jedną pułapkę po drugiej, a generał w każdą z nich wpadał zwymyślany, lżony, wystawiany na pośmiewisko odkomenderowanych na proces słuchaczy. Hoepner został nazwany tchórzem, człowiekiem, który wskutek nieposłuszeństwa został wydalony z Wehrmachtu, Osobnikiem cierpiącym na przerost ambicji; obłąkańcem, zdrajcą startu pozbawionym zasad i pomocnikiem morderców. Hoepner próbował się bronić; więcej jeszcze: starał się usprawiedliwić.

Byłem przekonany, że führer nie żyje.

Teraz przewodniczący Freisler trysnął niczym fontanna wyznania-  
mi wierności wobec führera... - Führer jest wieczny w niemieckim  
harodzie. Jeśli führer umrze, jego dzieło pozostanie w naszych duszach  
jako testament... Wierność... Maszerować w przyszłość... pan... mor-  
derca führera... tymczasem największy osioł wiedziałby, co się stało.  
Ale pan nadal siedział na tyłku...

Temu Hoepner nie zaprzeczył. I wciąż zapewniał, w dobrej wierze,  
że działał z czystym sumieniem, przekonany o tym, że spełnia żołnierski  
obowiązek. Nie mógł przy tym oczywiście wiedzieć... - Wcale nie  
uwazam się za świnię...

- Nie? - zapytał Roland Freisler. - A jakie zwierzę uważa pan za  
bardziej pasujące?

Hoepner spojrział, nie rozumiejąc, nie był zupełnie przygotowany  
na te ostre zgrzyliwe ataki przewodniczącego. Starał się znaleźć odpowiedź  
na pytanie Freislera.

Może osioł? - zaproponował przewodniczący.

- Owszem - powiedział Hoepner gorzko - osioł,

Ale i to nie uchroniło go przed skazaniem na śmierć.

Pierwsze wyroki śmierci w sprawie 20 lipca trybunał ludowy wydał  
już 8 sierpnia. Zaledwie w dwie godziny później w Plotzensee odbyły  
się pierwsze egzekucje. Ale nie wszystkim skazanym dane było od razu  
umrzeć.

Kilku było „jeszcze potrzebnych” - na przykład Goerdeler, który  
nadal pisał swoje memoriały. Zapelniał setki kartek na temat „różnych  
dziedzin życia w Niemczech”, „reformy finansowej” itd. Został straco-  
ny 2 lutego 1945. Inni zostali zabici dopiero na kilka dni przed za-  
kończeniem wojny.

Lista samobójstw obejmuje dziesiątki nazwisk. Wśród nich  
już w pierwszych tygodniach znajdowało się dwóch feldmarszałków  
i czterech generałów. Do tego doszło jeszcze około setki; żołnie-  
rze i dyplomaci, urzędnicy i uczeni, byli ministrowie, działacze zwią-  
zków zawodowych i posłowie: popełniali samobójstwa, podcinali żyły,  
strzelali sobie w głowę, zażywali truciznę albo atakowali swoich  
dręczycieli.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia odbyła się rozprawa przeciw-  
ko grupie paryskiej: przed stołem sędziowskim stanęli Stülpnagel,  
Finkh i Hofacker. Generał, który uprzednio strzelił sobie w głowę  
i oślepl, oznajmił krótko, że odpowiada za swój czyn. Pułkownik  
Finkh milczał z pogardą, podpułkownik Hofacker miał czelność

oświadczyć: - Żałuję, że zamach się nie udał. - Wszyscy zostali powieszani.

Przed nimi, z nimi i po nich odpowiedziało jeszcze wielu ludzi, którzy nic nie wiedzieli o wydarzeniach 20 lipca. Co więcej: nie orientowali się w przygotowaniach ani nie znali kręgu spiskowców. Ale znajdowali się na któreś liście; niektórzy przewidziani byli na wysokie stanowiska po spisku. Dlatego musieli umrzeć.

Prawie wszyscy zostali wykryci, jednakże kilku osobom udało się ująć z życiem, choć byli poszkodowani. Albowiem nie zawsze można było zdobyć szczegółowe dowody. Wprawdzie zgromadzono stos materiałów, ale brakowało najważniejszych, tych hrabiego von Brackwede.

„Dzielność” gestapo ujawniła się w każdym razie wyraźnie na sali sądowej. I to nie w grubych tomach dostarczonych dokumentów; również na twarzach oskarżonych. Widoczne były bowiem ślady straszliwych przesłuchań. Niektórzy z trudem trzymali się na nogach, były to rozpadające się wraki, choć niektórzy z nich nie dawali za wygraną.

- Czyniłem to, ponieważ uważam führera za narzędzie zła w historii - powiedział przed sądem radca poselstwa Haeften.

Również Helmuth von Moltke odważył się na krótki pojedynek z Freislerem, który ten, zdenerwowany, próbował zakrzyczeć. Ambasador von Hassel był pełen niezachwianej godności. A Julius Leber stał twardo jak skała. Kiedy obrzucano go wyzwiskami, mrugał oczyma pełen pogardy jak lew podczas wycia szakali.

Generał Fellgiebel zawołał podczas ogłoszenia wyroku: Niech pan się pospieszy z wieszaniem, panie przewodniczący, bo inaczej zawisnie pan prędzej niż my! - Feldmarszałek von Witzleben przeszedł samego siebie w ostatnich chwilach. Powiedział do Freislera - Za trzy miesiące naród pociągnie pana do odpowiedzialności i powlecze pana żywcem po ulicznym błocie.

Ale ta przepowiednia nie miała się sprawdzić. Freisler zginął 3 lutego 1945 podczas nalotu na Berlin. W połowie rozprawy pobiegł do piwnicy. Sąd najwyższy zadrżał w posadach, zakołysał się i następnie runął „wśród ogłuszającego huku”. Potężna belka oderwała się od sufitu i spadła na Freislera.

Podczas tego samego nalotu została również zburzona siedziba gestapo na Prinz-Albrecht-Strasse. Jednakże cele w piwnicy przetrwały nalot. Tam też natychmiast znów podjęto tortury.

Ale zanim nastąpiły te wydarzenia, musiały jeszcze upłynąć miesiące i nie było dnia bez wyroków śmierci.

Kreisler, były komunista członek rady robotników i żołnierzy, od 1925 członek NSDAP, przewodniczył każdemu posiedzeniu i ogłosił blisko setkę wyroków śmierci. Do adwokata Josepha Wirmera, który należał do kręgu spiskowców, zawołał: - Pan niedługo znajdzie się w piekle! - A Wirmer odpowiedział: - Będzie mi bardzo miło, jeśli pan wkrótce po mnie tam przybędzie, panie przewodniczący.

Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede, postawiony jako tako na nogi za pomocą zastrzyków, leków i specjalnych racji żywnościowych, został doprowadzony do wozu transportowego gotowego do odjazdu. Położono go tu na drewnianej podłodze, spętanego jak zwykle. Stał przy nim strażnik z odbezpieczonym pistoletem.

Brackwede próbował wyrzucić przez zakratowane okienko, ale zasłaniał je gruby, lniany, brudnozielony materiał. Trudno mu było oddychać w dusznym upale.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Mężczyzna z pistoletem stał bez ruchu jak przyczajony. Samochód trząsł się na rozjeżdżonych ulicach. Lufa pistoletu drżała. Głowa hrabiego Brackwede uderzała o podłogę.

Potem został wypchnięty. Ujrzał plac, który wyglądał jak strzelnica. Za jego plecami znajdował się gruby, porośnięty trawą wał z piachu. Były na nim ślady licznych strzałów. Na ziemi ciemno-brązowe plamy: zaschnięta krew.

- No, wie pan już, gdzie się pan znajduje? - zapytał strażnik, szczerząc zęby. - Czy też nigdy pan czegoś takiego nie widział?

Tu, pod wyblakłym niebem, otoczony wysokimi ścianami podziurawionymi od kul, Fritz-Wilhelm von Brackwede stał ponad godzinę, pod stopami miał skrzypiący żółtobiały piasek. Słyszał strzały z niewielkiej odległości, przytłumione okrzyki, następnie głuchy upadek, wreszcie beztróskie głosy: istnieli ludzie, dla których zabijanie było zwykłą codzienną pracą.

Następnie von Brackwede został zaprowadzony do niskiej szopy bez okna. Stęchły zapach - mieszanina zgnilizny i formaliny - sprawił, że hrabia aż się cofnął. Potem zobaczył drewniane skrzynie. Między nimi stał Habecker i kiwał na niego.

- Niech pan podejdzie bliżej - powiedział komisarz gestapo niemal znudzonym głosem. - Pokażę panu, co pan narobił.

Kiedy Brackwede stanął w pobliżu, Habecker podniósł wieko skrzyni. Leżał w niej trup. Kobieta, jej twarz trudno było w pierwszej



chwili rozppznać. Ale Fritz wiedział: to była Elisabeth hrabina Oldenburg-Quentin, a raczej to, co z niej zostało.

- Musiała umrzeć - oświadczył Habecker tonem przewodnika po muzeum - ponieważ pan, panie Brackwede, chciał w miarę spokojnie przeżyć.

Po czym z powrotem zamknął wieko. Ale uczynił to jedynie po to, aby równie energicznie otworzyć inne. I znów oczom hrabiego ukazał się trup. Gładka jak wosk, nie uszkodzona twarz, tylko, sinoczerwona plama na prawej skroni szpeciła obraz. Konstantin.

- Zastrzelił się, ponieważ nie mógł znieść hańby, jaką okrył pan jego i jego rodzinę, - Habecker zatrzasnął wieko trumny. - Człowieku, czy panu to jeszcze nie wystarczy?

Przewodniczący Roland Freisler miał chwile, w których był przekonany, że zbierze obfite plony. Albowiem udawało mu się nawet spośród niektórych oskarżonych wydusić narodowosocjalistyczne tony. Choćby za tymi wyznaniem krył się goły instynkt samozachowawczy, najważniejsze, że one były!

Von Popitz twierdził więc: - Popieram ze wszelkich miar narodowosocjalistyczne państwo! - Również hrabia Helldorf zapewniał, że „popiera” narodowy socjalizm. Goerdeler sformułował to tak: - Główne zasady partu były wymaganiami, które mi wpojono jeszcze w domu rodzinnym.

Tego rodzaju zdania przewodniczący kazał podkreślać w protokole. Gromadzono starannie „wyznania winy”. Na przykład list generała Stieffa, w którym było napisane: „Moje życie jest skończone. Wczoraj i dzisiaj odbywała się główna rozprawa. Wyrok brzmi: kara śmierci, i nie może też brzmieć inaczej. Jest sprawiedliwy. Pójdę spokojny i opanowany na śmierć, którą sam na siebie ściągnąłem.”

W oficjalnym raporcie gestapo do fùhrera podkreślono szczególnie dwa słowa owego listu, napisanego rzucającą się w oczy kursywą.

Były to słowa: „sprawiedliwy” i „winny”. A w ogóle jest ze wszelkich wątpliwe, czy generał kiedykolwiek napisał taki list pożegnalny. Inne cytaty, wyłącznie w tym duchu, miały, zgodnie z wolą trybunału, posłużyć za jednostronne dowody. Tak na przykład niejaki Leonard miał wyrazić nadzieję, że nie zostanie włączony do kroniki rodzinnej, „albowiem stanowię dla niej plamę na honorze”. Juger: „...przyznaję się do winy”. Smend: „...jestem również współwinny i muszę umrzeć... Rozstaję się więc z życiem jako człowiek bez honoru i wszystko, ale to wszystko przegrałem”.

- Myślę, że możemy być zadowoleni - powiedział Freisler do swoich ławników po zakończeniu pracy. - Führer wyraził mi swój uznanie, a także i panom. Poleciał przekazać: mamy tak dalej postępować.

Pozwolił, aby woźny pomógł mu zdjąć czerwoną togę. Rozmawiał przy tym z prokuratorem Rzeszy.

- Niektórzy obrońcy sprawiają wrażenie ideologicznie obcych. Czy pan też tak sądzi?

Tu chodzi z pewnością o wyjątki.

- Mimo to nie powinniśmy dopuścić do niczego, co by podważało godność sądu... Prawda? Również obrońcy są w końcu tylko sługanji sprawiedliwości, tak samo jak pan i ja.

Prokurator skinął głową.

- Ten i ów spośród owych panów zdaje się w istocie nie całkiem pojmować, o co tu właściwie chodzi. Zgodnie z pańską wskazówką każę im udzielić niezbędnych pouczeń.

Freisler pożegnał się więc z ławnikami, prokuratorem i jego pomocnikami. A swego asystenta zapytał: - Na kogo jutro kolej?

Ten wymienił sześć nazwisk, a wśród nich kapitana von Brackwede.

- A zatem nic szczególnego - powiedział przewodniczący i zamknął teczkę.

Kat Berliria miał swoje szczególne problemy. Czuł się wielce zobowiązany wobec führera, który go osobiście przyjął. - Nie chciałem go zawieść - powiedział.

Odbywał naradę roboczą ze swymi dwoma pomocnikami. Siedzieli przy stole w domu straceń w Plotensee. Popijali przedni koniak który należał, by tak rzec, do wyposażenia owego pomieszczenia; mieli do niego „służbowe prawo”.

- Oglądałem filmy z pierwszych egzekucji - powiedział Jtati - I muszę wyznać, że nie jestem w pełni zadowolony;

- Dlaczego nie? - zapytał jeden z pomocników. -- Przecież dotychczas wszystko grało. " V?"

- Pod względem czysto technicznym tak przyznał kat. - Ale, że tak powiem, optycznie wyszły na jaw pewne braki.

Wyglądali, jakby grali w skata. Kat spoglądał jak wzorowy urzędnik w okienku po wielu latach służby. Jego pomocnicy mieli pocziwe twarze robotników. Jeden z nich był ojcem czworga dzieci;

drugi zamierzał właśnie się ożenić. Jego narzeczona pracowała w kwiaciarni.

- Przecież ustanawiamy rekordy - powiedział jeden z pomocników - i to każdego dnia. Nikt nam tak łatwo nie dorówna.

- Z pewnością, z pewnością - odrzekł kat. - Ale na tych filmach wyszły na jaw braki, których nie mogę pokazać führerowi.

- Może kamerzysta jest do niczego - powiedział jeden z pomocników. - Ten filmowiec już nieraz mi podpadł! W końcu musi się przecież dostosować do nas, prawda?

- Pracujemy tym razem w szczególnie skomplikowanych warunkach ~ rozwoził się kat. - I musimy mieć to na uwadze. Tak więc haki są zbyt lśniące, pętłe druciane również, co powoduje, że podczas filmowania pojawiają się refleksy świetlne. Obniża to jakość obrazu.

- Pomalujmy więc po prostu haki i pętle albo postarajmy się o inny materiał. Trzeba go skądś wytrzasnąć.

- Bardzo dobrze! - wykrzyknął kat z aprobatą. - Ale jest jeszcze coś. Nie może być tak, że kiedy wieszka się delikwenta, jeden z was stoi plecami do kamery.

Ale przecież nie możemy zmieniać metod! - Pomocnicy wyglądali na zatroskanych. - To jest przecież wypraktykowane, jeden staje z przodu i chwytą skazańca za biodra; drugi staje z tyłu i bierze go pod rękę. W ten sposób go podnosimy i puszczamy.

- W porządku - przytaknął kat. - Ale ten, który stoi z przodu, zasłania twarz skazańca. Myślę, że führerowi to się nie spodoba. Chce widzieć wszystko dokładnie.

— Cholera! - zaklął jeden z pomocników. - Pewnie teraz będziemy musieli wszystkiego na nowo się uczyć.

Kapitan Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede stał w wielkiej sali sądu najwyższego w Berlinie. Po bokach miał dwóch policjantów.

Zdjęto mu kajdanki. Masował poobcierane przeguby dłoni i rozglądał się dokoła: czerwone jak krew chorągwie ze swastyką, jaskrawoczerwona toga Freislera, purpurowe odznaki generała armii, który pełnił tu funkcję ławnika. Prokurator, ze znużoną miną, siedział z boku w swojej kruczoczarnej todze.

Przewodniczący nie spieszył się. Przerzucał leżące przed nim akta. Ten oskarżony nie wydawał mu się ważną osobą. Kapitan, jeden z wielu szlachetnie urodzonych, urzędnik administracyjny średniego stopnia z terenów Prus Wschodnich i Śląska, następnie żołnierz od początku wojny, z paroma przerwami. Do załatwienia byle jak.

- Niech pan podejdzie bliżej - zaczął Freisler niedbale. Dopiero w przypadku generałów, ambasadorów albo wysokich urzędników zwykł brać się energicznie do rzeczy. - Czy pan wie, dlaczego pan się tu znalazł?

- Nie bardzo - powiedział von Brackwede. - Szczególnie, że widzę tu przed sobą popiersie Fryderyka Wielkiego i Adolfa Hitlera. Albowiem jeden zniósł tortury, a za drugiego na nowo tortury wprowadzono. Nazwałbym to cofnięciem się o dwa stulecia.

Roland Freisler spojrział zdumiony, najwyraźniej nie słuchał uważnie.

- Co to było? Chyba się przesłyszałem? Mam nadzieję! Niech pan powie, czy jest pan niedoszłym historykiem albo kimś podobnym? Nie będziemy zaczynać od spekulacji historycznych. Tu liczą się tylko fakty.

- Dokładnie do tego zmierzam - oświadczył von Brackwede; z naciskiem. - Byłem torturowany, dopiero wówczas złożyłem zeznanie. Te zeznania nie mogą być wobec tego podstawą do tej rozprawy. Poza tym uważam ten sąd za uprzedzony i niekompetentny dla mnie. Odrzucam go.

Roland Freisler wyprostował się. Był niezmiernie zaskoczony. Przez kilka sekund rozglądał się dokoła, jakby szukając pomocy. I wszędzie widział niezwykle zdumienie, zmieszanie, niepokój, a nawet tu i ówdzie z trudem ukrywane uśmiechy. Starając się zachować spokój, przewodniczący przestawił się na ironiczny ton,

- Żarty się pana trzymają czy jak?

- Możliwe. Przeczytałem książkę Adolfa Hitlera *Mein Kampf*; jest tam napisane: „Jeśli wskutek przemocy władzy naród zostanie doprowadzony do upadku, wówczas rebelia każdego członka tego narodu jest nie tylko prawem, ale obowiązkiem...”

- To jest nędzna, nikczemna podłość! - wrzasnął Freisler.

I dalej Adolf Hitler napisał w swojej książce: „Prawo ludzkie łączy prawo państwowe i każda droga, która do tego prowadzi, jest celowa, a niepodążanie tą drogą musi być uważane za niedopełnienie obowiązku”.

Ale z pana drań! - krzyczał Freisler rozwścieczony. - Pan, przestępca, ma odwagę nawet myśli naszego Führera wykorzystywać do swoich niecznych celów. Jest pan napiętnowany! Czy panu nie wstyd?

Może rzeczywiście powinienem się wstydzić - przyznał von Brackwede - ale tego, że cytowałem Hitlera.

Roland Freisler ryczał, mikrofony trzaskały jak pękające szkło; w kabinie akustyków rozchodził się niszczący szum i zagłuszał dalsze

słowa. obrońca z urzędu kapitana von Brackwede pochylił się przeżony.

- Łajdaku Brackwede! - krzyczał Freisler trzęsąc się z wściekłości. - Odbieram wam głos. Posiedzenie zostaje przerwane na pół godziny.

- Człowieku - szepnął jeden z policjantów, którzy stali obok kapitana Brackwede. - Nie powinien pan sobie pozwolić na coś takiego. Na to nikt jeszcze dotychczas się nie odważył.

- Widocznie już najwyższy czas, aby ktoś zaczął - powiedział hrabia von Brackwede stanowczym tonem. A do obrońcy, który odwrócił się do niego z troską, powiedział: - Najlepiej niech pan teraz zniknie. Będę się bronił sam.

- Ale ja chcę pana bronić zapewnił obrońca z zapalem. - Pańska wzmianka o torturach mogłaby stworzyć całkowicie nową sytuację, w wypadku gdyby nam się udało uczynić wiarygodnym to znęcanie się.

- Czy pan jest żonaty? Ma pan dzieci? - zapytał hrabia.

- Tak - powiedział obrońca zdziwiony.

- Czy jest pan przeciwnikiem narodowego socjalizmu?

- Teraz? Jakże bym mógł!

- Gdyby pan się nie musiał bać o swoje życie... rozumiem. - Von Brackwede zdawał się uśmiechać. - Dlaczego chce pan się tu wplątać w niepewną przygodę? Pan ma wszystko do stracenia, ja już nic. A więc niech pan się wycofa. Proszę mi spokojnie ustąpić pola.

Po nerwowej półgodzinie Freisler znów zajął swój fotel przewodniczącego. Znów przerzucał akta von Brackwede i nie mógł w nich znaleźć nic szczególnego. Miał przed sobą jasne zeznanie, nic poza tym. To wystarczyło!

- Łajdaku Brackwede - zaczął przewodniczący - przejdźmy teraz do sprawy. Czy zamierza pan teraz twierdzić, że całkowicie nie brał udziału w wydarzeniach dwudziestego lipca?

- Absolutnie nie - powiedział Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede. - Nawet szczególnie intensywnie się tym zajmowałem. Zgodnie z moimi przekonaniem Hitlera trzeba było usunąć. Tylko wówczas Niemcy miałyby szansę przeżycia.

Przewodniczący przyjął to oświadczenie, odetchnął nawet z ulgą. Albowiem takie wyznanie wystarczyło całkowicie, aby wydać wyrok śmierci. Nastroiło go to niemal łagodnie. Teraz, skoro najważniejsze było postanowione, mógł znów wrócić do swoich wytartych frazesów.

- Sąd dysponuje jednoznacznie zdradzieckim planem uproszczenia-

administracji. Czy przyznaje pan, że był pan autorem tego planu, hrabio von Brackwede?

- Łajdaku Brackwede, proszę - poprawił Fritz. - A co się tyczy tego planu, chętnie się do niego przyznaję. Miał stworzyć nowy przejrzysty porządek, bez korupcji, okłamywania narodu i przemocy. Warunkiem tego jednakże było usunięcie...

- Pan chyba nic sobie nie robi z przysięgi, Brackifirede, łajdaku Brackwede, jeśli pan woli.

- Nie my złamaliśmy tę przysięgę, tylko Hitler i jemu podobni. A przestępcy nie mają prawa do wierności.

Dały się słyszeć głośne protesty. Prokurator uderzył pięścią w stół. Ławnicy robili wrażenie zawstydzonych i poczerwienieli z oburzenia. Widzowie zerwali się z krzesel.

Roland Freisler wahał się przez kilka sekund. Kusilo go, aby po prostu przerwać tę rozprawę. To jednak mogłoby być poczytane za jego słabość; on też posiadał wrogów i zazdrośników. Musiał w sposób przekonywający zapanować nad tym procesem. Nie miał innego wyboru.

Podniósł więc uspokajająco rękę, starał się uśmiechnąć z wyższością i oświadczył wzburzonej publiczności na sali:

- Nie powinniśmy zapominać, drodzy towarzysze i towarzyszki, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy według stanu rzeczy mogą być nienormalni. A niektórzy z nich z całą pewnością są chorzy umysłowo. Z jednym z takich egzemplarzy mamy najwidoczniej tu do czynienia.

- Wcześniej czy później to się z pewnością okaże - powiedział von Brackwede. - Ale uważam, że nawet ptasi mózg powinien wystarczyć, aby poznać, że ta wojna jest przegrana. Przedłużanie jej oznacza dalsze masowe mordy i totalną zagładę. W ciągu kilku miesięcy, które teraz nastąpią, podwoją się straty pięciu ostatnich lat.

Ten rachunek był niemal dokładny: po 20 lipca 1944 zginęło w tej wojnie prawie tyle ludzi, ile w okresie poprzedzającym, a zniszczenia miast i wsi podwoiły się. Ale ten bilans historii stał się widoczny dopiero potem, kiedy było już za późno. Freisler spojrzął z miażdżącą pogardą na oskarżonego.

- Ten skończony łajdak - powiedział - jest niezbitym dowodem na to, jak konieczne jest drakońskie wymierzanie kary. Albowiem ciągle jeszcze nikczemne elementy przestępcze próbują zaatakować naszego führera od tyłu. Zawodowi przestępcy, którzy nie cofnęli się nawet przed tym, aby się podawać za oddanych narodowych socjalistów. Czy też chce pan zaprzeczyć, łajdaku Brackwede?

rt;iNie - powiedział hrabia i opuścił głowę - ja również kiedyś

wierzyłem w Hitlera i naród. W socjalizm, dopóki nie poznałem, kim jest ten człowiek i co czyni. Stałem się jego przeciwnikiem; nie miałem innego wyboru.

I tak jak wielu kolegów byłem przekonany, że ten człowiek powinien zostać usunięty, i to nie dopiero wówczas, kiedy zaczął się zarysowywać jego upadek, ale jeszcze na długo przed jego wojną.

Jesteśmy winni posłuszeństwo Bogu, sprawiedliwości i wolności, a nie przestępcy.

Obróńca hrabiego von Brackwede był do głębi wzburzony.

- Co mam zrobić? - zapytał. - Niech mi pan da pełnomocnictwo, a ja spróbuję zachwiać tym sądem, a przynajmniej podważyć jego autorytet.

- Co zamierza pan przez to osiągnąć?

Obróńca popatrzył badawczo na hrabiego, którego<sup>1</sup> postawa wyrwała go z gnuśnej obojętności.

- Czy pan wie, panie hrabio, co ja czuję? Wstyd, że nie jestem na pańskim miejscu.

- Niech pan spróbuje przeżyć - powiedział hrabia - aby potem móc o tym opowiedzieć.

- Nie chcę być teraz tchórzem.

- Dziękuję - powiedział Brackwede. - Ale niech mi pan teraz odpowie na jedno pytanie: czy pan wierzy w to, że mógłby pan zapobiec skazaniu mnie na śmierć?

- Nie, nie mógłbym zapobiec.

- Ja w to także nie wierzę, panie obrońco. - A potem von Brackwede dodał: - Miałem przyjaciela, kaprala nazwiskiem Lehmann. Ten miał bardziej miękkie serce niż niejeden z nas. Ale dysponował również zdrowym rozsądkiem. I wie pan, co mi powiedział? Każda ofiara w imię słusznej sprawy jest uzasadniona, jeśli ma sens. Bezsensowne ofiary, choć mogą wyglądać na bohaterskie, to czysta głupota.

- Rozumiem - powiedział obrońca z oddaniem.

Von Brackwede wiedział, że pozostali obrońcy byli inni; bronili oni rzekomo Wielkich Niemiec, jednakże nierzadko samych siebie.

Był taki jeden - i to nie jedyny - który swoją mowę obrończą zaczął od słów: - Zapytacie mnie, po co jeszcze obrona? - Potem długo się rozwodził, że jego najistotniejsze zadanie jako obrońcy to „pomoc sądowi w wydaniu wyroku”. Jednakże bywają sytuacje,

„kiedy to nawet najlepszy obrońca nie jest w stanie powiedzieć nic na korzyść oskarżonego, którego reprezentuje...”

Pewien dr Falck wywodził: - Stoję na stanowisku... jako obrońca z urzędu i wyboru, że obrona w miarę możliwości musi<sup>1</sup> się starać unikać niebezpieczeństwa stania się drugim oskarżycielem...

Mecenas dr Bergmann: - Dlatego nie jestem w stanie postawić wniosku innego niż wniosek pana prokuratora.

Obrońca dr Kunz: - ...zgadzam się z oskarżycielem...

Obrońca dr Weissmann: - ...nieunikniony wyrok śmierci... jestem pewien, że pan... wyda słuszny i sprawiedliwy wyrok.

- Inny mój przyjaciel - opowiadał von Brackwede swemu obrońcy - którego powszechnie nazywano tylko doktorem, był człowiekiem niezwykle godnym szacunku. Poza tym niezrównanym moralistą i niezrównanym sługą Bożym. A wie pan, co mi poradził? Powiedział: naprzeciw kłamcom należy wychodzić nie tylko z prawdą, a przestępstwo zwalczać nie tylko przyzwoitością.

- Pan doktor żyje - rzekł cicho obrońca.

- Naprawdę? Brackwede był uszczęśliwiony. - Jak on to zrobił?

- Został postawiony przed sądem, jak wielu innych. Stał tam jak lew - można by go porównać z Juliusem Leberem, hrabią von Uxkülle i von Hofackerem; nie mówiąc o panu, panie hrabio. Ale on jako jeden z nielicznych został skazany tylko na niewielką karę więzienia.

- Jak to dobrze! Przynajmniej jeden, który później będzie mógł o nas świadczyć. Jak to się udało naszemu doktorowi?

- Poślubił właściwą kobietę - powiedział obrońca. - Ma przyjaciółkę z lat młodości, a ta z kolei jest zaprzyjaźniona z Freislerem.

- To wspaniałe! - zawołał von Brackwede. - Wspaniałe, niezwykle i niewyobrażalne zarazem. Również w ten sposób można robić historię. Ale my, panie obrońco, nie dajmy się temu zwieść. Obowiązują nas reguły, od których nie ma wyjątków.

Podczas miesięcy, które nastąpiły po 20 lipca, odbyło się - według dostępnych dokumentów urzędowych - siedemdziesiąt sześć „oficjalnych” egzekucji. Wraz z zarejestrowanymi morderstwami i samobójstwami liczba ofiar śmiertelnych spośród „bezpośrednich uczestników” wzrosła do stu czterdziestu siedmiu. Ostrożne szacunki mówią o dwustu ofiarach przemocy; co najmniej.

Jeszcze w ostatnich dniach wojny admirał Canaris został doprowadzony nago na stracenie. Wielu innych wypędzono na dwór



i następnie zastrzelono „podczas ucieczki”. Generał Fromm, skazany na śmierć z powodu „tchórzostwa”, został „zlikwidowany” przez urzędników 19 marca 1945 w więzieniu w Brandenburgu.

Zmarł z okrzykiem: - Heil Hitler!

Umierały dzieci, starcy, młodzieńcy, dziewczęta i matki. Nie wszyscy wiedzieli, dlaczego. Ich śmierć rozplynęła się pośród masowych zgonów na frontach, w ojczyźnie i w obozach koncentracyjnych.

Natomiast führer Rzeszy również bliski śmierci, oświadczył:

Zwycięzimy, ponieważ musimy zwyciężyć! W przeciwnym razie historia straciłaby swój sens.

- Oskarżony Brackwede - powiedział Roland Kreisler ma ostatnie słowo. - Starając się zachować pozory, chciał zademonstrować niepodważalne „wymierzanie sprawiedliwości”. Wyjaśnił jednak przeczornie: -Chodzi o ostatnie słowo, nie o mowę końcową. Nie zamierzam tolerować żadnych rozwekłości.

Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede posiedział:

- Wzięliśmy na siebie ten czyn, aby uchronić Niemcy przed niewyobrażalnym nieszczęściem. Jestem świadom, że zostanę za to powieszony. Ale nie żałuję mojego czynu. I mam nadzieję, że ktoś inny, w bardziej sprzyjającej chwili, ten czyn wykona.

- Śmierć przez powieszenie! - zawołał przewodniczący Rolanda Freisler. - Wykonać natychmiast!

Dokładnie dwie godziny po ogłoszeniu wyroku Fritz-Wilhelm hrabia von Brackwede przybył do zakładu karnego Plötzensee w Berlinie. Otaczały go mury z czerwonej wypalanej cegły. Wszystko było przygotowane do egzekucji.

Budynek, w którym czekał na hrabiego kat i jego dwaj pomocnicy, znajdował się z boku, otoczony zdeptanym trawnikiem; wokół stały powykrzywiane sosny. Sala straceń miała mniej więcej cztery metry szerokości i osiem metrów długości.

Znajdowali się w niej: generalny prokurator Rzeszy, kat i jego dwaj pomocnicy, dwaj strażnicy więzienni i dwaj operatorzy filmowi. Przy dłuższej ścianie stał niewielki stół - na nim kieliszki i butelka koniaku, przeznaczona dla świadków egzekucji.

Dwa zakratowane okna w przedniej ścianie pomieszczenia przepuszczały blade światło. Na suficie, tuż nad zebranyimi, przymocowana

była żelazna belka w kształcie litery T. Wisiało tam osiem masywnych haków rzeźniczych.

Hrabia von Brackwede wszedł do tego pomieszczenia z podniesioną głową. - Oskarżony - powiedział prokurator rutynowo - jest skazany przez trybunał ludowy na śmierć przez powieszenie. Niech kat czyni swą powinność!

Kat założył hrabiemu von Brackwede żelazną pętlę na szyję. - Trochę łaskocze - powiedział wesoło; był znany ze swego poczucia humoru. - Ale to zaraz minie.

Pomocnicy kata - jego honorarium wynosiło 300 marek za każdą egzekucję, pomocników 50 marek - chwycili hrabiego von Brackwede, podnieśli w górę, zawiesili pętlę na hakach i puścili skazańca „z wielkim impetem”,

- Co za świat! - powiedział hrabia, zanim zmarł.

Uczestnik spisku, duchowny Alfred Delp, w nocy po owym dniu napisał w swojej celi śmierci, zę związany u rękami: „Oddaliśmy nasze życie po to, aby inni mogli żyć lepiej i szczęśliwiej”.

## Nota od autora

### Firtz-Dietlof hrabia von der Schulenburg

Urodzony 5 września 1902 w Londynie

stracony 10 sierpnia 1944 w Berlinie

Ta niepowtarzalna postać niemieckiego ruchu oporu była z pewnością niedoścignym wzorem dla przedstawionej w tej książce postaci hrabiego von Brackwede.

Istotne informacje dotyczące Fritza-Dietlofa hrabiego von der Schulenburga zawdzięczamy doktorowi Eugenowi Gerstenmaierowi - to on określił go jako podziwianego przyjaciela i jednego z najlepszych przedstawicieli „innych Niemiec”. Wywody Eberharda Zellerala w książce *Geits der Freiheit (Duch- wolności)* - dały niewątpliwie, najlepsze sprawozdanie z tych wydarzeń - dały dalsze decydujące podniety. Obraz, który opublikowała Annedore Leber w swej książce *Das Gewissen steht auf (Sumienie powstaje)*, miał przekonywającą siłę.

Liczne szczegółowe rozmowy z przyjaciółmi, kolegami i krewnymi mi hrabiego i z panią Charlotte hrabiną von der Schulenburg, które autora napełniły wdzięcznością i podziwem, uzupełniły przeczuwaną wizję: ten człowiek był istotnie symbolem innych, lepszych, wymarzonych nowych Niemiec a przy tym mężczyzną upartym, o fascynującej wszechstronności.

Jego życie opisał Albert Krebs we wzorowo szczegółowej biografii. Powieść jednakże kieruje się własnymi prawami. Musi spróbować wyjść poza suche fakty, oświetlić kulisy, objaśnić epokę i w jednej jedynej postaci ująć prądy historyczne.

Nie do uniknięcia są więc chwytły, które sięgają poza fakty historyczne. Dlatego powstał von Brackwede — Schulenburg i Schlabrendorff jednocześnie, York i Uxküll. Prusak, hrabia i żołnierz - tym wszystkim był w istocie ten człowiek o niewyobrażalnej doskonałości.

Życiorys Fritza-Dietlofa hrabiego von der Schulenburga wygląda li| następująco:

Kiedy Fritz Dietlof urodził się w roku 1902, ojciec jego był cesarsko-niemieckim attache wojskowym w Londynie.

Ów ojciec, Friedrich, generał kawaleru, był „pruskim człowiekiem” w sensie „króla-żołnierza”. Ludwig Beck należał do jego wyróżnianych, wysoko cenionych kolegów. Później generał został mianowany obergruppenführerem SS. Kiedy zmarł w 1939, jego pogrzeb odbył się na koszt państwa.

Matka Fritza-Dietlofa, Freda, z domu hrabina Armin-Muskau, była kobietą „pełną polotu” i „ognistego temperamentu”, Niekiedy nazywano ją „czerwoną hrabiną”. Ale jej małżeństwo, z „surowym, sprawiedliwym Prusakim” było pełne harmonu.

Fritz-Dietlof wcześniej zaczął zdradzać szczególny upór. Buntował się przeciw swojej brytyjskiej guwernantce i usiłował „przebić głową mur”. Bił się z kolegami z klasy i wyróżniał się „wyjątkową pasją czytania”. „Nad wyraz niezwykle chłopiec!”.

Miał czterech braci i jedną siostrę. Jeden z braci zginął w wypadku; dwaj zmarli na ciężką chorobę, czwarty poległ na froncie 14 lipca 1944. Cztery tygodnie później Fritz-Dietlof został powieszony. Jego siostra Elisabeth, osoba o wielkich zdolnościach artystycznych, żyje do dziś w klasztorze;

Schulenburgowie należeli do starej rodziny szlacheckiej. Ich przodkowie służyli pod księciem Eugeniuszem i Fryderykiem Wielkim. Zarządzali swoimi dobrami, byli żołnierzami albo urzędnikami. Fritz-Dietlof zdał maturę „śpiewająco”, jako student bił się wielokrotnie w pojedynkach i „bez trudności” został aplikantem sądowym i asesorem.

W roku 1939 wstąpił do NSDAP - „mimo dużych wątpliwości wobec Hitlera i paru innych”. Ale wówczas był przekonany, że zapowiada się nowa, ważka przyszłość - sądził że to, co niegdyś było „Prusami”, teraz stanie się „Rzeszą”.

W roku 1933 ożenił się ze studentką z dobrego mieszczańskiego domu, imieniem Charlotte. Urodziło mu się sześcioro dzieci - pięć dziewczynek i jako trzecie dziecko - syn. Wszyscy żyją do dziś, W Ameryce, w Anglii, w Monachium. Urodziny hrabiny przypadają 20 lipca.

Małżeństwo to - odznaczające się świadomie skromnym stylem życia - było wymarzoną oazą spokoju hrabiego von Schulenburga. Tu mógł być beztrosko Wesoły, śmiały, otwarty, mógł być zuchwale radosnym towarzyszem zabaw, świetnym tancerzem i opowiadaczem bajek. Jeszcze na krótko przed śmiercią oświadczył: „Moja rodzina to

niepowtarzalny świat sam dla siebie."

Kiedy Fritz-Dietlof w roku 1933 został przeniesiony do Prus Wschodnich i dostał się na tereny gauleitera Ericha Kocha, uległ początkowo szeroko rozpowszechnionemu wówczas błędowi; jaskrawe zjawiska przejściowe były nie do uniknięcia, błędy musiało się tolerować, niedociągnięcia były rzeczą ludzką. Ale Schulenburga zaczął ogarniać niepokój; coraz bardziej widoczna korupcja „brunatnych bonzów” budziła w nim wstręt.

Opuścił okręg Prus Wschodnich i został starostą powiatu Frischhausen. Tu spędził błogosławiony czas. Okazał się wielkoduszny nawet w najmniejszych detalach, dokładny we wszystkim, co istotne, z całym sercem gotów nieść pomoc innym. Starosta, który był jakby „zastępcą króla pruskiego”.

Jego przemianę w przeciwnika narodowego socjalizmu poprzedził wyraźnie skomplikowany i męczący proces myślowy. Nie od razu odseparował się od partu - uważał najpierw, że sensowne będzie stworzenie opozycji wewnątrz ruchu. Trwało lata, aż gotów był wyciągnąć konsekwencje ze swoich przekonań.

Już jako młody urzędnik administracyjny w Poczdamie Fritz-Dietlof stykał się z oficerami stacjonującego tam 9 pułku piechoty, który nierzadko był nazywany „JR Graf. Był to „tradycyjny pułk gwardii honorowej”, którego ostatnim dowódcą był generał von Schulenburg. Stanowił on jedną z komórek zarodnikowych późniejszych wydarzeń 20 lipca.

Tu, w Poczdamie, Fritz-Dietlof został później żołnierzem, tu spotkał ludzi, którym okazywał spontaniczną sympatię. Byli wśród nich: Plettenberg, Bussche, Willessen, Hammerstein, Kleist - wszyscy pochodzący z zasłużonych szlacheckich rodów; tak samo jak on. Do tego niewielu pochodzenia mieszczańskiego, których Schulenburg szczególnie wyróżniał: kapitan Klaussing, który towarzyszył Stauffenbergowi podczas drugiej próby zamachu; i kapitan Fritsche, który potem, w dniu zamachu 20 lipca, wraz z innymi na Bendlerstrasse dokonał aresztowania Fromma i innych generałów.

W roku 1937 obserwujemy punkt zwrotny. Kiedy Fritz-Dietlof został mianowany zastępcą prefekta policji Berlina, powiedział do swoich przyjaciół: - Miałem zdecydować: albo rzec się służby, albo zostać Fouche Hitlera. Wybrałem to drugie. - Wydarzenia „kryształowej nocy” wzburzyły go do głębi, potem już się dłużej nie wahał.

Wkrótce w tajnym dokumencie partyjnym określony został jako „podejrzany politycznie”.

Kiedy wybuchła wojna, hrabia zgłosił się na front. Był to „jego rodzaj emigracji”. Na wojskowych sprawiał wrażenie wyzywająco niedbałego, denerwował ich monokl w oku, na które słabiej widział, uderzała serdeczna koleżeńskość z prostymi żołnierzami. Pewien leutnant o nazwisku Konstantin - bardzo młody człowiek „o postawie bohatera” - cieszył się jego szczególnymi względami. Kiedy padł, hrabia von der Schulenburg napisał poemat na cześć tego oficera. Ukazał się on jako zeszyt Wydawnictwa Reclam w roku 1942.

Wkrótce potem jego zwierzchnicy wezwali go do Berlina. Pracował w Ministerstwie Gospodarki, stworzył projekt szeroko zakrojonej reformy administracyjnej, został przydzielony do generała Unrucha, który na tyłach miał „zwalniać żołnierzy do walki na froncie”. Podczas tych wszystkich zajęć von der Schulenburg szukał i gromadził wokół siebie ludzi myślących podobnie jak on. Jego niezawodny instynkt i przyciągająca siła przekonywania były powszechnie sławione. Wkrótce został najważniejszym pośrednikiem pomiędzy wszelkimi grupami oporu.

Jego kontakty sięgały od gestapo do generała Becka. Nie wtajemniczeni uważali go za człowieka „nieprzeniknionego”; wydawał im się przebiegły i wyzywający zarazem. Nazywali go „Sfinksem” albo „dzikim Schulenburgiem”. Mówiono o nim, że jest cyniczny, a także łagodnie ironiczny. Z generałami rozmawiał jak z równymi sobie - z podoficerami również.

Tylko niewielu przyjaciół znało go naprawdę. Przed nimi otwierał się całkowicie i z pełną serdecznością, należeli w pewnym sensie do jego rodziny, jeśli tylko zdobyli jego zaufanie. I owi przyjaciele nieprzypadkowo zaliczali się do najważniejszych postaci 20 lipca 1944: Casar von Hofacker był świadkiem na jego ślubie i ojcem chrzestnym syna Schulenburgów. A drugim chrzestnym był Peter von York. Do tego dochodził hrabia von Uxküll i hrabia Ulrich-Wilhelm von Schwerin. Nadto do jego przyjaciół należeli również bracia Stauffenbergowie - Claus i Berthold.

Wszyscy mieli za sobą niejedną noc na wesołych hulankach na wsi, spędzili wspólnie niejedną urlop, spotykali się z okazji uroczystości rodzinnych na wiele lat przed wybuchem wojny. Ich rozmowy stawały się tajemnicze, filozofujące, coraz bardziej stanowcze. Przysięgli sobie nawzajem, że w dniu spisku wspólnie przystąpią do akcji. Żaden z nich nie przeżył.

Hrabia von der Schulenburg miał duchową siłę i „śmiałość umys-

lu, zdolnego do przewidywań". Chętnie przyswajał sobie nowe idee. Jako młody asesor uwielbiał socjalistę Winniga. Czytał Marksa i Hegla, Kanta i Engelsa, Freuda i Lenina, Tomasza z Akwinu i Platona. Później poznał i polubił Juliusa Lebera. Ów czczony przezeń człowiek, który wydawał się niezniszczalny, usiłował połączyć to, co narodowopruskie, z socjalistyczno-demokratycznym; hrabia także widział w tym „świeflaną przyszłość Niemiec”.

Kiedy ta książka została napisana, doktor Eugen Gerstenmaier wyznał z zadumą; „Często myślę o tamtych wydarzeniach. Wiele z tego jest przeszłością; niezapomnianą, ale teraz już jakby za mgłą. Jednak wciąż jeszcze łapię się na myśli: co powiedziałby Fritz Schulenburg na to, co się teraz dzieje; jak by na to zareagował, co by mi poradził? - I cicho dodał: - Pragnąłbym, aby ci ludzie żyli; bardzo nam ich brakuje”.

„Musimy się poświęcić - powiedział Fritz-Dietlof hrabia von der Schulenburg, kiedy 20 lipca 1944 uświadomił sobie, że bunt żołnierzy się nie powiódł. - Kiedyś nas zrozumieją.”

Jego ostatnie dumne słowa, wypowiedziane przed trybunałem ludowym, zostały przedstawione w tej książce jako słowa hrabiego von Brackwede. W odbiciu postaci powieści podjęta została zatem próba ukazania człowieka zupełnie niezwykłego; również jego przyjaciół o takich samych przekonaniach. Postać ta została wymyślona, zanim jeszcze dostępne były oryginalne dokumenty. Wystarczyło ją tylko potem nieznacznie zmienić.

W dowód głębokiego szacunku książkę tę poświęcam

FRITZOWI-DIETLOFOWI  
HRABIEMII VON DER SCHULENBURGOWI  
I JEGO TOWARZYSZOM

## Spis treści

20 lipca (ludzie spiska przioąwnicy) (5);

### **Część pierwsza**

#### **Dni przed zamachem**

##### **1**

Pułkownik, który musi zabić (9)

##### **2**

Mężczyźni, którzy zaczynają liczyć (36)

##### **3**

Stwór, który wymyka się wszeikim kalkulacjom (76)

### **Część druga**

#### **20 lipca 1944**

##### **1**

Teczki, które zawietają ludzkie losy (119)

##### **2**

Ludzie, którzy chcieli się przekonać, do czego są zdolnii (163)

##### **3**

Mężczyźni, którzy spełnili swój obowiązek (227)

### **Część trzecia**

#### **Potem**

##### **1**

Noc, która nie chciała się skończyć (281)

##### **2**

Ostatnie 4ni, podczas których ukazały się,inne Niemcy (319)

Nota od autora (361) \